

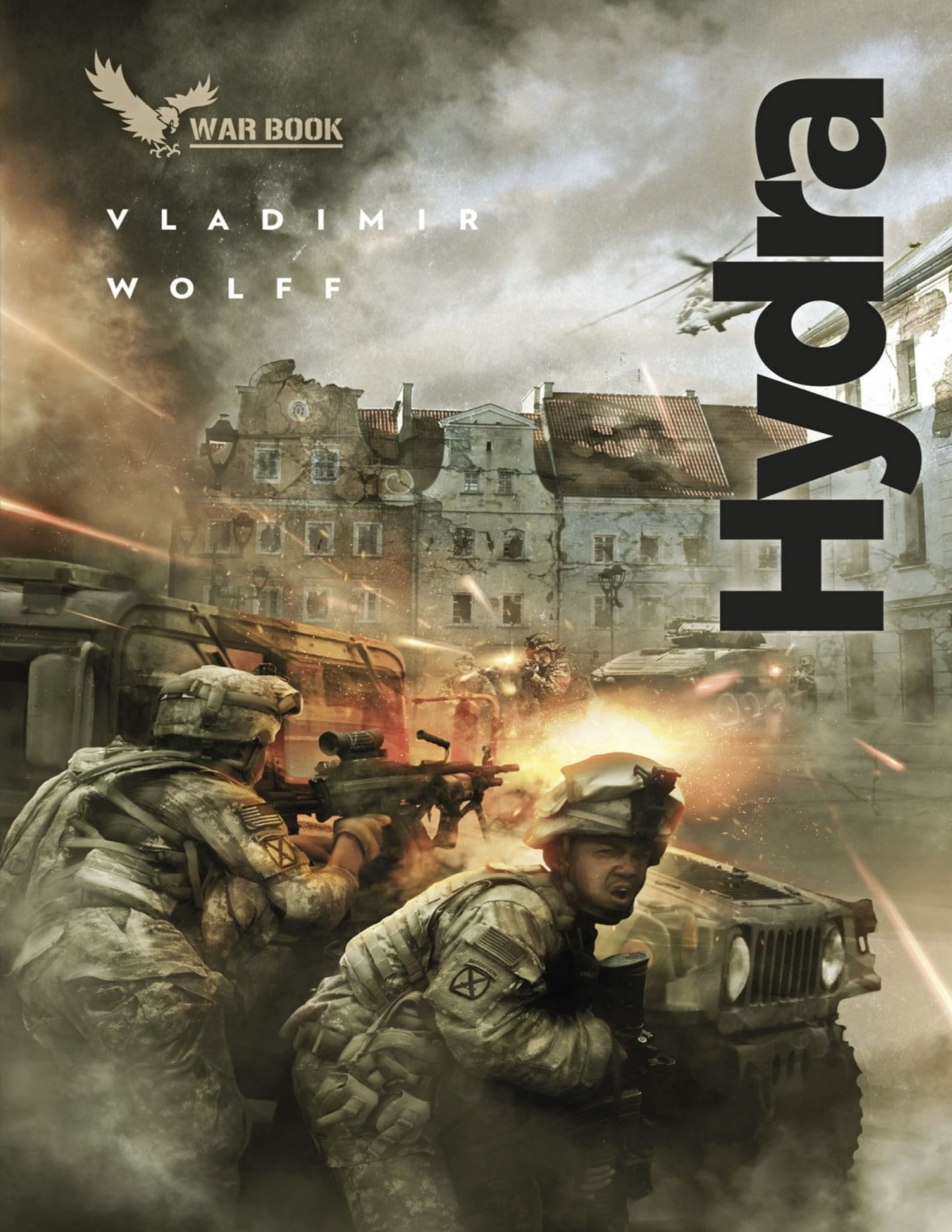


WAR BOOK

V L A D I M I R

W O L F F

Hydra



VLADIMIR WOLFF

Hydra

Cykl: Armagedon (tom 2)



Wydawnictwo: WARBOOK Sp. z o.o. (2016)

Ameryka spustoszona przez tajemniczy wirus chyli się ku upadkowi. Europejskie struktury drżą w posadach, napływy imigrantów przekracza wszelkie normy, panuje anarchia, nie ma nadziei na lepsze jutro... Jedynie Polska, która po przejęciu struktur wojskowych stała się potęgą militarną ma się całkiem dobrze. Nasi odwieczni wrogowie czyli Rosja, wraz z Niemcami, nieprzychylnie patrzą na takie przebieg wypadków. Jednak to się zmienia. Na szeroką skalę przeprowadzane są zamachy na struktury władzy w Polsce. Nie ma żadnych podejrzeń, wskazujących, kto stoi za tymi zdarzeniami,

sytuacja jest coraz trudniejsza. Nasz kraj, do tej pory potężny, szczęśliwym można by rzec zbiegiem okoliczności znalazł się na szczycie. Niestety wszystko co dobre, szybko się kończy. Rozpoczyna się bezpardonowa walka, w której wszystkie chwytaki będą dozwolone.

Co dalej?!

Spotkali się na Mariensztacie.

To zaciszne osiedle znajduje się w samym centrum Warszawy. Wszędzie stąd blisko, na Krakowskie Przedmieście, Stare Miasto czy też do mostu Śląsko-Dąbrowskiego umożliwiającego przeprawę przez Wisłę wprost na lewobrzeżną Pragę. Mimo to szlaki turystyczne, a z nimi tłumy, szczęśliwie omijają tę okolicę. Niskie kamieniczki i dość luźna zabudowa sprawiają, że całość wygląda trochę jak zadbane, lecz senne prowincjonalne miasteczko przeniesione w całości do serca metropolii.

Żaden z kilkunastu młodych mężczyzn, którzy spotkali się na mariensztackim ryneczku, nie miał problemów, żeby tu dotrzeć.

Postronne osoby mogły nawet nie zauważyć, że stanowią oni zorganizowaną grupę. Wydawali się raczej spacerowiczami szukającymi odpoczynku od wielkomiejskiego hałasu.

Obsiedli ławki i dwie okoliczne knajpki. Czuli się nad wyraz swobodnie, co w przypadku niektórych z nich mogło dziwić. I to bardzo.

Taki starszy sierżant Thomas Cook, a przynajmniej osoba, która do niedawna posługiwała się dokumentami na to nazwisko, dezerterski z 12 Brygady Zmechanizowanej, czy też Jasper Fisher, człowiek, o którym mówiono, że z półtora kilometra potrafi trafić kulą precyzyjnie między oczy człowieka.

Oczywiście Cook czy Fisher to nie były ich prawdziwe nazwiska. Cook tak naprawdę nazywał się Cyrus Parker i był... No właśnie – podobnie jak jego koledzy na pewno był wysokiej klasy specjalistą, i to w dziedzinie, o której większość ludzi nie ma zielonego pojęcia.

Takich jak ci dwaj było tu więcej – snajperzy, operatorzy broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej, informatycy, ratownicy medyczni, saperzy, słowem wszyscy, dla których wojaczka stanowiła chleb powszedni.

Dowodził nimi barczysty pięćdziesięciolatek o siwych włosach, cał dłuższych niż przewidziane regulaminem dla rekrutów. Mówili na niego „Papa”, a on się nie obrażał. Był dla nich jak ojciec, potrafili to docenić.

Cyrus Parker zamarł na chwilę, gdy od strony alei „Solidarności” dobiegł go dźwięk pędzącego wozu na sygnale. Nie trwało to długo. Wkrótce wszystko wróciło do normy, na którą składały się zwykłe odgłosy tętniącego życiem miasta.

Jak na koniec kwietnia było wyjątkowo ciepło, temperatura dochodziła do dwudziestu pięciu kreszek powyżej zera i tylko chłodniejsze podmuchy wiatru uświadamiały, że to jeszcze astronomiczna i kalendarzowa wiosna.

Parker zapalił papierosa i przyglądał się otoczeniu. Mariensztat miał swój urok. Nigdy jeszcze tu nie był, lecz od razu poczuł się dobrze. Nie były to co prawda rozległe równiny Dakoty Południowej ani też długie ulice Nowego Jorku, ale gdzieś, do cholery, trzeba żyć.

Po przeciwnej stronie placu twarzą do słońca wyciągnęło się dwóch ludzi z zespołu Parkera. Jednego z nich, kaprała Jamesa Appeltona, nazywali Piłą. Nikt tak jak on nie radził sobie z M240. Żeby utrzymać to cholerstwo w dłoniach, a przy tym celnie strzelać, należało dysponować siłą bawołu. Appelton, z pozoru miłośnik piwa i fast foodów, potrafił sprostać wyzwaniu jak nikt inny.

Siedzący obok sierżant Pablo Ortiz Castillo, z pochodzenia Portorykańczyk, specjalizował się w elektronice, a zwłaszcza w systemach zwiadowczych. Obaj mężczyźni wymieniali właśnie uwagi, których Parker mógł się tylko domyślić. Byli tak pochłonięci rozmową, że nie zwracali kompletnie uwagi na przechodzącą opodal szatynkę z obłędnie długimi nogami. W normalnych okolicznościach nie pozostawiliby tego bez komentarza, ale dziś... Dziś nie był normalny dzień.

W przeciwieństwie do nich Parker nie spuszczał z szatynki spojrzenia. Ta laska z powodzeniem mogła startować w konkursach Miss World czy Miss Universe. Ubrana w białą bluzkę i granatową spódniczkę sięgającą kolan wyglądała jak urzędniczka, która urwała się z biura na wcześniejszy lunch. Przechodzący obok niej brzuchaty gość w szortach i kłapkach ślinił się jak pies na jej widok.

Starszemu sierżantowi zachciało się śmiać.

– Cześć, Yvonne. – Parker wstał, gdy podeszła bliżej.

– Cześć. – Dziewczyna nadstawiła policzek, który on musnął wargami. Jej makijaż był zbyt doskonały, aby popsuć go jakimś bardziej spontanicznym wyrazem emocji. – Są wszyscy?

– Tak.

Przytrzymał jej dłoń i pomógł usiąść. Yvonne założyła nogę na nogę, a z torebki wyciągnęła lusterko. Przejrzała się w nim, poprawiając włosy.

Perfekcja była jej drugim imieniem. Gdyby jej tak dobrze nie znał, niewykluczone, że padłby przed nią na kolana, skomląc o minutę zainteresowania.

– Papa jest zły? – zapytała, wskazując brodą na ich dowódcę pochłoniętego lekturą porannej gazety. „The Warsaw Voice” z miesięcznika stał się gazetą codzienną, wciąż będąc periodykiem numer jeden wśród anglosaskiej elity zamieszkałej nad Wisłą.

– Nie, on tak zawsze. – Parker zgasił papierosa, bowiem Yvonne nie tolerowała tytoniowego dymu. – Dawno cię nie widziałem.

– Trochę podróżowałam.

– Daleko?

Roześmiała się.

– A po co ci to wiedzieć?

– Tak tylko pytam – uśmiechnął się.

Naszła go wielka ochota dotknąć ramienia dziewczyny i przyciągnąć ją bliżej. Wiedział, że nie wypada, jednak nie wszystkie emocje dawało się kontrolować. Zacisnął palce na oparciu krzesła, czekając, aż rozejdzie się fala gorąca przeszywająca jego umysł. Od tak dawna był sam. Oddział, kumple to jedno, a on po prostu potrzebował zrozumienia, które dać mogła tylko kobieta.

– Czymś się martwisz? – zapytała Yvonne, spoglądając uważnie spod długich rzęs.

– Sam nie wiem.

– Będzie dobrze.

– Chciałbym w to wierzyć.

Na Węgrzech w zeszłym roku też miało być dobrze. Tak twierdzili wszyscy – od polityków po dowódcę batalionu. Życie szybko zweryfikowało te twierdzenia. Można powiedzieć, że nawet za szybko.

Zresztą, co tu dużo mówić, cały zeszły rok był do dupy. Wcale nie chciał znaleźć się w Polsce.

Najpierw przerwali ich spod Rzymu do bazy Aviano, potem do Ramstein w Niemczech, a na koniec tutaj. Był żołnierzem, nie kwestionował rozkazów. Jak większość chciał wracać do kraju, ale przełożeni postanowili inaczej.

Ilekcio sięgał pamięcią do tamtych wydarzeń, nie potrafił pogodzić się z tym, co się stało: śmierć prezydenta oraz pozostałych przywódców G7, zaraza, która spustoszyła USA, i wojna na Bałkanach.

W niespełną parę tygodni z supermocarstwa zostali sprowadzeni do państwa trzeciej kategorii.

Wielu nie przyjmowało tego do wiadomości, stąd przez amerykański kontyngent stacjonujący w Europie przeszła fala samobójstw.

Trudno powiedzieć, co było gorsze – świadomość, że kraj, w którym się urodzili, został unicestwiony, czy też ostracyzm, jaki ich spotkał. Nikt ich nie chciał, a niemal wszyscy nimi pogardzali. Tak się nie dawało żyć.

Równowagę odzyskali dopiero w Polsce, acz nie na długo. Bałkany dały im mocno w kość. Wojna grecko-turecka ożywiła stare resentymy i rozpoczęła wojnę podjazdową każdego z każdym. Ateny do tej pory nie potrafiły zmontować koalicji. Długo trwało, zanim dogadały się z Belgradem. Skopje postanowiło się trzymać na uboczu, za to Tirana murem stanęła za Ankarą. Bułgaria sama nie wiedziała, co ma zrobić, stawszy się nagle krajem frontowym. Niby została w NATO, tym nowym, skarłałym, pod przewodnictwem Warszawy, ale wciąż zezowała w stronę Moskwy.

Grupy dywersyjne i terroryści wszelkiej maści przechodzili granicę, gdzie i jak chcieli. Wybuchły bomby, a wysocy urzędnicy i zwykli obywatele ginęli we własnych łóżkach lub na ulicy. Tylko Węgrzy i Rumuni uniknęli ogólnego chaosu.

Trzeba powiedzieć otwarcie – to była brudna wojna, lecz przynajmniej widzieli sens tego, co robią. Bez nich cała Europa mogła wkrótce wyglądać jak te zapyziałe kraiki na Bałkanach.

Papa w końcu złożył gazetę i wrzucił ją do kosza, po czym spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta trzydzieści rano. Przeciągnął się. Kilkanaście par oczu śledziło każdy jego ruch. Zdaje się, że nadeszła pora.

Wstawali pojedynczo i ruszali za Papą, najpierw Sowią, by po kilkudziesięciu metrach skrócić w prawo w Bednarską, pnąc się stromo do góry.

Pomiędzy kamienicami Parkerowi zrobiło się chłodno. Może to ze strachu? Sam nie wiedział dlaczego.

Do przechodzącej grupy przyłączyło się kilku kolejnych podkomendnych Papy. W sumie było ich już dwudziestu. Krakowskie Przedmieście znajdowało się tuż-tuż.

Generał Emil Banach, szef Agencji Wywiadu – a jak twierdzili niektórzy, co bardziej złośliwi dziennikarze i zazdrośni o swoje urzędnicze stołki przedstawiciele administracji, szara eminencja polskiego rządu – przeglądał ostatnie dokumenty.

Na tylnym siedzeniu służbowego samochodu było dość miejsca, aby rozłożyć się ze wszystkim.

Wiedział, że sporo ze zgromadzonego materiału będzie musiało poczekać na przeczytanie w bardziej sprzyjających warunkach. Musiał poprzestać na tym, co najważniejsze, a więc na pierwszy ogień szły doniesienia agentury z Ankary i stolic państw bałkańskich. Tam raz po raz wojska Grupy Wyszehradzkiej wchodziły w kontakt bojowy z armią turecką. Tu samolot, tam śmigłowiec czy grupa rekonesansowa przekraczały granicę Węgier bądź Rumunii. Mimo starań Warszawy, a podobno też sztabu wojsk Tureckiej Republiki Islamskiej, incydentom nie udawało się zapobiec. On sam powoli zaczynał się w tym gubić. Turcja obrała radykalny muzułmański kurs, odwołując się do tradycji dawnego Imperium Osmańskiego, lecz nie wszystkim muzułmanom było z nimi po drodze. Ci bardziej radykalni negowali przywództwo Sulejmana Dżabbara. W Bośni działała cała masa organizacji islamistycznych idących własną drogą. Dla nich niedościgłym wzorem było wciąż niedobite Państwo Islamskie.

O burdelu panującym na Bliskim i Środkowym Wschodzie Banachowi nawet nie chciało się myśleć. Chyba przestawał ogarniać ten świat. Obojętnie, na jaki rejon nie spojrzeć, wszędzie piętrzyły się trudności.

W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie po epidemii z zeszłego roku i na skutek powikłań po innych chorobach oraz z powodu braku odpowiedniej opieki lekarskiej zmarły kolejne miliony ludzi. Różne szacunki określały obecną populację Ameryki Północnej na osiemdziesiąt do stu pięćdziesięciu milionów obywateli. I komu tu wierzyć?

Główny winowajca wciąż nie został ukarany. Kim Dzong Un okopał się w swoim państwie-twierdzy, przyglądając się efektom własnych działań. Zapewne zacierał dłonie z zadowolenia, widząc, że największy wróg został pokonany. Jeśli zdecyduje się na zbrojną konfrontację z Koreą Południową, to rozpęta wojnę o nieprzewidywalnych konsekwencjach. Pewnie jej nie wygra, ale narobi takich szkód, że efekty będą odczuwalne przez dziesięciolecia. Kolejny w miarę stabilny region rozpadnie się na wojujące ze sobą koalicje. Chiny kontra sojusz pozostałych państw. Banach nawet nie chciał wiedzieć, co z tego wyniknie. Za wszelką cenę należało utrzymać spokój. Niech Kim myśli, że wszystko rozeszło się po kościach. Przyjdzie kiedyś dzień zapłaty, a wówczas nie obroni go ani milionowa armia, ani rakiety z głowicami jądrowymi.

Kolejny nierozwiązany problem to kwestia uchodźców. Przybywało ich z roku na rok. Już nie tylko Niemcy czy Szwecja stanowiły cel wypraw, ale jakikolwiek europejski kraj, byle stabilny, byle na głowę nie spadały bomby i pociski.

Bieżący rok pod tym względem miał szanse okazać się rekordowy. Od początku stycznia już pojawiło się czterysta tysięcy ludzi. Do grudnia może ich być ze dwa miliony, jak nie lepiej. A ile w przyszłym? Trzy, cztery czy pięć? Wciąż było ich więcej i więcej. Na miejsce każdego odesłanego od razu znajdowało się dziesięciu kolejnych.

Pchali się zewsząd – od Hiszpanii po północną Norwegię. Rosja, która wcześniej myślała, że w ten sposób uda się jej rozegrać politycznie poszczególne zachodnioeuropejskie państwa, sama grzęzła w zalewie uchodźców. Na jej granicach nie sposób było wybudować płotu, bo i gdzie – na granicy z Kazachstanem? Pakistańczykom, mieszkańcom Bangladeszu, Indii, Afganistanu czy Filipin wszystko jedno, którędy pojadą – przez Turcję czy od razu na północ, szlakiem przez Astanę i Aszchabad. Na razie to tylko skromny początek, dwieście – dwieście pięćdziesiąt tysięcy rocznie, ale i to się szybko zmieni. Jeśli doliczyć rodzimą rzeszę wyznawców Proroka, których liczba sięgnęła dwudziestu pięciu procent ogółu populacji kraju, na Kremlu mieli twarde orzechy do zgryzienia.

Jedno nie ulegało wątpliwości – będzie gorzej.

Kluczem do rozwiązania sprawy migracji były dwa słowa – populacja i klimat. Populacja krajów Trzeciego Świata wciąż rosła. Tam nikomu nie można narzucić, ile ma mieć dzieci. To, co kiedyś miało sens, stanowiąc choćby zabezpieczenie na starość, obecnie traciło rację bytu. Ilu jeszcze obywateli może wyżywić taka, dajmy na to, Nigeria? Już teraz kraj liczył sto sześćdziesiąt milionów mieszkańców, co się stanie, gdy ta liczba wzrośnie do dwustu milionów? Pewnie nic nadzwyczajnego, ale dwieście pięćdziesiąt? Trudno powiedzieć. A trzysta? Katastrofa. A nie była to wcale fantastyka. Dodając do tego zmieniający się klimat, a co za tym idzie pustynnienie użytków rolnych, klęski żywiołowe – czy to w postaci suszy, czy też nadmiernych opadów, które niszczą zbiory i wybijają stada bydła – fala biedoty ruszy na północ. Zmiana kolejnego rządu w Lagos bądź gdziekolwiek indziej nic tu nie pomoże.

Decyzje, które należało podjąć natychmiast, przyniosą efekty najszybciej po paru latach. A kiedy już będzie lepiej i każdy dostanie miskę ryżu dziennie, to co – znów więcej dzieci? Przecież to błędne koło.

Banach pamiętał jeszcze, jak niedawno przewidywano napływ do Europy pięćdziesięciu milionów imigrantów w perspektywie półwiecza. Teraz mówiło się już o takiej liczbie przybyszy w ciągu dwudziestu pięciu lat, a i te prognozy zdawały się zbyt optymistyczne. Nikt nie wiedział, jak Europa będzie wyglądać za pięć lat, a co tu mówić o dekadach.

Samochód zwolnił przed światłami. Już byli spóźnieni. Trudno, nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni.

Zebrań Rady Bezpieczeństwa Narodowego stanowiło ważny punkt dnia. Wszyscy ważniejsi ludzie w państwie będą mogli przedstawić własną ocenę sytuacji. Dziś dodatkowo miał się stawić premier, nieobecny ostatnim razem. Spotkanie potrwa do południa. Generał nie spodziewał się wiążących decyzji, ale kto wie. Podczas takich narad wszystko było możliwe.

Banach w myślach popędzał kierowcę. Zaraz znajdą się na Nowym Świecie. Stąd już tylko kawałek do Pałacu Prezydenckiego.

Westchnął i wcisnął się głębiej w kanapę, jednocześnie wyglądając przez kuloodporną szybę. Kolumna, w której się poruszał, składała się jedynie z dwóch aut: jego limuzyny bmw i poprzedzającego ją terenowego mercedesa z obstawą. Nie czuł się zagrożony, ale licho nie śpi, a on chciał umrzeć we własnym łóżku, i to niekoniecznie w najbliższym czasie.

Granatowa toyota hilux z czterema pasażerami od razu nie spodobała się generałowi. Jeden z siedzących w niej mężczyzn przyjrzał się bmw z dziwnym wyrazem twarzy, zupełnie jakby rozpoznał wóz, którym poruszał się szef polskiego wywiadu.

Banach poczuł się nieswojo. Stał się przewidywalny, a w jego fachu to niebezpieczne. Należało szybko przeorganizować cały system zabezpieczeń, powiększyć ochronę, nie tylko własną, ale

i pozostałych osób ze świecznika oraz części placówek.

Toyota zasygnalizowała zjazd w prawo. Po chwili bmw zostało oddzielone od niej białym oplem astrą z młodą kobietą za kierownicą i dziecięcym fotelikiem z tyłu.

Odetchnął. Strach ma wielkie oczy. Niepotrzebnie się przejął. Mimo wszystko ze spotkania należało wyciągnąć wnioski.

Przejechał dłonią po spoconym czole. Musi schować papiery do teczki, nie mogą się tak walać.

– A ten gdzie się tak pcha?

Mruknięcie kierowcy ponownie skierowało uwagę Banacha na jezdnię. Toyota wykorzystwała wolny lewy pas, przemknęła obok bmw i zrównała się z terenówką ochrony.

To, co później nastąpiło, Banach zapamięta do końca życia. Hilux wyrznął w mercedesa i zaczął go spychać w stronę chodnika. Widok był tak zaskakujący, że generał nie potrafił oderwać odeń wzroku. Od razu do głowy przyszło mu co najmniej kilka racjonalnych wytłumaczeń tego faktu – kierowca toyoty zasłabł lub też nawalił układ kierowniczy.

Kiedy do zgrzytu metalu dołączył huk serii z broni maszynowej, nie mógł już się łudzić. To nie wypadek, to zamach.

Nie jechali szybko, najwyżej trzydziestką, blokowani przez pozostałych użytkowników ruchu. Kierowcy nie pozostało nic innego, jak jeszcze zwolnić, żeby nie uderzyć w mercedesa przed nimi. Nieopancerzona karoseria i szyby terenówki zostały przedziurawione w co najmniej kilkudziesięciu miejscach.

Wóz toczył się bezwładnie, odbił od krawężnika i w końcu zatrzymał. Ze środka nikt nie wyskoczył ani nie padł żaden strzał. Ochrona została wyeliminowana – albo nie żyli, albo zostali ciężko ranni. W każdym razie na nich nie można już było liczyć, sami potrzebowali pomocy.

Toyota również się zatrzymała. Banach ujrzał dwójkę zamachowców. Jeden z MP5, a drugi z M4 w dłoniach.

Impuls popłynął do mózgu generała. Nie pozwoli się zaszlachtować jak bezbronna owca.

– Dawaj!

Kierowca, który po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji, wcisnął gaz do dechy. Wóz skoczył do przodu, wykręcając wprost na chodnik. Na szczęście wszystko działo się tak szybko, że w pobliżu nie zdążył zgromadzić się jeszcze tłum gapiów.

Ci, którzy polowali na Banacha, nie tracili czasu. Pierwsze pociski uderzyły w bmw ułamek sekundy później. W przeciwieństwie do mercedesa limuzyna była opancerzona, niemniej i tak boczna szyba pokryła się siateczką pęknięć.

Tuż przed przejściem dla pieszych musieli zwolnić. Ludzie pierzchali na wszystkie strony. Jakiś mężczyzna wszedł pod koła innego ruszającego samochodu. Cud prawdziwy, że nikogo nie potracili.

Zapierając się rękami o fotel przed nim, Banach obejrzał się wstecz. O w mordę... Toyota ich goniła. Jeden z bandziorów wychylił się z bocznego okienka, śląc w ich stronę serię za serią. Rykoszety mało kogo obchodziły.

Ty sukinsynu...

– Szybciej!

Ponownie znaleźli się na jezdni, gdy wjechali w Nowy Świat. Banach ze zdziwieniem zauważył, że przestał się bać. Czuł czyste wkurwienie. Osobiście dopilnuje egzekucji tych drani, pod warunkiem, oczywiście, że dociągną do procesu.

Co za wredne gnoje. Środek miasta pełen policji, służb miejskich i kamer, a oni nie bali się strzelać. Ta pewność siebie zastanawiała. Jeżeli już chcieli go sprzątnąć, to mogli pod domem lub w jakimś ustronnym miejscu, dyskretnie, a nie tak na widoku.

Na pewno pozostawili po sobie całą masę śladów. Jak ich dorwie, skończą na hakach.

Bmw gnało pełną mocą silnika. Ludzie w hiluxie nie odpuszczali. Co za wredne typy.

Toyota raz po raz próbowała ich wyminąć, to z lewej, to z prawej strony. Tylko cud sprawił, że jeszcze nie rąbnęli w żaden inny wóz. Gdzie, do ciężkiej cholery, jest policja? Śpią czy co? Już on sobie pogada z komendantem. Przecież to jawne lekceważenie obowiązków.

Nagłe hamowanie rzuciło generałem do przodu. Para przechodniów grubo po osiemdziesiątce nie była dość szybka, by przejść na drugą stronę jezdni przed pędzącymi samochodami.

Bmw ponownie znalazło się na chodniku. Pomnik Kopernika i kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża tylko mignęły za oknami limuzyny. Wszędzie pełno przechodniów. Dlaczego ci ludzie nie siedzą w pracy, tylko szwendają się po mieście? Studenci nie mają zajęć?

Z przeciwka nadjechał radiowóz, lecz nim policjanci zdecydowali się na interwencję, zostali w tyle. Może to i lepiej. Trupy kolejnych funkcjonariuszy nie były nikomu potrzebne.

Przynajmniej ci za nim przestali strzelać.

Banach zerknął do tyłu, próbując zorientować się w sytuacji.

Było niezłe. Zyskał przewagę. Toyota nie nadążała lub – co bardziej prawdopodobne – zamachowcy sobie odpuścili. Znajdowali się blisko hotelu Bristol. Jak nie policja, to inni kierowcy zablokują im dalszy przejazd.

Wymacał w kieszeni telefon. Nim uzyskał połączenie, upłynęły cenne sekundy.

– Oficer dyżurny...

Czas wprowadzić maszynę państwa w ruch. Za godzinę dranie będą siedzieć w pokojach przesłuchań, śpiewając cieniutkimi głosami, a potem łopaty i niech kopią sobie groby. Podjęli ryzyko, powinni się liczyć z konsekwencjami.

Chorążemu Olafowi Niteckiemu strasznie chciało się ziewać. Powinien się położyć spać o godzinę wcześniej, ale postanowił obejrzeć film do końca. Nagrywarka się popsowała, więc musiał czekać do późna na tę powtórkę powtórki. Obraz nie zaliczał się co prawda do dzieł wybitnych, ale grała w nim jego ulubiona aktorka, na którą zawsze lubił sobie popatrzeć. Ile by dał, żeby zamienić na nią swoją obecną partnerkę. Kaśka nie była zła, tylko czegoś jej brakowało – obycia, sznytu, pewności siebie. I nic dziwnego, jak się przyjechało z Radzimina, z całym dla Radzimina szacunkiem.

O, i znowu. Ledwo powstrzymał dolną szczękę przed opadnięciem. Na służbie, i to na widoku, nie wypada. To w końcu zaszczyt i obowiązek. Bardziej zaszczyt czy obowiązek? Pewnie i jedno, i drugie. Nie wnikał w szczegóły. Wraz z kolegą stał przed wejściem do Pałacu Prezydenckiego z groźną miną odstraszoną wszelkich upierdliwców, nawiedzonych i oszołomów. Jak ziewać w takich warunkach? Ktoś zobaczy, sfotografuje, doniesie i pojedą po premii. Gębę to można rozdziawiać poza godzinami służby, w domu, a nie w miejscu, gdzie postawiła go ojczyzna.

Gdzieś z lewej od strony Nowego Świata dobiegły go odgłosy strzałów z broni automatycznej. Nie mógł w to uwierzyć. Strzelanina w Warszawie? To przecież niemożliwe. Jak już to petardy lub gaźnik motocykla. Niemniej dłoń sama powędrowała w stronę kabury z Glockiem 17.

– Oli, słyszałeś?

– Tak.

Nitecki oderwał się od kamiennego lwa, o którego opierał się przez chwilę, i postąpił krok do przodu, by rozejrzeć się po ulicy. Znajdująca się niedaleko dwójka funkcjonariuszy policji w połowych mundurach i seledynowych kamizelkach spoglądała w jego stronę z zainteresowaniem.

Znowu. Tym razem nie było mowy o pomyłce. Kanonada jak na strzelnicy.

– Mariusz...

Na razie incydent nie miał z nimi nic wspólnego, ale jak to mówią, lepiej dmuchać na zimne.

Odgłosy nasilały się, lecz brzmiały jakoś dziwnie, a na dodatek dochodziły już z przeciwnej strony.

Co jest, do ciężkiej cholery?

Obejrzał się w samą porę, by zobaczyć, jak jeden z policjantów pada na chodnik z szeroko rozrzuconymi ramionami. W pobliżu działo się coś wyjątkowo niedobrego.

Pistolet trzymał przed sobą, teraz należało go jeszcze w kogoś wymierzyć. Tylko w kogo?

Od strony skweru Mickiewicza biegł jakiś facet, ale Niteckiemu trudno się było zorientować, jakie ten człowiek ma zamiary.

Wyciągnął broń przed siebie i... umarł, gdy pocisk Parabellum dosięgnął jego czaszki. Zginął na posterunku. Nie on ostatni. Najgorsze miało dopiero nadejść.

Dla Cyrusa Parkera trafienie w głowę człowieka z dwudziestu metrów to żaden szczególny wyczyn. Starszy sierżant nie był w stanie zliczyć, ilu zabił ludzi. Zabijał już od piętnastu lat i nic nie wskazywało na to, że szybko z tym skończy. Wszystko dla państwa, które przestało istnieć. Dziwne, a jednak.

O trzy kroki za nim biegł Ortiz Castillo i Yvonne.

Gliniarz, który próbował ratować postrzelonego kolegę, na ich widok rzucił się do ucieczki. Nie zdążył przebiec nawet metra, gdy dostał kulę w plecy i zaraz drugą dla pewności.

Pozostał ostatni z borowców. Parker skoczył w bok, schodząc z linii strzału. Pocisk przeleciał nad jego głową. Amerykaninowi serce zamarło w piersi. Poważnie liczył się z tym, że kolejna kula dosięgnie celu.

Niepotrzebnie. Fisher, który zajął pozycję po przeciwnej stronie ulicy, położył strażnika ze szturmowego M4 z celownikiem optycznym. Dla tak doświadczonego żołnierza to żaden dystans. Co znaczy te kilkadziesiąt metrów wobec przestrzeni Afganistanu czy Iraku?

Parker ponownie zerwał się do biegu. Teren z tej strony został zabezpieczony. Nim zjawią się posiłki, oni będą w środku. I tak nie wszystko poszło zgodnie z planem, ta strzelanina na Nowym Świecie... Nie wiedział, o co chodzi, dowie się w swoim czasie.

Niedaleko zatrzymała się poobijana toyota, z której wysiadła grupa mająca ubezpieczać teren od strony Nowego Świata. Jeden operator krwawił z rozciętej ręki, drugi z rozbitej głowy. Innych strat Parker nie zauważył. Wszyscy pobiegli w stronę wejścia do pałacu.

W pobliżu momentalnie zrobiło się pusto, tylko księżę Pepi przyglądał się wydarzeniom beznamiętnym wzrokiem.

Pałac Prezydencki przy Krakowskim Przedmieściu 46/48 to największy pałac w Warszawie. Trzypiętrowy centralny budynek, ogród na tyłach i dwa piętrowe skrzydła, w których mieszczą się biura Kancelarii Prezydenta, Biura Ochrony Rządu i pomieszczenia gospodarcze. W kompleksie pracowało czterdzieści osób obsługi – kelnerów, kucharzy, sprzątaczek – oraz dwudziestu oficerów ochrony. Do niedawna było ich jedynie dziesięciu, ale podwojono tę liczbę, by lepiej strzec głowę państwa przed zagrożeniami.

Tuż za ogrodzeniem pałacowego ogrodu, od strony ulicy Karowej, pod numerem 10, znajdowało się Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie siedemdziesięciu urzędników zajmowało się zbieraniem i analizowaniem dla prezydenta informacji mających wpływ na stan bezpieczeństwa państwa. Na obecnym etapie nie należało się nimi przejmować. Potrafili tylko stukać w klawisze i przeglądać Internet. Nie posiadali żadnych umiejętności mogących wpłynąć na rezultat akcji. Co najwyżej, jak koniecznie chcą, mogą rzucić się do samobójczego ataku i polec z honorem.

Urywane odgłosy z broni automatycznej dochodziły jeszcze od strony ogrodu, gdzie nacierała druga grupa pod osobistym dowództwem Papy.

– Ty i ty. – Parker wskazał na tych, którzy przyjechali hiluxem. – Zostajecie. Wiecie, co robić.

Cała reszta przemknęła do bocznego skrzydła, niemal od razu natykając się na kolejnego agenta

ochrony. Mężczyzna z peemem w dłoniach przymierzał się do strzału. Zginął, bo wahał się o ułamek sekundy za długo. Mógł być świetnie wyszkolony, zabrakło mu jednak bojowego obycia. Każdy zawaha się przed zabiciem obcej osoby. Zadziały odruchy, lecz zabrakło woli. Nie wiedział, z kim ma do czynienia. Parker w tej rozgrywce był bezwzględny. Dla niego zabijanie było jak dla innych oddychanie. Strzałem w pierś i w głowę definitywnie zakończył sprawę, przeskoczył nad padającym ciałem i pobiegł dalej.

Korytarz prowadził prosto. Pod ścianą zatrzymała się kobieta z serwisem do kawy ustawionym na srebrnej tacy. Jej okrągłe ze zdumienia oczy wpatrywały się w Cyrusa z przerażeniem.

– Aaa... – Otworzyła usta.

Nie wiedział, czy chce o coś zapytać, czy to był wyraz przestachu. Nie jego sprawa. Może żyć, zostanie zakładniczką. I tak nie ucieknie, wyjście było pilnowane, chyba że wyskoczy oknem, jeśli starczy jej odwagi. Przebiegł obok, nie zwracając sobie głowy jej dylematami.

Dalej mieściły się biura, a to już gorzej. Zawsze znajdzie się jakiś wrywny gość, który będzie chciał pokazać, że się nie boi.

Właśnie otworzyły się drzwi i z gabinetu wyszedł urzędnik w okularach o grubych szklach na nosie uginający się pod ciężarem naręcza segregatorów. Zdaje się, że dotychczasowa palba na ulicy i w środku pałacu nie dotarła do niego.

– Państwo mogą tu przebywać? – zapytał, widząc uzbrojoną gromadę.

Yvonne, której obcasy przeszkadzały w bieganiu, zdzieliła okularnika ręką pistoletu w głowę. Ten osunął się na kolana, lecz nie stracił przytomności. Dokumenty rozsypały się po dywanie.

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie.

Zabawny gość – pomyślał Parker i jednym szarpnięciem postawił go na nogi.

– Ilu was jest?

– Kogo?

– W biurach?

– Ale jakich?

No nie, prawdziwy debil. Kogo oni tu zatrudniają?

– Na piętrze?

– Tylko ja.

– Nikt inny?

– Ja i moi pracownicy.

Cyrus z wielkim trudem powstrzymał się przed znokautowaniem faceta.

– Wygarniamy wszystkich.

Sprawdzali pomieszczenie po pomieszczeniu, toalety, schowki na szczotki i pomieszczenia socjalne. Parkera rozbawił młodzieniec za słuchawkami na uszach i z zamkniętymi oczami wybijający perkusyjny rytm na kserokopiarce. Gdy po mocniejszym szturchnięciu wrócił do rzeczywistości, bardzo się zdziwił.

– Ale o co chodzi? – Chłopak wybałuszył oczy.

Ze słuchawek dobiegał łoskot heavymetalowej kapeli. Zdaniem Cyrusa było to „Dream Evil”, ale mógł się mylić. Marzą ci się bohaterowie, wojna i śmierć, chłoptasiu? No problem.

– Wyłącz to gównno.

– Pan wie, kim ja jestem?

– Nie i gównno mnie to obchodzi.

Tłumek na korytarzu liczył już dziesięć osób. Wszyscy faceci pod krawatami, a kobiety w garsonkach zapiętych na ostatni guzik. Żadnej parki mizającej się na boku, w kiblu czy na kanapie stojącej na zapleczu? Ależ nudne towarzystwo. Sami porządniccy. Nie lubił takich. Pieprzeni hipokryci.

Zasłaniając się okularnikiem jak tarczą, poprowadził wszystkich w stronę głównego gmachu. Prawdziwa zdobycz przebywała właśnie tam. Papa już ich pewnie zgarnął.

Parkerowi w udziale przypadły płotki. Każdemu według zasług, każdemu według możliwości.

Policyjny Sokół W-3 zataczał powolne kręgi czterysta metrów ponad rondem Waszyngtona. Piloci obserwowali ruch wzdłuż alei Zielenieckiej i mostu Poniatowskiego. Zero problemów, żadnych korków. O tej porze wszyscy już dojechali do pracy. Dopiero w sezonie wakacyjnym godziny szczytu się wydłużają, ale to jeszcze dwa miesiące. Jedyne wypadek w ciągu ostatniej godziny miał miejsce na Paryskiej, gdzie kierujący sportową hondą motocyklista nie zachował należytej ostrożności i uderzył w tył autobusu linii numer 117. Karetka już zajęła się rannym, a drogówka dokonała oględzin miejsca wypadku.

Pod Stadionem Narodowym też nuda. Szły tam jakieś wycieczki i pojedynczy turyści. To wszystko. Do towarzyskiego meczu Polska–Niemcy zostały trzy tygodnie. Wtedy dopiero się zacznie. Z góry będzie co oglądać, a jak jeszcze dokopujemy złamasom, to ho, ho...

– 1212, zgłoś się. – W słuchawkach pilota zabrzmiał głos operatora.

Nie dadzą człowiekowi pomarzyć.

– Tu 1212, baza, słucham cię.

– Jest zgłoszenie z Alei Jerozolimskich.

– W którym miejscu? – Pilot Arkadiusz Wójcik ustawił maszynę bokiem, starając się zlokalizować miejsce domniemanej kolizji.

– Przy wjeździe w Nowy Świat.

Rondo Charles’a de Gaulle’a znajdowało się po drugiej stronie Wisły. Tramwajem siedem minut, śmigłowcem niecałe pół. Teraz, gdy wiedział już gdzie, wykonał zwrot i przyspieszył.

– Jest informacja o strzelaninie.

– Baza, możesz powtórzyć? – Wójcikowi ostrzeżenie nie mieściło się w głowie. Strzelanina w stolicy? Przecież to bez sensu. Warszawa to nie Bejrut, Damaszek czy Stambuł, nawet nie Paryż czy Bruksela. Tu nie działy się takie rzeczy. – Baza, mogę prosić o więcej szczegółów?

– 1212, poczekaj. – Operator zaczął z kimś gadać, lecz Wójcik nic z tego nie rozumiał.

Sokół śmignął ponad przyczółkami mostu, a pilot trochę obniżył lot. Na lewo widział bryłę Muzeum Wojska Polskiego, a za nią Muzeum Narodowego. Parę długich tramwajowych składów przetaczało się w obu kierunkach, ale rondo już zaczęło się korkować.

– 1212, zmiana planów.

– Co tym razem? – zapytał mało regulaminowo.

– Na Nowym Świecie trwa gonitwa samochodowa. Niewykluczone, że ma to coś wspólnego z tą strzelaniną, o której było wcześniej.

Najpierw strzelanina, potem gonitwa, wszystko jak w amerykańskim filmie. Tfu... żeby nie pomyślał tego w złą godzinę.

O jasny gwint, tam faktycznie ruch został zablokowany, a gapie gromadzili się przy jakimś SUV-ie. Zdaje się, że ze środka zaczęli kogoś wynosić. Nie wyglądało to dobrze. Służby miejskie nie zdążyły jeszcze zareagować. Do zdarzenia musiało dojść dosłownie przed chwilą.

Wójcik mocniej uchwycił drążek sterowy. Być może uda się namierzyć tych rajdowców, którzy pomknęli Nowym Światem.

Przy skrzyżowaniu ze Świętokrzyską kolejny wypadek. Ludzie, co się z wami dzieje? Na mózgi się wam rzuciło, czy jak? Zbiegowisko przy Pałacu Prezydenckim zupełnie mu się nie spodobało. Tam, gdzie zawsze ustawiała się kolejka chętnych do zwiedzania, teraz kłębił się tłum. Sporo ludzi zaglądało do jakiegoś pick-upa stojącego na chodniku.

– Baza, tu 1212... – Wójcik niczego więcej nie zdążył powiedzieć. Smuga białego dymu pojawiła się niespodziewanie z prawej strony. Nie służył w wojsku, tylko w policji, ale wiedział, że ten widok

zwiastuje nieszczęście. Zdążył wykonać ostry zwrot, gdy tuż obok silników eksplodowała głowica pocisku ziemia–powietrze. Odłamki ostre jak brzytwa cięły we wszystkich kierunkach. Parę z nich uszkodziło przewody paliwowe, co doprowadziło do natychmiastowego wybuchu wysokooktanowej benzyny.

Nawet wtedy Wójcik nie stracił nadziei, że uda mu się posadzić maszynę na skrawku wolnej przestrzeni.

Jedyny ratunek to wyłączenie silników i wprowadzenie Sokoła w kontrolowaną autorotację.

Helikopter zaczął wirować wokół własnej osi. Obroty stawały się coraz szybsze.

– Chryste...

Tablica przyrządów płonęła na czerwono. Włączyły się chyba wszystkie kontrolki. Pilot desperacko walczył o odzyskanie wpływu na spadający śmigłowiec, nic to jednak nie dało. Spadał w dół jak kamień i w końcu uderzył w ziemię niedaleko Muzeum Karykatury. Maszyna rozpadła się na setki części. Oderwany kawałek łopaty rotoru śmignął ponad chodnikiem i uderzył w kobietę spacerującą z wózkiem. Najbliżsi przechodnie zostali zbryzgani krwią. Niektórzy trafili do szpitala w stanie szoku.

Kłęby czarnego, tłustego dymu uniosły się ponad zabudowaniami. Miejsce katastrofy wyglądało jak z horroru. W końcu śmigłowiec roztrzaskał się w samym centrum miasta. Nikt nie był bezpieczny.

Informacja o wypadku rozniosła się lotem błyskawicy. Tylko nieliczni wiedzieli, co się stało naprawdę. Warszawa została zaatakowana. W jej długiej historii to nie pierwszy taki przypadek, jednak tym razem wróg ukrywał się w cieniu.

– Co już wiemy? – Banach przemierzał długimi krokami korytarze Centrum Zarządzania Kryzysowego, powoli gromadząc najbliższych współpracowników. Część jeszcze dojeżdżała, innych wyciągano z łóżek po nocnej służbie. Zanim wszyscy, których potrzebował, zjawią się i przystąpią do pracy, może upłynąć kolejne czterdzieści minut albo i dłużej. Na taką stratę czasu nie mógł sobie pozwolić, zatem musieli wystarczyć ci, którzy już znajdowali się na miejscu.

– Na chwilę obecną wiemy niewiele, wciąż gromadzimy informacje. – Oficer dyżurny zebrał raporty, a teraz próbował je przekształcić w jedną spójną wypowiedź. – Na pewno spotkanie rozpoczęło się o wyznaczonej godzinie. Oprócz prezydenta i premiera brali w nim udział minister obrony, spraw zagranicznych, finansów, gospodarki...

– A Jędryczko? – Banachowi chodziło o szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

– Nie dotarł, podobno chory.

– Wczoraj był zdrowy.

– Tego nie wiem. – Policjant w białej koszuli i czarnym krawacie wzruszył ramionami. Sprawdzanie samopoczucia ministra nie znajdowało się w zakresie jego obowiązków.

– Stasiu... – Banach zwrócił się do jednego ze swoich zastępców, który akurat podszedł.

– Tak, panie generale?

– Sprawdź, o co chodzi z tą chorobą.

– Jędryczki? Oczywiście.

– Tylko szybko, jesteś mi potrzebny.

Generał zwolnił, aby policjant ponownie zrównał z nim krok.

– Dobrze. I co dalej?

– Została odcięta łączność z kancelarią.

– Czyli co? – Generał zastanowił się głośno. – Grupa zamachowców wchodzi do Pałacu Prezydenckiego i bierze jako zakładników grupę najważniejszych osób w państwie. To się w głowie nie mieści.

– Skąd wiedzieli o naradzie?

– To dobre pytanie. – Umysł Banacha pracował na pełnych obrotach. Jeżeli coś przeoczą, będzie to tylko jego wina. – Obstawić cały teren w promieniu kilometra.

– Zakorkujemy miasto na amen.

– Racja, ale kwartał Krakowskie Przedmieście, Bednarska, Karowa i...

– Furmańska – pośpieszył z pomocą policjant.

– Tak, Furmańska. Musi zostać odcięty.

– Już się robi. Czy możemy liczyć na pomoc wojska?

To było ważne pytanie. Zaangażowanie jednostek podległych Ministerstwu Obrony Narodowej w podobnych sytuacjach regulowała specjalna ustawa, a prace nad nowelizacją trwały niemal od czasu jej wejścia w życie. Pewne sprawy nie zależały od niego, ale może uda się wykorzystać chociaż żandarmerię albo i oddziały garnizonu warszawskiego.

Żandarmeria, żandarmeria... Generałowi zaczęło coś się kołatać po głowie, lecz myśl była na razie na tyle niejasna, że uleciała w natłoku pilnych kwestii.

– Panie generale...

– Co tam, Stasiu? Dowiedziałeś się, co porabia minister Jędrzycki?

– Jeszcze nie.

– To na co czekasz?

– Właśnie przyszła informacja o marszałku Wojciechowskim.

Zapisane w konstytucji zasady sukcesji prezydenckiej w Polsce jasno wskazywały, że kiedy prezydent z różnych względów nie może sprawować swojego urzędu, jego obowiązki przejmuje marszałek Sejmu. Chodziło o zachowanie ciągłości władzy.

– Słucham. Mów, niczego nie pomijając.

– Znalaziono go martwego w domu. Zdaje się, że szykował się do śniadania.

– Chcesz powiedzieć... – Generał dziwił się własnemu spokojowi.

– Tak, panie generale: marszałek Wojciechowski nie żyje.

– Hmm...

Ci, którzy przetrzymywali prezydenta, ostrzelali jego samochód, wyeliminowali marszałka Sejmu i zestrzelili helikopter, na pewno nie zaliczali się do amatorów, a skoro tak, to należało oczekiwać kolejnych niemiłych niespodzianek. Z drugiej strony, paradoksalnie, mogło to jednocześnie trochę uprościć sprawę – skoro są profesjonalistami, to ich żądania będą realne. Pewnie uda się szybko dojść z nimi do porozumienia. Dogadają się jak zawodowiec z zawodowcem.

Atak był brutalny i skuteczny, co do tego nie było wątpliwości. Zginęli ci, co mieli zginąć, są też straty wśród cywilów, zgoda, ale to nieuniknione. W przypadku starć z mniej sprawną grupą ofiar byłoby kilkakrotnie więcej.

Zawodowcy nie zabijają prezydenta i pozostałych oficjeli bez wyraźnego powodu. Na pewno ich żądania będą miały charakter polityczny. Na początku pokazali, że się nie cofną przed niczym. Być może rozwalą jeszcze kogoś z ministrów, potem poddadzą władze presji czasu za pomocą ultimatum w rodzaju „macie trzy godziny na spełnienie postulatów, a jak nie, to zginie kolejny zakładnik”. Wtedy też można spodziewać się próby nawiązania bardziej bezpośredniego kontaktu. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. Działając powoli i rozważnie, na pewno uda się zażegnać kryzys.

Swoją drogą, nie przypominał sobie, by kiedyś już zaszło coś podobnego. Czy jakkolwiek prezydent bądź premier zostali zakładnikami? Chyba nie. Ci, owszem, bywali celem zamachowców i ginęli od kul, ale dotąd nie wpadli żywi w łapy takim wrednym typom.

Atak już nastąpił, pora na zmobilizowanie własnych sił. Już od paru minut w miejscu konfrontacji znajdowały się dziesiątki, o ile nie setki policjantów. Być może na terenie kraju należało wprowadzić stan wyjątkowy, tylko kto miałby to zrobić – prezydent i premier znajdowali się na razie poza procesem

decyzyjnym. Kto jest następny w kolejności? Marszałek Senatu Ryszard Bielawa. Miły facet, acz trochę upierdliwy.

Do jego ochrony Banach potrzebował kogoś bystrego i bezwzględnego, a przy tym nierzucającego się w oczy. Zdaje się, że znał taką osobę. Nie namyślał się wiele. Oby nie było za późno.

– Stasiu, łącz ze Szczepańską, mam dla niej robotę.

Całe życie mieszkał na Saskiej Kępie. Na starość nie będzie się wyprowadzał, bo i po co? Z przeprowadzkami są tylko kłopoty, a on ich nie szukał. Dom to oaza spokoju, a nie arena do okładania się pięściami. Co innego działalność polityczna, tam nie obowiązują żadne reguły.

Auć... Będzie musiał kupić nowe żyłki, bo te, którymi się golił, zrobiły się już całkiem tępe. Tak tępe jak jego polityczni oponenti. Ilekroć myślał o tych kmiotkach, od razu podnosiło mu się ciśnienie. Gdyby wszyscy ci, którzy brali go za miłego, wiecznie uśmiechniętego i trochę safandulowatego wujaszka, dowiedzieli się, jakie myśli krążą po głowie marszałka Senatu, na pewno przestałby pełnić tę zaszczytną funkcję już po paru minutach. On to całe nedorobione towarzystwo...

Dzwonek do drzwi przerwał tok myśli Bielawy. Zdaje się, że musi pójść i otworzyć, taki to już jego los, żona jeszcze spała, a ochrona BOR-u w samochodzie na dole nie ruszy tyłków.

Swoją drogą, co za kretyn śmie go nachodzić o tej porze?

Dziś był luźniejszy dzień, spotkania w podkomisjach, parę rozmów bardziej towarzyskich niż służbowych, potem mała wódeczka z wiceministrem rolnictwa, dawnym kumplem ze studiów.

Gong zabrzmiał ponownie.

– Idę, już idę. – Resztki piany wytarł kąpielowym ręcznikiem i ruszył w stronę korytarza.

Zatrzymał się na chwilę przed dużym lustrem. Gdzie się podział dawny Rysiek? Zdziadział, no, zdziadział... Wyłysiał i się roztył... Ale nie tak jak niektórzy koledzy. W dodatku chyba nikt nie będzie wymagał od siedemdziesięcioletniego dziadka robienia brzuszków na siłowni. Na cholerę mu takie idiotyzmy. Ważne, że wciąż nie musi w nocy wstawać do toalety, gdy wypije o jedno piwo za dużo. Nie jest źle.

Przejechał dłonią po rzednących włosach. Kiedyś to miał czuprynę! Jak był mały, fryzjerki mówiły, że im się nożyczki tępią na jego włosach. Chryste, co się z nim stało, gdzie się podziały te wszystkie lata?

Gong odezwał się po raz trzeci.

Teraz to już opierdoli delikwenta na maksa. Czy oni nie rozumieją, że marszałek nie będzie podskakiwał jak młoda kózka?!

– No i...

Ř propos kózek: ta mała mogła być jego wnuczką. Nie, nie, tylko nie wnuczką, już szybciej... No czym? Może asystentką, najlepiej osobistą, albo masażystką, ech... Powoli, Rysiu, powoli, zaczyna cię ponosić.

– Pani...

– Oliwia Szczepańska. – Dziewczyna machnęła mu przed oczami legitymacją służbową. Agencja Wywiadu? A co oni mają do niego?

– Czy mogę? – Chciał sięgnąć po legitymację i przyjrzeć się jej bliżej, ale blondyneczka okazała się szybsza.

– Nie.

– Droga pani...

– Kto jest jeszcze w domu oprócz pana?

– Nikt, to znaczy żona.

– Pozwoli pan, że sprawdzę.

Szczepańska nie czekała na zaproszenie i włądowała się do korytarza obok zdezorientowanego marszałka.

- Tak nie można.
- Proszę zamknąć drzwi.
- To już bezczelność.
- Rób, co mówię.

Słowa agentki zszokowały Bielawę. Nikt tak nie zwracał się do niego od lat. Kiedyś Kryśka, ale to było... Na widok Walthera P99 w jej dłoniach zdębiał zupełnie.

- Droga pani, ja wiele rozumiem...
- Wejź do kibla i przestań gadać.
- Ja już sobie porozmawiam z pani przełożonym.
- O niczym innym nie marzę.

Z wyciągniętym pistoletem Oliwia pobiegła przed siebie.

- Tam śpi moja żona.
- Postaram się jej nie zastrzelić.

Musiała sprawdzić, czy w mieszkaniu nie ukrył się zabójca. Borowców już wysłała, by obejrzelik okolice – ogródek, komórki na graty, garaż i podwórko. Nie cierpiała takich zadań, ale rozkazów należy słuchać, zwłaszcza tych wydanych przez Banacha. Ma chronić Bielawę i wykona zadanie, choćby miała zginąć.

Zajrzała wszędzie, gdzie się dało, nie wyłączając sypialni, tam w szerokim łóżu faktycznie wylegiwała się starsza kobieta. W okularach na nosie przeglądała jakieś kolorowe pismo. Może czekała, aż mąż zrobi jej śniadanie? Na widok Oliwii uniosła brwi, ale nie odezwała się ani słowem.

Szczepańska wycofała się na korytarz, gdzie czekał na nią Bielawa.

– Może się w końcu dowiem, co to za najście? Jak na razie żyjemy w demokratycznym państwie i takie incydenty nie powinny mieć miejsca.

– Niech pan włączy telewizor. – Zanim wytłumaczy temu dziadydze, o co chodzi, upłyną cenne minuty.

- Słucham?
- Z uszami też są problemy?
- Ale...
- Telewizor.

Bielawa posłusznie powędrował do salonu i uruchomił odbiornik. Na wszystkich kanałach zobaczyli to samo: dym nad Krakowskim Przedmieściem, formujący się kordon, rozbite samochody, wozy służb porządkowych ustawione w długie kolumny na centralnych ulicach Warszawy, para dyżurnych F-16 zataczająca kręgi nad miastem, Humvee stołecznego garnizonu.

- Jezus Maria... – jęknął wstrząśnięty marszałek.
- Zgadzam się całkowicie.
- Wybuchła wojna?
- Można tak powiedzieć.

Bielawa opadł na fotel, wciąż chłonąc przekaz. Dobrze, że właśnie szło podsumowanie wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory.

- Nie może być – jęknął i broda zaczęła mu drżeć.
- A jednak.
- Wojciechowski też?

Pogłoski o śmierci marszałka Sejmu właśnie przedostały się do mediów. Niedługo pod domem Bielawy pojawią się ekipy ze wszystkich stacji telewizyjnych i radiowych. Czas naglił.

- Czyli co?

– Na pana barkach spoczywa teraz zaszczyt reprezentowania państwa – odrzekła cierpko Szczepańska.

Już kiedyś Bielawa – całkiem teoretycznie – rozważał pomysł zostania prezydentem. Ubawił się wtedy setnie, nawet popłakał ze śmiechu. Teraz, gdy te fantazje stały się rzeczywistością, nie widział w tym nic zabawnego.

– Niech się pan w końcu ubierze.

No tak, w podkoszulku na ramiączkach, sztuczkowych spodniach i kapciach nie uosabiał majestatu Rzeczypospolitej.

– Tylko szybko.

Z szafy wyjął najlepszy czarny garnitur, białą koszulę i wyglansowane buty.

– Który krawat?

– Ten. – Oliwia wskazała na granatowy bardziej na odczepnego niż dlatego, że jej się podobał. – Pańską żonę...

– Krysię.

– Odwiożą panowie z BOR-u.

– A dokąd?

– W bezpieczne miejsce. Tam poczeka, aż minie niebezpieczeństwo.

– Oczywiście. A ja? – Bielawa próbował zawiązać krawat, klnąc pod nosem. – Jak ja wyjdę na ulicę? Przecież... Właściwie to dokąd jedziemy i czy ktoś nie powinien w tej sprawie do mnie zadzwonić?

– Niby kto?

– Bo ja wiem...

– Generał Banach spotka się z panem, jak tylko znajdzie wolną chwilę.

– Co ja mam robić do tego czasu?

– Trochę zająć się znajdzie.

– Dostanę kogoś do pomocy?

Szczepańska nie wytrzymała i podeszła bliżej.

– Proszę mi to pokazać. – Jej długie szczupłe palce błyskawicznie uformowały kształtny węzeł pod szyją marszałka. Dla porządku strzepnęła jeszcze pyłek z kłapy garnituru. – Idziemy.

– Dobrze. – Bielawa poddał się bez zastrzeżeń.

– Na ulicy mam samochód. Wsiadamy i jedziemy. Wszystko jasne?

Odpowiedź jej nie interesowała. Ruszyła przed siebie. Korytarz pusty. Uchyliła drzwi, odczekała na umówiony gwizd – agenci ochrony już tam byli. Klatka schodowa czysta. Jeszcze parę metrów do samochodu – niby niewiele, ale wszystko mogło się zdarzyć.

Wbrew wcześniejszym zaleceniom Bielawa wpakował się nie na tylną kanapę, lecz na fotel obok kierowcy.

– Co pan wyrabia? Co ja powiedziałam?

– Proszę mi wybaczyć, tu mi będzie wygodnie.

– O tym, gdzie będzie panu wygodnie, to ja decyduję.

– Mam się przesiąść?

Borowcy wciąż stali obok, zezując we wszystkich kierunkach.

– Nie trzeba.

– Dziękuję.

Te pierwsze słowa wdzięczności z jego ust mocno ją zaskoczyły. Spodziewała się narzekań i uszczypliwości.

Ostatni raz rozejrzała się po ulicy. To, że nie dostrzegła niczego podejrzanego, o niczym jeszcze nie świadczyło. Profesjonaliści nie popełniają podręcznikowych błędów. Nie należało wykluczyć, że czaili

się gdzieś w pobliżu, a gdy już przystąpią do działania, będzie za późno na reakcję.

Wybrała sobie wyjątkowo parszywy zawód. Źle jej było w ABW? Koniecznie musiała przejść do wywiadu? W pewnym życiowym momencie wydawało się, że to będzie idealne rozwiązanie, nowe cele, nowe wyzwania. Kilka jej koleżanek już założyło rodziny, inne bawiły się do upadłego, a ona co? Nianczyła starego dziada, mogąc w każdej chwili zginąć.

Siedemdziesiąt metrów dalej w zaparkowanej przy krawężniku furgonetce nie panowała aż tak wybuchowa atmosfera jak w aucie Szczepańskiej. Siedzący w środku nie widzieli powodu, by dawać upust emocjom – to w niczym nie mogło pomóc. Spóźnili się. Można to było uznać za karygodne zaniedbanie, ale nie wszystko da się załatwić od ręki.

Plan był taki, by zaraz po odstrzeleniu Wojciechowskiego zabrać się za Bielawę. Problem w tym, że cele znajdowały się na dwóch przeciwległych krańcach miasta. Do eliminacji marszałka Senatu należało użyć innej ekipy, stąd kłopot. Było ich po prostu za mało. Zresztą Wojciechowski i Bielawa to cele drugorzędne, właściwie odciągające uwagę służb od tego, co naprawdę istotne.

Mężczyzna i kobieta, oboje w średnim wieku, nie pierwszy raz stawali przed dylematem, co ważniejsze – wynik operacji czy własne bezpieczeństwo. Współpracowali przy kilku tego typu akcjach, jak do tej pory zawsze z pozytywnymi wynikami. Teheran, Dubaj, Kalkuta – różne miasta, cel w zasadzie ten sam: zapewnienie bezpieczeństwa. Właśnie tak, w dość nieoczywisty sposób, pracowali na rzecz bezpieczeństwa państwa.

Warszawa była im obojętna. Ot, metropolia, jakich wiele, ani lepsza, ani gorsza niż inne. Jeśli zaś już wartościować, to lepsza niż Moskwa czy Marrakesz, a gorsza od Zurychu lub Wiednia, choć ostatnio nie było to już takie oczywiste.

– Zawiadom Ripleya.

Kobieta kiwnęła głową. Jej też zależało na efektach.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Bielawa będzie gryzł piach, i to już niedługo.

– Panie generale...

– Co tam, Stasiu?

– Właśnie trwa ewakuacja marszałka Senatu.

– Doskonale. – Banach nieznacznie się uśmiechnął. Z tej Szczepańskiej to wspaniała dziewczyna i całkiem dobra agentka.

Zduślił w sobie lekkie wyrzuty sumienia, że posłał ją samą na Saską Kępę. Powinna tam się zjawić cała drużyna komandosów z helikopterem, ale nie miał skąd jej nagle wziąć i, prawdę powiedziawszy, nie chciał robić dodatkowego zamieszania. To, które już panowało, było olbrzymie. Kiedy przybędzie Bielawa, wszystko nabierze konstytucyjnego charakteru, bo jak na razie Banach wydawał polecenia będące tak naprawdę w gestii zwierzchników pozostałych służb. Jasne jednak było, że działań nie będzie koordynował minister edukacji narodowej czy infrastruktury.

Co martwiło generała, to dołączenie stolicy Polski do grona najniebezpieczniejszych miejsc na ziemi. Na rozciągającym się przed nim rzędzie ekranów widział obrazy z różnych miejsc Warszawy, tylko na jednym podawano informacje o tym, co dzieje się na świecie, a działo się nie najlepiej. W Tokio szalał jakiś pożar. Widać było potężny wysokościowiec spowity dymem i płomieniami. Na Kaukazie siły azerskie przeszły do ofensywy na całej linii frontu w Górskim Karabachu. Ankarą twardo stała przy swoim sojuszniku, zaś Moskwa przy swoim. Nawet nie chciał myśleć, co może z tego wyniknąć.

Niedaleko Szarm el-Szejk płonęła egipska korweta trafiona przez rakietę powietrze–woda wystrzeloną przez niezidentyfikowany samolot. Według niepotwierdzonych informacji maszyna należała do sił zbrojnych Jemenu, ale mógł ją pilotować najemnik specjalnie wynajęty do tej operacji. Miała być to zemsta szytów za wspieranie przez Kair Arabii Saudyjskiej w jej walce z rebeliantami z plemienia Huti. Okręt prawdopodobnie nie utrzyma się na wodzie.

A co w Europie? Warszawa była numerem jeden w newsach, ale tuż za nią plasował się zamach bombowy w Turcji i wykolejony pociąg pod Marsylią.

Dobra, ma ważniejsze sprawy.

– Jest obraz.

– Dawaj na główny.

Transmisja w czasie rzeczywistym ze zwiadowczego drona krążącego nad wydzielonym obszarem stolicy robiła wrażenie. Dawało się dostrzec najmniejszy szczegół.

– Doskonale.

Najważniejsze było jednak to, czego nie sposób zobaczyć, na przykład źródła ciepła czy fal elektromagnetycznych emitowanych przez każde urządzenie, co pozwalało przechwytywać rozmowy, jak też określić liczbę osób znajdujących się w środku budynków. Aparatura Manty pozwalała również na zakłócanie sygnałów radiowych. Katastrofa kolejnego śmigłowca już nie powinna się zdarzyć. Teraz należało zebrać jak najwięcej danych o tych sukinsynach.

Banacha zaczął niepokoić brak postulatów ze strony zamachowców. Upłynęło już dostatecznie dużo czasu, by wykonali kolejny ruch, o co więc chodzi? Ciała zabitych zostały już zabrane sprzed pałacu, podobnie jak ta nieszczęsna toyota. Na razie udało się ustalić tylko tyle, że ukradziono ją w Wilanowie wczoraj wieczorem. W środku auta co prawda znaleziono ślady krwi, lecz badania DNA nie wykazały niczego istotnego na razie. Pocisk, który zestrzelił Sokoła, to Stinger. Wszędzie takich pełno. Na czarnym rynku chodziły po pięćdziesiąt tysięcy euro. Polska armia posiadała ich od groma, Gromów zresztą też nie brakowało.

– Stasiu...

– Tak, panie generale?

– Na trzynastą zwołamy posiedzenie rządu i naradę sztabu kryzysowego. Pan Bielawa po naradzie wygłosi oświadczenie dla mediów.

– Czy przewidujemy nadzwyczajne posiedzenie Sejmu?

– W żadnym wypadku.

– Paru posłów już obraduje. Próbuje zebrać kworum.

– Wyślij tam do ochrony dodatkową kompanię i kursantów z Legionowa.

– Tak jest.

– Przedstawiciele narodu należy chronić w szczególny sposób – mruknął generał pod nosem, lecz na tyle głośno, by zostać usłyszanym.

– Chyba przed nimi samymi.

– Ty mi się tu, Stasiu, nie wymądrzaj.

Banach poczuł się znużony. Organizm, do tej pory napędzany przez kawę i adrenalinę, zaczął domagać się odpoczynku. Jeżeli chce w dobrej formie dotrzeć do końca kryzysu, musi się oszczędzać. Najważniejsze to się nie denerwować.

Usiadł na krześle i zaczął ponownie analizować całą sytuację.

Działali zgodnie z procedurami – to znaczne ułatwienie, tylko że te instrukcje napisali ludzie kierujący się swoimi wyobrażeniami. Stało się to, więc zrób tamto. Wzięto zakładników – zabezpiecz teren, przygotuj negocjatora, działaj rozważnie, nie poddawaj się emocjom. Wszystko to było potrzebne, ale co się stanie, gdy terroryści wyciągną prezydenta przed kamerę i na oczach widzów dokonają egzekucji?

Łatwo powiedzieć – zachowaj spokój.

Od samego początku prześladowało Banacha przeświadczenie, że o czymś zapomniał, nie potrafił uchwycić jakiegoś istotnego szczegółu, a zamachowcy igrają z nim jak kot z myszką.

Niby ma do pomocy wszystko, czego potrzebuje, ale to przeciwnik narzuca warunki.

Powoli. Jedyne, co tu nie pasowało, to skala przedsięwzięcia. Po co atakować prezydenta razem z premierem? Skok na kasę? No dobra, dostaną ją, dużo, ale co zrobią z tą forszą i gdzie ukryją? Odpowiedź zdała mu się zrazu absurdalna – oni wcale nie chcieli uciekać.

Moment... Jeżeli im nie chodzi o pieniądze ani politykę, to o co?

– Panie generale.

– Mam nadzieję, że tym razem masz dla mnie lepsze wiadomości.

– W przestrzeni powietrznej nad Warszawą... hmm... hmm...

– No wykrztuś wreszcie.

– Pojawił się NOL.

Banach się uśmiechnął.

– Pierdolisz, Stasiu.

NOL. Niezidentyfikowany Obiekt Latający, prościej UFO. Nad stolicą? Żarty sobie, kurwa, robią.

– Obawiam się, że nie.

– Od kogo wyszła ta informacja?

– Od kontrolerów ruchu powietrznego.

– Naszych?

– Naszych i z Okęcia.

Generał Emil Banach podrapał się po czubku głowy, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Możesz mi powiedzieć... albo nie, połącz mnie z centrum kontroli ruchu lotniczego, tylko szybko.

– Już się robi.

Mało mieli kłopotów, a oto pojawił się kolejny. Banach daleki był od jego bagatelizowania. Nie wierzył w przypadki. Skoro akurat teraz na radarach pojawiło się coś odbiegającego od normy, to na pewno będzie istotne dla dalszego przebiegu zdarzeń.

– Proszę.

Odebrał komórkę i przyłożył ją do ucha.

– Banach.

– ...amil Kar...

Generał z trudem słyszał rozmówcę.

– Halo, słyszy mnie pan?

– ...to obserw... ..ed ...adransa...

– Stasiu, wrzuć go na głośnik, bo oszaleję.

Nim zdążył przekazać aparat, ciąg ekranów zamigotał. Po chwili wszystko wróciło do normy, ale po kolejnych paru sekundach zakłócenia przybrały na sile. Większość osób obecnych w pomieszczeniu podniosła głowy, na ich twarzach malował się niepokój.

Na monitorach jeszcze dwa razy coś przeskoczyło i obraz wyłączył się definitywnie.

– Stasiu?

– Tak?

– Mam wrażenie, że ktoś bardzo, ale to bardzo się na nas uwziął.

– Ja też, panie generale.

Nim zdążyli przejechać, światła ponownie zmieniły kolor. Oliwia wcisnęła hamulec, zatrzymując

terenowe suzuki tuż przed zderzakiem poprzedzającego ich matiza.

– Ostro pani jeździ, pani Oliwio.

– Naprawdę?

Siedzący obok Bielawa drażnił ją niepomiernie. Spojrzała we wsteczne lusterko. Na razie czysto.

Rząd samochodów zwykłych obywateli wpływał na nią uspokajająco. Ludzie na chodnikach, jakieś grupki, być może komentujące ostatnie wydarzenia, ale to przecież Saska Kępa, tu życie biegło w trochę innym rytmie.

Knajpki wzdłuż Francuskiej przyciągały wzrok. Tu tajska, a tam hinduska. Może warto wybrać się na Saską Kępę w jakiś weekend, zjeść egzotyczne danie i pooddychać atmosferą spokojniejszej dzielnicy.

– Czy ja mogę mieć do pani prośbę?

– Nie.

– Proszę nie ranić mojego serca.

– Ani mi to w głowie.

– Pani mi przypomina pewną osobę, którą znałem dawno temu. – Marszałek rozgadał się na dobre. – To było w stanie wojennym. Pani wie, co to był stan wojenny?

– Gdzieś czytałam.

Jeżeli chce ją wyrwać na kombatantwo, to źle trafił. Poza tym stan wojenny to prehistoria, podobnie jak chrzest Polski i bitwa pod Grunwaldem. Podniecają się tym tylko pedzie i staruchy jak Bielawa.

– Ukrywałem się wtedy na Żąbkowskiej.

– Dość.

– Nie chce pani posłuchać? To materiał na książkę.

– Nie jestem pisarką.

– Faktycznie.

Głowa Oliwii obracała się w prawo i w lewo.

– Czego pani tak wypatruje?

– Niebezpieczeństwa.

– Mój Boże, nigdy nie sądziłem, że na starość czekają mnie takie emocje.

Zmiana sygnalizacji trwała podejrzanie długo. Wciąż czerwone i czerwone. Sięgnęła pod kurtkę i ujęła rękojeść Walthera.

W końcu się doczekali. Wrzuciła jedynekę i ruszyła powoli, wciąż wstrzymywana przez niebieskiego matiza. Autko przed nią w końcu wyrwało do przodu. Nie pozostało nic innego, jak pójść w jego ślady.

Właśnie wjeżdżała na środek skrzyżowania, gdy z prawej strony pojawił się pędzący na nich ciemny furgon. Instynktownie przyduśiła gaz, lecz zabrakło tego ułamka sekundy, który decyduje o wszystkim.

Uderzenie w okolicach tylnego mostu było tak potężne, że suzuki wykręciło piruet. Na szczęście mieli zapięte pasy, lecz i tak Oliwia przydzwoniła głową o słupek przy drzwiach. Zdezorientowana spróbowała wymacać guz. Bolało jak diabli.

Bielawa jęczał, lecz o jego samopoczucie zapyta później. Sięgnęła do klamki, żeby wydostać się na zewnątrz. Dopiero teraz zauważyła, że wciąż jest przypięta do fotela. Gdzie jest ten cholerny zatrzask? W furgonie otwierały się drzwi. Kto szybciej wyjdzie, ten przeżyje.

W końcu usłyszała ciche kliknięcie i wyzwoliła się z krępującej ją uprzęży. Wyskoczyła ze środka, zatoczyła się i niemal upadła na kolana. Dobrze, że oparła się o potrząskaną karoserię. To jej samochód? Przed chwilą suzuki wyglądało na nowe, teraz to wrak.

Starła się skupić spojrzenie na furgonetce, lecz nie szło jej najlepiej. Czuła wzbierającą falę mdłości. Spróbowała przełknąć ślinę. Niewiele pomogło.

Na rzyganie przyjdzie jeszcze pora, a teraz albo wzniesie się na szczyt swoich możliwości, albo będzie po niej. Czas przestał płynąć, ruch zamarł, była tylko ona i jej prześladowcy.

Jej oczom ukazała się szczupła kobieta, tak pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką, nawet całkiem

ładna, z krótkimi czarnymi włosami i owalną twarzą, tylko ubrana jakoś bez gustu – w workowate spodnie i sportową bluzę z kapturem. Za to pistolet maszynowy FN P90 był doskonale dobrany. Idealna broń do walki na krótkich dystansach. Używana przez służby specjalne na całym świecie.

Twarz tamtej wyglądała jak maska. Żadnych emocji, żadnych uczuć, czysta siła i wola.

Już ja cię załatwię, parszywa suko.

Po lewej pojawił się mężczyzna w okularach i czapce z daszkiem mocno nasuniętej na głowie.

Wspólnik kobiety dla odmiany posługiwał się pistoletem z tłumikiem. Po co ten tłumik, skoro i tak doprowadzili do karambolu, który usłyszała połowa dzielnicy?

Przydałoby się jej wsparcie, bo na razie była osamotniona. Jednak przez najbliższe kilkanaście sekund nikt jej raczej nie pomoże. Musiała sobie radzić sama. Jakoś to będzie. Sporo nauczyła się od Pulaskiego, który nie z takich kłopotów wychodził obronną ręką.

Zamiast wdawać się w natychmiastową wymianę ognia, przypadła do asfaltu i odtoczyła na bok, nie zważając na szklane odłamki walające się dookoła.

Byle tylko panika nie przeważała nad racjonalnym myśleniem. Spokój i jeszcze raz spokój. Wyrównanie oddechu przyszło jej z wielkim trudem. Dyszała przez zaciśnięte zęby, utrzymując przeciwników w polu widzenia. Pierwszy facet czy kobieta? Raczej ta zdzira. P90 był o wiele niebezpieczniejszy od pistoletu.

Wystrzeliły równocześnie. Seria z pistoletu maszynowego uderzyła tuż przed Oliwią. Rykoszet trafił w oponę suzuki, która pękła z głośnym hukiem.

Za nisko. Oliwii poszło lepiej.

Nie siliła się na celowanie w korpus czy głowę. Z miejsca, gdzie leżała, najlepiej widziała nogi.

Wystarczyło nakierować lufę i już. Z trzech pocisków trafiły dwa, jeden w kostkę, drugi w łydkę.

Do uszu Oliwii dobiegł głośny okrzyk bólu. Nikt długo nie postoi na przestrzelonej kostce. Zabójczyni nie różniła się pod tym względem od innych ludzi. Upadła, jak gdyby została podcięta przez gigantyczną kosę, i zwinęła się w cierpieniu. Na moment spojrzenia kobiet skrzyżowały się. Oliwię zaskoczyła nienawiść wyzierająca z oczu tamtej.

O co chodzi? Sama sobie jest winna.

Szczepańska przesunęła Walthera odrobinę w prawo i posłała kulkę prosto między oczy zabójczyni.

Mężczyzna, widząc, co się stało z partnerką, ruszył do kontrataku.

Najważniejsze to nie pozostawać długo w tym samym miejscu. Zmieniła pozycję, oparła się plecami o furgon. Facet dotarł do samochodu Oliwii. Bielawa wciąż się nie ruszał, a to przecież o niego chodziło.

Poderwała się, starając się nie stracić postaci mężczyzny na końcu linii celowania.

Walther podskoczył w jej dłoni. Chybiła, ale przynajmniej uratowała polityka od niechybnej śmierci.

Wystrzeliła do tej pory cztery razy. Pozostało jej osiem pocisków. Nie może ich zmarnować. Odbicie z prawej nogi, przewrót i pozycja. Była wciąż nieco oszołomiona, więc nie wszystko wyszło jak na szkoleniu. Trudno, nikt jej nie będzie wystawiał oceny. Przynajmniej udało się jej zaskoczyć prześladowcę. Kilka kul poszybowało w miejsce, gdzie stała przed chwilą. Teraz jej kolej. Zabijała nie pierwszy raz, a poza tym zamiast klasycznej amunicji 9 mm Parabellum używała .40 S&W o zwiększonej mocy obalającej. Tamten typ, nawet jeżeli ma na sobie kamizelkę kuloodporną, długo nie postoi.

Faktycznie, trafienie w okolice jamy brzusznej sprawiło, że się skulił. Oliwia wykorzystała ten moment, by strzelić do niego jeszcze raz. Mężczyzna upadł na zbryzgany krwią asfalt.

Wyprostowała się, wciąż celując w postać zamachowca. Bardzo nie chciała, żeby nagle ożył, poderwał się i wpakował w nią kulkę. Pamiętała takich zombi.

Podeszła bliżej i stopą odtrąciła pistolet. M9 znalazł się poza zasięgiem rąk postrzelonego. Kucnęła obok, by sprawdzić, w jakim jest stanie, ale gołym okiem było widać, że już po nim.

Wstała i podeszła do kobiety leżącej w kałuży krwi wokół głowy, jak w czerwonej aureoli.

Dopiero teraz odetchnęła głębiej.

Bielawa, co z Bielawą? Właściwie to on był najważniejszy.

Podskoczyła do suzuki ze strachem dławiącym gardło. Szarpnęła za klamkę. Marszałek wyglądał na martwego. Nie upilnowała go. Banach dostanie furii.

Chwyciła za głowę polityka i uniosła ją. Gdzie oberwał? Nie dostrzegła najmniejszej rany.

Oczy marszałka nagle się otworzyły, a płuca zaczerpnęły potężny haust powietrza.

– Pani Oliwio, gdyby to widziała moja żona.

– Pan żyje?

– Przepraszam, trochę kręci mi się w głowie. – Bielawa oddychał głęboko jeszcze przez chwilę, po czym zaczął rozglądać się dookoła z ciekawością. – Mieliśmy wypadek? Jak ci ludzie jeżdżą, to karygodne. Będę walczył o zaostrenie kar dla pijanych kierowców, proszę mi wierzyć.

– To nie wypadek, panie marszałku, tylko zamach na pańską osobę.

– Co takiego?

– Ci ludzie chcieli pana zlikwidować. – Agentka pomogła Bielawie wysiąść i rozprostować kości.

– Nic im nie zrobiłem.

– To nie o pana konkretnie chodzi, tylko o urząd, który pan sprawuje.

Marszałek stał w bezruchu, patrząc na dwa trupy, rozbryzgi krwi, okruchy tłuczonego szkła i łuski na jezdni.

– Proszę poczekać... – Szczepańska poszukała komórki. Należało jak najszybciej powiadomić Banacha o tym, co się wydarzyło. Niech przyśle ekipę i pogada z policją. Wybrała numer, lecz nie mogła uzyskać połączenia. Spróbowała ponownie, z tym samym skutkiem.

– Panie Bielawa, ma pan przy sobie telefon?

Marszałek przeszukał kieszenie garnituru i w końcu odnalazł stary model Nokii.

– Proszę.

Z wielką starannością wbiła odpowiedni numer i nacisnęła klawisz z zieloną słuchawką. Sygnał jakiś dziwny i odległy. Niby łączy, lecz bez efektu. Nigdy wcześniej z czymś podobnym się nie spotkała.

– I co?

– Sama nie wiem. – Oliwia zagryzła wargi do bólu.

Iść stąd czy zostać? Obie opcje miały swoje plusy i minusy. Wkrótce pojawi się ktoś kompetentny – straż albo karetka. Na pewno już gnali w tę stronę z włączonymi syrenami, tylko... niczego takiego nie słyszała.

Może schronić się w pobliskiej knajpcie i poczekać, aż sytuacja się wyjaśni? Bielawa miał telefon w innej sieci niż ona, więc to nie sprawa aparatu lub operatora. Może przynajmniej telefony stacjonarne działają.

– Panie Ryszardzie, zapraszam na kawę.

– Ooo... to miłe.

– Należy się nam chwila spokoju.

– Ma pani całkowitą rację.

– Na pewno nic pana nie boli? – zapytała dla świętego spokoju.

– Raczej... Chyba nie.

– Proszę momentik poczekać. – Ponownie wkroczyła na skrzyżowanie. Trupy niech sobie leżą, ale broń należało pozbierać. Ze swojego auta wyjęła reklamówkę i wrzuciła do środka M9, a potem peem, którym posługiwała się kobieta.

Usiądą niedaleko, żeby mieć na oku miejsce zdarzenia. Jak zjawią się mundurowi, pogada z nimi i zastanowi się, co dalej. Niech ją odwiozą, gdzie trzeba, i po sprawie.

Tak będzie najlepiej.

Cyrus Parker obserwował zdarzenie na komputerowym monitorze. Obraz, lekko zamglony, pochodził z ulicznego monitoringu. Brakowało fonii, ale od czego wyobraźnia.

Stojący obok niego Papa żuł gumę, metodycznie pracując szczękami. Gdyby nie ciskające gromy czyi pracująca zuchwa, można by go pomylić z posągiem.

Gdy padła Diana, Parker zadrżał. Jakaś siksa załatwiła ją z bliskiego dystansu. Ed radził sobie lepiej. Miał Bielawę prawie na widelcu, a na koniec spieprzył wszystko koncertowo. Ta akcja to całkowita porażka. Tak to jest, gdy się działa w pośpiechu.

Prezydent ich, premier ich, Wojciechowski już na tamtym świecie. Tylko marszałek Senatu pozostawał wciąż w dobrej kondycji i poza ich zasięgiem. Stary dziad, a narobił im tyle kłopotów.

– Co teraz, panie generale? – Parker zdecydował się zadać Papie...

– Daj mi chwilę pomyśleć.

Nie powinien wywierać na dowódcy presji, ale nie potrafił się powstrzymać. Jeżeli któryś z elementów planu nie wypali, całą operację szlag trafi, a oni zostaną banitami. Jeśli przeżyją. Należało improwizować. Wciąż mieli przewagę, ale ta malała wraz z każdą upływającą minutą. Wystarczyło popatrzeć na ulice w centrum, gdzie gromadziły się siły porządkowe. Atak na sieć telefoniczną i przejęcie sygnałów z ulicznych kamer mocno zaskoczyły władze, choć z doświadczenia wiedział, że wkrótce przeciwnik zacznie organizować zastępczą sieć łączności.

– Powiększ. – Papa pochylił się nad informatykiem, który zogniskował obraz na Bielawie i dziewczynie o długich blond włosach.

Parkerowi wydała się aniołem. Zabójczo pięknym aniołem. Para, nieświadoma tego, że jest obserwowana, podążała w stronę pobliskiego kawiarnianego ogródka. Kobieta jedną ręką podtrzymywała marszałka, a w drugiej ścisnęła reklamówkę z ciężką zawartością.

– Sprawdź, co na nią mamy.

Technik zatrzymał obraz, powiększając zdjęcie interesującej ich osoby. Następnie wszedł do bazy danych, a program zaczął przeszukiwać zawartość. Zdjęcie wystarczyło. Niczego innego nie potrzebowali. Sekundę później na ekranie pojawiło się całe dossier.

Parker cmoknął, na co generał zmroził go wzrokiem.

– Przepraszam.

Jak się okazało, to nie jakiś pierwszy lepszy wycieruch Banacha, tylko kryształ. Informacje o niej pochodziły ze źródeł nie tylko polskich, ale też ich własnych.

Najpierw Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a potem wywiad. Bujała się z jakimś Mattem Pulaskim z CIA. Parę ostrych akcji na koncie. Nic dziwnego, że Banach chciał ją mieć u siebie.

Szkoda, że nie udało się przydybać tego starego cwaniaka. Gdy nie zjawił się o wyznaczonej godzinie pod Pałacem Prezydenckim, nie bardzo było wiadomo, co robić. Z ekipą przechwytyjącą poradził sobie bez większych kłopotów. Zginęli tylko ochroniarze, on sam – jak się wydawało – wyszedł z zamachu bez szwanku. Rano powinien znajdować się przy jednym stole z pozostałymi zaproszonymi gośćmi, a nie szwendać po mieście. Był dość przebiegły, by narobić im sporego kłopotu. Po pierwszym niepowodzeniu przyszło kolejne z Bielawą.

– Gdzie Yvonne? – Głos generała był zimny i gniewny.

– Pilnuje żony prezydenta. Zdaje się, że ucinają sobie miłą pogawędkę.

– Zawołaj ją.

Parker wyszedł z pomieszczenia i skierował się po schodach na samą górę, gdzie mieściły się prezydenckie apartamenty.

– Szef ma do ciebie słowo.

Przed chwilą musiało tu dojść do awantury, bo wzrok obu kobiet był pociemniały od wściekłości.

– Coś mnie ominęło? – zagadnął.

– Nic.

Chyba nie doszło do rękoczynów? Przyjrzał się uważnie, wypatrując jakichś śladów scysji, jednakże nic nie rzuciło mu się w oczy. Obie twarde jak gład, obrażone i bez wątpienia uraźone w swoich uczuciach. Źadna o nic nie będzie prosić i pewnie prędzej się pozabijają, niż darują zniewagi.

– Pośpiesz się.

Yvonne wstała i energicznie stukając obcasami, wyszła z pokoju. Parkerowi nie pozostało nic innego, jak podążyć jej śladem.

– O co poszło?

– Nie twoja sprawa.

– Warto się tak szarpać?

– Nie lubię, jak mnie ktoś poucza.

– Ja ci tylko dobrze radzę.

Papa już nie wpatrywał się w monitor, tylko chodził po pomieszczeniu ze ściągniętymi brwiami. Jego buty wybijały równy rytm, zupełnie jak krok źołnierzy kompani honorowej.

Na widok Yvonne przystanął i wskazał jej zdjęcie na pulpicie.

– Greg ci powie, gdzie ją znaleźć. Ją i tego całego Bielawę. Załatw ich cicho. Masz nasze pełne wsparcie, rozpoznanie i łączność. Wszystko jasne?

– Tak.

– Jak na razie kordon nie jest dostatecznie szczelny, prześlizgniesz się bez problemów. W razie czego powiesz, że widziałas uzbroyonych ludzi i postanowiłas się ukryć. Zgrywaj idiotkę. Na pewno się nabiorą. Polacy lubią pomagać pięknym kobietom, mozesz ich testować do woli. Nie bierz ze sobą żadnej spluwy. Broń znajdziesz w schowku na Freta, ale to wiesz. Pytania?

Yvonne odrzuciła włosy do tyłu. Zrobiła to naturalnie, ale wystarczyło, by Cyrus pomyślał o zupełnie innych sprawach niż obecna akcja.

– Co później?

– Dowiesz się w swoim czasie. – Papa zdawał się czegoś nasłuchiwać, ale szybko wrócił na ziemię.

– Nie powiem ci, bo sam nie wiem. Wszystko zależy od sytuacji, jaką wypracujemy.

– Zrozumiałam.

– Mozesz iść. Mam nadzieję, że nie widzimy się po raz ostatni – dodał niespodziewanie dla samego siebie.

– Ależ, panie generale...

– Dobrze, już dobrze. – Papa machnął ręką i przeszedł do tworzonego właśnie centrum dowodzenia.

– Yvonne? – Parker odezwał się półgłosem.

– Co?

– Bądź ostrożna.

Podeszła bliżej. Już nie emanowała źłością, tylko czymś, czego nie potrafił dokładnie określić. Moze to była rezygnacja, a moze nadzieja?

Przejechała opuszką palca po jego policzku.

– Nic się nie martw, dam radę.

– Wiem. – Taką, jaka była teraz, lubił najbardziej.

Jeżeli Cyrus dał się nabrać na jej gierki, to znaczyło, że był głupi jak but. W końcu czego się można było spodziewać po kimś takim, przecież nie intelektualnej dysputy. W sumie miły chłopak, choć kretyn. Byle tylko nie zrobiła sobie z niego wroga.

Przyjaciół nie miała żadnych. Większość z nich straciła w przetrzebionym epidemią Nowym Jorku.

Choć byli to właściwie znajomi, trudno o przyjaciół, gdy ma się taką pracę. O siostrze mieszkającej w Baltimore nie wiedziała kompletnie nic. Wcześniej, co prawda, mało ze sobą rozmawiały, pochłonięte własnymi sprawami, ale bądź co bądź to siostra. Już nawet pogodziła się z myślą, że jej więcej nie zobaczy. Szansa, że siostra wydoszła się z kraju, była niewielka, ci zaś, którym przyszło żyć na gruzach dawnego supermocarstwa, mieli inne problemy na głowie niż szukanie kogoś za granicą.

Yvonne weszła do toalety i przyjrzała się sobie w kryształowym lustrze. Jak na trzydziestolatkę trzymała się wręcz doskonale. Faceci uważali, że ma z dziesięć lat mniej. Gdyby tylko wiedzieli, co kryje się pod urzekającą powierzchownością. To zupełnie jak z portretem Doriana Graya: na zewnątrz wieczna młodość, a w środku...

Dotknęła małego kształtowanego noska i powstrzymała buzującą w niej wściekłość. Co ją tak wyprowadziło z równowagi – mało pomyślny przebieg operacji czy rozmowa z prezydentową?

Temu babsztyłowi wydawało się, że rozszyfrowała Yvonne w minutę.

Jak ona mogła... Dziwka! Zwykła parszywa dziwka! Co ona wie o poświęceniu? Nikt na całym świecie nie poświęcił tyle co oni. A mąż tamtej wygrał wybory i to już uprawniało pierwszą damę do wygłaszania dzikich oszczerstw?

Yvonne nie spodziewała się, że dotknie ją to tak bardzo. Niczym nie zawiniła. Tak wyszło. Nie ma się czego wstydzić. Wypełnia rozkazy, jak przystało na żołnierza. Wojna cieni to jej żywioł. Załatwi Bielawę, potem wróci i ją... Papa nie musi o wszystkim wiedzieć. Parker jej pomoże. Udusi tę wredną sukę i nikt jej w tym nie przeszkodzi.

Pora się zbierać. Wkrótce może być za późno. Skinęła na czekającego w holu Cyrusa i razem przeszli na tyły rezydencji. Tu teren opadał stromo w kierunku Wisły. Zieleń dobrze chroniła przed ciekawskimi spojrzzeniami, ale czujne oko snajpera z pewnością ich wypatrzy.

Budynek Biura Bezpieczeństwa Narodowego na pewno został ewakuowany i teraz teren roi się od glin. Karowa odpadała, choć byłaby idealną drogą ewakuacji. Więc co? Z jednej hotel Bristol, z drugiej seminarium i kościół seminaryjny.

Dłużej się nie wahała. Poszli w lewo, tuż pod ścianą pałacu, skradając się jak złodzieje ciemną nocą.

Niecałą godzinę wcześniej przez furtę w murze przeszło kilkoro ich ludzi. Sprawa okazała się łatwiejsza, niż się spodziewali. Wystarczyło przebrać się w sutanny, założyć koloratki, a nikt o nic nie pytał. Sutanna jest jak mundur. Jeżeli ktoś ją nosi, widać ma uprawnienia.

Furta wciąż pozostawała uchylona. Bez najmniejszego problemu można było przejść na teren sąsiedniej posesji. Yvonne miała nadzieję, że tak będzie, ale mimo wszystko się zdziwiła. Nieobstawiony teren w takiej sytuacji? Aż dziw, że to dopiero pierwszy atak na Pałac Prezydencki. Mogliby wynieść całą rodzinę panującą i rząd zawinięty w dywanach i nikt by nie zauważył. Jak to państwo przetrwało tak długo?

Pierwszy do furty podszedł Parker i szerzej uchylił masywne skrzydło. Pusto i cicho.

– Dalej nie mogę iść.

– Wiem. – Yvonne musnęła ustami jego policzek i przeszła na drugą stronę.

Od tej pory była zdana wyłącznie na siebie, ale wiedziała, że jakoś sobie poradzi. Jej wzrok błędził po dachach i elewacjach klasycystycznych budynków seminarium. Z prawej strony fontanna, której kamienna biel wyraźnie odcinała się od ciemnej zieleni krzewów i drzew. Na wprost wejście do jednego z gmachów. Oby tylko pobożni klerycy nie zamknęli wejścia na klucz.

Wszystko grało. Yvonne poczuła chłód ciągnący od starych murów.

Teraz bez zbytecznego kombinowania znaleźć przejście na ulicę i po sprawie. Niepotrzebnie tak się denerwuje. Nigdzie żywego ducha.

– Co pani tu robi?

Zahaczyła noskiem pantofla o szczelinę pomiędzy płytkami i omal nie wyłożyła się jak długa. Ależ z niej kretyńka. Naiwnie myślała, że tu nikt niczego nie pilnuje.

– Najmocniej przepraszam.

Gdy się odwróciła, w kącikach oczu już błyszczały łzy, a usta były wygięte we wzruszającą podkówkę.

– Nic się pani nie stało?

Para mundurowych i wiekowy kościelny lub ktoś w tym rodzaju wychodzili zza zakrętu korytarza. Tych policjantów, jak się zdawało, ściągnięto z patrolu. Służbowe koszulki polo, pałki i broń przy pasie, obaj młodzi, najwyżej po dwadzieścia parę lat, na jej widok o mało nie posikali się z wrażenia, tylko ten fagas z kluczami przyglądał się nieufnie.

– W tych budynkach nie wolno przebywać osobom postronnym.

– Ja wiem, panie...

– Starszy sierżant Łukasz Adamski – przedstawił się jeden z policjantów.

– Panie Łukaszu, ja widziałam ludzi z... z tymi, no... pistoletami – trajkotała jak najęta.

– Gdzie? – Gliniarz chwycił za pistolet.

– Jak tędy szli. – Wskazała za siebie.

– Dawno?

– Bo ja wiem? Tak się przestraszyłam – chlipnęła, podeszła bliżej i chwyciła się męskiego ramienia.

– Jak pani się tutaj znalazła?

Cholerny inkwizytor nie chciał jej odpuścić.

– Idę ulicą do koleżanki i widzę bandytę. Naprawdę. Jak na mnie spojrział! W imię Ojca i Syna... O mało nie zemdlałam. – Zaczęła ciągnąć Adamskiego w stronę wyjścia, trzęsła się przy tym i pociągała nosem.

– Ma pan chusteczki?

– Nie. A ty, Tomek?

– Proszę.

Wyjęła od razu dwie i przyłożyła do twarzy.

– Na pewno stało się coś złego.

– Owszem.

– Ale to jeszcze nie tłumaczy pani obecności tutaj. – Kościelny wydawał się zirytowany.

Trzymajcie mnie, zaraz ukręcę łeb temu upierdliwcowi i będę miała święty spokój. Skąd się biorą takie typy?

– Możemy stąd iść?

– Jak najbardziej. – Adamski pozwolił sobie na objęcie rozhisteryzowanej kobiety ramieniem. W tych warunkach było to najrozsądniejsze.

– Słuchaj, Tomek, ja odprowadzę panią, a ty z księdzem Antonim dokończycie obchód.

Widać było wyraźnie, że koledze ten pomysł nie przypadł do gustu, ale co zrobić, on był tylko od wykonywania poleceń.

– Zaraz do was dołączę.

– Nie musisz się spieszyć. – Posterunkowy podciągnął pas do góry i zacisnął usta.

– Proszę uważać, ci ludzie gdzieś tu mogą się czaić – ostrzegła ich Yvonne.

– Na pewno nie są gorsi od tej bandy dresiarzy z Brzeskiej.

Adamski wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Od rana z Tomkiem szlifowali bruki nad Wisłą i dopiero wezwanie na Krakowskie Przedmieście przemieniło senne przedpołudnie w pełne emocji działanie.

Pierwsze zadanie – sprawdzenie pomieszczeń seminaryjnych – i od razu taka okazja. Będzie skończonym frajerem, jak nie weźmie od niej numeru telefonu. Takie dziewczyny widział do tej pory jedynie w reklamach. Normalnie to żadna nie chciała spojrzeć na kogoś takiego jak on. Może gdyby został komendantem głównym policji, to tak, ale na starszego sierżanta? Ci z drogówki mieli lepiej.

Kij im w oko.

– Przepraszam, jak pani ma na imię?

– Wiktoria.

– Ma pani dziwny akcent.

– Pracowałam jakiś czas w Londynie. Jak zaczęły się zwolnienia, wróciłam do domu.

– Rozumiem.

Pachniała obłądnie. Nie potrafił tego określić, ale kolana już miał miękkie. Była taką bezbronną, cudowną istotą. Usta stworzone do całowania, a reszta ciała wręcz boska.

Próbował się mitygować, bo czuł, że go bierze. Z coraz większym trudem przychodziło mu zachować nad sobą kontrolę.

Minęli kaplicę i niedługo znajdą się na ulicy. Musiał działać, i to szybko.

– Pani Wiktorio.

– Po prostu Wiktoria. Tak mi proszę mówić.

– Będzie pani... będziesz musiała pojechać na posterunek.

– Po co?

– Nic się nie martw, zadadzą parę pytań, sprawdzą.

Przystanąła.

– Spóźnię się do pracy.

– Dzisiaj wielu to czeka. Zrozumieją.

– Nie rozumiesz. – Yvonne załamała ręce i mocniej wtuliła się w jego masywną pierś. – Moja szefowa to jędra. Jeszcze mnie wywali, jak się dowie, gdzie byłam.

– Nie ma prawa.

– Nic jej to nie obchodzi.

– A gdzie pracujesz?

– W Klifie na Woli. – Jej ramiona objęły Adamskiego za szyję. Spojrzała mu głęboko w oczy. –

Możesz mnie wyplątać z tego przesłuchania?

– Tak nie można.

– Odwdzięczę ci się.

Jak pokaże Wiktorię rodzicom, ci zdębieją. Nigdy w niego nie wierzyli, a tu proszę, ha, do czego doszedł? Zostaną parą. Na pewno.

– Dobra, ale pod jednym warunkiem.

– Zgadzam się na wszystko.

W końcu przestała się mazać i uśmiechnęła się skromnie.

– Mam nadzieję, że to nie żart – powiedział oszołomiony jej perfumami.

– Daj spokój.

– Poczekaj tu na mnie.

Na zewnątrz już stał luźny kordon policyjny. Na razie sami stójkowi, wkrótce pojawią się oddziały prewencji. Adamski rozejrzał się. Jakoś sobie poradzi. Skinął na Wiktorię i wyszli na zalaną słońcem ulicę. Już się nie ściskali, to było miejsce publiczne. Paru kolegów przyjrzało mu się ze zdziwieniem, ale żaden nic nie powiedział.

Doszli do Bednarskiej, gdzie kręciło się więcej postronnych osób.

– Tu kończy się mój rewir.

– Jestem ci wdzięczna.

– Możesz mi pokazać swój dowód?

– Nie wierzysz mi?

– Oczywiście, że wierzę, jednak wolę się upewnić. Jestem policjantem – dodał, puszczając do niej oko. Nie z nim takie numery. Pomógł jej w potrzebie i wołał, by na tym jednym razie się nie skończyło.

Przyjrzał się kawałkowi plastiku. Stało tam jak byk – Wiktoria Stawska. Miejsca na adres w tych nowych dowodach oczywiście nie przewidziano.

– Tu masz mój numer.

Dostał wizytówkę. O, tak lepiej, i ulica, i lokal, pod nazwiskiem tytuł, jakiś tam manager, mniejsza z tym.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytała.

– Jak tylko skończy się ten cały bałagan.

– Jasne.

Dostał buziaka. Chciał więcej, choć w tych warunkach to i tak sporo.

– Muszę iść.

Patrzył długo, jak obłądnie piękna kroczy w stronę kościoła św. Anny. W końcu westchnął i zawrócił. Zapamięta ten dzień na długo, oj, na długo.

– Czy ja się w końcu dowiem, o co chodzi? – Banach założył ręce na piersi, wpatrując się w urzędników siedzących przed nim.

– Jeżeli mogę... – Jeden wyrwał się do odpowiedzi.

– Pan...

– Dariusz Cisłocki, reprezentuję magistrat Warszawy.

– Proszę. – Generał nie spodziewał się, by ten urzędas miał coś ciekawego do powiedzenia, ale prawo głosu przysługiwało każdemu. W dodatku był to jakby gospodarz.

– Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, w jakim kierunku to wszystko zmierza. – Cisłocki zastukał palcami w blat stołu. – O niczym nas się nie informuje. Ja się domyślam, że panowie nie o wszystkim mogą mówić, ale, na miłość boską, jakieś podstawowe informacje się nam należą. Apel pani prezydent miasta już chyba dotarł i tutaj. Ludzie, rozmawiajmy! Bez tego daleko nie zajdziemy. Nieobecność premiera nie może wpłynąć na funkcjonowanie całej administracji. Panowie, to są setki, co ja mówię setki, tysiące decyzji do podjęcia, inaczej cała ta układanka się rozsypie.

– Ma pan jakieś konkretne propozycje?

– Jakież?

– Jak przywrócić łączność czy też ruch powietrzny nad Warszawą?

– Nie.

– Szkoda. – Banach przejechał dłonią po czole. Mędzenie Cisłockiego wprawiało go jedynie w ciężką melancholię. – Jest tu ktoś z dowództwa wojsk powietrznych?

– Ja, panie generale. – Odezwał się człowiek w sportowej kurtce.

– Tak?

– Pułkownik Igor Łukasiewicz. Przepraszam za brak munduru.

– Szczegół. Proszę...

– Dwadzieścia pięć minut temu nad północnymi dzielnicami miasta udało nam się zaobserwować obiekt, który na pewno nie należy do nas. Ze wstępnych ustaleń wiemy, że to maszyna typu stealth, czyli niewidzialna dla radarów.

– O, to ciekawe, co pan mówi. – Szef wywiadu natychmiast się ożywił.

– Trzeba przyznać, że mieliśmy sporo szczęścia. Część z panów zapewne wie, że niedługo uruchamiamy nowy system obrony przeciwlotniczej kraju, i to taki, który pozwoli nas uchronić przed uderzeniem pocisków balistycznych, jak i manewrujących, o samolotach i śmigłowcach nie wspomnę. Na razie jesteśmy w trakcie testów, operatorzy szlifują umiejętności.

– Proszę dalej.

– Zanim wszystko zacznie działać, jak należy, przeprowadzamy próby. Ten dron po raz pierwszy został zaobserwowany już wczoraj wieczorem.

– Jest pan pewien, że to ten sam?

– Wszystko na to wskazuje. Sygnatury są identyczne.

– Co później?

– Zaczęliśmy kombinować. Telefon tu, telefon tam. Na Okęciu też coś błysnęło i zgasło. To w zasadzie mogły być dwa obiekty. Nasz wykryliśmy na dwunastu tysiącach metrów, a ten ich znajdował się na szesnastu. Szybko doszliśmy jednak do wniosku, że chodzi o to samo.

– Czyli co?

– Dron, raczej nowego typu, duży i niewidzialny.

– Dla radarów?

– Nie tylko, w podczerwieni i dla oczu również. – Łukasiewicz rozejrzał się niepewnie na boki. – Niewidzialność zapewnia mu pokrycie specjalną powłoką. Technologia jest znana od jakiegoś czasu.

Dobrze, że w powietrzu od dobrych paru miesięcy panował mały ruch. Podróżowanie było obarczone sporym ryzykiem. Na warszawskim lotnisku lądował jeden, czasem dwa samoloty na godzinę, dziesięć do piętnastu na dobę. Były spore szanse, że nie zderzą się z latającym aparatem, którego nie sygnalizowały radary i nie dawało się dostrzec gołym okiem.

– Czyli co, piloci naszych maszyn nie będą w stanie zlokalizować tego czegoś, o zestrzeleniu już nie wspomnę? – Banach znowu potarł czoło.

– Zgadza się.

– O jak dużym obiekcie mówimy?

– Rozpiętość skrzydeł może przekraczać czterdzieści metrów, wagę trudno oszacować, nie znamy konstrukcji... co najmniej tona, może kilka.

– Czyli nawet jak go namierzemy, to nie zestrzelimy, bo szczątki spadną na teren zabudowany?

– Zależy, gdzie będzie się wtedy znajdował.

– Czy ten dron może być uzbrojony?

– Tego nie możemy wykluczyć. – Łukasiewicz siedział wyprostowany jak struna. – Panie generale, proponuję zamknąć przestrzeń powietrzną nad Warszawą do odwołania. O wypadek łatwo, a my nie w pełni kontrolujemy niebo nad naszymi głowami.

– Dobrze, proszę tak zrobić.

– Proszę wybaczyć, ale tę decyzję może podjąć tylko Polska Agencja Żeglugi Powietrznej, a w czasie stanu wyjątkowego dowództwo wojsk powietrznych po konsultacji z zarządem ruchu powietrznego, tymczasem nie mamy nawet stanu... – zaprotestował Cisłocki.

– Widzi pan tu generała Rutkowskiego? – przerwał mu Banach.

– Nie.

– I chyba nieprędko go pan zobaczy. Otóż mamy stan wyjątkowo wyjątkowy. Przyjąłem pańskie wyjaśnienia do wiadomości i całą odpowiedzialność biorę na siebie. Jeżeli będziemy zwlekać, może dojść do kolejnego nieszczęścia, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

Zamachowcy bawili się z nimi w kotka i myszkę. Przewaga wciąż znajdowała się po stronie tamtych, co jeszcze nie znaczyło, że oni mogą sobie odpuścić. Wprost przeciwnie: należało stanąć do konfrontacji i zepchnąć przeciwnika do defensywy. Siedzenie na dupie i wpatrywanie się w żyrandol nic nie da.

– Co z łącznością?

– Na pewno jesteśmy podsłuchiwanie – odezwał się młody człowiek w rozpiętej koszuli, okularach w czarnych grubych oprawkach, z długą brodą i modną fryzurą. Reprezentował Narodowe Centrum Kryptologii, czyli specjalistów od szyfrów, dekryptażu i wojny w cyberprzestrzeni. Ale jak się nazywał? Banach już z nim współpracował i wiele mógł o nim powiedzieć, oprócz tego jednego szczegółu.

– Tu też?

Większość zgromadzonych poruszyła się zaniepokojona.

– Raczej nie.

– Raczej czy na pewno?

– Na pewno nie, panie generale. – Głos brodacza brzmiał poważnie.

– To skąd to „raczej”?

– Opieram się na naszej wiedzy, tymczasem przeciwnicy dysponują najnowszymi technologiami, nie tylko ten dron nas zaskoczył. Utraciliśmy obraz z ulicznych kamer oraz powstało zamieszanie w sieci telefonii komórkowej...

– Ładne mi zamieszanie – mruknął Cisłocki gniewnym tonem.

– ...łącność wojskowa też jest zagłuszana. – Brodacz zignorował urzędnika. – Z tego wynika, że niczego nie pozostawiono przypadkowi. Znają nasze słabe punkty, na pewno zaznajomili się z procedurami, uważam więc za bardzo prawdopodobne, że próbują nas rozgryźć. Nie tu, oczywiście, te pomieszczenia są sprawdzane regularnie i właściwie odizolowane od świata, ale na zewnątrz wszystko jest możliwe. „Wszystko” to właściwe słowo. Choć nieprecyzyjne, to dla panów wystarczające. Technika bardzo poszła do przodu.

– Właśnie się o tym przekonuję – westchnął Banach z rezygnacją. – Możemy temu przeciwdziałać?

– Próbujemy.

– Aha... Jak długo to potrwa?

– Trudno powiedzieć.

– Czyli?

– Proszę pozwolić nam pracować. Jak do czegoś dojdziemy, zgłosimy się sami.

– Proszę państwa, o czym my tutaj dyskutujemy? – Podinspektor Arkadiusz Misiewicz, zastępca dowódcy antyterrorystów z Wydziału Realizacyjnego Komendy Stołecznej Policji, od paru minut próbował powstrzymać się od wybuchu. Wprost dyszał żądzą mordy i wreszcie dorwał się do głosu. – Proszę pozwolić mi działać. My nie zawiedziemy.

– Co chce pan zrobić? – spytał Banach.

– Przygotować się do odbicia zakładników, to chyba jasne – odparł tamten wzburzony.

– Pan chce narazić prezydenta i premiera na niebezpieczeństwo?

– Nie sądzę, aby ci ludzie zdecydowali się na podjęcie aż tak radykalnych kroków.

– Nieuzasadniony optymizm. Ci ludzie dopiero co zestrzelili śmigłowiec i zabili kilkunastu funkcjonariuszy. To już są radykalne kroki – odezwał się brodaty beznamietnym, rzeczowym tonem.

Banach już nieraz boleśnie się przekonał, że facet nigdy nie zważa na pozycje, umocowania czy szarże adwersarzy. Mówi, co myśli, a myśli o faktach, jak cyborg. Miało to swoje zalety.

Misiewicz zapowietrzył się, więc szef Agencji Wywiadu wykorzystał moment.

– A co pan by proponował? – zapytał cyborga.

– Musimy dowiedzieć się, kim jest nasz przeciwnik, bo na razie błądzimy po omacku.

– Jak mamy to zrobić?

– Najprościej, jak można, tam jest przecież numer stacjonarny. Ten system działa.

– Myśli pan, że odbiorą?

– Trzeba spróbować.

– To muszą być Rosjanie – wypalił Misiewicz.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał Banach, błądzący już myślami gdzie indziej.

– A któżby inny. Chcą nam dokopać, po tym jak...

– Przepraszam za spóźnienie. – Dowodzący BOR-em pułkownik Ireneusz Pietrzyk dopiero teraz pojawił się na naradzie. – Panowie nie mają pojęcia, co się wyprawia na ulicach. Pod sklepami zaczęły ustawiać się kolejki, ludzie wykupują cukier i mąkę. Chodzą słuchy, że to początek nowej wojny.

– Nonsens – skrzywił się Cisłocki, spał się jednak przy tym tak, jakby sam chciał natychmiast ruszyć

na zakupy w najbliższym spożywczaku.

– Ja się z panem zgadzam, ale ludzie nie myślą racjonalnie. Jak sytuacja? – Pietrzyk zwrócił się do Banacha.

– Daliśmy ciała. – Generał treściwie podsumował obraz sytuacji. Na wdawanie się w szczegóły zabrakło mu nagle ochoty. Coraz bardziej bolała go głowa. – Jak tam sprawy pod pałacem?

– Prawie wszystko zorganizowane. Trwa ewakuacja. Gości z Bristolu i seminarzystów usunęliśmy w pierwszej kolejności. Teraz obstawiamy teren.

– Podinspektor Misiewicz twierdzi, że ataku dokonali Rosjanie.

– Bez sensu – oświadczył Pietrzyk.

– Ma pan jakieś informacje w tym zakresie?

– Za wszystkim stoi Berlin. Im od dawna nie podoba się nasza godna postawa. Niewolnik przestał być niewolnikiem i domaga się swoich praw.

– Tak, oczywiście.

– Pozbawiliśmy ich możliwości wpływania na politykę w regionie i poza nim też.

– To wciąż jest nasz największy partner handlowy – zwrócił uwagę brodaty.

– A co to ma do rzeczy?

– Chaos w Polsce nie leży w ich interesie – skwitował tamten.

– Co za brednie pan plecie! Jak niczego nie zrobimy, dojdzie do przedterminowych wyborów. Stawka jest wysoka – uniósł się Pietrzyk, lecz przedstawiciel NCK nawet na niego nie spojrział, wyraźnie uznawszy dyskusję za zbędną.

Z tej całej wymiany uwagę Banacha na dłużej przykuło określenie „stawka jest wysoka”. Rosjanie, Niemcy, Turcy – każdy wydawał się podejrzany. Ataku na taką skalę nie przygotowywano w kuchni czy przy ogrodowym grillu. Stara rzymska zasada: *cui bono?*, czyli „komu to miało przynieść korzyść?”, pasowała w zasadzie do każdego. Na słabości Polski skorzystają jej wszyscy wrogowie, i ci bliscy, i ci dalecy. Tak oto padał ostatni bastion bezpieczeństwa i porządku w Europie. Jeżeli szybko się czegoś nie wymyśli, dojdzie do najgorszego.

– Panie generale. – Brodacz z NCK, który chwilę wcześniej odszedł od stołu, pochylił się do ucha Banacha. – Pewnie będzie pan chciał przy tym być.

– A oni?

– Niech sobie pogadają.

Dyskusja, kto jest winny, nabierała rumieńców. Pojawiły się oskarżenia, że BOR ponownie nawalił. Pietrzyk ripostował, wskazując, że jego podwładni stali na posterunku do końca, za to policja ewidentnie nie sprostała zadaniu, a kontrwywiad istnieje tylko teoretycznie.

Banachowi nie chciało się tego słuchać. Wyszedł w ślad za anonimowym brodaczem. Jak on się nazywa, do cholery?

Aparat telefoniczny pochodził jeszcze z zeszłego wieku. Słuchawka została ułożona na zestawie głośnomówiącym. Wystarczyło wykręcić numer i poczekać, aż ktoś odbierze. Rozmowę przeprowadzi doświadczony negocjator. Tu najmniejszy błąd mógł kogoś kosztować życie.

– Wszyscy gotowi?

Paręnaście osób, które miały być świadkami, przytaknęło.

– No to jazda.

Oficer policji wykręcił numer na tarczy.

Usłyszeli pierwszy sygnał, później drugi i trzeci. Napięcie w pomieszczeniu rosło, niektórzy wstrzymali oddech. Czwarty sygnał. Wciąż nic. Piąty. Koniec przyszedł nieoczekiwanie. Zostali rozłączeni, ewidentnie rozłączni przez kogoś z drugiej strony linii.

– Teraz wiemy, że nie chcą z nami rozmawiać. Przynajmniej na razie – skonstatował brodacz. – Pewnie na coś czekają. Co pan na to, generale?

Mózg Emila Banacha wszedł na wyższe obroty. Należało do problemu podejść niekonwencjonalnie.

– Czy mogę?

– Oczywiście.

Wykręcił numer, nie przejmując się zatrwożonymi spojrzeniami zgromadzonych, którym pewnie wydawało się, że ponownie dzwoni do kancelarii prezydenta.

– Oskar? – odezwał się, gdy tylko po drugiej stronie usłyszał senne „halo”.

– Pan dyrektor jest na naradzie.

– To proszę go ściągnąć.

– A kim pan właściwie jest?

Banach się przedstawił. W końcu usiadł, gdyż cisza się przedłużała. Po dłuższej chwili usłyszał w słuchawce kroki i szuranie.

– Słucham. – Burkliwy głos Oskara Borzęckiego był jak balsam dla jego duszy.

– Mówi Emil.

– Żyjesz? Jak się czujesz?

– Dobrze. – Szybko zgasił zainteresowanie kumpla.

– Słyszałem o zamachu. Czy to prawda?

– Niestety tak.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Pewnie, że możesz. Niedługo pogadamy. Nigdzie się nie ruszaj, już do ciebie jadę.

Albo jej się wydawało, albo dziś na placu Zamkowym było więcej ludzi niż zwykle. Na pewno było więcej. Paru machało biało-czerwonymi flagami, ktoś przemawiał, a ktoś rozdawał ulotki.

Wolała do niczego się nie mieszać, choć stojąca w pobliżu policja zachowywała spokój.

Poszła skrajem gęstniejącego tłumu. Świętojańską sobie darowała, bo pełna, lepiej Kanonii – dalej, ale bez konieczności przeciskania się pomiędzy ludźmi.

Wciąż rozpamiętywała przygodę w seminarium. Ten osioł dał się nabrać na podrabiane dokumenty, chociaż właściwie trudno mu się dziwić. Jej dowód był falsyfikatem doskonałym, bo wykonany na odpowiednich maszynach i na odpowiednim materiale. Czyli właściwie był prawdziwy, tylko dane zostały sfałszowane.

Pośpiesznie kupiła butelkę wody. Już pierwszy łyk zimnego płynu sprawił jej ulgę. Zanim wypiła resztę, przyłożyła zimny plastik do czoła, oblizując językiem usta. Mimo wielkiej ochoty, by przysiąc gdzieś na chwilę, nie mogła sobie na to pozwolić. Wiedziała, że śledzą ją czujne oczy ulicznych kamer, a obraz szedł bezpośrednio do pałacu.

Wyminęła szkolną wycieczkę, zwartym szeregiem stojącą przed swoją wychowawczynią. Nie było śmiechów ani okrzyków. Kobieta tłumaczyła coś głośno zdenerwowanym głosem, na granicy hysterii. Następny na jej drodze był starzec wymachujący laską i złorzeczący tym wszystkim... Nie wszystkie słowa zrozumiała. Chyba winni byli politycy, nie... zaraz... Tu chodziło o tych, którzy panoszyli się w pałacu, czyli o towarzyszy z jej komanda. Dziadek odwrócił się i obrzucił niechętnym spojrzeniem Yvonne. Uśmiechnęła się, lecz odpowiedział pogardliwym prychnięciem. Skąd wiedział, że nie jest Polką?

Zaczynała popadać w paranoję. Szła dalej, najszybciej jak mogła. Przecięła Rynek Starego Miasta i znalazła się na Nowomiejskiej. Kawalek za Barbakanem już zaczynała się Freta.

Lokal, w którym miała odebrać broń, znajdował się na samym końcu tej ulicy. Patrzyła pod nogi, starając się jak najmniej rzucić w oczy. Uroda się przydaje, ale bywa też kłopotliwa. Każdy, dosłownie każdy zapamięta skończoną piękność. Gdy już będzie stara i gruba, na pewno nikt na nią nie spojrzy.

Widok konnego patrolu na ruchliwej ulicy zaskoczył ją. Zwolniła, spłoszona, zastanawiając się, gdzie się ukryć. Nienawidziła tego miasta coraz bardziej. Cały jej profesjonalizm szlag trafił. Wszystko przez tubylców. Nie potrafiła się zaaklimatyzować. Zawsze było coś nie tak, dyskusja wcześniej czy później schodziła na politykę bądź historię, o której ona nie miała zielonego pojęcia, a co gorsza, ci mitomani też niewielkie. Braki w wiedzy zastępowali zacierzeniem i pogardą do wszystkich inaczej myślących. Parę faktów sobie przyswoiła, ale to wszystko. Co ją obchodziły jakieś tam powstania, których tu było bez liku. Czy ci ludzie już rodzili się buntownikami? Przecież to chore. Władzy, jaka by nie była, należało sprzyjać. Tak ją nauczyli rodzice, gorliwi metodyści.

Sama nigdy nie była religijna, lecz od nich przejęła wyobrażenie o prawdziwej pobożności, realizującej się w skromnej codzienności wypełnionej osobistą, cichą modlitwą i życzliwością wobec bliźnich. Tymczasem bombastyczny i zabobonny katolicyzm Polaków w połączeniu z ich bezdenną hipokryzją odpychał ją jak mało co.

Jednak obecnie nie miało to żadnego znaczenia. W świecie, jaki się kształtował, wszystko sprowadzało się już tylko do jednego – przeżyć.

Im się udało, mogli czuć się wybrańcami, a reszta... no cóż... Potęga budowana przez dziesięciolecia została unicestwiona. Pozostały nędzne resztki. To, co było, już nie wróci. Zasnęła i budziła się z jedną myślą: jak to się mogło stać? Czego nie przewidzieli, kto ich tak nienawidził, że dopuścił się aż takiej zbrodni?

W Polsce usłyszała przysłowie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Jak się okazało, Amerykanie nie mieli przyjaciół. Wszyscy ich olali. Wyrazy współczucia nic nie znaczyły. W historii świata były już takie cywilizacje, które długo dominowały nad wszystkimi wrogami, a ślad po nich zagał. Wyszło na to, że podzielał los tamtych potęg.

Yvonne nie oglądała filmów dokumentalnych i reportaży starających się przybliżyć tamte wydarzenia. Rana była zbyt świeża, żeby w niej grzebać.

Patrol konny na szczęście nie zwrócił na nią uwagi, a ona już prawie dotarła do celu. Jednym z właścicieli miłego lokalu w pobliżu Rynku Nowego Miasta był ich człowiek. Facet nie miał drygu do wojaczki, więc wycofał się, gdy tylko nadarzyła się odpowiednia okazja. Dołożył forsę do upadającego biznesu i został restauratorem. Na kucharza wybrał człowieka, który wcześniej pichcił na USS „Anzio”, prawdziwego wirtuoza patelni. Nie zapomniał przy tym o swoich zobowiązaniach. Z czasem zaczął świadczyć drobne usługi dawnym współtowarzyszom broni. Nie tylko pośrednictwo pracy, ale i przechowywanie trefnych materiałów.

Jak już załatwi sprawę tutaj, będzie musiała dostać się na Saską Kępę. Najlepiej taksówką, albo i dwoma. Jedną dotrze na Dworzec Wileński, drugą pojedzie dalej. Pozostawało mieć nadzieję, że po drodze nic jej nie zatrzyma.

– Panowie, musimy to sobie powiedzieć otwarcie: Banach wcale nie jest mężem opatrnościowym, jak się niektórym wydaje. To cwaniak, zgoda, ale przy nieszczęściu, jakie nas dotknęło, jest jak kundel obszczekujący większego psa. Jemu się wydaje, że sam wszystko załatwi. Nie potrzebuje rady i tylko tupnie nogą, a terroryści rozbiegną się na cztery strony świata. To nie tak... – Palec Pietrzyka zakreślił w powietrzu przeczący łuk. – Nie tak, tu jest potrzebna twardość i stanowczość, bo sprawa jest naprawdę poważna, co do tego chyba nikt nie ma wątpliwości.

– W zupełności się z panem zgadzam. – Dariusz Cisłocki właśnie takiej postawy oczekiwał od dowodzącego Biurem Ochrony Rządu pułkownika. – A pan, panie Januszu, co o tym sądzi?

Inspektor Janusz Hańcza, dowódca policyjnych antyterrorystów, dyplomatycznie milczał. Wszedł w czasie próby dodzwonienia się do pałacu, wysłuchał relacji Misiewicza i odesłał go do sztabu

oddziału. Stał teraz, wielki jak szafa i równie rozmowny, choć wbrew obiegu opinii wcale niegłupi, i zastanawiał się, co Misiewicz zdążył nawywijać.

– Te jego działania zakrawają na kpinę. – Pietrzyk kontynuował tyradę. – Nic, dosłownie nic nie jest takie, jak być powinno. Straciłem co najmniej dziesięciu funkcjonariuszy, o kilku kolejnych nie mam żadnych wiadomości.

– Ile właściwie osób pilnowało pałacu? – zapytał Hańcza.

– Dwadzieścia, nie licząc policji, cztery przyjechały z premierem. Teraz ściągamy ludzi, skąd się da, ale to musi potrwać.

– Po co?

– Jak już odbijemy prezydenta i pozostałych...

– Pan sądzi, że do tego dojdzie?

– Jestem o tym głęboko przekonany.

– Przyznam szczerze, trochę się panu dziwię. – Hańcza jako jedyny z nich nie palił, dym go drażnił, wyszedł z nimi do palarni tylko dlatego, że Cisłocki go o to prosił. – Atak to wielce ryzykowny manewr. Wiem, o czym mówię. Ci w środku są bardzo sprawni i zdeterminowani.

– My też.

– To trochę co innego.

– Pańscy ludzie są przecież szkoleni do takich zadań.

– To jeszcze nie powód, żeby ich tracić w szturmie, który nie ma stuprocentowej szansy na powodzenie.

– Może taką sytuację należy wypracować?

– Panowie, panowie, to nie miejsce i pora na takie spory. Musimy się zastanowić, co robimy dalej. – Cisłocki próbował powstrzymać rozwijającą się sprzeczkę.

– Czekać – odparł Hańcza.

– A gdyby tak...

– Nie rozumiem.

– No wie pan, siedzenie z założonymi rękami w niczym nam nie pomoże.

– Ja odbieram polecenia od komendanta stołecznego. Bez jego zgody mogę co najwyżej porozstawiać stójkowych.

– Panie inspektorze, niech pan pomyśli racjonalnie. Siedzimy w gównie po uszy. Banach... – Cisłocki zapowietrzył się. – Banach, osoba odpowiedzialna wyłącznie za wywiad, przejmuje obowiązki takiego...

– Rutkowskiego – podpowiedział Pietrzyk.

– Właśnie, Rutkowskiego.

– Generał przebywa w Budapeszcie w związku z relokacją jednostek mających chronić południową flankę. Nie wiedział pan o tym? Hmm, no tak.

– Kiedy wróci?

– Już do nas leci. Będzie za jakieś dwie godziny, ale to niczego nie ułatwi.

– Chce pan powiedzieć, że Banach jest nie do ruszenia?

– Proszę pana, ja jestem policjantem, a nie żołnierzem. O stosunkach panujących w armii wypowiadać się nie będę, bo się na tym nie znam. Jeżeli znalazł się ktoś, kto bierze całą odpowiedzialność na siebie i wie, co robi, to chyba dobrze.

– I pan może mówić o tym tak spokojnie?

– To rozsądny człowiek. Poza tym w moje kompetencje się nie wtrąca.

Cisłocki powoli wypuścił powietrze z płuc.

– A jaka jest pańska opinia? – zwrócił się do Pietrzyka.

– Działać.

– Czyli co?

– Nawiązać kontakt, zgodzić się na żądania, później uderzyć, jak nadarzy się odpowiednia okazja.

Hańcza patrzył bez słowa, jak Pietrzyk walczy o stołek. Jasne było, że szef BOR-u trzęsie tyłkiem. Był skończony niezależnie od tego, czy jakiś sąd lub komisja stwierdzi zaniedbania. Pułkownikowi pilnie potrzebny był sukces równie wielki jak obecna katastrofa. Na razie próbował wyjść z twarzą i potrzebował każdego sojusznika, jaki się nawinął. Nawet takiej miernoty jak Cisłocki, który duszę zaprzeda diabłu, byle tylko własnej karierze nadać nowy rozpęd.

– Porozmawiam ze swoimi przełożonymi. – Cisłocki zatarł dłonie. – Myślę, że razem uda się nam wymyślić odpowiedni tryb postępowania.

– Dron – powiedział Pietrzyk.

– Słucham?

– Taki...

– Ja wiem, co to jest.

– Nie mówię o tym dużym, który podobno szybuje gdzieś tam ponad obłokami, ale o takim małym, który możemy wprowadzić do pałacu, co pozwoli zebrać nam odpowiednie informacje. Zyskamy w ten sposób przewagę nad Banachem, no i zdobędziemy realny wpływ na rozwój wypadków.

– Podoba mi się, naprawdę. – Cisłocki nie krył emocji. – Doskonały pomysł. Panie inspektorze, co pan o tym sądzi?

– Interesujące.

– Genialne. To jak, ja idę pogadać ze swoimi przełożonymi, a panowie przygotowują wszystko, co trzeba.

Emil Banach wsiadł do jednego z dwóch identycznych podstawionych Dzików Żandarmerii Wojskowej i dał znak do odjazdu. Tym razem z byle peemem mu nie podskoczą, acz i tak ryzyko było spore. Wyminęli naprędce ustawione zasieki i dwa Szakale stojące na wprost wejścia. Jeszcze na korytarzu Centrum Zarządzania Kryzysowego generał dowiedział się, że w budynku Sztabu Generalnego, siedziby Służb Wywiadu i Kontrwywiadu Wojskowego, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Komendy Głównej Policji praktycznie w tym samym czasie wjechały ciężarówki wypełnione materiałem wybuchowym. Straty są poważne, ofiar w ludziach mnóstwo, trwają akcje ratunkowe. Natomiast atak na siedzibę Żandarmerii Wojskowej nie udał się. Ciężarówka co prawda wbiła się w budynek, ale nie doszło do wybuchu. Specjaliści dopiero zaczęli oględziny wozu, jednak pewne jest, że w środku nie było kierowcy.

Droga do Instytutu Wysokich Technologii nie była długa, ale zawsze to trochę czasu do namysłu. Banach próbował skupić się na najważniejszym problemie, czyli odgadnięciu, kim są inspiratorzy i wykonawcy zamachu. Myśli jednak błądziły wokół innych, powiązanych spraw.

Brakowało mu partnerów w pozostałych organach bezpieczeństwa. Nie wszystkie stanowiska szefów były obsadzone. Przepychanki polityczne i ambicjonalne, zapewne podsycane dodatkowo przez obce siły, sprawiły, że w Kolegium do spraw Służb Specjalnych tylko on pochodził ze służb i miał doświadczenie. Po zamachach sprzed chwili w ogóle nie wiadomo, co zostało z innych agencji i wierchuszki wojskowo-policyjnej.

On co prawda nominalnie zajmował się wywiadem cywilnym, ale w tym szczególnym czasie granice pomiędzy szpiegostwem, inwigilacją i zabezpieczeniem kontrwywiadowczym były bardzo płynne i wciąż się zmieniały. W kartotekach wywiadu znajdowały się dane wielu polskich obywateli, którzy w ten czy inny sposób zetknęli się z pracą służb wywiadowczych bądź też zostali uznani przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego za niebezpiecznych ekstremistów. Inwigilacja kogoś, kto służył w oddziałach Państwa Islamskiego, to właściwie czyja domena? W kraju ABW, a za granicą? Wywiadu

cywilnego czy wojskowego? Takie sprawy to szczegół, prawdziwy problem to dziesiątki tysięcy Amerykanów, którzy zostali zaproszeni do Polski, oraz setki tysięcy tych, którzy przyjechali tu przeczekać najgorsze.

Kraj nad Wisłą po raz pierwszy w swojej historii przekroczył liczbę czterdziestu milionów mieszkańców, ale rdzennych Polaków bynajmniej nie przybyło. Polska bezsprzecznie stała się wielka, choć nie taka, o jakiej marzyli narodowcy. Trudno. Pomijając samych muzułmanów z Bałkanów i Bliskiego Wschodu, do Polski przyjeżdżali Niemcy, Skandynawowie, Ukraińcy i inni. Nowa ziemia obiecana pomiędzy Odrą a Bugiem, Bałtykiem a Tatrami... Do spółki z pozostałymi krajami Międzymorza była to potęga, której na pewno zdaniem niektórych należało się szybko pozbyć, i to wszelkimi sposobami.

Może jednak ten szczył Misiewicz ma rację z Rosjanami? Choć to samo dawało się powiedzieć o tezie Pietrzyka.

A jak to sprawka i Moskwy, i Berlina?

Zapis tego, co wydarzyło się pod Pałacem Prezydenckim, może by pomógł, ale niestety przepadł. Trudno się zresztą spodziewać, by napastnicy mieli wypisane imiona, nazwiska i logo sponsora na czole.

Opuszczając Centrum Zarządzania Kryzysowego, Banach czuł, że zaraz zaczną się spory personalne o dowodzenie i odpowiedzialność. Miał tylko nadzieję, że żaden idiota nie podejmie decyzji o szturmie pod jego nieobecność.

Sytuacja formalnie była skomplikowana. Brakowało prawnie umocowanych decydentów. Nie bardzo było wiadomo, kto żyje i jak się z nim skontaktować. A działać należy szybko, nie cofając się przed użyciem sił specjalnych na terenie kraju.

Regulowała to odpowiednia ustawa. Komandosi znaleźliby się wówczas pod rozkazami oficerów policji. Generałowi jako wojskowemu oczywiście wydawało się to bez sensu. Czy gliniarze myślą, że armia potrzebuje trzymania za rączkę, a byle pododdział AT jest lepszy od operatorów GROM-u? Licytowanie się, kto ma lepszych snajperów, w tych okolicznościach uznał za pozbawione sensu. Sukces zależy od współpracy.

Pytanie też, czy nie trzeba wyprowadzić regularnych oddziałów na ulice Warszawy? Specjalsów jest za mało, a policjanci są nieodpowiednio wyposażeni. Kto miałby o tym zadecydować? On sam? Konsekwencje mogą być poważne.

Jasna cholera, co z Bielawą?

Ten brak informacji drażnił Banacha najbardziej. Szczepańska dała sobie radę czy nie? Bez pomocy marszałka Senatu sprawy komplikowały się na maksa.

– Oskar, ty mi tu nie rób uników. – Banach rozsiadł się w fotelu. Jeżeli ktoś mógł mu pomóc, to tylko dyrektor Instytutu Wysokich Technologii.

– Człowieku, co ja mogę?

– Wszystko.

– Pancerne kombinezony dla grupy szturmowej? Mówisz i masz.

– Wiesz, co ci powiem? Dowcip ci się na starość stępił, bo pieprzysz już takie farmazony... Cholera, jakie kombinezony?

– Wiem, czego ci trzeba: specjalnego gazu do uspienia terrorystów.

– Idź, bo jak cię! – Generał zirytował się nie na żarty. – Mamy drona.

– O, to świetnie.

– Nie my w sensie my, tylko my w sensie oni.

– Czegoś tu nie rozumiem.

– Bo co chwila mi przerywasz – warknął Banach. – Mamy, tfu, oni mają drona, który krąży nad nami, nie wiemy tylko, gdzie jest, jak go zagłuszyć, dorwać i rozwalić, to znaczy zneutralizować.

– W końcu zaczęłeś mówić jak człowiek. – Borzęcki, którego analityczny umysł gubił się w domysłach, wreszcie znalazł punkt zaczepienia. – Mamy go... że tak powiem...

– Najpierw należy go znaleźć. Jest niewidzialny dla radarów, no i ma specjalną powłokę, która uniemożliwia dostrzeżenie przez urządzenia optyczne.

– Ciekawe.

– Tak, bardzo – bąknął Banach. – Jak tam czarna dziura? Przelazło coś przez nią?

– Lepiej mnie nie denerwuj.

– Może to wejście do piekła? Kurię trzeba powiadomić.

Po wypadku, jaki miał miejsce na terenie instytutu parę miesięcy wcześniej, Borzęcki zrobił się nad wyraz ostrożny, można powiedzieć, że wręcz bojaźliwy. Akcelerator cząstek, który został wówczas uruchomiony, sprawił wszystkim sporą niespodziankę. Skutki dawało się odczuć do tej pory, a miejsce, gdzie doszło do zdarzenia, uważano za przekłete. Wciąż pojawiały się tam anomalie, które nie znajdowały zadowalającego wyjaśnienia w znanych prawach fizyki. Rodziły się nowe teorie...

– Pomożesz?

– Mam znaleźć coś, czego znaleźć nie można.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– Zajmę się tym, ale nie tak od razu.

– Oskar, nie mamy czasu.

– Wiem. – Borzęcki w białym laboratoryjnym kitlu przypominał lekarza, a nie naukowca. – Działasz pod presją.

– Nie „działam”, a „działamy” – uściślił szef wywiadu.

Borzęcki nie odpowiedział. Banach pokładał w nim wielkie nadzieje. Kolega profesor, mimo swoich wielu wad, jako jeden z nielicznych nadążał za tempem zmian, ogarniając wszystko, co się wydarzyło w przeciągu ostatniego roku. Oprócz tego był godny najwyższego zaufania, w przeciwieństwie do wielu osób pełniących kierownicze funkcje w państwie i armii.

– Masz jakiś pomysł? – Generał miał już dosyć milczenia.

– Taki dron może krążyć na wysokości dwudziestu tysięcy metrów.

– Sporo.

– Nawet jak na samoloty.

– Na pewno emituje ślad termiczny, mocno rozproszony, ale jednak.

– O na pewno – zgodził się z nim Borzęcki. – Tylko w tych nowych jednostkach napędowych jest on tak nieznaczny, że czujniki mogą go nie uchwycić.

– To ja nie wiem, co robić. – Banach bezradnie rozłożył ręce.

– Na pewno się nie poddawać. Poproś siły powietrzne o wysłanie któregoś z AWACS-ów, mamy ich trochę, niech krąży nad Kutnem i Mińskiem Mazowieckim.

– Tyle możemy zrobić.

– O ile pamiętam, starsze typy rakiet i radarów działały w innym zakresie fal niż obecne. Chyba dzięki temu Serbowie mogli zestrzelić niewidzialnego F-117, który dla nich bynajmniej niewidzialny nie był. Może armia ściągnie taki złom?

– Podpowiem im.

– Pewnie sami już na to wpadli. Ja pomyślę, co dalej, dobrze?

– Skoro to wszystko, na co cię stać. – Generał wydawał się rozczarowany.

– Nie powiedziałem, że wszystko – oburzył się Borzęcki.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Sierżant Pablo Ortiz Castillo żuł gumę, jak zawsze gdy był zdenerwowany lub potrzebował się skoncentrować. Ruchy szczęki w jakiś sposób pozwalały Ortizowi Castillo zogniskować myśli na problemie. Tym razem jednak niewiele to dawało – wciąż był poirytowany i pełen najgorszych przeczuć.

– Cyrus, chodź tu natychmiast.

Parker przerwał rozmowę z Fisherem.

– O co chodzi?

– Chcą nas podejść, sukinsyny.

– Mianowicie?

– Za chwilę będziemy mieli tu drona zwiadowczego.

– Naprawdę?

Ortiz Castillo popatrzył wymownie na Parkera.

– Czy ja kiedyś żartowałem?

– Bo ja wiem... – Cyrus podrapał się po brodzie.

– Rozstawiłem sensory, są wszędzie. – Sierżant zakreślił ręką szerokie półkole. – Mają nas ostrzec przed niebezpieczeństwem.

– Kamery nam nie wystarczą?

– Przecież ich fachowcy od początku pracują nad tym, jak dobrać się nam do skóry. Posiedzieli, pomyśleli i oto efekt.

– Pięknie, i co dalej?

– Ktoś tam wymyślił, że wyślą elektronicznego szpiega. – Na monitorach ustawionych przed Pablem widać było kilkanaście okien z wykresami, sinusoidami i falującymi słupkami, zupełnie jak w studiu nagrań.

– Dron jest jeden czy od razu posłali kilka?

– Wykryłem jeden. Mały, bardzo mały, właściwie maciupki. Prowadzą go przez szyb wentylacyjny. Zaraz ci go pokażę. – Sierżant włączył podgląd.

Parker zmrużył oczy. Po metalowej ścianie kroczył mechaniczny owad. Robił to powoli, z dostojeństwem, którego brakuje żywym organizmom.

– To on?

– A co myślałeś?

– Pogadam z Papą.

– Ja nigdzie się nie wybieram.

– To dobrze, będziesz nam potrzebny.

– Co tak wolno? – niecierpliwił się Ciskołcki.

– Szybciej się nie da. – Operator nieznacznymi ruchami manipulatora prowadził mechanicznego zwiadowcę w głąb mrocznego tunelu.

– Jak się pan postara, na pewno efekt będzie lepszy.

– Proszę mnie nie pouczać, nie robię tego pierwszy raz.

– A właśnie tak to wygląda.

– Jeżeli się nie podoba...

– Panie Dariuszu, pan pozwoli nam pracować. – Pietrzyk włączył się do dyskusji. – To precyzyjne urządzenie, błędy mogą nas sporo kosztować.

– Nic przecież nie mówię.

Zapadła chwila milczenia, podczas której zgromadzeni przy stanowisku policjanci i urzędnik wbijali wzrok w monitor.

- Zdaje się, że coś mam. – Operator poruszył się na krześle.
- Gdzie? – Hańcza pochylił się, próbując dostrzec, o czym mowa.
- To tutaj. – Cursor wskazał plamę w lewym dolnym rogu ekranu.
- Można bliżej?
- Spróbuję.
- Co to może być?

Cylindryczny przedmiot wielkości naparstka z czerwonym okiem diody mógł się kojarzyć z klasycznymi filmami SF.

- Czujnik – odpowiedział operator drona po chwili zastanowienia.
- Nasz? – zapytał Cisłocki z nadzieją.
- Raczej nie.
- Co teraz?

Nie znalazł się nikt chętny do udzielenia odpowiedzi.

- Już wiedzą o naszej obecności – podsumował Hańcza.

– Może to nic takiego?

- Chce pan dalej ryzykować? Zabezpieczyli się na wszystkie strony. To już nie jest zabawne.

– Pan pozwoli, ale to ja będę podejmował decyzje. – Cisłocki obciągnął marynarkę na wydatnym brzuchu.

- Domyślam się, że chce pan kontynuować to szaleństwo.

– Dotarliśmy już tak daleko. Czy jest sens wycofywać się właśnie w tym momencie?

– Igra pan z życiem zakładników.

– To jedynie pańska opinia. – Urzędnik stołecznego magistratu podniósł głos. – Nikt z nas nie ma pojęcia, co to takiego jest. Mam rację? Słyszałem, że to czujnik, ale jaki? Do czego służy? Może mierzy temperaturę czy wilgotność.

– Niech pan sobie nie robi żartów.

– Jestem od tego bardzo daleki.

– Dalsze prowadzenie zwiadu w tych warunkach jest wysoce nieodpowiedzialne. – Hańczy nie podobał się kierunek, w którym zmierzała dyskusja.

– To pan powiedział, nie ja.

– Radzę się opamiętać.

– Panie inspektorze, proszę mi nie narzucać swojego zdania. Już ja wiem, co należy zrobić.

Papa był jednym z tych ludzi, którzy wiedzieli, jak wygrywać wojny. Nabył tę umiejętność podczas niezliczonych konfliktów od Filipin po Libię. Jeżeli już do czegoś się zabierał, to robił to dobrze, bo bardzo nie lubił przegrywać. Można powiedzieć, że wojnę traktował jako rodzaj szachów. Nad wyraz brutalnych szachów i nie interesowały go jakieś tam pionki, on zajmował się wyłącznie figurami, i to tymi najważniejszymi. W innym przypadku nie zrobiłby tego, co zrobił.

Obecni z zainteresowaniem obserwowali ekran, na którym dron Polaków tkwił przed czujnikiem zainstalowanym przez Pabla. Choć oba urządzenia od dłuższej chwili pozostawały nieruchome, to Parker domyślał się, że gdzieś tam w sztabie Polaków trwa walka, ścierają się koncepcje, a napięcie szybuje w górę. Dalsze postępowanie zależało od tego, co postanowi przeciwnik.

Mechaniczna stonoga drgnęła. Cyrusowi mocniej zabiło serce. Są aż tak głupi, by pchać się dalej?

A jednak. Dron powędrował swoją drogą. Doskonale wiedzieli, w którym miejscu znajduje się

urządzenie. Jedno słowo Papy i problem zostanie rozwiązany. Może nie cały problem, ale jakaś jego część na pewno.

– Macają – skwitował Ortiz Castillo. – Nie chcieliśmy im się przedstawić, więc próbują sami się z nami zapoznać.

– Ja się im nie dziwię. Jeszcze trochę i zrobią się nieprzewidywalni – mruknął Parker.

– Nic im się nie stanie, jak trochę skruszeją. – Papa w końcu raczył się odezwać.

– Długo to potrwa?

– Spieszysz się dokądś?

– Nie.

– Sam widzisz. Jesteś w środku, grasz w orkiestrze, a nerwy masz w strzępach. Z nimi jest tak samo.

Yvonne wysiadła z taksówki, rozejrzała się po okolicy i przeszła na drugą stronę ulicy. Zamiast na stację metra Dworzec Wileński poprosiła o podwiezienie na dworzec Warszawa Wschodnia. Weszła do środka, starając się dociec, w którym miejscu uda jej się zjeść szybki lunch.

Odpowiednich lokali nie było tu za dużo. Wstąpiła do jednego i przyjrzała się ubogiej liście dań wiszącej tuż za plecami sprzedawczyni. Liczyła na coś bardziej wyszukanego niż hot dog, ale jak się nie ma, co się lubi...

Już w trakcie pochłaniania pierwszej buły nabrała ochoty na następną. Walczyła z sobą dłuższą chwilę. Siedzenie i objadanie się, w czasie gdy jej towarzysze broni walczyli na pierwszej linii frontu, uznała za niewłaściwe. Należało się zabrać do roboty, i to szybko.

Z ciężkim sercem wyszła na ulicę i zamachała na przejeżdżającą taksówkę. Miała szczęście – samochód zatrzymał się niezbyt przepisowo, za to blisko. Wsiadła i opadła na kanapę. W środku nieprzyjemnie zalatywało zapachowym drzewkiem dyndającym na lusterku.

– Dokąd?

– Na Francuską. – Z wrażenia zapomniała powiedzieć, gdzie chce się udać.

– Jak pani sobie życzy...

Biały mercedes W204 nabrał prędkości, zwolnił przed przejściem dla pieszych i ponownie przyspieszył.

Yvonne z ukosa zerknęła na kierowcę, facet pod pięćdziesiątkę, ale wciąż w dobrej formie, albo pakował na siłowni, albo zwały tłuszczu nie pokryły resztek dawnej muskulatury.

– Szanowna pani do pracy?

– Tak się składa. – Jak facet zacznie gadać o polityce, przesiądzie się do tramwaju. Wysłuchanie po raz kolejny, jacy to Polacy są wspaniałomyślni, zupełnie jej nie obchodziło.

– Piękny dzień dzisiaj mamy.

Uśmiechnęła się pod nosem. Więc o to chodziło. Od pogody po kolor jej oczu droga krótka, a taksówkarz, jak się zdawało, będzie szarżował na skrót.

Zjazd z Kijowskiej w Targową nie był wcale taki prosty. Musieli poczekać, aż minie ich konwój kilkudziesięciu policyjnych bud.

– Oho, obstawiają mosty.

Oświadczenie kierowcy mocną ją zaniepokoiło. Skąd on o tym wie? Zna myśli komendanta głównego policji, czy jak? Zresztą, blokada przepraw na Wiśle wydawała się rutynowym działaniem. Ustawią posterunki i tyle, komunikacja miejska będzie działać dalej, bo na wstrzymanie ruchu zdaje się zgody nie było. Ostatecznie, jak zajdzie konieczność, na prawobrzeżną część miasta pojedzie pociągiem ze Wschodniego na Centralny lub wymyśli inny sposób.

Palce taksówkarza zabębniły na kierownicy. Mężczyzna zaczął sobie pogwizdywać pod nosem.

Dobry humor go nie opuszczał.

– Trochę się mi spieszy.

– Nic nie poradzę, pani sama widzi, co się dzieje.

– Uff...

– To nic, na Euro dwa tysiące dwanaście to się dopiero działo, zwłaszcza ten mecz z Rosją, prawie jak wojna.

– Panie drogi, teraz nie mamy wojny.

– Niby nie.

W końcu włączyli się do ruchu, lecz wlekli się w ogonie kolumny.

– Spóźnię się na bank. – Pożałowała chwili słabości i przerwy na hot doga, gdyby nie to, już dawno znalazłaby się na rondzie Waszyngtona.

– Pani się tak denerwuje, jak pewien biskup, którego kiedyś wiozłem. Że biskup? Proszę się nie dziwić, w moim fachu wszystko może się zdarzyć. Zima wtedy była, tak pod koniec dziewięćdziesiątego siódmego, chyba, aż trudno uwierzyć, że to już tyle lat. Do Sokółki jechaliśmy, wieczorem...

Yvonne nie była zainteresowana głośnym taksówkarzem. Z torebki wyjęła smartfon oraz słuchawkę. Jedną z nich włożyła do ucha. Zobaczymy, co mówią w radiu, przecież informacja o ataku na siedzibę prezydenta musiała dotrzeć w najodleglejsze zakątki kraju.

Znalazła ogólnopolską rozgłośnię i skoncentrowała się na głosie spikera. Wiadomości szły non stop.

„Niecałą godzinę temu spotkali się przedstawiciele wszystkich partii zasiadających w parlamencie. Dyskusja od początku nabrała burzliwego charakteru. Posłanka Janina Helsman nazwała atak na najwyższe władze niecznym i tchórzliwym, jednocześnie sugerując, że mogą za nim stać nieprzychylnie Polsce środowiska powiązane ze skrajną postkomunistyczną lewicą. Bronisław Skowron wzywał do jedności. – Tu głos radiowca zastąpiła transmisja przemówienia z sejmowej trybuny: – W tak trudnych chwilach nie ma miejsca na obojętność. Wszyscy musimy dać świadectwo prawdzie oraz dołożyć starań, aby zażegnać ten jakże niespodziewany kryzys”.

Same banały i irytujące ogólniki. W końcu to Sejm, a oni lubili sobie pogadać.

„Najbardziej istotną sprawą podjętą przez Bronisława Skowrona było określenie osoby, która obecnie stoi na czele państwa. W przypadku gdy prezydent nie jest w stanie wypełniać swych obowiązków, zwierzchność automatycznie przechodzi na marszałka Sejmu, i tu, zdaniem Skowrona, zaczynają się problemy. Z informacji, jakie do nas docierają, marszałek Gustaw Wojciechowski od samego rana jest nieosiągalny, a my nie znamy przyczyny tej nieobecności. Pogłoski o zastrzeleniu Wojciechowskiego, w świetle tego, co wydarzyło się na Krakowskim Przedmieściu, wydają się całkiem prawdopodobne. Jeżeli dodamy do tego brak kontaktu z marszałkiem Senatu Ryszardem Bielawą, to uzyskamy pełny obraz wydarzeń dzisiejszego poranka. Zdaniem ekspertów od prawa konstytucyjnego w tak złych warunkach nie znajdowaliśmy się nigdy wcześniej. Właściwie trudno powiedzieć, kto sprawuje obecnie władzę. Prace rządu zostały sparaliżowane. Brak premiera oraz wicepremierów przebywających na porannym spotkaniu u prezydenta niekorzystnie oddziałuje na cały aparat administracyjny państwa. Już podnoszą się głosy, że do działania powinna przystąpić armia, bo tylko ona jest gwarantem tego, że sprawy nie pójdą w jeszcze gorszym kierunku. Oczywiście argumentów przeciw jest tak samo dużo jak i za”.

Oto najskrytsze marzenia Yvonne zaczęły się spełniać – jedno precyzyjne uderzenie i wszystko się waliło. Do wieczora będą rozprawiać o wojnie domowej. Już w tej chwili wiarygodność Warszawy leciała na łeb, na szyję, co tam dyskusje o Bukareszcie czy Ankarze, skoro tu na miejscu panuje kompletny burdel.

Ciekawe, czy stojąc przed takimi wyzwaniem, nie zdecydują się pójść na skróty – ambitny generał, lider opozycji, przywódca związkowy, którym obecny bałagan wyda się idealny do przekucia własnych pomysłów w czyn? Mało to było takich przykładów w historii? Umiarkowany chaos jak najbardziej

sprzyjał ich planom, ale wielka rozpiarducha już nie. Przecież nie chcą doprowadzić tego kraju do upadku.

Niedaleko Stadionu Narodowego ruch przed nimi ponownie zamarł. Do ronda Waszyngtona pozostał kawałek.

– Tu wysiądę.

– Chciała pani...

– Na piechotę będzie szybciej. – Odliczyła należną kwotę, zostawiając dziesięć złotych napiwku. – Reszty nie trzeba.

– Wyjątkowo pani hojna.

– To za miłe towarzystwo. – Wysiadła i przeszła przez pas zieleni na chodnik. Stadion Narodowy nie zachwycał wielkością. Widziała większe obiekty. Dziś nie będzie wielu zwiedzających, lepiej posiedzieć w domu przed telewizorem i pooglądać newsy.

Usłyszała przychodzącą wiadomość, pewnie od Ripleya, bo niczego innego się nie spodziewała.

Figurant wciąż tkwił w tym samym miejscu. Doskonale. Przejściem podziemnym przedostała się na drugą stronę ulicy. Francuska zaczynała się tuż za rondem. Bielawa znajdował się więc kilkaset metrów dalej. Raczej go nie przeoczy, a potem...

Telefon w Centrum Zarządzania Kryzysowego odezwał się tak niespodziewanie, że natarczywy sygnał zaskoczył wszystkich. Mimo że przecież jeszcze przed chwilą wszyscy wyczekiwali jakiegoś kontaktu z terrorystami, teraz jakoś nikt nie kwapił się do sięgnięcia po słuchawkę. Nikt nie czuł się upoważniony. Część wcześniej obecnych kopciała w palarni i w pomieszczeniu z wyższych stopniem pozostał tylko inspektor Hańcza rozmawiający z dowódcą jednego z oddziałów prewencji.

Inspektor przeklął w duchu negocjatora, który co prawda nie palił, ale dla odmiany wyszedł za potrzebą, i chcąc nie chcąc już wyciągał rękę, by odebrać, gdy do środka wpadł Cisłocki.

– Ja odbiorę!

– Pan?

– A co? – Urzędnik wydawał się uszczęśliwiony takim obrotem sprawy. Ależ trafił mu się fart. Głośnik urządzenia nie został włączony, tak więc rozmowa będzie prowadzona tylko pomiędzy nim a sprawcami całego zamieszania.

– Dariusz Cisłocki...

Hańcza obserwował, jak policzki pracownika magistratu czerwienieją.

– Ależ oczywiście... Tak... Pragnę zapewnić, że z naszej strony dopełnimy wszelkich starań...

Dobrze, że w pomieszczeniu zaczęli pojawiać się kolejni funkcjonariusze z Pietrzykiem na czele.

Tak dalej być nie mogło, ten fagas gotów spieprzyć wszystko już na samym początku. Hańcza szybkim ruchem zaszedł Cisłockiego z boku. Nim ten zorientował się, w czym rzecz, inspektor wcisnął guzik trybu głośnomówiącego. Gdy tylko to zrobił, dojrzał wściekły wzrok Cisłockiego. Na awanturę przyjdzie pora, na razie trzeba było ratować, co tylko się dało.

– Wszelkie, powtarzam, wszelkie próby interwencji spotkają się z naszym zdecydowanym oporem. – Beznamiętny, modulowany przez komputer głos brzmiał, jakby dobiegał z innej planety.

– Mam nadzieję, że nikomu z przetrzymywanych zakładników nic się nie stało – odezwał się Hańcza, uprzedzając Cisłockiego.

– Jak do tej pory zachowują się bez zarzutu.

– Czy możemy porozmawiać z...

– Nie.

– Proszę być rozsądnym...

– Nie – powtórzył głos i połączenie się urwało.

– Inspektor Hańcza przekroczył swoje uprawnienia. – Zadowolony Cisłocki wyszczerzył zęby. –

Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Szefowi stołecznej kompanii AT aż wyszły żyły na skroniach. Rozerwie tego cholernego kutasa na strzępy, jak tylko nadarzy się odpowiednia okazja.

– Co takiego? – Banach, aż wstał, ale kabel telefonu był tak krótki, że generał mógł z aparatem w ręku zrobić co najwyżej dwa kroki po gabinecie Oskara Borzęckiego. – Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?... Co nie działa?... No tak... Cisłocki?... Skończona kreatura. Ja już sobie z nim porozmawiam... Słucham?... Naciski magistratu? A co im do tego? Niech zajmą się własnymi problemami. Tak... Jak się nie podoba, mogą się na mnie poskarżyć, najlepiej premierowi lub prezydentowi... Tak, kurwa, wiem, co mówię! Nie ma tam kogoś, kto by go wyłączył?... Czego nie rozumiesz?! Zróbcie z nim coś, do cholery! – Generał skończył rozmowę i starając się uspokoić, starannie i delikatnie odłożył słuchawkę. Westchnął głęboko, wyciągnął swoją komórkę z kieszeni, lecz dowiedział się z niej tylko, że brak jest sieci. Włożył bezużyteczne urządzenie z powrotem do kieszeni.

– Uważaj. – Borzęcki przyglądał mu się z niesmakiem.

– Proszę?

– Uważaj na to, co robisz.

– Że co?

– To dziadostwo wytwarza takie pole elektromagnetyczne, że można od tego dostać raka.

– Żartujesz?

– Nie.

– Dlaczego się o tym nie mówi? – Wojskowy na wszelki wypadek wyciągnął aparat i wrzucił go do teczki leżącej na stoliku.

– Pieniądze, Emil, pieniądze. Jak rozmawiasz w rozsądnych granicach, nic ci się nie stanie, ale jak trzymasz to gównno cały czas przy sobie, niszczysz własny układ odpornościowy. To jest jak całodobowy generator mikrofal. Myślisz, że od czego ludzie się wykańczają?

– Żarcie, woda.

– Po części tak, ale spory wpływ mają takie zabawki.

– Oskar, proszę cię, to jest narzędzie pracy, a nie zabawka.

– Nazywaj to, jak chcesz. – Naukowiec ułożył dłonie jak do modlitwy i z kpiącym uśmiechem przyglądał się koledze.

– Ale żeby aż tak?

– Postęp ma swoją cenę, w tym przypadku jest to ludzkie zdrowie.

– Ty to wiesz, jak podnieść człowieka na duchu. Mało to mam problemów na głowie.

Nagle komórka zadzwoniła. Generał zdumiał się, wyciągnął ją z teczki dwoma palcami i popatrzył na ekran. Po trzecim sygnale zdecydował się przyłożyć ją do ucha. Tym razem nic nie mówił, tylko wysłuchał informacji i zakończył połączenie krótkim „zrozumiałem”.

– AWACS już krąży, i to ten nowy typ. Widzimy wszystko od Paryża po Moskwę, a nie możemy zlokalizować byle... – Nie chciał używać słowa zabawka, ale właśnie takie określenie cisnęło mu się na usta. – Sam wiesz czego.

– Bo to cień, taka nazwa będzie najwłaściwsza.

– Cień?

– Jeżeli już uda się wykryć drona, to nie dlatego, że uzyskamy odbicie na radarze.

– Dobrze, Oskar. Wiesz, co robić, ja muszę wracać. Powstał potworny bajzel i ktoś to musi

posprzątać.

– Dzwonili z pałacu, tak?

Banachowi nie pozostało nic innego, jak potwierdzić domysł Borzęckiego.

– Emil, oni nas rozgrywają.

– Nie musisz mi przypominać, sam wiem o tym najlepiej.

– Obojętnie, co powiedzą, na obecnym etapie to i tak nie ma znaczenia.

– Sztuki negocjacji nie musisz mnie uczyć – odparł wyraźnie zły szef wywiadu. – Ja nie ich obawiam się najbardziej.

– A kogo?

– Tych wszystkich, którym się wydaje, że w obecnej sytuacji są jedynymi zbawcami, rozumiesz? Jest tu paru takich, którzy wpięprzają się w butach wprost do wyra bez oglądania się na konsekwencje. Niby pomagają, ale ta pomoc to... Zresztą, co ja ci będę mówił, sam wiesz, jak jest. Zamiast zjednoczyć się w obliczu zagrożenia, my koniecznie musimy dzielić włos na czworo. Każdy gra do własnej bramki. Brak nam elity, która rozumie, co jest dobrem najwyższym.

– Od kiedy to szef wywiadu jest idealistą, no, powiedz, Emil? Ha! Zaczynasz pieprzyć jak pośluczony. Jeżeli sam nagle zapomniłeś, to ja ci przypomnę: taka jest ludzka natura i nie obwiniaj tu naszych rodaków. Wszędzie jest tak samo. Władza zaślepia. Ja mam ci o tym przypominać? Litości. Jak masz problemy z tak podstawowymi sprawami, to idź do psychiatry. Nie obrażam cię, tylko radzę. Coś ci się stało.

– Aleś ty zabawny. Już zapomniłeś, jak przychodziłeś do mnie, gdy udało ci się coś dokumentnie spieprzyć, choćby ten akcelerator cząstek. Przeszedłeś wtedy samego siebie. Żebyś siebie wtedy widział...

– To był wypadek przy pracy.

– Ładny mi wypadek. – Banach wycedził ostatnie słowo przez zęby. Kolejne zdanie brzmiało już znacznie spokojniej, lecz ociekało jadem. – Wypadek to raczej jest plan budżetu na przyszły rok.

– Właśnie w tej sprawie miałem się cię poradzić. – Borzęckiego bynajmniej nie poruszył gniew generała.

– Powiem jedno: przegiąłeś pałę. To, co zaproponowałeś, jest kompletnie nierealne. Człowieku, opamiętaj się. Ja rozumiem, nauka kosztuje: zespoły badawcze, aparatura, geniusze muszą na czymś pracować, więc trzeba stworzyć im warunki, ale po co ci... – Banacha na chwilę zatkało, szybko jednak doszedł do siebie. – Po co ci trzystumetrowy masowiec?

– Zbiornikowiec. I jest trochę dłuższy, ale mniejsza o szczegóły.

– Wiesz, ile on kosztuje?!

– Grosze, Emil, i nie krzycz na mnie, bo tego nie lubię. Pierwotna cena to ponad dwieście milionów, teraz chcą za niego pięćdziesiąt.

– Prawie darmo.

– Żebyś wiedział.

– Pytam po raz kolejny: na jaką cholere ci ten zbiornikowiec?

– Drogi przyjacielu, sam statek nie przyda mi się do niczego, dopiero jak urządzimy na nim laboratorium... – Borzęcki nieoczekiwanie się rozmarzył.

– Jakie laboratorium?

– Naukowe, a niby jakie? Jednostka zostanie całkowicie przebudowana. Już pracuje nad tym jeden z moich zespołów.

– Jak przebudowana? – Banach nerwowo zamrugał oczami.

– Całkowicie. Chyba nie chcesz, żeby to zdarzenie z czarną dziurą powtórzyło się w moim... naszym instytucie, a przecież nie możemy stanąć w połowie drogi. Więc załadujemy wszystko po brzegi aparaturą i hajda na ocean. Dasz nam eskortę. Nikt nam nie podskoczy.

– Oskar, ty oszalałeś. To nie mnie potrzeba psychiatry, a tobie. Słyszysz, co do ciebie mówię? –

Banach ukrył twarz w dłoniach.

– Będziesz miał pływające laboratorium z dala od Warszawy i z dala od polskiego brzegu.

– Ja nie dowodzę marynarką wojenną.

– Przecież wiem, masz mnie za idiotę? Zrozum, jaka stoi przed nami szansa. Marzyłem o czymś takim od lat, własny pływający instytut.

– Ile to ma kosztować, tak z grubsza? Potem zapoznam się z kosztorysem.

– Na początek potrzebujemy... – Borzęcki teatralnie westchnął. – Jakie to ma znaczenie? Koniecznie chcesz wiedzieć?

– Chcę.

– Z pół miliarda.

– Tylko?

– A co myślałeś?

– Bo ja wiem...

– To na początek.

– Wiedziałem, że jest w tym haczyk.

– Emil, proszę cię. Targujesz się jak stara baba na bazarze za kobiałkę truskawek. We wnętrzu należy dokonać daleko idących modyfikacji. Z przodu dodamy jeszcze jedną nadbudówkę. Załoga to nie problem, takimi kolosami kieruje najwyżej dwadzieścia osób. My potrzebujemy ludzi do obsługi sprzętu.

– Czyli?

– Wyższa kadra naukowa.

– A kto będzie malował, skrobał rdzę i sprzątał?

– O widzisz, o tym nie pomyśleliśmy.

– Szkoda. – Banach wlepił spojrzenie w sufit, próbując ogarnąć projekt. – A tych twoich specjalistów to ilu?

– I tu cię zaskoczę: niewielu, najwyżej trzydzieści osób, ale to same najtęższe głowy.

– Masz listę?

– Pewnie, że mam, zrobiłem ją wcześniej. Chociaż ciągle nie jest pełna. – Borzęcki podszedł do biurka i zaczął szukać czegoś w stercie zawałających blat materiałów. – O, tu jest.

Banach liczył na komputerowy wydruk, ale się zawiódł. Dostał zwykłą kartkę formatu A4 z odręcznymi notatkami Oskara. U góry parokrotnie przekreślony tytuł. Co to jest? „Meduza”, „Neptun”, „Perun”, „Tezeusz”. Zdaje się, że to przymiarki do nadania imienia jednostce.

– Jak się w końcu ten mastodont będzie nazywać?

– „Ocean” – odparł z dumą dyrektor. – Pasuje i robi wrażenie, prawda? MS „Ocean”.

– S.O.S. „Hiroszima” pasuje bardziej i też robi wrażenie.

Banach przyjrzał się liście nazwisk. Nie wszystkie były mu obce, choćby pierwsze z brzegu, Lucjan Muchowski, o ile pamiętał, facet zajmował się impulsem elektromagnetycznym, a właściwie jego praktycznym zastosowaniem, albo ta – Joanna Grabska. Piękna kariera, pamiętał to nazwisko, bo o mało nie zginęła w zamachu podczas konferencji dwa lata wcześniej. Tylko co robi w zespole, skoro specjalizuje się w astronomii? Nie – astrofizyce? Astro... astrobiologii chyba? Ha! Brodaty facet z Narodowego Centrum Kryptologii to Asperger! Chyba...

Generał uniósł wzrok ponad krawędź kartki, niczego nie dając po sobie poznać. Co ten Borzęcki chce zrobić? Obserwatorium astronomiczne? A może przez czarną dziurę przejdzie do innego kosmosu, więc specjalistka od życia pozaziemskiego byłaby wskazana?

Z listy wyłapał jeszcze trzy nazwiska osób zajmujących się chemią, fizyką i matematyką. Reszta nic mu nie mówiła.

– Kim jest Sharon Watson?

– Zajmuje się lingwistyką.

– Lingwistyką?

– No, wiesz, tyle różnych nacji, nie z każdym można się dogadać. – Profesor pośpieszył z wyjaśnieniem.

Banach z wielkim trudem powstrzymał parę brzydkich słów cisnących mu się na usta. Borzęcki próbował go zrobić w wała.

– A Karen Leclerc?

– Nie pamiętam.

Chyba pan dyrektor nie miał dopracowanej oficjalnej wersji...

– Słuchaj, Oskar, masz pod ręką plan techniczny tej jednostki?

– Już się robi.

Tym razem nie była to zwykła kartka, lecz rozkładany arkusz rysunku technicznego, w paru rzutach i przekrojach. Na początek długość – pomylił się tylko trochę: czterysta trzydzieści metrów, wyporność pięćset tysięcy DWT, szerokość sześćdziesiąt pięć metrów, wysokość burty sześćdziesiąt siedem. I ten lewiatan ma pływać po Bałtyku?

Na pokładzie lądowisko dla śmigłowców i maszyn pionowego startu i lądowania, instalacja w środku z niczym się Banachowi nie kojarzyła.

I tylko pół miliarda? Na początek. Całość zamknie się w pięciu, jak nie w dziesięciu miliardach.

Nie tak dawno budowano korwetę, która ostatecznie stała się patrolowcem. Wydano na nią tyle co na całą flotyllę.

– Jakie ma to zanurzenie?

– Dwadzieścia pięć metrów.

– Nie przejdzie na Bałtyk przez Cieśniny Duńskie.

– Za płytko?

– Tak, za płytko. – Banach ponownie się rozeźlił.

– A nie da się ich pogłębić?... Co tak patrzysz? No dobra, więc co?

– A co nam zostaje? Czasami zadajesz pytania bez sensu. Nie chcę niczego sugerować, ale pomyśl lepiej o czymś mniejszym, tak o połowę.

– Nie, ten jest idealny.

– Nawet lotniskowce są mniejsze. I jak ty w ogóle chcesz się tam poruszać?

– Wózkami akumulatorowymi.

– To tutaj to jest...

– Antena, nie widać?

– Widać, owszem, aż za bardzo. – Banach przełknął ślinę. – Tylko do czego?

– Ten ostatni wypadek podsunął mi pewien pomysł.

– Zamieniam się w słuch.

– Innym razem. – Borzęcki uśmiechnął się szelmowsko. – Jak wszystko będzie gotowe, wyjaśnię ci, co i jak. Aż się zdziwisz.

– Nie wątpię, tyle że nie cierpię być zaskakiwanym.

– Chciałbyś, żebym wyłożył wszystkie karty na stół. Twoje niedoczekanie.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że ten projekt nie mieści się w żadnym budżecie. To nierealne. Ten statek jest za duży, a wyposażenie... – Banach ponownie spojrzał na projekt. Tym razem jego uwagę przyciągnęła instalacja znajdująca się blisko przedniej nadbudówki. Pięćdziesiąt kaset wyglądało jak... – Oskar, co to jest?

Borzęcki tylko wzruszył ramionami.

– Nic takiego.

– To nic innego jak...

- Proszę cię, tylko nie wpadaj w paranoję.
- A to?... – Generała tym razem zainteresowała pusta przestrzeń w połowie jednostki.
- To jest hangar.
- A do czego ten hangar?
- Do takich urządzeń...
- Na litość Boską, jakich urządzeń?
- Już ci je pokazywałem, nie pamiętasz?
- Napęd...
- No i o co się tak denerwować?

- Duży ten hangar.
- Bo i potrzeby mamy spore.
- Masz, chłopie, ambicję, tego nie można ci odmówić.
- Ciekawe, przy kim się tego nauczyłem. – Borzęcki pokraśniał z dumy.
- Tylko prostego obiektu nad Warszawą nie potrafisz odnaleźć.
- Daj mi czas.

– Umówimy się tak: ty sprzątniesz to gówno, co lata nad nami, i pomożesz uwolnić prezydenta i resztę zakładników, a ja się zastanowię, co zrobić z tym projektem, zgoda?

– Mam inne wyjście?

– Nie.

– Nawet nie wiesz, jak ja lubię robić z tobą interesy.

Borzęcki zrezygnowany opadł na dyrektorski fotel i sięgnął do biurka, skąd wyciągnął butelkę koniaku.

– Chłapiasz jednego? – W pracy jestem. Tobie też nie radzę, za pijaństwo dyscyplinarka.

– Akurat teraz musiałeś mi o tym przypomnieć.

– Ktoś musi, bywaj.

– Cześć.

Banach zasiedział się, ale też potrzebował tej chwili wytchnienia. Rozmowy z Borzęckim zawsze były inspirujące.

Natychmiast, gdy wyszedł z gabinetu, otoczyło go czterech ochroniarzy. Miał z tego powodu poczucie winy. Skazywał tych żołnierzy na prawie pewną śmierć.

Jak nie dorwie tych drani z pałacu, nie nazywa się Banach. Albo on, albo oni. Innej możliwości nie widział.

Całe to zamieszanie trwało stanowczo za długo. Gdy na miejscu wypadku wreszcie zjawiała się policja, wyglądało to na przypadek. Jeden radiowóz i dwóch zdeorientowanych mundurowych. Doliczyć jeszcze trupy i przepis na nieszczęście gotowy.

Przez moment Oliwia zastanawiała się, czy nie podejść i nie pogadać. W końcu zdecydowała, że nie. Kontakt z nimi nie był jej do niczego potrzebny. Wystarczyło im się przyjrzeć, jak próbują zapanować nad tym, co zastali, by odechciało jej się wszystkiego. Łazili tu i tam, gadali czy też próbowali nawiązać kontakt z centralą, drapali się po łepetynach, w końcu przykryli ciała kocami podanymi przez usłużny personel jednej z knajp. Nie było karetki ani zespołu dochodzeniowego. W ten sposób to ona może czekać na wsparcie do wieczora.

Już się jej nawet nie chciało sięgać do aparatu. Tylko same trzaski. To nie był przypadek, jednakże nic nie dało się z tym zdziałać.

Po trzeciej kawie miała pełny pęcherz i ciśnienie bliskie stanowi przedzawałowemu. Koniecznie

musiała pójść do toalety. I to szybko.

– Panie Ryszardzie.

– Tak, słoneczko?

Rozerwie dziada na strzępy i będzie miała święty spokój. To przez niego skończy na intensywnej terapii. Żartów nie ma.

– Wyjdę do łazienki, proszę nigdzie się nie oddalać.

– Nie widzę problemu.

Teoretycznie nie powinna spuszczać z niego oka, ale do kibla go przecież ze sobą nie zabierze, to by był dopiero ubaw. Ewentualnie mogła przykuć natręta do rury, wtedy miałyby pewność, że nigdzie nie pójdzie. Szybko robi, co trzeba, i...

– Proszę mi jeszcze zamówić tę pyszną szarlotkę. Dawno takiej nie jadłem, jest wyśmienita.

– Cieszę się, że panu smakuje.

Nie dość, że straci nerwy, to jeszcze na dodatek zbankrutuje. Może na wszelki wypadek wziąć rachunek, by później otrzymać zwrot poniesionych kosztów?

Ostatni raz przyjrzała się otoczeniu. Niczego niepokojącego nie dostrzegła. Trochę ludzi i oczywiście małe zamieszanie z telefonami, co wydawało się dziwne, bo płatności kartami szły bez problemu. To łączy są dostępne czy nie?

W końcu zniknęła za drzwiami toalety.

Trzy minuty później ponownie znalazła się na sali. Szybki rzut oka w kierunku, gdzie miał siedzieć Bielawa.

Należało się tego spodziewać, senator wybył. Jak go dorwie, przestrzeli mu oba kolana, wtedy nie będzie z nim problemu.

– Przepraszam, gdzie poszedł ten starszy pan? – Zaczepiła kelnerkę, która ich wcześniej obsługiwała.

– Zdaje się, że dostał telefon.

– Telefon? Naprawdę?

– Ja też się zdziwiłam.

– I co?

– Wstał i poszedł.

– W którą stronę?

– A skąd ja mam wiedzieć.

– To bardzo ważne.

– Puszczaj, bo zawołam właściciela.

Oliwia dopiero teraz zorientowała się, że ściska dziewczynę za przedramię.

– Przepraszam, nie chciałam. – Wyciągnęła z kieszeni legitymację i podetknęła ją pod nos kelnerce, nic przy tym nie mówiąc. Niech sama przeczyta.

– Nie wiedziałam.

– Gdzie poszedł?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nawet nie dojadł ciastka.

Od tej idiotki niczego więcej się nie dowie. Wybiegła na zewnątrz na niezbyt zatłoczoną ulicę.

W którym kierunku ta menda poszła? Na prawo dwaj funkcjonariusze wciąż nie potrafili dojść do ładu z ofiarami strzelaniny.

Jedno szczególnie zdziwiło Oliwię: parę osób widziało, że to ona rozwalila tę parkę psycholi i co? Gdzie obywatelski telefon, próba powstrzymania czy chociaż zainteresowanie, dokąd udał się sprawca? Przecież nie uciekała, a na dodatek...

Właśnie, na śmierć o tym zapomniała – gdzie jest reklamówka z bronią zamachowców?

Szybko wróciła do stolika. Na szczęście nikt tu niczego nie ruszał. Niemniej już straciła parę minut. W tym tempie nie dorwie Bielawy nigdy.

Nie oglądała się więcej na policjantów, tylko ruszyła Francuską w stronę ronda Waszyngtona. Reklamówka jej ciążyła. Biegać z tym nie za bardzo się dawało, a wyrzucić żelastwa do śmieci nie mogła, bo to dowód w sprawie.

Jak marszałek wszedł do taksówki, to pozamiatane. Właściwie to dlaczego wyszedł? Przy niej był w miarę bezpieczny, wydawało się nawet, że nabrał do niej zaufania. Znosiła jego zaczepki z anielską cierpliwością, a on odszedł w stronę dal. Faceci...

Kto mógł do niego zadzwonić? Banach? Bez sensu, dlaczego nie do niej. Ktoś z rodziny? To jeszcze nie powód, żeby uciekać. Zastanawiał ją sam fakt, że zadziałał telefon. Nikt w okolicy nie mógł zadzwonić, a on tak.

Przyśpieszyła kroku. Już nie truchtała, tylko biegła, rozglądając się na boki.

Przekłęta kawa, nigdy więcej nie weźmie paskudztwa do ust. Wyrolowali ją jak pierwszą lepszą kretynkę.

Powoli zaczynała wpadać w panikę. Przez chwilę chciała zawrócić, lecz szybko z tego zrezygnowała. Bielawa musiał znajdować się przed nią, na pewno przed nią, no chyba że zboczył w którąś z uliczek. Oszaleje przez tego gamonia. Jak on mógł jej to zrobić? To było wbrew wszelkim zasadom. Czy nie rozumiał, że naraża swoje życie na śmiertelne niebezpieczeństwo? Pod jej opieką był w miarę bezpieczny, a tak w każdej chwili może napotkać kolejnego zabójcę. Skończy z kulą w głowie, ot co.

Dotarła do odlanej z brązu rzeźby Agnieszki Osieckiej, swoistej atrakcji turystycznej Saskiej Kępy. Stała, wciąż się rozglądając. Wszędzie pełno ludzi, lecz Bielawy ani widu, ani słyhu.

Marszałek Senatu rozplątał się bez śladu.

– Zrobimy tak... Pańscy ludzie spróbują dostać się do bocznego skrzydła tędy... – Dariusz Cisłocki wskazywał długopisem odpowiednie miejsce na planie budynku – ...oraz tędy. – Tym razem droga prowadzić miała od strony gmachu Biura Bezpieczeństwa Narodowego. – I jak, dobrze pomyślane?

– A dlaczego nie tędy? – Hańcza wskazał obszar przylegający do Bristolu i seminarium.

– Hmm... właściwie...

– Za dużo hollywoodzkich filmów pan obejrzał, a to jeszcze z nikogo nie czyni specjalisty od szturmowania miejsc zajętych przez terrorystów.

– Pan podważa moje kompetencje?

– Gdzieżbym śmiał – odparł inspektor. – Dziwię się tylko, że nad rozwiązaniem tak ważnych spraw głowi się pan sam. Może należało dobrać kogoś do pomocy?

– Jeżeli koniecznie chce pan wiedzieć, to spieszę wyjaśnić, że plan ataku został skonsultowany z odpowiednimi organami.

– Czyli jakimi?

– Nie pańska sprawa.

– Moja, bo to moi ludzie będą ryzykować życiem i zdrowiem, a nie pańskie organa.

– Jak pan śmie!

– Zapytam jeszcze raz: kto wysmażył tak niedorzeczny projekt? – Hańcza nie zamierzał ustąpić ani o cal.

– Gównu cię to, człowieku, obchodzi. Jak się nie podoba, radzę złożyć dymisję. Zresztą pułkownik Pietrzyk zgadza się ze mną całkowicie, nie możemy dłużej marnować czasu. Wóz albo przewóz.

– Z panem przy sterze to raczej przewóz, i to w czarnych workach.

– Ostrzegałem... – Cisłocki zrobił się czerwony na twarzy.

– Co tu się dzieje? – Banach wpadł do środka podobny do gradowej chmury.

– Pan Cisłocki chce nas koniecznie przekonać do ataku na Pałac Prezydencki.

– To czyste szaleństwo.
– I mnie się tak zdaje, ale żadne racjonalne argumenty nie trafiają do przekonania pana administratora.
– Hańcza ciął słowami jak żyłką.
– Ja coś powiem...
– Proszę bardzo – łaskawie zgodził się Banach.
– To jest granda.
– Niby co?
– Przez wasze zaniedbania znaleźliśmy się w bardzo trudnym położeniu.
– Nasze zaniedbania?
– Dokładnie tak, jak powiedziałem. – Urzędnik tryskał śliną naokoło. – Ile razy mówiliśmy, że ochronę należy wzmocnić?
– Nie przypominam sobie.
– A ja owszem, nie raz i nie dwa. – Cisłocki z trudem powstrzymał się przez ciśnięciem przekleństwem. – Nazjeżdżało się tałatajstwa z całego świata, to teraz mamy tego efekty. Długo nie czekaliśmy.
– Ma pan jakieś podejrzenia co do tożsamości zamachowców? – zainteresował się natychmiast generał.
– To tylko luźna uwaga.
– Szkoda, aczkolwiek w końcu usłyszałem rozsądne zdanie.
Cisłocki zacisnął zęby.
– Proszę sobie nie wyobrażać, że jest pan taki nietykalny. Odchodzili potężniejsi od pana.
– To groźba?
– Ostrzeżenie.
Urzędnik nie zaczekał na odpowiedź, tylko wyszedł z pomieszczenia z wściekłą miną.
– On o tym ataku mówił poważnie? – Banach pochylił się nad szkicem wykonanym ręką przedstawiciela prezydenta miasta stołecznego Warszawy.
– Oczywiście.
– I nikt nie próbował przemówić mu do rozumu?
– Panie generale, za tym fagasem stoją osoby, które niekoniecznie popierają obecny kurs polityczny. Pan wie o tym najlepiej. – Hańcza usiadł na pierwszym wolnym krześle.
Banach nie podjął tematu. Wiedział, jak jest. Układ polityczny był, jaki był. Opozycja w parlamencie nie dostrzegała, albo dojrzeć nie chciała, jak bardzo zmienił się świat. Mentalnie tkwiła w poprzednim stuleciu. Zamiast zrobić krok do przodu, proponowała dwa do tyłu. Powiedzieć o niej „konserwa” to mało. I oto nadarzyła się okazja do wyjścia z nory.
– Panie inspektorze, proszę mi powiedzieć, co zaszło podczas mojej nieobecności?
– Nawiązaliśmy kontakt.
Paru znajdujących się w pobliżu oficerów policji wydawało się zażenowanych.
– Niestety, rozmowę głównie prowadził pan Cisłocki.
– Tak, słyszałem. Od tej pory proszę go trzymać z dala od wszystkiego, zrozumiano?
– Mam go skuć i przywiązać do kaloryfera?
– Nie to miałem na myśli. Lepiej go czymś zająć, praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła.
– Co niby miałyby robić?
– A w czym jest dobry?
– W kłapaniu dziobem, ale do kontaktów z prasą to bym go nie wysyłał.
– Oczywiście, ale to nie będzie konieczne. Skoro tak lubi mówić, niech zostanie naszym pełnomocnikiem do kontaktów ze służbami publicznymi. Wszystkimi, od strażaków po związki kombatanów.

– Proszę mi wybaczyć, panie generale, ale o czymś takim nigdy nie słyszałem – zdziwił się Hańcza. – Co to właściwie oznacza?

– Nic, kompletnie nic. – Banach strzelił palcami w powietrze. – O ile wiem, już zgłaszają się osoby, które chcą nam pomóc. Mają moc pomysłów w głowach i koniecznie, ale to koniecznie muszą się z nami tym podzielić. Posadźcie Cisłockiego za biurkiem i niech zacznie przyjmować interesantów. Będzie ich rozstawiał po kątach, poczuje się ważny. A jak wysłucha ich paru, to najdalej po godzinie nie będzie pamiętał, jak się nazywa. Choć kto wie... Wariat z wariatem dogadają się najlepiej.

Rozległy się śmiechy. Wariatem to Cisłocki nie był, ale przynajmniej na moment sytuacja uległa rozluźnieniu. Jak będą się zbytnio napinać, to stracą dystans – a to generał uważał za najbardziej istotny element postawy wobec wydarzeń.

– Dobrze, panowie, wracając do meritum: i tak musimy przygotować operację odbicia zakładników. Mnie samego ogarnia przerażenie na samą myśl o tym, ale co zrobić, jak mus to mus.

– Już się nad tym zastanawiałem – przyznał Hańcza. – Widzę jednak poważny problem.

– Mianowicie?

– Powinniśmy rozproszyć siły przeciwnika, więc szturm należy wykonać z kilku kierunków od razu, a do tego mam za mało ludzi. Proszę spojrzeć, jaki to rozległy obszar. Podejść można praktycznie z każdej strony. Zamachowcy o tym wiedzą. Wszędzie, gdzie się dało, zainstalowali czujniki, a to znacznie ogranicza nasze możliwości.

– Da się je zagłuszyć? – Banach odwrócił głowę do wojskowego specjalisty od łączności i rozpoznania.

– Sądzę, że tak, ale to od razu zwróci ich uwagę.

– No tak.

– Obawiam się, że cały kryzys może trwać tygodniami czy wręcz miesiącami, jak w Limie.

Banachowi też przyszła do głowy taka możliwość. Pewne podobieństwo sytuacji narzucało się samo. Ruch Rewolucyjny imienia Amaru opanował ambasadę Japonii w Limie, biorąc za zakładników ambasadora i jego wysoko postawionych gości oraz pracowników placówki. Oblężenie trwało od grudnia 1996 roku do kwietnia 1997, gdy zakończyło je uderzenie komandosów. Już sama myśl o szturmie powodowała u Banacha nieprzyjemne skurcze żołądka. Tam się udało, tu nie musi.

Ale to jeden problem. Drugi to pytanie, kto w tym czasie będzie kierował państwem? Owszem, przeciąganie negocjacji było jakimś rozwiązaniem, ale na dłuższą metę w polskich realiach mało prawdopodobnym. Utrzymać spójną linię postępowania i zgodną ekipę przez kilka miesięcy? Kto miałby ich ochronić przed politykami i dziennikarzami, o agentach nie wspominając?

Trzecia sprawa: ilu ludzi trzeba by zaangażować do pilnowania centrum stolicy? Tysiące. Zmęczeni i znudzeni zaczną popełniać błędy. Zwarty kordon po miesiącu beczynności będzie dziurawy jak sito.

No i problem czwarty, bynajmniej nie najmniej ważny. Przeciągający się w nieskończoność kryzys fatalnie odbije się na całym państwie. Kiedy dotychczasowi liderzy poszli w odstawkę, pojawią się tacy, którzy nie będą mieli niczego do stracenia. Demagogia i populizm wypłyną na powierzchnię jak gówno w szambie.

– Potrzebuje pan wsparcia? – zwrócił się do Hańczy, porzucając niewesołe myśli.

– Tak, panie generale, i to szybko. – Inspektor cierpliwie czekał na decyzje Banacha.

Szef AW spojrział na zegarek. Wyglądało na to, że na Bielawę nie ma co liczyć.

– Spróbuję podesłać operatorów z armii – zapewnił oględnie, nie będąc pewny, jakie są jego możliwości.

– GROM?

– Może, ale mamy parę innych grup.

– Agat?

– Na przykład.

– Nil?

– Sądzę, że mogą się przydać.

– Panie generale, proszę się nie wahać. Mam wrażenie, że terroryści założyli nam pętlę na szyję i tylko czekają, żeby wykopać stołek spod nóg.

– Załatwione. – Banach rozejrzał się za swoim zastępcą. – Stasiu, wiesz, co masz robić.

– Tak jest, panie generale.

– Dobrze. Jest jeszcze jedna sprawa: wyślij ludzi na Saską Kępę, mają wykopać Bielawę choćby spod ziemi.

– Już się robi.

Nim podwładny zdążył zrobić choć krok, uwagę ich obu zwróciło jakieś dziwne zamieszanie na ekranie telewizora stojącego w kącie.

– Hej, może ktoś zrobić głośniej?

Spikerka „Wiadomości” siedziała sztywno na swoim miejscu, spoglądając gdzieś w bok. Obok kręciło się parę postaci, lecz żadna z nich nie wyglądała na zaproszonego gościa czy personel techniczny, mało kto bowiem występuje przed kamerami w kominiarce na głowie i z bronią maszynową.

– ...jest to tak nieoczekiwane... – Blondyneczka nie potrafiła ukryć oczywistego zdumienia, mimo to próbowała być profesjonalna. – Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi?

Przed ekranem stało teraz kilkunastu oficerów policji i służb. Niektórzy nie wierzyli, że to, co widzą, dzieje się naprawdę. Nagle obraz zamigotał i znikł zupełnie.

– Jaka to stacja? – rozległy się nerwowe nawoływania.

– TVP. Reszta idzie normalnie.

Banach opadł na krzesło, kompletnie wyczuty z sił. Kolejny raz został wyrolowany. Przeciwnicy okazali się sprytni i jeszcze lepiej zorganizowani, niż do tej pory miał nadzieję. Ten dzień to klęska, i to podwójna. Po trzecim ciosie już mogą się nie podnieść.

– Mówcie od początku, Adamski. Tylko bez kręcenia.

– Wszystko, co miałem do powiedzenia, już powiedziałem – zapewnił starszy sierżant Łukasz Adamski, czując, jak ze zdenerwowania robi się czerwony na karku. Przynajmniej ręce mu nie drżały, przyciśnięte do szwów spodni, gdy stał w postawie zasadniczej przed swoim przełożonym.

– Adamski, nie pogrywajcie sobie ze mną. – Dowódca kompanii, dwudziestosiedmioletni Julian Warecki, wstał zza biurka i podszedł bliżej do podwładnego.

Mała salka i parę sąsiadujących z nią pomieszczeń na terenie seminarium stały się ich tymczasowym miejscem zakwaterowania. Dawało się tu bez problemu zjeść, odpocząć i skorzystać z toalety. Na razie musiało wystarczyć, a co przyjdzie później, to się dopiero zobaczy.

– Mowę wam odjęło?

– Kiedy ja...

– Widziano was z kobietą – wycedził z dumą Warecki. Na jego dziobatej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. – Przypomnijcie mi, Adamski, jaki był rozkaz.

Starszy sierżant stanął przed wizją degradacji i zwolnienia ze służby. Tak to jest, gdy się myśli nie tą częścią ciała, co potrzeba.

– Milczycie, he? I co ja mam z wami zrobić? To już podpada pod paragraf. Nie wykonaliście rozkazu, idziecie w zaparte, i to w takiej sytuacji państwowej... No, nie wiem, co się z wami stanie. Normalnie to byście dostali tak od roku do pięciu. Zależy, jaki tam artykuł by dla was znaleźli. A teraz to będzie raczej więcej, bo my tu regularną wojnę mamy. – Warecki założył ręce z tyłu. Adamski był od niego wyższy, dlatego, gdy stał tuż przed podwładnym, musiał spoglądać do góry. – Pamiętacie tego, no... jak on się

nazywał... Wolffa? Gnida jedna, złodziej i zwyrodnialec, co on tej kobiecie zrobił, to ludzkie pojęcie przechodzi, mam rację?

– Tak jest.

– Posadźmy was, Adamski, w jednej celi z tą... kreaturą. Zatwardziały kryminalista i dziewczyna z przewencji. Udana z was będzie parka. Ciekawe, co on z wami zrobi, nawet myśleć o tym nie chcę.

Dowódca przemierzył salkę raz i drugi, by ponownie stanąć przed winowajcą.

– Przypomnijcie mi, ile to już lat służby macie za sobą?

– Ponad trzy – odpowiedział starszy sierżant. – Trzy i pół dokładnie.

– Trzy i pół, mówicie. A do regulaminu zajrzeliście chociaż raz?

– Tak jest.

– I jest tam wzmianka o wykonywaniu poleceń służbowych?

– Jest.

– Akurat tego punktu sobie nie przyswoiliście, no, ale cóż... Jak to mówią: każdy jest kowadłem własnego losu. – Warecki podszedł do biurka. – Tu macie kartkę i długopis i piszcie podanie o zwolnienie. To gest mojej dobrej woli. My i tak wszystko wiemy. A to, że wy, Adamski, macie kolegów idiotów, w niczym wam nie pomoże.

Starszy sierżant wodził wzrokiem pomiędzy Wareckim a kartką. W końcu się zdecydował. Niech się dzieje, co chce, należało za wszelką cenę ratować własny tyłek.

– To ja już powiem, co i jak.

– Dopiero teraz, Adamski, rozum wam wrócił? Trochę późno.

– Ale naprawdę, powiem wszystko jak na spowiedzi.

Czarno widział swoją przyszłość. Który chuj go sypnął – Nowak czy ten klecha? Dowie się i porachuje kości. Z Tomkiem nie będzie problemu, zaciągnie gnoja z dala od ludzkich oczu i spuści mu taki wpierdol, że pokrace odechce się kablować raz na zawsze. A na tego czarnego upiora też znajdzie sposób, inaczej nie nazywa się Adamski.

– Gadajcie mi, byle szybko, bo ludzie z wywiadu nie będą tak delikatni jak ja.

Adamski uspokoił się na tyle, by mówić jasno i rzeczowo.

– Prowadziliśmy działania zabezpieczające w składzie ja, posterunkowy Tomasz Nowak i ojciec, ojciec... nie pamiętam, jak miał na imię. Taki niski.

– Dalej, Adamski, dalej. To już wiem. Sam was tam wysłałem.

– W trakcie sprawdzania pomieszczeń seminaryjnych napotkaliśmy kobietę.

– Właśnie ona nas interesuje.

– Była sama, wystraszona.

– I do głowy wam nie przyszło, że ktoś taki kręci się po terenie zamkniętym dla kobiet? Po seminarium? Ależ z was dupek, Adamski.

– Uciekała przed zamachowcami, których zobaczyła wcześniej.

– Gdzie wy macie mózg, chyba na miejscu kutasa!

– Wypraszam sobie.

– Co ty sobie, do kurwy nędzy, wypraszasz!? No co, złamasie jeden? Naraziłeś bezpieczeństwo państwa!

– Ja?

– Nie, babcia Jadzia. Adamski, ocknij się wreszcie.

– To była zwykła, przestraszona kobieta.

– Czy wiecie, co ten czyn o was mówi?

– Nie.

– Że przynajmniej nie macie problemu z orientacją seksualną. To dobrze, w dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo. Nie myślicie, ale przynajmniej do rozplodu się nadajecie. Średnia krajowa. Dobrze... Co dalej?

– Poprosiła o wyprowadzenie poza kordon.

– Genialnie. A wy jak ten rycerz w lśniącej zbroi, tak? No tak? Po co ja pytam. Zdarzyła się okazja, należy ją wykorzystać.

– To nie tak.

– A jak? Oświećcie mnie w końcu, bo z tej niepewności nabawię się nerwicy.

– Twierdziła, że ma kłopoty w pracy.

– Wy też macie, Adamski. Pamiętacie jakieś szczegóły?

– Nazywa się Wiktoria Stawska, pracuje w domu handlowym Klif na Woli.

– Od tego trzeba było zacząć.

– Miało być od początku.

Warecki zignorował uwagę.

– Przedstawiła się wam?

– Nie, to ja poprosiłem ją o dowód.

– O! – Zdziwienie dowódcy kompanii wydawało się autentyczne. – Jak rasowy glina.

– Nowy dokument, bez miejsca zamieszkania.

– Stawska na początek wystarczy. Możecie odmaszerować.

Bielawa z Francuskiej skręcił w Berezyńską. Wszystko według instrukcji, którą usłyszał przez telefon. Dzwonił człowiek z centrali wywiadu, sam jej szef, Banach, czy ktoś taki, każąc mu uciekać. Kobieta, w której towarzystwie przebywał, okazała się agentką wrogiego Polsce mocarstwa, dybiącą na jego życie.

Jak to się człowiek może pomylić... Niby taka milutka, panie Ryszardzie to, panie Ryszardzie tamto, ciasteczko, kawkę, żeby nagle urwać człowiekowi łeb razem z płucami. Wyraźnie widział, jak rozprawiła się z tamtą dwójką – trach, trach i po sprawie, nawet okiem nie mrugnęła. Potwór.

Dobrze – jest na Berezyńskiej, cicho tu i spokojnie, ale co dalej? Zupełnie nie wiedział, co ma teraz robić.

– Panie Ryszardzie...

Bielawa odwrócił się zaskoczony. Jak on mógł nie dostrzec takiej kobiety! Przecież ona... ona nawet nie chodziła po ziemi, tylko unosiła się nad nią. Widywał takie, owszem, w reklamach, ale nie zetknął się nigdy bezpośrednio. Jednak Senat to Senat, same stare pryki.

– Miło mi. – Anielica wyciągnęła wiotką dłoń, którą on nieśmiało uścisnął. – Generał Banach kazał mi się panem zaopiekować.

– Aż tak? – Wyszczrzył się jak na pierwszej randce pół wieku wcześniej.

– Proszę się nie dziwić, jest pan teraz bardzo ważną osobą. – Yvonne włożyła dłoń do torebki, chwytając za rękojeść Colta M1911.

Uśmiechała się przez cały czas. Teraz albo nigdy. Zaraz pozbędzie się kłopotu raz na zawsze.

Już chciała dokonać egzekucji, gdy za sobą usłyszała warkot samochodowego silnika. Przed najbliższą posesją zatrzymała się zgniłozielona corsa. Ze środka wysiadła radosna pięcioosobowa rodzina i stanąwszy na chodniku, zaczęła przekomarzać się, dokąd iść na lody. Przecież nie zostawi świadków, zaś sprzątnięcie całej gromady dzieciaków może okazać się trudne – jedno się schowa, drugie ucieknie, a zakamarków tu nie brakowało. Ściągnie sobie na głowę kłopoty i tyle. Musi załatwić to inaczej.

Z planu miasta wynikało, że Berezyńska nie pozwala dojść nad samą Wisłę, należało trochę pokłuczyć. Nie szkodzi – byle przejść przez Wał Miedzeszyński, szeroką kilkupasmową arterię wzdłuż rzeki. Tuż za nim rozpościerały się tereny zielone i plaże.

– Musimy już iść.

– Z panią, z największą rozkoszą.

– Proszę mnie nie zawstydząć.

– Skończmy z tym „pan”, „pani” – zaproponował Bielawa, wpatrując się w Yvonne jak urzeczony.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Prowadź, pójdę za tobą jak w dym.

– Od samego początku, od pierwszego kontaktu wiedzieliśmy, że to nie są amatorzy. – Banach starał się zachować spokój. – Dupnęli, kogo mogli, i siedzieli cicho. My ściągnęliśmy z ulic wszystko, co się dało, a ci zażyli nas z mańki. Dobrzy są, można powiedzieć, że to artyści w swoim fachu. Ten, który to wszystko wymyślił, ma łeb jak sklep. Geniusz. I wiecie, co wam jeszcze powiem? Wkurwia mnie nieprzeciętnie.

– Mówiłem, apelowałem i co? I nic. – Cisłocki nie pominął okazji, by dorzucić swoje trzy grosze. – Należało uderzyć tak, jak nalegałem. Ale nie. Panowie swoje. Pogadać trzeba, dowiedzieć się, co i jak, ponegocjować, a potem zobaczymy. No to zobaczyliśmy. Dostaliśmy łomot i ledwo stoimy na nogach.

– Dla mnie ten atak nie jest logiczny – oświadczył pułkownik Ireneusz Pietrzyk.

– Który?

– Ten na telewizję. Co im to daje? Pozostają stacje prywatne. Ci mogą nadawać, co im się podoba.

– Mogą, ale temat dnia jest jeden. Nie puszczą telenoweli, bo głównie to kogo obchodzi. Mamy za to kryzys państwa, a właściwie jego całkowity upadek. Leżymy i kwiczymy. Taka jest prawda. I może o to chodzi, żeby poszedł taki przekaz.

– Jeszcze trochę miękkich punktów nam zostało. – Hańcza jako jeden z niewielu stał. – Wiejska, Belweder...

– Trzeba wzmocnić ochronę dworców i metra – przypomniał Pietrzyk. – Oraz filtrów.

– Może od razy wyprowadzimy wojsko z koszar? – Cisłocki spróbował wyciągnąć dzina z butelki.

– Przypomnij mi, Stasiu, kogo mamy najbliżej?

– 1 Brygadę Pancerną.

– Co panowie o tym sądzą?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Gąsienicowe wozy bojowe i czołgi to zupełnie inny ciężar gatunkowy niż żołnierze jednostek specjalnych. Komandosi nie rzucali się w oczy, co innego ciężki sprzęt zaparkowany na głównych placach i arteriach.

– Dodatkowa panika w mieście do niczego nie jest nam potrzebna. – Hańcza jako jedyny zaryzykował odpowiedź. – Proponuję obejść się bez czołgów i transporterów. Żołnierze, owszem, przydadzą się, ale do służby patrolowej. Zrobmy mieszane grupy, wojsko i policja.

Banach nie był do tego przekonany. Powtórzy się sytuacja z Paryża, Brukseli, Londynu, ale trudno. Każde rozwiązanie wydawało mu się równie fatalne.

– Podobno ludzie próbują się wydostać z miasta, obawiają się wybuchu walk ulicznych. – Komendant główny policji Jakub Osiński chwilę wcześniej dołączył do zebranych, wyciągnięty z łóżka, gdzie wracał do zdrowia po zapaleniu płuc.

– Wcale im się nie dziwię – odparował Hańcza. – Skoro doszło do takich rzeczy, to uważają, że wszystko jest możliwe.

– Na szczęście my wiemy, że raczej nie. Ilu ich weszło do telewizji? Dwudziestu, trzydziestu? Nie dysponujemy monitoringiem, a zeznania świadków są mało warte. – Pułkownik BOR-u spróbował zebrać w całość wszystkie informacje, jakimi dysponowali. – Szacujemy, że grupa w pałacu nie jest większa. W sumie czterdzieści–pięćdziesiąt osób, nie więcej. Ich uzbrojenie pozostaje niewiadomą, ale co mogą mieć: trochę ciężkiej broni piechoty, PPK i kierowane pociski przeciwlotnicze.

– I dron – dopowiedział Hańcza.

– Tak, i dron. Przejęli dwa punkty w mieście. Jak na razie.

– Przewiduje pan działania w gmachu telewizji? – zapytał Banach.

– Tak zupełnie bym tego nie wykluczył, ale bardziej martwię się pałacem. – Pietrzyk podrapał się za uchem.

– Tak pan kombinuje? Ciekawe. Czyli ci, którzy są przetrzymywani w jednym miejscu, są ważniejsi od tych w drugim? Interesujący pogląd – zjeżył się antyterrorysta.

– Nadrzędny interes...

– Nadrzędnym interesem jest uratowanie wszystkich – zdenerwował się inspektor.

– Obaj panowie macie rację. – Banach próbował pogodzić Pietrzyka i szefa kompanii AT. – Pałac ma pierwszeństwo przed całą resztą z tego powodu, że uwolnienie prezydenta i premiera ułatwi podejmowanie dalszych decyzji. Oczywiście, można rozważyć jednoczesne szturmowanie, ale w tej kwestii powinni decydować fachowcy, a priorytetem niech będzie efektywność rozwiązania.

– Dobrze, już dobrze – mruknął Hańcza. – W ciągu czterdziestu minut będę tu miał ludzi z pozostałych plutonów AT z całego kraju. Razem to ze trzysta osób. Znaczna siła.

– Czy to rozsądne ściągać wszystkich w jedno miejsce? – spytał nadinspektor Osiński, blady jak ściana. Widać było, że czym prędzej powinien się położyć. – Co się stanie, jak do podobnych zdarzeń dojdzie we Wrocławiu lub Poznaniu czy Gdańsku?

– Lub w Pradze, Mińsku czy Rydze... Rozumując w ten sposób, do niczego nie dojdziemy. Łącznie z wojskiem, które obiecał uruchomić generał Banach, uzyskamy siłę uderzeniową równą wzmocnionemu batalionowi. Wyleziemy z każdego kanału i wskoczmy każdym oknem – rozochocił się Pietrzyk.

– Pan chyba nie wie, ile okien jest na Woronicza. – Osiński cierpko zareagował na ten entuzjazm.

– Odnoszę wrażenie, że nasz przeciwnik wie o nas wszystko – oznajmił Banach. – Rozpracowali nas bez pudła, te nasze gierki również. Tu pluton, tam kompania, a jak przyjdzie co do czego, na przykład wyłączą nam zasilanie.

– Optymista z pana, nie ma co – chrząknął komendant główny.

– Nie upieram się, że mam rację, ale wiele na to wskazuje. Mówiliśmy już o tym wcześniej.

– Czyli nasz przeciwnik ma same asy w talii i w rękawie, a my gołodupcy?

– Celna uwaga.

W trakcie tej wymiany zdań Banach uświadomił sobie, że na rozwikłanie czeka inna zagadka, być może najważniejsza, bo dotycząca motywów terrorystów – jak do tej pory nie wystąpili oni z żadnymi żądaniami, nikogo nie uwolnili, nie chcieli okupu, żadnych nawoływań ideologicznych, nacisków czy prób wpłynięcia na opinię publiczną ani ultimatum. Nic z tych rzeczy. Pierwszy i ostatni na razie kontakt to wyłącznie ostrzeżenie. Służby mają powstrzymać się od wszelkiego działania. No może nie od wszelkiego, ale na pewno od ataku na pałac. Jaka organizacja terrorystyczna działa w ten sposób? Ale i tak, mimo tego samoograniczenia, zamachowcy rozkładali państwo na łopatki.

O, właśnie. Może tu nie chodziło o sam atak, lecz o sianie chaosu? Bez przywódców procesy decyzyjne w państwie zostaną zahamowane, a ta sprawa z telewizją to wyraźny znak, co jest celem terrorystów – zobaczcie, trzymamy was w garści. Co z tego, że uruchomicie zapasowe nadajniki czy puścicie program z nadajników ośrodków regionalnych? Straciliście monopol na przekazywanie informacji. Ludzie zobaczyli, że niewiele możecie.

Służby, wojsko, ogółem aparat państwowy został postawiony pod ścianą i tracił wpływ na przebieg wydarzeń. Kraj stopniowo przechodził pod władanie sił, o których władze nie wiedziały kompletnie nic. Trzymano je za gardło – jak wierzgną, oberwą po głowie.

Od samego początku wszystko, co się działo, było na rękę terrorystom.

Banach włożył palce pomiędzy szyję a sztywny kołnierzyk koszuli. Cały kłopot z tymi, którzy przetrzymywali prezydenta, polegał na tym, że im na niczym nie zależało. Realizują plan i spokojnie czekają na efekty swoich działań. Trzymają służby za gardło i jaja jednocześnie. Nie ma sensu nawet liczyć na jakiś błąd z ich strony. Nawet jeżeli jakiś popełnią, to co z tego? Przecież nie wypowie wojny, nawet gdy dowie się, przez jakie państwo zostali zaatakowani. Wtedy co najwyżej będzie łatwiej ich rozpracować, lecz do zażegnania kryzysu droga i tak jest daleka. Jedno generałowi zdało się pewne: jeśli szybko nie pokona wroga, z kraju nad Wisłą pozostaną zgliszcza.

– Ładnie tak kapować na kumpla, judaszu?! Wiesz, co ci powiem, gnido, nigdy ci tego nie zapomnę. Od tej pory trzymaj się ode mnie z daleka.

– Luki, dobrze się czujesz?

– A jak ci się wydaje?

– To czemu podskakujesz? Zabieraj te łapska. Ja też potrafię przypieprzyć, a to, że masz nasrane na pagonach, nic dla mnie nie znaczy.

Łukasz Adamski i Tomasz Nowak zwarli się w uścisku w rogu wyłożonej białymi kaflami umywalni. Oprócz nich nikogo więcej w pobliżu nie było, co Adamskiemu w zupełności wystarczyło, by wyjaśnić sobie z Nowakiem parę dzielących ich kwestii.

– Przysięgnij, że to nie ty.

– Przysięgam, i co, lżej ci? – odwarknął posterunkowy, może niższy od Adamskiego, ale za to szerszy w barach.

– Wiktoria ci się spodobała.

– Na mózg ci padło.

– Nawet jeżeli...

– Jak jest niewinna, nic jej nie zrobią. Z tobą to zupełnie inna historia. Naganę z wpisem do akt masz murowaną. Wyżej dupy nie podskoczysz, a sierżantem to będziesz do emerytury. Wyślą cię w Kieleckie albo i dalej, do jakichś zasranych Ustrzyk. Byłeś w Ustrzykach?

– Zamknij się.

– Grozić to ty możesz kolegom na podwórku.

Wściekłość powoli zaczęła mijać Adamskiemu. Zrazu na widok Nowaka czerwona furia spadła na niego jak grom. Dobrze, że się w porę opanował. Mordobicie mogłoby mu przynieść chwilową ulgę, za to definitywnie by go pogrzyżyło.

– Może to ten księżulo?

– Ojciec Antoni?

– Właśnie.

– Był zły, to fakt, ale nie sędzę, by poleciał z tym do Wareckiego.

– To skąd wiedzieli?

– A ja co, kabel transmisyjny jestem?

– Pomóż mi, Tomek, bo oszaleję.

– Tak cię wzięło?

– Co ty możesz o tym wiedzieć?

– Nie ty pierwszy i nie ostatni. Numer telefonu masz?

Do Adamskiego dopiero teraz dotarło, że przecież otrzymał od Wiktorii wizytówkę. Na śmierć o niej zapomniał, co więcej, fakt jej posiadania zataił przed Wareckim. Niedobrze z nim dzisiaj. Robi się nerwowy i nieuważny.

– Mam – wydukał w końcu.

– Dawaj.

Starszy sierżant przeszukał kieszenie w poszukiwaniu portfela. Jest. Drżącymi dłońmi wyciągnął go i poszperał. Wyjął kartonik, który dostał parę godzin wcześniej. Przyłożył go do nosa i powąchał. Oszalającym zapach Wiktorii już się ulotnił, ale i tak poczuł ulgę.

– Palma ci odbija – orzekł Nowak.

– Czep się.

– A ty się bujaj.

Komórka. Gdzie ma komórkę? Dobra, zaraz wyjaśni parę spraw.

– Ze swojego dzwonisz, debilu?

– Bo co?

– Łeb dam sobie uciąć, że jest na podsłuchu. Co ty, dziecko jesteś? Drugiego takiego bezmózga to ze świecą szukać.

– Tomek, znów zaczynasz mnie wkurzać.

– Teraz oprócz mnie nie masz innych kumpli, więc się nie obrażaj. Dzwon z mojego.

– Naprawdę mogę?

– Jak mówię, że możesz, to możesz.

– Podobno od rana są z tym problemy.

– Czasem się udaje, a jak nie spróbujesz, to się nie przekonasz. Działaj, bo czas płynie.

Jasna cholera, każde kolejne piętro to prawdziwa mordęga. Dwadzieścia lat temu – ba, nawet dziesięć albo i pięć – taki dystans pokonywał z palcem w... Po czterdziestce człowiek się rozleniwił i, co tu dużo mówić, zaczął cenić wygodę. Na torze przeszkód mógł wylać kubły potu, a i tak młodzi bili go na głowę pod względem wydolności. Dobrze strzelał, ale w jednostkach AT to żaden wyczyn. Już parę razy spotkał się z takimi, którzy i w tym byli lepsi od niego.

Krótko mówiąc, powinien pomyśleć o emeryturze, ewentualnie o przeniesieniu do roboty, która nie będzie wymagała aż takiej sprawności. Tylko gdzie on pójdzie, skoro tylko po pysku łać potrafi i szturmować zamknięte pomieszczenia? Przecież nie do archiwum. Oszaleje z nudów. Codziennie osiem godzin w studni z makulaturą, to już lepiej od razu wykopać sobie grób.

– Panie komisarzu...

– Czego?

– Już jesteśmy.

Dopiero teraz się zorientował, że dotarli na wyznaczone piętro biurowca przy ulicy Woronicza 17.

Komisarz Paweł Zawadzki przystanął dla wyrównania oddechu. Wszystko, co miał na sobie, ciążyło mu – od hełmu na głowie po trzymany w dłoniach pistolet maszynowy HK MP5. Już więcej nie będzie się wygłupiał. To ostatni raz, gdy prowadzi ludzi do akcji. Dowodzenie spokojnie może przejąć jego zastępca Mariusz Piotrowski, chłopisko wielkie na dwa metry i ważące grubo powyżej stu kilogramów. Ludzie rozstępowali się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Piotrowski prowadził teraz drugi zespół w innej części siedziby TVP. Oba miały sprawdzić, gdzie ukrywają się cywile, i za wszelką cenę wydostać ich na zewnątrz. Problem w tym, że w gmachu pracowały setki osób, a potencjalnych miejsc, gdzie mogliby się wcisnąć ludzie w razie zagrożenia, również było bez liku.

Prawdę powiedziawszy, wnętrze budynku prezentowało się lepiej niż biurowiec oglądany z zewnątrz. Nowy budynek TVP nie podobał się Zawadzkiemu od początku. Kto coś podobnego mógł wymyślić? Kompletne bezguście. Szklany moloch kojarzył się komisarzowi z tortem. Jeżeli śmiała architektoniczna wizja miała wskazać nowy kierunek rozwoju firmy, to nie wróżyło to dobrze narodowemu nadawcy. Wydać pieniądze łatwo, w końcu płaciło się nie z własnej kieszeni.

Nie jego problem, on tu tylko sprząta.

– Bolo i Sęp, tamta część korytarza. Okoń i Czarny ta, reszta osłania.

Dobrzy chłopcy, tylko mało doświadczeni. Co innego zatrzymać niebezpiecznego bandytę, co innego napotkać bezwzględnych zawodowych morderców. Zawadzki głęboko wierzył w to, że dadzą sobie radę, ale zabijanie to nie to samo co naciskanie spustu. Problem siedzi w głowie, nie w palcu. Każdy z oddziału przeszedł odpowiednie szkolenie, testy i klasyfikacje, lecz trudno było powiedzieć, jak się zachowają, gdy zaczną nad nimi latać kule. Stresu bojowego nie daje się porównać z niczym. Nawet najlepiej wyszkolony nowicjusz potrafi zdębieć, gdy zobaczy wymierzoną w siebie lufę. Żadna symulacja nie jest w stanie przygotować na najgorsze. Nerwy napięte jak struny, nikt nie wie, co się za chwilę wydarzy...

– Czysto.

– Dalej.

Akcja nie przebiegała tak sprawnie, jak miał nadzieję. Zagłądanie pod każde biurko, a potem zamykanie pomieszczeń szło mozolnie. Miał za mało ludzi. I jeszcze ten rozkaz – nie wchodzić w kontakt z przeciwnikiem. Ten, który go wydał, musiał się ostro nagłówkować. Czy tym durniom na górze wydaje się, że to takie proste? A gdyby napotkali wroga, to co mają zrobić? Przeprzić, że nie pukali, i wycofać się w ukłonach?

Gdy wkraczali do budynku, słyszał parę strzałów, ale dochodziły one z drugiego krańca gmachu. Od tamtej pory spokój. Podobno zamachowcy mają stu zakładników. Chyba ich teraz nie rozwalają na wizji?

Kątem oka widział, jak Bolo i Sęp wchodzą do kolejnego biura. Piski, które rozległy się chwilę później, świadczyły, że nie są tam sami.

– Bolo, jak to wygląda? – powiedział do mikrofonu najwyraźniej, jak potrafił.

– Widzę pięć osób... nie, sześć.

– Mogą się tak nie wydzierać?

– Zobaczę, co się da zrobić.

Hałas nie cichł.

– Bolo, nie dajesz sobie rady?

– To kobiety, szefie, trudno je...

– Co trudno?

– Powstrzymać przed wyrażeniem emocji. Sęp próbuje i nic z tego nie wychodzi.

– Macie dziesięć sekund.

Zawadzki starał się policzyć drzwi na tym odcinku korytarza, który znajdował się przed nimi. Sporo ich. Niektóre pewnie zamknięte od środka. Gdy zaczęła się ta zadyma, część pracowników zabarykadowała się we własnych biurach, żywiąc nadzieję na przeczekanie kryzysu.

W końcu za plecami komisarza zaroilo się od urzędniczek. Zbite w ciasną gromadę gadały jak nakręcone.

– Bolo, wyprowadź je jak najszybciej. – Komisarz nie potrafił dokładnie określić, o co chodzi, ale czuł, że nic tu po nich. – Niech się w końcu uciszą.

– Kiedy...

– Mają się zamknąć, już teraz! – Mocniej uchwycił MP5 w garści. Poczucie zagrożenia niemal ścinało go z nóg. W całym swoim życiu już raz odczuł wpływ siły wyższej, może to była intuicja, nieważne, wtedy gdy starał się powstrzymać szaleńca wywijającego siekierą i właśnie biorącego zamach, by roztrzaskać mu głowę.

Przez ten hałas nic nie słyszał.

– Bolo...

Drzwi windy otworzyły się na oścież. Nie, nie wysiadła z niej wiwatująca gromadka zakładników, szczęśliwych, że ich męki dobiegły końca. Zobaczył cztery czy pięć tarcz balistycznych i lufy wymierzonych w nich gnatów. Zdaje się, że wkroczyli na teren Apaczów, nie mając o tym pojęcia.

– Uwa... – Końcówka słowa utonęła w jazgocie kanonady.

– Odwrót! – zarządził.

Pistolet maszynowy w jego dłoniach ożył. Trafiał, lecz nie miało to większego znaczenia. Wróg dobrze się zabezpieczył. Zawadzki sięgnął po granaty ogłuszające. Tamci okazali się szybsi. Błysk i huk. Szczegóły otoczenia rozmyły się. Poczuł falę mdłości, a zaraz potem mocne uderzenie w pierś. Co z tego, że miał kamizelkę kuloodporną. Pocisk wycisnął z płuc komisarza całe powietrze, jakby mu słoń skoczył na mostek. Zaczął się dusić, nie mogąc wziąć wdechu. W końcu udało się to zrobić, ale tylko do połowy, później ponownie nastąpiła blokada.

Już nie słyszał radosnych okrzyków, tylko wściekły warkot broni maszynowej. Kobiety, które przed momentem cieszyły się wolnością, teraz padały jak muchy. Urzędnicze uniformy nie chroniły przed kulami. Na białych bluzkach pojawiły się szkarłatne plamy.

– Bo... – Jakże ciężko jest wydusić słowo, gdy człowiekowi brakuje oddechu.

Ktoś rzucił granat dymny. W końcu drzwi od windy zatrzasnęły się, a strzelanina ucichła.

Niezgrabnie pozbierał się z podłogi. Takiej rzeźni dawno nie widział.

– Bolo? – Spośród leżących postaci starał się wyłowić tę, która należała do aspiranta.

W końcu został otoczony przez własnych ludzi, nie wszystkich, tylko tych, którzy potrafili ustać na nogach.

– Szefie, Bolo zginął.

Wolałby tych słów nigdy nie usłyszeć.

– Jak?

– Dostał w twarz. Sęp jest ranny. Czarny też.

Dostali w skórę, nim zdążyli się zorientować, co zaszło. Jak on spojrzy w oczy matce Bola? Kurwa. Kto tu nawalił? On czy jakiś debil na górze, który jedyne, co ma do stracenia, to własną posadę?

– Jak mogło do tego dojść?

– Zabezpieczali teren.

– Trzy osoby zabite, pięć rannych. – Hańczy ręce trzęsły się jak w febrze. – To ma być zabezpieczenie?

– Niech się pan uspokoi, inspektorze. – Banach spróbował przemówić Hańczy do rozumu. – W ten sposób nie posuwa pan sprawy do przodu.

– Ich tam miało nie być, pan tego nie potrafi zrozumieć? Jakiś kretyn posłał ich na pewną zgubę za moimi plecami.

– Jeżeli tak rzeczywiście się zdarzyło, należy to zbadać i wyciągnąć surowe konsekwencje.

– Pojadę tam i dowiem się, kto nam bruździ.

– Tak będzie najlepiej – zgodził się z nim generał.

Inspektor nie czekał ani chwili dłużej. Gdy już znikł, Banach skinął na zastępcę.

– Stasiu, wiesz coś o tym?

– Nieoficjalnie.

– Tyle mi wystarczy.

– Były straszne naciski na Zawadzkiego, facet zmiękł, nie potrafił się postawić. Hańcza był niedostępny, no i się stało, co się stało.

– Nazwiska?

– Mrówny, były wiceprezes TVP, a obecnie zastępca prezydent miasta.

– Aż tak?

– Chciał, by policja przeszukała miejsca, gdzie mogą ukrywać się potencjalni zakładnicy.

– Co dalej?

– Wygarnięto ponad dwadzieścia osób, które z różnych powodów pozostały w budynku. Później, niestety, doszło do tego przykrego incydentu. Ci gnoje dali nam w ten sposób wyraźny znak.

– Tak to wygląda. Widziałeś, jaki Hańcza był wściekły.

– Pan się dziwi? – Na przystojnej twarzy pułkownika Stanisława Osmeckiego pojawił się cień zniechęcenia.

– Nie, Stasiu, ja już nie dziwię się niczemu. – Generał zatrzymał wzrok na zegarze. Dochodziła pierwsza po południu, a oni nawet o krok nie przybliżyli się do końca kryzysu. – Wiadomo, co z Bielawą?

– Kompletnie nic.

– A Szczepańska?

– Tak samo.

– To duży kłopot, a ty to mówisz z takim spokojem?

– Na Francuskiej nasz zespół natknął się na zwłoki.

– Jakie zwłoki?

– Dwie osoby: mężczyzna i kobieta, tożsamości jeszcze nie znamy. Wiele wskazuje na to, że to robota naszej agentki.

– Oliwii?

- Relacje świadków są w tej sprawie zgodne i mówią o młodej, ładnej blondynce z gnatem.
- Wiesz, jak to jest ze świadkami, jeden widział to, a drugi tamto. I co dalej?
- Zabrała broń i oddaliła się w towarzystwie starszego mężczyzny podobnego do Bielawy.
- Gdzie są teraz?
- Od tego momentu zeznania zaczynają się różnić. Według jednych wsiedli do samochodu i odjechali. Niektórzy natomiast twierdzą, że usiedli w knajpie i pili kawę. Pracujemy nad tym.
- Podeślij tam, kogo trzeba. Tylko dyskretnie – zaznaczył Banach.
- Oczywiście, panie generale.
- Raport z sekcji zwłok chcę mieć natychmiast, jak tylko będzie dostępny. I mają to zrobić nasi specjaliści. To priorytet.
- I ja tak myślę. Ciała powiedzą nam więcej niż żywi ludzie.
- Otóż to. – Banach nie chciał sobie robić zbyt wielkich nadziei, lecz sekcja zwłok mogłaby im dać odpowiedzi na parę zasadniczych pytań.
- Kto do tej pory zajmował się tematem?
- Dwaj policjanci. Gadamy z nimi. Znaleźli się na miejscu przez przypadek. Doświadczenia oczywiście żadnego. Próbowali się połączyć z komisariatem. Nic z tego nie wyszło, więc stali i czekali, aż zdarzy się cud.
- I cud zdarzył się w postaci naszej ekipy.
- My też miewamy farta.

Samoloty linii Red Wings już od dawna nie przewoziły pasażerów. W tych trudnych czasach pozostały loty towarowe, choć i w tym segmencie rynku sytuacja nie była ciekawa. Upadek Stanów Zjednoczonych i wojna na Bałkanach dobiły wszystkie europejskie gospodarki.

Przewoźnicy obniżali ceny, a przecież eksploatacja samolotu, wynagrodzenie załogi i personelu pomocniczego oraz ceny paliwa lotniczego swoje kosztowały. Kwestią czasu było, kiedy firma w końcu padnie na pysk. Ten przelot na trasie Dublin–Warszawa mógł być ostatnim.

Sam lot nudny, a ładunek mało kłopotliwy. Składały się nań dzieła sztuki, meble i masa osobistych przedmiotów należących do jakiegoś milionera, który chciał osiąść na stałe w Polsce.

Swoją drogą, ludzie to mają fantazję. Żeby tak pięć ton kłopotów samolotem? Koleją byłoby taniej, ale ktoś chce wydać forszę na takie zachcianki, to proszę bardzo. Ian McDermond nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia, był tylko pilotem. Przynajmniej klient nie stał im nad głową i nie gderał. Sam podobno wybrał się w podróż jachtem.

Takich ludzi McDermond nie rozumiał zupełnie. Nie muszą nigdzie wyjeżdżać za pieniędzmi, a mimo to zamiast siedzieć na tyłku w domu, szwendają się po całym świecie. On za nic by się nie ruszył z Bray. Miał tam dom z widokiem na morze i nie potrzebował niczego więcej do szczęścia.

Za parę minut posadzi maszynę na pasie warszawskiego lotniska, potem krótka przerwa, obiad i spacer dla rozprostowania nóg. Powrót zapowiadał się tak samo nudny jak obecny lot. Gdzie te czasy, gdy po niebie latały tysiące samolotów... Zostały prawie same maszyny wojskowe, na nich się nie oszczędzało.

Zupełnie tak jak teraz. Para F-16 przeszła nie dalej jak tysiąc metrów od nich i szybko odbiła gdzieś w bok. Zdaje się, że lotnisko było już blisko. Dziwne, że nikt nie próbował nawiązać z nim łączności, nie odpowiadał też na jego zgłoszenia. Absolutna cisza w eterze. To musi być jakaś megaawaria, pomyślał i zaczął wypatrywać jakichś znaków z ziemi, w rodzaju zielonych lub czerwonych reflektorów, które pozwoliłyby mu zorientować się w sytuacji. Zamiast tego nagle oślepiła go wiązka laserowa.

Na wieży kontroli lotów lotniska imienia Fryderyka Chopina w Warszawie trwała gorączkowa dyskusja. Wszystkie loty zostały przekierowane do innych portów, tylko ta jedna maszyna linii Red Wings z uporem kontynuowała lot, nie odpowiadając na wezwania do opuszczenia przestrzeni powietrznej nad stolicą.

Kontrolerzy lotów nie są podatni na panikę. Pomysłów na rozwiązanie problemu nie brakowało, brakowało natomiast czasu i środków. Ich systemy komunikacji najwyraźniej też zostały przejęte przez terrorystów, wobec czego właściwie mieli związane ręce. Widzieli na radarach samolot, ale w żaden sposób nie mogli wpłynąć na przebieg lotu. Odpalono pojedynczą czerwoną rakietę – znak zakazu lądowania – jednak nie dało się zauważyć jakiegokolwiek reakcji na nią.

Pozostało mieć nadzieję, że to nie kolejny akt terroru i pilot, zamiast włączyć się w terminal, po prostu wyląduje samodzielnie. To w końcu czarter towarowy, a nie maszyna pełna podróżnych.

Napięcie rosło do chwili, gdy na pół minuty przed lądowaniem transportowiec... rozpadł się na kawałki i spadł na osiedle w Ursusie.

Banach obserwował wydarzenia na wielkim ekranie umieszczonym w centralnym punkcie pomieszczenia. Większość ze zgromadzonych miała grobowe miny. Znowu w którymś miejscu nawalili. Wypadek czy zamach? Z tego miejsca trudno było określić przyczynę katastrofy. Amatorskie nagranie było kiepskiej jakości, a w przedpotopowym zestawie RTV, jakim dysponowało centrum, brakło nagrywarki, która pozwoliłaby na przejrzenie obrazu w zwolnionym tempie.

– Ja się pytam, gdzie było nasze lotnictwo? – grzmiał pułkownik Pietrzyk.
 – Niech się pan tak nie denerwuje – studził emocje ktoś ze środka sali.
 – Ja się denerwuję?! Ja?! O ile się nie mylę, procedury mówią wyraźnie, co należało zrobić.
 – Pan by od razu chciał zestrzelić ten samolot.
 – Oczywiście. – Pietrzyk uniósł palec wskazujący do góry. – Należało tak zrobić, zanim znalazł się nad terenami zurbanizowanymi. I co teraz mamy?

– To mogła być zwykła awaria radia.
 – A w konsekwencji mamy już kolejną dzisiaj katastrofę.
 Tyrada mogła trwać jeszcze długo, lecz rozległ się dzwonek telefonu.
 Tym razem należało działać rozważnie, nic nie pozostawiając przypadkowi.
 – Proszę o spokój – uciszył zgromadzonych Banach. – Stasiu, ty będziesz gadał.

Negocjator siedział tuż obok aparatu, lecz nikt nie zaprotestował.
 Stanisław Osmecki podszedł bliżej, rozejrzał się dookoła, aż napotkał spojrzenie szefa. Ten skinął głową.

– Centrum Zarządzania Kryzysowego.
 – Wiem. – Bezosobowy głos, ten sam co poprzednim razem, ponownie zmroził szpik w kościach wielu słuchających. – To była kara. Ostrzegałem.
 – Kara? Nie zrobiliśmy nic takiego...
 – Milczeć.

Spektakl był starannie wyreżyserowany, ale krótki, więc po początku i rozwinięciu szybko zmierzał do punktu kulminacyjnego.

– Wyraźnie powiedziałem, że macie się trzymać z daleka.
 – Jeżeli chodzi o to zdarzenie...
 – Nie interesuje mnie to. Złamaliście zakaz. Jeżeli spróbujecie drugi raz, kara będzie znacznie

surowsza.

– Przyjmiemy wasze żądania...

Przerwany sygnał obwieścił koniec rozmowy.

– Nie nagadałeś się, Stasiu – powiedział Banach.

– Raczej nie.

– To mamy już jasność, kto za tym stoi.

– Ale jak to zrobili? – Cisłocki przepchnął się do przodu. – Podłożyli bombę?

– Możliwe, choć mało prawdopodobne.

– Samoloty nie rozpadają się same w powietrzu.

– Wiem o tym, panie Dariuszu, ale pozwólmymy wypowiedzieć się ekspertom. Na pewno znajdą przyczynę. – Przerwał, bowiem z kabury przy pasie odezwał się jego telefon. – Przepraszam, lepiej będzie, jak go odbiorę.

Po chwilowym porannym zamieszaniu udało się uruchomić bezpieczną łączność wojskową. Na razie system działał, a możliwość korzystania z osobnego, dodatkowo szyfrowanego kanału SWW rekompensowała Banachowi większe gabaryty telefonu przypominającego krótkofalówkę. Bez łączności na wojnie ani rusz. Każdy, kto siedział w temacie, rozumiał to doskonale. Gdy nastały jego rządy, postawił na zmiany. Ta się udała.

Na początek sprawdził, kto dzwoni. Borzęcki. No super... Ciekawe, co tym razem?

– Proszę cię, Oskar, mów zwięźle, tu jest istne urwanie głowy.

– Mamy anomalie.

– Mów jaśniej.

– Dobra. Ten samolot nad Ursusem został zestrzelony.

– Tego sam się domyśliłem.

– Dron jest niewidzialny...

– No...

– Ale rakietą, która go zestrzeliła, już nie. – Z głosu Borzęckiego biła radość, przykro kontrastująca z dramatem wałkowanym w telewizji. – Dron najwyraźniej przenosi pociski w komorach wewnątrz kadłuba, podobnie jak samoloty stealth. Ci durnie zdradzili się sami. Nie są tacy genialni, jak się nam wydawało.

– Wiesz co, Oskar? Jestem z ciebie dumny.

– Nie mnie dziękuj, tylko im.

– Czyli już wiesz, jak pozbyć się tego śmiecia?

– Mam coś więcej.

– Mów.

– Jest tu tak pięknie, że nie wiem, co powiedzieć. – Bielawa przyglądał się płynącej nieopodal Wiśle. Od lat już tutaj nie przychodził. Obowiązki w parlamencie pochłaniały go całkowicie. W kółko jakieś głosowania, obrady i delegacje. Gdzie tu czas na rozkoszowanie się samym życiem? W młodości chciał podróżować, zwiedzić cały świat, a potem przyszła proza dnia codziennego, a jeszcze później polityka.

Patrząc teraz na własne osiągnięcia z dystansu, był gotów powiedzieć, że zmarnował pół życia na głupstwa.

Był ważny – tak ważny, że nie potrafili się bez niego obyć – a jemu nagle wszystko zbrzydło. Na politykę napatrzył się już dość, by nie mieć złudzeń.

Obejrzał się na Wiktorię, która właśnie z wyraźnym zdumieniem przyglądała się wyświetlaczowi smartfona.

– Banach? – zapytał.

– Raczej nie – usłyszał niepewną odpowiedź. – Kto mówi? – Była tak pochłonięta rozmową, że przestała zwracać uwagę na otoczenie. – Łukasz, to ty? Zaskoczyłeś mnie. Poczekaj, jeśli możesz... Panie Ryszardzie, to zajmie chwilę.

– Proszę się mną nie przejmować.

Oddaliła się parę kroków i stanęła nad rzeką w cieniu drzew.

Bielawa z kolei podszedł do bardziej gliniastego, twardszego piachu, schylił się i podniósł niewielki płaski kamień. Kiedyś puszczał kaczki na wodzie, może nie zaszkodzi spróbować ponownie.

Trochę zdziwił się niskim stanem rzeki. Fakt, w zimie za dużo śniegu nie napadało, deszcze też wydawały się mniej obfite niż kiedyś. Gdzieś tam w Afryce ludzie już tłukli się o dostęp do wody. Niewykluczone, że Europę czeka to samo.

– Pan marszałek Bielawa, prawda?

Istny dzień niespodzianek, od samego rana wydarzenia miały nim jak łupiną orzecha po wzburzonych falach, Oliwia, Wiktoria, a teraz...

– Pan to kto?

– Chorąży Leszek Dalder, Biuro Ochrony Rządu.

– Naprawdę?

Facet nie budził zaufania. Jakiś taki mały i pokręcony. Wyglądał raczej, jakby sam potrzebował ochrony.

– Czego pan chce?

– Ta osoba... – Dalder dyskretnie wskazał Wiktorię rozmawiającą na uboczu – ...to kto?

– Z podobnej firmy co pan. Ochronia mnie, bo okropne dziś panuje zamieszanie.

– Żeby pan wiedział.

Dla nikogo z nich nie była to komfortowa sytuacja. Bielawa instynktownie wyczuwał, że znalazł się w niebezpieczeństwie, Yvonne wyglądała na całkowicie pochłoniętą rozmową, a chorąży Dalder zupełnie nie wiedział, co ma dalej robić.

Obserwował tę kobietę od momentu, gdy wyszła z seminarium w towarzystwie postawnego policjanta.

Dalder nie miał akurat służby, ale coś go tknęło. Wiedział o ataku na Pałac Prezydencki, w każdej sekundzie spodziewał się wezwania. Nim to nastąpi, postanowił rozejrzeć się w pobliżu, mieszkał zaledwie parę ulic dalej. Obchodził teren od północy, gdy zobaczył podejrzaną parę. W każdych innych warunkach dałby sobie spokój, co go mogły obchodzić prywatne sprawy funkcjonariusza policji, ale tym razem zachowanie dwojga ludzi wydawało się podejrzanym. On zapatrzony w nią jak w obrazek, ona ukradkiem rozglądająca się po ulicy. I jeszcze to dziwaczne miejsce spotkania.

Dziewczyna z powodzeniem mogła pracować w policji, wtedy jej obecność na terenie seminarium byłaby uzasadniona, tylko po co obściskowała się z policjantem, gdy już zeszli wszystkim z widoku.

Jak na złość przestały działać telefony. Szybko dorwał jeden z patroli i wyjawiał, o co chodzi. Sam poszedł za dziewczyną.

Szybko się okazało, że przecucie go nie myliło. Osoba mająca czyste sumienie nie uciekałaby się do takich sztuczek. Początek to jeszcze nic, przemarsz na Freta nie sprawił Dalderowi większego problemu, wyzwaniem było zdążyć za nią na Dworzec Wschodni. Do takiej roboty potrzeba kilkunastu ludzi i paru samochodów. Tworzy się wówczas tak zwane pudełko, obiekt jest w środku, a śledzący przed nim, za nim i z obu boków. Tak mówi teoria. On był sam.

Jakoś sobie poradził i raczej nie został dostrzeżony. Trochę pomógł przypadek, ta kolumna na Targowej czy korek nieopodal Stadionu Narodowego.

Od tamtego miejsca było już łatwo. Jej spotkanie z Bielawą w jakiejś bocznej uliczce, niby zupełnie przypadkowe, z daleka pachniało inscenizacją. On w takie przypadki nie wierzył.

Kluczenie nad Wisłą tak, by nie stracić ich z oczu, okazało się najtrudniejszym momentem akcji. Dotarł aż tutaj, telefon wciąż nie działał, a jemu kończyły się pomysły.

– Proszę pójść ze mną.

– Coś pan, oszalał?

Dalder próbował chwycić Bielawę za ramię, ale tamten się wyrwał.

– Ta kobieta pana zabije.

– Żarty się pana trzymają.

Chorażemu wydawało się, że jest przygotowany na wszystko, ale upór polityka wyraźnie go zaskoczył.

– Pan nie rozumie...

– Odczep się ode mnie.

Dalsza szarpanina z Bielawą nie mogła doprowadzić do niczego dobrego. Potrzebował wsparcia, lecz na to akurat nie mógł liczyć.

– Oskar, jesteś pewny?

– No wiesz...

– Tak, wiem. – Banach nie widział potrzeby wchodzenia Borzęckiemu na ambicję. – Mówiłeś, że jak się to odbywa?

– Tym dronem nie kierują ludzie znajdujący się w pałacu ani tym bardziej ci na Woronicza. To tylko grupy szturmowe i wykonawcy poleceń. Centrala znajduje się w innym miejscu.

Generał się zamyślił. Do czegoś takiego nie wystarczy garaż na obrzeżach stolicy. Centrum dowodzenia, nawet takie polowe, potrzebuje miejsca i anten, tak przynajmniej było do tej pory.

– Oskar, czemu ucichłeś?

– Posłuchaj, Emil, mówię to, bo cię lubię. Nie obraż się, ale...

– Ale co?

– To mi pachnie spiskiem.

– Bo to jest spisek.

– Ty mnie nie rozumiesz. Ja nie mówię o paru szajbusach grożących komuś bronią, tylko o zмовie bardzo wysoko postawionych osób. Zadałeś sobie pytanie, skąd oni mają niewidzialnego drona? A widzisz. Kto zagłusza łączność i miesza nam szyki? Przecież nie zwykły haker, taki koleś w starym podkoszulku, tylko grupa profesjonalistów z górnej półki, na pewno mających doświadczenie wojskowe lub specjalizujących się w inwigilacji na masową skalę. Teraz odpowiedz sobie sam na pytanie, kto dysponuje najlepiej przygotowanym personelem do takich nieszablonowych działań.

– To znaczy?

– Dron lata na jednym końcu świata, a operator siedzi za pulpitem bardzo daleko.

– Sugerujesz, że...

– Ja niczego nie sugeruję. Na moje oko to i tak miałeś szczęście. Chcieli cię mieć żywego. Równie dobrze mogli pieprznąć w ten twój samochód za pomocą rakiety z drona. Czysta robota. Nawet nie wiesz, kiedy umrzesz.

– Potrafisz mnie wzruszyć do łez.

– Nie zapominaj, że oni wciąż mają przewagę.

– Dobra, Oskar, jestem ci wdzięczny.

– Uważaj na wszystko, co mówisz, gdzie mówisz i w jakim towarzystwie.

Banach skończył rozmowę. Spojrzał na telefon. I im dłużej przyglądał się temu cudowi techniki, tym czuł większą odrazę.

Jeżeli Borzęcki ma rację, to sprawy wyglądały gorzej, niż myślał. Spisek? A jeżeli tak, to kogo? Przecież nie Cisłockiego i opozycji, chociaż kto ich tam wie.

Wstrząsnął nim zwłaszcza koniec rozmowy. Że też nie pomyślał o tym wcześniej. Na wyposażeniu którego państwa może znajdować się taka zaawansowana technologia i doświadczeni ludzie?

Izrael. No dobrze, nie od dziś wiadomo było, że po stracie swojego głównego protektora państwo to już dosłownie stało się oblężoną twierdzą, a jak w każdej twierdzy na pewno byli i tacy, którzy pragnęli znaleźć się jak najdalej od świętej ziemi przodków.

Wyjazd do Europy w tym przypadku wydawał się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Tylko... No właśnie, tylko jak? Parę milionów dotychczasowych uchodźców już zdestabilizowało wewnętrzną sytuację tych nielicznych państw, które jeszcze nadawały się do osiedlenia.

Gdzie mogło przenieść się kilkaset tysięcy Żydów? W Izraelu byli chociaż u siebie. Czy przyjmie ich Francja? Kraj duży, więc może na prowincji? Tylko gdzie? Tam nie było dużo lepiej, a pod wieloma względami i gorzej. Nowi imigranci staliby się żerem dla islamistów. Może Anglia albo Skandynawia? To samo.

Tym politykom, którzy nawoływali do określenia europejskiej polityki od nowa, wyraźnie brakowało rozumu. Z korzeni judeo-chrześcijańskich przejdziemy na muzułmańskie?

Ciekawe, kiedy to wszystko w końcu pierdolnie, bo pierdolnąć musi. Kiedy mieszkańcy przedmieść przyjdą do tych, co mieszkają w centrum, i zaczną zaprowadzać własne porządki. Długo to nie potrwa – rok albo dwa. Potem szlus i wszystkim puszcza nerwy.

Nie dalej jak wczoraj usłyszał, że kolejny rok z rzędu klęska suszy dotknie Indie, co bezpośrednio zagrozi trzystu trzydziestu milionom obywateli subkontynentu. Co się z nimi stanie? Banach nie miał pojęcia. Zdaje się, że nikt nie miał.

Izrael i Indie to sprawy na później. Wracając do problemu drona, to kto jeszcze dysponował podobnymi technologiami? Niemcy, Francja, Anglia i Rosja, może... Szlag by to. Każde z tych państw próbowało utrzymać dotychczasową pozycję lub ugrać coś ekstra w obecnej zawierusze. Wychodziło im to lepiej lub gorzej. Nie przebierały w środkach, to fakt, ale czy były w stanie doprowadzić do tak ohydnych działań?

Odpowiedź była prosta – jak najbardziej. Przetrwają najsilniejsi, słabi zginą. To nie przerośnięta, tylko prawda.

Kiedy nie tak dawno w Polsce wylądowało kilkadziesiąt tysięcy amerykańskich żołnierzy z rodzinami, pomysł na ich ściągnięcie wydawał mu się doskonały. Po paru miesiącach, które minęły od tego czasu, nie był już o tym tak święcie przekonany.

Pod wieloma względami Rzeczpospolita ruszyła z kopyta, to niezaprzeczalny fakt, ale pojawiły się też patologie, przestępczość, o jakiej wcześniej nie mieli pojęcia, oczywiście nie chodziło o ordynarne prucie sejfów, tylko transfery gotówkowe, szpiegostwo przemysłowe i bankowe, masowe dezercje. Ci, którym zamarzyła się łatwa forsa, wchodzili w układy z nadwiślańskim półświatkiem, dając lokalnym gangom i mafiom niespotykany dotąd rozmach i mnóstwo broni. Policja i inne organa stanęły przed wyzwaniem podobnym do początku lat dziewięćdziesiątych. Krótko mówiąc, często wydawało się, że to nie pies merda ogonem, tylko ogon psem.

– Stasiu, pozwól na słowo.

Osmecki podszedł bliżej.

– Tak, panie generale?

– Jak tam ta sekcja?

– Jeszcze nie skończyli.

– Wystarczą mi wstępne wyniki.

– Śmierć nastąpiła na skutek...

– Nie o to pytałem – warknął Banach.

- Ani mężczyzna, ani kobieta nie występują w naszych bazach danych...
- Czyli że archiwa mamy do dupy.
- ...tym bardziej że przeszli szereg skomplikowanych operacji plastycznych.
- Co ty nie powiesz? – zdziwił się generał.
- Po łuskach zidentyfikowaliśmy broń. To M9 lub Beretta 92F i FN P90.
- W supermarketach takich nie sprzedają.
- Nie u nas.
- Profesjoniści. Z szeregów armii czy służb, Stasiu? Powiedz, jakie jest twoje zdanie?
- Ja bym pogadał z generałem Clarkiem. Nieoficjalnie, tak po przyjacielsku. Na pewno ma własną opinię na temat tego, co zaszło.
- Jak to dobrze, że jesteś po właściwej stronie – sarkastycznie zauważył Banach.
- Pan generał jest dla mnie zbyt łaskawy.
- Wiem, co mówię.

Jeżeli już mowa o spisku, to Jeremy Clark wydawał się odpowiednią osobą, by zadać jej parę pytań. To w końcu on podjął niełatwą decyzję o przetransportowaniu do Polski armii, której nikt nie chciał. Nie wszyscy z tych ludzi to potulne owieczki. Clark na pewno dużo wiedział, tylko czy zechce podzielić się tą wiedzą?

Ostatni kwadrans Oliwia musiała uznać za stracony. Kręciła się to tu, to tam i za każdym razem efekt był ten sam. Po Bielawie ślad zaginał, facet dosłownie rozplynął się w powietrzu. Jak ona teraz spojrzy Banachowi w oczy? Dostała rozkaz i tak go pięknie spartoliła.

Próbowała podpytać ulicznych sprzedawców, czy nie widzieli mężczyzny, którego rysopis im podała. Prawie wszyscy wydawali się zainteresowani, a już najbardziej jej numerem telefonu, ale gdy pytała o konkrety, nic nie wiedzieli. Poszcęściło jej się dopiero w sklepiku z lodami. Jedna ze sprzedawczyń widziała podobnego starszego pana, lecz w towarzystwie kobiety.

W pierwszym momencie Oliwia pomyślała o pomyłce. Przecież Bielawa był sam. To skąd ta kobieta? W każdym razie skręcili w Berezyńską. W tę stronę idzie się tylko nad Wisłę. Nie pozostało jej nic innego, jak skorzystać z ostatniej szansy. Ruszyła biegiem pomiędzy ogrodzonymi posesjami, mając nadzieję, że jednak nikt go nie porwał, a przede wszystkim, że nie zobaczy jego zwłok za którymś zakrętem.

Po kilkuset metrach zwolniła. Żelastwo w reklamówce zaczęło jej ciążyć. Zacisnęła zęby. Nie podda się przecież z tak błahego powodu. Na prawo, w perspektywie ulicy, zamajaczyła biało-czerwona bryła Stadionu Narodowego. Rozejrzała się. Którędy oni poszli? Możliwości było mnóstwo. Nikogo podobnego do Bielawy nie dostrzegła, za to na chodniku gawędziła para wyrostków. Byli od niej dużo młodszy, może nawet o dziesięć lat.

Dyszząc, zapytała o kobietę i starszego mężczyznę. O dziwo, uzyskała całkiem zwięzłą odpowiedź i wskazówki, jak iść. Gdy już się odwróciła, jeden z chłopaków zapytał o godzinę. Najwyraźniej mieli ochotę na dłuższą pogawędkę. Nic z tego.

Schody prowadzące na Wał Miedzeszyński pokonała, skacząc po dwa stopnie. Na szczęście przejście dla pieszych było blisko, a ruch na jezdni umiarkowany. Sprężyła się w sobie i przebiegła przez jezdnię tuż obok pasów. Tylko jeden z kierowców zatrafił. Z prawej strony dostrzegła tawernę, podbiegła tam, lecz lokal był zamknięty. Dalej, pomiędzy ulicą a brzegiem rzeki, rozpościerała się zwarta ściana drzew, która zasłaniała widok. Ani śladu marszałka. Co dalej? Mogli pójść do mostu Poniatowskiego i stamtąd dojechać do centrum. Zresztą samochód mógł ich zabrać z każdego miejsca, ale przecież by tyle nie szli, żeby nagle tutaj wsiąść do samochodu. A skoro poszli dalej, to tylko nad Wisłę. To ostatnia opcja.

– Proszę cię, mów jaśniej. – Yvonne przemawiała do Adamskiego wręcz matczynym tonem.

Ten telefon był jak uderzenie obuchem. Odezwał się w najmniej odpowiednim momencie. Odebrała powodowana impulsem.

– Jesteś poszukiwana.

– Przez kogo?

– Przez policję.

Nie była debiutantką, ale czegoś takiego się nie spodziewała. Jak policja do niej dotarła? Przecież kontrolują ich łącza, przechwytyują wiadomości, a tu kompletna porażka.

– Skąd wiesz?

– Pytali mnie o ciebie. Powiedzieli, że już mogę kopać sobie grób.

– Co im powiedziałaś? – wyszeptała przez zaciśnięte gardło.

– Nic, kompletnie nic.

Wyczuła w jego głosie fałszywą nutę.

– Nie oszukuj mnie.

– Tylko nazwisko, coś musiałem. Nie musisz się niczego bać. Wszystko będzie dobrze.

Gówno prawda, nic już nie będzie dobrze. Była ostrożna, a mimo to...

Gdzie Bielawa? Zerknęła przez ramię. Marszałka Senatu zlokalizowała bez problemu. Stał i gadał z jakimś pokurczem, właściwie to się z nim szarpał. Czas działać.

– Wiktoria, jesteś tam? – Adamski wcale nie chciał kończyć rozmowy.

– Nie mogę teraz rozmawiać.

– Już są?

– Kto?

– No ci, którzy mają po ciebie przyjść?

Ten facet kompletnie nie nadawał się do policji. Histeryzuje jak stara baba. Na wszelki wypadek rozejrzała się dookoła. Nie to, żeby udzieliła jej się panika policjanta, ale zasiał on jakiś niepokój w jej umyśle. Czysto. No to rozwali jednego i drugiego. Ta zabawa trwała już zbyt długo.

– Muszę kończyć.

– Poczekaj.

Rozłączyła się i wyłączyła smartfon. Włożyła go do torebki, gdzie wymacała Colta. Od obu mężczyzn dzieliło ją jakieś dwadzieścia metrów.

– Hej, ten facet twierdzi, że... – Bielawa umilkł na widok pistoletu w jej smukłej dłoni.

Obaj zamarli, stojąc ramię przy ramieniu. Który pierwszy? Ten niższy. Wydawał się bardziej niebezpieczny. Nie wiedziała, kim jest, ale gdyby posiadał spluwę, już by ją wyciągnął.

Bielawa trochę zasłaniał cel, a tak po prawdzie, to jego musiała kropnąć. Teraz czy później, co za różnica?

Chorąży Leszek Dalder znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Podjął działanie i przegrał. Jedyne, co mógł zrobić, to ratować samego siebie. Krzaki rosły całkiem blisko. Szansa niewielka, ale lepsza taka niż żadna.

Schylił się i skoczył. Po dwóch susach zmyłka. Pierwszy pocisk przeszedł na prawo od niego. Odbił się z lewej nogi, przetoczył po ziemi i momentalnie zerwał. Jeszcze trzy metry i zniknie prześladowczyni z oczu. Adrenalina krążąca w żyłach dodawała mu energii. Co teraz? To samo, tylko w odwrotnej kolejności, a może jedno potężne odbicie i skok w zielsko?

Uderzenie w plecy zachwiało Dalderem. Całą prawą stronę ciała mu sparaliżowało. Nie mógł oddychać, w oczach pociemniało, a nogi się pod nim ugięły. Upadł. Do zbawczej kępy pozostało

najwyżej pół metra. Zacisnął zęby. Ludzie wychodzili nie z takich tarapatów. Jemu też się powiedzie.

Yvonne była już pewna. Pokurcz co prawda skakał jak konik polny, ale w niczym mu to nie pomogło. Był ciężko ranny lub wręcz umierający. Nie ujdzie daleko. Widziała, jak niezgrabnie próbuje się czołgać przez mokrą, piaszczystą łąkę i w końcu zamiera na skraju zielonej kępy.

Teraz Bielawa. Dziadka sparaliżowało. Gapił się na nią jak sroka w gnat. Oczy jak spodki. Nerwowe oblizywanie ust. Zawsze tak było.

– Pani Wiktorio, o co chodzi?

– O nic.

– Czy ten... – Bielawa wskazał na ciało chorążego – ...człowiek był niebezpieczny?

– Nie wiem.

– To dlaczego pani strzelała?

Nie odpowiedziała, tylko podeszła bliżej. Rękę z Coltem trzymała luźno tuż przy udzie.

– Otrzymałam rozkaz.

– To wiem.

– Ale nie taki, jak pan myśli.

– Nie?

Gdy rozległ się pierwszy strzał, Oliwia zamarła. Przeczucie jej jednak nie myliło. Nawet się ucieszyła. Trop okazał się gorący. Jednak szybko mina jej zrzędła – ta suka mogła zastrzelić Bielawę. W tym przypadku jej wszystkie starania pójdą na marne.

Nie daruje. Zamiast po pistolet sięgnęła po maszynowy P90. Większa siła ognia, lepszy efekt.

Ostatni odcinek zagajnika pokonała biegiem. Nim wypadła na plażę, skryła się za grubszym pnem i wystawiła głowę. Zauważyła marszałka. Stał i gadał z kobietą odwróconą do niej tyłem. Kilkanaście metrów dalej spoczywało ciało jakiegoś człowieka. Dobra nasza, to on był pierwszą ofiarą.

Nie miała pewności, kim jest tamta, przyłożyła więc kolbę peemu do ramienia i wyszła z ukrycia. Nie strzelała. Na to zawsze jest czas.

Pierwszy oczywiście dostrzegł ją Bielawa. Wymamrotał coś pod nosem i zrobił krok w tył.

Kobieta odruchowo przesunęła dłoń z pistoletem do przodu tak, by go ukryć. Zręcznie. Zdaje się, że nie spodziewała się konfrontacji z uzbrojonym przeciwnikiem.

Stały twarzą w twarz. Uśmiech na twarzy morderczyni zgasł na widok Oliwii.

– Rzuć broń!

Nienawiść w spojrzeniu uderzyła w Szczepańską z siłą gromu.

– Rób, co mówię!

Niewiele osób decyduje się na walkę, mając przeciwko sobie strzelca z wycelowaną giwerą. Yvonne wyczekała, aż Szczepańska mrugnie, i padła płasko na ziemię, otwierając ogień z pistoletu. Oliwia spóźniła się o ułamek sekundy. Nacisnęła spust, gdy tamta już odtaczała się na bok. Na plaży wybuchło kilkanaście miniaturowych gejzerów piasku. Echo kanonady odbiło się od drzew i spokojnej tafli wody.

– Padnij! – krzyknęła Oliwia do Bielawy, popychając go lekko i strzelając jednocześnie dla ubezpieczenia.

Wiedziała, że sama musi natychmiast zmienić pozycję, inaczej zaliczy kulkę. Przeskoczyła w bok i próbowała ponownie wycelować, ale wciąż jej się to nie udawało. Jak zaczniesz strzelać na oślep, to nawet niesłychanie pojemny magazynek P90 się wyczerpie. Przyklęknęła na jedno kolano. Ciemna plama ubranej w żakiet i spódnicę zabójczyni znajdowała się teraz na lewo od niej. Kobieta tak manewrowała, by jak najszybciej zniknąć jej z oczu. Wystarczyłoby, żeby choć na sekundę znieruchomiała, a wtedy Oliwia dokończy, co tamta zaczęła.

Ciemnowłosa piękność doskonale zdawała sobie sprawę, że to by był dla niej wyrok. Może postrzeli Bielawę, ale sama zginie na pewno.

O Yvonne można było wiele powiedzieć, ale nie należała do samobójców. Wystrzelała już połowę magazynku bez widocznego efektu. Przedłużanie tej gimnastyki może się dla niej źle skończyć. Dosyć! Już nie mierzyła w tę zmorę z pistoletem maszynowym, tylko w marszałka Senatu.

Bielawa, który chciał się położyć, zgodnie z poleceniem Oliwii i zdrowym rozsądkiem, zdążył już klęknąć i pochylić się do przodu, gdy pocisk przeszedł mu tuż nad prawym barkiem. Marszałek padł natychmiast, nie dbając o nic.

Yvonne strzeliła ponownie, nie spodziewając się tym razem, że trafi. Chodziło tylko o zmuszenie blondynki do kolejnej zmiany pozycji.

Oliwia zerwała się do biegu, by stanąć pomiędzy nią a Bielawą. To wystarczyło. Maksymalnie skulona Yvonne odskoczyła pomiędzy drzewa. Pociski niczym rozwścieczone szerszenie fruwały nad jej głową. Bardzo nie chciała, by któryś w nią trafił. Mogła sobie darować tę gadkę jak z kiepskiego filmu, a tak znalazła się w punkcie wyjścia. Pech.

Nie obawiała się pościgu. Celem tamtej jest ochrona życia marszałka za wszelką cenę, a nie uganianie się po krzakach za zamachowcem. Dobrze, że ma wsparcie. Co prawda nie takie w postaci kolegi uzbrojonego w automat, ale elektroniczne oczy mocodawców są równie skuteczne.

Wściekła jak nigdy wcześniej wyszła z zagajnika na parking, przypominając demona z piekła rodem. Kostium brudny i w nieładzie, o makijażu nie ma co mówić, kolana podrapane, na dłoniach krew. W którymś momencie musiała zostać draśnięta. Nic nie czuła, a pobieżne oględziny też niczego nie wykazały.

Pieprzone improwizacje. Założenia operacji mówiły jasno – ona pilnuje prezydentowej, nie wdając się w żadne strzelaniny. Przecież na akcję ubrałaby się inaczej. No to posiedziała sobie w pałacu na szeszlonych i fotelach...

Na szeroki chodnik przed tawerną zajechał czerwony golf z rozbawioną parą. W uszy Yvonne uderzyła muzyka i trochę za głośny, wymuszony śmiech pasażerki.

Amerykanka podeszła z tyłu od strony kierowcy, przyglądając się mu. Nażelowana fryzura, na szyi złoty łańcuszek. Otworzył drzwiczki i ujrawszy padający nań cień, odwrócił głowę w jej stronę. Rękojeść Colta uderzyła go za uchem. Oczy zmętniały, lecz Yvonne oceniła, że to za mało. Powinna poprawić, ale w zamachu przeszkadzał boczny słupek. Na szczęście delikwent oparł się głową o kierownicę. Po kolejnym uderzeniu nie było już żadnych wątpliwości, że frajer ma dosyć. Złapała go za włosy i zrzuciła bezwładne ciało na ziemię.

Pasażerka dopiero na ten widok podniosła krzyk. Yvonne przestąpiła nad chłopakiem i zajęła jego miejsce za kierownicą. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Doskonale. Odpaliła silnik. Dopiero teraz zauważyła, że nogi ogłuszonego zaklinowały się pomiędzy fotelem a drzwiami. Z tym problemem poradziła sobie bez trudu, odjeżdżając parę metrów, dopóki nogi nie wypadły. Dopiero wtedy zamknęła drzwi.

– Zamknij się, pizdo! – ryknęła do pasażerki.

Dziewczyna nie posłuchała, więc uciszył ją cios łokciem w brodę. Opadła na fotel z jękiem.

Yvonne wyłączyła muzykę, która działała jej na nerwy. Z torebki wyjęła słuchawkę z mikrofonem, a końcówkę kabela podłączyła do smartfona.

Sprzęgło i jedynka.

– Jestem.

– W prawo, potem prosto – usłyszała beznamiętny głos prowadzącego ją operatora.

Uspokoiła się. Nerwy nic tu nie pomogą.

Kierownica wykonała pełny obrót, a na chodniku zostały czarne ślady opon. Włączyła się do ruchu tuż przed niebieskim ciężarowym DAF-em. Zawieszenie jęknęło. Bok volkswagena niemal otarł się o barierkę. Nic nie szkodzi.

Droga dobra, lecz nie ma miejsca, by rozpedzić wóz. Kolejny bieg. Wcisnęła gaz i pognęła osiemdziesiątką.

Przed przejściem dla pieszych nie zatrzymała się, tylko wcisnęła klakson i lekko skręciła, gdy kobieta z wózkiem i dzieckiem uczeptionym jej ramienia próbowała wkroczyć na jezdnię. Głupia cipa.

Za ten niespodziewany akt łaski aniołowie powinni zabrać Yvonne żywcem do nieba.

Nie miała pojęcia, dokąd kierują ją instrukcje operatora. To bez znaczenia, i tak była całkowicie zdana na niego. Kontrola sygnalizacji drogowej i rozpoznanie patroli policyjnych to wspaniała rzecz. Nie ma to jak dobry dron.

Lawirowała pomiędzy samochodami jak kierowca Formuły 1. Kierownica w jej dłoniach wykonywała obrót za obrotem. Ktoś nieźle podrasował ten wozik.

Wszystkie światła przed nią zmieniały się na zielone. Dobrze. Osobista zielona fala prowadziła ją jak po sznurku.

– Masz fajki? – spytała pasażerki.

Ta kiwnęła głową.

– Jedna dla mnie.

Przyjrzała się sobie w lusterku. Na czole widniała spora szrama. To stąd ta krew. Później się tym zajmie, na razie nie ma czasu na podobne drobiazgi.

– Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

Oliwia nie zwracała uwagi na bredzenie Bielawy. Zastanawiała się, czy dla pewności nie wywalić ostatniej serii w zagajnik. Doszła jednak do wniosku, że to nic nie da. W magazynku zostały dwa, trzy naboje. Na szczęście miała jeszcze swojego Walthera i zdobyczne M9.

– Pani Oliwio, dokąd pani idzie?

Mężczyzna postrzelony przez napastniczkę wciąż żył. Kula przeszła przez łopatkę, więc zapewne i przez płuco. Oliwia miała wrażenie, że wciąż był świadomy. Próbował się czołgać, lecz palce jedynie żłobiły bruzdy w piachu. Nie dostrzegła krwi wokół rannego.

– Mówił, kim jest?

– Podobno z BOR-u, ale kto go tam wie.

Oliwia przeszukała kieszenie i ubranie rannego. Nie znalazła broni, co wyjaśniało, dlaczego uciekał, a nie próbował walczyć. Trafiła za to na legitymację potwierdzającą słowa marszałka.

Sama nie była w stanie pomóc Dalderowi, który powinien jak najszybciej trafić na stół operacyjny.

– Co z nim?

Ten dziad doprowadzał ją do rozpacz.

– Wyraźnie mówiłam: czekać. Tak czy nie?

– No tak.

Borowiec tymczasem wydał ostatnie tchnienie. Jego palce rozluźniły się, jakby chciał pogłaskać ziemię. Szczepańskiej zbierało się na płacz. Ten człowiek zginął tylko dlatego, że Bielawie zachciało się pójść na spacer. Takiego durnia przyszło jej chronić.

– Czy on...? – Broda senatora drżała. – Przepraszam.

– Nie mnie przepraszaj... – Szczepańska chciała dodać parę soczystych słów, ale tylko otrzepała piasek z kolan.

– Dzwonił Banach. Tak się przedstawił, ja wiem, kto to jest. Mówił, że grozi mi niebezpieczeństwo.

– Nic więcej?

– Że pani jest, no nie wiem, jak to powiedzieć...

– Mam wykonać wyrok? – domyśliła się.

– Ale to nie są moje słowa. Głupio to wszystko wyszło, co ja poradzę... Wystraszyłem się. Jestem

tylko człowiekiem.

– Pan mnie chyba nie rozumie, panie profesorze. – Pułkownik Stanisław Osmecki bardzo starał się utrzymać nerwy na wodzy.

– Wprost przeciwnie, młody człowieku, jestem gotów spełnić pańską prośbę, ale nie zrobię wszystkiego od razu.

Nazwanie „młodym człowiekiem” czterdziestopięcioletniego oficera zakrawało na kpinę. W normalnych okolicznościach Osmecki pewnie przełknąłby złośliwość, udając, że jej nie dosłyszał, ale dziś nie miał ochoty na takie gierki.

– O ile sobie przypominam, ostatnim razem to pan profesor prosił nas o przysługę.

– No tak, rzeczywiście.

Cezary Chwałko nie należał do odważnych osób. Książki, sympozja, wykłady, nawet nagrody i odznaczenia – to był jego świat, mordobicie już nie bardzo. Światowej sławy chirurg plastyczny potrafił też korzystać z życia i nie skąpił niczego najbliższemu. Niestety, dwadzieścia pięć lat młodsza odeń żona nie potrafiła docenić tego, co ma, lub więcej warta dla niej była szaleńcza namiętność. Jej romans z trenerem fitness bardzo dotknął profesora.

Lekarz wcześniej parokrotnie miał już styczność z wywiadem – wykonał dla nich parę drobnych robótek – nad Wisłą ludzie również zmieniali wygląd, niekoniecznie powodowani próżnością. Nie namyślając się wiele, zdesperowany chirurg poprosił ich o spuszczenie łomotu gachowi żony. Przystali na to. Tak się akurat przypadkiem złożyło, że gibkiego adoratora profesorowej zupełnie bez powodu sponiewierał na drodze jakiś nerwowy kierowca z bejsbolem. Facet przeżył, chociaż zmienił się nie do poznania. Chwałko to wystarczyło, a oni się nie wypierali. Życie potoczyło się dalej.

– To kiedy?

– Jak najszybciej, samochód już czeka.

Do apartamentowca blisko parku Łazienkowskiego Osmecki pofatygował się osobiście. Mógł to zlecić któremuś z oficerów, ale niejednokrotnie przekonał się, że jak się samemu czegoś nie zrobi, to się później żałuje. Najpierw Chwałko, potem wizyta u Clarka. Właśnie w tej kolejności.

– Na jakie szczegóły mam zwrócić uwagę?

– To pan będzie wiedział najlepiej.

– Aha.

Osmeckiemu nie wpadł do głowy ani jeden konkret. Sekcję już zakończono. Patolodzy, którzy ją przeprowadzili, nie byli specjalistami w zakresie chirurgii twarzy. Stwierdzili suchy fakt przeprowadzenia operacji plastycznej i tyle.

– Proszę przyrzeć się implantom. Numery seryjne i tak dalej.

– Numery seryjne?

– Powiedziałem coś nie tak? – zdziwił się pułkownik.

– Przy normalnych zabiegach to i owszem, nowe biodro, zastawka, wkładka silikonowa, choć z tego, co pan mówił wcześniej, ci ludzie to za... – Chirurg zawahał się między słowem „zawodowiec” a „zabójca” – ...zamachowcy.

– Ma pan rację – przytaknął wojskowy.

– Po takich operacjach nie ma wpisów, numerów identyfikujących producenta pozwalających dojść do tego, komu została sprzedana dana partia towaru. Wszystko tajne przez poufne, to z kolei pan wie najlepiej.

– Zdaję sobie z tego sprawę, niemniej proszę wyciągnąć z nich wszystko. To dla nas bardzo ważne. – Osmecki skinął na agentów mających eskortować Chwałkę. – Wszystko, co pan ustali, proszę przekazać

tym oficerom.

– Telefony nadal nie działają.

– Nasze działają.

Chwałko wraz z obstawą wsiedli do samochodu i ruszyli z kopyta. Teraz po Clarka. Generał mógł się niecierpliwić.

Osmeckiemu nie spodobało się to, co zobaczył na ulicach. Choć dopiero dochodziła czternasta, wyglądało na to, że mało kto pracuje. Trudno wysiedzieć za biurkiem, gdy w mieście rozgrywają się tak dramatyczne sceny. Przed sklepami pojawiły się dawno niewidziane kolejki. Niepokojem napawały jednak grupy nastolatków i młodych mężczyzn skupiające się na chodnikach i w bramach domów oraz całkowity brak policji. Nim do stolicy dotrą dodatkowe bataliony z innych miast, upłynie jeszcze parę godzin.

Tak, ci gówniarze mocno go zaniepokoiili. Brakowało osoby, która swoim autorytetem mogła uspokoić nastroje. Cholera, Polska naprawdę stała się państwem bez przywódcy.

– Zatrzymaj – rzucił kierowcy.

Osmecki w jednym z przechodniów rozpoznał swojego kolegę. Jerzy Piotrowski już dawno odszedł do cywila i został wykładowcą w Szkole Głównej Handlowej, ale pułkownik wciąż utrzymywał z nim w miarę regularny kontakt.

– Jurek! – zawołał, gdy tylko granatowy peugeot 607 przystanął przy krawężniku. W tym miejscu obowiązywał zakaz zatrzymywania się, ale glin i tak nigdzie nie było.

Piotrowski rozpoznał kolegę i szybko podszedł do samochodu.

– Podrzucić cię? – zapytał Osmecki.

– Jeżeli możesz.

– Gdzie?

– Gagarina. Może być?

Nie było to po drodze, ale sam się zaofiarował. Nie pozostawi teraz kolegi na chodniku.

– Widzisz, co się dzieje? – Osmecki przesunął się na tylnej kanapie, by zrobić miejsce.

– Aż strach pomyśleć, co się może z tego wykluc. Tym gnojkom się wydaje, że szykuje się nowe powstanie czy co? – Piotrowski wskazał na kilku osobników poubieranych w ciuchy z demobilu.

– Mogą być z tego kłopoty?

– Nie wiem, nie najlepiej to wygląda. Mam wrażenie, że na powierzchnię powychodziły różne typy, które do tej pory siedziały w ciemnych pokojach pochłonięte gramami wojennymi, a teraz liczą na Call of Duty w realu.

– Nie jesteś dla nich zbyt surowy?

– Oby.

– Od strzelanek na ekranie do palenia komisariatów droga daleka. – Osmecki próbował uspokoić też sam siebie.

Nie miał pojęcia, o co tym ludziom mogło chodzić. Miłośnicy survivalu, grup rekonstrukcyjnych i tym podobni nie byli aż tak liczną grupą, by wpłynąć na wydarzenia. Trudno było też powiedzieć, po której stronie się opowiedzą, gdy już będzie wiadomo, o co chodzi. Wyszli pogadać czy szykują się na najgorsze? A może zostali zmobilizowani przez którąś z sił politycznych? To by było groźne. Ci ludzie przynajmniej z grubsza wiedzieli, co i jak, znali podstawy walk ulicznych, mieli pojęcie, jak się zabezpieczyć i co zrobić, kiedy już dojdzie do starcia z oddziałami prewencji. Najważniejsze, że nie pękali. Na dźwięk pałek uderzających o tarcze nie rozejdą się, to nie ten gatunek demonstrantów.

Chociaż nie, coś by wiedział o przygotowaniach. Nie można po cichu zwołać tylu zadymiarzy, zwłaszcza że łączność szwankuje. Zanim taki koleś powiadomi kumpli, upłyną wieki. Na jutro można się przygotować, na dziś raczej nie. Żadnej z opcji nie należało lekceważyć, niemniej są bardziej i mniej prawdopodobne.

– Możesz mi powiedzieć, co 13 Półflotylla robi pod Toruniem? – spytał po chwili milczenia Piotrowski, który od dłuższego czasu prowadził blog o militariach, bezpieczeństwie i polityce obronnej.

To zaskakujące pytanie sprawiło, że pułkownik poczuł, jakby mu trzewia zawiązały się na supeł.

13 Półflotylla była projektem, który narodził się w głowach kilku bystrych oficerów. Bałtyk, jak wiadomo, nie jest dużym akwenem. Obfituje w płycizny, brzegi też są płytkie, wpada doń parę sporych rzek, a wiele rejonów upstrzonych jest wysepkami. Nie wszędzie mogą operować niszczyciele czy korwety, a nawet okręty desantowe, natomiast szybkie, małe i silnie uzbrojone łodzie sprawdzają się doskonale.

Amerykanie mieli doświadczenie w tworzeniu i wykorzystywaniu podobnych jednostek, zatem na czele nowej struktury postawiono Lawrence’a Nyanzale. Czarnoskóry oficer z kongresowym Medalem Honoru oraz kilkoma innymi wysokimi odznaczeniami okazał się nad wyraz kompetentny. Prace organizacyjne ruszyły pełną parą. Dowódca sam dobierał sobie marynarzy – prawie samych jankesów. Półflotyllę włączono do sił specjalnych jako jej morski komponent. Do tej pory zajmowali się szkoleniem w miejscu bazowania, czyli na Helu. Co zatem robili pod Toruniem? Osmecki nie sądził, by Piotrowski go podpuszczał.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał ostrzej, niż zamierzał.

Blogger spojrział z ukosa.

– Ktoś mi powiedział.

– Kto?

– Jeden z moich studentów, jeszcze wczoraj, dziś to można pobawić się w głuchy telefon. Proszę cię, tylko mi nie mów, że o tym nie wiedziałeś.

Osmecki zbył uwagę milczeniem. Nie znał oczywiście aktualnego rozlokowania wszystkich polskich jednostek, tym bardziej że ostatnio zmieniało się ono z godziny na godzinę, ale jeżeli chodzi o jednostki specjalne, to starał się być na bieżąco. 13 Półflotylla powinna znajdować się na Helu.

– Stachu, nie załamuj mnie... – Piotrowski zaczął domyślać się brzydkiej prawdy.

– Wszystko jest pod kontrolą.

– Chyba sam w to nie wierzysz.

– W co ja wierzę, to wyłącznie moja sprawa.

– Nie chciałem cię urazić, ale...

– To ja przepraszam. Mam ciężki dzień. – Pułkownik niezbyt zręcznie próbował się bronić. Piotrowski nie był przecież wrogiem. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– Owszem.

– To wal.

– Pod Bukaresztem zginął jeden z liderów opozycyjnej Partii Wielkiej Rumunii, tych, co to uważają, że Rumunom będzie lepiej bez Polaków i reszty zgrai, a udział w rozszerzonej Grupie Wyszehradzkiej nie jest im do niczego potrzebny.

– Tak? – Pułkownik z kamienną twarzą oczekiwał na ciąg dalszy.

– Mówi się, że dokonała tego nasza grupa likwidacyjna.

– Czego to się nie mówi...

– Zatem?

– Przecież wiesz, co tam się dzieje. Niektórzy Rumuni chcą łąć Węgrów, część Węgrów szykuje się na Rumunów, ale inni ruszyliby wspólnie na Turków. Nic się na to nie poradzi. Po prostu tak jest i będzie. Pamiętaj, problemy z hospodarami mołdawskimi...

– Nie pamiętam, za młody byłem – przerwał mu Piotrowski zniecierpliwiony. – Chcesz mi wmówić, że nasi chłopcy siedzą tam z założonymi rękoma i przyglądają się, jak jedni próbują wyrząść drugich? Proszę cię, nie opowiadaj mi takich bzdur.

– Jacy nasi chłopcy? Ja jestem z wywiadu, partie polityczne to nie nasza działka.

– Jesteś od Banacha, a on teraz kręci wszystkim. Szef wszystkich szefów.

– Przesada. Wiesz... – zastanowił się Osmecki – ...powiem ci, ale tak w zaufaniu, że tego się nie spodziewaliśmy. To Sambał stanowił zagrożenie. Nikt nie przewidział prawdziwej skali problemu i stopnia komplikacji.

– Nawet Banach? – prychnął Piotrowski.

– Jego się nie czepiaj. Robi, co może. Rano ktoś go próbował... – Osmecki ponieważ się zorientował, że chlapnął o jedno słowo za dużo.

– Poważnie? – Kumpel nie krył zdumienia. – Czeka, czeka...

– Proszę cię, Jurek, nie igraj z ogniem.

– Jestem zwykłym obywatelem – zastrzegł ten od razu. – Na dodatek stoję po waszej stronie.

– Niekiedy nachodzą mnie wątpliwości.

– Jasne. Wy chcielibyście osiągnąć od razu wszystko, i to bez słowa krytyki. Kto nie dość głośno klaszcze, ten wróg.

– Zapewne domyślasz się, kto za tym stoi.

– A wy nie? – zdziwił się Piotrowski.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Osmecki na wyrost. – Przed nami nic się nie ukryje.

– Cieszę się, że słyszę takie słowa z twoich ust.

– Po prostu chciałbym wiedzieć, do jakich wniosków doszedłeś, o ile to nie jest tajemnica.

– Mam trochę za mało danych.

– Od kiedy jest to dla ciebie jakiś problem? – westchnął Osmecki. Właśnie wjeżdżali na Gagarina.

– Na ogół wystarczy rozejrzeć się dookoła i sprawdzić, czego brakuje – rzekł sentencjonalnie blogger.

– Ale do tego pewnie sami doszliście.

Dżinsy pasowały na Yvonne jak ulał, reszta ciuchów też. Co prawda wszystko zalatywało perfumami obcej dziewczyny, ale na to nie było sposobu.

Od razu... lepiej? Niekoniecznie, ale na pewno inaczej. Właścicielka ubrań nie miała nic do powiedzenia. Przywiązana do drzewa, zakneblowana i w samej tylko bieliźnie wydawała się być bliska obłędu. Trudno się dziwić – nawet tak urodziwa psychopatka jak Yvonne to nadal psychopatka i dziewczyna miała powody spodziewać się najgorszego.

Stały w zagajniku niedaleko Karczewa. Do Warszawy to tylko parę kilometrów.

W stolicy wciąż czeka na Yvonne niedokończona robota. Nikt przecież nie powiedział, że to koniec. Następnym razem nie pozwoli zrobić z siebie idiotki – rozwali Bielawę i tę blond dzirę od razu, jak tylko okoliczności pozwolą.

– Góra Kalwaria, Piaseczno, Ursynów. Masz godzinę. – Słuchawka w uchu ani na chwilę nie pozwalała zapomnieć Yvonne, kim jest i dla kogo pracuje.

– Zrozumiałam.

– Jazda.

Ślicznotka za jej plecami zsikała się ze strachu. Naoglądała się pewnie dosyć filmów, żeby wiedzieć, że takich świadków się nie zostawia.

Yvonne powoli się odwróciła. Tamta, która jeszcze godzinę temu uważała się za królową życia, teraz była wrakiem człowieka. Drżała z przerażenia. Przecucie jej nie myliło: dotarła właśnie do końca swojej ziemskiej drogi. Już nic dobrego jej nie czeka.

Yvonne sięgnęła po Colta, rozkoszując się każdą sekundą. Może powiedzieć parę słów, jakąś sentencję, przekleństwo? Nic odpowiedniego nie przyszło jej do głowy.

– Żegnaj. – Nie było sensu tego przedłużać.

Jeden strzał w czoło wystarczył. Mała dziurka z przodu i krwawa miazga z tyłu głowy. Śmierć obdziera z wszelkiej godności.

W samochodzie znalazła małą fikuśną torebkę należącą do dziewczyny. Przejrzała jej zawartość. Szminka, lakier do paznokci, zestaw do manikiuru, okulary przeciwsłoneczne, prezerwatywa. O, jaka zapobiegliwa. Dowód na nazwisko Aurelia Szymańska. Aurelia? Co to za imię? Żenada.

Wrzuciła wszystko do samochodowej skrzynki. Własne ubranie wcisnęła w plastikowy worek i położyła na siedzeniu obok. Pozbędzie się go w odpowiednim miejscu.

Założyła okulary. Pasowały. Ta mała nawet miała gust. W lusterku widziała jej ciało zwisające w więzach.

Jakie to teraz miało znaczenie?

Wykierowała autem w stronę pobliskiej szosy. Od Góry Kalwarii dzieliło ją co najmniej dziesięć kilometrów. Do Piaseczna będzie kolejne osiemnaście, potem szosą na Ursynów, chyba że plany się zmienią. Na razie nad tym się nie zastanawiała, i tak zawsze była gotowa.

Oby tym razem poszło jej lepiej.

– Cholerna wiedźma! – syknęła Oliwia przez zaciśnięte zęby.

Zabójczyni rozpląnęła się bez śladu. Aż trudno było uwierzyć w to, co się stało. Tylko ciało Daldera wyraźnie wskazywało, że nie był to zły sen.

– Chodźmy stąd – rzuciła do Bielawy.

– Tak, oczywiście.

Marszałek zrobił się trochę sztywny. Już nie pieprzył trzy po trzy, zamknął się w sobie. Najwidoczniej dotarła do niego przykra prawda, że to nie żarty. Szkoda, że dopiero teraz. Zresztą nie będzie go wyciągać z dołka i pocieszać. Ma przekazać żywego Bielawę w dobre ręce, i to wszystko.

Centrum Zarządzania Kryzysowego to plac Bankowy 3/5. Jak by nie patrzeć, kawał drogi. Wszystko może się zdarzyć. Co robi, jak napotka kolejną ekipę zamachowców? W końcu za którymś razem zaskoczą ją, a Bielawa pójdzie do piachu. Sama go nie obroni.

Wyszli na parking i nie oglądając się na parę osób próbujących opatrzyć poturbowanego młodzieńca, skierowali się w stronę mostu Poniatowskiego. Byle dotrzeć do ronda Waszyngtona, stamtąd tramwajem do ronda Dmowskiego. Później się zobaczy. Może metrem? To zaledwie dwa przystanki. Całą trasę należało podzielić na krótsze odcinki. Poruszać się będą wyłącznie komunikacją miejską. Skoro ta suka poprzednio wolała odstrzelić Bielawę w ustronnym miejscu, to może i tym razem nie urządzi strzelaniny w tramwaju. Taksówki wolała nie brać. Nigdy nie wiadomo, kto przyjedzie.

– Proszę się nie ościagać. – Szczepańska ponagliła marszałka.

– Przepraszam, zamyśliłem się – odparł Bielawa, lecz nadal ciągnął się noga za nogą. Wydawało się, że dotarcie w pobliże ronda to wysiłek ponad jego siły.

– Co się stało?

– Pani Oliwio, ja już nie jestem taki młody... Od rana ktoś próbuje mnie zabić, a teraz jeszcze i to. Co ten człowiek był winny? Tylko parę słów zamieniliśmy.

– Proszę się nie obwiniać.

– A co mam zrobić? Chce pani wiedzieć, kim tak naprawdę jest marszałek Senatu? Już spieszę z odpowiedzią: zwykłym popychadłem. Ktoś musiał zostać marszałkiem, padło na mnie. Niepotrzebnie się zgodziłem. Odmawiałem, ale kumple przychodzili i w krzyk: ty, bohater podziemia, zasłużyłeś. Gdybym tylko wiedział, co mnie czeka.

– Nic, co się stało, nie jest pańską winą.

– Tak się tylko mówi. Dziś widziałem więcej niż przez cały stan wojenny.

– Nie należy popadać w skrajności.

– Pani jest taka młoda...

Oho, zaraz się zaczną umoralniające banały w stylu „całe życie przed panią”, „dzieci są rozkoszne” oraz jej ulubione „proszę chwycić szczęście, jest takie ulotne”.

Szczęśliwa to ona będzie, jak rozwali tę jędzę. Szkoda, że pozostało jej tak mało amunicji. PN90 zakopała w piachu. Nie będzie targać tego blastera ze sobą. Dwa pistolety to odpowiednia siła ognia. Tamta posługiwała się jednym. Jak widać, można i tak.

W okolicach ronda ruch drogowy wyglądał normalnie. Oliwii spadł kamień z serca. Już się martwiła, jak sobie poradzą w przypadku jakiejś blokady czy korka, na szczęście zupełnie niepotrzebnie. Zaraz wsiądą do tramwaju i spokojnie dojadą do celu.

Po raz pierwszy dzisiaj nabrała otuchy. Poranek do dupy, więc może popołudnie będzie lepsze.

– Wiesz, dokąd idą?

– Domyślam się.

Kamery zainstalowane na ulicach i placach miasta nie były tak precyzyjne, jak by chcieli. Na szczęście był jeszcze satelita i dron. Mając do dyspozycji wszystkie te elementy, spokojnie można przewidzieć przyszłość. Ta najbliższa nie była zbyt skomplikowana. Para szła na przystanek. Co prawda chwilowo w pobliżu nie było żadnej z ekip czyszczących, a Yvonne dojeżdżała dopiero do Góry Kalwarii, ale nic nie szkodzi. Nie z takimi problemami sobie radzili.

Bielawa i dziewczyna dotarli w końcu do przejścia podziemnego. Można przez nie dojść na przystanek tramwajowy lub na drugą stronę ulicy, skąd odjeżdżają autobusy – to wszystko. Gdy figuranci zniknęli z kamer, rozpoczęło się oczekiwanie.

Trwało to długo. Zbyt długo. Niepokój ścisnął serce operatora. Poruszając się w dotychczasowym tempie, powinni wyjść po trzech, góra czterech minutach, a tamtych nie było już sześć. Siódma. Sekundnik na monitorze nieubłaganie odliczał kolejną minutę.

Mężczyzna zaklął szpetnie.

– Co robimy?

– Czekamy.

Dziewięć minut. No, to już przechodzi ludzkie pojęcie. Żarty sobie robią? Jeszcze trochę i nie pozostanie nic innego, jak powiadomić o wszystkim szefostwo. Ale się wściekną... Ta Szczepańska okazała się bystrzejsza, niż przypuszczali.

– Pani Oliwio, jeszcze bilety.

– Przecież pan nie potrzebuje.

– Ale pani chyba tak.

Szczepańska zaczęła szukać drobnych. Nie spodziewała się, że z niego taki legalista.

Senator wyraźnie czuł w nogach ostatnie parę godzin. Sapał, co chwila zwalniał i wzdychał. Kupił po butelce wody mineralnej i kruche ciasteczka. Na makaron serwowany w podziemnym pasażu żadne z nich nie miało ochoty. Wodę wypili całą, bo pragnienie męczyło, ale ciastka nie miały wzięcia. Bielawa przeżuł jedno. Oliwia obiecała sobie, że jak dożyje do wieczora, to otworzy butelkę czerwonego wina. Mała nagroda należała się jej jak nic.

Zaopatrzywszy się w bilet, kiwnęła na Bielawę.

Przez moment jeszcze rozglądała się, dokąd mają iść. Pierwsze schody do góry to peron dla

tramwajów jadących na Pragę i Grochów, zatem musieli podejść kawałek dalej.

Powoli, noga za nogą, wyszli na powierzchnię. Zmrużyli oczy oślepieni słońcem. Kilka minut i będą w centrum.

– Mam ich! – Operator momentalnie się rozluźnił. Co oni robili przez całe jedenaście minut?

Nie jego sprawa. Pora przejść do kolejnego punktu programu. Wszystko zostało zaplanowane i przygotowane, wystarczyło nacisnąć enter i po sprawie.

Najlepszy efekt dałoby wystrzelenie rakiety z drona. Figuranci nawet by się nie zorientowali, że umarli, he, he. Szkoda, że z jakichś powodów dowództwo nie zdecydowało się na ten wariant operacji.

– Uruchamiam. – Nie musiał tego mówić, wyszło tak samo z siebie.

Jeden tramwaj uciekł im sprzed nosa. Bezskutecznie machali ze schodów do motorniczej. Kobieta była zapatrzona w lusterka i skupiona na tym, by nikogo nie przytrzasnąć zamykanymi drzwiami. Nie szkodzi – od strony alei Zielenieckiej nadjeżdżał kolejny skład. Już nigdy nie powie złego słowa na komunikację miejską.

Powinni podejść nieco do przodu, na przystanku wciąż było sporo ludzi, trudno będzie wcisnąć się do środka.

– Panie Ryszardzie, jeszcze parę metrów.

– Oczywiście. Wystąpię o medal dla pani za to wszystko, co pani dla mnie zrobiła. I przypilnuję awansu u generała Banacha.

– Obawiam się, że mało osób ma wpływ na generała.

– Ooo, ze mną będzie musiał się liczyć. W końcu jestem tymczasową głową państwa.

Skład stojący za rondem długo nie ruszał. Oliwia właśnie zaczęła się niecierpliwić, gdy masa pojazdów tłoczących się dookoła na kilku pasach jakby zwariowała. Czekający dotychczas na czerwonych światłach nagle ruszyli, jednak ci, którzy mieli zielone, nadal je widzieli, więc się nie zatrzymali. Po paru sekundach łomotu i wśród jazgotu włączonych klaksonów rondo zostało kompletnie zablokowane. Oliwia nie mogła tego zobaczyć, ale wyglądało to tak, jakby wszystkie sygnalizatory naraz pokazały zielone światło.

Skład, którym mieli odjechać, równie dobrze mógł znajdować się na księżycu. Właściciel odpicowanego czerwonego bmw nie przewidział, że ten wyścig spod świateł skończy się tak szybko – z maską wbitą w bok tramwaju.

Wściekli kierowcy zaczęli obrzucać się przekleństwami, co bardziej krewcy już wysiedli z aut. Teraz z kolei wszystkie światła zmieniły się na czerwone, co tylko spotęgowało zamieszanie.

Powstałego galimatiasu do sądnego dnia nikt nie rozplącze.

– Widziała pani, widziała pani? – Bielawa nie mógł wyjść ze zdumienia. – Ale numer!

Dla Szczepańskiej jasne było, że ktoś celowo wywołał ten chaos. Awarie się zdarzają, owszem, ale akurat dziś i akurat na ich trasie? Czyżby przeciwnik ich obserwował?

– Panie marszałku...

– Tak, moja droga?

– Idziemy. – Oliwia złapała dłoń Bielawy i mocno ścisnęła. – Jak pan widzi, z tego miejsca nic nie odjedzie do jutra.

– Może to jakaś drobna awaria?

– Drobna? Niech pan będzie poważny.

- Co pani proponuje w takim razie?
- Musimy dostać się na drugą stronę Wisły.
- Już nie mam sił – zajęczał senator.
- Pan nie ma sił, bohater opozycji? Kto roznosił ulotki i walczył z ZOMO na ulicach?
- Pani mnie chyba z kimś pomyliła.
- Nie będzie tak źle. – Zmieniła znienacka ton, wpadł jej bowiem właśnie do głowy genialny pomysł.
- Obiecuję pani?
- Tak.
- To idziemy.

– Panie generale, pozwoli pan na słowo.

Banach obejrzał się na Osmeckiego i dostrzegł w jego oczach troskę.

– Clark jest z tobą?

– Poszedł do toalety, zdaje się, że cierpi na jakieś zatrucie pokarmowe – odpowiedział pułkownik.

– Może i tobie coś zaszkodziło, bo minę masz nietęgą? Dobrze, mów, co ci leży na sercu. – Generał dźwignął się z krzesła i ruszył w stronę korytarza prowadzącego na zewnątrz.

– Rozmawiałem z Piotrowskim.

– Zastępcą dowódcy naszego lotnictwa transportowego?

– Nie, z kapitanem Jerzym Piotrowskim, obecnie blogerem.

Brwi generała uniosły się, lecz z ust nie padło ani słowo komentarza.

– Twierdzi, że po Wiśle pływa 13 Półflotylla.

– Już myślałem, że to naprawdę poważna sprawa.

– Bo jest. Nie ma powodu, by mu nie wierzyć. Podobno wczoraj byli pod Toruniem.

– Podobno...

– Panie generale, ja bym nie lekceważył tego ostrzeżenia.

Banach nie namyślał się długo. Skoro Osmecki tak się upiera przy swoim, należało to sprawdzić. Nie zajmie to dużo czasu. Wyjął swój telefon z futerału.

Do kogo?... Wywiad Marynarki Wojennej w Gdyni to powinien być odpowiedni adres. Na Helu też kogoś mają, ale zanim się dowie, kto go tam reprezentuje, miną cenne minuty.

Przeszedł do książki adresowej i kciukiem zaczął przewijać listę. Sporo tego było. Musi tu zrobić porządek. Kim, do ciężkiej cholery, są „Nurek” albo „Rotmistrz”? To ludzie z krwi i kości czy też kryptonimy komórek wywiadowczych? A „Kaczor”?

Sprawdzanie poszczególnych numerów zajmie długie tygodnie, jak nie lepiej.

O, w końcu jakiś konkret. Są telefony do poszczególnych dowództw. Jest i Gdynia. W pół minuty uporał się z problemem. Skinął uprzejmie Clarkowi, którego blada twarz mignęła w pobliżu, i zajął się rozmową. Sygnał był, nawet całkiem wyraźny.

– ...aloo...

– Mówi Banach.

– ...asznie słabo pana słysz...

No nie, to jakieś przekleństwo. Łączność zawodziła na całej linii.

– Halo, słyszy mnie pan?

– Kłopoty? – zapytał Osmecki.

– Przez jakie łączy idzie sygnał, światłowód czy satelita?

– Zdaje się, że światłowód, ale pewny nie jestem.

– Sukinsyny.

– Jest aż tak źle?

– Słuchaj, Stasiu, jeżeli to, co mówiłeś, jest prawdą, to mamy do czynienia z pełzającym zamachem stanu, a nie z akcją o charakterze terrorystycznym.

– Pan generał mnie przeraża.

– Zrobimy tak: dobierzesz sobie paru ludzi z policji, żandarmerii i kogo tam będziesz chciał. Pamiętaj tylko, że nikomu nie należy ufać. Sprawdzisz tę informację, o której mówiłeś. Możesz korzystać ze wszystkich dostępnych środków. Masz moje wszelkie pełnomocnictwa.

– Na kim mam się oprzeć?

– Na kim chcesz, ale lepiej, jak to będą nasi rodacy.

Osmecki potarł nasadę nosa.

– Nie spodziewałem się, że do tego dojdzie.

– Ja też nie – przyznał Banach. – Idź już.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Co mam z nimi zrobić, jak już ich odnajdę?

– To już zależy wyłącznie od ciebie, i od nich oczywiście. Pamiętaj, co ci powiedziałem: wszystkie siły są do twojej dyspozycji.

– Już to kiedyś przerabialiśmy.

– Nie my wybraliśmy tę drogę. – Podtrzymywanie na duchu Osmeckiego to była ostatnia rzecz, na jaką Banach miał ochotę. Przed nim kolejna rozmowa, o wiele trudniejsza i być może decydująca.

Generał Jeremy Clark mieszał łyżeczką cukier w kawie. Przygarbiony, wychudły, wyglądał jak siedem nieszczęść. Gdzie się podział tamten dumny dowódca, który nie tak dawno podejmował decyzje, o jakich inni bali się nawet pomyśleć?

– Nie wstawaj. – Banach położył dłoń na jego ramieniu, gdy ten próbował przyjąć pozycję zasadniczą.

Usiadł obok niego, pochylając się nad towarzyszem niedoli.

– Kiedy cię tak zmogło?

– Trzy dni temu.

– Byłeś u lekarza?

– Samo przejdzie.

– Już to widzę.

– Drobną niedyspozycją.

– Człowieku, jesteś odwodniony, ta kawa ci nie pomoże.

– Ale i nie zaszkodzi. – Na twarzy Clarka pojawił się nikły uśmiech.

– Twoja żona ma do ciebie cierpliwość.

– Ostatnio sporo przebywam poza domem.

– A tak konkretnie?

– Poligon w Wędrzynie.

– Nad morze cię nie ciągnie?

– Trochę. Masz konkretną propozycję? Jakaś żaglówka? Dawno nie pływałem.

– To tak jak ja.

Amerikaninowi wyraźnie drżały ręce, z trudem podniósł papierowy kubek do ust, starając się nie rozlać zawartości.

– Parszywie to wygląda, ale jak chcesz. Powiedz mi... hmm... – Banach wciąż się zastanawiał, od której strony ugryźć temat. I tak źle, i tak niedobrze. Najlepiej od razu z grubej rury, bez owijania w bawełnę. – Jesteś pewny lojalności tych wszystkich, którzy z tobą przybyli?

– Wszystkich?

– No dobrze. Chodzi mi o personel wojskowy, pomijam rodziny.

– Cała masa ludzi.

– Konkretniej idzie o tych wszystkich, którzy mogli doprowadzić do tego kryzysu.

– Dostałeś spis jednostek, listy nazwisk... – Clark upił mały łyk gorącego naparu i odstawił kubek na blat stołu.

– Dlaczego mi to robisz? – W głosie Banacha zabrzmiały ostrzejsze tony.

– Ja?

– Wyciągnęliśmy was ze śmierdzącego bagna, a wy tak nam odpłacacie? To jest uczciwe?

– Niepotrzebnie się denerwujesz.

– Pytałem, czy to jest uczciwe?

– Pragniesz ode mnie jednoznacznej odpowiedzi? – Clark, choć wyraźnie niedysponowany, nie miał zamiaru być chłopcem do bicia. – Przecież to wam zależało.

– Ja tylko mówię...

– Nie przerywaj mi, skoro pytasz. – Amerykanin zaczął drżeć, czy to z nadmiaru emocji, czy też wskutek choroby. – Rozejrzyj się i powiedz mi, co widzisz. Tak, dokładnie tak. To my sprawiliśmy, że ten kraj w ogóle zaczął funkcjonować. Kim byliście wcześniej? Ja wiem, prawda boli.

– Przypomnij mi, bo już zapomniałem.

– Byliście niczym, zerem. To my was wykreowaliśmy. Wasza chwilowa potęga jest zbudowana na naszych podstawach. Co, zdziwiony? Chciałeś wziąć to, co najlepsze, i nie pozostawić nic w zamian? Ja was znam. Egoiści. Pierwsza liga nie jest dla was.

– Jeremy, ty bredzisz. Gdzie bylibyście, gdyby nie my?

– Mieliśmy kraj, a teraz co mamy?

– Nie wydaje mi się, żeby było tak źle.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – Clark tak gwałtownie zamachał rękami, że o mało nie strącił kawy na podłogę. – Od zawsze byliście wciśnięci pomiędzy Niemcy i Rosję, a ci rozgrywali was, jak chcieli. Cała wasza polityka była niczym innym jak lawirowaniem pomiędzy Berlinem a Moskwą. W końcu uczepiliście się nas. Jest takie powiedzenie...

– Uczepić się jak rzep psiego ogona.

– Właśnie. Rzep to doskonałe określenie waszego kraju. Jesteście... – Amerykanin wyciągnął przed siebie dłoń i pokazał niewielką szparę między kciukiem i palcem wskazującym – ...tacy.

– Błąd, Jeremy, popełniasz duży błąd.

– Mianowicie?

– Byliśmy tacy, ale już nie jesteśmy. Tę przemowę przygotowałeś sobie wcześniej czy improwizowałeś?

– A idź do diabła.

– Że też nie udało nam się wypracować wspólnej strategii.

– Nim na dobre zdołaliście skorzystać z naszego wsparcia, od razu wpakowaliście się w wojnę. Na co wam to było? Boisz się tureckich czołgów na ulicach Warszawy?

– Boję się nielojalnych sojuszników. Tobie zapewne wydaje się, że ja nie wiem, gdzie nas macie. A tak, powiem to głośno: w dupie. Gadka o prawach człowieka i niewzruszonych sojuszach wychodzi wam najlepiej. Pod tym względem nie różnicie się niczym od ruskich.

– Obrońca...

– Lepszy od ciebie, hipokryto. – Banach powoli zaczął tracić cierpliwość. – To wy nas ukształtowaliście. Zaufać wam, to jak zjeść muchomora.

– Co ty nie powiesz...

– Że jesteście notorycznymi kłamcami. Dopiero jak was przyparli do muru, podkuliliście ogon.

– Epidemii o takiej skali nikt nie mógł przewidzieć.

– Wy nie mogliście? Najlepszy wywiad i służba zdrowia? – Banach rozwalił się na krześle, założył nogę na nogę, a ręce splótł na brzuchu.

– Na pewne sprawy nikt nie ma wpływu. Tu i Bóg nie pomoże.

– Boga do tego nie mieszaj.

Clark, który właśnie kolejnym łykiem kawy zwilżał usta, zakrztusił się, omal nie opluwając Banacha.

– Przeginasz.

– Szkoda, że sam siebie nie słyszałeś.

Amerikanin zmarszczył czoło, a skupienie odbiło się na jego twarzy.

– To nie był przypadek?

– A kto mówi, że był?

Na blade oblicze Clarka wystąpił rumieniec, generał zacisnął palce na oparciu fotela. W upiornym uśmiechu wyszczerzył zęby.

– Moje dzieci...

– Pogadamy jeszcze o tym, ale kontynuuj o... Jak to mówiłeś: „lawirowaniu pomiędzy Berlinem a Moskwą”? To taki interesujący temat.

– Dzieci...

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

Clark wstał, a że dzieliła ich odległość najwyżej metra, wydawało się, że zaraz wpadnie na Banacha całym ciężarem ciała. Nim to nastąpiło, wyciągnął ręce i chwycił za klapy marynarki Polaka.

– Siadaj. – Banach gwałtownie odepchnął natręta.

– Na miłość Boską, mów, co wiesz!

– Podobno nic dla was nie znaczymy, jak twierdzisz, uczepiliśmy się was, a wy potraktowaliście nas jak kundla. Nie reprezentowaliśmy dla was odpowiedniego poziomu. Niemiecka kanclerz czy ten francuski kmiotek to co innego. Przecież Polska to kraj kompletnie bez znaczenia, od zawsze zdany na łaskę potężniejszych protektorów.

Clark ukrył twarz w dłoniach. Zdaje się, że dotarł do ściany.

– Niczego ci nie powiem, jeżeli wpierw nie odpowiesz na parę pytań. Od twoich odpowiedzi zależy nasza dalsza współpraca. Wyrażam się jasno? I nie odstawiaj mi tu teatru, ja się nabrać nie dam. Wyczuwam fałsz i wylatujesz stąd w try miga. – Banach pochylił się do przodu i pogroził Clarkowi palcem. – I to tylko jak nie uznam, że twoje zachowanie godzi w bezpieczeństwo narodowe, bo wtedy wylądujesz w piwnicy. Domyślasz się chyba, co tam jest przygotowane dla takich jak ty? Mówią, że z akumulatorem przypiętym do jaj jeszcze nikt nie kłamał.

– Grozisz mi?

– Ja tylko ostrzegam, z dobrego serca.

– Nic mi nie możesz zrobić.

– A to się jeszcze okaże. Podlegasz polskiemu prawu, a tak się dziwnie złożyło, że nie masz się do kogo odwołać. Wychodzi na to, że to ja zarządzam tym całym biznesem i uwierz mi, nic mnie nie powstrzyma przed wsadzeniem ci w tyłek rozgrzanego pręta. – Banach otwartą dłońią poklepał Clarka po policzku, by dopełnić miary upokorzenia.

– Ale później mi powiesz?

– Jak będę chciał. Zaczynaj.

– Mało wiem.

– Dalej.

– Same pogłoski.

– Niczego więcej się nie spodziewałem.

Clark powoli nabrał powietrza do płuc, nad czymś się zastanowił, trochę pomruczał.

– Zacznie w końcu? – Ponaglenie jednak nie było konieczne. Pękła ostatnia tama i z ust Clarka

zaczął wylewać się potok słów.

– Wraz z regularnymi oddziałami wycofały się z USA również grupy JSOC. Znasz ich. Zbieranina ludzi z Delta Force, Navy SEALs, Rangersów. Przygotowani do mokrej roboty we wszystkich zakątkach świata.

A więc to tak – pomyślał Banach. Joint Special Operations Command nieraz określano amerykańskimi szwadronami śmierci. Byli wysyłani tam, gdzie trudno było angażować zwykłe oddziały wojska. Ich działalność oceniano jako co najmniej moralnie wątpliwą. Wystarczyło, że wywiad wskazał człowieka podejrzanego o poczynania godzące w amerykańskie interesy. Porwanie to szczegół. Potem przesłuchanie, najczęściej wzmocnione – prąd albo metoda wodna. Po podtapianiu sypie każdy. Kolejne nazwiska i adresy, kolejna nocna akcja, kolejne przesłuchania. Można to ciągnąć bez końca. Zawsze znajdzie się kolejny podejrzany, któremu należy przyjrzeć się bliżej. Później delikwenci lądowali w więzieniu prowadzonym przez JSOC, gdzie obowiązywały inne procedury obchodzenia się z więźniami, niż przewidywało prawo międzynarodowe. Chyba każdy pamięta Abu Ghraib.

Metody udoskonalone w Iraku przeniesiono później w inne zapalne miejsca świata, jak Jemen, Afganistan, Somalia, Egipt. Wojna z terroryzmem toczyła się wszędzie.

– Możesz powiedzieć, ilu ich było?

– To tajne.

– Nawet dla ciebie?

– Nie mnie podlegali.

– A komu?

– Generałowi Tony’emu „Papie” Butlerowi.

– Gdzie go znajdzie?

– Kto to może wiedzieć... – Clark wzruszył ramionami.

– Nie igraj ze mną – zagroził Banach.

– Kiedy ja naprawdę nie wiem.

W spisie przybyłej generalicji, jaki otrzymała Polska, żaden Butler nie figurował. Facet mógł się ukryć wśród masy żołnierzy i występować pod zupełnie innym stopniem oraz nazwiskiem. Mógł też przybyć do Polski jako osoba prywatna, o nic nie podejrzewana i niemająca kontaktów z armią.

Jeżeli przecucie nie myliło Banacha, to już zdążyli zamienić parę słów, jako że Butlerem mógł być gość, który do nich telefonował. W końcu taka szycha nie będzie się ukrywać za plecami podwładnych.

– Co o nim wiesz?

– W epidemii stracił całą najbliższą rodzinę. Sam przebywał wówczas w Pakistanie jako doradca.

– Interesujące.

– Próbował ewakuować z USA, kogo się da. Pojechał w tym celu do Meksyku, potem na Dominikanę.

– Raczej nic nie wskórał.

– Wiesz, jak było i ilu ludzi wtedy zginęło. Meksykanie mieli swoje pięć minut.

– Późny odwet za Teksas i Kalifornię.

– Ranisz moje uczucia.

– To już twój problem.

– Twoja kolej. – Clark zacisnął zęby.

– Co? Jedno nazwisko i skrót? Nie uważasz, że to trochę za mało?

– Powiedziałem wszystko, co wiem.

– Dlaczego ciebie nie wzięli do spółki? – zapytał Banach. – Ktoś z twoim potencjałem...

– Miałeś mówić o czymś innym.

– Ach tak, dobra, niech ci będzie: Korea.

– Co Korea, jaka Korea? – Clark zdębiał.

– Tak słyszałem, niczego więcej nie wiem.

– Żarty sobie robisz?

– Wiesz, co mi się wydaje? Ta twoja choroba nie jest normalna. Moim zdaniem próbowano cię otruć.

A teraz udowodnij mi, że nie mam racji.

Kapitan Robert Galiński od godziny oglądał bieżące informacje w Polsacie i TVN-ie na zmianę.

Jedynki i Dwójki nie było. Szkoda. Zawsze to bardziej obiektywne, wyważone i nie tak skoncentrowane na taniej sensacji jak stacje prywatne. W dodatku od razu podałyby, kto jest winien.

Jak wstrząsające by nie były warszawskie wydarzenia, gdyby nie one, dzień byłby nudny. Ileż można siedzieć w papierach? To prawda, że stan liczebny floty zwiększył się wielokrotnie, przybyło marynarzy i okrętów, a zatem i pracy wywiadowi. Galiński nie chciał narzekać, w końcu sam poprosił o ten przydział. Po doświadczeniach z Syrii potrzebował odmiany, i to możliwie dalekiej od pustyni i terrorystów. Z podporucznika przeskoczył od razu na kapitana. Zasług uzbierało się dosyć. Dostał medal i zgodę na wybranie kolejnego przydziału. Komuś u góry musiało spodobać się to, co przywieźli z Bliskiego Wschodu.

Sam tę operację uważał za klęskę. Sznajder się rozplątał, a Halicki wciąż nie mógł wrócić do pełni sił. Tylko on sam wyszedł z przygody obronną ręką. Fizycznego uszczerbku nie poniósł, ale nocne koszmary nie pozwalały zapomnieć, jak się to stało, że wylądował, gdzie wylądował, czyli w starym budynku Centrum Operacji Morskich niedaleko skweru Kościuszki w Gdyni.

Wystarczy tej telewizji, trzeba zabrać się za robotę.

Telewizor w kantine cieszył się nadzwyczajnym powodzeniem. Zeszli się tu wszyscy pracownicy. W takich sytuacjach ludzie garną się do wspólnoty, najchętniej do gromady przed ekranem. On stanowił wyjątek. Kiedy słyszał o terrorystach, ofiarach i całej reszcie, dostawał mdłości.

– Hej, Robert, dokąd idziesz? – usłyszał za plecami głos kolegi pracującego na tym samym piętrze.

– Do pracy.

– Teraz?

– Mam już dość.

Galiński niespiesznie pomaszerował w stronę swojego pokoju. Jeszcze trochę i skończy na dziś. W drodze do domu zahaczy o niedrogą knajpę, gdzie zje obiad i wypije kielicha.

Sama myśl o alkoholu wprawiła Galińskiego w dobry humor. Ostatnio pozwalał sobie na coraz więcej – tu wódeczka, tam kufelek. Trójmiasto oferowało mu doskonałą sieć lokalnych browarów. Często do nich zaglądał. Lubił po prostu posiedzieć i pogapić się na ściany. Z dawnych pasji pozostało niewiele, a właściwie nic. Zupełnie nie miał głowy do tych bzdur. Piąty raz Koranu nie przeczyta, podobnie hadisów, nie będzie brnął przez gąszcz komentarzy, języka nie podszlifuje, bo i po co. Wystarczył mu angielski, który panował niepodzielnie w pracy, na ulicy, wszędzie. I dobrze, na dźwięk mowy Szekspira żołądek nie wywracał się kapitanowi na lewą stronę.

Zasiadł za biurkiem i uruchomił komputer. Na początek sprawdził pocztę. Trochę tego było, a już spodziewał się, że życie w kraju zamarło. Większość e-maili nic nie znaczyła. Usunął je szybko, bo jedynie denerwowały samą swoją obecnością. Skoncentrował się na tych naprawdę istotnych.

Pierwszy dotyczył zakupu amunicji do dział morskich. Podobno doszło do nadużyć. Lepiej to sprawdzić. Polska już raz budowała korwetę, która ostatecznie okazała się patrolowcem, za to w cenie flotylii niszczycieli. Obecna opinia publiczna była wyczulona na wszelkie nieprawidłowości.

Druga wiadomość jeszcze ciekawsza – z wody wyciągnięto ciało marynarza z kulą w plecach. Sprawą zajęła się prokuratura wojskowa i żandarmeria. Trwały czynności wyjaśniające.

Sprawdził miejsce, w którym wylowiono zwłoki. Spodziewał się Nowego Portu czy czegoś podobnego, a nie wschodniej części Gdańska – Komarów. To nad samym Przekopem Wisły. W tamte

rejony marynarze zapuszczali się niezwykle rzadko, bo nie było po co.

Ofiara porachunków? Całkiem prawdopodobne. Ostatnio zdarzały się takie przypadki.

Na ORP „Oksywie”, dawnym USS „Nashville”, doszło do bójki pomiędzy amerykańskim podoficerem a polskim przełożonym. W efekcie jeden doznał złamania ręki, a drugi wstrząśnienia mózgu. Powariowali. Żaden nie chciał powiedzieć, o co poszło. Jedyne, co ich czekało, to szybki sąd i wydalenie ze służby. Nie było się nad czym zastanawiać.

13 Półflotylla opuściła macierzystą bazę na Helu. A co w tym dziwnego? Komandor Nyanzale przecież wie, co robi. Z grafiku wynikało jasno, że zespół okrętów udał się na manewry w okolice Ustki. Jaki tu problem?

Wszystkie te pierdoły nie miały nic wspólnego z wywiadem. Same sprawy kryminalne. Czytał to jedynie, żeby wiedzieć, jakie panują nastroje i czy asymilacja Amerykanów postępuje tak, jak trzeba.

Właściwa strefa zainteresowania wywiadu znajdowała się niedaleko, tuż pod bokiem – był nią Obwód Kaliningradzki.

Właściwie dlaczego te idiotyzmy trafiły do niego, a nie do żandarmerii? Czy to on ma ustalać personalia jakiegoś marynarza i zajmować się mordobiciem? Co tam jeszcze było: amunicja i 13 Półflotylla.

Najlepiej zrobi, jak zajmie się wszystkim po kolei. W przypadku amunicji sprawa wydawała się jasna. Złożono zamówienie, a producent przysłał towar niezgodny ze specyfikacją. Ktoś dał ciała. Zleci to któremuś z podwładnych. Niech chłopaki też się na coś przydadzą.

Kolejna sprawa – zwłoki. Kto prowadzi dochodzenie? Prokurator Mruczek i major Adler. Adler – Polak czy jankes? Cholera wie. To może ten Mruczek. Z takim nazwiskiem to musi być Polak.

Znalazł telefon prokuratora w spisie numerów zastrzeżonych. Jazda. Nikt nie odbierał. Już chciał się rozłączyć, gdy usłyszał głos po drugiej stronie.

– Słucham?

– Kapitan Galiński, Centrum Operacji Morskich, to pan prowadzi tę sprawę ciała wyłowionego z morza?

– Tak.

– Ustaliliście nazwisko denata?

– Mamy z tym problem. Ofiara w samym mundurze bez identyfikatora.

– Rozumiem. – Jakiś szczegół nie dawał Galińskiemu spokoju. – Nikt nie zgłosił zaginięcia? Morderstwo morderstwem, ale przełożony, który nie potrafi policzyć wszystkich swoich ludzi, to już jest obciach.

– Jakoś nie. To nikt od nas.

– Nie?

– Chyba źle się wyraziłem. Ofiara jest z pochodzenia Afroamerykaninem, to znaczy ciemnoskóry.

Hm... – pomyślał kapitan. – Teraz to są chyba Afropolacy czy ktoś taki.

– Proszę mnie informować o każdym nowym ustaleniu.

Jeszcze parę grzecznościowych słów i Galiński zakończył rozmowę. Można powiedzieć, że trafił im się tajemniczy trup.

Teraz 13 Półflotylla. Tu nie powinno być kłopotów. Kto zawiadywał tym cyrkiem w Ustce? O jest, pułkownik Konieczny. Zaraz utniemy sobie miłą pogawędkę.

– Centrum Szkolenia Morskiego, starszy sierżant...

– Kapitan Galiński COM, Gdynia.

– Melduję się.

– Chciałbym rozmawiać z pułkownikiem Koniecznym.

– Przykro mi, jest nieobecny.

– A kto go zastępuje?

– Ja.

Czyżby trafił na jednego z tych podoficerów, którzy są niezastąpieni w każdych okolicznościach?

Może to i lepiej.

– Powiedzcie mi, sierżancie, czy komandor Nyanzale, Lawrence Nyanzale, zameldował się na ćwiczeniach?

– Kto?

Galiński przeliterował nazwisko.

– Nie wiem, czy mogę udzielać odpowiedzi na takie pytania.

– Pewnie, że możecie.

– A co, jeżeli pułkownik Konieczny uzna, że przekroczyłem swoje kompetencje?

– Koniecznego biorę na siebie.

– Jak pan chce.

– To jak, ten Nyanzale jest u was czy nie?

– Pierwszy raz o nim słyszę, panie kapitanie.

– Jesteście pewni, sierżancie? – zdziwił się Galiński.

– Mam przed sobą imienną listę, bo pan wie, że trzeba diety inaczej policzyć, dodatki, zakwaterowanie, wyżywienie.

– Rozumiem. – Ostatecznie Nyanzale mógł się rozchorować, a jednostką dowodzi jego zastępca. – Skoro nie ma komandora, to jak wygląda sprawa z 13 Półflotyllą?

– Z czym, panie kapitanie?

– Z 13 Półflotyllą. Bierze dzisiaj udział w manewrach u was.

– To jakaś pomyłka, nie mamy tu nikogo z tej formacji.

– Posłuchajcie mnie uważnie, sierżancie, to jest bardzo ważne...

– Słucham pana uważnie, ale 13 Półflotylla nie bierze udziału w ćwiczeniach.

– Jak to?

– A to nie mnie pytać, ja tylko prowadzę kancelarię.

Dalsze wypytywanie sierżanta miało się z celem. Na jasno postawione pytania dostał jasne odpowiedzi. 13 Półflotylli nie było tam, gdzie powinna być. Albo to bałagan w papierach, albo działo się tu coś niepokojącego.

Dochodziła piętnasta. Z Gdyni na Hel jest kawałek. Na koniec mierzei dotrze w półtorej godziny, najwyżej dwie. Obróci przed kolacją. Na miejscu opierdoli, kogo trzeba. Taka sytuacja nie może się więcej powtórzyć. Do czego to podobne...

– Stać!

Jadący z naprzeciwka starszy mężczyzna na rowerze wytrzeszczył oczy, próbując wyminąć Oliwię.

– Co ja mówię?

Wehikuł zwolnił, a gdy dłoń Szczepańskiej chwyciła za kierownicę, o mało się nie wywrócił.

– Matko kochana! Co ty robisz, dziewczyno?!

– Policja.

– Trzeźwy jestem.

– Złaż pan, rekwiruję.

– Co takiego?

– Niewyraźnie mówię? – wydarła się na dziadka rozjuszona niespodziewanym oporem.

– Rekwirować, gówniaro, to możesz samochód, a nie mojego rometa.

– Sprawa wagi państwowej. – Trzymała mocno, żeby upierdliwiec jej nie zwiął.

– To nie jest policyjna legitymacja. W ORMO służyłem, to wiem.

Były ochotniczy rezerwista milicji zalatywał dość nieświeżo. Siwe włosy zwisały strąkami, podobnie jak poźółkłe wąsiska pod kartoflanym nosem.

– Agencja Wywiadu.

– To tak się teraz bawicie? Rowery kradniecie? O, wy...

– Złaż pan, pókim dobra.

– Nie.

W dłoni Oliwii pojawił się Walther.

– Jest pan aresztowany za utrudnianie pracy służbom specjalnym Rzeczypospolitej. Wyrok określi sąd... – zawiesiła głos.

– To jakieś żarty. – Dziadyga trzymał fason, ale wyraźnie było widać, że rura mu zmiękła.

– ...przeważnie zarządzają od roku do trzech.

– No, ale... Boże, za co?

W końcu obrońca jedynie słusznego ustroju i własności prywatnej zlął z roweru, po czym stanął obok, nie wiedząc, co ma robić dalej.

– Co się jeszcze gapisz? – usłyszał na odchodnym. – Spieprzaj, dziadu.

Szczepańska przyjrzała się jednośladowi. O coś takiego jej chodziło. Bielawa powinien sobie na nim poradzić bez większych trudności.

Senator siedział tam, gdzie go zostawiła, na ławeczce w alei wiodącej wprost pod główne wejście na Stadion Narodowy.

– Proszę, ten będzie dla pana.

– W młodości miałem podobny. Pani jeszcze na świecie nie było. A skąd pani go ma?

– Dostałam.

– Tak po prostu?

– Jasne. Ludzie tylko czekają na okazję, by coś mi dać. Ale był tylko jeden, więc proszę jeszcze chwilę poczekać.

Ze znalezieniem pojazdu dla niej nie powinno być problemu. Pojedzie na wszystkim, co ma dwa koła. Wystarczyło się rozejrzeć. Jeden z rowerzystów ominął ją szerokim łukiem, ale drugi zwolnił, gdy stanęła na środku ścieżki i zamachała do niego.

– Znamy się? – Tym razem rowerzysta był młody i bardziej zadbany.

– Nie.

– Jesteś podobna do jednej z moich koleżanek.

– To super. Masz fajny sprzęt.

– No... Kosztował mnie piątaka, jeździ jak marzenie.

– Pożyczysz mi?

– Szybka jesteś. A co będę z tego miał? – Młody byczek aż kipiał od nadmiaru testosteronu.

– Satysfakcję, że nie rozwaliałam ci tego durnego łba. – I tym razem pistolet stanowił ostateczny argument. Młodzieniec zeskoczył momentalnie z siodełka. Mimo pokażnej muskulatury i zionących ogniem smoków wytatuowanych na obu przedramionach nie należał do najodważniejszych.

– Dzięki. Oddam.

– Tak? – zbaraniał, ale w sumie lubił ostre dziewczyny. – To gdzie się umówimy?

– Na Rakowieckiej. A teraz spadaj. – Już chciała odejść, kiedy jej wzrok padł na plecak chłopaka.

– Aha, jeszcze to.

– Ale...

– Bez ale. Mam dzisiaj słaby dzień, więc mnie nie denerwuj. Zawartość możesz sobie zabrać. Dwa rowery i plecak. Łatwo poszło. Żeby tylko krojenie ludzi nie weszło jej w krew...

Polecenie, jakie otrzymał od Banacha, było wyraźne – znaleźć i zneutralizować.

Nic prostszego. Wszelkie siły i środki są w jego gestii, wojsko, policja, czołgi i samoloty, a on wciąż nie wiedział, jak ma się za to zabrać bez sprawnej łączności i przy narastającym chaosie.

Poza tym posiadał za mało informacji o przeciwniku. Półflotyła to tylko taka nazwa czy też określona struktura? Jednostek pływających ma pięć, dziesięć czy może piętnaście? To przekładało się na liczbę marynarzy. Mogło ich być od pięćdziesięciu do stu pięćdziesięciu.

Najszybciej wytropi ich ze śmigłowca lub innej łodzi. Kolejną sprawą było określenie tego, co teraz robią. Są wsparciem czy grupą pomagającą w ucieczce? Najlepiej zrobi, jak natychmiast skieruje się nad Wisłę, po drodze kompletując zespół. Od razu porzucił myśl, by zamienić parę słów z Hańczą. Drużyna AT na początek byłaby świetna, lecz wiązało się to z długimi wyjaśnieniami. Zanim omówią szczegóły współpracy, minie pół dnia.

W okolicach pałacu znajdowało się dostatecznie wiele pododdziałów wojska, a ich dowódcom wystarczyło wydać rozkaz. Przy okazji musi koniecznie zaopatrzyć się w odpowiednią broń. Pistolet na wiele się nie zda w starciu z oddziałem komandosów.

Widok ulicy zakorkowanej jak okiem sięgnąć przyprawił Osmeckiego o dreszcz zgrozy.

W alei Solidarności i Andersa ruch prawie że zamarł. Biedni policjanci próbowali rozwiązać ten węzeł gordyjski, z niewielkim jednak skutkiem.

Osmecki zrazu chciał ruszyć biegiem, lecz szybko się opamiętał. W wyjściowym mundurze gnać po chodniku? Będzie wyglądał jak idiota.

Przeciął jezdnię i ruszył Bielańską, a potem Wierzbową. Stała tam kolumna radiowozów, ale samochody były puste. Tylko kilku gliniarzy snuło się wokół.

– Skąd jesteście? – zapytał jednego, palącego papierosa.

– Ze szkoły w Legionowie, panie pułkowniku. Przyjechaliśmy trzy godziny temu.

Ruszył dalej. Za gmachem opery skręcił w lewo i doszedł do Trębackiej, dalej już Krakowskie Przedmieście.

Przed policyjnym kordonem stał nieprzebrany tłum, gdzie nie spojrzeć, całe morze ludzkich głów. Wielu trzymało świece lub flagi.

– Co się dzieje?

Zabezpieczający zgromadzenie mundurowy wydawał się tak samo zaskoczony.

– Pojęcia nie mam. Stoją tak, czasami zaśpiewają i się pomodlą.

– Śpiewają?

– Tak. Różne patriotyczne... Od „Bogurodzicy” po „Boże, coś Polskę” i „Warszawiankę”. – Policjant zdjął z głowy czapkę i przedramieniem otarł pot z czoła. – Mnie pan nie pyta, ja z Poznania jestem.

– Krzyczą? Czegoś chcą?

– Tylko śpiew i modlitwa. O, właśnie zaczynają znowu.

Potężny baryton gdzieś na lewo od miejsca, gdzie stali, nadał pieśni odpowiednią ekspresję.

„Ojczyzno ma...”

Lepiej tak, bo kto wie, co zacznie się dziać, gdy rykną „My, pierwsza brygada”. Osmecki uśmiechnął się pod nosem. Ci, którzy zaatakowali Pałac Prezydencki, musieli się jeszcze sporo nauczyć. W pierwszej kolejności powinni zablokować wszelkie połączenia do Warszawy, w przeciwnym razie do wieczora będzie tu półmilionowy tłum.

Jeszcze nie wiecie, z kim zadarliście. Polacy najlepiej sprawdzają się podczas wojen i powstań.

Wypruwanie sobie żył przez czterdzieści lat to niedla nich, lepiej zginąć na barykadzie. Postawy są determinowane przez geny.

– Gdzie znajdę kogoś z dowództwa?

– W budynku seminarium.

– Dzięki.

Za kordonem kręciły się tylko pojedyncze osoby, wzmocnione patrole i stał sprzęt bojowy – Humvee i transportery. Spore siły. Pułkownik był dobrej myśli – wyskrobie trochę i dla siebie.

Przed seminarium wrzało, lecz przed Osmeckim warty się rozstały. W środku dopytał o dowódcę. Gdy wreszcie do niego trafił, wielce zapracowany podkomisarz wydawał instrukcje podkomendnym. Na widok Osmeckiego zdziwił się, ale nie przerwał rozmowy.

Należało poczekać, aż skończy, co nastąpiło dwie minuty później.

– W czym mogę pomóc?

– Pułkownik Stanisław Osmecki, Agencja Wywiadu – przedstawił się.

– Podkomisarz Julian Warecki.

– Ilu ma pan ludzi do dyspozycji?

– Stu dwudziestu.

– Potrzebuję ze dwa plutony.

– Pan żartuje? Widzi pan chyba, co się tu dzieje.

– To bardzo ważne, chociaż pluton.

– Panie pułkowniku, sam mam ich za mało. Tuż pod bokiem stoi całe komunistyczne komando, a z drugiej strony sto tysięcy wkurwionych ludzi. Zaraz będzie ich ze sto pięćdziesiąt tysięcy, a wieczorem pewnie z dwieście. Trudno powiedzieć, kto stanowi większe zagrożenie.

– Boi się pan, że...

– Mam pietra jak cholera. Sam pan przyzna, że to nie jest normalna sytuacja.

Osmecki otworzył usta, ale po chwili je zamknął. Ten policjant miał całkowitą rację. Nikt nie wiedział, co się wydarzy za godzinę, za pół, za pięć minut.

Z drugiej strony pozwolić odesłać się z kwitkiem nie wypadało. Sam zadania powierzonego przez Banacha nie wykona na bank.

– Ilu ludzi może mi pan użyczyć? – zapytał wprost.

– Ani jednego.

– Jak będę chciał...

– Otóż nie. Znam ustawę, w takich okolicznościach to wy podlegacie nam, a nie na odwrót.

– Pan chyba bardzo chce, żeby to wszystko zakończyło się krwawą jatką. Mamy powody przypuszczać, że ci, którzy okupują pałac, wkrótce otrzymają pokaźne wsparcie.

Warecki zastanowił się chwilę.

– Dwóch.

– Tylko?

– Za to największe kozaki. – Podkomisarz nie czekał, tylko od razu wyszedł na korytarz i kazał wezwać obiecanych funkcjonariuszy. – Moi zaufani. Z bólem się z nimi rozstaję.

Na zewnątrz dał się słyszeć łomot ciężkich buciorów i do sali wpadła para młodzieńców.

– Starszy sierżant Łukasz Adamski i posterunkowy Tomasz Nowak. – Przedstawił podwładnych. – Idziecie z panem pułkownikiem. I lepiej mnie nie zawiedźcie, bo nogi z tyłka powyrywam.

Jedyną dobrą stroną tej roboty był fakt, że nie wymagała precyzji. W końcu nie naciągał skóry na twarzy milionerce, której zamarzyło się wprawić w zazdrość przyjaciółki, ani nie powiększał... Nie, nie

piersi, w tym był mistrzem, cięcie, wkładka i szyjemy, ale tego, co spory procent mężczyzn doprowadzało do kompleksów.

Z tego akurat był szczególnie dumny. Był lekarzem, niósł pomoc, a że za dobrze wykonaną robotę płacono krocie, to co w tym złego?

Tym razem pacjenci byli martwi. W jego fachu to niespotykane. Robota dla patologa, a nie dla chirurga plastycznego.

Na pierwszy ogień wziął ciało terrorysty. Mężczyzna, wzrost sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, waga ciała osiemdziesiąt siedem kilogramów, zęby – w części implanty, widoczna zmiana kształtu nosa, skorygowane powieki i podbródek, a także linia włosów. Właściwie to były same przeszczepy, facet bez tego miałby klasyczną tonsurę.

Chwałko wykonał kilka zdjęć, żeby później wrzucić je do komputera, dołączyć rentgenogram i obrobić odpowiednim programem, który ukaze przybliżony wygląd denata przed serią zabiegów.

Ciało z lekką nadwagą, tu chirurg raczej nie interweniował. Zużycie niektórych organów wewnętrznych, na przykład wątroby, wskazywało na wiek pomiędzy pięćdziesiąt pięć a sześćdziesiąt lat.

Jak to pozory mogą mylić. Na ulicy dałby ofierze nie więcej jak czterdzieści pięć. Sukinsyn. Naprawdę dobrze się trzymał. Nie palił, dbał o zdrowie, a skończył z pociskiem, który przeorał mu jamę brzuszną. Był człowiek i nie ma człowieka.

Z kobietą sprawa wyglądała troszkę inaczej. Kula trafiła ją w czoło. Masakra. Śmierć nastąpiła momentalnie. Kości czaszki zostały zdruzgotane, a znaczna część masy mózgowej znalazła się na zewnątrz.

Fatalnie to wyglądało.

Zęby, podobnie jak w przypadku mężczyzny, to implanty, i to z górnej półki, tu nikt nie oszczędzał. Zoperowane policzki i broda. Przed śmiercią musiała być piękną kobietą. Faceci pewnie oglądali się za nią na ulicy. No, teraz też by się obejrzel.

Nie powinien tak myśleć, ale w całej tej doskonałości – do której rozpowszechniania sam się przyczyniał – wyczuwało się fałsz. Ile osób w normalnych społeczeństwach uznaje się za doskonałe pod względem fizycznym? To jednostki. Normalnie natura ma swoje ograniczenia.

Na całym świecie funkcjonowała masa klinik urody. Przy odpowiednich funduszach dawało się poprawić wszystko. Czasami jednak uważał, że na szczęście takie zabiegi nigdy nie będą dość tanie, by każdy mógł się im poddać. Gdyby nie to, już dawno ludzie tak by się do siebie upodobnili, że trudno byłoby się im wzajemnie rozpoznawać. Zostałyby mniej lub bardziej udane kopie Barbie.

Delikatnie otworzył oczy denatce i pochylił się ku źrenicom. Szklą kontaktowe. Za pomocą pincety zdjął obie soczewki i przyjrzał się im przez szkło powiększające, a następnie pod lampą ultrafioletową. Taa... To zapewne było to cudowne osiągnięcie Alien Optics – soczewki nie tylko korygowały wadę wzroku i zmieniały kolor tęczówki, ale też podobno ułatwiały widzenie w ciemnościach, a nawet zastępowały kamerę termowizyjną. Istne cudowniki. Na razie się tego tylko domyślał, do dalszych badań potrzebny był bardziej wyrafinowany sprzęt. Być może wówczas uda się sprawdzić, jakie tajemnice kryją. Zresztą tu jego kompetencje się kończyły – był chirurgiem, a nie elektronikiem.

– Skończyłem – obwieścił oficerowi, który nie odstępował Chwałki nawet na krok. – To wyślijcie do analizy.

Przekazał niewielkie pakunki z fragmentami tkanek i soczewkami.

– Mogę iść do domu?

– Jeszcze raport, panie profesorze. Tu obok jest gabinet. Zapraszam.

Nie pogadasz. Wywiadowca był tak sztywny jak zwłoki na stołach z nierdzewnej stali.

Cóż, nawet jej genialne pomysły nie zawsze się sprawdzają. Przesiadka na rower powinna być strzałem w dziesiątkę. Wszędzie mogą się przecisnąć i dojechać – rower to idealny pojazd na zakorkowane miasto. W dodatku nie wymaga paliwa ani prądu, poruszany siłą ludzkich mięśni. Oliwia nie przewidziała tylko jednego – nieprawdopodobnego tłoku na drodze. Zanim udało jej się zdobyć jednoślady, przez przeprawę na Wiśle ruszył tłum pieszych. Od ronda Waszyngtona po Aleje Jerozolimskie mozolnie pęzła ludzka rzesza. W obliczu paraliżu komunikacji miejskiej i zakorkowania ulic tysiące warszawiaków starało się na piechotę dostać na drugą stronę rzeki. Po kilkudziesięciu metrach jazda stała się niemożliwa.

– Panie Ryszardzie, proszę bliżej.

W podobnej sytuacji było wielu rowerzystów, usiłujących lawirować między samochodami stojącymi na jezdni, lecz tam też prawie nie sposób było się przecisnąć między pieszymi.

Ona sama może by sobie poradziła, lecz wiekowy senator wyraźnie nie miał takiej siły przebicia. Odpowiadała za tego starego pryka i nie mogła pozwolić, by się zawieruszył gdzieś w ciżbie.

– Niech mnie pani nie zostawia samego. – Bezradny polityk stał obok roweru i wyciągał do niej rękę niemal jak dziecko.

Dostał solidnie w dupę i zaczął się pilnować – pomyślała złośliwie. Byle dostarczyć go na plac Bankowy, potem będzie mogła wrzucić na luz.

Przepuściła zwartą grupę pracowników jakiegoś biura i podeszła do marszałka.

– Czegoś podobnego się nie spodziewałam.

– Ani ja.

Pozostała im piesza wędrówka, na szczęście niezbyt długa – najwyżej kilometr. Na razie nie chciała rezygnować z rowerów, które mogły jeszcze przydać się po drugiej stronie mostu. Tam na pewno się rozluźni. Ludzie się rozejdą, a oni spokojnie będą kontynuować jazdę. Raczej nie Alejami Jerozolimskimi, jeżeli tam sprawy wyglądają podobnie jak na moście, nie miało to większego sensu. Uparła się na ten plac Bankowy, ale przecież nie musieli tam jechać. Czy nie będzie lepiej, jak skręcą na Wiejską? Gmach parlamentu znajdował się bliżej. Byle zejść z mostu. Ucieszyła się z pomysłu mogącego nieco skrócić im tę odyseję.

Nie było chwili do stracenia. Podobno każda droga zaczyna się od pierwszego kroku. Nie ma co zatem się ociążać.

– Przepraszam, przeeeepraszaaam. – Ruszyła, mozolnie torując przejście Bielawie.

Rychło straciła orientację, czy to oni postępują naprzód, czy tylko przesuwa się tłum z naprzeciwka. Co rusz się zatrzymywali, lawirowali i grzęzli, to znów fala warszawiaków niosła ich w różnych kierunkach.

– Posłuchaj, Emil, wpadłem na pewien pomysł.

– Dobrze się składa, ja też mam coś dla ciebie.

Generał i naukowiec zaszyli się w pokoju socjalnym, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Drzwi pilnowali ludzie Banacha, a znajdujące się wcześniej w pomieszczeniu sprzęty elektryczne zostały wyniesione. Dużo ich nie było – radio i ekspres do kawy. Asystenci Borzęckiego umieścili je w naprędcie zbudowanej klatce Faradaya, co powinno odciąć potencjalne urządzenia podsłuchowe od eteru.

– Zaczynaj. – Pionowa zmarszczka na czole Banacha pogłębiała się coraz bardziej.

– Zastanawiałem się nad tym sygnałem sterującym dronem.

– I do jakich wniosków doszedłeś?

– BSL nie jest w stanie sterować sygnalizacją, zagłuszać łączności, paraliżować systemu bankowego, zakłócać komunikacji internetowej.

– Nie?

– Źle się wyraziłem. Może to zrobić jako stacja retransmisyjna, ale nie sam. Gdzieś musi znajdować się zespół, który nim kieruje.

– Zdaje się, że o tym wspominałeś.

– No właśnie. – Borzęcki wyglądał jak ktoś, kto posiadał wszelkie tajemnice wszechświata. – Ten zespół musi być w Warszawie, nie gdzieś daleko w świecie. Tego dowiodły pomiary opóźnień w zakłócaniu jako funkcji odległości. Ja oczywiście nie znam wszystkich okolicznych punktów łączności i przekaźników, bo i skąd... Natomiast dla nikogo nie jest tajemnicą, że w ostatnim okresie powstało sporo nowych miejsc o podobnym przeznaczeniu, od tajnej łączności rządowej poczynając, po to centrum walki z cyberprzestępczością.

– Mam je wszystkie sprawdzić?

– Nie, nie wszystkie, tylko te kierowane przez naszych sojuszników zza oceanu. Rozumiesz? Wszędzie tam, gdzie jankesi władowali się ze swoimi wynalazkami. Jestem pewny, że w ten sposób znajdziesz tych, którzy nam brużdżą od samego rana.

Choć pomysł wydawał się prosty, w rzeczywistości wcale taki nie był. Instalacje wojskowe od biedy potrafił zliczyć, to jakieś pięć lub sześć punktów w centrum i na obrzeżach Warszawy. Gorzej z cywilnymi. Kto mógł jeszcze bawić się w coś podobnego? Przecież nie operatorzy sieci komórkowych. Tych nadzorowano rutynowo. Placówki badawcze, instytuty, prywatne spółki? Może uzbierać się tego cała kopa. A co, jeśli ośrodek ten nigdzie nie zgłosił prowadzenia działalności telekomunikacyjnej czy czegokolwiek wymagającego anten?

Przewidywał trudności, ale musiał je pokonać. Stawka była zbyt wysoka, by od razu spasować. Najpierw w miarę szczegółowa lista, a potem ekipy dokładnie sprawdzą kolejne punkty.

– Zaczynaj od tego – Borzęcki wyjął z kieszeni marynarki złożony na czworo wydruk.

– Co to jest?

– Przyjrzyj się tym...

– No...

– Powstały niedawno.

– Branża zaczęła rozwijać się na potęgę dopiero po pojawieniu się Clarka i spółki.

– Ares Electronics, zarejestrowana trzy miesiące temu z kapitałem dziesięciu milionów.

– Imponujące.

– Człowieku, ocknij się – zirytował się Borzęcki. – Dziesięć milionów to tyle co nic. Jak chcesz cokolwiek znaczyć, musisz zaczynać z o wiele większym budżetem. Na razie mają fajne biura na Towarowej, a ci... o tutaj... – palec profesora wskazał na Dark Security System – ...wykupili prawie zakończoną inwestycję przy Jana Pawła II.

– Ten nowy biurowiec?

– Właśnie o nim mówię. Maszty są na dwustu metrach, niczego więcej nie potrzeba. Jest jeszcze podobny gmach przy Wilanowskiej. Tam też warto zajrzeć.

– Przecież nie wyślę tam zwykłych mundurowych. Potrzeba mi osób, które znają się na tych wszystkich cudёнkach.

– W tym ci nie pomogę. To jednak jeszcze nie koniec.

– Nie?

– Pomyśl, Emil, ten dron... – Borzęcki efektownie zawiesił głos – ...przecież nie wystartował z Okęcia. Jest jak samolot, potrzebuje pasa startowego na rozbieg.

– Czyli?

– Kombinuj.

Banach odchylił się na krześle. Ma punkty zaczepienia, nie pozostaje nic innego, jak polecieć według listy i dobrać się do tyłka winnym.

– Dobrze, teraz ja. – Generał podał Borzęckiemu małe, szczelnie zamknięte pudełko. – W środku są soczewki. Jak twierdzi nasz ekspert, jakieś wyjątkowe.

– Sam ich nie zbadał?

– To lekarz, nie elektronik. To robota dla ciebie.

– Z kogo je zdjęto?

– Mniejsza z tym. Nie chcesz wiedzieć.

Borzęcki przyjrzał się pudełku, jakby w środku skrywał się diabełek.

– Czyli trup.

– Trup jak jasna cholera.

– Zaraz to komuś zlecę.

– Zrób to sam, Oskar. I lepiej mnie nie denerwuj, bo nie wiem, czy dociągnę do wieczora.

Zbiegli nad Wisłę tuż przy Zamku Królewskim. Osmecki prowadził, Adamski i Nowak podążali jego śladem.

Pułkownika dławiła złość. Był praktycznie sam. Ta dwójka za nim do orłów na pewno się nie zaliczała. Brakowało im doświadczenia, byli za to chociaż pełni dobrych chęci i przynajmniej wiedzieli, z której strony jest lufa, a z której kolba automatu. W końcu należeli do oddziałów prewencji, a nie siedzieli za biurkami.

Po drodze minęli kilka policyjnych patroli, ale do nich Osmecki nie chciał się zwracać, przekonany, że wszystko skończy się tak jak poprzednio, na jałowym mieleniu ozorem.

Mniejsza z tym. Przystań znajdowała się już tylko kilkadziesiąt metrów od nich. Stateczek wycieczkowy cumujący niedaleko zupełnie nie zainteresował Osmeckiego, a żadnego innego obiektu pływającego nie było w zasięgu wzroku.

Już chciał szpetnie zakląć, gdy odezwał się radiotelefon.

– Zgłaszam się.

– Jak idą poszukiwania, Stasiu? – zaskrzeczał głos z mikrofonu.

– Jestem nad samą Wisłą. Mam do pomocy paru ludzi z prewencji.

– Doskonale sobie poradziłeś.

– Zwykły przypadek, panie generale.

– Chyba nie sądziłeś, że zostawię cię samego.

– Prawdę mówiąc...

– Dam ci ludzi z Agatu. Niemniej, zanim się zjawią, musisz sobie radzić sam.

– Zrozumiałem. – Wydawało się, że przynajmniej część problemów znalazła rozwiązanie. – Kiedy tu dotrą?

– Nie szybciej jak wieczorem.

Osmecki jęknął.

– Jadą z Gliwic rzutem kołowym, a to niestety zajmie trochę czasu. Nie puszczę ich samolotem, bo skończą tak jak tamta maszyna z Irlandii. Strażacy wciąż dogaszają pożary.

Czekaj tatka latka. Niepotrzebnie się ucieszył. Z Gliwic do Warszawy pojedą przez Częstochowę i Piotrków. Nawet jeżeli wyjechali zaraz po otrzymaniu wezwania, to gdzie są teraz? Zresztą kto powiedział, że wszyscy siedzieli w koszarach i czekali na rozkazy. Zanim ruszą, pobiorą broń i załadują do wozów, miną godziny. Na razie więc o pomocy jednostek specjalnych można zapomnieć.

Dobrze, że chociaż szkoleniowy Agat został w kraju, spora część pododdziałów operowała bowiem na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii, najczęściej bez wiedzy tamtejszych władz. Trwała brudna wojna, ścierały się różne siły. Nasi dzielni chłopcy walczyli z islamistami, Turkami i z tymi, którzy nie chcieli

dopuszczać do jakichkolwiek zmian, wnosząc antypolskie hasła.

Wraz ze zmianami sytuacji politycznej i taktycznej zmieniała się dyslokacja sił zbrojnych. Reagować trzeba było szybko. W najbliższych dniach miało zakończyć się przenoszenie na Węgry jednej z baz lotniczych. Ponad pięćdziesiąt maszyn bojowych powinno skutecznie zniechęcić Turków do działań zaczepnych. Siły nie były małe, lecz przecież Rzeczpospolita mogła sobie pozwolić na taką rozrzutność. I tak ponad sto śmigłowców AH-64 Apache starszych typów zakonserwowano i odstawiono do magazynów, podobnie jak dużą część UH-60 Black Hawk i innego sprzętu latającego. Cała 3 Brygada Lotnictwa Wojsk Lądowych operowała na niespokojnym bałkańskim pograniczu wraz z dwoma brygadami ekspedycyjnymi. W Polsce została tylko 1 Brygada Lotnictwa Wojsk Lądowych, bowiem 2 Brygada LWL przeniosła się do baz na Łotwie i w Estonii, w ramach programu zabezpieczenia północnej i wschodniej granicy. Trwała relokacja brygady pancerniej do Kowna i drugiej – zmotoryzowanej – do Dyneburga. Komponent morski już umieszczono w Rydze.

Z tego, co wiedział, rząd chciał dogadać się z Włochami, by przez Wenecję poprowadzić rurociąg dostarczający paliwo i gaz z Bliskiego Wschodu, omijając w ten sposób Bałkany oraz mniej przyjazne Grupie Wyszehradzkiej kraje zachodniej Europy.

Na gruzach starego porządku zaczęły się tworzyć dwa sojusze: jeden pod wodzą Warszawy, a drugi Berlina. Mówiło się coraz częściej o próbach wciągnięcia Moskwy w orbitę wpływu Niemiec. Polska znalazłaby się w imadle.

Ale nie tym razem, kochani, tego orzecha nie da rady tak łatwo zgryźć. To nie trzydziesty dziewiąty, czterdziesty piąty czy nawet osiemdziesiąty dziewiąty.

Osmecki powstrzymał się przed splunięciem do wody. Właśnie dojrzał przepływającą nieopodal nich policyjną łódź, motorówkę zaledwie, ale z kabiną i silnikiem pozwalającym zapewne rozwinąć przyzwoitą prędkość. Dwóch funkcjonariuszy policji wodnej przyglądało się nabrzeżu.

Pułkownik gwałtownie zamachał, żeby zwrócić ich uwagę. Adamski i Nowak poszli za jego przykładem.

– Dawaj bliżej! – zakrzyknął Osmecki do sternika, wskazując miejsce, gdzie miał nadzieję przejść na pokład bez łamania sobie przy tym nóg.

– O co chodzi?

– Jesteście mi potrzebni.

Sternik zręcznie manewrował kołem sterowym i manetką gazu.

– Do czego?

– Popływamy sobie.

Adamski chwycił cumę i przyciągnął łódź bliżej.

– Muszę zameldować.

– Lepiej nie, wszystkie rozmowy są przechwytywane. Jak niepowołane osoby dowiedzą się, co robimy, będzie źle.

– Panie pułkowniku, my nie możemy tak.

– Właśnie, że możecie. – Osmecki zdusił opór w zarodku. – Adamski, Nowak, ładujcie się do środka. Bez zbędnych ceregieli wskoczyli na pokład.

– Jak będą pytali, melduj, że odbywasz rutynowy partol.

– A tak naprawdę, to gdzie płyniemy? – Policjant całą swoją postawą wyrażał niechęć. Ni z tego, ni z owego na pokład wladował mu się pułkownik armii. I co z nim robiła ta dwójka z prewencji z automatami i w kamizelkach taktycznych? Im nie sprzęt do walki był potrzebny, a kapoki. W tym, co mają na sobie, pójdą na dno jak kamienie. Kłopoty murowane.

– Sprawa jest poważna.

– Słyszę to codziennie na odprawie – burknął sternik.

– Tym razem nie przesadzam. Mamy powody przypuszczać, że bandyci otrzymają posiłki właśnie od

strony Wisły.

– Pan sobie żartuje, panie pułkowniku? – Nowak ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– Powiedzmy, że ta ewentualność jest bardzo prawdopodobna.

– Jakoś sobie poradzimy, jedna motorówka to jeszcze nie tragedia. – Adamski wykazał więcej optymizmu.

– Obawiam się, panowie, że tu nie chodzi o jedną czy dwie motorówki. Przeciwno nam może wystąpić cały oddział marynarki.

– Niszczyciele tu nie wpłyną.

– Ale kutry 13 Półflotylli owszem. – Osmecki przyjrzał się gromadce gliniarzy.

– Pan mówi o tym oddziale sformowanym do dywersji w warunkach przybrzeżnych? – Widać było, że sternik zna się na rzeczy.

– Tak.

– Nasza piątka przeciwko całej flotylli? To nie jest zabawne. Przepłyną po nas, nawet nie zauważając.

– Pomoc jest blisko.

– Jak blisko, panie pułkowniku?

– Dokładnie nie wiem. – Jego wymijająca odpowiedź nie wzbudziła entuzjazmu wśród załogi. – Dobrze, nim dojdzie do najgorszego, musimy ich znaleźć. Gdzie oni mogą się teraz ukrywać?

– Jezioro Włocławskie? – zaryzykował Nowak.

– Marynarce zerwała się z łańcucha cała jednostka, a wy o tym tak spokojnie, jakby się nic nie stało. Do czego to podobne? A nikt nie pomyślał, jak oni mieliby przedostać się przez zaporę we Włocławku? Ktoś ich musiał wyciągnąć, przewieźć i zwodować. To nie pontony – parsknął sternik.

Ten facet miał całkowitą rację. 13 Półflotylla wybrała drogę zdrady. A jeżeli po jej stronie opowiedzą się inni? Czy mogą liczyć na lojalność reszty marynarki wojennej? A co z lotnictwem i wojskami lądowymi?

W brygadzie pancерnej w Wesolej przeważnie służyli Polacy, lecz i tam spory odsetek to Amerykanie. Sprzęt wymieniono, to już nie były stare PT-91 i BWP-1, ale Abramsy i Bradleye. Wystarczy, że zbuntuje się jeden batalion czy nawet jedna kompania i dojdzie do masakry. Policja nie powstrzyma czołgów. Nie ma takiej opcji.

Spisek na pewno był rozległy, pytanie tylko jak bardzo. Czy umoczeni w nim byli wyłącznie jankesi, czy wciągnięto do niego też Polaków?

Przeciwnik wykonywał ruchy błyskawicznie, oni reagowali jedynie na zagrożenia. Jak długo tak można?

Z czymś podobnym Oskar Borzęcki zetknął się po raz pierwszy. Te soczewki to prawdziwy majstersztyk. Kosmiczna technologia. Z tego, co wiedział, podobne cudenka produkowała tylko jedna firma na świecie.

W zeszłym roku na sympozjum w Nowym Jorku, jeszcze przed epidemią, która zdziesiątkowała populację Ameryki Północnej, rozmawiał z gośćmi, którzy zajmowali się takimi rzeczami. Mówili wówczas, że to sprawa nieodległej przyszłości – a tu proszę, produkt jest gotowy, i to lepszy od opisywanego w prospektach.

Jak się ten facet nazywał? Frei, Frenzl? Nieistotne.

Firma miała w nazwie coś z okulistyką... Opti Dyne? Siedziba gdzieś w Kalifornii. Zaczynali ponoć od oprawek do okularów. Wiadomo, że ostatnio pracowali nad nahełmowymi wyświetlaczami dla pilotów. Jak widać, nie zaniedbali też i zwykłych śmiertelników. O ile to oczywiście oni, gdyż nie znalazł

żadnych śladów. Na produkcie nie było logo ani niczego podobnego. Żeby się upewnić, musiałby pogadać z kimś z branży, nie jedna Opti Dyne funkcjonowała na rynku.

Fascynujące połączenie elektroniki i biomechaniki. Ich wewnętrzna struktura była niesłychanie skomplikowana. Na razie tylko je przeświecił, ale już to dawało mu przedsmak przyszłych odkryć. Zresztą dlaczego miałby czekać? Czas naglił.

Zawahał się – w końcu zdjęto je z trupa – a co tam... jak założy na chwilę, nic się nie stanie, przecież starannie je zdezynfekował.

Nałożył obie soczewki. Zamrugął. Wzrok stopniowo się wyostrzył, zupełnie jakby spoglądał przez lunetę snajperskiego karabinu. Chyba za bardzo się spiął. O, teraz lepiej. Soczewki zapewne współdziałały z mięśniami oczu. Widział doskonale. Podszedł do okna, zadowolony z efektu. Fantastyczne, nigdy dotąd nie był w stanie dostrzec aż tylu szczegółów, i to z odległości kilkudziesięciu metrów.

Skupił spojrzenie na kobiecie idącej drugą stroną ulicy. Kolor paznokci u rąk... wiśniowy. Mrugnął i... kurwa, o co chodzi? Obraz stał się monochromatyczny, pojawiła się skala, dziwna jakaś, dopiero po chwili się zorientował, że prawdopodobnie chodzi o jardy i temperaturę otoczenia – poczuł się jak Terminator.

Takie urządzenie powinno mieć bezpośrednie połączenie z mózgiem. Na pewno nie było to łatwe, jednakże dla kogoś, kto dysponował taką technologią, zapewne wykonalne. Soczewka wykazywała aktywność elektryczną na zewnątrz, to już wykryto. Bardzo słabą, a zatem łączyła się z implantem w mózgu. Musiało to w jakiś sposób zwiększać jej możliwości, a raczej – umożliwiać korzystanie ze wszystkich funkcji. To, co do tej pory widział, było, można by rzec, funkcjami podstawowymi. Żeby otrzymać pełny pakiet, należało podłączyć zabawkę do układu nerwowego.

Genialne.

Ponownie skierował spojrzenie na ulicę. Kobieta oddaliła się znacznie. Była – przeliczył jardy na metry – sto trzydzieści siedem metrów od niego, a on i tak widział każdy szew dżinsów na jej tyłku. Obok volvo i ojciec odpinający z dziecięcego fotelika swoją pociechę.

Borzęcki spokojnie przejrzał cały interfejs. Odległości, zegar, temperatura panująca na zewnątrz i temperatura celu, bo ci ludzie to cele, inaczej nie potrafił tego wytłumaczyć.

Ciekawa sprawa. Koniecznie musi dowiedzieć się, co jeszcze oferuje ten wynalazek. I to natychmiast.

– Panie poruczniku, panie poruczniku...

– Przestań się wydzierać, Jachimek. Pali się?

Porucznik Jakub Słowikowski wyjrzał z wieżyczki Abramsa M1PL3, najnowszej mocno spolonizowanej wersji dawnego amerykańskiego czołgu. Dopiero wezwanie starszego szeregowego oderwało Kubę oraz batalionowego rusznikarza od naprawy karabinu maszynowego sprzężonego z działem czołgu. Broń wciąż się zacinała. Winny, jak się zdawało, był wyrzutnik, sprężyna nie działała tak, jak trzeba.

Pojazdem oznaczonym jako Granit 1 jeździł sam Słowikowski, dowódca plutonu, tak więc awarię usuwano właśnie pod jego okiem.

– Major chce z panem gadać. Ja tam nic nie wiem, ale na mój gust szykuje się zadyma.

– Słyszysz go, Zięba? – Kuba zwrócił się do rusznikarza. – Bitki się niektórym zachciewa.

– Młody, to i głupi. – Podsumował starszy już zbrojmistrz.

– Sam dokończysz?

– Bez problemu.

Słowikowski przerzucił nogi przez właz i znalazł się na panczerzu. Wciąż nie potrafił nadziwić się

własnemu szczęściu. Pojazdy stanowiące dotychczasową podstawę batalionu wycofano z użytkowania parę miesięcy temu. Miejsce przestarzałego sprzętu zajęły nowoczesne konstrukcje. Nigdy nie sądził, że kiedyś przesiądzie się z PT-91 na takiego potwora. Od czasu tej zmiany nieustannie trwały ćwiczenia.

Brygadę zasilono amerykańskimi instruktorami, którzy pomogli ukompletować stan jednostki do poziomu prawie dziewięćdziesięciu procent etatu.

Nie cichły też plotki o przerzuceniu poszczególnych oddziałów na Węgry lub nawet do Rumunii. Nie po to harowali przecież tak mocno, żeby siedzieć w koszarach. Poważnie należało liczyć się z wyjazdem. Węgry czy Rumunia to jeszcze pół biedy. Najmniej atrakcyjnie zapowiadała się wizyta na dawnych kresach, a nawet dalej. Od kiedy zabrakło wsparcia Zachodu, ukraińskie wojska znacznie gorzej radziły sobie w Donbasie. Nie wykluczano więc, że niektórym przyjdzie ruszyć i w tamtym kierunku. Ruscy i separatyści pewnie nie odpuszczą, wyczuwając słabość obecnych władz w Kijowie.

Jak to dobrze, że on nie musi zajmować się polityką. Wystarczyło, że wysłuchał transmisji z obrad Sejmu i od razu dostawał bólu zębów. Jak oni w ogóle dochodzą do porozumienia? Niech no taki jeden pyskacz z drugim dołączą do jego kompanii, po miesiącu wyjdą jako inni ludzie.

– Major u siebie?

– Tak jest, panie poruczniku! – Starszy szeregowy wyprężył się na baczność.

– Możecie odmaszerować. – Słowikowski poprawił beret na głowie i ruszył w stronę budynków, gdzie mieścił się sztab.

Koszary w Wesołej przez lata zajmowali sami pancerniacy. Pozostałe bataliony zmechanizowane pełniły służbę dalej na wschodzie, może nie tak odległym wschodzie jak ten, który się szykował, ale jednak. Później ponownie skoncentrowano brygadę. Na potrzeby jednostki wybudowano nowe budynki w Rembertowie i w Sulejówku. Dawne obiekty w Wesołej zostały przejęte przez nowe oddziały – batalion walki radioelektronicznej oraz bazę zabezpieczenia materiałowego.

Rozlegający się nagle dźwięk alarmu zaskoczył Jakuba zupełnie. Podobno w stolicy doszło do jakiejś ruchawki, ale żeby zaraz z tego powodu stawiać na nogi armię, no to już chyba lekka przesada. Mimo wszystko ruszył truchtem.

Z budynków koszarowych wysypali się żołnierze i ustawili na placu apelowym. Próbował przekonać samego siebie, że to nic takiego, tylko zwykłe rutynowe ćwiczenia, że za parę godzin wrócą z powrotem na stare śmieci. Naprawdę próbował, ale... sam w to nie wierzył.

Na dowódcę batalionu majora Alana Kaufmana natknął się w chwili, gdy ten wychodził z budynku komendantury.

Kaufman był niski i barczysty, o nieco ziemistej cerze i głęboko osadzonych czarnych oczach. Na broni pancernej znał się jak mało kto. Pochodził z jakiegoś zadupia w Karolinie Południowej, gdzie rodzinną tradycją było nielegalne pędzenie bimbru po lasach. Jak to się stało, że w kimś takim objawił się pancerniacki talent? Dokładnie nie wiadomo. Może miał go po dziadku, który podczas drugiej wojny służył w 707 Batalionie Czołgowym i otarł się o kompanię w lesie Hürtgen. Walczył tam tydzień, a później na długie miesiące trafił do szpitala. O swoich przeżyciach rozmawiał tylko z wnukiem, nikt inny nie wiedział, co wówczas przeżył. Młody Kaufman wziął sobie głęboko do serca to, co usłyszał. Opowieść nim wstrząsnęła, ale gdy przyszło podjąć decyzję o przyszłości, wiedział dokładnie, co chce robić w życiu. Nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu znalazł się w Polsce, choć zupełnie tego nie planował, tu dostał nowy przydział i znalazł się w Wesołej. Nie musiał rezygnować z tego, co lubił. Mogło być gorzej.

– Panie majorze...

– Jest rozkaz do wymarszu piechoty.

– A my?

– Jak dostaniemy rozkaz. – Kaufman dość dobrze opanował język polski, tylko czasami zjadał końcówki albo nie potrafił poprawnie wymówić trudniejszego słowa. – Proszę przygotować swój pluton.

– Tak jest!

W kieszeni bluzy majora zawibrował telefon. Kaufman oddalił się o kilka kroków, zanim odebrał. Słowikowski widział, jak dowódca się pochyła. Wydawał się całkowicie pochłonięty rozmową.

Problemy majora to nie jego sprawa, najlepiej, jak zajmie się własnym plutonem i przygotuje wozy oraz ludzi do wymarszu.

Pierwsze gąsienicowe wozy bojowe piechoty już ustawiały się na drodze wiodącej w stronę bramy. Gdy je tu przywieźli, wszystkie pokrywał pustynny kamuflaż, dopiero w warsztatach brygady nałożono na nie trójbarwne nieregularne plamy według wzorca nadesłanego przez ministerstwo.

W porównaniu ze starymi BWP-1 Bradleye były olbrzymami. Wysoki na prawie trzy metry pojazd, uzbrojony w działko 25 milimetrów i dwie rakiety przeciwpancerne TOW w zasobnikach z boku wieży, wydawał się niezniszczalny. W obecnych warunkach to był najlepszy sprzęt, na jaki mogli liczyć. Walka z wrogiem zewnętrznym nie była im straszna, lecz pomysł skierowania Bradleyów na ulice Warszawy nie spodobał się Kubie zupełnie. Już z daleka zalatywał idiotyzmem. Jeżeli ktoś chce wesprzeć się na ich barkach, to źle robi. Wysyłanie zwartych pododdziałów przeciw cywilom przeważnie kończyło się tragicznie, a odkręcić tego potem w żaden sposób się nie dało.

Dobra, wystarczy tego ociągania. Słowikowski zawrócił w stronę garaży, gdzie stały wozy kompanii pancerniej.

Pod nieobecność porucznika sprawy wziął w swoje ręce jego zastępca, chorąży Jerry Archer, dobry chłopak, rodem z Indianapolis, o twarzy czarnej jak węgiel. Oprócz niego w plutonie znajdowało się jeszcze dwóch przybyszów zza wielkiej wody – Portorykańczyk i Chińczyk.

W plutonach piechoty zdarzali się też Hindusi, Meksykanie, Jamajczycy, no i oczywiście biali. Jeżeli ktoś z dawnej kadry nie potrafił pogodzić się ze zmianami, odchodził. Dla takich w szeregach armii nie było miejsca.

Słowikowski wychowany na jednym z wielkich polskich blokowisk od razu się przystosował, ale bywało, że i jemu dowodzenie taką zbieraniną przychodziło z trudem. Wielu zaczynało powątpiewać, czy dalej mają do czynienia z wojskiem narodowym, czy może to jakaś struktura o charakterze armii kolonialnej.

– Jachimek, pomóż Moralesowi, widzisz, że nie daje rady.

– Taa jest.

Nie tak dawno nakrył obu gagatków, jak palili skręta w kiblu. Tak się wkurzył, że obu szeregowcom zaserwował za karę tydzień czyszczenia klozetów jako środek wychowawczy. Ciekawe, czy poskutkowało.

Plecaki, Mini-Beryle, manierki i cała reszta kłopotów wkrótce znalazła się w maszynie oznaczonej jako Granit 2.

– Zrobione, panie poruczniku. – Rusznikarz Zięba wytarł dłonie w brudną szmatę.

– W samą porę.

– Oby tylko nie przyszło panu zrobić z tego użytku.

– Też mam taką nadzieję.

Pożegnali się i zbrojmistrz poszedł w swoją stronę.

Na samą myśl o strzelaniu do tłumu Słowikowskiego przeszedł dreszcz. Tfu... makabra. Takiego rozkazu na pewno nie wykona, ani też nie przekaże go podwładnym. Nie obciążą sumienia zbrodnią.

Złapał wystający element na panczerzu i wspiął się na czołg. Przystanął na płaskiej wieży Abramsa, obserwując, jak radzą sobie inni. W końcu machnął ręką i zsunął się na swoje miejsce. Beret zamienił na hełm czołgisty i od razu podłączył się do sieci wewnętrznej batalionu. Przyjemnie było poczuć, że nie jest sam, lecz stanowi część o wiele większego organizmu.

Wozy piechoty opuszczały koszary. Klamka zapadła. Jak należało się spodziewać, i pozostali wkrótce pójdą w ich ślady.

Yvonne była spokojna i całkowicie skoncentrowana na prowadzeniu samochodu. Nie myślała o tym, co będzie musiała zrobić później. Na razie skupiła się na dotarciu do celu, bo nie wszystko szło tak, jakby chciała. Na drodze co i rusz pojawiały się zatory, mimo że ci, którzy ją pilotowali, wybierali najmniej uczęszczane trasy. Już myślała, że z Góry Kalwarii pojedzie przez Piaseczno, ale nie, kazali jej skręcić w prawo. Zdaje się, że przez Konstancin łatwiej będzie się przebić.

W pewnym momencie o mało nie zahaczyła jakiegoś durnia na motorze. Debil wyskoczył jej tuż przed maskę. Mało ją obchodził ten żaloszny pajac. Kierownica drgnęła w jej dłoniach nieznacznie. Chłopak instynktownie odbił w lewo, ratując się przed niechybnym rozjechaniem. Jednak manewr wykonał za szybko, co sprawiło, że zniósło go na pobocze. Kątem oka zobaczyła, jak rozpaczliwie stara się zachować równowagę. Na pewno się wywrócił, ale to już nie jej problem.

Ograniczenia prędkości jej nie obchodziły. Wyminęła kilka samochodów, które jej zdaniem jechały za wolno, i oto miała przed sobą kilkusetmetrowy odcinek prostej szosy. Przyśpieszyła. Od Ursynowa dzieliło ją już tylko...

Czarny dodge RAM 1500 pojawił się dosłownie znikąd, blokując jej pas ruchu.

Ty kretynie, co ty robisz?!

Mocno nacisnęła na hamulec z nadzieją, że uda jej się zwolnić. Pisk opon rozdarł jej uszy. Tylne burty terenówki zaczęła rosnać w oczach. Wielkie bydle sunęło powoli, dopiero nabierając prędkości. Jeżeli szybko czegoś nie zrobi, zaryje maskę volkswagena pod tylny most dodge'a. Samochód pójdzie do kasacji. Ona zresztą też.

Zwolniła hamulec, starając się ominąć zawałidrogę i gwałtownie skręciła w lewo. Samochód wpadł w poślizg, odmawiając jej posłuszeństwa. Teraz nie miała już żadnego wpływu na to, w którą stronę się potoczy. Instynktownie zamknęła oczy i usztywniła dłonie na kierownicy. Nic więcej nie mogła zrobić. Ogarnęła ją panika. To gorsze od tej strzelaniny z blond siksą nad Wisłą. Zdaje się, że zaczęła nawet pisać ze strachu, choć tego nie była pewna.

Golf uderzył w dodge'a bokiem. Zgrzyt metalu i huk rozbijanych szyb był ogłuszający. Gdyby nie pasy, którymi była przypięta do fotela, wyrzuciłoby ją na drogę jak bezwładnego manekina. Wydawało jej się, że to wszystko trwa i trwa, a w rzeczywistości minęło najwyżej parę sekund, odkąd wpadła w poślizg. W końcu jednak wóz znieruchomiał.

Spanikowany kierowca terenówki zatrzymał się kawałek dalej i natychmiast wyskoczył z szoferki. Miał sześćdziesiąt lat, żonę, dwoje dorosłych dzieci, psa i kochankę. Był właścicielem kilku modnych knajp w centrum Warszawy. Sukces przyszedł późno, ale teraz już niczego nie musiał sobie odmawiać. Pozował na twardziela i kogoś, kto ma ze trzydzieści lat mniej.

Fakt, trochę się zagapił, a nie powinien. Wszystko przez tę gówniarę, której naobiecował złote góry, a przede wszystkim to, że rozwiedzie się z żoną. Szmata szantażowała go teraz, ciągnąc forsy jak z bankomatu. Mało miał jednego problemu? No to od razu pojawił się kolejny. Remont dodge'a pochłonie majątek.

Jednak co tam wóz, kupi sobie nowy, gorzej, że spowodował wypadek. Tak się przestraszył, że o mało nie zsiadł się w spodnie. Zabił człowieka! O Chryste, jak się z tego wytłumaczy?

Volkswagen miał wgniecioną całą prawą stronę karoserii. Przez pokruszoną szybę ledwo co było widać... Czy to kobieta? Tak na pewno kobieta. Leżała na kierownicy i nie dawała znaku życia. Zrobiłby wszystko, by cofnąć czas choć o pięć minut. Poduszki powietrzne nie zadziałały, pewnie wóz ze szrotu.

Obiegł samochód, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. W życiu nie znalazł się w takiej parszywej sytuacji. Stalowa obręcz paniki zacisnęła mu się wokół piersi. Był bliski płaczu. Człowiek haruje jak wół i taki jest jego koniec.

Musiał przystanąć i oprzeć się o golfa. Nieznośny ból w klatce piersiowej nie chciał minąć. Chwytał powietrze otwartymi ustami, nogi mu drżały, a lewa ręka zaczęła drętwieć. Ale syf.

Yvonne powoli dochodziła do siebie. Czyżby straciła przytomność? Niemożliwe. Dłonią zaczęła szukać słuchawki, która wypadła jej z ucha, ale nie mogła jej namacać. Na pewno gdzieś tu jest. Sprawdziła wszystko bardzo dokładnie, w końcu znalazła. Ależ chciało jej się pić. Pole widzenia stopniowo się poszerzało. Odpięła pasy i nacisnęła na klamkę otwierającą drzwi. Wytoczyła się z samochodu, od razu padając na kolana. Usta zatkała dłonią, powstrzymując mdłości.

Obok zobaczyła buty, solidne kowbojki, zupełnie niepasujące do miejsca. Opierający się o samochód mężczyzna drżał jak w febrze.

Najlepiej, jak natychmiast zniknie. Niedługo pojawi tu cały tłum ciekawskich lubujących się w takich zdarzeniach – jest wypadek, należy popatrzeć, tak jakby trup był zjawiskiem szczególnie interesującym.

Szok spowodowany wypadkiem powoli mijał. Zawroty głowy, krótki urywany oddech, mdłości, z tym poradziła sobie bez problemu. Prawdziwy niepokój wywoływało rwanie po prawej stronie, na wysokości wątroby. Odbierało jej siły i wolę. Jezu Chryste, co jej się mogło stać?

Powoli spróbowała się podnieść, opierając się dłonią o fotel, drugą przycisnęła mocno do bolącego miejsca.

Na pewno złamała żebro, albo i dwa. To jeszcze nic straszego. Ludzie funkcjonowali z dużo poważniejszymi obrażeniami. Najwyżej łyknie parę pastylek przeciwbólowych. Do jutra wystarczy. Na szczęście kość nie przebiła skóry, bo wtedy szpital byłby murowany, a wykończenie Bielawy spadłoby na barki kogoś innego.

Gdzie jest jej torebka? Patrol policji czy żandarmerii może pojawić się w każdej chwili. Adamski powiedział jej wyraźnie, szukają Wiktorii Stawskiej. Pewnie bardzo się zdziwią, gdy znajdą ją w takich okolicznościach.

Wczołgała się z powrotem na miejsce kierowcy. Czerwona płachta bólu spłynęła jej na oczy. Lewy nadgarstek chyba też był uszkodzony. Musiała mocno grzmotnąć o kierownicę. Co ciekawe, samego momentu uderzenia w ogóle nie mogła sobie przypomnieć.

Jęcząc i mamrocząc przekleństwa, w końcu uchwyciła pasek czarnej sakwy i wygrzebała się na zewnątrz.

– Proszę pani... halo, proszę pani?

Co znowu?

– Tak? – odparła cicho.

– Nic się pani nie stało? O rany...

Stojący przed nią funkcjonariusz wydawał się przestraszony.

– Wszystko w porządku. Czuję się świetnie.

– No nie wiem.

Słowa gliniarza mocno ją zaniepokoiły.

– Trochę się potłukłam.

– Lepiej będzie, jak pani usiądzie. – Przytrzymał jej ramię, próbując zmusić do wykonania polecenia.

– Kiedy mi naprawdę nic nie jest.

– Tak się tylko mówi, a pan, halo, do pana mówię, no nie...

Mężczyzna opierający się o golfa zaczął powoli osuwać się na ziemię. Powietrze zasysał jak ryba wyrzucona na brzeg.

Policjant zostawił Yvonne dla pilniejszego przypadku. Z jednej ofiary niespodziewanie zrobiły się dwie. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że właściciel dodge'a nie poniósł żadnych fizycznych obrażeń, wydawał się cały i zdrowy, chyba jednak za mocno się przejął, bo najwidoczniej dostał zapaści, a już na pewno miał kłopoty z sercem.

Nim gliniarz zdążył go podtrzymać, tamten gruchnął o asfalt. Zawał jak nic. Nigdy nie wiadomo,

kiedy coś takiego człowieka trafi. Możesz przez całe życie wpieprzać korzonki i pić źródlaną wodę, a i tak dopadnie cię to w najmniej spodziewanej chwili.

Yvonne na drżących nogach odstała o parę kroków do tyłu.

– A pani gdzie się wybiera? – Mundurowy sukinsyn nie stracił czujności.

– Ja? Nigdzie.

– Niech ktoś mi pomoże – zaapelował policjant do zacieśniającej się grupy ciekawskich. – Kto potrafi zrobić opatrunek?

– Ja. – Do przodu wyrwał się mięśniak, na którego głacy odbijały się słoneczne promienie.

– Doskonale, proszę działać.

Zdaje się, że chodziło o nią. Colt w torebce pozwalał rozstrzygnąć sytuację na jej korzyść, ale przecież nie powystrzela wszystkich, którzy pętali się dookoła. Świadców tu więcej niż pocisków w magazynku.

– Nie będzie bolało.

– Tak, tak, proszę usiąść. – Obok łysielca pojawiła się kobieta w średnim wieku. – To skaleczenie wygląda paskudnie.

Dopiero teraz do świadomości Yvonne dotarł przykry fakt – oprócz połamanych żeber i stłuczonego nadgarstka poharatało jej twarz. Już nic gorszego nie mogło jej się przytrafić. Porażka na całej linii.

W pierwszym odruchu miała ochotę wyciągnąć spluwę i wygarnąć do tej całej hołoty, nie licząc się z konsekwencjami. Potem zakosi kolejny wóz i tyle ją widzieli. Refleksja przyszła sekundę później – na jak długo wystarczy jej złości? W końcu osłabnie. Jest sama, przynajmniej na razie. Przyjaciele daleko, a ich pomoc na obecnym etapie raczej niemożliwa. Musi reagować adekwatnie do okoliczności. Na razie wszystko gra, chcą jej pomóc, niech więc pomagają. Na dodatek z oddali dobiegł ją odgłos nadjeżdżającej na sygnale karetki pogotowia.

– No, moja droga, ja wiem, że jest pani w szoku... – Jędza zwracała się do niej jak do dziecka, czym zaskarbiła sobie dożgonną nienawiść Yvonne.

Łysielec w tym czasie przyłożył jej do policzka gazę, którą zupełnie nieudolnie próbował obwiązać bandażem. Yvonne nie protestowała. Przynajmniej nie będzie widać, jak wygląda. Przyciągnęła bliżej torebkę ze smartfonem i pistoletem. Lepiej, żeby nikt tam nie zaglądał. Można powiedzieć, że to jej polisa na życie.

Ambulans w końcu przystanął tuż przed dodge'em. Ratownicy zaczęli wyciągać nosze. To dla niej?

Jednak nie. Załadowali na nie nieszczęsnego właściciela terenówki. Z tego, co udało jej się podsłuchać, facet miał rozległy zawał. Trudno powiedzieć, czy wyżyje.

Teraz kolej na nią. Wstała, podtrzymywana przez silne ramię ratownika. Ten gość przynajmniej był fachowcem, nie to co mięśniak i ta idiotka pełna dobrych chęci, za to z zerowymi umiejętnościami.

– Dobrze. Państwu już dziękujemy.

Chłopak odsunął niedorobioną parkę na bok, kierując się w stronę karetki.

– Kręci mi się w głowie – powiedziała cicho Yvonne.

– Przystańmy. Proszę głęboko oddychać.

Gliniarz, który pomógł odstawić sercowca do ambulansu, znalazł się tuż obok.

– Muszę wiedzieć, jak się pani nazywa – rzucił do niej.

– Zaraz zwymiotuję. – Yvonne mocniej złapała ramię ratownika, dramatycznie chwiejąc się na nogach.

– Możemy z tym poczekać? Widzi pan, co się dzieje? – Mężczyzna przytrzymał ją mocno, by nie upadła.

– Muszę zawiadomić dyżurnego. – Nie odpuszczał funkcjonariusz.

– Później pan to robi.

Yvonne zaczęła jęczeć. Udawanie słabości przychodziło jej bez trudu.

– Możemy już iść? – Ratownik patrzył na nią ze współczuciem.

– Tak – rzuciła słabo.

Pomógł jej wsiąść do ambulansu i w końcu ruszyli, pozostawiając za sobą rozbitego volkswagena, lekko uszkodzonego dodge'a i bez mała kilometrowy korek.

Pojechali w kierunku Warszawy. Lepiej być nie mogło. Po raz pierwszy od godziny Yvonne pozwoliła sobie na lekkie rozluźnienie. Może ten wypadek nie był aż tak fatalny, jak się na początku wydawało...

Na Hel z Gdyni jedzie się przez Redę, Puck i Władysławowo. Widoki piękne, a teraz na dodatek, przed sezonem, na szosie dawało się rozwinąć całkiem rozsądną prędkość.

Niestety, tuż za Władysławowem utknął, bo Okręgowa Dyrekcja Dróg i Autostrad postanowiła utrudnić mu podróż i wydać trochę grosza z publicznej kiesy. Mimo późnego popołudnia prace trwały w najlepsze. Na przestrzeni jakichś stu pięćdziesięciu metrów usunięto starą nawierzchnię i ułożono nową. Wszystko, zanim pierwsi wczasowicze zjadą do pensjonatów i prywatnych kwater.

Galiński w międzyczasie zdążył przejrzeć ilustrowany tygodnik i wysłuchać wiadomości nadawanych o pełnej godzinie. W stolicy wciąż trwał pat. Terrorysty nie przedstawili żądań, nie było więc podstaw do rozmów. W okolicach Krakowskiego Przedmieścia warował dwustutysięczny tłum. Miasto w sporej mierze było zakorkowane. Liczono się z tym, że dopiero nocą uda się rozładować zator na najważniejszych arteriach.

Co tu dużo mówić, nie wyglądało to najlepiej. Ci, którzy podejmowali decyzje, nie zmrują oka. Kryzys trwał w najlepsze i nikt nie wiedział, czym się skończy.

Czy oni zawsze muszą mieć takiego pecha? Jedna wojna, druga, powstania. Teraz, gdy już się wydawało, że przez największy w historii świata zakręt przejdą bez bólu, wydarzyło się coś takiego.

Doświadczenie podpowiadało Galińskiemu jedno – to nie może się dobrze skończyć. Zbyt wielkie siły zostały wprowadzone w ruch, by wszystko wróciło do normy.

W końcu dano znak i kolumna samochodów ruszyła. Uwielbiał ten odcinek. Prawdę mówiąc, im dalej na cypel, tym bardziej. Chałupy, Kuźnica, z jednej strony szosa, tuż obok linia kolejowa. Wolał nie szarżować, zachowując rozsądną prędkość. Przejeżdżając obok kolejnego skupiska domków rekreacyjnych, zastanawiał się, kto chciałby tu przyjechać w czasie wakacji. Przecież to czysty masochizm. Człowiek na człowieku, krzyki, gwar i hałas. Jeden włączy radio na maksa, drugi pokłóci się z żoną. Wszystko na widoku. A jednak i taki wypoczynek znajdował amatorów. W lipcu i sierpniu roilo się tu od wczasowiczów.

W końcu Jastarnia, po niej Jurata i sam Hel – miejsce, gdzie półwysep z wąskiej mierzei rozszerzał się do około trzech kilometrów. Kiedyś co i rusz napotykało się tu wojskowe instalacje. Później większość niedostępnych miejsc została opuszczona przez marynarkę wojenną, a porzucony teren został zagospodarowany przez okoliczne gminy. Teraz flota wracała na stare śmieci.

Wiedział, że w pobliżu chciano postawić radar stacjonarny obejmujący swoim zasięgiem cały obszar Bałtyku. Kto im zabroni? Ich teren. Mogą budować, co chcą. Może i lotnisko podciągną bliżej, a jak nie lotnisko, to może miejsce dla baterii rakiet dywizjonu nadbrzeżnego, chociaż w obecnych warunkach posiadanie takowego miało się z celem. Mieli silną flotę, dla której północny akwen wydawał się zbyt mały. Odpowiednie decyzje zapadną gdzie indziej, do sprawy włączy się Warszawa. Oczywiście, jak przeżyją.

Pamiętał, ile szumu było podczas uruchamiania bazy w Radzikowie. Moskwa zagroziła odwetem, mimo że dwadzieścia pięć rakiet nie mogło im zrobić żadnej szkody. Obecnie posiadali dość odpowiednich systemów, i to zarówno na okrętach, jak i na wyrzutniach lądowych. Dane były oczywiście tajne, ale nieoficjalnie mówiło się o grubo ponad pół tysiącu pocisków. Na pozór mogło się wydawać, że

w tych okolicznościach Rosja będzie protestować na całego. Jej propaganda uczyni wszystko, by usunąć to zagrożenie spod swojego boku. Ludzie na ulicach, dzieci w telewizji, zatroškani eksperci, wszyscy o tym samym – te rakiety to śmierć dla Federacji. O filmach i sponsorowanych audycjach już się Galińskiemu nie chciało nawet myśleć.

Efekt był jednak taki, że Kreml siedział cicho jak mysz pod miotłą. Jeżeli wycelowali Iskandery spod Kaliningradu i Kalibry z jednostek floty, to ich sprawa. Nie chwalili się tym, wiedząc, że ściągną odwet, a polskie Tomahawki sięgną celów daleko w głąbi terytorium Federacji. O wojnie konwencjonalnej to niech oni w ogóle nie myślą. T-14 wciąż mieli mało, może z jeden batalion, i to taki, który nie brał udziału w działaniach bojowych. Cała reszta Kurgańców i Bumerangów tak samo, tu kompania, tam druga. Na zastąpienie parku maszynowego nową generacją sprzętu trzeba lat, a tych zaczynało Rosjanom brakować.

Z pozoru mogło się wydawać, że taka potęga jak Rosja bez problemów zajmie miejsce USA jako lider światowego bezpieczeństwa. Mieli możliwości i doświadczenie, których innym brakowało. To wciąż był kraj o sporym potencjale ekonomicznym i przemyśle nastawionym na potrzeby armii. O czasach Związku Radzieckiego można było zapomnieć, czerwona flaga już nie załopoce na najbardziej odległych od Moskwy terytoriach. To już nawet nie były czasy najazdu na Donbas i interwencji w Syrii. Po śmierci Władimira Władimirowicza Putina wszystko powoli, acz nieubłaganie zmierzało do katastrofy. I tylko od samych Rosjan zależało, jaki ta katastrofa przybierze rozmiar, czy stanie się totalnym armagedonem, czy też uda im się wyjść z niej obronną ręką. Bez ofiar się raczej nie obędzie, ale tak to już jest, skoro narobiłeś sobie samych wrogów, to później uważaj, by nie dostać kosą pod żebra.

W końcu i Hel. Budynek dworca kolejowego po prawej, rybackie chaty na wprost. Do bazy 13 Półflotyli zdaje się w lewo? Fokarium Galińskiego nie interesowało, dopiero baseny i falochron wyrzucony daleko w morze.

Zwolnił, wypatrując dogodnego zjazdu. Tą drogą można było dotrzeć niemal na sam cypel, a wiodła obok dawnych stanowisk artylerii. W końcu zaparkował, wysiadł i zamknął wóz, uruchamiając alarm. Ruszył uliczką opadającą w stronę plaży. Dla kutrów rybackich wydzielono jeden z basenów, część innego, po przebudowie, zajęła marynarka wojenna. Płot ze stalowych sztachet z drutem kolczastym wijącym się u góry zagroził kapitanowi dalszą drogę. Wartownia, przy niej znudzony marynarz w polowym uniformie floty. Galiński podszedł bliżej, okazał legitymację i odpowiednią przepustkę. Jego wzrok niespokojnie taksował puste miejsca przy pirsach.

– Chciałbym rozmawiać z komandorem Lawrence'em Nyanzale.

Chłopisko przed nim nie wydawało się zainteresowane tym, co mówił.

– Komandor Nyanzale, gdzie jest?

– Proszę nie krzyczeć, panie kapitanie.

– Zadałem pytanie.

– A ja nie jestem upoważniony, by udzielić odpowiedzi.

– Jest tu ktoś starszy od was stopniem, kapralu?

– Podporucznik Krimerman.

– Wołaj.

Kutry flotylli wyparowały. To jeszcze nic strasznego, przecież planowo biorą udział w manewrach opodal Ustki. Teoretycznie wszystko w jak najlepszym porządku. Tylko że i pod Ustką ich nie było. Galiński nie znajdował żadnego powodu, by nie wierzyć temu kanceliście, z którym wcześniej rozmawiał.

– Podporucznik Krimerman oczekuje pana w dowództwie. Proszę iść prosto, to jest tamten budynek.

– Dziękuję.

Pod względem wyposażenia baza na Helu nie umywała się do innych ośrodków szkoleniowych. Trochę magazynów, wieża z masztem radiowym, kwatery dla załóg, sanitariaty, lazaret, warsztaty, pomieszczenia łączności, meteo i cała reszta.

Galińskiego zastanawiały jednak panujące tu pustki. Zaledwie paru marynarzy kręciło się w pobliżu. Przy pirsie łódź w maskującym szaro-zielonym kamuflażu. To wszystko. Równie dobrze mógł nią przypłynąć on sam prosto z kapitanatu w Gdyni.

Sięgnął po telefon. Lepiej, jak zadzwoni do majora Chmury, dawnego przełożonego, i powie, gdzie jest. Znalazł numer i nacisnął na zieloną słuchawkę. Niemal od razu usłyszał sygnał zajętości. Chmura wybrał sobie zły moment na rozmowę. Nic to, spróbuje za chwilę.

Wszedł do wnętrza komendantury, podążając schodami w górę. W środku panowała cisza jak w grobie. Aż się prosiło, by zawołać: „Jest tu kto?”.

Zaczął wpadać w panikę, a to fatalnie. Oficer wywiadu nie powinien tracić głowy.

Szybko dotarł na piętro, rozglądając się po korytarzu.

– Tutaj – usłyszał głos z jednego z pobliskich pomieszczeń.

– Podporucznik Krimerman?

– Tak. Dzwonili z wartowni. Proszę śmiało.

Wszedł do dużego pokoju. Biurka, krzesła, kosze na śmieci. Od zwykłego biura ta sala odróżniała się jedynie mapami na ścianach.

– Co pana do nas sprowadza?

Krimerman, ogolony na łyso dryblas z twarzą poznaczoną bliznami, okazał się Afrykańczykiem.

Galiński łatwo wyobraził go sobie ze złotym kolczykiem w uchu, papugą na ramieniu i kordem przy pasie. Wtedy przynajmniej zaistniałaby podstawa zatrzymania podporucznika pod zarzutem złamania regulaminu mundurowego. Niestety, Krimerman był wzorem oficera marynarki. Pikselowy mundur leżał na nim doskonale.

– Od rana staram się zlokalizować komandora Nyanzale i nie mogę. W końcu zdecydowałem się przyjechać, bo sprawa jest poważna.

– Naprawdę? – zapytał podejrzliwie oficer.

– A tak, przepisy epidemiologiczne są pod tym względem bardzo rygorystyczne. Komandor zdaje się nie poddał się kwarantannie. To może okazać się bombą z opóźnionym zapłonem o katastrofalnych skutkach.

– Pan nie mówi poważnie?

– Obawiam się, że tak. Przyznam szczerze, powstał bałagan w papierach, zresztą nie ma o czym mówić, wystarczy, że odstawię komandora do Gdyni, a tam już zajmą się nim nasi ludzie.

- Jacy nasi ludzie?
- Specjaliści z Instytutu Chorób Tropikalnych – odparł z uśmiechem skończonego idioty.
- I komandor miałby tam trafić?
- Z malarią nie ma żartów.
- A niby gdzie miałby się jej nabawić?
- Może pan mi powie?

Krimerman wydawał się ubawiony słowami Galińskiego.

– Od paru miesięcy realizujemy zadania, nie ruszając dalej niż od Szczecina na zachodzie po Kłajpedę na wschodzie. Klimat może się i zmienia, ale nie aż tak, by w lecie zrobiło się tu powyżej czterdziestu stopni. Mamy własnego lekarza, innego nam nie potrzeba, a poza tym, jak pan widzi, flotylla przebywa na ćwiczeniach. Do portu zawiną dopiero za parę dni.

– Jak ja to wytłumaczę szefowi? – Galiński rozłożył ręce. – Łeb mi za to urwie.

– Taka inteligentna osoba jak pan na pewno sobie poradzi. Szkoda tylko, że zmarnował pan pół dnia na dojazd do nas.

– Takie niestety są uroki biurokracji.

Nic tu po nim. Krimerman znajdował się na swoim terenie, a Galiński jak na razie nie miał podstaw, by zarzucić podporucznikowi kłamstwo. Kutry popłynęły, znikły za horyzontem i tyle, są na ćwiczeniach lub też wykonują tajne zadanie. Reszta tych, którzy pozostali w bazie, będzie trzymać język za zębami.

Przyjechał, zobaczył, nic nie wskórał. Byle tylko trafić do domu.

– W czym jeszcze mogę pomóc? – Krimerman z lornetką przy oczach zlustrował morskie podejście do Trójmiasta, zupełnie jakby spodziewał się ujrzeć wrogie okręty zbliżające się do wybrzeża.

– W zasadzie to już w niczym. – Galiński nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Chyba jedynie się pożegnać, bo rozmowa dobiegła końca.

Kroki za plecami sprawiły, że się odwrócił. Marynarz, którego spostrzegł, na pewno nie był wyższy od niego, ale z pewnością szerszy w barach. Robert od razu poczuł niepokój. Spróbował przesunąć się w bok, co miało taki skutek, że wpadł na stojące tam biurko.

– Ożeż! – Rozmasował bolące kolano.

– Zna pan takie przysłowie... – Krimerman odwrócił się, przyglądając się badawczo Galińskiemu. – Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Pańska erudycja jest doprawdy zdumiewająca.

– Bosmana Holbrooka pan nie zdążył poznać?

– Jakoś się nie złożyło. – Od wyjścia na korytarz dzieliły Roberta ze trzy metry, potem klatka schodowa, nabrzeże, brama, co najmniej dwieście metrów jak obszył.

– Nie szkodzi. Proszę tylko nie robić niczego głupiego. – Krimerman podszedł bliżej. Osaczali go teraz z dwóch stron.

– Moi przełożeni wiedzą, gdzie jestem.

– I co z tego?

– Będą interweniować.

– Nie sądzę.

Chciał szybkim zwodem wyrwać się na korytarz, pochylił się i uderzył bosmana barkiem. Równie dobrze mógłby z rozpędu wpaść na ścianę. Facet bez najmniejszego wysiłku zablokował starania Roberta i odrzucił go na poprzednie miejsce.

– Proszę nie utrudniać.

Łagodny głos podporucznika nie zmylił Galińskiego.

– Nie wiecie, co robicie. – Wysapał wkurwiony na maksa. – Podnieśliście rękę na oficera Wojska Polskiego.

– Bez przesady.

– To bunt.

– Spróbujmy się dogadać, dobrze? Myślę, że lepiej załatwić sprawę po dobroci. Posiedzi pan z nami do jutra, a gdy już wszystko się wyjaśni, wróci pan do siebie.

Galiński nie zamierzał słuchać tych bzdur.

– Wiecie, czym karze się buntowników? Gardłem. Więc lepiej uważajcie, jeżeli nie chcecie zawisnąć na rejach.

W Sztapie Głównym panowało mniej więcej takie samo zamieszanie jak i w Centrum Zarządzania Kryzysowego. Wielu obecnych tu oficerów wydawało się bliskich paniki. Tych kilku, którzy zgromadzili się wokół Banacha, zachowało resztki rozsądku, choć i im nerwy powoli puszczały.

– Na chwilę obecną nie możemy połączyć się z jednostkami z Torunia, Poznania, Wrocławia, Katowic i Częstochowy. Dane z pozostałych obszarów są fragmentaryczne. 17 Wielkopolska Brygada Zmotoryzowana przestała reagować na nasze polecenia i kieruje się na południe – referował jeden z majorów.

– To znaczy?

– Ignorują nas.

– Jak to możliwe? – Banach doprecyzował pytanie.

– Nasz nowy system dowodzenia Achilles okazał się dużo bardziej zawodny, niż przypuszczaliśmy. Albo inaczej, ci, którzy się pod niego podpisali, są prawdziwymi artystami w swoim fachu.

– Powoli, chwileczkę, jak to jest możliwe, a telefony? Wszystkie wysiadły w całej... – generał powstrzymał się przed rzuceniem przekleństwem – ...Polsce? A radiostacje, a teleksy?

– Całkowita automatyzacja – wyjaśnił informatyk i łącznościowiec zarazem. – Oni myślą, że wypełniają nasze rozkazy, ignorując przy okazji wszelkie próby zmian. Dla nich to jest atak hakerski. Jeżeli wyślemy samolot, który spróbuje ich zagłuszyć, mogą go uznać za wrogi i próbować zestrzelić. To jest jak wirus w samym środku naszego procesu decyzyjnego. Bardzo destrukcyjny wirus. Ci, którzy nad tym pracowali, wiedzieli, co robią. Jedne rozkazy są wykonywane, inne zmieniane, a inne uznawane za próby przeniknięcia. Może dojść do tego, że nasze własne jednostki zaczną same okładać się ogniem.

– Ale rozpoznanie...

– Jak się okazuje, nie tylko można je zagłuszyć, ale i przejąć. To tylko komputery. Wróg jest tam określony za pomocą symboli. Artylerzysta przecież nie wie, do czego strzela. Nie ma znaczenia, czy dana jednostka się zbuntowała, czy też nie. Wie o tym tylko ten, który kręci całym systemem. Taka 17 Brygada może składać się z samych najbardziej lojalnych wobec nas żołnierzy. Jak otrzymają rozkaz, nie nasz oczywiście, rzucą się do gardeł tym, którzy według nich okazali się zdrajcami, mimo że to tacy sami patrioci jak i oni.

– Proszę mi tylko nie mówić, że nie istnieje bezpieczny sposób na porozumienie się z dowódcami naszych grup bojowych! – Wybuch Banacha sprawił, że referujący oficer o mało nie zrobił kroku w tył. – Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a ja słyszę jedynie o tym, jakie to skomplikowane lub niemożliwe do wykonania!

– Obawiam się...

– Czego się pan obawia?! Chyba tylko tego, że pana zdegraduję za wygadywanie bzdur! Odłączcie te wszystkie zabawki od prądu, a potem zresetujcie, będzie dobrze!

– To nic nie da, wirus jest już w systemie. Czy pana laptop po załadowaniu niechcianego programu wyrzuci go z powrotem? Oczywiście, że nie. On tam będzie tkwił dalej.

– To go zneutralizujcie, czy co tam... Ilu informatyków do tego potrzeba, stu, dwustu, pół tysiąca?

– W całych naszych siłach zbrojnych, lotnictwie, flocie i wojskach lądowych są dosłownie setki

tyście miejsc, z których można wejść do Achillesa. Może to zrobić dowódca okrętu na Bałtyku czy też kapitan dowodzący na pograniczu węgiersko-rumuńskim. Wkrótce będą mieli do niego dostęp porucznicy, a nawet sierżanci. Tak to zostało pomyślane. Sieciocentryczne pole bitwy. Właśnie udoskonalamy poszczególne elementy. Nawet pan nie wie, jaką to daje nam przewagę. Mając stosunkowo niewielkie siły, można podjąć walkę z o wiele silniejszym przeciwnikiem. Najważniejsze jest rozpoznanie, kontrola, łączność.

– A teraz wróg siedzi w samym środku naszej sieci bojowej! – Pięć generała zawisła nad blatem stołu, lecz nie uderzyła w niego, tylko powoli opadła. – Rozgryźli nas bez pudła. Znają nasze myśli i zamiary, a my w niczym nie jesteśmy w stanie im przeszkodzić. To jest wojna, panowie, a my tę wojnę sromotnie przegrywamy. Lepiej zastanówmy się, jak temu przeciwdziałać, bo rano może się okazać... – W tej chwili myśli Banacha zatoczyły pełny krąg.

Już wiedział, czego chcą napastnicy. Im chodziło o całe państwo i wszystkie jego aktywa, a nie o jakieś tam miliony, miliardy czy część majątku narodowego, a nawet o ustępstwa czy co tam człowiek jest w stanie wymyślić. Tym sukinsynom chodziło o cały kraj, od gór po morze, od Odry po Bug, z całym zasobami i populacją.

– O w mordę... – Banach zbladł.

– Pan generał źle się czuje? – Zaniepokoił się jeden z adiutantów. – Może wezwać lekarza?

Dranie. Powinien wpaść na to wcześniej. Nie odzywali się, bo oni nie mieli żądań. Sparaliżowali główny ośrodek decyzyjny w kraju, a potem wladowali wirusa do sieci komputerowej sił zbrojnych. Przejęcie jakichś tam telefonów to jedynie dopełnienie całości. Właściwie to było już pozamiatane. Obojętnie, gdzie się nie obróca, i tak z tyłu dupa. Zostali wyrolowani, a przy okazji odebrano im możliwość ruchu. To, że 17 WBZ jechała na południe, było bez znaczenia. Ona jechała na południe, bo tak pokazywały znaczniki na ekranach komputerów. Z terenu żadnych informacji nie otrzymała.

Równie dobrze żołnierze mogą kierować się na Warszawę, a jak dojadą, to zacząć strzelać. Przecież nie wiedzą, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. W ten sposób agresor w ogóle nie potrzebował armii. Polacy powybijają się sami.

– Czy flota i lotnictwo działają w oparciu o ten sam system?

– W zasadzie tak, różnice są niewielkie, właściwie kosmetyczne.

– I nie ma sposobu na przerwanie tego błędnego koła? – Banachowi chciało się jednocześnie płakać i śmiać.

– Tak kompletnie źle to nie jest – odezwał się starszy już pułkownik. Banach kojarzył go z intendentur, ale pewny nie był.

– Słucham?

– Możemy wysłać gońców.

– Gońców? – Paru młodszych oficerów wydawało się zaskoczonych tą informacją.

– A co w tym takiego dziwnego? Nie możemy liczyć na telefony i komputery, użyjmy więc tego, co nam pozostało.

– Pan chce ich posadzić na rowery?

– Dlaczego tak dramatycznie? – Zdziwił się tamten, unosząc prawą brew. – Samochody w zupełności wystarczą. Ilu tu ludzi kręci się zupełnie niepotrzebnie, a tak przynajmniej będą mieli zajęcie.

– Dowódcy jednostek, które zaczęły wykonywać nie nasze rozkazy, mogą się nie podporządkować.

– Ale przynajmniej zaczną się zastanawiać, kiedy z góry otrzymają rozkaz strzelania. Proponuję napisać jeden list do wszystkich pełniących służbę, obojętnie, żołnierzy, policjantów czy strażaków.

– Mają siedzieć na tyłkach w koszarach i komendach – zasugerował ten sam major co na początku.

– Ależ nie, są nam potrzebni, ale niech myślą, a nie bezwiednie wykonują polecenia.

– Świetnie, właśnie tak zrobimy. – Banach zgodził się z pułkownikiem. – Jeszcze jakieś sugestie?

– Ja bym wydrukował takie wielkie obwieszczenia jak kiedyś, drukarnię jakąś znajdziemy.

– Dobrze, i co tam zamieścimy? – Do głowy generałowi przyszedł pierwszy lepszy szkic: „AK, zapluty karzeł reakcji”, ale chyba nie o tym mówił pułkownik.

– Apel, odezwę, obwieszczenie, nazwa jest bez znaczenia, a na nim w punktach, co się stało i co należy zrobić.

– Wyjdziemy na idiotów, co to nie upilnowali własnego kraju.

– Lepiej być idiotą niż... mniejsza z tym. Nawet nie mamy telewizji.

– Ludzie uwierzą?

– A dlaczego nie? Głupi przecież nie są. Taki apel powiesi się w każdej bramie, na każdym przystanku, na stacjach i w urzędach, zaczną się go też odczytywać przez lokalne radiowęzły. Wszystkiego te chujki przecież nie zablokują, bo to fizycznie niemożliwe, nawet jak wyłączą prąd, to co z tego, będzie się sypać ulotki z samochodów. Odezwa musi trafić do każdego wojewody, a potem to już spłynie do powiatów, gmin, wójtów i sołtysów. Ich głowa, żeby każdy się dowiedział, o co chodzi.

– To się nie uda. – Któryś z cywilnych pracowników spróbował storpedować inicjatywę pułkownika.

– Taka demokracja to może działała w starożytnych Atenach, ale dziś? Guzik kogo obchodzi, co tam władze kombinują, byle ode mnie trzymały się z daleka.

– Pamiętacie, jak wybuchły protesty na Majdanie? Wtedy też większość Ukraińców mogła powiedzieć, że to nie ich sprawa. Jak już obalono Janukowycza i doszło do wojny, rząd ogłosił mobilizację, wtedy już nikt nie mógł powiedzieć, że go to nie obchodzi. Każdy musiał wybrać: albo front, albo dezercja. Dotyczyło to wszystkich, i kozaków, i pasterzy owiec w Karpatach. Jak tu pozostać obojętnym? To, z czym dzisiaj mamy do czynienia, to taka sama wojna, ona również dotyczy każdego. Co, może się myłę?

– Nie, oczywiście, że nie. – Parę osób postanowiło zatrzeć złe wrażenie, jakie wywołała poprzednia wypowiedź.

– A jak, pana zdaniem, taka odezwa powinna się zaczynać? – dopytywał Banach.

– Obywatele, rodacy, stajemy w godzinie próby... – wyrecytował pułkownik bez zająknięcia. – Może być?

– Doskonale. Tylko kto się pod tym podpisze?

– Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. – I na to pytanie pułkownik miał gotową odpowiedź.

Tego akurat Banach nie skomentował. Już się domyślał, skąd u pułkownika takie przemyślenia i gotowe rady. WRON. Życ im nie dadzą, to już lepiej od razu utopić się w sedesie. Rada Ocalenia Narodowego? Też nie. Brzmi jak nazwa zastępczego rządu. Może tradycyjnie – Front Jedności Narodu? Dziś ma chyba kompletne zaćmienie. Front Ocalenia Narodowego? Eee... Armia Krajowa? W sumie nieźle, przecież byli armią, i to krajową. A jakby tak nie front, tylko Armia Ocalenia Narodowego? To już trochę pachniało zamachem stanu. Im prościej, tym lepiej.

– Niech będzie: Oficerowie i Żołnierze Sił Zbrojnych RP – powiedział w końcu do zgromadzonych.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Po otrzymaniu takiego apelu nie sądzę, by doszło do jakichś gwałtownych starć. Wszyscy raczej będą chcieli poczekać do wyjaśnienia spraw. Ci, którzy tego nie zrobią, określą się jasno jako nasi wrogowie.

– A my skąd będziemy o tym wiedzieli?

Na ten temat można by dyskutować godzinami, a i tak teoria nie dorównywała praktyce. Zawsze znajdzie się jakiś szczegół, który wszystko postawi na głowie. Te plakaty i obwieszczenia to świetna sprawa, tylko co powie zwykły obywatel, jak usłyszy odczytywaną monotonnym głosem odezwę? Że ponownie siedzi w czarnej dupie, to raz, że państwo jak zwykle nie sprawdziło się w godzinie próby, to dwa, że wojna, to już trzy. Wróg jest nienazwany, ukrywa się, dezinformacja to jego główna broń, co więc zrobią obywatele?

Z odpowiedzią na tak postawione pytanie Banach miał największy problem. Lepiej, jak nic nie

zrobią. Dodatkowo najlepiej niech mieszkańcy stolicy siedzą w domach, bo co tam się będzie działo w Olsztynie czy Chorzowie, to bez znaczenia. Kraj ma pracować, a służby działać. Żył jednak zbyt długo i wiedział, czym się to może skończyć. Zaczną się protesty, manifestacje i strajki. Ci, którzy nie zgadzali się z obecnym rządem, dostaną wiatru w żagle – dlaczego wróg zaatakował właśnie teraz? Bo elita jest do niczego. Jutro zrobi się sądny dzień, pojutrze wybuchną zamieszki. Jak je opanować, skoro rozkazy nie spływały w dół po szczeblach dowodzenia? Będzie jeszcze gorzej, bo oni nie otrzymają sygnału zwrotnego, że coś się dzieje, że gdzieś tam na ulicach dochodzi do zamieszek – będą ślepi i głusi.

Podstawowe zadanie to przywrócić łączność.

Nie było jednak aż tak fatalnie, jak myśleli wszyscy. SWW w każdej jednostce posiadała swoich ludzi, a ci kontaktowali się z centralą niezależnym od Achillesa systemem. Może i generał nie wiedział, gdzie są obecnie operatorzy z GROM-u czy Agatu, ale przynajmniej nie obawiał się, że staną po niewłaściwej stronie. Gorzej, jeśli jego przedstawiciele przeciwnik wyłuska wcześniej i odstrzeli w jakimś ustronnym miejscu. W 13 Półflotylli tak się chyba stało. Marynarz, którego pozyskali, nie dawał znaku życia.

Po kiego wała ścigał tu w ogóle tych wszystkich Amerykanów? Pewnie myślał, że jest cwany, że przewiduje na parę ruchów do przodu. Lepiej, jak on się nimi zaopiekuje, niż żeby trafili pod niewłaściwe skrzydła.

Rozważył wiele za i przeciw i w najczarniejszych snach nie przewidział, co się stanie. Parszywe jankeskie złamasy. O słowie „lojalność” pewnie nigdy nie słyszeli. Chociaż, jak już tak głębiej się nad tym zastanowić, to niby względem kogo mieli być lojalni? To przecież ich kraj spustoszyła zaraza, a los rzucił na obczyznę. Choćby nie wiadomo jak się tu w Polsce starano, nie stworzy się im namiastki dawnej ojczyzny.

Banach był daleki od tego, by zdradą obarczać wszystkich, jak leci. Zamachu nie zaplanowali zwykli szeregowcy czy podoficerowie. Ci to, co najwyżej, przyłączą się, jak już wszystko wyjdzie na światło dzienne.

Clark wspomniał o niejakim Tonym Butlerze. Służba Wywiadu Wojskowego miała na tego padalca teczkę. Niewiele co prawda w niej było, parę ogólnych informacji, zdjęcia. Analitycy określali Butlera jako mistrza wojny psychologicznej i niekonwencjonalnych technik bojowych. Z tym akurat trafili w sedno. Równie ważny jak on był zespół, którym dowodził. JSOC, północnoamerykańskie szwadrony śmierci. Tak nazywali je dziennikarze zajmujący się tematem, pewnie trochę na wyrost, ale sporo w tym było prawdy. Czas ich największego rozwoju to druga kadencja prezydentury George’a Busha i krwawa wojna w Iraku. Później o nich przycichło. Dla Baracka Obamy byli niewygodni: on, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, którą dostał na zachętę, i ludzie, których kojarzono z tajnymi nielegalnymi operacjami i torturowaniem zatrzymanych. Ze strefy cienia przeszli w półmrok albo i jeszcze głębiej.

A może jednak Clark wpuszcza go najzwyczajniej w świecie w maliny? Czy to możliwe, że grupy JSOC przetrwały do tej pory tak głęboko utajnione w strukturach US Army i Navy, gotowe do działania, jak tylko zaistnieją odpowiednie do tego warunki?

Delta, Team Six SEAL, 24th STS sił powietrznych, sami najlepsi z najlepszych. To im mają sprostać nasi komandosi? Pewnie pomiędzy żołnierzami sił specjalnych istniały nieformalne związki. Prawie na pewno część z nich znała się z misji. Czy w takim razie będą strzelać do swoich kolegów?

Niemal natychmiast w głowie Banacha zaświtała kolejna myśl, od której w ustach zrobiło mu się sucho – a co jeżeli polskie oddziały sił specjalnych zostały zinfiltrowane przez wroga? Czy można na nich polegać, czy też w najbardziej kluczowym momencie opowiedzą się po drugiej stronie? Skoro do dowództwa SWW nie dotarły informacje o planowanym ataku, to i taką opcję należało brać pod uwagę. Jego informatorzy mogą teraz dyndać na latarniach, a on nic o tym nie wiedział. *Fuck*.

Jak tak dalej się zastanawiać, to co właściwie stało się z CIA, NSA i całą resztą? To przecież były tysiące... setki tysięcy pracowników rozsianych po całym świecie. Gdzie podziała się ta cała masa

ludzi? Część na pewno przeniesiono na Hawaje, tam gdzie obecnie przebywał rząd, część ewakuowano na Alaskę, ale co z resztą? Czy to przypadkiem nie w CIA działały oddziały Special Activities Division, czyli grupy operacji specjalnych zajmujące się obalaniem wrogów USA na całym świecie? Pucze i rewolucje to ich wizytówka. Cała reszta działań, tak jak w przypadku JSOC, to usuwanie przeciwników politycznych, infiltracja sił zbrojnych, sabotaż, dywersja. Z grupami bojowymi CIA nie było żartów. A on, skończony dureń, zaprosił ich wszystkich do Polski. Większego błędu nie dawało się już popełnić. Najlepiej, jak oddali się do najbliższego pustego gabinetu i strzeli sobie w usta. Może w ten sposób ocali resztki honoru.

Tym ludziom było zupełnie obojętne, gdzie ich los zanieśie. Oni nie chcieli rezygnować z władzy i przywilejów, które władza daje. Jak nie Waszyngton, to może być Warszawa. Polska to nie USA, ale i tak lepsza od mroźnego Anchorage czy Honolulu, gdzie wszystko zostało stłoczone na jednej wyspie. Będąc w centrum Europy z takimi zasobami, jakie mieli, zaczną prowadzić taką politykę jak wcześniej. Tu już nie będzie Polski, jaką wszyscy znali, a nawet takiej, jaką chciała mieć Unia Europejska – wypełnionej imigrantami po brzegi, z meczetami i budkami z kebebem na każdym rogu, lecz z wciąż dominującym polskim żywiołem. Jankesi ulepią Polskę na swoją modłę, ściągną tu swoich rodaków, skąd tylko się da – możliwości przecież istniały – i sprawią, że jego krajanie staną się helotami, czy wręcz pariasami w swoim dawnym państwie. Wtedy Amerykanie zaczną podboje, najpierw te małe, niedostrzegalne. Czechy, Słowacja i Węgry już nie będą dla Warszawy partnerem, a staną się państwami zależnymi. Później przyjdzie kolej na całą resztę. Wszystko skończy się totalną rozpiarduchą, raczej nie za jego życia, ale w perspektywie pokolenia lub dwóch.

Konrad Mazowiecki pewnie też nie wiedział, co czyni, ściągając do Polski Krzyżaków. Miał dobre chęci, rozumu trochę mniej. Doradcy pewnie i jego musieli utwierdzić w przekonaniu, że dobrze czyni. Umarł, nim podopieczni wyrosli na niebezpieczną dla Polski potęgę.

A ci, którzy zaprosili tu carycę Katarzynę? Szczęsny Potocki, Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski? Oni też kierowali się najwyższymi ideami. I własnym interesem. A teraz i on na własne życzenie dołączy do tej wesołej gromadki. Był jednocześnie zdrajcą i głupcem. Już nie dziwił się, dlaczego Berlin, Paryż czy Rzym nie chciały przybyszów zza oceanu. Może oni przewidzieli, czym się to skończy?

Diabli wiedzą, jak sprawy się potoczą. Nawet jeżeli pokonają niewidzialnego wroga, to już na zawsze w kraju zapanuje nieufność. Wszystkich Amerykanów z kraju deportować się nie da, można ich co najwyżej osadzić w obozach internowania, tych bardziej przydatnych zmusić do podpisania lojalki, tych mniej – osiedlić w małych miasteczkach pod kontrolą lokalnych władz. Jakim państwem wówczas stanie się Polska?

Tyranią.

W nadchodzącym starciu każdy niech określi, po czyjej jest stronie. Albo z legalnie wybranymi władzami RP, albo z buntownikami. Inna możliwość nie istniała.

– Dobra, wyłączamy wszystko, co się da, i bierzemy się do roboty. – Banach wsparł się o poręcz krzesła i wstał. – Żadnych telefonów, żadnych esemesów, o komputerach zapomnijcie. Rozegramy to tak, jak bywało kiedyś. Pytania? Nie ma? To jazda!

– Pani Oliwio, ja już ledwo idę.

Cała para uszła z Bielawy dawno temu. Teraz był cieniem tego człowieka, którego spotkała dzisiejszego ranka.

– Już niedaleko.

– Muszę usiąść.

Oliwia rozejrzała się. Od Wiejskiej dzieliło ich jedynie kilkaset kroków, kilometr najwyżej, ale po tym, co przeszli na moście Poniatowskiego, nie dziwiła się senatorowi zupełnie.

W połowie przeprawy zrobił się taki ścisk, że ledwie dawało się posuwać do przodu. Chcąc wyrwać się z tego ludzkiego kłębowiska, porzucili rowery i dalej poszli już bez nich. Dobrze, że dzień chylił się już ku końcowi i zrobiło się odrobinę chłodniej. W upale nie daliby rady. Nie oni jedni zresztą. Tuż przed Muzeum Wojska Polskiego Bielawa przyśpieszył, co wyraźnie ucieszyło Oliwię. Jak się szybko okazało, zryw był podyktowany jedynie koniecznością dotarcia do najbliższej toalety. W tym przypadku toaletą okazał się płot tuż przy wejściu do muzeum. Gmach był zamknięty na cztery spusty.

Dalej postanowili pójść skrótem, od Książęcej do parku Rydza-Śmigłego. Tu takich, którzy nie wytrzymali parcia na pęcherz, dostrzegła wielu.

Utknęli tuż przy Książęcej, stary nie dawał rady. A co będzie, jeśli przyjdzie mu wygłosić przemówienie? W stanie, w jakim się znajdował, szybciej odstawią go na reanimację, niż pozwolą przemówić do narodu.

– Dobrze, tu się rozłożymy.

Usiedli na murku w cieniu drzew. Lubiła ten cichy zakątek Warszawy. Bez tłumy depczącego po piętach, wścibskich oczu kamer i turystów, którzy snuli się ustalonymi traktami, nie wiedząc, jakie atrakcje znajdują się całkiem niedaleko.

Bielawa właśnie szykował się do zsunienia butów, jemu było już wszystko jedno.

– Niech pan tego nie robi – poradziła.

– Zdarłem skórę na piętach.

– Później już pan ich nie włoży.

– Łatwo pani mówić, pani Oliwio – zajęczał senator, ale posłuchał jej rady. – Pani młoda, ładna, zamiast zajmować się takim dziadygą jak ja, lepiej pójść na tańce.

– Lubię to, co robię.

– Pani, eee, no ten... narzeczony pewnie szczęśliwy jak mało kto.

– Proszę dać spokój.

– Ale jak to? Ja się dam za panią pokroić, a znamy się zaledwie od rana.

– Doprawdy? Dla mnie to cała wieczność.

– Oczywiście. – Senator położył dłoń na sercu. – Nie co dzień ktoś ratuje mi życie.

– Trochę sam jest pan sobie winny.

– Nie będę zaprzeczał. Ależ ta baba mnie skołowała. Byłem pewny, że mówi prawdę.

– Niezła laska – powiedziała Oliwia. – Kto by się spodziewał, że to diabeł wcielony.

– Pani ładniejsza.

– Komplementarz z pana.

– Mówię szczerą prawdę – zarzekł się Bielawa. – A z tym chłopakiem to jak jest? Drania by pani nie wybrała, nie taka rozsądna osoba, bo że znalazł sobie inną, w to nie uwierzę.

Westchnęła, tak ledwo, ledwo, ale jednak. Zupełnie nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie. Z Mattem nie kontaktowała się od... będzie już z półtora roku. Wyjechał niespodziewanie i ślad po nim zaginął. Próbowwała się dowiedzieć, gdzie jest i czy nie potrzebuje pomocy. Działała kanałami oficjalnymi i tymi mniej. Rezultat był zawsze taki sam – człowiek, o którym pani mówi, nie istnieje w naszej ewidencji. Wychodziło, że uganiana się za jakimś fantomem. Raz poszła z tą sprawą do samego Banacha. Szef jej oczywiście nie przyjął. Rozmówiła się z jego zastępcą, pułkownikiem Osmeckim. Ten ją wysłuchał i obiecał pomoc. Cierpliwie czekała trzy miesiące. Przy kolejnym spotkaniu Osmecki bezsilnie rozłożył ręce. Wyczuła, że coś wie, ale nie może mówić.

W końcu dała sobie z tym spokój. Z Mattem małżeństwem nie byli, a ona nie owdowiała. Jeżeli żyje, na pewno do niej wróci, a jak nie, cóż... Jeżeli zmarł, to prawdopodobnie zabity przez epidemię, która szalała na północnoamerykańskim kontynencie w zeszłym roku. Choć Matt wydawał się osobą nie do

pokonania, wychodząc cało z niejednej opresji, to w konfrontacji z drobnoustrojami raczej nie wygrał.

Biedny Matt.

– Hej, laluniu, co tak siedzisz i się smucisz?

Oliwia podniosła wzrok na czterech młodych chłopaków, tak pomiędzy szesnaście a dziewiętnaście lat, którzy najwyraźniej szukali emocji i damskiego towarzystwa. Postrzępione spodnie, powyciągane koszulki, dziury na ramionach, szyjach i karkach dopełniały specyficznego sznytu. Ani dresiarze, ani żulerka. Każdy z nich trzymał w dłoniach otwartą puszkę z piwem, którym raczył się do woli.

– Masz ochotę na zabawę?

– A węża widziałaś?

Śmiech gruchnął aż po korony drzew.

Palce Bielawy zacisnęły się na jej przedramieniu.

– Panie Ryszardzie, spokojnie.

– Ja już ich nie pogonię, pani Oliwio.

– E, dziadek, spierdalaj w podskokach, my tu z panią mamy do pogadania.

Szczepańska rozejrzała się po ulicy. Zachciało się jej ciszy i spokoju, to je znalazła. Policja zgromadziła się w zupełnie innej części miasta, a tu szczury wylazły na powierzchnię, czując, że dziś jest ich szczęśliwy dzień.

Telefony przecież nie działały, oprócz tego, który należał do Mutanta, nieformalnego lidera grupy. Ten właściwie miał na imię Przemek, ale Mutant brzmiało lepiej. Zdziwił się, gdy jego samsung zadzwonił, odebrał i zdziwił się jeszcze bardziej. Kompletnie nie kojarzył człowieka po drugiej stronie, ale jak się wydawało, ten wiedział o nim wszystko, w końcu Przemo miał kartotekę grubą jak książka telefoniczna, kradzieże, rozboje, bijatyki i nieobyczajne zachowanie. Prokuratorka ubolewała, że taki młody, a nie rokuje... Każdy gliniarz, wpisując do bazy danych jego nazwisko, imię i PESEL, otrzymywał całą listę przestępstw, których Mutant się dopuścił.

Propozycja wykasowania wszystkiego z komputerów sądu i prokuratury w zamian za drobną przysługę wydawała się Mutantowi rozsądna, a nawet jeżeli tak się nie stanie, to akurat dziś mentowni na dzielnicy nie uświadczysz. Staruch i dziewczyna. Zatrzymać jak najdłużej.

Dobrał sobie do pomocy Wuję, Alego i Małego, który oczywiście był najwyższy z nich wszystkich, a zamiast do szkoły wolał uczęszczać na siłownię i koksować. Dzięki temu mięśnie Małego nadmuchały się jak balony, ale umysłowo pozostał na poziomie dwunastolatka.

– Mamy tu taką cichą metę. Jak chcesz, to ci ją pokażę.

– Nie chcę.

– Oprócz piwa mamy i wino, eee, Wujó, pokaż jej.

– Ja? Dlaczego ja?

– A gdzie butelka?

– Ali ją wziął.

– Ali, powiedz szczerze, wszystko wytrąbiłeś sam?

– Jeżeli pozwolicie, to my już pójdziemy – rzuciła od niechcienia Oliwia.

Mutant położył jej dłonie na ramionach i usadził z powrotem na murku.

– Nie tak szybko.

Bielawa cały drżał, słowne potyczki w senacie to nie to samo co uliczna szarpanina.

– Ciebie, dziadek, już gdzieś widziałem – powiedział Przemo.

– Jestem marszałkiem Senatu – odparł Bielawa z całą godnością, jaką potrafił z siebie wykrzesać.

– Akurat.

Salwa śmiechu trwała dłużej niż poprzednia.

– Taka jest prawda – odezwała się Oliwia.

– Chcesz mi wmówić, że ten pajac jest z rządu?

– Nie jest, tobie się pomyliła władza ustawodawcza z wykonawczą.

– Wiesz, co ci powiem? Nie lubię, jak się podważa moje zdanie.

– To ty masz własne zdanie? – zapytała niewinnie Oliwia.

Złe błyski pojawiły się w źrenicach Mutanta.

– A nożem ktoś cię kiedyś potraktował? – Faktycznie przy jej boku jak na zawołanie pojawił się motylkowy majcher, którym Przemo zręcznie wywijął.

– Bywało.

– Co bywało?

– Nóż.

– Lubisz na ostro?

– Pewnie, a ty nie?

Widok czarnej, matowej Beretty zrobił wrażenie. Trzech chłopaków cofnęło się, oprócz Małego, który stał i gapił się na spluwę wzrokiem wyrażającym pożądanie.

– Taką zabawkę widziałeś? – Przyłożyła lufę do rozporoka Mutanta, uśmiechając się przymilnie. – Chcesz się przekonać, czy prawdziwy?

– Uważaj, bo wystrzeli – wyjęczał Przemo.

Zabaw z bronią nie było w umowie.

– Taki duży chłopiec chyba nie boi się małego bum? – Uniosła Berettę, przesuając powoli wzdłuż tułowia chłopaka aż po sam nos. – Powąchaj.

Smar, metal i spalony proch po wystrzale tworzył niepowtarzalną mieszankę, tu nie mogło być mowy o pomyłce, broń była prawdziwa jak jasna cholera.

– Zabito z niej dzisiaj parę osób, chcesz być następnym?

– Ja?

Ta idiotka oszalała, grozić giwerą człowiekowi przy świadkach, w biały dzień. To już lekka przesada.

– Nie mów, że ci się nie podoba?

– Jeżeli mogę... – Odsunął głowę do tyłu, starając się wyjść poza linię strzału.

– A ty dokąd, frajerze? Uciekasz? Jeszcze nie skończyliśmy. – Przybrała klasyczną pozycję strzelecką, zupełnie jak na olimpiadzie, Beretta w wyciągniętej ręce nawet nie drgnęła. – Wiesz, co się stanie z twoją łepetyną, jak wystrzelę?

– Proszę.

– Klękaj.

Przemo opadł na kolana i zakrył twarz dłońmi. Patrzenie w czarny wylot lufy to nie na jego nerwy.

– To twój pomysł, czy ktoś cię nasłał?

– Miałem...

Mutant nie dokończył. W czasie, kiedy Wujó i Ali zbierali się do odwrotu, Mały postanowił działać.

Pistolet nie był wymierzony w niego, jak wystrzeli, trafi w Przemasa, a on zyska cenną sekundę, by wyrwać gnata z dłoni dziewczyny. Przy masie, jaką dysponował, akcja powinna okazać się łatwa. O tym, co zrobić później, nie pomyślał.

Uderzył ramieniem, wytrącając Oliwię z równowagi. Pistolet wraz z dłonią opadł w dół. Mały złapał za niego od góry. Lufa nie celowała już w Przema, tylko w niego. Chłopakowi wydawało się, że wystarczy mocno szarpnąć i po zawodach.

Oliwii zabrakło tchu. Od zderzenia z tą górą mięsa pociemniało jej w oczach. Ten kretyń chyba nie ma rozumu. W takiej szarpaninie wszystko może się zdarzyć. Mięsiste paluchy miażdżyły jej dłoń. Ledwo trzymała się na nogach, wykonując obrót wokół własnej osi.

– Pusz... – Od łokcia po końcówki palców prawa ręka została sparaliżowana. Jak to się stało, że wystrzeliła? Stłumiony huk rozszedł się dookoła. Mięśniak przestał się z nią szarpać i popatrzył

zdziwiony na Przema, a zaraz potem na nią.

– Ty suko, postrzeliłaś mnie – powiedział całkiem wyraźnym głosem.

Szara koszulka z jednej strony zrobiła się czarna od krwi. Dostał tuż pod żebrami – z lewej strony, z tym że pocisk poszedł w górę.

– Kurwa.

– Daniel, co z tobą? – Mutant wyrwał się z paralizującego go lęku i podtrzymał kolegę. – Niech ktoś zawiadomi pogotowie!

Mały zaczął się chwiać, aż w końcu osunął się na chodnik. Wujó i Ali puścili się biegiem, byle dalej od miejsca zdarzenia.

– Coś ty narobiła?

– Ja? To może moja wina? – Oliwia była tak wściekła, że przez moment miała ochotę wymierzyć w tego kretyna i pociągnąć za spust.

– On umiera, nie widzisz tego, szmato?

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, a nie ręczę za siebie.

– Dobrze, już dobrze, przejęzyczyłem się. – Powtórki z ostatnich dwóch minut nie chciał przechodzić. – Ratuj go...

Oblizła spierzchnięte wargi. Ładowała się dzisiaj z jednych kłopotów w drugie. Jak tak dalej pójdzie, do północy powystrzela połowę warszawiaków. Było to o tyle łatwe, że sami pchali jej się pod lufę.

– Mówię do niego, trzymaj łapy przy sobie, ale on nie, pcha dalej. Sama nie wiem, co robić, to w końcu ja napraszałam się z tym wyjściem.

– A nie wygląda na takiego.

– Wszyscy oni tacy sami, zestresowani pracoholicy...

– Właśnie. – Jedna z pracownic firmy konsultingowej zajmującej biura na trzydziestym piętrze biurowca Ochota Tower nie pozwoliła drugiej dokończyć zdania, przecież sama miała jej tyle do zakomunikowania.

– W końcu myślę sobie, nic takiego się nie dzieje, a kolejna okazja może się już nie trafić.

– Zaprosił cię chociaż do domu?

– Zaprosił, tylko że później. Żebyś widziała ten apartament, no mówię ci... Metraż duży, choć urządzone zupełnie bez gustu.

– A na to przyjęcie u Szynkowiaków to w końcu poszłicie?

– A gdzie tam – zachichotała pierwsza. – Powiedział, że jest zmęczony... Przepraszam, panie Władysławie, co się dzisiaj dzieje z tą klimatyzacją? Tu się nie daje pracować. – Jeden z elektryków zatrudniony na stałe przez zarządcę budynku pojawił się właśnie w polu widzenia.

– U nas tak samo, duszno, że wytrzymać nie można. – Druga z kobiet równie błyskawicznie przystąpiła do ataku. Obie znajdowały się dosyć nisko w służbowej hierarchii, co wcale nie przeszkadzało im w sekowaniu kogoś, kto się zupełnie nie liczył w wyścigu szczurów.

– Niezwłocznie się tym zajmę.

– To już słyszałam wczoraj.

– I przedwczoraj.

– Postaram się znaleźć usterkę, ale to nie jest takie proste – próbował bronić się elektryk.

– Ja się chyba przesłyszałam – powiedziała ta, której pojawienie się konserwatora zepsuło całe opowiadanie. – Płacimy grube tysiące, a oni nie potrafią uporać się z prostą awarią któryś już dzień z rzędu. Prezes jest wkurzony, właśnie pojechał na ważne spotkanie, ale jak wróci, powiem mu, jak

sprawy wyglądają.

– A jeszcze te telefony...

– Właśnie, telefony, nigdzie nie można się połączyć.

– Akurat za to, drogie panie, to ja nie odpowiadam.

– Słyszałam, że te zakłócenia to przez te nowe anteny, co je ostatnio na dachu zainstalowali.

– No to już kompletna bzdura – elektryk znów próbował się bronić.

– Sama słyszałam, jak Staszek... to jest prezes Kamiński, o tym mówił. I jeszcze o jakimś polu wspominał, o tym no...

– Polu elektromagnetycznym – podsunął Władysław.

– Właśnie, polu elektromagnetycznym, że się od niego pochorujemy.

– Naprawdę tak powiedział? – Druga z kobiet przyjrzała się uważniej przyjaciółce.

– Oczywiście. Rak prawie pewny.

– Jaki rak?

– Mózgu.

– Aha...

– I ta, eee, białaczką. Tam przecież jakaś firma komunikacyjna się znajduje. Całe piętro zajęli, dupki.

– Mogę już iść?

– Proszę.

Rozmowa na tematy istotne dla obu pań potoczyła się dalej bez przeszkód. One nie miały poważnych problemów, za to Władysław Mostowiak jak najbardziej tak.

Trzech ludzi na czterdziestopiętrowy biurowiec to trochę mało, sam zarząd składał się z prezesa, wiceprezesa, rady nadzorczej, w sumie kilkanaście osób, zyski były niemałe, ale wpadały do kieszeni tych, którzy kręcili całym tym biznesem. Pracownicy tacy jak on dostawali grosze, a ochrona i sprzątaczkę to firmy zewnętrzne wyłonione w przetargach.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z tymi, którzy wynajmowali powierzchnie użytkowe. W Ochota Tower znajdowały się banki, firmy świadczące usługi outsourcingowe, kancelarie prawne, siedziby spółek, no i ci, którzy ostatnio zainstalowali się na samej górze. To miejsce jakby specjalnie na nich czekało. Z tego, co słyszał, piętro zaklepalili sobie odpowiednio wcześniej. Nie jego sprawa. Jeżeli kogoś stać na takie fanaberie, musi mieć forsy jak lodu.

Władysław doszedł do wind, lecz nie wszedł do żadnej, ruszył w stronę drzwi wiodących w kierunku schodów ewakuacyjnych. Pchnął je mocno i znalazł się na klatce schodowej. Pracownicy tacy jak on raczej nie używali szybkiebieżnych wind, te były z reguły zarezerwowane dla personelu biurowego i gości. Wyrobownicy poruszali się na własnych nogach.

Sapnął i zaczął się wspinać. Miał do sprawdzenia co najmniej kilka skrzynek elektrycznych na paru piętrach. Jeżeli tam nic nie znajdzie, to chyba przyjdzie kłaść nowe kable. Oby to był bezpiecznik. Wymieni go i po krzyku.

W końcu dotarł do miejsca, skąd rozchodziły się przewody. Tu wszystko grało, skąd więc brały się te kłopoty z zasilaniem? Przeciężenie sieci? Ale z jakiego powodu? Wszystko nowe, projektanci odwalili kawał porządnej roboty, licząc się z tym, że ci, którym przyjdzie tu pracować, będą zużywać tyle prądu co średniej wielkości miasteczko.

Lekko zirytowany zamknął pokrywę i schował klucze do kieszeni. Gdyby nie trójka dzieciaków do wykarmienia, zostałaby na politechnice, dokończył doktorat, może i zrobił habilitację, a tak, rodzina wysysała z niego całą radość życia. Mieszkanie kątem u teściowej, bo tak taniej, wieczne niezadowolenie, że nie znalazł czegoś lepszego, tylko marnuje całe dni, biegając z próbówką i miernikiem po piętrach.

Jego frustracja pogłębiała się z każdym dniem. Tego już nie dawało się wytrzymać. Codziennie rano, gdy robił sobie kanapki do pracy – lepiej zabrać wałówkę ze sobą, niż wydać ciężko zarobiony grosz

w barze na dole – obiecywał sobie, że niedługo pryśnie do Zakopanego. Dla kogoś z jego umiejętnościami robota zawsze się znajdzie. Przynajmniej będzie wolny.

Kolejne piętro i kolejne kilometry przewodów. Lepiej, jak sprawdzi wszystko dokładnie. Następny raz zasuwać po schodach już nie da rady, co on – nogi i płuca wygrał na loterii?

Tuż za ścianką biegł szyb, w którym ułożono grube, izolowane pęki kabli. Nie za dużo ich trochę? Co to, elektrownia jądrowa? Wyjął z torby latarkę i zajrzał do wnętrza kanału, powstrzymując oddech. Kurzu tu było co niemiara.

Cofnął głowę. Pora przyjrzeć się tablicy. Od razu się zorientował, co jest grane. Gdzieś nastąpiło zwarcie i jeden z przełączników przesunął się w dół. Wystarczyło go ustawić w odpowiedniej pozycji i po sprawie.

Wciągnął powietrze nosem, wyczuwając spaleniznę. Czyżby sfajczył się kawałek izolacji? Koniecznie musi to sprawdzić.

Wczołgał się do kanału, mrużąc oczy. Drobiny kurzu wirowały w powietrzu. Łaskotanie w nosie stało się nieznośne. Z największym trudem powstrzymał kichnięcie. Na dodatek ta duchota nie pozwalała zająć się pracą.

– ...działeś minę starego, jak spuściliśmy tego Irlandczyka?

Angielskie słowa trochę przygłuszone i niewyraźne dochodziły z góry.

Przesunął się do przodu o kolejne pół metra. Dalej się nie dało. Na sam dół nie spadnie, ale nie chciał zaklinować się w tej cholernej pułapce. Obrócił głowę, przyglądając się wiązkom kabli.

– Ci kretyni kompletnie nie wiedzą, o co chodzi.

Sądząc po barwie głosu, tym razem odezwał się ktoś inny.

– Dostali parę zabawek i już myślą, że są niepokonani.

– Masz rację. Długo ta zabawa już nie potrwa.

O czym ci ludzie mówią? O jakiej zabawie i kim jest ten Irlandczyk, którego spuścili?

– Słuchaj, Harry, tu nic nie widzę, musimy zejść niżej.

Elektryk zamarł, nerwowo oblizując usta. Tamta parka też starała się zlokalizować usterkę. Do tej felernej skrzynki dotarł jako pierwszy, oni zrobią to za parę minut. Sądząc po tym, co wygadywali, należeli do zespołu, który zainstalował się na najwyższym piętrze gmachu. Na pewno Amerykanie.

Przez te parę dni, od kiedy tu byli, wszystkim dali się we znaki swoją arogancją i nieliczeniem się z pozostałymi. Na pozór wydawali się luzakami. Dżinsy i koszule, żadnych garniturów i krawatów, czym zadziwili pracowników pozostałych biur. No bo jak iść do pracy, mając na sobie łachy jak na wieczornego grilla na działce u znajomych? Dla Amerykanów ten problem najwyraźniej nie istniał. Kłopoty się pojawiały, gdy zjawiali się tłumnie w barze na dole. Od razu obsiadali wszystkie stoliki, nie dopuszczając nikogo innego. Władcy świata, psia ich mać. Nic im nie można było zrobić, nawet ochronę mieli swoją. Polscy dziadkowi wymiękali przy tamtych bysiorach.

Jak znajdą jego tłusty tyłek w tym szybie, zrobi się nieciekawie. Pewnie stwierdzą, że celowo ich podsłuchiwał. I pomyśleć, że kiedyś chciał wyemigrować do Stanów. Opatrzność najwyraźniej nad nim czuwała.

Próbował wypełznąć z powrotem na korytarz, ale zaklinował się tyłkiem w kanale. Dupsko niżej. Zdaje się, że pasek od spodni zahaczył o krawędź osłony, do której mocowano panele ochronne.

Rozpłaszczył się, szorując brzuchem po szlifowanym betonie i centymetr po centymetrze zaczął pełznąć w tył.

W końcu wydostał się z pułapki i nawet nie rozerwał spodni. Odetchnął z ulgą. Nie z nim takie numery.

Pora się wynosić, jak go tu znajdują, polecą z ryjem do zarządu, a tamci, chcąc przypodobać się firmie, która najwięcej płaciła, wyleją go na zbity pysk.

Ze złością, jakiej u siebie nie podejrzewał, wcisnął zabezpieczenie na miejsce i ruszył do drzwi

ewakuacyjnych.

Już na klatce schodowej usłyszał zatrzymującą się windę. Co on się tak denerwuje? Przecież nic złego nie zrobił.

Zbiegając po schodach, przysiągł sobie, że rzuci chłanie piwiska. Szlugi też wywali z menu, a i o seksie zapomni. Zajmie się bieganiem i jazdą na rowerze, tenis też wydawał się atrakcyjny. Zdecydowanie musi schudnąć i poprawić kondycję.

Znalazł się piętro niżej. Zadekuje się u kumpla z ochrony, oni mają tu swoją kanciapę, przynajmniej odrobinę i nabierze dystansu do tej całej chryi.

Ponieważ nieuchronnie zbliżała się osiemnasta, w biurowcu znajdowało się już niewielu pracowników. Większość firm kończyła pracę godzinę wcześniej. Na stanowiskach pozostawali jedynie ci, którzy chcieli się wykazać, mieli zaległości lub odrabiali wcześniejsze wyjścia. Niektórzy potrafili wytrwać i do dwudziestej, a zdarzały się też przypadki, że działano dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak trafi się pilne zlecenie, nie należy marudzić, tylko brać i modlić się, by wszystko wykonać w terminie.

Minął pomieszczenia zajęte przez duże biuro projektowe i dotarł do małej salki znajdującej się na samym końcu korytarza. Tabliczka „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” nie zniechęciła go do naciśnięcia klamki.

Pokój był raczej obskurny, główną jego część zajmowała wielka szafa pełna papierzysk i uszkodzonego sprzętu komputerowego. Okna oczywiście nie było, tu się pracowało, a nie oglądało widoki. Jedno biurko, dwa krzesła, akurat w sam raz, by przysiąść i wypełnić raport kontrolny.

– Cześć. – Władysław bezceremonialnie władował się do środka i zajął wolne miejsce.

– Uhum. – Usłyszał w odpowiedzi, bo kumpel właśnie w pośpiechu pochłaniał kanapkę.

– Popij, bo się udławisz.

– Dziękuję za radę. – Zenon Miciński, były strażnik miejski, który wyleciał z roboty po redukcji etatów, poszedł za radą kolegi i bez wyciągania łyżeczki ze szklanki łyknął zimnej herbaty. – Co cię sprowadza?

– Zmęczyłem się.

– Nie ty jeden. – Miciński schował resztki kanapki do szafki, a usta wytarł wierzchem dłoni. – Ciesz się, że jesteś tutaj, a nie na zewnątrz. Słucham wiadomości i powiem ci, że nie jest dobrze.

– Mogliby nas puścić do domu.

– Kto miałby to zrobić? – prychnął ochroniarz. – Szybciej piekło zamarznie, niż my doczekamy się premii, urlopu i godnych warunków pracy. – Miciński czknął raz i drugi. – Szlag mnie zaraz trafi.

– Czy w radiu nie mówili o jakimś spuszczonej Irlandczyku?

– O kim?

– O Irlandczyku – powtórzył elektryk.

– Pierwsze słyszę. To ważne?

– E tam. – Władysław udał, że wszystko gra. Jak zwykle trafił kulą w płot. Usłyszał końcówkę jakiegoś dowcipu i zaraz dorobił do niej historyjkę.

– Jedyne Irlandczyki, o jakim dziś słyszałem, rozpieprzył się niedaleko Bemowa. Też musiałeś o tym słyszeć.

– Tak, jasne.

– Podobno maszyna transportowa, ale ja tam głowę dam sobie uciąć, że to lot wojskowy. Nie spodziewaj się, że powiedzą prawdę. Wszystko tajne. Ja ci mówię, Władziu, to jest afera. Jedna klika chce wygryźć drugą. – Miciński nie dokończył wątku. Telefon na biurku zaterkotał nieprzyjemnie. Te stare stacjonarne graty do łączności wewnętrznej sprawdzały się bez zarzutu. Im żadna elektronika nie była potrzebna.

– Tak, panie dyrektorze, oczywiście, już tam idę. – Ochroniarz zrobił się tak przymilny jak nigdy

wcześniej. Delikatnie odłożył słuchawkę i dopiero wtedy pozwolił sobie na wyrażenie niezadowolenia.

– Muszę iść. Ci z góry mają jakiś problem.

– Nie wiesz przypadkiem, o co chodzi?

– Jak się dowiem, to dam ci znać.

Elektryk uniósł się z krzesła i nie żegnając, wyszedł na zewnątrz. Nie podzielił się z Micińskim swoimi podejrzeniami. Kiedyś nie wierzył, że przypadek rządzi ludzkimi losami, teraz był o tym święcie przekonany.

Jak się ta firma nazywała? Black Point? Głupia nazwa. Jak osoby zajmujące się telekomunikacją mogły coś podobnego wymyślić. Absurd.

Raz i drugi niespokojnie obejrzał się za siebie. Szybko tu nie wróci. Najlepiej zrobi, jak zamelduje kierownikowi, że musi udać się do domu w pilnej sprawie rodzinnej. Przez te dwie godziny, do końca zmiany, wytrzymają. Na dwudziestą przyjdzie Karol i przejmie obowiązki. Bystry jest, poradzi sobie.

Dotarł do wind i nacisnął guzik ze strzałką skierowaną w dół. Starał się wyglądać na spokojnego, choć od środka pożerały go nerwy. Dlaczego trwa to tak długo? Cyferki nad wejściem do windy wskazywały na trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, a potem od razu przeskoczyły na czterdzieści. Chyba śni.

Dłużej nie czekał, tylko energicznym krokiem pomaszerował w stronę schodów ewakuacyjnych.

Ponad trzydzieści pięter w dół. Niby nic takiego, schodzenie jest łatwiejsze od drałowania do góry. Nie to było ważne. W jaki sposób specjaliści od systemów informatycznych zorientowali się, że nie byli sami? Przecież nie pozostawił żadnego śladu. Być może intruza, czyli w tym przypadku jego, zlokalizowała kamera. Było ich tu całe mnóstwo. Nawet on nie znał lokalizacji wszystkich. Ci z Black Pointa mieli na punkcie bezpieczeństwa prawdziwego fioła.

Był trzy piętra niżej, gdy zdecydował się rozejrzeć na mijanym poziomie. Spory tłumek wyrobników zakończył właśnie zmianę, jeden Bóg wie, czym się zajmowali, nieważne, ważne, że jechali w dół. Wmieszał się pomiędzy nich i zadowolony ustawił w kolejce do windy. Gdy ta już nadjechała, poczekał, aż w środku znajdzie się parę osób, i przestąpił przez próg jako jeden z ostatnich. Trochę się bał, że pojedą w górę, ale nie, zaczęli opadać z taką szybkością, że żołądek podjechał Władysławowi do gardła.

Kurwa mać, co jest grane? Ten i ów krzyknął, ktoś zapał się ręką o ścianę, a stojąca przed nim blondyneczka wpadła na niego całym ciężarem ciała. W normalnych okolicznościach zapewne wymieniliby parę uwag, lecz tym razem strach mocno ścisnął za gardło. Pudło leciało w dół siłą bezwładu. Wszyscy krzyczeli, on zdaje się też.

Trzydzieści pięter – jak długo będą spadać? Pięć sekund to maks.

Sprawdzali windy nie dalej jak w zeszłym miesiącu, to co się tu mogło popsuć?

Tuż przy panelu sterowania był dodatkowy system zabezpieczający. Normalnie, jakby zerwała się lina lub zniszczeniu uległo mocowanie, na czterech krawędziach ramy zaciskały się hamulce. Siła, z jaką działały, powodowała, że pudło, w którym znajdowali się ludzie, wyhamowywało. Tym razem tak się jednak nie stało.

Władysław uderzył w panel ramieniem, wyczuwając pod palcami poszczególne przyciski. W przypływie paniki zaczął naciskać je wszystkie. Pięć sekund to dużo i mało zarazem.

Łokieć faceta stojącego obok zdzielił go w głowę. W migoczącym świetle ledowych lamp Władysław widział jego wykrzywioną strachem twarz. Sam miał usta pełne włosów blond piękności. Przed wejściem widział na plakietce jej imię. Sandra. Pięknie. Dlaczego, kurwa, ma umierać właśnie teraz.

Potworny zgrzyt uruchamianych hamulców zagłuszył wszelkie pozostałe dźwięki. Winda wyraźnie zwolniła, lecz na całkowite wyhamowanie zabrakło paru metrów. Pudło gruchnęło o beton ze znaczną siłą.

Z powstałego rumowiska wystawały kawałki konstrukcji i zmasakrowane ludzkie ciała. Akcja

ratunkowa zapowiadała się na długą i ciężką. Sprawę dodatkowo komplikował wąski szyb windy. Żeby się do niego dostać, należało wyłamać rozsuwane drzwi na najniższym poziomie i dopiero wtedy przebić się do poszkodowanych.

Zenon Miciński niósł pomoc od samego początku, zachodząc przy tym w głowę, jak się to w ogóle mogło stać. Pół godziny później zdziwił się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że jednym z poszkodowanych, którego układał na noszach, jest jego kumpel, z którym nie tak dawno rozmawiał.

Władek był żywy i przytomny, a na widok Micińskiego zamrugał i otworzył usta.

– Nic się nie martw, już jedziesz do szpitala. – Miciński podchwycił wzrok ratownika, który dokonywał pierwszych oględzin. Nie było dobrze. Wydawało się, że Władek nie przeżyje następnych dwudziestu czterech godzin. Jedyne, co w danej chwili dawało się zrobić, to nafaszerować go środkami przeciwbólowymi i odstawić do najbliższego szpitala. Podobno współczesna medycyna czyni cuda, może i tym razem tak się stanie?

Usta rannego ponownie drgnęły. Miciński pochylił się nad nim, niemal przykładając ucho do jego warg.

– To... oni...

– Kto, Władziu, kto?

– ...zniszczyli...

– Słucham cię uważnie.

– ...ten samolot.

– Jaki samolot? – Miciński był pewny, że człowiek, z którym przegadał niejedną zmianę, zaczyna bredzić. Szok spowodował u niego pomieszanie zmysłów i teraz wygaduje bzdury.

– Zamach.

– A tak, oczywiście.

Elektryk w końcu stracił przytomność, ale ostatnie słowo wypowiedział wyraźnie.

Jaki znowu zamach?

Przypomniał sobie dzisiejszą wizytę Władka u siebie i to, jak ten wypytywał go o jakiegoś Irlandczyka. Widać dostał pomieszania zmysłów i zaczął bredzić od rzeczy. Do tych słów nie należało przywiązywać wagi.

– Musimy iść – powiedział ratownik.

Miciński ucisnął dłoń przyjaciela i zrobił przejście. Ten facet miał żonę i trójkę dzieciaków, że też nieszczęścia najczęściej spadają na takich biedaków, a nie na kogoś z zarządu.

Szkoda, oj szkoda.

Od siedzenia na twardej ławeczce Osmeckiego rozbolał tyłek. Mogą tak pływać do usranej śmierci i niczego nie zobaczą.

Wisła wydawała się całkowicie wymarła. Tych parę motorówek, które minęli, nie wzbudziło ich zainteresowania. Zanosilo się raczej na krajoznawczą wycieczkę, a nie na polowanie na grubego zwierza.

Przecież kilku bojowych kutrów przeoczyć się nie da. Gdzieś ta cała banda musiała się zadekować, no chyba że zdrada 13 Półflotylli okaże się bzdurą wyssaną z palca.

– Myślisz, że już ją zatrzymali?

Adamski i Nowak skuleni w części dziobowej wydawali się bardziej pochłonięci rozmową niż obserwacją brzegów Wisły.

– Wyglądała na sprytną – powiedział z rozmarzeniem starszy sierżant.

– Ciągłe nie może wyjść ci z głowy?

– Żebyś wiedział.

– Luki, ty się zabujałeś na maksa. Nie widziałem, żeby kogoś tak szybko wzięło.

– Co ty tam wiesz.

– Pewnie, to nie ja wpakowałem się w kłopoty po same uszy.

– O czym wy mówicie? – Osmecki w końcu zainteresował się słowami policjantów.

– E, nic takiego. – Adamski spróbował wszystko zbagatelizować.

– Nie bez powodu Warecki dostał szału. – Nowak miał na ten temat własne zdanie. – Myślałeś, że wyjdiesz z tą laską jak gdyby nigdy nic?

– Dowiem się w końcu, o co chodzi?

– A, bo to tak, panie pułkowniku... – zaczął posterunkowy, któremu przyjaźń z Adamskim powoli wychodziła bokiem. – Mieliśmy służbę, zaraz po tym ataku na Pałac Prezydencki.

– Gdzie?

– W tym seminarium, co to znajduje się tuż obok – wyjaśnił Nowak.

– I co było dalej?

– Dali nam do pomocy starego klechę, żeby wszystko obejść i sprawdzić, czy gdzieś nie ma postronnych świadków.

– W tym seminarium? – wolał się upewnić Osmecki.

– Tak.

– No i?

– Idziemy sobie, a tu nagle wychodzi na nas taka jedna.

– Kobieta?

– Przecież mówię.

– Dalej, człowieku, dalej.

– Dalej to ja nic nie wiem. – Nowak szturchnął kolegę. – Syf się straszny narobił.

– Ta kobieta to co za jedna? – zainteresował się natychmiast Osmecki. – I nie próbujcie kręcić. Jak będę chciał, to i tak wszystko sprawdzę.

– Oj, nic takiego się nie stało, wyprowadziłem Wiktorię poza kordon, to wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że wyprowadziłeś cywila ze strefy zagrożenia i nie powiadomiłeś przełożonych o tym fakcie?

– Już mi Warecki zmył za to głowę.

– Jaka Wiktor? Nazwisko chociaż znasz?

– Obejrzałem jej dowód, panie pułkowniku, legal, że hej. Wiktor Stawska.

– A do głowy ci nie przyszło, że ona może współpracować z terrorystami?

Osmecki z grubsza potrafił sobie wyobrazić, co zaszło. Jeśli Adamskiemu wydawało się, że nie jest przez nikogo obserwowany, to bardzo się pomylił. Któryś z wywiadowców pewnie zauważył, co jest grane, i zawiadomił, kogo trzeba. W końcu sprawa doszła do Wareckiego, a ten całkiem słusznie opierdolił podwładnego.

Teraz należało się dowiedzieć, kim jest ta Stawska. Być może to nic takiego, a być może to końcówka nitki, którą od rana starali się uchwycić.

Osmecki sięgnął po telefon i wybrał odpowiedni numer. Nie będzie gadał z Banachem, ale niech przynajmniej oficer dyżurny sprawdzi, co i jak. Bez tej bezpiecznej sieci telefonicznej byłiby zupełnie ślepi i głusi.

Gdy po drugiej stronie odezwał się męski głos, pułkownik wyjaśnił mu, o co chodzi. Na odpowiedź nie czekał długo. Tej całej Stawskiej poszukiwała policja i pozostałe służby. W Klifie, gdzie podobno miała pracować, nikt o takiej nie słyszał. Nagadała bzdur Adamskiemu, a on to łyknął jak pelikan. Z niemal stuprocentową pewnością można było przyjąć, że należy do grupy, która zaatakowała Pałac Prezydencki.

Po co wydostała się na zewnątrz, wciąż pozostawało zagadką. Osobę podobną do niej widziano

w okolicach Wału Miedzeszyńskiego, gdzie dokonano zabójstwa chorążego Leszka Daldera, pracownika tej samej instytucji, do której i on należał, oraz pobicia Dawida Zycha, lat osiemnaście, właściciela samochodu marki volkswagen, który został skradziony. Zychowi towarzyszyła dziewczyna, siedemnastoletnia Aurelia Szymańska, której los na chwilę obecną był nieznany. Na skutek permanentnych kłopotów z łącznością odnalezienie skradzionego samochodu wydawało się niemożliwe.

W ciągu pięciu minut Osmecki dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował. Jak na razie ofiarą Stawskiej padły dwie osoby, a może i trzy – i wszystko przez tego tłuka, co siedział przed nim i robił maślane oczy. Na dobry początek należało gamonia wrzucić do wody, niech płynie wpław do brzegu.

– I co, panie pułkowniku, wiadomo, co się stało z tą laską? – zapytał Nowak.

– Wiadomo.

– Ja też ją widziałem i muszę powiedzieć, że skołowanie Łukasza nie stanowiło dla niej najmniejszego problemu.

– Odczep się – warknął starszy sierżant.

– Powiedźcie mi, Adamski, jak to się stało, że znaleźliście się w policji?

– Wie pan, jak to jest.

– Nie wiem.

– Robota była potrzebna, a ja na umysłowego nie za bardzo się nadaję. W fabryce też siebie nie widzę.

– To fakt.

– Zgłosiłem się, przeszedłem testy.

– A na stróża nie startowałaś?

Adamski zrobił skruszoną minę.

– W życiu mi się nie wiodło. Jak ją zobaczyłem, to od razu pomyślałem, że jak uda mi się ją zbajerować, to los odmieni się na lepsze.

– Wiesz co... – Nagle uwagę Osmeckiego zwróciła wielka opancerzona ważka, która pojawiła się tuż nad spokojną wodną tonią jakiś kilometr od nich.

– Panie pułkowniku, a tym się w głowach nie pomieszało? – zapytał mocno zaniepokojony sternik.

– Pojęcia nie mam.

Apache AH-64 śmigał szybko, niemal ocierając się przednimi kółkami o lustro rzeki. Łopot wirników narastał z każdą chwilą.

Ki diabeł?

Osmecki szukał kutrów, znalazł bojowy helikopter. Nie tak to miało wyglądać.

– Płyn w stronę brzegu – polecił sternikowi.

Łódź wykonała gwałtowny zwrot. Obecność Apache'a w tej okolicy to najgorsza rzecz, jaka się im mogła przydarzyć. Nie należało się łudzić, ta maszyna nie pojawiła się tu przypadkiem.

– Panie pułkowniku...

– Widzę.

Dwa automaty i trzy pistolety to trochę za mało w konfrontacji z AH-64. Śmigłowiec dysponował rakietami Hellfire i trzydziestomilimetrowym działkiem.

– Na mój znak...

Spod małych bocznych skrzydełek helikoptera oderwała się jedna z rakiet.

– Do wody!

Cała piątka rozprysła się jak odłamki granatu. Uderzenie o taflę wycisnęło z płuc Osmeckiego resztkę powietrza. Wpadł w panikę, gdy zamiast tlenu do ust dostała mu się brudna ciecz. Stracił orientację, gdzie góra, a gdzie dół. Wodna kipiela wsysała coraz głębiej. Ktoś go w końcu złapał za rękę i zaczął ciągnąć. To sternik, widząc kłopoty oficera, pośpieszył z pomocą.

Osmecki wystawił twarz ponad powierzchnię wody, w czasie gdy ponad nim przetoczył się potężny

grzmot. Motorówka została rozerwana na strzępy. Fragmenty sterówki, burt i elementy wyposażenia fruwały w powietrzu. Tym razem to gęsty, oleisty dym zatkał mu nozdrza.

Osmecki, mocno pracując nogami, oddalił się od płonącej łodzi. Sternik znajdował się w zasięgu wzroku, drugi z policjantów też sobie poradził, brakowało jedynie tych dwóch geniuszy z prewencji.

Od zbawczego brzegu dzieliło ich nie więcej jak dwadzieścia metrów. Jeśli chcą się uratować, muszą kierować się w tamtą stronę.

– Panie pułkowniku... – Sternik wskazywał ręką ponad swoją głowę.

Apache właśnie przeleciał przez dymną zasłonę i wyłonił się po drugiej stronie, natychmiast wykonując zwrot. Serce omal nie stanęło Osmeckiemu w piersi.

– Uciekaj!

Mieli najwyżej sekundy. Nigdy nie sądził, że tak bardzo będzie się bał śmigłowca z polską szachownicą na kadłubie.

– Co chce pan zrobić? – Sternik wciąż tkwił w tym samym miejscu.

– Wracam, trzeba wyciągnąć... – Nim dokończył zdanie, na rzece pojawiły się minigejzery od pocisków uderzających o taflę wody. Głowa sternika eksplodowała. Osmecki zdębiał. Ten człowiek jedno uderzenie serca temu żył, a teraz pozostała z niego tylko krwawa plama na powierzchni Wisły. Za parę sekund to samo może spotkać i jego. Dopłynąć do brzegu raczej nie zdąży, co więc ma robić? Jedyne sposoby to zejść na dno i tam przeczekać najgorsze.

Nim zdążył zanurkować, dojrzał, jak Adamski holuje Nowaka. Ucieszył się jak nigdy. Nie na długo. Pilot szturmowej maszyny teraz to ich wziął na celownik. Ucieczka przed wypluwanymi z działka pociskami wydawała się niemożliwa. Wkrótce po obu niefortunnych pływakach pozostały tylko czerwone plamy.

Kolejna seria została wpakowana w kadłub pewnie tylko po to, żeby oczyścić teren. Łódź i tak tonęła, teraz pójdzie na dno jeszcze szybciej.

Drugi policjant z załogi kutra nie oglądał się na nic. Facet był naprawdę niezłym pływakiem, a do tego strach przydawał mu dodatkowych sił. Jeszcze z dziesięć metrów i wypełźnie na brzeg, a tam schowa się w krzakach. Szansa na przeżycie niewielka, ale zawsze.

Śmigłowiec zawisł nad rzeką. Osmecki wyraźnie widział pilota i operatora uzbrojenia. Na głowach kuliste hełmy, twarze przysłonięte ciemnymi okularami. Zimni profesjonaliści.

Strzelanie tak potężnym kalibrem 64 do bezbronного człowieka wydawało się nieludzkie. Czym się naraził, że ci ludzie tak go nienawidzą?

I tym razem efekt serii z działka był taki sam jak poprzednio. Pociski dosięgły policjanta na płyciźnie. Wystarczyły dwa lub trzy i korpus nieszczęśnika rozerwało na strzępy. Nogi osobno, tułów osobno. Śmierć nastąpiła w ułamku sekundy.

Nie należało się łudzić. Teraz kolej na niego. Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu zginąć w bratobójczej wojnie. Trudno, widać tak musiało być, bo ratunku dla siebie nie widział.

– Sądnym dzień tu dzisiaj mamy, nie pani jedna, zwożą nam pacjentów z całej Warszawy. Czy pani potrafi sobie wyobrazić? Od rana przyjąłem już ze dwadzieścia osób po najróżniejszych wypadkach. Pięć rozbitych głów, trzy złamane ręce, dwie nogi, lewa i prawa, czyli komplet – zarżał lekarz ubawiony własnym dowcipem. – Pęknięta miednica, żebra w ilości trzech, nie licząc tych pani, szczęka, nos, rany od noża i maczety. Co się z tym krajem dzieje? Schodzi na psy, ot co. Widział to kto, żeby ludzie tak się zachowywali? To nie ludzie, proszę szanownej pani, a dzikie bestie. Już miałem iść do domu po dyżurze, a tu przychodzi ordynator i mówi, że wszyscy mają zostać do odwołania. Jak on to sobie wyobraża? Po ośmiu godzinach mam zostać na kolejne osiem? To nieludzkie. Czy ja nie mam prawa do odpoczynku? No

cudo, nic nie będzie widać. Ten szew to moja najlepsza dzisiejsza robota, i to po tylu godzinach. Podobno stan nadzwyczajny wprowadzili, ale kto i jak to ogłosił, to ja pojęcia nie mam. Na razie zostają do północy, co stanie się później, tego nikt nie wie.

Lekarz z Wojewódzkiego Szpitala Chirurgii Urazowej św. Anny przy ulicy Barskiej gadał jak najęty. Od tej paplaniny Yvonne rozboleła głowa. Starła się zachowywać spokojnie, ale akurat to przychodziło jej z trudem. I jeszcze ta szrama na twarzy. Zawsze chciała poprawić sobie usta, podbródek, skorygować odrobinę nos, a tu będzie paradować z blizną jak frankenstein.

Słowa tego pierdoły, który się nią zajmował, były warte tyle co zeszłoroczny śnieg. Na pewno robotę tego partacza trzeba będzie poprawić.

Zacisnęła zęby.

– Co pani robi? Proszę tak nie napinać. Już kończę. Jeszcze założymy opatrunek i szybciotko na rentgena. Na pewno zostawimy panią na obserwację parę dni.

– Wolałabym do domu – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Każdy by wolał.

– Obiecuję, że jutro zgłoszę się na kontrolę.

– Doktor Głuchowski jest pani lekarzem prowadzącym. Z nim proszę porozmawiać, bo ja niewiele mogę poradzić. Gotowe. Siostrzo, proszę przyprowadzić wózek, mamy tu podejrzenie pęknięcia żebra z przemieszczeniem, a mogą być i inne urazy wewnętrzne. W pracowni był zdaje się mały zator.

– W Ochota Tower urwała się winda, to dopiero było zaskoczenie, panie doktorze. Winda. Co jak co, ale takie zdarzenie nie powinno mieć miejsca. – Tęgawa pielęgniarka około pięćdziesiątki podstawiła skrzypiący wózek i pomagała Yvonne wygodnie na nim usiąść.

– Słyszałem, słyszałem, w głowie się nie mieści.

– Cztery trupy na miejscu, a z tej piątki, co przeżyła, to dwie nie dociągną do rana, to jakiś elektryk i dziewczyna, źle z nimi.

– A jest tam ktoś, komu nic się nie stało?

– Szef firmy konsultingowej.

– Ci zawsze spadają na cztery łapy.

– Ma guza na głowie i zwichnięty nadgarstek. Jeszcze dziś go wypiszą.

– Życie nie jest sprawiedliwe.

Głowę i twarz Yvonne spowijał teraz biały turban, spod którego wyzierały tylko oczy rzucające gromy.

Szczęką poruszała z trudem. Zwój bandaża został okręcony tak, że żuchwa została unieruchomiona.

Dobrze, że Cyrus jej nie widzi albo któryś z pozostałych kumpli. Bliżej jej było do mumii niż do żywego człowieka. Ostrożnie usiadła na wózku, który pielęgniarka zaczęła pchać. Na korytarzu było sporo oczekujących na wizytę. Przed niektórymi gabinetami tłum był tak gęsty, że należało poczekać, aż ludzie się rozstąpią.

– Nie martw się, kochanieńka, tak już jest, raz pod wozem, a raz na wozie. – Pielęgniarka najwyraźniej postanowiła ją pocieszyć. – A dzieci masz?

Zamiast krótkiego „nie”, wyszło jej jakieś „eee”.

– Teraz to kobiety się nie spieszą, karierę wolą robić, bogatego męża złapać.

Jeszcze pięć minut w towarzystwie tej lampucery i udusi babsztyla bandażem zdjętym z własnej twarzy.

Przed pracownią RTG kolejka. Wśród czekających zdecydowanie najgorzej wyglądał mężczyzna wyciągnięty na szpitalnym łóżku. Stale ktoś przy nim czuwał.

– Musimy poczekać.

Yvonne odburknęła coś niewyraźnie, przyglądając się poszkodowanemu. To był podobno jeden z tych, którzy jechali felerną windą. Kości w drobny mak. Jej żebra to przy tym małe piwo.

Awantura wybuchła, gdy policyjny patrol przywiózł zakrwawionego menela. Pijaczyna podczas szarpaniny oberwał butelką w głowę i już oddał honorowo co najmniej pół litra krwi. Głowę miał tak samo obwiązaną jak Yvonne, lecz teraz należało sprawdzić, czy nie doznał uszkodzeń mózgu. Typ śmierdział tak, że aż nos wykręcało na lewą stronę. W obstawie dwóch mundurowych wydawał się nieetykalny, do czasu, aż okazało się, że ma wejść do gabinetu z pominięciem kolejki.

– Przejdźcie!

Rodzina z sześciolatką, która spadła z roweru i prawdopodobnie złamała obojczyk, ani drgnęła.

– Powiedziałem! – Wyższy z gliniarzy spróbował wymusić posłuszeństwo.

– A idź w pizdu.

– Tomek, nie wyrażaj się przy dziecku. – Upomniała męża poirytowana zdarzeniem matka.

– Nie mają prawa wchodzić bez kolejki.

– Niech pan przejdzie na bok i nie utrudnia czynności służbowych. – Aspirant chciał się wepchnąć w wolną lukę.

– Niby dlaczego?

– Nie będę się przed panem tłumaczył.

– A będziesz, będziesz! – Rozwścieczony ojciec wydawał się bliski wybuchu. – Trzy godziny czekania, trzy godziny, pewnie tego nie rozumiecie, a co tam, niech się reszta martwi.

– Proszę się uspokoić.

– Widzisz, jaka jest kolejka? Co chwila nowych przywożą, a my wciąż stoimy. Może moja córka nie cierpi?

Sześciolatka idealnie wyczuła moment i rozbeczała się rozdzierająco.

– Wleziecie z tym smrodem, to kolejne pół godziny albo i lepiej.

– Tak jest, porządnych ludzi traktujecie jak bydło – zagrzmiała korpulentna niewiasta z ortopedycznym kołnierzem na szyi.

– Ten człowiek...

– Gównu mnie obchodzi, skąd jest i co sobie zrobił.

– Ostrzegam.

– Idź na ulicę i tam ostrzegaj.

Krąg przy wejściu zaczął się zacieśniać. Już ze dwadzieścia osób pchało się do przodu.

– Odsunąć się!

– Bo co, strzelać będziesz?

– Ja... – Aspirant próbował przywołać resztki autorytetu, ale szło mu to coraz oporniej. Ma szarpać się z ojcem, na którego szyi wisi zmaltretowane dziecko? No toż by dopiero było. Tu każdy ma komórkę, chuj z łącznością, zaraz zaczną kręcić filmiki. Wybuchnie niezła chryja.

– Niech...

– Ludzie, mordują!

Gliniarzowi w ścisku spadła czapka z głowy, odruchowo się pochylił, by ją podnieść, lecz wtedy został pchnięty. Nic szczególnego się nie stało, lecz uderzył czołem w ścianę, co wystarczyło, by ogarnęła go z trudem kontrolowana wściekłość. Tej hołocie pewnie się wydaje, że on nie ma co robić? Od samego rana użera się z pijaczkami, chuliganami i zagrożonym bezpieczeństwem kraju. Na śniadanie wypił tylko kawę, od tamtej pory ciągle na nogach, bez obiadu i chociaż krótkiej przerwy. Jeździ od zdarzenia do zdarzenia. O radiowóz już rozbito parę butelek, a jakiś kutas, któremu wydawało się, że jest zabawny, wysikał się na maskę, gdy oni interweniowali podczas rodzinnej awantury. Jak skończą z menelem, mają udać się w okolice Łazienek. Zaczęli się tam gromadzić ludzie. Pewnie będą chcieli pójść na Belweder. Do domu nie pojedzie, chociaż ojciec ciężko chory i po operacji, matka ze wszystkim nie da sobie rady, ale trudno, jak służba, to służba, a te pierdolone...

– Zabieraj się, ale już.

– Chyba cię, kurwa, pogięło, do mnie z łapami, gnoju?

Kolega też miał kłopoty mimo pałki w rękę. Otaczało go z dziesięciu wkurwionych pacjentów i ich opiekunów. Najlepszy sposób to rozpylić gaz pieprzowy, bo w konfrontacji to nigdy nic nie wiadomo. Przyłoży pięciu, a szósty podetnie nogi i koniec pieśni.

– Spierdalaj, sier...

– Cisza, cisza, co się tu dzieje?

– Kurwa.

– W dupę jebany.

Awantura wybuchła ze zdwojoną siłą.

– To jest człowiek.

– To śmieć, nie człowiek. On nie szanuje siebie, a ja mam go szanować, tak?

– Nie wejdziecie, choćbym miał zdechnąć.

– Dokume...

– Wypierdalaj, chuju.

Gwizdy i krzyki sprawiły, że Yvonne przestała cokolwiek słyszeć. Wyszkolono ją na agentkę i zabójcę, potrafiła strzelać i jednym palcem powalić dwumetrowego osiłka, ale teraz zaczęła się bać. Przemoc w szpitalu, przed gabinetem rentgenowskim, wydawała się irracjonalna. Przecież inaczej załatwia się takie sprawy. Społeczeństwo ma współpracować z organami porządkowymi, a tutaj była świadkiem anarchii w klinicznie czystej postaci. Najpierw opór, potem atak na mundurowych wydawały się absurdem. To przecież szaleństwo. Jak nie chcesz skończyć na cmentarzu, to podporządkuj się temu, co mówią. Tutaj najwyraźniej prawo nie działało.

Yvonne po raz kolejny ogarnęły wątpliwości. Założenia operacji znała od podszewki, plan był perfekcyjny, nie istniało na świecie państwo, które przetrzyma taki kryzys i... Właśnie, z tym był największy kłopot. Zнали strukturę armii i sił bezpieczeństwa, sami pomagali ją budować, penetrowali systemy komputerowe, żonglowali danymi i robili tysiące innych rzeczy.

W jakimkolwiek innym państwie obywatele na wezwanie rozeszliby się w spokoju, jeżeli nie, policja spacyfikowałaby zgromadzonych bez litości, otworzyła ogień i po sprawie, a tu? Najpierw dyskusja, potem mordobicie. Wszyscy przegrali, nikt nie wygrał. Ten facet z dzieckiem i tak wcześniej nie wejdzie do gabinetu, a autorytet policji został sponiewierany. Wózek z pijaczną został odprowadzony na zewnątrz i tam porzucony. Impas trwał w najlepsze. Posiłków nie ściągną, wszyscy są zajęci na ważniejszych odcinkach, a ludzie dalej stali murem przed pracownią RTG.

Zdaje się, że wcześniejsze teorie, czy też symulacje, można wyrzucić do kosza. Jeżeli sama chce coś z tego zrozumieć, to lepiej będzie, jak zabierze się za podręczniki do historii, tam powinna znaleźć odpowiedzi na parę pytań.

To, czego była świadkiem, to jedynie próbka, drobny epizod, a właściwie epizodzik, bo gdyby tak naprzeciw amerykańskich funkcjonariuszy stanął fanatyczny tłumek polaczków, to efekt niekoniecznie byłby przewidywalny. Zabiją pięciu, dziesięciu czy dwudziestu, a jutro stanie w ogniu całe miasto. Pacyfikacje przerodzą się w trwające całymi tygodniami, a nawet miesiącami starcia podobne do tych, które trwają w Izraelu i na Zachodnim Brzegu. Snajperzy, nożownicy, koktajle Mołotowa, jednym słowem rebelia w pełnym wymiarze.

– Wiesz co, kotku – odezwała się pielęgniarka, która przez cały czas stała tuż obok. – Powiemy doktorowi Głuchowskiemu, że dziś zdjęć już nie będzie.

– Ehemm.

– Cieszę się, że masz takie samo zdanie jak ja.

– Aaaa.

– Dziś na kolację dają makrelę. Lubisz? Tylko jak ty, biedactwo, poradysz sobie z gryzieniem? No nic, pokroję ją na kawałki, będzie ci łatwiej. I tak już jesteś chuda jak trzy nieszczęścia.

Yvonne wolała nie protestować. Ta pielęgniarka chyba wiedziała, co robi, chociaż... to samo można było powiedzieć o tych dwóch policjantach.

– Fenomenalne.

– O tak. – Patolog towarzyszący Oskarowi Borzęckiemu ciężko westchnął. Ten gość ewidentnie miał nierówno pod sufitem. On i ci jego pomagierzy, którzy przyjechali tu razem z nim. Normalnie to by ich wykopał na zbity pysk, ale te papierki, które okazywali na prawo i lewo, sprawiły, że to on musiał się zamknąć i robić za chłopca na posyłki. Jeżeli oni są z wywiadu, to ten kraj już dawno zszedł na psy. Borzęcki to debil wśród geniuszy czy też geniusz, któremu cała reszta do pięt nie dorastała. Gdy dowiedział się, co ten planuje zrobić, chciał go posłać do diabła.

Teraz żałował.

NN i NN, kobieta i mężczyzna. Już się nad nimi pastwiono, najpierw zwykła sekcja, potem oględziny, o ile tak można nazwać pracę jakiegoś chirurga o światowej podobno sławie. Chwałko, kto takiego zna? Specjalista od medycyny estetycznej, lepiej od razu powiedzieć wprost – cycki robi, kosząc przy okazji grubą forszę. Naciągnie tu i tam, później twarz wygląda jak maska pośmiertna Tutenchamona. Człowiek się uśmiechnąć nie może, szwy za uszami puszcza i hajda robić poprawki.

Wiedział, że przemawia przez niego gorycz, ale co zrobić, całe życie z trupami. Do żywych nie miał śmiałości.

Ekipa Borzęckiego zmontowała sporych rozmiarów ramę, na której końcu zainstalowano urządzenie wielkości pudełka na buty. Kamera, skaner? Raczej to drugie, całość wyglądała prymitywnie, ale jak się podłączy do komputera, to powinno zadziałać.

Prawdę powiedziawszy, on tu do niczego nie był potrzebny. Zespół Borzęckiego wiedział, co ma robić. Zaraz okaże się, że może pójść do siebie i wyciągnąć się na kanapie. W sumie to nie było złe rozwiązanie. Stał przy samych drzwiach, jak się ulotni, nikt się nawet nie zorientuje, że go nie ma.

– Dobra, zaczynamy od tego sztywniaka – zdecydował Borzęcki. – Bierz go, Piotruś, czym się brzydzisz?

– Kiedy ja...

– Przecież cię nie ugryzie, martwy jest.

– A słyszał pan profesor o zombi?

– Zombi to ja zaraz z ciebie zrobię. Wsadzę do tej nowej wirówki, co to ją montują na...

– Hmm. – Ktoś z ekipy Borzęckiego głośno chrząknął.

– A tak. – Borzęcki sam się zorientował, że gada z dużo. Pewne sprawy lepiej pozostawić w tajemnicy. – Dobrze, głowa na wprost, robimy pierwszy rzut.

Dalej wszystko potoczyło się ustalonym trybem. Głowa denata została prześwietlona z każdej możliwej strony.

– Pudło – odezwał się technik od monitora. – Nic tu nie ma.

– Spróbuj dać większy kontrast.

– To bez znaczenia. Jeżeli pana teoria byłaby słuszną, to już mielibyśmy wynik, a tu nic. – Młodzieniec przy klawiaturze podparł głowę otwartą dłonią. – Poczekajcie, w tym przypadku denat zginął z powodu ran, jakie odniósł. Kule trafiły w jamę brzuszną. Facet jest zszyty, ale przynajmniej głowę ma całą. Już wiemy, że ten, hmm, egzemplarz jest czysty i bez wspomagania, że tak powiem. W raporcie było też napisane, że soczewki nosiła kobieta, lecz jej, no... potylicą to krwawa miazga. Zdaje się, że zaczęliśmy od niewłaściwej osoby.

– Dobrze. Dawajcie ją na stół.

Kolejna minuta minęła na wytężonej pracy.

– I? – Borzęcki pochylił się tuż nad ramieniem informatyka.

– Niech pan mi pozwoli skończyć.

– Ja przeszkadzam?

– Rana jest poważna, właściwie to brakuje połowy mózgu.

– A właściwie to czego państwo szukają? – Patolog nie wytrzymał i w końcu zadał nurtujące go pytanie.

– Czego? Problem w tym, że sami do końca nie wiemy.

– Nie wiecie, czego szukacie? – Patolog zdębiał zupełnie.

– To nie do końca tak, podejrzewamy, że w pniu mózgu znajdziemy, bo ja wiem, jak to nazwać?

Przekąźnik, procesor, układ?

– Nic nie rozumiem.

– Wydaje się nam, że w głowę tej kobiety został wszczepiony, z braku lepszego słowa użyję określenia: czip, wspomagający pracę mózgu.

Gdy ją tu przywieźli, niewiele było do zrobienia. Poskładał kości czaszki, na ile się dało, a fragmenty tkanki trafiły do pojemnika. Był tam jakiś drucik, ale nie przywijał do tego wagi. Zabrali ją z ulicy, to i mógł przykleić się do resztek kości.

– Momencik.

Odpadów biologicznych dziś nie wywożono. Cały materiał powinien znajdować się na miejscu.

Zaczął systematycznie sprawdzać zawartość każdego opakowania. Stojący obok Borzęcki o nic nie pytał, podobnie jak reszta ekipy.

– Domyślam się, że to ważne?

– Nawet pan nie wie, jak bardzo.

W końcu znalazł pakunek z resztkami tkanek należącymi do kobiety.

– Fatalnie to wygląda.

– Ja mam tak codziennie. – Patolog rozciągnął folię i rozgrzebał zawartość. Szybko zlokalizował drucik i... Faktycznie, ten medyk miał rację, na końcu przewodu była kostka wielkości łebka od szpilki.

– Wiecie, co to może być?

– Jeszcze nie, ale na pewno się dowiemy.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. – Lekarz, który wyszedł z sali operacyjnej, wydawał się ucieleśnieniem kompetencji i spokoju. – Obrażenia są poważne. Trudno powiedzieć, czy z tego wyjdzie. Ile on właściwie ma lat?

– Całe siedemnaście. – Przemo zerwał się z krzesła i podszedł do lekarza rozmawiającego z Oliwią.

– A ten to co za jeden? – zapytał chirurg, świdrując Mutanta przez grube szkła okularów.

– Kolega.

– To niech ten kolega posadzi cztery litery na stołku i nie przeszkadza, inaczej zawołam ochronę.

Przemo odszedł na dwa kroki, lecz pięści miał zaciśnięte.

– Powiadomiono już, kogo trzeba, chociaż, co ja będę pani mówił, dziś tu taki bur... bałagan chciałem powiedzieć. Raz jest sygnał, kiedy indziej go nie ma. Nie wiem, jak tam inni dają sobie radę, ale my tutaj to już robimy bokami.

– Karetka przyjechała szybko, nawet jej nie wzywałam. – Oliwia stała z lekko spuszczoną głową.

– Dziwne, prawda? Skąd się tam wzięła? – Lekarz wzruszył ramionami i odszedł w swoją stronę.

Właściwie to Oliwia nie miała sobie nic do zarzucenia. Przecież to nie ona napadła na Małego, tylko ten przerośnięty dzieciak na nią. Szarpanina w sytuacji, gdy jedna z osób trzyma broń palną, to prośenie się o nieszczęście.

- Zadowolona jesteś? – warknął Mutant.
- Niby z czego, kretynie?
- Znam go od przedszkola. To mój najlepszy kumpel.
- Razem z tymi, którzy uciekli, było was czterech, tacy muszkietierowie – zakpił Bielawa.
- O czym ten frajer mówi?
- Jesteś kretynem, większym, niż mi się wydawało.
- Nie pozwalaj sobie. – Przemo wyciągnął pięść w stronę Oliwii.
- Już zapomniałeś, czym się to ostatnim razem skończyło?
- Nie jestem taki jak Daniel.
- Doprawdy? Och, zejź mi z oczu.

Oliwia zrobiła parę kroków i przysiadła obok Bielawy, kryjąc twarz w dłoniach.

- Ma pani z mojego powodu same kłopoty.
- Proszę tak nie mówić.
- Kiedy to szczerą prawdą.
- Zadanie jak zadanie.

– Dzisiaj miałem więcej wrażeń niż przez ostatnie czterdzieści lat, a tym ostatnim wypadkiem to proszę się nie zadręczać, widziałem wszystko, jestem świadkiem, ewidentna obrona konieczna. Nie ma w tym pani winy. Skoczył na panią i chciał wyrwać pistolet.

- Jakoś z tego powodu nie jest mi łatwiej.
- Może należy sobie zadać pytanie, co zrobiliby napastnik, gdyby już przechwycił broń.
- Trudno powiedzieć.

– Raczej nie. Jego zachowanie wyraźnie wskazywało na groźbę użycia tego pistoletu przeciw nam. Proszę pomyśleć, co by się stało, gdyby to panią postrzelono. Ten osioł mógł doprowadzić do prawdziwego nieszczęścia.

- Daniel nie jest osłem – obruszył się Przemo.

– Milcz, gówniarzu, nie z tobą rozmawiam. – Bielawa chętnie dzieliłby Mutanta laską przez ten durny łeb. – Znasz jego rodziców?

- Tylko matkę, ojciec już dawno... – Przemo wykonał nieokreślony ruch ręką.

- To pomyśl przez chwilę, co powiesz jego matce. Za twoim podpuszczeniem zszedł z dobrej drogi.

- Może to ja...

- Nie bezpośrednio, ale pośrednio, sąd weźmie to pod uwagę.

- Ty...

– Tobie się wydaje, że kim ty jesteś? Mocny w gębie i w czterech na jednego, to teraz widzisz efekty swojego postępowania. Twoich koleśki też znajdziemy. Ich się weźmie do wojska, a ciebie, debilu, do więzienia się wsadzi i po krzyku.

– Dlaczego mnie? Przecież to nie ja postrzeliłem Małego. O nie, w taki numer mnie nie wrobiecie – zripostował Mutant.

- Sam się ranił?

- Przestańcie! – Oliwia miała dość tej wymiany zdań.

Najlepiej zrobi, jak poczeka na jakiś radiowóz i poprosi o podwózkę. Siły powoli zaczynały ją opuszczać, a znużenie pogłębiało się z każdą upływającą godziną.

Jeszcze trochę odpocznie, napije się kawy, może to ją postawi na nogi. Fizycznie szybko wróci do normy, gorzej, że poczucie winy trwać będzie wiecznie.

- Hej, mała, masz szluga?

Stojąca nad nią dziewczyna posturą przypominała zapaśniczkę, ramiona, tułów, kark jak u mężczyzny, i ta płaska mongolska twarz z lichymi włoskami opadającymi na plecy.

– Ee, ee...

– Co tam szwargoczesz?

– ...ie mam.

– Sama sprawdzę.

Ta idiotka już sięgała po torebkę należącą do Yvonne. Jak znajdzie w środku Colta, narobi rabanu.

– Sssięęę...

– Nie kłopotz się, przecież widzę, że cierpisz.

Nim tamta chwyciła torebkę, Amerykanka już trzymała ją w dłoni.

– OK, nie masz się czym tak denerwować, skarby masz tam ukryte?

– Chusteczki. – W końcu z trudem wypowiedziała jedno słowo, ponownie opadając na łóżko. Żebra bolały ją niemiłosiernie, tabletki, które dostała, ukryła pod językiem, chciała je później wypluć, ale się rozpuściły, były gorzkie jak piołun. Od razu wytrąbiła pół butelki wody przez słomkę. Ból nieco zelżał, ale nie żeby odpuścił całkowicie.

Na sali leżały we cztery, dwa kolejne łóżka były wolne. Po kwadransie Yvonne zamarzyła, by znaleźć się daleko od tego miejsca. W pomieszczeniu śmierdziało lizolem czy czymś podobnym, a towarzystwo to już poniżej wszelkiej krytyki. Polki najwyraźniej spiskowały, i to przeciwko niej.

Wasze niedoczekanie.

– Szukam pani Aurelii. Która to z pań? Podobno jest na tej sali. – Do środka wparował mundurowy z fartuchem zarzuconym na ramiona i w plastikowych ochraniaczach na butach.

– To tamta. – Zapaśniczka wskazała w stronę Yvonne.

– A, tu się pani ukrywa. – Funkcjonariusz podszedł bliżej.

Yvonne zamarła. Czego on może chcieć?

– Wszędzie pani szukamy.

Od razu zauważyła, że ma urzekający uśmiech.

– Dłacego?

– Pani zna Dawida Zycha? – Pokręciła głową.

– Nie? To co ja tu mam? – Z przyniesionej pod pachą aktówki wyjął jakiś papier i przeczytał go ponownie. – Aurelia Szymańska, Dawid Zych, ofiara lat 18...

Aha, najwyraźniej gliniarzowi chodziło o tego chłopaka, którego wywaliła z golfa nad Wisłą. Dlaczego Ripley puścił to dalej? Jasny gwint, miała przechłapanie.

– O, tu jest pani dowód, musiał pani wypaść w karetce.

Z plastikowego prostokąta patrzyła na Yvonne dziewczyna, którą najpierw porwała, a później zabiła. Bandaż na twarzy chronił ją przed dekonspiracją, bez niego od razu byłoby widać, że to dwie różne osoby.

– W związku z tym mam parę pytań.

Opadła na poduszki, udając omdlenie. Wyłoży się na pierwszym pytaniu. O Szymańskiej nie wiedziała kompletnie nic, ani co robiła, ani gdzie mieszkała.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Dawida Zycha?

Przymknęła oczy.

– Proszę mi odpowiedzieć, bo to ważne.

Zakaszła.

– Proszę mnie posłuchać.

Zakaszła ponownie.

– Nie widzisz, jak ona wygląda? Gębę ma całą pociętą, a wcześniej była jak lalka, a ty ją przepytujesz jak jakiegoś zbrodniarza. Jutro też jest dzień – odezwała się zapaśniczka spod okna.

– Proszę mnie nie pouczać.

– Umów się ze mną, to przestanę.

Yvonne zwinęła się na boku, udając, że płacze.

– Może zawołam lekarza?

– Jej spokój jest potrzebny, a nie lekarz.

– Panie mają rację, lepiej, jak pofatyguję się jutro.

– Nie fatyguj się, tylko wal śmiało. – Kobieta poczekała, aż policjant wyjdzie, i dopiero wtedy rzuciła pod jego adresem ostatnią uwagę: – Palant.

Yvonne poleżała jeszcze chwilę i uniosła się na posłaniu. Ubrano ją w szpitalne łąchy. Więzienny drelich byłby bardziej twarzowy. Pidżama śmierdziała chemicznym środkiem odkażającym. Jak oni to na nią wcisnęli? Kaptcie też z odzysku. Kraj pnie się do góry po krzywej ekonomicznej, a niektóre sprawy to zupełnie jak przed wiekami.

– Lalka, dokąd?

– Siku.

– Aha, zaraz kolacja, nie siedź w kiblu za długo.

Yvonne wymknęła się z sali niczym złodziej. Torebka jest, w niej spluwa i smartfon. Nim doszła do toalety, usłyszała sygnał. Ripley. Idealnie.

Miała pewien kłopot z włożeniem słuchawki do ucha. Musiała rozciągnąć bandaż, ale w końcu jakoś sobie poradziła.

– Ty... – zabalgotła.

– Nic nie rozumiem, powtórz – padło polecenie.

– Taaa.

– Już lepiej. – Operator był jak zwykle beznamienny. – Masz w zasięgu dwa obiekty do eliminacji, słuchaj...

Instrukcje były nad wyraz zwięzłe.

– OK.

O co chodzi z tym elektrykiem i dlaczego jest ważniejszy od Bielawy?

Nawet przy perfekcyjnym planowaniu było zbyt wiele zmiennych. Nie ma na to siły, parę elementów zawsze ulegnie zmianie.

Ucieszyła ją obecność Bielawy w szpitalu. Skąd się tu wziął, to kolejny fenomen. Zdaje się, że zmierzał w zupełnie inną stronę. To zabawne, jak się czasami układa. Miała go dorwać na ulicy, a zastrzeli w szpitalu.

Na ekranie wyświetlił się schemat budynku. Na OIOM nie miała daleko. Smartfon poprowadzi ją jak po sznurku. Po drodze zajrzała do toalety. Z wolną kabiną nie było problemu. Torebkę położyła na kolanach. Sięgnęła po Colta i wyjęła magazynek. Wsunęła go ponownie w gniazdo i przeładowała, wprowadzając nabój do komory. Kliknięcie sprawiło, że do żył napłynęła adrenalina. Od razu lepiej. Senność i delikatny ból głowy znikły bez śladu. Schowała broń, układając ją tak, by rękojeść sterczała do góry.

Na swój pokrętny sposób nawet cieszyła się z tego, co ma zrobić. To przecież była dziejowa konieczność. Wszystko, co robiła, robiła dla dobra innych. Idioci. Szkoda, że niczego nie rozumieją.

Osmecki gapił się na helikopter i dałby sobie rękę uciąć, że pilot Apache'a gapi się na niego. Porucznik utrzymywał się na powierzchni dzięki delikatnym ruchom rąk i nóg. Zdziwił się, że jest tu tak głęboko. Od lat mówiło się, że Wisła wysycha. W niektórych jej miejscach o śródlądowej żegludze nie mogło być mowy, a przestoje głębiej zanurzonych stateczków czy barek robiły się coraz częstsze.

W miejscu, gdzie się teraz znajdował, nie sięgał jednak dna. Nie znał się na meteorologii, może pogłoski o niskich opadach w tym roku były przesadzone. Gdy przyjdzie lato, wysychająca rzeka ponownie stanie się problemem. On niestety już do tego nie dotrwa, bo za sekundę lub dwie rozplynie się w nicości.

Na co oni jeszcze czekają? Wszelkie argumenty były przecież po ich stronie.

Grzmot odrzutowego silnika zaskoczył Osmeckiego zupełnie. Seria z działka została oddana, ale najwyraźniej komuś drgnęła ręka, bo pociski poszybowały ponad pułkownikiem, a AH-64 uniósł ogon i zaczął nabierać prędkości. Silniki wyły na najwyższych obrotach. Osmecki nie spuścił z maszyny wzroku, dopóki ta nie oddaliła się na jakieś sto metrów od niego, dopiero wtedy się rozejrzył.

F-16 mknął ponad zabudowaniami Młocin na wysokości niecałych trzystu metrów. Jeżeli teraz zechcą go dla odmiany zbombardować, to już nic go nie zdziwi.

Machnął nogami. Pilot F-16 niekoniecznie musiał grać w tym samym zespole co i on. Lepiej, jeśli skorzysta z zamieszania i zniknie.

Gdzieś należało wyjść z rzeki. Młociny znajdowały się bliżej niż Tarchomin, więc to je właśnie wybrał.

Popłynął w tamtą stronę, na czworakach wyczołgał się na brzeg i padł pozbawiony sił.

Wiedział, że praca dla Banacha będzie się wiązać z ryzykiem, ale żeby aż takim? Tragiczny finał rejsu wyglądał na regularne polowanie.

Czym tak zirytował przeciwnika, że ten postanowił rozwalić łódź i wszystkich znajdujących się na niej ludzi? Nie był szeregowym agentem wywiadu, ale też nie takim, przy którego likwidacji sięga się po wszelkie dostępne środki.

Odruchowo poszukał telefonu. Aparat znajdował się w kieszeni, szkoda tylko, że nie był wodoodporny.

Delikatną elektronikę szlag trafił.

Przesunął się jeszcze kawałek w stronę zarośli i schował pomiędzy nimi. Gdyby Apache pojawił się ponownie, to on i tak zostałby wykryty przez termowizor, i to bez najmniejszego problemu.

Należało zebrać wszystkie siły i przedrzeć się do najbliższego komisariatu policji czy chociażby przystanku autobusowego, a stamtąd spróbować dotrzeć do centrum. Banach musi dowiedzieć się o fiasku jego wyprawy.

Głupi telefon...

Nagle gdzieś na obrzeżach świadomości Osmeckiego odezwał się sygnał ostrzegawczy. AH-64 pojawił się niedługo po tym, jak zadzwonił na bezpieczny numer, prosząc o informacje na temat Wiktorii Stawskiej. Przypadek? W wywiadzie nie ma przypadków. Otarł się o sprawę, o której nawet nie powinien wiedzieć, stając się niejako łącznikiem pomiędzy policją a mocodawcami Stawskiej.

Z niedowierzaniem przyglądał się urzędzeniu, któremu zaufał. Jakiż był głupi, generał zresztą też, coś, co uważali za bezpieczną sieć, wcale taką nie było. Jeżeli za wszystkim kryli się ci, o których myśleli, to w penetracji takich systemów jankesi byli mistrzami. Trochę z nich pracowało w Agencji Wywiadu na różnych stanowiskach. Głównie zajmowali się informatyką, cyberszpiegostwem, wojną psychologiczną i podobnymi sprawami, co za problem zacząć podsłuchiwać swoich mocodawców, a zarazem śledzić osoby, które posługują się tymi niby bezpiecznymi aparatami.

Urządzenie stanowiło jedną zwartą bryłę, której nie dawało się rozmontować ani dostać do baterii czy też wyciągnąć karty SIM. Kiedy pojawiał się problem, dostawałeś nowy aparat odpowiednio skonfigurowany i spełniający odpowiednie standardy.

Wycieczka nad Wisłę i śmierć czterech policjantów nie były więc tak pozbawione sensu, jak mu się z początku wydawało. Dowiedział się jednej bardzo ważnej rzeczy, szkoda tylko, że nie mógł o niej powiadomić Banacha.

Osmecki schował aparat do kieszeni, mimo wszystko wolał go tu nie wyrzucać. Cholera wie, co tam

w środku może tykać. Jak wpadnie w łapy wrogiego im państwa, straty mogą okazać się jeszcze większe. Najlepiej teraz robi, jeśli poszuka transportu. Młociny nie leżały przecież na drugim końcu kraju, tylko w granicach administracyjnych Warszawy. Bitwa jeszcze nie została przegrana. Jeżeli zacząłby się nad sobą rozczulać, na pewno tak by się stało, ale na razie jedynym uczuciem, którego doznawał, była zimna wściekłość.

Jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Nie wyjdzie ze szpitala, zanim nie sprawdzi, jak czuje się postrzelony przez nią chłopak. Uznała to za swój obowiązek. Nie była taką zimną i wyrachowaną osobą, za jaką ją uważano. Wydawało się, że jeden Bielawa ją rozumie, bo człapał za nią posłusznie bez słowa komentarza.

Przemo wprost przeciwnie, podrygiwał zupełnie jak ktoś, kto wchłonął w siebie nadmierną ilość kofeiny. Najpierw niańczyła jednego, a teraz ma ich dwóch. Mutant od owego feralnego zdarzenia odstępował jej o krok. Mógł uciec, ale tego nie zrobił. Wiedział, że będzie miał kłopoty, a i tak przyjechał do szpitala, nie opuszczając kolegi. Podwórkowa lojalność jak widać nie zgasła.

W porównaniu z resztą szpitala Oddział Intensywnej Opieki Medycznej wydawał się oazą spokoju. Na sali leżało co najmniej dziesięć osób, jedna przy drugiej, podłączonych do najróżniejszych urządzeń.

Jednego z biedaków ustawiono tuż przy samym wejściu. Ręce, nogi, tors wszystko w gipsie, twarz spuchnięta, nos złamany, ale oczy nie wyrażały żalu.

– Panie Władysławie, mamy z panem problem. – Kolejny lekarz ubrany w zieloną koszulkę i spodnie oraz białe plastikowe chodaki pochylał się nad poszkodowanym. – Nie mamy dla pana już miejsca.

– Nie?

– Przywieźli pana tutaj, a nie powinni. U nas na Barskiej wszystko zakorkowane, a właśnie dostarczono nowe dyrektywy... Dyrektywy, jak to brzmi. – Konował o mało nie parsknął śmiechem. – O zwalnianiu lżej chorych i wstrzymaniu wszystkich planowych zabiegów aż do odwołania. Wie pan, co to oznacza? Nie? Ja wiem, mamy się przyszykować na przyjęcie większej liczby pacjentów, i to pewnie takich z ranami postrzałowymi. Wiem, co mówię. Starsi koledzy mi opowiadali, tak się przygotowywano do wprowadzenia stanu wojennego w osiemdziesiątym pierwszym.

– Może pan to rozwinąć? – Bielawa stanął obok gawędzącej parki, z ciekawością przysłuchując się temu, co lekarz ma do powiedzenia.

– A o czym tu gadać?

– Wie pan... ta dyrektywa, mogę ją zobaczyć?

– W tej sprawie to do ordynatora.

– A orientuje się pan, kto ją wydał? – Senator naciskał dalej.

– Jacyś tam oficerowie. – Widać było, że chirurg nie jest do końca pewny tego, co mówi.

– Oficerowie?

– Tak mi się wydaje.

– Jacyś konkretni?

– Zwyczajni. RP.

– RP, pan mówi. – Bielawa wyraźnie odzyskiwał wigor. – Pani Oliwio, myślę, że już czas dotrzeć do celu.

– Oczywiście, panie Ryszardzie, jeszcze pięć minut. Czy mogę? – zwróciła się do lekarza. – Ja w sprawie tego chłopaka. – Wskazała na postać okrytą prześcieradłem i podłączoną do sztucznego płuca.

– Pani z rodziny?

– Nie.

– To kto?

- Ja go tak urządziłam.
- Ach, policja – domyślił się chirurg.
- Można tak powiedzieć.

– Powiem wprost, jak przeżyje do rana, jest szansa. Organizm młody, silny, ludzie wychodzą nie z takich opresji. Pan Władysław jest tu najlepszym przykładem. Trzydzieste piętro i trach o ziemię, teoretycznie miazga. Podobno zadziało hamowanie, ale jak sama pani widzi, chyba trochę za późno.

Dziwne, że na jej widok ludzie nie uciekali w popłochu. Była jak żywcem wyjęta z horroru, w spranym na maksa szlafroku, w za dużej pidżamie i z zasłoniętą twarzą. Tylko włosy spływały ciemną kaskadą na biel bandaży.

Wzuwane kapcie zamieniła na tenisówki. W końcu idzie na robotę i głupio tak szurać po posadzce plastikową podeszwą.

Marzyła o gorącej kąpieli i wygodnym łóżku. Wszystko ją swędziało, a sytuacja niewyobrażalnie irytowała. I czego tak się gapi jeden z drugim, to szpital, a nie sala balowa. Ależ te polskie kmiotki ją wkurzały.

Rano zaczynała z wysokiego C, a wieczorem kończy jak łachmaniara, dać jej tylko foliową torbę i zaraz zacznie przetrząsać śmietniki. Podczas szkolenia mówiono wprawdzie, że kamuflaż jest ważny, ale nie przypuszczała, że sama spadnie na samo dno.

– Gdzie tu jest apteka? – Chudy i wysoki mężczyzna rozglądał się po korytarzu, nie wiedząc, w którą stronę ma się udać.

- Spieldalaj – warknęła krótko.
- Hormony wariują?
- Won, jak ci zycie mile.

Nie dotrze na OIOM, zacznie strzelać od razu. Zapamiętają ją na długo. Nerwy napięte jak postronki sprawiły, że zaczęły jej drzeć kończyny. W żaden sposób nie potrafiła nad tym zapanować. Jak tu dobrze wymierzyć, skoro dłoń drży jak po wypiciu butelki z kłóskiem na etykiecie. To zdaje się narodowy trunek Polaków. Wypiła raz w przypływie desperacji. Lepsze od tequili, ale na drugi dzień miała kłopoty z przypomnieniem sobie, jak się nazywa.

Szkoda, że nie załapała się do pierwszej grupy cyborgów. Modyfikacje stały się już na tyle bezpieczne, że wprowadzono je u wielu agentów. Na razie wspomagały podstawowe funkcje organizmu, ale bliski był dzień, kiedy uzyskają o wiele większe możliwości.

Już nigdy nie wpadłaby w depresję. Jakby złapała doła, to wszczepiony w jej ciało czip wykryłby zmiany, takie jak spadek endorfin, i natychmiast zaczęłby działać. Albo tak mogłaby biec przez kilkadziesiąt kilometrów, nie wypluwając przy tym płuc. Supersprawa. Mózg człowieka wykorzystuje nie więcej niż kilka procent możliwości, a co się stanie, kiedy osiągnie pułap pięćdziesięciu czy też więcej. Każdy będzie mógł zostać Einsteinem albo wdrapać się na Everest. Jej by wystarczyło, żeby zwiększyła się jej zdolność postrzegania. Teraz, podczas akcji, może ją rozproszyć cała masa dupereli, a tak nad wszystkim miałyby kontrolę. Nic by jej nie zaskoczyło, nie weszło w paradę i nie miałyby tych cholernych drgawek. Pełna kontrola nad własnym ciałem i umysłem. Ręka w górę, kto nie chciałby prowadzić samochodu jak mistrz Formuły 1, strzelać jak zawodnicy reprezentacji narodowej, znać się na matematyce niczym profesorowie nauk ścisłych, biegać, pływać i tak dalej. Wszystko bez morderczych treningów, a za sprawą jednej operacji.

Przynależność do tego ekskluzywnego klubu kosztowała. I nie chodziło tu o pieniądze, ale o duszę. Ilu mogło być na świecie takich, którzy przekroczyli próg zaczarowanej krainy? Oceniała, że około tysiąca. Pierwsze modyfikacje były jeszcze prymitywne, niektóre organy należało wzmocnić dodatkowymi

wspomagaczami, ale dalsze eksperymenty to jak odkrywanie nowych światów.

Była szczęśliwa jak nigdy, gdy załapała się do programu. To jak kolejna misja programu Apollo, tyle że tym razem eksplorowali ludzki organizm. Z armią takich jak ona można by podbić świat.

Teraz pilota ograniczał jego własny organizm. Projektowane obecnie maszyny znosiły o wiele więcej, niż człowiek był w stanie wytrzymać. Przy dużych przeciążeniach krew odpływała z mózgu, pilot tracił przytomność i gdyby nie odpowiednie skafandry, lot skończyłby się zrobieniem dziury w ziemi. Przy wspomagaczach takie ryzyko nie istniało. Ludzie stawali się prawdziwymi cyborgami mogącymi w ułamku sekundy uporać się z całą masą danych i na ich podstawie podjąć odpowiednie decyzje.

Dzielił ją zaledwie miesiąc od zabiegu, gdy w USA rozszalała się epidemia. Program został zawieszony, a zespół, który się nim zajmował, w dużej mierze rozproszony.

Słyszała, że w odwecie za epidemię chciano przeprowadzić prewencyjny atak nuklearny na Rosję i Chiny, obarczając te państwa winą za śmierć milionów Amerykanów, ale u kogoś tam odezwało się sumienie. Jednoznacznych dowodów na atak biologiczny nie było. Moskwa i Pekin wydawały się tak samo zaskoczone tym, co się wydarzyło, jak i Waszyngton, ale jak mawiają Polacy: co się odwlecze, to nie uciecze. Ona i jej grupa przejmą pełną kontrolę nad tym krajem i ściągną tu miliony tych, którzy przeżyli. Ci z autochtonów, którzy się podporządkują, zyskają nagrodę, resztę się eksterminuje.

Pierwsze samoloty w bazach na Hawajach i Alasce już grzały silniki. Na początek przerzucą żołnierzy z jednostek desantowych, z osiemdziesiątej drugiej i sto pierwszej oraz ze zwiadu marines. Na szczęście ciężki sprzęt znajdował się na miejscu. Opanowanie Polski przyjdzie im łatwiej niż Iraku w swoim czasie. Partyzantkę wypalą ogniem i mieczem, a właściwie bombami termobarycznymi i napalmem.

– Nie wiesz, krowo, którą stroną się chodzi?

Yvonne tak się zamyśliła, że omal nie wpadła na staruszkę z balkonikiem, który wyszedł zza rogu.

– Nie wiedziałem, że w tym szpitalu usuwają tatuaże z twarzy.

Próbowała go wyminąć, ale ten złośliwie wciąż zajeżdżał jej drogę.

– Ta dzisiejsza młodzież... Co z niej wyrośnie?

Jak zostanie jej w magazynku chociaż jedna kula, sprawi, że ten sukinsyn będzie cierpieł.

– Patrzcie ją, jaka nerwowa. Wszyscy chcą się bawić, tylko pracować nie ma komu.

Ta ostatnia uwaga do niej nie przystawała, ale niech sobie staruch pogada. W piekle już nie będzie mu tak przyjemnie.

Minęła rząd gabinetów, przed którymi wystawiali wkurzeni pacjenci. Zdaje się, że dziś mieli tu ostry dyżur, albo ci od Ripleya zrobili im takowy. To nie szpital, to istny dom wariatów, i to w dodatku w państwie Trzeciego Świata. Brakowało tylko szaleńców udających Napoleona czy biegających na golasa po korytarzach i bawiących się w chowanego z pielęgniarkami.

Oddział, o który jej chodziło, był już niedaleko. Pchnęła ostatnie drzwi i znalazła się w przedsionku, na którego końcu znajdowała się sala z chorymi.

Blond sukę dostrzegła od razu, stała odwrócona do niej plecami. Nic nie szkodzi, tę zdziwę zapamięta na długo. Obok Bielawa, żaloszna kreatura, rozmawiał z jakimś truchłem na szpitalnym łóżku. To pewnie Mostowiak. Trzy cele blisko siebie. Lepiej już być nie mogło. Załatwi całą trójkę w najwyżej pięć sekund.

Zatrzymała się w głębokim cieniu tuż przy wejściu i sięgnęła po pistolet.

Teraz albo nigdy.

– Pani Oliwio, pozwoli pani na momencik.

– A muszę?

– Wydaje mi się, że tak, pan Mostowiak ma ciekawą teorię do opowiedzenia.

– Na jaki temat?

Bielawa pochylił się nad człowiekiem obłożonym gipsem.

– Black Point, czy tak, panie Władysławie? Aha. To podobno oni są odpowiedzialni za katastrofę irlandzkiego samolotu i ten wypadek w Ochota Tower.

Przemo roześmiał się szyderczo.

– Słucham?

– Pan Władysław twierdzi, że podsłuchiwał ich, jak rozmawiają.

– Wierzyć mi się nie chce.

– Kiedy to szczerą prawdą.

Nad tym idiotyzmem nawet nie chciało się Oliwii zastanawiać. Kolejny koleś, który naczytał się książek i naoglądał filmów, a teraz twierdzi, że jest jedynym człowiekiem zdolnym uratować świat przed kompletną zagładą.

– Co zrobimy w tej sprawie? – Bielawa koniecznie chciał znać odpowiedź.

– My? Spróbujmy spojrzeć prawdzie w oczy. Mam tam pójść i zapytać ich, co robią? Jest kłopot z przetransportowaniem pana z jednej dzielnicy do drugiej, a tu słyszę...

W oczach senatora dostrzegła przerażenie. Początkowo pomyślała, że chodzi o kolejnego pacjenta dostarczonego na oddział w stanie bez mała agonialnym, ale... wystrzał zabrzmiał wyjątkowo głośno.

Przemek stojący tuż za nią uwiesił się na jej ramieniu i pociągnął w dół. Chciała go odtrącić, ale zacisk jego palców był zbyt mocny. Upadli pod łóżko, na którym leżał Mostowiak, z głuchym łomotem.

Za długo nic się nie działo, a ona powinna się była domyślić, że prześladowcy nie odpuszczają.

Czuła na sobie ciężar chłopaka. Próbowwała się dźwignąć i jednocześnie wyszarpnąć pistolet z podramiennej kabury, gdy padł drugi strzał, a jej prawe ramie eksplodowało bólem. Tym razem nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Gdzie podziali się ludzie? Do niedawna panował tu przytłumiony gwar, a teraz wszystko utonęło w huku pistoletowych strzałów.

W końcu udało jej się wydobyć broń. Spróbowała odwrócić się na plecy. Z ledwością utrzymała Walthera w garści. Wszystko było śliskie od krwi. Jej i Mutanta.

Zamrugęła kilkakrotnie, widząc zjawę w odległości kilku metrów od niej. Co to za dziwio? Pomieszało się jej w głowie czy też została ostrzelana przez upiora?

Yvonne właśnie przymierzała się do kolejnego strzału, gdy otworzyły się drzwi oddzielające OIOM od reszty budynku i stanął w nich pielęgniarz ciągnący za sobą puste łóżko. Facet był potężny. Na razie jednak tylko stał i patrzył, analizując wypadki.

Tak się złożyło, że pielęgniarz po godzinach pracy amatorsko ćwiczył mieszane sztuki walki. Od czołówki dzieliły go całe lata świetlne, ale w każdym sporcie są słabi, dobrzy i przeciętni, ci, co mają serce do walki, i ci, którzy chcą jedynie nauczyć się paru złośliwych sztuczek. On zaliczał się do tej ostatniej grupy.

Nim w ogóle pomyślał nad tym, co robi, już wykonał pierwszy ruch, dostawiając prawą nogę tak, by lewą spróbować wytrącić broń z ręki obandażowanego monstrum. Nie zdążył. Pełnopłaszczowy pocisk ugodził go w krtań i wyszedł u podstawy czaszki.

Yvonne w porę wyczuła niebezpieczeństwo i wyeliminowała zagrożenie bez zbędnego cackania się.

Na oddziale rozpełtała się regularna strzelanina. Oberwał Mostowiak, i to w sam środek czoła. Uratował się z wypadku w biurowcu, lecz nie przeżył już kolejnej godziny. Bielawa skulił się, gdy został raniony w udo. Kolejna kula, zamiast rozłupać jego czaszkę, przeszła górą.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nigdzie nie dawało się schować. Przedsiónek nie był duży, kilkanaście metrów w każdą stronę. Praktycznie każdy wystrzelony pocisk powinien dojść do celu.

Z tyłu, od strony sali z pacjentami, dochodziły Oliwię krzyki. Rykoszety fruwały we wszystkie strony. Jak nie zachowa zimnej krwi, zginą wszyscy.

Niewielki odprysk przeleciał koło jej twarzy, zignorowała ból, gdy wbił jej się w szyję. Walther podskoczył w dłoniach, kiedy oddała strzał. Upiór okazał się być człowiekiem, bo skulił się i padł na posadzkę. Ostatni wysiłek i rozprawi się z tym monstrum raz na zawsze. Strzeliła, niestety niecelnie.

Dzisiejszy dzień pod żadnym względem nie układał się tak, jak by chciała.

W ładownię ogromnego Globemastera C-17 dawało się wcisnąć siedemdziesiąt siedem ton ładunku bądź stu trzydziestu czterech żołnierzy. Te potężne maszyny zapewniały transport strategiczny do najdalszych zakątków świata. W czasach, kiedy USA pełniły funkcję światowego żandarma, były niezastąpione, a i później nie potrafiono się bez nich obejść. Podczas tworzenia mostu powietrznego pomiędzy Alaską a resztą terytorium wywiozły dziesiątki tysięcy osób personelu wojskowego, ich rodzin oraz masy cywilów z piekła, jakim stały się Stany Zjednoczone.

Podczas trwającej parę tygodni operacji z powodu przemęczenia załóg i usterek technicznych utracono siedem maszyn, a to i tak było najmniej spośród wszystkich użytych wówczas transportowców. Herkulesów C-130 rozbiło się dziesięć, a C-141 Starlifterów, które w pośpiechu przywracano do służby, aż piętnaście. Właściwie to operacja nie zakończyła się do tej pory. Całej floty maszyn wojskowych i zmobilizowanych samolotów pasażerskich używano do przetrwania broni i żywności do bezpiecznych stref, gdzie gromadzili się ci, którym udało się przetrwać ostatnie parę miesięcy.

Potrzeby były ogromne. Na terytorium Ameryki Północnej wciąż znajdowało się około stu czterdziestu milionów ludzi. I choć epidemia powoli wygasła, a nowych ognisk nie odnotowano już od pięciu tygodni, to i tak przeorała kontynent niczym gigantyczny pług. W tej nowej niepewnej sytuacji najgorsze było społeczne rozprężenie. Gdy zabrakło Gwardii Narodowej, policji i sprawnej administracji, zdesperowani obywatele wzięli sprawy w swoje ręce. Do złupienia pozostawionego majątku nie brakowało też chętnych z zewnątrz.

Dla Kuby nastały dni chwały. Do Miami to tylko jeden krok. Prywatne, z początku awanturnicze wyprawy szybko przemieniły się w grabież przynosząc olbrzymie zyski. Kubańskie siły bezpieczeństwa w końcu położyły na tym łapę i same przyłączyły się do wyścigu o bogactwa. Monopolista mógł być tylko jeden. Słaba flota została szybko wzmocniona o parę nowych okrętów, część zakupiono na kredyt, część była darem państw latynoamerykańskich, które niespodziewanie zaczęły sympatyzować z rządem w Hawanie, ale najnowocześniejsze jednostki dostarczył Pekin. Trzy korwety, dwa patrolowce i całe stado mniejszych okręcików pływały regularnie przez Cieśninę Florydzką. Na Key West zorganizowano silnie bronioną bazę. Według niektórych bliski wydawał się marsz kubańskiego korpusu ekspedycyjnego na północ stanu.

Władzom na Hawajach nie było do śmiechu. Główne siły skupiono w bazach pacyficznych, a nie było ich tyle, aby wikłać się w wojenną awanturę akurat na Karaibach, nie tylko bowiem Hawanie należałoby wymierzyć silnego kopniaka, ale też Meksykowi.

Ci mieli jeszcze łatwiej, wystarczyło zatankować baki do pełna, a południowa Kalifornia, Nowy Meksyk, Arizona i Teksas stawały przed śmiałkami otworem. Kto im zabroni sięgnąć po dawne terytorium zajęte przez złych gringo w dziewiętnastym wieku?

Mianowani przez Honolulu wojenni gubernatorzy musieli radzić sobie sami, wsparcie rządu centralnego było znikome. Jednak to nie Meksyk czy Kuba były prawdziwymi przeciwnikami, lecz Chińska Republika Ludowa, która poczyniała sobie coraz śmielej. O ile wyprawy okrętów Marina de Guerra Revolucionaria ku amerykańskim wybrzeżom były jak ukłucie szpilki, o tyle ekspedycje chińskich jednostek powoli zagarniały wyspiarskie archipelagi Mikronezji i Oceanii.

Na Kiribati i Vanuatu z powodzeniem dawało się wywiesić czerwone flagi ze złotymi gwiazdami.

Zachodziła obawa, że w końcu sięgną i po Hawaje, odcinając wyspy od pomocy z zewnątrz.

Chińczycy już od dawna kładli duży nacisk na rozwój broni mogącej zagrozić supremacji lotników. Do rakiet, okrętów podwodnych, torped i środków ataku powietrznego doszły niedawno bojowe drony z głowicami jądrowymi.

Wojna z Państwem Środka to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała hawajska administracja, zwłaszcza że na horyzoncie pojawiła się z takim trudem montowana operacja „Rozpruwacz”.

Na Atlantyku Hiszpanie, Francuzi i poniekąd Brytyjczycy robili to samo co Kubańczycy w Zatoce Meksykańskiej, a Chińczycy na Pacyfiku, wpływali na redy Nowego Jorku, Bostonu i Jacksonville pod pretekstem pomocy humanitarnej, a tak naprawdę w celu rozeznania, jakie układy panują w dawnych koloniach.

Starano się unikać nieporozumień, choć nie zawsze się to udawało, jak wtedy, gdy francuska fregata „Forbin” zatopiła kuter Straży Wybrzeża „Oak”. Zginęła prawie cała załoga amerykańskiej jednostki. Wystąpiono wówczas z ostrym protestem, Paryż odpowiedział wyrazami ubolewania. Sprawa rozeszła się po kościach, nikt nie został ukarany, co więcej, kapitana „Forbina” odznaczono.

Jak się chce przewodzić Europie, nie należy unikać konfrontacji, a Paryż najwyraźniej próbował powrócić do roli, jaką pełnił za czasów Ludwika XIV i Napoleona Bonaparte.

Na pokładzie Globemastera porucznik Paul Preace spróbował wyciągnąć wygodnie nogi, choć było to trudne. Wszędzie dookoła piętrzyły się plecaki, broń, manierki, śpiwory, dodatkowa amunicja, czyli wszystko to, czego do wykonania zadania potrzebował żołnierz na polu bitwy.

Przelot nad biegunem, częścią Skandynawii i Morzem Bałtyckim potrwa co najmniej dziesięć godzin. Ileż można spać, czytać czy gadać z kumplami. Czekanie na akcję potrafiło wywrócić człowiekowi flaki na lewą stronę. Preace nieraz widział rzygających ludzi, którym nerwy odmawiały posłuszeństwa. To wcale nie byli źli żołnierze, częstokroć wyróżniali się na tle innych, ale w sytuacji, kiedy od desantu dzieliły ich nie minuty, ale godziny, nerwy im wysiadały.

Nawet ci, którzy mieli za sobą wiele akcji bojowych, nie potrafili uwolnić się od stresu. Rzygali szeregowcy, sierżanci i oficerowie. Po długodystansowym locie ładownia samolotu przypominała chlew.

Tym razem było inaczej. Zupełnie inaczej. Różnicę dawało się odczuć od razu. Na pokładzie Globemastera panował idealny wręcz spokój. Nikt nie kaszlał, nie wymiotował ani nie wybuchał nerwowym śmiechem. Cała kompania składała się bowiem z cyberżołnierzy.

Preace wyciągnął z kieszeni spodni książkę w broszurowej oprawie i zaczął czytać. Półmrok na pokładzie C-17 wcale porucznikowi nie przeszkadzał. Jego oczy bez trudu przebiegały tekst, który ani nie był zbyt mądry, ani zbyt dowcipny, ot, kolejne czytało, jakich wiele. Tym razem autorowi nie udało się wyjść poza schemat, dobry i zły gliniarz kontra morderca małych dziewczynek. Superbestseller okazał się wyjątkową nudą.

Preace ziewnął. Jeden z podoficerów miał czytnik wypełniony współczesną klasyką. Już lepiej kolejny raz poczytać Steinbecka niż te wypociny. Ostatecznie obejrzy film. I tych, podobnie jak książek, na małym czytniku dało się pomieścić mnóstwo.

Może i był żołnierzem nowej generacji, ale pewnych spraw nie dawało się wyrwać z pamięci. Do niedawna miał żonę i córkę. Obu udało się przetrwać najgorsze. Zginęły jednak w strzelaniu pod sklepem, który stał się celem gangu motocyklistów. Pajace żywcem wyjęte z filmów o Mad Maxie. Zamiast mózgów trociny. Znajdujący się niedaleko oddział policji interweniował od razu. Padło ze dwadzieścia trupów, szkoda, że wśród nich także najbliższe Paulowi osoby.

Został sam jak palec. Rodzice odeszli dawno temu. Od tamtej pory nie było dnia, w którym by nie myślał o tym, co utracił, a im więcej myślał, tym większa brała go złość. Życie nie było sprawiedliwe. Dlaczego spadły na nich wszystkie te nieszczęścia? Co komu zawinili? Pytania wciąż nie znajdowały odpowiedzi. Z upływem miesięcy rosło w nim poczucie krzywdy.

Od pewnego czasu wydawało się, że wojsko wróci oczyścić teren dawnych Stanów Zjednoczonych z band, które się tam rozpanoszyły. Sił było dosyć – cztery dywizje wojsk lądowych na Alasce i dwie na

Hawajach. Mobilizując, kogo się dało, liczbę jednostek można było z powodzeniem podwoić. Gorzej ze sprzętem, ale jakby dotarli do dawnych ośrodków szkoleniowych i składnic, sytuacja szybko uległaby poprawie.

Tak się jednak nie stało, a jednostkę ekspedycyjną, w której znajdowała się jego kompania, skierowano do wykonania nowego zadania. Jak się okazało, tym zadaniem było wsparcie oddziałów znajdujących się w Polsce.

Niewiele z tego rozumiał. Podobno Polska, tak jak Izrael, to obecnie ich najlepszy sojusznik, po co więc go atakować? Widać tak trzeba. Jednego tylko nie potrafił ogarnąć, skoro do Polski zostało sprowadzone kilkadziesiąt tysięcy wojska, to dlaczego także i ich włączano do akcji? Czyżby większość z tych, którzy się tam znaleźli, zasymilowała się z autochtonami? Zabawne. Wystarczyło pół roku, by z kowbojów stać się krakusami?

Porucznikowi na dobrą sprawę obojętne było, do kogo będzie strzelał. Dostał zadanie i ma je wykonać. Reszta go na szczęście nie obchodziła.

Wystrzeliła ostatni raz.

Mostowiak kaplica, Bielawa chyba też. Została tylko ta wredota, której nie chciała odpuścić. Postrzeliła ją, ale tamta wciąż się ruszała, zasypując Yvonne gradem kul. Parę pierwszych przeszło tuż nad jej głową, wybijając w ścianach solidne dziury. Cela to ona miała, jak nie przyrównując...

Uderzenie w prawy bok sprawiło, że Yvonne się zachwiała. Została trafiona tuż nad biodrem. Szok spowodowany raną odebrał jej chęć do dalszego działania. Zresztą i tak w magazynku zabrakło jej amunicji. Dobrze, że wcześniej rozwalila tego pielęgniarza, teraz przynajmniej miała otwartą drogę ucieczki.

Na czworakach, modląc się w duszy, by nie załapać kolejnej kulki, rzuciła się przed siebie. Adrenalina sprawiała, że na razie czuła tylko tępe rwanie w boku. Nie odebrało jej to na szczęście sił. Najgorsze przyjdzie później. Jęcząc i sycząc, przeczołgała się obok zwłok zabitego i spróbowała skryć się za załomem korytarza.

Ci, którzy jeszcze tego nie zrobili, teraz w panice uciekali na jej widok. Najważniejsze to nie zgubić pistoletu i torebki. Bez smartfona sobie nie poradzi.

W końcu dotarła do schodów. Na pierwszym półpiętrze nie wyrobiła się na zakręcie, nogi ugięły jej się w kolanach i o mało nie upadła. Z ust dobył się przeciągły skowyt. Na parę sekund musiała przystanąć. Z oczu ciekły jej łzy. Jeśli natychmiast się nie pozbiera, pozostanie w tym parszywym miejscu na zawsze.

Gdzie jest słuchawka? Krew znajdowała się wszędzie. Teraz to już naprawdę wyglądała na zjawę nie z tego świata.

Wcisnęła ją do ucha i od razu usłyszała głos prowadzącego.

– Co z celem numer jeden?

– Nne zyje.

– A cel numer dwa?

– Tez, aaa... zostałam postselona.

– Wyjdź z budynku.

Źle wymierzyła odległość na ostatnim stopniu i wyłożyła się jak długa. Colt odleciał na bok. Yvonne chciało się wyć. Tak zdesperowana nie była jeszcze nigdy w życiu.

– Musisz się ruszać.

Świetna rada, złamasie, tylko postaw się na moim miejscu. Ruszać się! Żyje, to się rusza. Pochylona, z lewą ręką szorującą po podłodze, a prawą, przyłożoną do rany, próbowała przebić się na zewnątrz.

Przecież nic innego nie zostało jej do zrobienia.

Oliwii w uszach dźwięczał anielski chór. Zaskoczona tym, że wciąż żyje, rozejrzała się po najbliższym otoczeniu.

Szklisty wzrok Przema powiedział jej wszystko o stanie chłopaka. Podwórkowy gang stracił lidera. Gorzej, że leżący obok Bielawa również nie dawał znaku życia. Należało wezwać pomoc, lecz nic z tego nie wychodziło, bo gardło miała suche jak wiór.

Pomagając sobie zdrową ręką, stanęła na nogach. Obok pojawiła się brodata twarz jednego z lekarzy. Mówił głośno, ale ona z trudem rozumiała jego słowa. Zdaje się, że chciał zająć się jej raną.

– On jest ważniejszy, nie ja! – wrzasnęła wprost do ucha chirurga. Zdanie podparte wymownym ruchem pistoletu sprawiło, że od razu zajęto się Bielawą. – Żyje?

– Proszę pozwolić nam działać.

Zdaje się, że w rękach personelu medycznego ze szpitala na Barskiej znalazła się przyszłość kraju. Wkoło Oliwii zaroilo się od pielęgniarek. Odprowadzono ją do tyłu i posadzono na krześle. Takiej jatki się nie spodziewała. Teoretycznie powinna poprowadzić pościg za zbiegiem, ale wiedziała, że w jej stanie sama sobie nie poradzi. Już lepiej, jak przypilnuje senatora.

Nawet nie zauważyła, kiedy dostała zastrzyk. Oczy zamknęły jej się same. Walther spadł na podłogę.

– Na salę z nią. Szybko!

Zdaje się, że to polecenie odnosiło się do niej.

Nim na dobre odpłynęła, spróbowała jeszcze zwalczyć ogarniającą ją słabość. Nic z tego. Siła środków farmakologicznych była większa od potęgi jej woli.

Zenon Miciński spod oka obserwował przybyłych gości. Facet w cywilu okazał się pracownikiem wywiadu, dwóch kolejnych niechlujnych młodzieńców nie mówiło nic, trzymali dłonie w kieszeniach i systematycznie pracowali szczękami, żując gumy. W łachach, które mieli na sobie, bardziej pasowali do skateparku niż eleganckiego biurowca. Jako czwarty wepchnął się ponury typ pod sześćdziesiątkę w wymiętej marynarce, sztuczkowych spodniach i z aktówką, którą przyciskał do siebie. Piąty i szósty to typowi gliniarze z dochodzeniówki. Znał takich, gdy jeszcze robił w straży miejskiej. Kurwy, złodzieje i gwałciciele to ich domena.

Przybyła ekipa była nieliczna, ale jakże doborowa. Do kompletu brakowało tylko faceta z drogówki.

– W czym mogę pomóc? – zapytał ostrożnie.

– Firma Black Point. – Tajniak przyjął na siebie rolę rzecznika. – Chcieliśmy się tam rozejrzeć.

– A oni o tym wiedzą?

– Nie, i lepiej, żeby tak pozostało do końca.

Miciński skrzywił się.

– O co chodzi? – Tajniak zbliżył się o parę centymetrów.

– Firma znajduje się na ostatnim piętrze, a ten bałagan na dole, jakiego panowie są świadkami, to skutki wypadku, do którego tu dzisiaj doszło. Proszę sobie wyobrazić, że urwała się winda. Właśnie czekam na ekipę naprawczą.

– Dziś?

– Tak. Parę godzin temu.

– Ciekawe.

– A co w tym ciekawego? Wada materiału. Komisja powypadkowa powie panu to samo. Na razie

pozostałe windy zostały unieruchomione do odwołania. Panowie wiedzą, co to oznacza?

Młodzieńcy jęknęli, urzędnik z teczką popatrzył na Micińskiego jak na robaka, którego należy rozdeptać, a gliniarze parsknęli śmiechem.

– Na piechotę?

– Nic nie poradzę. – Miciński nie zamierzał łamać ustalonego przez zarząd zakazu. – Nie ja jestem tu szefem. Jak nie można, to nie można. Kierownictwo pojedzie mi po premii, jak zacznę kombinować.

– Pan oczywiście idzie z nami.

– Tylko po co? – Wizja wdrapania się na sam szczyt biurowca potrafiła zniechęcić kogoś o wiele bardziej wysportowanego od Micińskiego. Najpierw wejść, potem zejść, a w międzyczasie nie wiadomo, co się stanie.

– Wskaże pan drogę. – Facet z wywiadu wyglądał na kogoś, komu się nie odmawia.

Przez pierwsze trzy piętra dawali radę. Były żarciki i śmiech, potem coraz głośniejsze sapanie, narzekania, przekleństwa i groźby pod adresem zarządu.

Najgorzej radzili sobie najmłodsi. Od razu widać było, jakie z nich cherlaki. Modna wyżelowana fryzura to trochę mało. Na dziesiątym wydawało się, że umrą, a nie dotarli nawet do połowy.

– Przerwa – zarządził prowadzący grupę wywiadowca.

Przystanęli z ulgą. Któryś z policjantów wyciągnął nawet szlugi. Częstował chętnych, lecz nikt nie zdecydował się na szybkiego dymka.

– Kiedyś... – Palacz wypuścił dym ku górze.

– Kolejna bajka z mchu i paproci?

– ...na Rysy wszedłem.

– Chyba w marzeniach.

– Naprawdę. Żona się uparła.

– A ty głupi się zgodziłeś?

– No fakt, po kiego tam drapałem, nie mam pojęcia.

– Czeka, ty przecież już od paru lat jesteś po rozwodzie.

– A jak myślisz dlaczego?

– Nie trzeba było żenić się z alpinistką.

– Z taterniczką chyba, bo alpiniści to po Alpach śmigają.

– A himalaiści po Himalajach.

– To jak się nazywa ten, co chodzi po Andach?

– Skończyliście? – Gość z agencji przerwał radosną wymianę zdań. – Następny postój za parę minut.

Na piętnastym Miciński był spocony jak szczur, oddech zrobił mu się świszczący, a nogi błagały o litość.

Podobno każde piętro w górę to minuta życia dłużej. Większego kłamstwa nie potrafił sobie wyobrazić. Wchodzenie po schodach potrafiło zabić.

– To nieludzkie. – Tyczkowaty szczył, który to powiedział, wydawał się bliski zawалу. Zresztą wszyscy tak wyglądali.

– Zamknij się.

Ochroniarz z podziwem spojrzął na prowadzącego ich faceta. Determinacja godna podziwu.

– Pić mi się chce – westchnął drugi z młodzieńców.

– Piętro wyżej jest odpowiednie miejsce – powiedział Miciński. – Zaprowadzę.

Niektóre z firm dbały o pracowników lepiej od innych, ale wody nie odmawiano nikomu. Rozsiedli się w fotelach recepcji jednej z nich, osuszając szybko plastikowy baniak z wodą. Trochę rozlali, ale nic nie szkodzi, do rana wyschnie. Nikt się nie dowie, co się stało. Personel już dawno poszedł do domu i tylko Miciński miał uniwersalny klucz do większości biur.

– Słyszycie? Winda jedzie – odezwał się starszawy urzędnik o ponurej minie.

– Wydaje ci się.

– Sprawdźmy.

Rzucili się w stronę głównego korytarza.

Urzędas słuch miał doskonały. Jedna z wind faktycznie pracowała. Być może ekipa techniczna chciała sprawdzić mocowania. Biegli zjawiają się dopiero jutro, o ile w ogóle będzie jakieś jutro. Na dole stał tylko jeden radiowóz, a i to bardziej dla dekoracji.

– Nie zatrzymali jej? – zdziwił się ten, który wcześniej palił papierosa.

– Poczekajcie. – Tajniak przyglądał się numerkom nad drzwiami.

Winda wjechała tam, gdzie znajdowały się pomieszczenia Black Pointa, i szybko zaczęła opadać.

Światło na korytarzu zgasło. Zrobiło się ciemno jak w grobie. Nikt nic nie mówił, wszyscy stali jeden obok drugiego, tylko Miciński odstawał od reszty. On nie lubił chodzić w stadzie. Jeżeli na samej górze ktoś wsiadł do windy, to teraz zjeżdżał na dół.

– Zabieramy się z nimi?

Ochroniarz nie widział, kto zadał pytanie, ale atmosfera wyraźnie uległa rozluźnieniu.

Tuż za nim, za drzwiami, znajdował się baniak z resztką wody. Jeśli teraz nie skorzysta, następna okazja szybko się nie trafi. Pies im mordę lizał. Niech robią, co chcą. On kierował się własnymi wytycznymi.

Zawrócił i trochę po omacku sięgnął po plastikowy kubeczek. Jeżeli wypili wszystko, to się zabije.

Poczuł na palcach chłodną strugę. Wystarczy. Kubeczek był pełny. Uniósł go do ust i zaczął łapczywie pić. Prawie kończył, gdy na korytarzu obok rozległy się przytłumione strzały.

Jezus Maria, co się tam wyprawia? Wojna wybuchła czy co?

Zdaje się, że żaden z tych, których prowadził tajniak, nie miał broni maszynowej, a do uszu zastygłego jak słup soli Micińskiego właśnie dobiegały odgłosy serii z peemu.

Zaczął się cofać, bojąc się, że i on oberwie. W kieszeni miał scyzoryk, to trochę mało do obrony.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i wpadł przez nie jeden z chłopaków. Już się nie podniósł, tylko zastygł w groteskowej pozycji, w jakiej dosięgła go śmierć. W panującym mroku Miciński nie dostrzegł wielu szczegółów, zdążył jednak zauważyć, że przed windami doszło do regularnej jatki.

Zaczął uciekać, byle dalej od tego wszystkiego. Nim strzelanina ucichła, zdążył przebiec najwyżej dwadzieścia metrów. Znalazł się w ślepych zaułku obok sekretariatu i gabinetu prezesa. Dobrze, że miał klucz, wyciągnął go teraz i wsunął do zamka, który ustąpił z cichym kliknięciem. Nim znikł w pomieszczeniu, obejrzał się za siebie i o mało nie krzyknął z przerażenia. Zaatakowały ich nie ludzie, lecz... droidy, przynajmniej tak to wyglądało w mdłym świetle latarek. Podobnych cudaków widział w pewnej grze komputerowej, w którą namiętnie grywał syn. Jak się to nazywało, Black Ops? Czy jakoś tak.

A ci u góry to... Black Point, chyba raczej Blackwaters, prywatni kontraktorzy wynajmowani do roboty, gdzie ryzyko utraty życia było bardzo wysokie.

Zamknął drzwi i ponownie przekręcił klucz. Dygotał na całym ciele.

Mostowiak bredził o jakimś Irlandczyku, potem ta winda, a teraz to. Ktoś bardzo chciał, by tajemnice firmy nie wypłynęły na wierzch.

Zacisnął zęby, aż poczuł ból w szczęce. Gdzie tu się schować? Biurko to jego jedyna szansa. Przebiegł przez gabinet i wlaź pod masywny dębowy mebel. Słyszał, jak ktoś szarpie za kłamekę. Sukinsyny sprawdzają poszczególne pomieszczenia. Jeżeli zostanie znaleziony, stanie się z nim to samo co z resztą.

Nie wnikał, w jakim celu ludzie z wywiadu chcieli przeszukać biura Black Pointa. Jakiś powód musiał być.

Miciński doskonale zdawał sobie sprawę z jednego – był nikim, ochroniarzem w bardziej niż średnim wieku, z krótkim epizodem w straży miejskiej, ani szczególnie wysportowanym, ani mądrym, a prawie

zawsze odsuwany na boczny tor przez tych, którym śpieszyło się w wyścigu do koryta. Nie miał o to żalu. Największą ambicją Micińskiego było godnie przeżyć ten czas, jaki został mu dany.

Dziadek brał udział w wojnie z bolszewią w tysiąc dziewięćset dwudziestym, paru wujków nigdy nie spotkał, bo zginęli jeszcze przed urodzeniem Zenona, niektórzy w partyzantce, a jeden w powstaniu. Teraz pewnie patrzą na niego z nieba, zastanawiając się, co robi. Świadomość tego dodała Micińskiemu sił.

Jeżeli ma zginąć, to niech przed końcem dokona czegoś sensownego. Albo nie, ma przeżyć, wypruwając wrogom flaki. W tym przypadku najlepiej, jak powiadomi, kogo trzeba. Wiedział, gdzie trzeba się zwrócić, ale o tym pomyśli później, na razie należało wyrwać się z tej śmiertelnej pułapki, w której się znajdował.

– I mówi pan, że wtedy nadleciał helikopter i zniszczył łódź. – Siwowłosy policjant przyjrzał się siedzącemu naprzeciw mężczyźnie.

– Tłumaczyłem już trzy razy.

– Czegoś jednak nie rozumiem...

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Co to miało znaczyć? – Policjant spojrzął zza grubych szkieleł.

– To był sarkazm, o ile pan aspirant nie zauważył.

Dotarł do tego posterunku na Bielanach zgarnięty przez przypadkowy patrol, lecz zamiast udzielić mu pomocy, niemal od początku piętrzone przed nim trudności.

Jego mundur wyglądał jak łachman, podarty i mokry. Na dodatek legitymacja, która otwierała wszystkie drzwi, gdzieś się zapodziała. Prawdopodobnie ją zgubił. Jedyne, co miał przy sobie, to ten nieszczęsny aparat, którego nie dawało się uruchomić. Pełna wtopa, inaczej tego nie można było określić.

– Ten helikopter to nasz?

– Jak najbardziej.

– I zatopił policyjną łódź z panem na pokładzie?

– Ja wiem, głupio to brzmi.

– Co pan, jako wojskowy, tam robił? Proszę odpowiedzieć, tak będzie nam łatwiej.

– Mam do wykonania tajne zadanie.

Aspirant splótł dłonie na wysokości twarzy i przyjrzał się Osmeckiemu, wydymając usta.

– Jasiu, pozwól tu na momencik! – krzyknął w stronę dyżurki. Po chwili w biurze pojawił się posterunkowy o gabarytach koszykarza.

– Oporny?

– O to chodzi, że nie. Mówi dużo, tylko pieprzy trzy po trzy jak jakiś wariat.

– Panowie, bez żartów – obruszył się pułkownik. – Nie róbcie ze mnie chorego psychicznie. Przecież mówię, jak było.

– Wchodzisz tu, człowieku, i od razu próbujesz rządzić. – Siwowłosy pokręcił głową. – Tylko spójrz na siebie, wyglądasz tak, jakby cię pies wyrzygał. Nie masz przy sobie dokumentów ani niczego, co by potwierdziło twoją tożsamość, a na dodatek próbujesz nam sprzedać bajeczkę o tym, jak szturmowy helikopter latający nad Wisłą rozwaliał łódź. Żadne zgłoszenie o czymś podobnym do nas nie wpłynęło.

– Faktycznie, jak popatrzeć na to z tej strony.

– I co się stało z tym helikopterem?

– Odleciał.

– Tak po prostu?

– Nie jestem wariatem, generał Banach może za mnie poświadczyć.

– A niech mi pan powie, jak się z nim skontaktować? – Pytanie aspiranta niejako podsumowywało wcześniejszą rozmowę.

Może powiedzieć, co chce, a oni i tak nie uwierzą w ani jedno jego słowo.

– Może zrobimy tak, że pojedziemy we wskazane miejsce, a ja pokażę, co i jak. Jestem przekonany, że na brzegu i w wodzie pozostały ślady. Cudów nie ma, ciała na pewno wypłyną, jak nie tu, to w dole rzeki. W końcu chodzi o cztery osoby.

Siwowłosa i posterunkowy popatrzyli na siebie, ciężko wzdychając.

– Teraz, po nocy, będzie nas pan ciągnął nad rzekę, jakbyśmy ważniejszych spraw nie mieli?

– W końcu mówimy o zwłokach pańskich kolegów. – Osmecki spróbował ostatniego argumentu.

– Przykro mi to mówić, ale większość z tego, co usłyszałem, jest, pan wybaczy, mało wiarygodna.

Śmigłowiec, tajne zadanie, człowieku, ocknij się.

– Przecież wiecie, że dziś w centrum doszło do całej serii zamachów. Stoją za nimi nie do końca znane nam siły. Wrogiem może być każdy. Gdy my tak tu sobie rozmawiamy, tam... – palec Osmeckiego wskazał wyjście z komisariatu – nasze państwo walczy o przeżycie.

– Proszę nie dramatyzować.

– Ja wcale nie przesadzam. – Osmecki uniósł się o parę centymetrów.

– Czy ja powiedziałem, że można wstać?

– Ta rozmowa mija się z celem, lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Niby dokąd?

– Poszukać kogoś, kto mnie zawiezie do Centrum Zarządzania Kryzysowego lub pomoże dostać się do pierwszej jednostki wojskowej znajdującej się w okolicy.

– Sam pan przed chwilą twierdził, że część naszej armii się zbuntowała.

– Nie powiedziałem, że się zbuntowała, tylko że wypełnia rozkazy niezatwierdzone przez sztab.

– Na jedno wychodzi.

– Niezupełnie, to dwie odrębne sprawy.

– Najlepiej będzie, jak przeczeka pan u nas do rana.

– Wtedy może być już za późno.

– Na co?

– E tam. – Osmecki machnął ręką. Dalsza rozmowa z tym upierdliwcem prowadziła donikąd.

Przez otwarte okno dobiegł dźwięk motocykla, który zatrzymał się przed komisariatem.

– Jasiu, sprawdź, o co chodzi. – Starszy stopniem policjant skinął na posterunkowego. – My tu sobie z panem pułkownikiem zamienimy jeszcze parę słów.

– Nie bardzo wiem o czym.

– Kiedy ostatni raz przechodził pan badania lekarskie?

– To jakiś żart?

– Wyglądam na takiego, co lubi dowcipkować? – Pobłażliwy uśmiezek znikł z twarzy aspiranta, ustępując miejsca ponurej minie.

– Pańskie pytanie jest co najmniej nie na miejscu.

– To ja decyduję, co tu jest na miejscu, a co nie. Badania, kiedy?

– Okresowe, w zeszłym roku.

– Leczenie szpitalne?

– Nic z tych rzeczy.

– Obserwacja psychiatryczna?

– No wie pan...

– Patrzcie go, jaki delikatny.

– Radzę uważać na słowa.

– Będziesz mi tu podskakiwał? Nie takich jak ty ustawiałem do pionu.

– Nie wątpię. – Osmecki wstał, starając się nie okazać emocji, choć był bliski wybuchu.

– Siadaj.

– Zapamiętam sobie, jak zostałem tu potraktowany.

– Jasiu...

Posterunkowy zjawił się natychmiast z wielkim zwojem papieru przerzuconym przez ramię.

– Odprowadź szanownego pana na dołek. – Siwowłosa starał się nie wypaść z roli.

– Już się robi. – Posterunkowy położył na biurku trzymane materiały i sięgnął po środek przymusu bezpośredniego w postaci pałki.

– Co to jest? – zainteresował się siwowłosa, wskazując na papiery.

– Właśnie przywieźli, odezwa jakaś, do rana trzeba ją rozwiesić wszędzie, gdzie się da, na poczcie, w sklepie i na przystankach.

Osmeckiemu przestało się spieszyć, wyciągnął pierwszą płachtę jeszcze pachnącą farbą drukarską. Była ogromna, z wielkimi czarnymi literami bijącymi po oczach. „Nadszedł dzień próby” – przeczytał pierwsze zdanie.

– O jasna cholera – wyrwało się aspirantowi. – O co tu chodzi?

– Wprowadza się stan wyjątkowy na terenie całego kraju.

– A to z jakiego powodu?

– Padliśmy ofiarą agresji.

– Ktoś nas zaatakował? – Siwowłosa wybałuszył oczy.

– Przecież mówiłem.

– Pan się, panie pułkowniku, tak nie denerwuje i nie bierze zaraz wszystkiego do siebie. Jasiu, co tak stoisz, przynieś koc, bo pan wojskowy pewnie marznie, aha, i skombinuj suche ubranie. Nie uchoździ, żeby ktoś z taką szarżą paradował w łachmanach.

– A co...

– Czy ty głuchy jesteś? Kawy jeszcze zrób świeżej, a my do tej kawusi to po kropelce. – Aspirant zakrzętnął się koło biurka, wyciągając ze środka butelkę i dwa pękate koniakowe kieliszki.

Polał solidnie, od serca.

– No to lu...

Osmecki nie protestował. Nie będzie się wkurzał na gliniarza, bo sam na jego miejscu postąpiłby tak samo.

Pierwszy łyk rozniecił w nim ledwo tłący się płomyk. Po drugim przyszło ukojenie.

– Jeszcze po jednym?

– A lej pan.

– Od razu widać, żeś pan ze starej szkoły.

Przypili.

– Co my właściwie mamy robić, pułkowniku?

– Na początek wezwać pozostałych funkcjonariuszy, a przy okazji zabrać tego, ile się da, żeby dwa razy nie latać. Jeżeli są tu jacyś urzędnicy z rady dzielnicy, mają stawić się w miejscu pracy i zabezpieczyć wszystkie druki, pieczętki, akta... – Myśli Osmeckiego galopowały w szaleńczym pędzie. W całym tym zamieszaniu, jakie panowało, armia sama nie da sobie rady. Banach dobrze pomyślał, społeczeństwo nie może pozostać na uboczu i przyglądać się, jak kraj jest rozrywany na strzępy.

– Macie tu syrenę alarmową?

Siwowłosa podrapał się po głowie.

– Kiedyś była.

– Szlag.

Posterunkowy, który właśnie pojawił się z dzbankiem parującej kawy, zmarszczył brwi.

– A dzwon się nada? – Zadał pytanie, po którym Osmecki znieruchomiał.

– Jaki dzwon?

– Normalny, kościelny.

Ten chłopak miał głowę na karku, nie chodziło o konkretny sygnał, lecz o impuls do działania.

– Nawet lepiej.

Wypadli pędem przed komendę, wsiedli do samochodu i z rykiem silnika ruszyli w stronę najbliższej parafii.

– Czy to dobry pomysł? – koniecznie chciał wiedzieć aspirant.

– Najlepszy, o jakim dzisiaj słyszałem.

Posterunkowy prowadził brawurowo. Parę razy o mało nie doprowadził do kolizji. Osmecki mocno trzymał się uchwytu, nie chcąc nabić sobie paru kolejnych guzów.

Na plebanii panował ruch. Widzieli światło w oknie i krzątających się wiernych. Trafili na spotkanie. Doskonale. Rozmowa przy świadkach miała swoją wymowę. Na widok dwóch mundurowych i trzeciego w odzieniu mocno niekompletnym ludzie zdębieli.

– Czy możemy rozmawiać z proboszczem?

– Eee... to ja. – Zza pleców zdeorientowanej gromady wyszedł tęgi, rumiany mężczyzna lat około siedemdziesięciu. – Co to za najście? Panowie mają nakaz? Muszę powiadomić kurię.

– To pański telefon działa?

– Tak. – Zdziwił się proboszcz. Jego rumiane oblicze wyraźnie odcinało się na tle białych ścian. – Mówiono mi o kłopotach, ale nasza linia działa bez zarzutu.

– Uratował mi ksiądz życie.

– Ja? Przecież niczego nie zrobiłem.

– Później wytłumaczę, a tu, proszę, niech ksiądz patrzy. – Jedna z odezww powędrowała do duchownego.

Proboszcz poszukał okularów, wsunął je na nos i zaczął czytać.

– Mater Dei, to przecież... Ja chyba śnię. Trochę słuchaliśmy radia, ten atak na pana prezydenta, ale żeby aż tak? Właśnie odprawiłem mszę w tej intencji.

– Możemy to wywiesić na drzwiach kościoła?

– Oczywiście.

– Mamy tego sporo. – Osmecki wskazał na rulon trzymany przez posterunkowego. – Trzeba tym okleić okolicę, a nam brakuje rąk do pomocy. Na wezwanie księdza na pewno znajdą się chętni.

Wahanie trwało ułamek sekundy.

– Dołożę wszelkich starań.

– Będę miał jeszcze jedną prośbę...

Sprawy układały się najlepiej, jak tylko mogli sobie wyobrazić. Za kilkanaście lat operacja „Rozpruwacz” będzie wzorem dla podobnych działań na całym świecie.

Omotali polaczków tak, że bardziej już się nie dało, kontrolując wszystkie łącza, jakimi posługiwała się polska armia i siły bezpieczeństwa. Można powiedzieć, że trzymali w garści wszystkie argumenty.

Zabawne było obserwować, jak poszczególne oddziały i grupy taktyczne wykonują ich rozkazy, a nie przesłane przez polskie dowództwo. W razie wyższej konieczności wystarczyła krótka informacja i cała brygada mogła rozprawić się z inną, która nawet nie wiedziała o istnieniu tej pierwszej. Jak na razie nie było potrzeby uciekania się do tak drastycznych rozwiązań, ale kto wie, co przyniesie kolejny dzień.

Co najmniej kilku generałów i pułkowników oraz liczne grono majorów na pewno nie pogodzą się ze zmianami. Jeżeli nie zrozumieją, że stara władza odeszła w przeszłość i nigdy już nie wróci, tym gorzej dla nich. Wyeliminuje się ich w pierwszej kolejności, i to bez zbędnego sentymentu. Na wojnie nie można

kierować się litością, bo litość może się obrócić przeciwko tobie.

W sztabach znajdowało się dość amerykańskich agentów, by wyegzekwować posłuszeństwo. Jak Polacy się nie podporządkują, to trudno. Tak stało się z tym wścibskim pułkownikiem, przydupasem Banacha, który zaczął węszyć nie tam, gdzie trzeba. Bystry był, to należało przyznać, cholerny bulterier szefa wywiadu, lecz i on dotknął w końcu sprawy, która go przerosła. Rybki już go oskubują.

Eliminacja Osmeckiego okazała się najprostszą rzeczą pod słońcem. Ściągnięto jeden ze śmigłowców z jednostki odbywającej szkolenie pod Toruniem i przekazano pilotowi, że na łodzi znajduje się grupa uzbrojonych i niebezpiecznych terrorystów. Nikt nie zadał dodatkowych pytań. Rozkaz to rozkaz. Na ppk nie ma mocnych. Dla 13 Półflotyli oczyszczono przedpole. Chłopaki mogą dostać się do samej Warszawy przez nikogo nie niepokojeni. Grupa komandora Lawrence'a Nyanzale stanowiła jednocześnie wsparcie i asekurację, jakby coś poszło nie tak.

W wypadku, gdyby komuś zaświtał w głowie pomysł ataku na Pałac Prezydencki, odwrót w stronę Wisły wydawał się idealnym rozwiązaniem. Uciekać zresztą nie musieli daleko, bo od północy nadciągała 30 Brygada Pancerna składająca się prawie bez wyjątku z zaufanych żołnierzy. Butler świetnie to wymyślił. Z tak potężną grupą uderzeniową nikt nie zadrze. Tam nie znajdowali się zdezorientowani oficerowie, tylko świadomi sytuacji spiskowcy. Z ostatnich doniesień wynikało, że czołówki brygady docierały już do Radzymina, za godzinę będą w Markach, a jutro, najdalej pojutrze, wkroczą do Warszawy, zaprowadzając spokój po zamieszkach, które wybuchną jeszcze tej nocy. Nie było co się spieszyć. Niech mieszkańcy stolicy odczują, co to znaczy chaos i bezprawie. Do kompletu dorzuci się parę bomb i serię podpaleń. Apokalipsa w pełnym wydaniu, a wszystko przy obiektach kamer prywatnych stacji telewizyjnych. Jak zwykle powie się, że Polacy nie dorośli do demokracji i zamiast państwa prawa i porządku jest tradycyjna polska anarchia. Przecież każdy widzi, czy to w Londynie, czy to w Moskwie, nabierze się na takie obrazki.

Za parę godzin w wyznaczonych punktach zaczną lądować oddziały desantowe z Alaski i rozpocznie się przejmowanie całej infrastruktury, kluczowych obiektów i wyłapywanie tych, o których wiadomo, że na żadne zmiany się nie zgodzą.

Przecież sami tego chcieliście – naszej armii, naszych wiz i naszego sposobu życia. Polska pięćdziesiątym drugim stanem. Proszę, marzenia się spełniły. Już nikt na was nie napadnie. Zostaliście przyjęci na zupełnie nowych warunkach. Unia do lamusa. Strefa zgniotu pomiędzy Wschodem a Zachodem stanie się strefą złotego interesu. Po okresie konsolidacji i wymiany kadr siłom zbrojnym tego nowego tworu państwowego nikt nie sprostą. Obojętnie, jak zostanie on nazwany, i tak pozostanie terytorium zależnym, przyczółkiem czy też niezatapialnym lotniskowcem.

Pewne problemy wynikną na pewno z oddziałami, które znajdowały się na wysuniętych rubieżach, na Węgrzech, w Rumunii czy na Ukrainie. Tam agenci i grupy prowadzone przez Tony'ego Butlera nie były tak silne jak tutaj.

Co się stanie z 12 Brygadą? Stacjonowali na Węgrzech, pod Debreczynem. Na wieść o przewrocie mogą chcieć powrócić do kraju. Jeden związek bojowy wiele nie zdziała, ale w sumie cały korpus ekspedycyjny liczył cztery brygady i kilkanaście mniejszych oddziałów, od sekcji snajperskich po samodzielne pułki. Zebrane razem mogą narobić sporego bigosu.

W końcu by sobie z nimi poradzono, ale cena byłaby wysoka. Niech już lepiej pozostaną tam, gdzie są, i przejdą na łaskawy garnuszek tych państw, które nie mogą się bez nich obejść.

Czy to nie zabawne? Stanie się z nimi to samo co z Amerykanami w Polsce. A podobno historia nie lubi się powtarzać.

Cyrus Parker podszedł do okna i przyjrzał się pustej ulicy. Intuicyjnie wyczuwał zgromadzone w mroku ludzkie masy. Jutro warszawiacy dostaną prawdziwy powód do zmartwienia. Przemówienie, które wyemituje rano telewizja, przygotowano już wcześniej. Aktor ucharakteryzowany na obecnego prezydenta zrzeknie się pełnionej funkcji i ogłosi termin przyśpieszonych wyborów.

Ciekawe, jak wiele osób pozna się na mistyfikacji? Urzędujący prezydent na propozycję wystąpienia w tym show zdecydowanie odmówił. Szkoda. Temu baranowi pewnie wydawało się, że jest wielkim przywódcą politycznym. Niewątpliwie przejdzie do historii, ale jako najbardziej nieudolny prezydent w dziejach tego kraju.

Z bardzo daleka do uszu Parkera dobiegł niepokojący dźwięk, którego początkowo nie potrafił skojarzyć. Odgłos trochę przypominał burzę, a trochę wibrujący huk strzelającej armaty. Nieważne, byle tylko Yvonne nie stało się nic złego.

Nie chciał się przed sobą przyznać, ale trochę za nią tęsknił. Nawet więcej niż trochę. Od kiedy się rozstali, nie miał od niej żadnych wieści. Ripley na ten temat milczał jak zaklęty.

Przecież nie wciśnie się na linię i nie poprosi o informacje, gdzie też przebywa panna Yvonne.

Irytujący hałas sprawił, że powoli tracił cierpliwość. To nie grzmoty, tylko kościelne dzwony. Ich odgłos niósł się nad miastem, nie pozwalając skupić myśli.

O co, do diabła, chodzi tym przeklętym polaczkom tym razem? Mało mają kłopotów, nieszczęść i porażek?

Parę osób z grupy uderzeniowej podobnie jak i on podeszło do okien. Zdaje się, że teraz huczały wszystkie dzwony w całej stolicy, ich odgłos nie cichł, wprost przeciwnie – nabierał mocy.

Najgorsze było to, że kompletnie nie mogli nic z tym zrobić. Wydawało się, że kontrolują wszystko, a tu taka niespodzianka.

Nie bała się, że zgarnie ją pierwszy lepszy policyjny patrol. Operatorzy Ripleya na pewno odciągnęli wszystkie radiowozy daleko stąd. Najbardziej martwił ją przestrelony bok, z którego wciąż sączyła się krew, i ogólny wygląd. W tych szmatach, które miała na sobie, i z owiniętą gębą na pewno budziła postrach. Starła się nie rzucić w oczy, lecz nie zawsze się udawało. I choć szła opłótkami, to co chwila na kogoś się natykała, a to na człowieka, który właśnie wyprowadzał psa, a to na gromadki młodzieży skupione przy blokach. Takiej nocy wielu przecież nie uśnie.

Znalazła ławkę pod śmietnikiem i usiadła, by zebrać siły.

– Czego tu? – Z cienia wyłonił się dziadyga w znoszonym płaszczu i z długą siwą brodą. Śmierdział przeraźliwie. – Moje miejsce.

– A gdzie to napisane? – zdziwiła się.

– Mówić nie umiesz?

– Jak fidać.

– Kto cię tak urządził, nasza służba zdrowia?

– Zli luzie.

Menel wyjął z kieszeni płaszcza opróżnioną do połowy butelkę najtańszego wina i podał Yvonne.

– Pij.

Nie odmówiła. Nawet przestała się brzydzić. A co tam, pociągnęła solidny łyk. Nie było tak źle. To może nie z francuskiej czy kalifornijskiej winnicy, ale całkiem, całkiem. Była moc i smak.

– Posuń się, dziecko.

Yvonne przesunęła się kawałek. Śmietnikowy wycieruch przyjrzał się dokładniej siedzącej obok mumii.

– Uciekłeś ze szpitala? Wypić nie było co? Nic się nie przejmuj.

– Daj płasc.

– Co takiego?

– Płasc, dafaj.

– No nie...

Cios kantem dłoni w krtań sprawił, że menel stracił przytomność i osunął się z ławki bez jednego stęknienia. Dobrze, że wcześniej butelkę postawił na chodniku, inaczej szkło poszłoby w drobny mak.

Yvonne z trudem wstała i pochyliła się nad nim. Oddychał, choć ledwo. Nie chciała go zabić. Potrzebny był jej tylko jego płaszcz. Pidżama za bardzo rzucała się w oczy.

Z jednym rękawem poszło łatwo, z drugim już nie. Pijaczyna był chudy, ale ona nie miała sił. Przewracanie bezwładnego cielska przychodziło jej z dużym trudem. Nim uporała się z prostą w końcu czynnością, zabrakło jej tchu.

Jakiś przechodzień pojawił się tuż obok, ale widząc, co się dzieje, szybko się oddalił. Pewnie wziął ich za parkę, której lepiej nie przeszkadzać.

Yvonne w końcu wciągnęła kapotę na siebie i postawiła kołnierz. Całość za duża o parę numerów nawet dla kogoś o znacznej tuszy, dół majtał się jej tuż przy kostkach. A nie tak dawno marzyła o eleganckim płaszczyku od Chanel. Z jej gardła wydobyło się żalosne rżenie. Śmiała się przez zaciśnięte zęby. Jeśli puszcza szwy na twarzy, nie pozostanie jej nic innego, jak wrócić do szpitala na Barskiej.

Na razie potrzebowała innego lekarstwa. Sięgnęła po butelkę i osuszyła ją do dna. Nie jadła nic od czasu wizyty na dworcu, można powiedzieć, że kiszki grały jej marsza. Alkohol szybko dostał się do krwiobiegu.

Znalazła torebkę i smartfona. Jest i słuchawka.

– Rylej słysys mnie?

Cisza.

– Rylej? – powiedziała znacznie głośniej.

– ...cię.

– Gdzie mam się kierować.

– ...ieście metrów prosto.

Ruszyła tak szybko, jak potrafiła, otulając się brudnym, śmierdzącym łachem, który zabrała poszukiwaczowi surowców wtórnych.

Gdzie ją teraz skierują? Na pewno nie na akcję. Ledwo żyje. Zgubiła broń.

Ulica. Jest i samochód. Wyszła na jezdnię i zaczęła maszerować w stronę zbliżających się świateł. Wóz zahamował kilkanaście metrów przed nią, boczne okienko zjechało w dół i pojawiła się w nim głowa i ramiona wkurzonego młodzieńca.

– Życie ci, kurwa, niemiłe?

Szła dalej jak bawół, który trąca wszystko na swojej drodze.

– Mówię niewyraźnie, śmieciu jeden? – Nadmiar testosteronu nie pozwolił kierowcy znieść zdarzenia ze spokojem. W końcu ktoś musi pokazać jednemu z drugim, kto tu rządzi na dzielnicy.

Koleś wyskoczył zza kierownicy. Czarny podkoszulek na ramięczkach podkreślał muskulaturę.

– Tak ci przypier...

Nawet się nie zorientował, kiedy przeleciał nad obrzępiałą, którego chciał wprasować w asfalt.

– Och...

Uniósł głowę. Niepotrzebnie. Podeszwa buta Yvonne trafiła w twarz, potylicą stuknęła o podłogę. Chłopak nie stracił przytomności, choć zaczął ruszać się znacznie wolniej. Z nosa na policzki pociekła krew. Mocno pracował powiekami, chcąc odzyskać ostrość widzenia. Jeszcze się nie zdarzyło, aby został sponiewierany przez takie chucherko. Tylko po co ten gościu obwinął sobie głowę bandażem? To jakieś wygłupy, kumple wynajęli mistrza aikido i teraz pękają ze śmiechu.

Usiadł, ale tylko po to, by zaraz przewrócić się po uderzeniu kolaniem w ucho.

Yvonne zrobiła duży krok i przeszła nad bezwładnym już ciałem. Samochód okazał się wypasionym jeepem grand cherokee. Jej było wszystko jedno. Kluczyki w stacyjce. Z głośników rozbrzmiewała jedna z oper Verdiego. Dresiarz meloman? Jak widać, nie wszystko szło w złym kierunku.

Rozejrzała się po wnętrzu. Tym razem nie chciała zabierać pasażera. Wszystko grało. Wrzuciła bieg. Jeep ruszył z piskiem opon.

Yvonne się odbiło. Wypity alkohol nie przyjął się do końca. Żołądek podjechał jej do góry, a strużka pryty pociekła po brodzie.

Kolejna fala nudności była o wiele mocniejsza. Poszło na kierownicę i deskę rozdzielczą. Zagapiła się na prędkościomierz. Ta osiemdziesiątka na liczniku to kilometry czy mile?

Na uniknięcie kolizji z yarisem, który wyjechał z lewej strony, zabrakło czasu i miejsca. Oba pojazdy zderzyły się z głośnym hukiem. Jeep okręcił się dookoła własnej osi. Yvonne poleciała na kierownicę, miażdżąc przy okazji smartfona, którego położyła na podolku.

Jeszcze przez krótką chwilę pozostawała świadoma. Zdaje się, że należało wysiąść i dalej uciekać piechotą. Nawet sięgnęła do klamki, lecz jej ramię bezwładnie opadło tuż przy fotelu.

Odpłynęła, nim dotarły do niej pierwsze dźwięki dzwonu z kościoła przy placu Narutowicza. Może to i lepiej, bo w stanie, w jakim się znajdowała, bliżej jej było do śmierci niż do życia.

Miciński poczekał, aż do jego uszu przestaną dochodzić niepokojące szmery. Wiedział, że z tymi gośćmi nie ma żartów. Lepiej wyjść z ukrycia pięć minut później niż o minutę za szybko.

W końcu zdecydował się na działanie. Wyczołgał się spod biurka i na paluszkach ruszył w stronę drzwi, przyłożył do nich ucho. Nic, cisza. Pocił się i drżał cały, ale co tam, nikt nie żyje wiecznie. Sięgnął po uniwersalny klucz i wsunął go w zamek. Kliknięcie wydawało się głośne ponad wszelką miarę. Jeżeli ktoś stał na korytarzu, musiał je usłyszeć. Trudno.

Nacisnął klamkę i nieznacznie uchylił masywne, drewniane skrzydło. Na zewnątrz panowały ciemności, a jedyna czerwona żarówka oświetlenia awaryjnego pozwalała się zorientować, gdzie znajdują się windy i schody ewakuacyjne.

Żałował, że nie ma dwudziestu lat mniej. Problemów ze stawami kolanowymi nabawił się później. Bolały, gdy próbował iść w przysiadzie. Z tą przypadłością już niewiele dawało się zrobić.

W tej części piętra panował względny porządek, pierwsze zwłoki leżały kawałek dalej. To był jeden z tych luzaków, których przyprowadził ten facet z wywiadu.

Miciński zastanowił się, kim mógł być ten szczył. Na pewno nie agentem. Komputerowiec albo, co bardziej prawdopodobne, haker. Walenie w klawisze przychodziło takiemu z większą wprawą niż walenie po mordzie.

Ostrożnie, niczym złodziej na robocie, wychylił się i spojrzął, czy przypadkiem któryś z najemników nie stał na straży przy windach.

Nie dostrzegł nikogo. Przesunął się wzdłuż ściany, gotowy przywrzeć do niej w razie potrzeby.

Dalej ciała leżały jedno przy drugim.

– Wieczne odpoczywanie... – mimowolnie wyrwało się Micińskiemu.

Parę litrów krwi wchłonęła wykładzina. Tych ludzi rozstrzelano, nie dając szans na ucieczkę.

Policjanci, urzędnik, drugi z hakerów i ten, który ich tu przyprowadził, spoczywali w odległości najwyżej pięciu metrów od siebie. Tyłu martwych to on nie widział nigdy w życiu. Każdy z nich miał rodzinę, niektórzy na pewno żony i dzieci.

Zwłok nie uprzątnięto, co świadczyło o tym, że sprawcy nie obawiali się policji. Kiedy pojawi się pierwsza zmiana, wszystko się wyda, ale oni mieli to w dupie. Uznali pewnie, że na najwyższym piętrze są nie do ruszenia.

Nie chciał się teraz nad tym zastanawiać, zna takich, którzy będą wiedzieli, co z tym zrobić.

Ruszył w kierunku schodów ewakuacyjnych, gdy przypomniał sobie o jednej sprawie. Jego telefon był do niczego, a aparat tego gościa z wywiadu na pewno działał bez zarzutu. To przecież zupełnie niezależny system, przynajmniej tak twierdził jeden z kumpli Micińskiego z dawnych lat. Nie istniał

powód, by mu nie wierzyć.

Na ile potrafił, przejrzał kieszenie martwego agenta. Szybko nabrał obrzydzenia do samego siebie, czuł się jak cmentarna hiena i gdyby nie wyższa konieczność, już więcej nie popatrzyłby sobie w oczy przy goleniu.

Na podobny do telefonu przedmiot natrafił w bocznej kieszeni marynarki. Dokładnie się nie przyglądał, tylko wytarł o ubranie i wsunął do własnej. Któryś z nich musiał mieć broń, ale tutaj złudzeń nie miał. Ze strzelaniem nie było u niego najlepiej, tym zabijakom z góry na pewno nie sprosta.

Musiał się pospieszyć. Jeśli za dziesięć minut nie znajdzie się na zewnątrz, zostanie tu na zawsze.

Ochota Tower nagle skojarzyła się Micińskiemu ze „Szklaną Pułapką”, tylko że on nie był Bruce'em Willisem, a zwykłym ciecikiem.

Przedostał się na schody i rozpoczął wędrówkę w dół. Gdy dotrze na parter, spróbuje zatelefonować. Jeśli odbiorą, on już narobi takiego rabanu, że od razu przyślą tu pół armii.

Z drugiej strony, ci na górze to też nie debile. Mają tam całą masę elektroniki. Kto mu zagwarantuje, że aparat zaloguje się w najbliższym przekaźniku, a nie u tych z Black Pointa? Lepiej, jeśli się wstrzyma. Pięć minut go nie zbawi. Ostrożności nigdy za wiele.

Na najwyższym piętrze Ochota Tower panowała absolutna cisza. Trzydziestu informatyków, hakerów, speców od łączności i kontroli potrzebowało do pracy jedynie komputerów i spokoju. Oni pracowali głowami, a nie mięśniami, tak jak drużyna bojowa, która ich ubezpieczała. Było wśród nich jeszcze paru techników, ale ci z kolei zajmowali się głównie utrzymaniem porządku i mniej – odbierali telefony, wynosili śmieci, dokonywali drobnych napraw. ważnymi zajęciami Pracy było naprawdę dość.

Całością dowodził George Lambert. Jak mówili o nim podwładni, wybitny specjalista, ale też kanalia i menda.

Lambert skończył West Point z wyróżniającym wynikiem i objął dowodzenie plutonu w 3 Dywizji Piechoty podczas inwazji na Irak w 2003 roku. Szybko okazało się, że chaos pola bitwy znacznie odbiega od sterylnej czystej sali wykładowej czy chociażby poligonu.

Zdolnego porucznika pod swoje skrzydła przygarnął generał Tony Butler, wprowadzając w świat wojny, ale tym razem wirtualnej. Tu nie doświadczało się cierpienia, brudu i zamieszania, ale wprowadzało dane, a czarną robotę wykonywały drony lub grupy bojowe, którym przekazywano rozkazy. Wszystko, co robili, można było sobie poobserwować na ekranie. Szerokopasmowe łącza dawały świetny obraz. Śmierć na zimno tak bardzo nie raniła uczuć. Działał tu ten sam mechanizm, który kazał wierzyć pilotowi samolotu szturmowego, że zrzucane przez niego bomby zmasakrują zawziętych wrogów, a nie przypadkowych cywili.

Zespół Lamberta robił to samo, ale na znacznie większą skalę. Jeden z operatorów prowadził batalion pancerny 10 Brygady wprost w objęcia śmierci. Jednostka składała się w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach z Polaków i tylko resztę stanowili Amerykanie. Oficer, który nią dowodził, musiał zostać wyeliminowany. Profil psychologiczny, a także wszelkie informacje, jakie zostały o nim zebrane z portali społecznościowych, otrzymywanych i wysyłanych e-maili, wydawanych opinii, programów telewizyjnych, które oglądał, i stron internetowych, na jakie wchodził, wyraźnie wskazywały, że to zatwardziały nacjonalista i szanse, że zaakceptuje nowy ład społeczny, równały się zeru. Na dodatek był na tyle charyzmatyczny, że mógł pociągnąć za sobą innych. Wkrótce F-16 zrzuci na zgrupowanie bomby paliwowo-powietrzne i cały batalion zostanie wymazany ze spisu jednostek. Nie będzie rozmów i prób negocjacji. Zginą wszyscy, nie wiedząc nawet, co ich zabiło. Śmierć Amerykanów to straty uboczne. Przykre, ale konieczne.

W całych siłach zbrojnych zaplanowano więcej takich rozstrzygnięć. Reszta bez przywódców stanie

się stadem baranów.

Najwyżej godziny dzieliły operację od wejścia w finałową fazę. Cudownie było obserwować, jak przeciwnik miota się, nie wiedząc, co jest grane. Jedyne poważny problem, którego nie potrafiono rozwiązać, to sprawa z Banachem. Najpierw spóźnił się na poranne spotkanie, a później umknął ludziom z JSOC, zaszywając się w Centrum Zarządzania Kryzysowego. Walnięcia bombą w centrum czy sztab raczej nie planowano. Zrównano by z ziemią od razu pół dzielnicy. Czegoś podobnego Polacy nie przełkną.

Banach w końcu zaczął się czegoś domyślać. Stąd te ekipy, które wysłał do sprawdzenia firm telekomunikacyjnych w Warszawie i okolicach. U nich zjawili się prawie na samym końcu. Zabawni byli, czterech frajerów i dwóch młodzików, jeden z nich, niejaki Marczewski, okazał się całkiem bystrym gościem, przed którym, gdyby stanął po właściwej stronie, rysowała się świetlana przyszłość, ale trudno, nie można mieć wszystkiego. O tym elektryku Mostowiaku już prawie zapomnieli. Zaplątał się chłopina w sprawy, które go przerastały, to i został odesłany do wieczności. Przeżył upadek windy, ale nie ominęła go kula Yvonne. Ona sama gdzieś przepadła i nie dawało się z nią nawiązać kontaktu.

Najbardziej irytował Lamberta fakt, że miał do dyspozycji za mało ludzi. Potrzebował nie trzydziestu, ale co najmniej dwa razy więcej. Ci tutaj byli przepracowani i niestety zaczęli popełniać błędy. Rozumiał ograniczenia i pośpiech, choć trzeba się było postarać bardziej, a wykrety o nagłych terminach można było wyrzucić do kosza. Lambert nie znosił pośpiechu. Dochodziło wówczas do pomyłek, a stąd już tylko krok do fiaska operacji.

Następnym razem...

Jeden z operatorów podniósł rękę i przywołał pułkownika.

– O co chodzi?

– Mogę namierzyć wszystkie telefony używane przez polski wywiad.

– Wiem. I co z tego?

– A to, panie pułkowniku, że ten konkretny aparat należy do człowieka nazwiskiem Tokarczuk, który próbował się nam dobrać do skóry pół godziny temu i choć teoretycznie jest martwy, to w jakiś sposób aparat zmienia położenie.

Lambert przyjrzał się wyświetlanemu na ekranie schematowi biurowca. Czerwona kropka wyraźnie wędrowała w dół. Asy z JSOC schrzaniły robotę. Tokarczuk przeżył, a teraz próbował wydostać się na zewnątrz.

– Rzuć to na kamery.

– W pobliżu nie ma żadnej.

Lambert machnął na czteroosobową sekcję czekającą w pobliżu. Tym razem muszą postarać się bardziej.

– Już jest...

Obraz z holu był zamazany i jakiś taki ziarnisty. Jak na razie nie dawało się rozróżnić zbyt wielu szczegółów. W końcu z cienia wyskoczyła przygarbiona postać. Lambert od razu się zorientował, że to nie Tokarczuk.

– Pokaż się, draniu.

Człowiek przemykał od filaru do filaru. Na pewno wiedział o kamerach i nie chciał ryzykować. W końcu znalazł się w takim miejscu, że musiał wychylić się i wyjść wprost na obiektyw jednej z nich.

– Mam go.

– Powiększ.

Zdjęcie zostało wykonane i ukazało się w lewym górnym rogu ekranu. Identyfikacja trwała ułamek sekundy. Zenon Miciński, ochroniarz. Ekipa sprzątająca przeoczyła jednego człowieka. Nic tego nie mogło usprawiedliwić. Policzy się z nimi później, na razie należało dokończyć rozpoczętą robotę.

Od szerokich, rozsuwanych drzwi dzieliło Micińskiego kilka metrów. Zebrał się w sobie i pośpiesznie ruszył do przodu. Po prawej znajdował się panel sterowniczy. Otworzył skrzynkę i ustawił przełącznik w tryb „on”. Wystarczyło podejść, a szklane tafle rozjadą się na boki.

Stanął w miejscu, które powinno być w zasięgu czujnika. Nic. Zrobił krok w prawo, potem w lewo, w przód, w tył. Efekt ten sam. Powtórzył wszystko jeszcze raz. Dioda świeciła na czerwono. Jak to możliwe? Gdy ją ustawiał przed momentem... Wiedzieli o nim. Może kręcić przełącznikiem, ile chce, a drzwi i tak się nie rozsuną. Wydawało się staremu durniowi, że tak raz-dwa wszystko pójdzie jak po maśle.

Zgrzytnął zębami. Nie pozwoli zrobić z siebie wała. Obok znajdowała się skrzynka przeciwpożarowa z węzem strażackim, podręczną gaśnicą i małym toporkiem.

Musi jak najszybciej wyrąbać sobie drogę na zewnątrz, inaczej zginie. Z energią, jakiej nawet u siebie nie podejrzewał, rzucił się w kierunku przeszklonych płaszczyzn. Zamach, uderzenie i ból w nadgarstku, gdy ostrze odbiło się od hartowanego szkła.

A pierdolić to wszystko.

W kolejne uderzenie włożył maksimum siły i ku swojemu zaskoczeniu przebił się na zewnątrz. Otwór był co prawda nieduży, ale bez problemu dawało się go powiększyć. Za chwilę zjawia się tu ci popaprańcy, więc nie było co zwlekać.

Parę kolejnych uderzeń i szybkie zerknięcie przez ramię. Na razie nie dostrzegał niczego podejrzanego. O niczym to jednak jeszcze nie świadczyło. Ci dranie mogli podkraść się do niego na parę metrów, a on nie będzie o tym wiedział.

Machał teraz toporkiem systematycznie jak drwał, wybijając sobie drogę do wolności. Na koniec chciał kopnąć w potrzaskaną taflę, lecz w ostatnim momencie cofnął nogę. To nie był najlepszy pomysł. Lepiej, jak przywali gaśnicą.

Mały odskok i już trzymał ją w garści. Pięknie...

Usłyszał windę zatrzymującą się w holu. Czyżby miał zdechnąć tu, u progu wolności?

Wyrwał zawleczkę i nacisnął na dźwignię. To była porządna gaśnica, a nie jakieś tam samochodowe barachło. Hol momentalnie wypełnił się białym oparem. Sam Miciński zrobił parę kroków do tyłu i w końcu całą masą własnego ciała skoczył na mocno już osłabioną taflę, ginąc na chwilę w chmurze pokruszonego szkła.

Trudno mu było w to uwierzyć, ale przebił się i znalazł na pogrążonej w mroku Grójeckiej. Nie czekając, aż zaczną go ścigać, pobiegł chodnikiem prosto przed siebie.

– Panie pułkowniku, pan nie przysypia, prawie jesteśmy na miejscu.

– Nie śpię.

– A oczy to się panu same zamknęły.

– Tak mi się lepiej myśli.

Podpułkownik Piotr Halicki stał z twarzy resztki snu, spoglądając przez przednią szybę interwencyjnego pojazdu żandarmerii wojskowej Plasan SandCat 4×4.

Z Mińska Mazowieckiego oddział wyjechał już parę godzin temu i po zrobieniu objazdu przez Piaseczno i Magdalenkę w końcu znalazł się na ulicach Warszawy. Normalnie przejechać się nie dało, a wszystko przez wozy 1 Brygady Pancерnej, które zatarasowały szosę. Halickiemu nie wydawało się, że wyprowadzenie ciężkich wozów bojowych pomoże rozwiązać problem terrorystów okupujących Pałac Prezydencki, choć oczywiście mógł się mylić.

Informacje, które otrzymywał, były szczątkowe i mało precyzyjne. Właściwie to zabrał się z oddziałem tylko dlatego, żeby nie siedzieć sam jak palec w pustej jednostce i nie przekładać papierów. Wciąż czekał na nowy przydział. Pojęcia nie miał, dlaczego trzymano go właśnie tam, obchodząc się z nim jak z jajkiem.

Jeśli jednak tak się głębiej nad tym zastanowić, to chyba po prostu nikt nie wiedział, co z nim dalej zrobić. Czuł się całkiem dobrze, wyrabiał normę pompek i przysiadów, lecz było widać, że podchodzi do tego bez entuzjazmu. W nic się nie angażował na maksa, dobry, ale nie wybitny, sprawny, ale bez zawziętości, jaka cechowała dużo młodszych kolegów. Najlepiej, to przejść w stan spoczynku i urządzić się na emeryturze. Rozwiązanie korzystne dla obu stron. Armia pozbywała się kłopotu, a on zyskiwał wolność. Pytanie tylko: co dalej? Był stosunkowo młody. Dopiero stuknęła mu czterdziestka. Ma siedzieć w domu i gapić się w telewizor czy też uprawiać ogródek? Zupełnie bez sensu. Całe życie przed nim. Otarł się o śmierć, zgoda, ale to jeszcze nie powód, by przejść do cywila.

Na zaproponowane przez Banacha stanowisko instruktora w szkole wywiadu nie chciał się zgodzić. Miał po dziurki w nosie tajnych operacji i wszystkiego, co się z nimi wiązało. Skoro jednak nie to, alternatywą było przerzucanie papierów, sprawy administracyjne, finansowe i kompletne bzdety.

Po pierwsze, to wiedział za dużo. Już zawsze będą go mieli na oku. Telefon będzie monitorowany, a osoby, które spotka, sprawdzane. Należało pilnować go na każdym kroku. Najlepsze, co mogli dla niego zrobić, to zgodzić się na powrót do funkcji, którą pełnił przed wyjazdem na Bliski Wschód. Zaszyje się w Szczecinie i będzie robił, co do niego należało. Jak na razie nie otrzymał jednak wiążącej odpowiedzi, przecież dopiero niedawno zakończył rehabilitację, a pewne sprawy muszą ułożyć się same.

Na ten czas został skierowany do Mińska Mazowieckiego, gdzie bujał się z tamtejszym oddziałem specjalnym. Trochę był w ruchu, a trochę przy biurku, tu strzelnica, tam gazetka i jakoś to leciało.

Aż do dzisiaj. Jak zwykle kraj nie może się bez niego obejść. Dobrze, że na najbliższy weekend nie zaprosił Alicji. Nudziłaby się tylko, kiedy on myślami byłby gdzie indziej.

Nie dało się ukryć, bez niej powrót do zdrowia trwałby o wiele dłużej. Niejednokrotnie myślał o niej jak o kole ratunkowym, które sprawiło, że powrócił do świata żywych. Że też się jej chciało jeździć, zarywać własne projekty i stać przy nim, gdy próbował zrobić pierwszy krok. Była jak opiekuńczy anioł.

– Panie pułkowniku...

– Człowieku, nie krzycz mi do ucha – warknął pod adresem kaprała, który może i był dobrym chłopakiem, ale stanowczo za dużo gadał.

– Niech pan popatrzy.

– Gdzie?

– No tam.

SandCat skręcił bliżej krawężnika, zrównując się niemal z facetem, który z M4 pruł do gościa gnającego zakosami. Na ulicy dawało się jeszcze dostrzec trzech podobnych, wszyscy w cywilnych łaszkach, ale z ochroną balistyczną i w kamizelkach taktycznych na grzbiecie. Na głowach gogle, no i broń maszynowa w rękach. To na pewno nie służby porządkowe, chociaż kto ich tam wie. Sporo się ostatnio pozmieniało.

– Zatrąb na tego palanta.

Dwa krótkie sygnały sprawiły, że mężczyzna znieruchomiał i powiedział parę słów do pałakowatego mikrofonu tuż przy ustach. Z M4 poszła długa seria wprost w przednią szybę SandCata. Halicki odruchowo skulił się na siedzeniu, gdy pociski zagrzechotały na kuloodpornej szybie pojazdu. W środku było całkiem bezpiecznie. Wystrzeliwane z automatu 5,56 mm pociski nie przebiły ani szyby, ani boków chronionych przez kompozytowy ceramiczno-metalowy pancerz.

– Za kogo on się uważa? – Kapral kierowca był tak samo zaskoczony jak i on.

– Spokój.

Tymczasem strzelcowi skończyły się naboje w magazynku. Wyraźnie widać było, jak wyciąga kolejny

i zrećznie wsuwa go do gniazda. Przeładowanie i...

– Staranuj go.

– Co?

– Jedź, kurwa, prosto na niego.

Wóz skoczył do przodu. Wydawało się, że strzelec zaraz dostanie się pod koła, ale nie, na moment przed zderzeniem mężczyzna znikł im z pola widzenia.

Halicki złapał za mikrofon znajdujący się przy desce rozdzielczej. Drużyny w pozostałych SandCatach posługiwały się jakimś kodem, ale on zupełnie wyleciał Halickiemu z głowy. Ten kapitan w drugim wozie to jak miał na imię?

– Krzysiek, widzisz go? – Przypomniał sobie w samą porę.

– Widzę, co to za palant?

– Nie mam pojęcia.

– Co z nim?

– Rozwał go.

– Pańska decyzja.

Jeśli się pomylił, zabiją niewłaściwego człowieka. Ciężar odpowiedzialności spadnie na jego barki, chociaż ktoś z automatem na środku ulicy to raczej nie uczestnik kółka różańcowego.

Mężczyzna, widząc, co zamierzają, rozpoczął odwrót i prawie by się wywinął, gdyby nie załoga trzeciego pojazdu, która rozpoczęła szarżę. Frajer na nogach był bez szans. Uderzenie okazało się potężne. Halicki obserwował, jak strzelec zostaje potrącony i pada na chodnik. Lepiej, żeby żył, może powie coś ciekawego.

Drużyny zaczęły opuszczać pojazdy i niemal od razu rozpętała się ostra strzelanina. Pierwszy z żandarmów padł, nim zdążył przyjąć pozycję strzelecką. Pozostali się zawahali. Wozy dawały znakomitą osłonę, lecz nie można się było ukrywać za nimi bez końca.

– Jedź na nich. – Halicki polecił kierowcy.

Pancerka nabrała rozpędu. Reflektory wyłowiły z ciemności postacie strzelające do jego ludzi. Jedna prowadziła ogień, dwie zmieniały pozycje. Na Grójeckiej wciąż panował spory ruch, a tamci najwyraźniej bawili się z nimi w kotka i myszkę. Aż dziw, że żaden nie został do tej pory rozjechany.

Żandarmi strzelali rzadziej, lecz celniej. Przypadkowe ofiary nie były im potrzebne. Wkrótce napastnik z prawej upadł i już się nie podniósł.

– Stój!

Wóz zahamował, a Halicki otworzył drzwi i kryjąc się za nimi, wymierzył z pistoletu do strzelca znajdującego się najbliżej. Rykoszet poszedł po asfalcie. Nie zwrócił na niego uwagi. Strzelił i spudłował. Przeciwnik odskoczył w bok, na moment kryjąc się za przejeżdżającą furgonetką. Gdy ponownie się ukazał, Halickiemu nie drgnęła ani ręka, ani sumienie. Trzy szybko oddane po sobie strzały dosięgły przeciwnika i cisnęły nim o nawierzchnię ulicy.

Czwarty z napastników gnał, ile sił w nogach, w stronę najbliższej przecznicy.

– Krzychu, łap go.

Jeden z SandCatów wyrwał do przodu. Kierowca przełączył światła na długie. Zrobiło się prawie jak w dzień.

– Świetna robota, panie pułkowniku – odezwał się kierowca.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– Ja o tym...

Postrzelony przez Halickiego mężczyzna zaczął niezgrabnie się poruszać. Halicki wymierzył w niego i zaczął podchodzić.

– Nie próbuj uciekać – powiedział po polsku i zaraz powtórzył to samo, lecz już po angielsku.

Diabli wiedzą, kim ten człowiek może być.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

Brak odzewu o niczym jeszcze nie świadczył. Nim dłonie powalonego zacisnęły się na uchwycie karabinku, Halicki odkopnął automat w bok.

– Głuchy jesteś?

Portoryk albo Meks. W oczach czysta pogarda.

– Na brzuch! – polecił, co zostało zignorowane. Kopniak w takich wypadkach prawie zawsze pomagał.

Tym razem nie musiał się trudzić. Dwóch żandarmów przewróciło mężczyznę i skuło jego dłonie. Ich mocarne łapska uniosły delikwenta do pionu.

– Zabrać go – polecił Halicki. – I zdjąć z niego całe to gównno. Sławek niech go obejrzy. Może ma dziurę w bebeczach.

W ciągu ostatniej minuty ruch na ulicach znacznie osłabł. Nikt rozsądny nie będzie pchał się pod kule.

– Panie szanowny...

Halicki rozejrzał się. Z głębokiego cienia wynurzył się starszawy gość, z którego czoła spływały strumyki potu.

– Rączki, tak żebym widział – polecił intruzowi.

– Nawet pan nie wie... jak się cieszę – wydyszał tamten.

– Dobra – powiedział Halicki lekceważąco. Nie będzie wdawał się w pogawędkę, gdy ma robotę do wykonania.

– Pan pozwoli... że się... przedstawię... – Facetowi brakowało tchu.

– To konieczne? – zapytał z niechęcią Halicki.

Na wszelki wypadek skinął na jednego ze stojących w pobliżu żandarmów, by przeszukał zziąjanego mężczyznę. Gość wyglądał pocziwie, ale co, jeżeli okaże się zamachowcem samobójcą? Nie zdziwi się niczemu.

– Czysty – obwieścił komandos i ustawił się za plecami natręta.

– Proszę mówić, o co chodzi, tylko zwięźle, spieszy się nam.

– Nazywam się Zenon Miciński.

– Aha.

– Pracuję tam. – Dłoń wskazała na okazały gmach nieodległego biurowca. – Ci ludzie to mnie gonili.

– Naprawdę? – Halickiemu wydawało się, że śni.

– Jestem ochroniarzem, a oni pracują na najwyższym piętrze.

Żandarmi znajdujący się w pobliżu unieśli głowy. Wszystkie pietra spowijały ciemności, tylko na najwyższym dawało się dojrzeć niewyraźny blask co najmniej kilku palących się świateł.

– I dlatego pana gonili?

Ten i ów wybuchnął nerwowym śmiechem, adrenalina po niedawnej strzelaninie nie opadła zupełnie.

– Nie, ja chciałem...

– Proszę poczekać. – Halicki obrócił się do podoficera, który właśnie się zbliżał.

– Mamy dwóch rannych, u Czarnego to właściwie tylko draśnięcie. Radwan ma gorzej, łydka przestrzelona na wylot.

– Zabrać ich do szpitala.

– Tak jest, a co z tymi? – Sierżant wskazał na dwóch jeńców i sztywne ciało.

– Poczekajcie, aż wróci kapitan Grabski, i odstawcie... – Sam dobrze nie wiedział gdzie.

– Może do sztabu? – poradził podoficer.

– Tak będzie najlepiej – zgodził się z nim Halicki. – A pan niech się streszcza – zwrócił się do czekającego Micińskiego. – Jest pan ochroniarzem i co dalej?

– Musi pan coś zjeść.

– Nie jestem głodny.

– Od rana na samej kawie? Jestem pod wrażeniem. Tylko jeśli pan osłabnie, proszę mieć pretensje wyłącznie do siebie. – Szefowa bufetu wyglądała na osobę, która wie, co mówi.

– Dobrze, już dobrze. – Banachowi nie pozostało nic innego, jak wybrać jakieś potrawy z menu. – Poproszę pyzy i... Same pyzy jednak wystarczą.

– Rozsądny z pana człowiek.

– Szkoda, że minister tego nie słyszy.

– Jak już się zjawi, to powtórzę, bez obawy. – Wyglądała na osobę, która lubi postawić na swoim.

Pobożne życzenie, jak na razie nic nie zapowiadało pomyślnego zakończenia kryzysu. Odnosili wprawdzie drobne sukcesy, ale nie na tych polach, które wydawały się ważne.

Borzęcki rozgrzebał mózg jakiejś kobiety i doszedł do wniosku, że za wrogów mają cyborgi. Były na to niepodważalne dowody. On z nim spierać się nie będzie. Ani przeszkadzać. Może faktycznie dokonano przełomowego odkrycia?

Ten jeden promyk nadziei nie potrafił jednak przysłonić przykrego faktu, że na wszelkich innych polach panował kompletny zastój. Bielawa i Szczepańska przepadli jak kamień w wodę. To samo dotyczyło zresztą i Osmeckiego. Wysłał go z prostą misją, a ten rozpląnął się... może już... tfu, nie można tak myśleć.

Byli ślepi i głusi, a to denerwowało Banacha najbardziej. Cały łańcuch dowodzenia, kontroli i łączności należało przemyśleć od początku. Nie może być tak, że w dowództwie nie da się połączyć z podległymi im oddziałami. Przykry dla nich fakt był taki, że w tego rodzaju wojnie ponieśli sromotną klęskę.

Wysłał ekipy, według spisu Borzęckiego, do siedzib firm telekomunikacyjnych. Pojechali i ślad po nich zaginął, wysłał ludzi do sprawdzenia lądowisk, to samo. Dochodziły do nich informacje o strzelaninach w centrum, ale kto strzelał i do kogo, tego już nie wiedzieli. A już najgorsze było to, że nikt nie panował nad tłumami w centrum. Jeśli wybuchnie panika, to ofiar będą dziesiątki... a raczej setki. W ciemnościach, w ścisku i panice ludzie zaczną się tratować. I w żaden sposób nie da się ich powstrzymać. Policja już nie radziła sobie z problemami. Funkcjonariuszy było dużo, ale otrzymywali sprzeczne rozkazy. Jak nie pokazało się palcem, gdzie mają stać, odchodzili na nowe stanowiska. Oszaleć można.

Były też śmigłowce. Czarne śmigłowce. Latały nad Warszawą i tu, podobnie jak w przypadku zwartych pododdziałów policji państwowej, nikt nie wiedział, jakie zadania wykonują, ba... ani nawet skąd się tu wzięły. Pojawiały się i zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Strzelać do nich czy nie strzelać, to jest pytanie.

Byli podatni na ciosy jak nigdy wcześniej. Każdy, kto zechce ich zaatakować, wejdzie w przestrzeń powietrzną kraju jak nóż w masło. Poleganie na tych wszystkich elektronicznych cudach nie wyszło im na dobre. Wiedział, że inaczej się nie dało, ale w konsekwencji stracili, tak właśnie, już stracili kraj, a prawie nikt o tym nie wiedział.

Teoretycznie państwo istniało. Istniały jego instytucje, władze, od tych najniższych gminnych i samorządowych po ministerstwa, była flaga i hymn, siły zbrojne, bank, narodowy zresztą, ale to tylko fasada. Wydmuszka. Bank bez aktywów jest niczym, zwykłym budynkiem z rzeszą wściekłych klientów i zdeorientowanym personelem. A czymże są pieniądze?

I tu odpowiedź była prosta – generalnie to sumy wygenerowane przez komputery, cyferki na ekranach niemające pokrycia w niczym, ani w złocie, ani w towarze. Tak jak powstały, tak można je było anulować. Obojętnie, czy chodziło o milion, miliard, budżet państwa, dwa budżety, dziesięć... Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. Wierzą, że rano wstanie słońce, że będą zdrowi, a jak przyjdzie

ostateczna chwila, to że śmierć będzie lekka, najlepiej we śnie, bez cierpienia i płaczu.

Wierzą również w to, co widzą, w te oficjalne atrybuty państwa, bez których nie można się obyć – zmiana warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza, parada i krzepiące słowa otuchy, jakie płyną z ekranów telewizorów – wierzą, że będzie lepiej.

Przeciętny obywatel uwielbia być oszukiwany, łyknie każdą bzdurę, byle odpowiednio podaną i opakowaną, a przy tym wszystkim będzie się jeszcze upierał przy własnym zdaniu. Własne samopoczucie jest najważniejsze, nieistotne, że na przejściu dla pieszych dodałem gazu i wystraszyłem jakiegoś frajera, po co chujek pcha się pod koła, przecież segreguję śmieci, plastik do plastiku, butelki do szkła, jestem eko, zjebałem kasjerkę, która za wolno wydawała resztę, przecież kupiłem matce kwiaty na imieniny i nie jakieś tam chwasty, a okazały bukiet, gnój, który jechał rowerem i wjechał w kałużę, opryskał moje spodnie, dostał joby, ale otworzyłem drzwi i przepuściłem młodą, seksowną sąsiadkę z parteru, więc jestem dobry czy nie?

Pewnie, że jestem. Drobne ułomności zdarzają się każdemu.

Tylko na jedno pytanie Banach nie potrafił znaleźć odpowiedzi – co stanie się z tymi wszystkimi ludźmi, gdy się okaże, że kontrolę sprawuje zupełnie kto inny, podkulą potulnie ogon, udając, że nic się nie stało, czy też, jak to generalnie Polacy mają w zwyczaju, ruszą do boju bez oglądania się na konsekwencje.

Ciężar pewnie rozłoży się po połowie. Część uzna, że „nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało”, a część, że honor jest ważniejszy od życia. Zaczną się spiski i knucie. Wszystko zależało od tego, co zrobią ich następcy na szczeblach władzy. Aksamitna okupacja może okazać się nie taka zła, gorzej, jeśli nastąpią represje.

Lepiej tego nie dożyć.

Odebrał talerz i skierował się do wolnego stolika. Usiadł ciężko na krześle i rozkroił widelcem pierwszą pyzę, ugryzł kawałek i zaraz pożałował, że nie zamówił czegoś innego. Z wielkim trudem pogryzł to, co już miał w ustach, i zmusił się do połknięcia. Za tłuste i bez smaku. Pewnie kupione w supermarkecie, masowa produkcja, odpowiednia relacja kosztów i zysków.

Na sali pojawił się jeden z majorów, który zastępował Osmeckiego pod jego nieobecność. Wyglądał na przejętego. Wszystko już lepsze od tych niejadalnych pyz. Niech je jasna cholera.

– Panie generale.

– Siadaj. Stoisz nade mną jak kat.

– Jest tu kapitan Grabski z żandarmerii. Opowiada dziwne rzeczy. Ma nawet jeńców.

– Jeńców?

– Dwóch, trzeci jest sztywny.

– Gdzie są?

– Przy wartowni.

Osmecki wiedziałby, co zrobić. Przy wartowni widzieli ich wszyscy, a jak szef wywiadu ma z kimś do pogadania, to nie będzie się z tym afiszował.

– Do piwnicy z nimi, tam, przy magazynku. Wiesz gdzie?

– Tak jest.

– Będę za dziesięć minut.

Major wyskoczył z bufetu i pognał, mało nóg nie pogubił.

Banach wytarł usta serwetką.

– Pani Stefanio, pyzy przepyszne, ale obowiązki, sama pani rozumie.

– Nic pan nie zjadł.

– Ojczyzna wzywa.

Na korytarzu wymienił parę uwag z Imre Lazarem, węgierskim oficerem łącznikowym, i nim upłynęło pięć minut, znikł w podziemiach.

Ludzie z ochrony towarzyszyli Banachowi jak cienie, otaczając go ze wszystkich stron. Nigdzie się teraz bez nich nie ruszał. Wiedział, że są potrzebni. Tę czwórkę, która zginęła dzisiaj rano, będzie miał na sumieniu już do końca życia. Nie on ich zabił, ale zginęli w obronie jego osoby, to zupełnie tak samo, jakby ich osobiście posłał na śmierć.

Na widok dwóch rannych i ciała w czarnym plastikowym worku na usta cisnęła się soczysta wiązanka. Pierdoleni najemnicy. Intuicja go nie myliła. Tacy jak oni stali za większością zdarzeń, do których doszło w stolicy. Obok rozłożone wyposażenie, kamizelki, pasy, karabinki, granaty i pistolety, a także radiostacje osobiste.

– Opowiedzcie mi, kapitanie, jak to było.

Grabski, wyprężony na baczność, zwięźle zrelacjonował wydarzenia.

– Gdzie do tego doszło? – Tej jednej informacji Banach nie zapamiętał.

– Niedaleko Ochota Tower.

– Kto został na miejscu?

– Podpułkownik Halicki.

Banach zamarł. Znał to nazwisko aż za dobrze. Przez ostatni rok postać podpułkownika często przewijała się w rozmowach, które prowadził, i w raportach, które otrzymywał. Krótki flirt z Państwem Islamskim, jaki był udziałem Halickiego, odcisnął piętno na podjętych przez nich działaniach, a teraz okazuje się, że ten sam człowiek miał nosa w kolejnej sprawie. Jeśli to nie jest przypadek, to co? Może cud?

– Jedziemy – zarządził.

Już wiedział, co należało zrobić.

Na początek zabezpieczyli cichy i ciemny hol.

Z całego oddziału pozostało ich dziewięciu. Jeden z wozów odwiózł rannych żandarmów do szpitala na Barskiej, paru pojechało z Grabskim i jeńcami do sztabu. Mimo że obaj najemnicy ucierpieli i nie przejawiali ochoty do stawiania oporu, to i tak należało mieć się na baczności.

Czwarty z drani ulotnił się. Na jego poszukiwanie Halicki wysłał ostatniego z interwencyjnych SandCatów, pod dowództwem wprost rwącego się do akcji starszego sierżanta.

Musieli dać sobie radę sami, bo ze słów Micińskiego wynikało jedno – na samej górze wysokościowca czekała kolejna ekipa gotowa złożyć im tyłki.

– Uważać na kamery – przypomniał Halicki pozostałym żandarmom.

Krótką trzystrzałową serią rozbiła pierwszą z nich. Jeżeli dał się wpuścić w maliny i na ostatnim piętrze urzęduje Bogu ducha winna ekipa komputerowców, to zarządca tego budynku po procesie puści go w skarpetkach. Roszczenia przekroczą sumę, jaką zarobi do końca życia.

– Jeszcze tam. – Miciński kryjący się za plecami podpułkownika wskazał na bąbel zainstalowany w podstawie podsufitowego panelu, który wkrótce rozleciał się z głośnym hukiem. – I tam też.

Dysponowali tylko jednym przenośnym reflektorem, to stanowczo zbyt mało, żeby pchać się dalej. Potrzebował porządnego źródła zasilania i więcej ludzi. Dalsza penetracja biurowca mogła skończyć się kolejnymi stratami, a on za wszelką cenę pragnął ich uniknąć.

Żandarmi czekali w pogotowiu na decyzję, jaką podejmie. Pff... to nie było takie proste, tylko wyjątkowym ignorantom może się wydawać, że dowodzenie ogranicza się do wydawania poleceń. A odpowiedzialność? Jak się pomyli, ucierpią ludzie, może nawet zginą, i nie chodziło tu o żołnierzy czy policjantów, którzy przecież wiedzieli, na co się piszą, bo choć żaden z góry nie zakłada, że zginie podczas służby, musi się z tym liczyć. Cywile mieli najgorzej. Jak jest się zdrowym i sprawnym, śmierć czy kalectwo wydają się czymś odległym, a tu nagle jakiś głąb rozpoczyna strzelaninę, kula trafia w kręgosłup i wózek inwalidzki murowany. Potem ciągnące się latami procesy. A wystarczy się zastanowić dwa razy i nie działać pod wpływem impulsu.

Patrząc na wszystko z drugiej strony, nadmierne myślenie też przeszkadzało. Nie można wiecznie dzielić włosa na czworo, bo wtedy nie podejmie się żadnej decyzji.

W przypadku Halickiego chodziło o jeszcze jeden drobny szczegół – sam ledwo wywinął się śmierci. Po czymś takim człowiek już nigdy nie jest taki sam. Zdając sobie sprawę, jak kruche jest ludzkie życie, nie będzie bez powodu nadstawiał głowy.

Cisza trwała zbyt długo. Na początek należało sprawdzić to cholerne piętnaste piętro.

– Celiński i Zbyszewski zostają. Nikogo nie wpuszczać do środka i filować na te windy. Pan Miciński wam pomoże.

Ochroniarz ochoczo przytaknął.

– Reszta za mną.

Piętnaście pięter, żaden wyczyn, lecz można się zmęczyć.

Ruszyli, wzajemnie się ubezpieczając.

George Lambert próbował zachować spokój, lecz efekt był przeciwny do zamierzonego. Denerwował się coraz bardziej. Jeden błąd mógł sprowadzić katastrofę. Najpierw sekcja Alfa przegapiła jednego parszywego ochroniarza, a potem ci z grupy Beta zostali rozproszeni przez przejeżdżający patrol *military police*. Słowa określającego ich w polskim języku nie potrafił wymówić za żadne skarby. Ci na dodatek to jakiś oddział interwencyjny, lepiej wyszkoleni i uzbrojeni od zwykłego patrolu. Wystarczyło popatrzeć, jak rozprawili się z sekcją Beta – jeden zabity, dwóch rannych, czwarty z komandosów próbował ująć pościgowi. Szansa, że wróci, była znikoma. Ekipa w czarnym SandCacie polowała na niego zawzięcie.

Na dodatek Miciński skumał się z szefem oddziału. Ten typ nie odpuści. Zrobi wszystko i w końcu przylezie na czterdzieste piętro. Unieszkodliwić tak po prostu się ich nie da. Czterech ludzi z sekcji Alfa przeciwko tamtym siedmiu przygotowanym do konfrontacji.

Nie można było wykluczyć, że niedługo na dole pojawią się kolejni zainteresowani. Jedyne sposoby na przetrwanie to odciąć całe piętro i odgryzać się, ile wlezie.

Najważniejszy był czas. Im więcej go zyskają, tym lepiej. Zawiadomił Butlera, akurat na nim kotłowanina na Grójeckiej nie zrobiła wrażenia. Potraktował ją jako kolejny element planu. Nic im przecież nie groziło. Mogą tu siedzieć choćby do samego końca świata. Tak naprawdę kłopoty mieli ci, co się tu skradali, a nie oni.

Dopóki nie zobaczy, nie uwierzy.

Niewielka iskierka tłąca się w duszy Halickiego zgasła, gdy ujrzał porzucane ciała. Miciński mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, a on na przekór wszystkiemu łudził się, że to zdarzenie jest gigantyczną pomyłką. Nie było, a on miał przed sobą wyraźne na to dowody.

Snop światła z reflektora przesuwiał się po ciałach, wyławiając z mroku nienaturalnie blade twarze.

– Panie pułkowniku... – odezwał się kapral, nazwiskiem Szlański, zwany przez kumpli Szklaną.

– Co tam?

– Tego to ja znam.

– Którego?

– Tego tutaj. Pracuje... to znaczy pracował w administracji, w kadrach chyba.

– Od nas?

– W Agencji Wywiadu.

– Szklana chciał tam pójść do roboty – pośpieszył z wyjaśnieniami któryś z kolegów.

– Tego tutaj też gdzieś widziałem, nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie.

– Nie szkodzi.

Halickiemu zrobiło się duszno. Biurowiec powinien być klimatyzowany, a tu powietrze już nabrało lekko słodkawego zapaszku.

– Tam jest jeszcze jeden. – Promień światła padł na drzwi znajdujące się z dziesięć metrów od wind.

– Nikomu nie darowali. Co to za ludzie, panie pułkowniku?

– Nasi wrogowie – wyjaśnił bez zająknięcia.

Zrobił to, co powinien. Dalsze decyzje zależały od innych. Nie będą w siódmkę pchali się na samą górę, bo skończą tak samo jak ci tutaj.

– Wracamy.

– A co z nimi? – Któryś z żandarmów wskazał na zwłoki.

– Zajmiemy się nimi później.

Do widoku trupów nie przyzwyczai się już chyba nigdy. Ilekroć widział zmasakrowane ciała, od razu przypominało mu się Aleppo. Święta racja była w słowach, że lepszy jest jeden dzień parszywego pokoju niż najpiękniejszy dzień wojny.

Wycofali się w stronę schodów ewakuacyjnych.

Już miał przestąpić próg, gdy rozległy się strzały. Ogień prowadzono z góry, i to z kilku miejsc równocześnie. Jeden z komandosów potoczył się bezwładnie po schodach, drugi skulił się pod ścianą, pozostali odpowiedzieli seriami. Przestrzeń momentalnie wypełniła się fruwającymi pociskami, hukiem i smrodem prochu. Ci na górze mieli M4, jego żandarmi MP5K oraz strzelbę Mossberg 500. Przy dwóch kolejnych rannych siły się wyrównały. Najgorsze, co teraz można było zrobić, to wycofać się w głąb piętnastego piętra, pozostawiając przeciwnikowi inicjatywę. Mieliby zabarykadować się i czekać nie wiadomo na co? W życiu. Równie dobrze od razu można pozwolić się zastrzelić.

– Szklana, bierz Zygmunta. – Halicki z trudem przekrzyczał panujący hałas. Reflektor już dawno się potłukł. Jeżeli najemnicy nie dysponowali noktowizorami, to byli tak samo ślepi jak oni. W panujących

ciemnościach ledwie dawało się rozróżnić kontury ludzi i barierki przy schodach.

– Z Zygą wszystko gra, potknął się tylko i skręcił nogę. Kusz ma gorzej.

– Zapierdalaj z nim na dół. Reszta osłania.

Strzelanina trochę ucichła. Tamci ich poharatali, ale nie przygwoździli ogniem.

Na ile pozwalały warunki, rozpoczęli mozolny odwrót.

– Co się tam wyprawia?

Odgłosy trwającej potyczki dało się słyszeć aż na ulicy i nie były to jakieś tam pykania, tylko regularna bitwa.

Ochrona natychmiast otoczyła Banacha szczelnym pierścieniem. Pozostali zajęli stanowiska w pobliżu. W sumie ekipa generała przemieszczała się kilkoma SUV-ami, opancerzonym Humvee oraz sanitarką, którą przygarnęli, gdy opuszczali parking dowództwa. Nikt nie mógł powiedzieć, że Banach nie działa z rozmachem.

W czasie, gdy oni przyglądali się szklanemu termosowi z mieszanymi uczuciami, do wejścia jako pierwszy popędził Grabski. Nie należało się dziwić młodemu kapitanowi, kiedy on się tu opierniczał, tam w środku trwała intensywna wymiana ognia.

Banach sam na razie nie będzie się pchał tam, gdzie go nie potrzebują. Jeżeli jest tam Halicki, to już będzie wiedział, co robić. To przecież zawodowiec pierwsza klasa. Nie jakiś tam garnizonowy wycieruch, tylko specjalista od trudnych przypadków.

Wystarczy tego gapienia się. Pora zabrać się do roboty. Na początek należało usunąć stąd wszystkich postronnych, ulicę do najbliższej przecznicy trzeba odgrodzić dla ruchu samochodowego i pieszego. Wstrzymać ruch tramwajów. Najlepiej, jak od razu zostaną ściągnięte posiłki, parę kompanii policji i wojska. Wszystkie polecenia ustnie, nic przez środki łączności, żadnych radiostacji i komórek.

Przywołał najbliższych współpracowników i wydał rozkazy. Podwładni rozbiegli się, a on ponownie się rozejrzał. Naprzeciwko Ochota Tower stał niezbyt wysoki nowy budynek mieszkalny, niedaleko tory kolejowe, najbliższa przecznica w stronę centrum to chyba Harfowa, trochę dalej stał nowy apartamentowiec, całkiem wysoki, od biurowca to jakieś pięćset metrów, jak nie lepiej.

Lokalizacja wybrana doskonale. Tu nikt nie zbliży się niepostrzeżenie. Śmigłowiec wymacają bez problemu. Desant na dach pewnie skończyłby się taką samą masakrą jak rano, gdy zestrzelili policyjny helikopter.

Dwa i pół kilometra na południe Okęcie. Strategiczne miejsce. Z Ochota Tower można zakłócać systemy naprowadzania. W promieniu co najmniej paru kilometrów to najwyższy obiekt. Dalej Grójecka przechodziła w wylotówkę na Kraków i Katowice. Banach nie miał pojęcia, kiedy dokładnie powstał ten budynek, ale jak można było przypuszczać, stosunkowo niedawno, dwa lata temu najpóźniej.

Strzały w środku w końcu ucichły i zapanował względny spokój. Dłużej nie będzie tu stał. Nie znosił chodzić w kamizelce balistycznej, ale dziś zrobił wyjątek. Musiał do niej dobrać znacznie obszerniejszą marynarkę. Poświęcił się dla dobra ojczyzny. Jak trzeba, to trzeba. Dobrze, że ochrona nie kazała mu wcisnąć na głowę hełmu. Dopiero by wyglądał.

Banach przeszedł po pokruszonym szkłe i znalazł się w środku. Z powodu panujących tu ciemności nie mógł się rozeznać, dokąd skierować kroki. Jego uwagę zwróciło kilku mężczyzn rozmawiających tuż przy ladzie recepcji.

– Już myślałem, że nas powystrzelają, co do jednego. Kusz jest ranny, widziałeś? I ten nowy, co dostał przydział w zeszłym miesiącu.

– Sikora?

– Właśnie – odparł rozgrzany walką oficer. – Nie jestem pewny, ale i nam chyba udało się odstrzelić

co najmniej jednego.

- Pułkownik Halicki. – Banach podszedł bliżej. – Pamięta mnie pan? Spotkaliśmy się tylko raz.
- I wystarczy. Pewnych osób się nie zapomina, generale...
- Bez nazwisk – poprosił Banach. – Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co się tu wydarzyło.

George Lambert nie ukrywał już wściekłości. Z czterech ludzi sekcji Alfa wypadł kolejny operator, którego kula trafiła w stopę. Gdy wychylił się, próbując lepiej wycelować, wystawił nogę i stało się. Nikt nie mówił, że obejdzie się bez strat. Za to zgonili wroga z piętnastego piętra z jeszcze większymi stratami. Szybko nie wrócą. W razie konieczności paru techników wiedziało, jak posługiwać się bronią. Rekrutowano ich przecież z marines i armii. Nie byli wyszkolonymi komandosami, ale stanowili zaplecze tajnych operacji. Tak czy inaczej wesprą tę trójkę, która pozostała. Polacy na samym zapale daleko nie zajdą. Wytrwać te parę godzin do rana, a potem mogą ich pocałować. Pierwszego rzutu z Alaski spodziewał się na piątą rano. Kiedy zrobi się gorąco, ale tak naprawdę gorąco, skieruje drona na tę hołotę na dole i zrobi porządek. Parę Hellfire'ów oczyści atmosferę.

Jedyną niepokojącą Lamberta rzeczą było to, że, mimo starań, jak do tej pory nie udało się wejść na częstotliwość grupy instalującej się na dole. Nie gadali przez komórki ani radiostacje i nie wysyłali e-maili. Skanery niczego nie wyłapywały. Jakies nowe zabezpieczenia, o których nie wiedział? To przecież niemożliwe. Cały system został rozpracowany, a monitoring trwał nieprzerwanie. W tym przypadku musiało po prostu coś nie zadziałać. Może jak Polacy ściągną posiłki, uda się uzyskać dostęp do przekazywanych rozkazów. Pogotowie ratunkowe, oddziały prewencji, straż pożarna, ktoś w końcu nie wytrzyma i zacznie nawijać przez telefon. Komputery, którymi posługiwała się jego ekipa, wyłowią z szumu informacyjnego kluczowe słowa, jak Grójecka czy Ochota Tower, i tajemnica przestanie być tajemnicą, a stąd już tylko krok, by uruchomić komórki osób znajdujących się w pobliżu i zacząć podsłuchiwać. To przecież operatorzy Narodowej Agencji Bezpieczeństwa są światowymi liderami w tej dziedzinie. I nie tylko w tej.

Ryzyko wykrycia nadlatujących Globemasterów równało się zeru, ale nawet gdyby doszło do ich namierzenia i odpalenia rakiet przeciwlotniczych, to tylko oni dysponowali kodami źródłowymi, a Polacy mogą sobie postrzelać co najwyżej... Panu Bogu w okno.

Zaszyli się w małej salce nieopodal głównego holu. Tylko tutaj dawało się w miarę spokojnie porozmawiać. Banach pozbył się wcześniej wszelkiej elektroniki, jaką dysponował. Zebranych polecił zrobić to samo, a plastikowy worek na śmieci, w którym znalazły się komórki i smartfony, kazał wynieść przed biurowiec. Tak goli nie byli od dawna.

– Pierwsza sprawa – rozpoczął Banach, gdy miejsca przy stole zajął ostatni z zaproszonych. – Jak oceniacie szanse bezpośredniego wkroczenia na ostatnie piętro? Panie Zenonie, pan będzie wiedział najlepiej.

Ochroniarz, który z podrzędnego ciecia stał się nagle wyrocznią, przysunął się bliżej stołu.

– Spróbować oczywiście można, ale sukcesu to ja nie gwarantuję.

– A to dlaczego?

– Kiedy pół roku temu ci Amerykanie się tam instalowali, to zażyczyli sobie wprowadzenia całej masy zmian i przeróbek. Niektóre musiały zostać zaakceptowane przez zarząd, inne robili już we własnym zakresie.

– Wie pan, o co chodziło?

– Nie interesowałem się tym za bardzo. – Miciński wyglądał na strapionego. – Z tego, co pamiętam, przekonstruowano dwa miejsca: schody ewakuacyjne i windy. A konkretnie, gdzie indziej wygląda to tak, że idąc prosto korytarzem, wchodzi się do poszczególnych biur, a tam do czegoś w rodzaju wartowni.

– Może nam pan to narysować?

– Oczywiście. – Ochroniarz złapał za długopis i kartkę. – Proszę spojrzeć, tu są windy i mały hol, tam stosunkowo wąski korytarz i ta lada, która wygląda na miniaturową barykadę, o tak...

– No faktycznie.

– Dopiero stąd można dostać się do bocznych sal.

– Miejsce dostosowano do obrony.

– I mnie się tak wydaje.

– A wejście od strony schodów ewakuacyjnych? – zapytał Halicki.

– Nie mam pojęcia, jak to wygląda, zabronili nam się tam kręcić – odparł Miciński. – Jak tylko pojawiał się któryś z nas, zaraz był przeganiany.

– Można wybić dziurę w podłodze.

– Nic z tego, wzmacniana konstrukcja.

– Desant na dachu?

– Już o tym myślałem – powiedział Banach. – Na pewno mają tam systemy obronne.

– Są też anteny. – Wydawało się, że Miciński zna odpowiedź na każde pytanie. – Nawet gdyby desantować komandosa na linie, to i tak nie dostanie się do środka, szyby specjalnie hartowane, grube na parę centymetrów, tak łatwo się ich nie rozbije, chyba żeby najpierw rakieta...

– Rakieta pan mówi?

Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, jeden dobrze wymierzony pocisk definitywnie zakończyłby sprawę, tylko jak na razie nie istniał sposób na skontaktowanie się z którąś z załóg w powietrzu. Już szybciej bomby spadną na nich niż na tych koleś z góry.

Chcąc dobrać im się do skóry, należało pojechać do najbliższej bazy, pogadać z pilotami, powiedzieć, co i jak, a i wtedy sukces nie był pewny. Jak ci z czterdziestego wykryją zbliżający się szturmowiec, gotowi go natychmiast zestrzelić z tego drona, co nad nimi krążył. Kolejnej lotniczej katastrofy w tym momencie nie potrzebowali.

– Musi istnieć sposób na przeniknięcie przez ich zabezpieczenia. – Dłoń generała uderzyła o blat. – Ilu ma pan ludzi, pułkowniku?

– Razem z tymi, których przywiózł kapitan Grabski, to dziesięciu, ja jestem tym dziesiątym, reszta ranna, jedna sekcja wciąż uganiana się za bandytą, który nam uciekł na wstępie. Nie wiem, dlaczego ich jeszcze nie ma.

– Ja mam dwudziestu – powiedział Banach.

– Decydujemy się na szturm? – zapytał Halicki.

– Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

– Ze słów pana Micińskiego wynika, że nie będzie tak łatwo, tam i kompania to mało.

– A zastanowił się pan, ilu to oni mogą mieć ochroniarzy? Dziesięciu, piętnastu?

– Raczej piętnastu. – Miciński nie znał precyzyjnej odpowiedzi na pytanie Banacha. Lepiej, jak powie, że jest ich więcej niż mniej.

– A nie wie pan przypadkiem, ilu pracowników tam jest?

– Moim zdaniem około pięćdziesięciu, w porowach do siedemdziesięciu. Niektórych widzę codziennie, inni pojawiają się sporadycznie. Nawet nie wiem, czy administracja ma takie dane. My po prostu udostępniamy przestrzeń biurową, każdy, kogo stać, może wynająć miejsce lub nawet całe piętro, a miejsce jest prestiżowe, z potencjałem.

– Właśnie widzę – mruknął Banach.

Rozważył w myślach wszelkie możliwe opcje. Nieubłaganie zbliżała się północ, a on wciąż nie

wiedział, na czym stoi.

– Panie generale. – Halicki ze wzrokiem wbitym w schemat budynku przyniesiony przez Micińskiego wydawał się nieobecny. – Wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy, że atak na ten umocniony punkt będzie wiązał się ze stratami. To nieuniknione. Ja to wiem, pan to wie, nawet pan z ochrony.

– Co w zamian?

– Z tego, co zrozumiałem, to tam na górze znajduje się centrum łączności i rozpoznania terrorystów. Kręcą nami, jak chcą, a my jesteśmy bezradni. Nasza technologia nie sprostała im, zgodzicie się ze mną.

– Do czego pan zmierza?

– Przecież te urządzenia muszą pożerać nieprawdopodobne ilości prądu.

– Właśnie. – Natychmiast ożywił się Miciński. – Podciągnęli tam nowe łącza, bo jak mówili, te nasze do niczego się nie nadają.

– Ustrojstwo żre prądu, ile wlezie. Może i mają zapasowe źródła zasilania, tego nie wiemy, wiemy natomiast, że wróg jest przygotowany na wszelkie niespodzianki. Pan Miciński przecież wie, gdzie przebiegają kable. Mamy saperów, niech odstrzelą wszystko w cholere.

– Znakomity pomysł!

– Zakręćmy im też wodę, bo jeszcze to jesteśmy w stanie zrobić. Jeżeli wtedy nie odzyskamy kontroli nad naszą siecią przepływu danych, to zaczniemy atak. Zgodzi się pan, generale, że to rozsądne podejście do tematu?

– Cieszę się, że jest pan z nami, pułkowniku Halicki – odparł Banach. – Proszę się tym zająć. Tym fiutom na górze pewnie się wydaje, że mogą z nami pogrywać bez końca. Odetniemy ich od świata zewnętrznego, aż im w pięty pójdzie. Jak to mówią, nosił wilk razy kilka...

George Lambert z rozbawieniem obserwował, jak polskie służby miotają się po gmachu, czegoś szukając, ale chyba sami nie wiedząc czego. Na razie wolał nie podejmować kolejnej wycieczki. Siły, które zgromadził przeciwnik, zrobiły się całkiem spore. Grójecką odcięto od przecznic do przecznic. Ludzi z najbliższych domów ewakuowano bez patyczkowania się, a do nich na górę docierały jedynie strzępy informacji. Polacy rozkazy przekazywali sobie ustnie lub na piśmie. W dobie wysoko rozwiniętej informatyzacji te zabiegi wydawały się archaiczne. Nawet straż pożarną i pogotowie ratunkowe obowiązywały te zasady.

Ludzie przy komputerach pracowali spokojnie, ale widać było, że powoli ogarnia ich niepokój. Wytrzymać te parę godzin, potem niech się dzieje, co chce.

Lamberta najbardziej dziwiło systematyczne rozbijanie kamer przez Polaków. Niepotrzebnie zadawali sobie ten trud. Na każdym piętrze zainstalowano niezależny od standardowego system zabezpieczeń, o którym wiedzieli tylko oni. Mikrofony w gniazdkach, kamery w oświetleniu, czujniki i termowizory. Lambert znał ten budynek lepiej niż architekci, którzy go zaprojektowali. Nic nie ukryje się przed elektronicznymi szpiegami.

Na początek Polacy usunęli ciała z piętnastego piętra, potem grupy komandosów systematycznie przeczesały poszczególne kondygnacje, sprawdzając, czy przypadkiem w środku nie pozostały przypadkowe osoby. Wszystko rutynowe czynności. Jak Lambert się spodziewał, przygotowywano grunt pod akcję mającą doprowadzić do opanowania czterdziestego piętra.

Mogą sobie robić, co chcą. Oni byli nie do ruszenia. Psioczono na niego, gdy prosił o zmiany w konstrukcji budynku, o niezależną wentylację, a nawet okablowanie. Bezpieczeństwo ponad wszystko. W rezultacie mogli działać autonomicznie przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Widok furgonetki i ludzi z niej wychodzącychomal nie rozbawił go do łez. Co to ma być? Chcą rozwalić strop młotami pneumatycznymi? Strata czasu. Lecz ekipa zamiast na górę skierowała się do

piwnicy oraz na podziemny parking. Szybko zorientował się, o co im chodzi, te sukinsyny chciały im odciąć wodę. Proszę bardzo, mają zapas. Gazu nie używali, a z elektryką też sobie przecież poradzą.

W trzewiach budynku coś nagle mocno łupnęło. To minery wysadzili kable, przez które Black Point pobierał energię, rozwalili też wszystkie mniejsze wiązki, które szły na poszczególne piętra, słusznie wychodząc z założenia, że nie każda prowadzi tam, gdzie ma prowadzić.

Spadek mocy dał się wyczuć niemal od razu. Przełączyli się na system eksperymentalny. Lambert cieszył się, że ma go do dyspozycji. Wynalazcy już od dawna próbowali przesyłać prąd tak, jak się to działo z falami radiowymi, bez słupa trakcyjnego oraz całej tej infrastruktury, która do tego była potrzebna. Nauka robiła postępy, dlatego więc w tej dziedzinie miały istnieć zastój?

Emiter umieszczono niedaleko, na jednym z budynków po przeciwnej stronie ulicy. Na szczycie Ochota Tower wiązkę przechwytywały panele trochę podobne do kolektorów słonecznych. To wciąż początki, już niedługo prąd popłynie bezpośrednio do odbiornika lub gniazdka elektrycznego i nie trzeba będzie kłaść kilometrów kabli. Jak na razie jednak musiał się zadowolić mniej zaawansowanym technicznie urządzeniem.

– Co pan o tym myśli?

Banach i Halicki zadzierali głowy, przyglądając się ostatniemu piętru wieżowca.

– Gówno, tam się wciąż świeci.

– Zdaje się, że coś przeoczyliśmy.

– Panie generale, da mi pan wolną rękę?

– Przyznam się, że trochę się boję. Ma pan opinię człowieka zdolnego do wszystkiego.

– Proszę spojrzeć na te wszystkie anteny tam na górze. To zdaje się przez nie mamy kłopoty.

– Tak twierdzą mądrzejsi ode mnie.

– Rozwalmy je.

– Ale jak?

– Proszę mi tylko nie mówić, że pańska ochrona nie przywiozła ze sobą żadnego granatnika.

Banach wytrzeszczył oczy.

– Pan nie mówi poważnie, w mieście...

– A co nam szkodzi? Poślijmy ich do diabła.

– Może najpierw wezwijmy ich do poddania się?

– Niby po co?

– Ma pan rację – zgodził się Banach. – Najlepsze negocjacje to te prowadzone z pozycji siły.

Na dachu nieodległego budynku stawiła się pięcioosobowa drużyna pod dowództwem Halickiego.

Ochroniarze Banacha przygotowali się na każdą okoliczność. Podpułkownik był niemal pewien, że jak poprosi o przenośny zestaw przeciwlotniczy, to dostanie taki od ręki.

Na razie dysponował granatnikiem Carl Gustaf, z rurą kalibru 84 mm zdolną do wystrzeliwania całej gamy pocisków. Po rozmowie ze strzelcem zdecydował się na użycie przeciwpancerno-odłamkowych HEDP-502. Powinny się sprawdzić. Jak na razie nie istniała konieczność rażenia wroga skrytego za pancernem, a jedynie rozwalenia paru anten.

Strzelec był pełen obaw, po raz pierwszy pocisk miał poszybować stromym torem w górę.

Co się stanie, jeśli nie trafią? Odległość, na którą Carl Gustaf był w stanie donieść, wynosiła tysiąc metrów, a uderzenie w zwykły dom to katastrofa. Nie chciał do tego dopuścić, kilkakrotnie zmieniając

pozycję. W końcu znaleźli odpowiednie miejsce. Tak się przynajmniej zdawało.

– Działaj. – Halicki przyłożył do oczu lornetkę, ciekaw efektu, jaki wywoła detonacja.

Jeżeli już ktoś nadawał się do tego zadania, to tylko człowiek od Banacha. Dla nikogo nie był tajemnicą fakt, że generała ochraniaли operatorzy sił specjalnych. Facet z granatnikiem, pod całym tym szpejem, jaki miał na sobie, wydawał się miłym gościem, a przy tym kimś, komu Halicki nie bałby się powierzyć własnego życia.

Komandos wymierzył i odpalił pocisk. Na szczycie Ochota Tower nagły błysk obwieścił trafienie. Fragmenty betonu i szkła poleciały na ulicę, lecz żadna z anten nie wydawała się uszkodzona.

– Teraz będzie lepiej. – Halicki skinął komandosowi głową. – Tylko celuj odrobinę wyżej.

– Pańska wola, panie pułkowniku.

Rura została ponownie załadowana i uniesiona ku górze. Strzał, i tym razem sukces, jedna z kratownic zaczęła się wyginać, by po chwili zawisnąć pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

– O to właśnie chodziło – ucieszył się Halicki.

– Mamy problem.

– Jaki?

– Już nie mamy HEDP-502.

– A jakie?

– Sam pan widzi, dymne...

– Wal przeciwpancernymi, do skutku.

– Pan to wie, jak rozruszać człowieka.

Kolejne pociski wylatywały z granatnika w regularnych odstępach czasu, zupełnie jakby pracowali przy taśmie montażowej, załadowanie, wycelowanie, strzał. I sekwencja powtarzała się od początku. Wkrótce szczyt wysokościowca znikł w pióropuszech dymu. Znajdujące się tam instalacje zostały strzaskane, a delikatne urządzenia rozbite w puch. W sumie oddali dziesięć strzałów, na dalszą destrukcję zabrakło im amunicji. Sporej wielkości szpic wciąż jednak górował nad biurowcem. Trudno. Skoro dotychczasowy ostrzał nie skruszył podstawy, będą musieli wymyślić inny sposób. Z miejsca, które zajmowali, nie wszystko dawało się zrobić.

Po raz pierwszy w całej swojej karierze pułkownik George Lambert przestraszył się nie na żarty.

Zasilanie regularnie spadało. To już nie były jakieś tam wahania napięcia, tylko kompletne odcinanie ich od źródeł prądu. Na trzech czwartych mocy daleko nie zajadą.

Wkrótce z trzech czwartych zrobiła się połowa. Ludzie wydawali się przerażeni. Na dodatek zaczęto do nich strzelać, może nie bezpośrednio, ale jednak strzelano. Te parę metrów nad głowami nie robiło różnicy. Z początku z sufitu sypał się pył, lecz po chwili waliły się już na nich kawałki betonu i plastikowe osłony. Informatycy porzucali stanowiska, gromadząc się przy schodach ewakuacyjnych. Nie miał im tego za złe. Przecież wydawało się, że zostały przewidziane wszelkie zagrożenia.

Lambert zazgrzytał zębami. Jeżeli tym na dole wydawało się, że teraz wyjdą z podniesionymi rękoma, to bardzo się przeliczyli. Czterdzieste piętro było jak bunkier. W życiu tu nie dotrą. Główny maszt wciąż się trzymał. Wystarczy im trzydzieści, czterdzieści procent mocy, a operacja będzie kontynuowana.

Nad ich głowami coś mocno zazgrzytało, potem trzasnęło, a na koniec zważyło się z ogłuszającym hukiem. Lambert usiadł przy najbliższym stanowisku, włożył słuchawki, a dłońmi przebiegł po klawiaturze. Łączność zaczynała się rwać. Należało jak najszybciej skierować drona na tych, którzy ich ostrzeliwali. Rozpieprzy pół ulicy, a nie pozwoli, by wszystko poszło na marne.

– Emil...

– Kto mówi?

– Emil, to ja Oskar.

– Niech cię jasna cholera, człowieku, gdzie ty jesteś.

– U siebie, w instytucie. Mamy...

– Słuchaj, ja mam tu urwanie głowy.

– Spokojnie. – Głos Borzęckiego brzmiał czysto i wyraźnie. – Nie wiem, co zrobiliście, ale z tego, co się zdążyłem zorientować, odzyskujemy pełną kontrolę.

– Skąd wiesz?

– Proszę cię. Chyba nie po to zostałem mianowany na stanowisko, jakie pełnię, by nie wiedzieć o takich sprawach.

– Moje źródła jakoś tego nie potwierdzają.

– OK, Emil, powiem tak, ten dron, który nas tak martwił...

– Co z nim?

– Mamy jego sygnaturę ciepłą, teraz w nocy jest wyraźniejsza, to pochodna naszych badań nad bronią...

– Do rzeczy, Oskar – zirytował się Banach.

– No właśnie mówię, zdaje się, że odebrał wezwanie i szykuje się do ataku.

– Bujasz.

– Mam koordynaty.

– To gdzie walnie?

– A jak ci się wydaje?

Spojrzenie generała objęło wieżowiec przed nim. Chcą rozwalić sami siebie? Teoria nie trzymała się... Zaraz, nie siebie, a oddziały szturmujące budynek!

– Oskar.

– Spoko.

– Jakie, kurwa, spoko, wyburzą pół dzielnicy!

– Wiesz co, ty mnie wyraźnie nie doceniasz.

Trzy tysiące metrów ponad miastem pilot F-16 wprowadził ostatnie poprawki. Jego zdaniem nic tam nie było, zero, nul, lecz naprowadzający go człowiek upierał się przy swoim. Polecenie brzmiało: jedna krótka seria. Tyle może zrobić. Skupił się i rozpoczął ostrzał. Z całej, dwudziestonabojowej serii w cel trafiły trzy, a i to wystarczyło, by system kamuflażu został uszkodzony.

Przez głowę pilota przemknęła krótka myśl – ależ wielkie bydlę. Rozkaz był wyraźny – drona należało zestrzelić, i to natychmiast. Pewne obiekcje budziło miejsce, ale ponaglenia nie dawało się zignorować. Tym razem przynajmniej wiedział, gdzie ma celować. Dwudziestomilimetrowe działko M-61 wypluło kilkadziesiąt pocisków, uszkadzając silnik i poszycie. Delikatna w sumie maszyna rozpadła się w powietrzu na kawałki, a jej szczątki zasypały okolice parku Łazienkowskiego i rejon ulicy Gagarina, raniąc ponad trzydzieści osób, w tym cztery ciężko.

– Już po nim – obwieścił Borzęcki.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent.

– Jeżeli możesz...

– Wal śmiało.

– Jest tu jeszcze jeden problem do rozwiązania.

Pół minuty później rakietka AGM-65 Maverick przebiła strop i detonowała na czterdziestym piętrze Ochota Tower, rażąc odłamkami i powstałym na skutek eksplozji ciśnieniem wszystkich znajdujących się

w środku. Po pułkowniku Lambercie pozostało jedynie wspomnienie oraz fragment małego palca u lewej dłoni, cała reszta wtopiła się w masę strzępów wykładziny, zwęglonych grudek plastiku i gruzu.

Gdy pierwsze ekipy ratunkowe dotarły do pomieszczenia, żyło jeszcze trzech pracowników firmy, którzy zdążyli zbiec piętro niżej, z tym że jeden zmarł, nim na dobre zdążono udzielić mu pomocy, a drugi z poparzoną w czterdziestu procentach powierzchnią ciała odszedł nazajutrz, i tylko jeden, któremu spadający kawał stropu zmiażdżył obie nogi, przeżył, choć już na zawsze został przykuty do wózka inwalidzkiego.

Generał Emil Banach koordynował akcję. Napięcie, jakiego doznawał od tyłu godzin, nieznacznie zelżało. Rozwiązali jedną sprawę, lecz to wcale nie oznaczało końca kryzysu. Nim się zorientują, co i jak, upłyną godziny, a i to niewiele pomoże, bo wciąż nie wiedział, kto jest zdrajcą, a kto lojalnym obywatelem.

– Zdaje się, że mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu – powiedział uśmiechnięty Halicki, gdy już pojawił się w punkcie dowodzenia.

– Życie nas nie rozpieszcza, panie pułkowniku. – Banach mimo sukcesu pozostał tak samo ponury jak wcześniej. – Ja muszę wracać do sztabu, czy pan zajmie się tym bałaganem?

– Mam inne wyjście?

– Powiem wprost. – Generał nachylił się do ucha Halickiego. – Żadnego innego oficera bym o to nie zapytał.

– Ma pan do mnie taki sentyment?

– Nazwałbym to raczej zaufaniem. – Banach się skrzywił. Od takiego pieprzenia mogą rozboleć zęby. – To jak?

– Ku chwale ojczyzny. Przetrząśniemy każdy centymetr...

– To chciałem usłyszeć. – Banach uściśnął dłoń Halickiemu i skierował się do samochodu.

Jak na razie wygrali potyczkę, kolejne fronty czekały. Im szybciej się za nie weźmie, tym lepiej.

– Ripley nie odpowiada.

– Próbować do skutku.

– To już kwadrans, jak...

– Co ja powiedziałem? – Generał Tony Butler sprężystym krokiem wyszedł z pomieszczenia, gdzie pracowali informatycy.

Pablo Ortiz Castillo rzucił za nim jakąś uwagę, ale tak, by nikt jej nie usłyszał.

– Bardzo źle? – zapytał Cyrus Parker.

– Całą łączność z Ripleyem szlag trafił. Docierają do nas wyraźne sygnały o przemieszczaniu się polskich sił bezpieczeństwa, ale dokąd i w jakim celu, tego już nie wiemy. – Informatykowi wydawało się, że Parker ma ochotę splunąć, i to na monitor komputera, przed którym zasiadali.

– Ile nam pozostało sekcji w terenie? – rzucił Cyrus.

– Dwie.

– Gdzie przebywają?

– Jedna na Pradze, a druga blisko lotniska.

– Możesz z nią połączyć?

– W sumie...

– Możesz czy nie?

– Ta linia nie jest już stuprocentowo bezpieczna.

– Mają tylko sprawdzić, co się dzieje na Grójeckiej.

– A Papa?

- Poszedł sobie.
- Ja tak nie mogę.
- Pablo, zaczynasz mi grać na nerwach.

Telefon podłączono do komputera, a Ortiz Castillo wysłał z niego krótką wiadomość. Woleli nie spoglądać sobie w oczy. Utrata łączności z Ripleyem to najgorsze, co im się mogło przytrafić. To ich główny punkt przepływu informacji i rozpoznania, miejsce, gdzie zbiegały się wszystkie nitki, i nikt poważnie nie liczył się z możliwością jego utraty.

- Wiesz, gdzie jest pierwszy rzut naszych wojsk?
- Nad Morzem Północnym, grupa Alamo znacznie bliżej.
- To znaczy gdzie?

– Wiedzą o tym tylko ci od Ripleya i sam generał. – Ruchy Portorykańczyka zrobiły się nerwowe, po tyłu godzinach względnego spokoju zaczęły się problemy. – O w mordę... – Informatyk aż podskoczył na krześle.

- Co się stało?
- Pożar na Ochocie, zdaje się, że zniszczono... no nie, zawołaj starego, musi się o tym dowiedzieć.

Parker wypadł z pomieszczenia i popędził w ślad za Butlerem, próbując przy okazji nie wzbudzać paniki we własnych szeregach. To, co miał do przekazania, na pewno nie spodoba się wielu z nich. Byli patriotami, ale nie samobójcami.

Po likwidacji centrali na Ochocie następni w kolejności mogą być oni.

Pałac Prezydencki czy gmach telewizji? Oba obiekty były tak samo ważne. Może nie wybierać, tylko przeprowadzić atak równocześnie? Rozgromienie tych sukinsynów w biurowcu pozwalało im przynajmniej złapać drugi oddech.

Gdy Banach wkraczał do dowództwa, trwała tam wytężona praca, a ludzie zwijali się jak w ukropie.

– Zdaje się, że Achilles znów zaczął pracować jak należy. – Dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych generał Adam Jelski, pięćdziesięciolatek z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, przywitał szefa wywiadu przed wielkim monitorem, na którym wyświetlano mapę kraju.

- Możemy być tego pewni?
- Specjaliści twierdzą, że tak.
- Bardzo bym nie chciał, żeby później okazało się, że są w błędzie. – Banach czuł, jak pod pachami i na plecach pojawiają mu się wielkie wilgotne plamy.
- Po dzisiejszym dniu to ja już niczego nie jestem pewny.
- Adam, nie czas teraz na defetyzm. Mów, jak jest.
- Panuje... – zaczął Jelski i szybko przerwał.
- No dalej, człowieku, tylko bez kręcenia.
- Panuje totalny burdel.
- Niczego innego się nie spodziewałem.
- Popatrz tutaj... – Ołówek trzymany przez Jelskiego dotknął rejonu Dolnego Śląska, który natychmiast się powiększył. – Rozpieprzyli nam batalion pancerny pod Lubinem.

- Jak to rozpieprzyli, kto?
- My sami. – Jelski był tak wściekły, że słowa z trudem wydobywały się z jego ściśniętego gardła. – Szturmowce z Łasku przeprowadziły nalot, to i mamy skutek. Straty siedemdziesiąt procent. Wyobrażasz to sobie? Dowiedziałem się o tym przed pięcioma minutami, ale to nie wszystko.

Banach nie przerywał, niedługo dostanie potwierdzenie ze swoich źródeł.

- Pułkownik Minc i jego żona oraz dzieci... znaleziono ich we własnym domu, zastrzeleni, pułkownik

Jaroszewski tak samo, major Hobbes... lista jest niepełna.

- Hobbes powiedziałeś?
- Tak, szef sztabu 30 Brygady Pancерnej.
- Amerykanin?
- Rodowity.
- Rozwalili swojego?
- Pewnie nie chciał współpracować.
- Gdzie jest teraz 30 Brygada?

Jelski przerzucił na obraz ogólny i poszukał odpowiedniego symbolu.

- A co oni tu robią? – zdziwił się.
- Mów jaśniej – polecił Banach.
- Są pod Wołominem. Idą na Warszawę.
- Oni tu nie idą, oni już tu są.
- Zablokowali 1 Pancerną z Wesołej. Nasi o niczym nie wiedzą.
- Spróbuj się z nimi połączyć, to sprawa życia lub śmierci.

Jelski znikł pomiędzy rzędami monitorów. W przeciwieństwie do niego Banach nie pokładał aż takiej nadziei w zintegrowanym systemie przetwarzania danych, jakim był Achilles. Już raz został zhakowany, co się stanie, jeśli zostanie spenetrowany po raz kolejny? Może gdyby wcześniej Borzęcki w nim pogrzebał i dokonał pewnych zmian, nie podchodziłby do Achillesa jak pies do kota. Wiara w nieomylność elektroniki potrafiła srodze zemścić się na użytkowniku.

Jelski wspomniał o zbombardowanym batalionie, ale dopóki nie otrzyma zdjęć, i to nie takich przysłanych na telefon, tylko zwykłych, w dużej rozdzielczości, nie uwierzy. Zabili Jaroszewskiego, Minca i Hobbesa, kto widział ciała? Zdaje się, że zaczynał wpadać w paranoję. Wiedział, jaki jest tego powód. Ostatnio wszystko okazywało się kłamstwem.

Spojrzał na zegarek i mocno się zdziwił, właśnie minęła druga w nocy, a może raczej należało powiedzieć: druga nad ranem. Mimo tylu godzin na nogach wydawało się, że jest w dobrej formie. Skutki odczuje dopiero w ciągu dnia.

Przywołał jednego z adiutantów kręcącego się w pobliżu.

- Czy już się zameldował pułkownik Osmecki?
- Jeszcze nie, panie generale.
- Spróbujcie się z nim skontaktować.
- Tak jest.

Pomoc łebskiego oficera przydałaby się im teraz najbardziej. Jeżeli poległ... Nie, to niemożliwe, nie Osmecki, farciarz od urodzenia, a przy tym bystrzak, niewielu takich chodziło po tym świecie.

Tylko dlaczego milczy? Tej zagadki nie potrafił wyjaśnić.

Wrócił Jelski, zły jak osa.

- Niech zgadnę, 1 Pancerna jest poza naszym zasięgiem.
- Najprawdopodobniej są zagłuszani.
- A czy przypadkiem 30 Brygada nie dostała tego nowego sprzętu do walki radioelektronicznej?
- Dostała – odparł Jelski. – Mają też wsparcie jednostek obrony powietrznej.
- Musimy natychmiast dowiedzieć się, na które oddziały możemy liczyć, a na które nie... – Banach

przerwał, widząc, że do Jelskiego zbliża się chudy przygarbiony okularnik w stopniu majora o ziemistej cerze i z wielkimi workami pod oczami.

- Jest telefon, a właściwie dwa – zameldował mało regulaminowo.
- Skąd?
- Jeden z Norwegii, drugi z Finlandii.
- Powiedz, że jestem zajęty.

– To ważne.

– Idź odebrać – doradził Banach. – Zresztą pójdę z tobą.

Nie musieli daleko odchodzić, biurko znajdowało się tuż obok.

– Jelski, słucham... A tak, pamiętam doskonale, dwa lata temu... Co takiego?! – Twarz generała zrobiła się blada jak kreda. – Czy to potwierdzona informacja? Naturalnie... Tak, oczywiście, w innych okolicznościach.

– Kto to był? – zapytał Banach, gdy tylko Jelski skończył rozmawiać.

– Norweg... – Nim zdążył powiedzieć coś więcej, został połączony z kolejnym rozmówcą. I tym razem pogawędka sprowadzała się do potakiwania i krótkich zdań. Na koniec podziękowania i zaciśnięte zęby.

– Czego chcieli? – Banach z napięciem wpatrywał się w twarz Jelskiego.

– Ich obrona powietrzna wykryła przelot sporej grupy samolotów transportowych z Alaski w stronę... no, jak myślisz, gdzie lecą?

– Tutaj?

– Właśnie. Obrali sobie dwa korytarze powietrzne, jak już zapewne się domyślasz, jeden wiedzie przez Morze Północne, drugi przecina północną Skandynawię i dalej przez Bałtyk. W pierwszej trzydziści maszyn, w drugiej dwadzieścia, z tym że pojedyncze transportowce zostały wypuszczone wcześniej.

– Dlaczego tak?

– Co dlaczego?

– Dwoma trasami?

– Nie wkłada się wszystkich jajek do jednego koszyka. Zresztą nie wiem, tak im wygodniej? A może ci pierwsi wylądują na Pomorzu, a ci drudzy w Estonii czy pod Petersburgiem?

– I w ten sposób od razu wchodzimy do wojny z Rosją.

– To sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. – Jelski potarł zaczerwienione oczy. – Podobno bardzo się starają, żeby ich nie wykryto, ale te europejskie systemy to też nie byle co.

– Skoro oni wiedzą o jankesach, to dlaczego my nie wiemy? – Pytanie Banacha zawisło nad nimi jak topór.

– O cholera...

– Właśnie, cholera, u nas ta cholera nazywa się Withmore.

James Withmore, szef obrony powietrznej kraju, na pewno nie grał w tej samej drużynie co i oni. Gdy obejmował stanowisko, wydawało się, że ma najlepsze kwalifikacje. Został starannie prześwietlony, lecz nic na niego nie znaleziono. Wzorowy i kompetentny oficer, ojciec trójki dzieci, całe życie w mundurze. A teraz przeszedł na drugą stronę...

Tak po prawdzie to on nigdzie nie przeszedł, stoi dalej tam, gdzie stał, jest wierny swojej prawdziwej ojczyźnie, a nie tej przybranej. To samo dotyczyło wszystkich, którzy przyłączyli się do rebelii. Polska to dla nich tylko etap w życiu, i to etap wcale nie najważniejszy. Oni nie złamali przysięgi, nawet nie są wrogami, zostali tu zaproszeni, a teraz chcą urządzić Polskę na własną modłę. Tylko tyle i aż tyle.

Nie wszyscy ściągnięci żołnierze pozostali w armii, tysiące odeszło do cywila i zajęło się czymś innym. Teraz zrozumiał, dlaczego jedyna odnosząca sukcesy linia lotnicza działała na trasie Warszawa–Anchorage. Loty trzy razy w tygodniu. Wszystkie miejsca zawsze zajęte. Do Polski w ten sposób przybyło mnóstwo Amerykanów, nad którymi nikt nie sprawował kontroli. Kiedy on cieszył się, że kraj wszedł na nową ścieżkę rozwoju, oni już się zastanawiali, jak podstawić im nogę.

We wszystkich rodzajach wojsk polskich służyło około czterdziestu pięciu tysięcy jankesów, często na wysokich dowódczych szczeblach. Dotyczyło to głównie nowo utworzonych jednostek, jak 30 Brygada Pancerna, 74 Pułk Rozpoznawczy, 16 Grupa Walki Psychologicznej czy 62 Baza Śmigłowców

Szturmowych. W sumie trochę tego było. Gdyby tak z zewnątrz przyjrzeć się powstającej nowej strukturze sił zbrojnych, to obawy Berlina czy Moskwy mogły wydawać się w pełni uzasadnione. Siły Polski i jej sojuszników przekroczyły pół miliona żołnierzy, i to raczej przygotowanych do ataku, a nie do obrony. Śródków ofensywnych, jak się zdawało, posiadali w nadmiarze. I nagle cały ten złoty sen okazał się kłamstwem. Czy mają pójść za radą Borzęckiego? On proponował przejrzanie wszystkich spółek oraz firm telekomunikacyjnych w Warszawie i zatrzymanie personelu, a teraz zanosilo się jeszcze na aresztowanie większości obcokrajowców w polskich szeregach. Można to było nazwać czystką, która natychmiast odbije się na gotowości bojowej kraju. Withmore prawie na sto procent zdradził, wielu podobnych do niego również. Tylko dlaczego zabili Hobbesa? Może i u nich ścierają się różne koncepcje i punkty widzenia? Te różnice mogły ocalić Polskę, bo w starciu z nawet osłabionymi Stanami Zjednoczonymi nie mieli żadnych szans. Zostaną rozjechani jak robak, który nieopatrznie wyszedł na ulicę.

– Wiesz, co się teraz stanie? – Jelski wydawał się kompletnie załamany.

– Pogrom.

– Właśnie. To odpowiednie słowo. Użyjemy naszych sił do rozwalenia czegoś, co z takim trudem budowaliśmy. Wyślemy F-16 do niszczenia naszych stacji radarowych i baterii rakiet Patriot.

– Wojna domowa to najgorsze, co nas mogło spotkać.

– Wszyscy, ale to wszyscy będą się przyglądać, jak się wybijamy, bo każdemu przyniesie to korzyść.

Byliśmy jak ogień na wietrze, nagły rozbłysk i... w pizdu. – Jelski machnął ręką.

– Adaś, ty mi tu nie histeryzuj, jest robota do wykonania.

– Nigdy nie sądziłem... – Jelski uderzył się pięścią w pierś – że wystąpię przeciwko swoim.

– Generale, to już nie jest zabawne. – Banach spróbował przywołać przyjaciela do porządku. –

Należy dowiedzieć się, na kogo możemy liczyć, a na kogo nie, a potem... – Palec Banacha uniósł się. – Zrobimy porządek. Czy wszystko jest jasne?

Jednostka miała swoje tradycje, kiedyś była dywizją, potem brygadą, a teraz stała się grupą ekspedycyjną. Jedno, co nie uległo zmianie, to niebieski beret. Obrona wybrzeża i desant na wrogą plażę to była ich domena.

Wielu spośród tych, którzy służyli tu od lat, już myślało, że wszystko rozleci się w diabły, dopiero przybycie Amerykanów tchnęło w skostniałe struktury nowego ducha. Tak naprawdę to stanowili jednostkę zmechanizowaną, z czołgami, wozami piechoty oraz amfibiami. Byli jak pieść, tam, gdzie trafiali, wróg szedł w rozsypkę.

Dla starszego sierżanta Dęgi łoskot gąsienic był jak muzyka dla ucha, rozkoszował się nim i nie potrafił się bez niego obyć. Swojego zwiadowczego Bradleya M3 znał na wylot, od silnika po koniec dwudziestomilimetrowego działka na wieży. U niego zawsze wszystko musiało grać, awarii nie przyjmował do wiadomości, podobnie jak narzekań kierowcy i celowniczego, z którymi przyszło Dędze służyć.

Regulamin to świętość, tylko ten kubeł z białą farbą i pędzlem doprowadzał sierżanta do szału.

Rozkaz był krótki i wyraźny, ale sama myśl o takim oszpeceniu pojazdu sprawiała, że mu się skręcała wątroba.

Białe pasy.

Czy oni kompletnie powariowali? Jakie białe pasy? Do szybkiej identyfikacji to są transpondery, a nie znaki wymalowane farbą na pancerzu.

I jak on ma to zrobić? Nie dalej jak wczoraj Bradley został wyczyszczony. W świetle zachodzącego słońca lśnił jak zaraz po opuszczeniu warsztatu, gdzie naniesiono na niego trójbarwny polski kamuflaż,

a teraz on tym pędzłem namaluje na nim gruby biały pas.

Należało się spieszyć. Podobno jadą na Hel. Jak on takim pojazdem pokaże się ludziom? Już lepiej, jakby został w cywilu.

Porucznik Paul Preace spróbował się przeciągnąć, lecz nie zdołał, ruchy krępowała uprząż, którą miał na sobie, i elementy wyposażenia. Najważniejsza była broń, już nie tradycyjny M4, tylko futurystyczna giwera na bezłuskową amunicję nadająca pociskom nadzwyczajną prędkość. Jeszcze ważniejszy od karabinku był skafander pełniący parę funkcji jednocześnie. Niby lekki, ale po trafieniu jego struktura wewnętrzna zagęszczała się, nie pozwalając na przebicie. Płynną zbroję, mieszaną glikolu i krzemionki, opracowano w laboratoriach DARPA, Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych, i to dekadę wcześniej. Przez lata ją modyfikowano, aż w końcu znalazła się na wyposażeniu elitarnych formacji. Do kompletu dochodził kask z wyświetlaczem HUD i najnowszymi systemami łączności. Tak wyposażony szturmowiec wystarczał za cały pluton tradycyjnie uzbrojonych żołnierzy.

Preace nie mógł się z początku przyzwyczaić do tych wszystkich technologii. Nadmiar danych go rozpraszał – zamiast koncentrować się na tym, co ważne, on przeglądał przebiegające przed oczami informacje. Rutyna przyszła po paru tygodniach. Będzie jak znalazł, gdy zaczną zajmować Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych w kompleksie przy ulicy Radiowej 2 na warszawskim Bemowie.

Nikt w kompanii nie spodziewał się silnego oporu. Polski system dowodzenia został sparalizowany, o wlocie transportowego Globemastera wiedzieli nieliczni. Kiedy się desantują, wpadną wprost na głowy tym frajerom. Jak się spodziewano, wewnątrz znajdowali się oficerowie, których do tej pory nie wyeliminowano. Przynajmniej nie trzeba się będzie za nimi uganiać po całym mieście. Wyciągną ich jak ssakiem. Ta żałosna kompania wartownicza nie da rady nikogo obronić.

Zgodnie z założeniem wkrótce w Warszawie dojdzie do zamieszek – kto wówczas będzie interesował się tym, co dzieje się na jej obrzeżach. Wygniotą obrońców jak pluskwy. Szkoda tylko, że wsparcie powietrzne mieli otrzymać od miejscowych. Własnych maszyn z Alaski ciągnąć nie chciano, za dużo z tym kłopotu, a lotniskowiec na Morzu Północnym na pewno wzbudziłyby podejrzenia. Zamiast zapewniać im osłonę, grupa morska opędzałaby się od francuskich, norweskich, duńskich i niemieckich jednostek, generując niepotrzebną ciekawość.

Nim Polacy zdążą zjeść śniadanie i wypić poranną kawę, będzie po wszystkim.

– Minuta do zrzutu.

Po lądowaniu przeszedł szmer zniecierpliwienia. Długi lot powoli się kończył. Preace wyraźnie czuł, jak maszyna zaczyna wchodzić na wyższy pułap. Kiedyś w takiej chwili był pełen niepokoju, dziś wydawało się, że emocje nie miały do niego dostępu. Zupełnie jakby przechodził na drugą stronę ulicy. Jedyne, na co się zdobył, to ziewnięcie dla wyrównania ciśnienia w uszach. Nic więcej. Obyło się nawet bez tradycyjnego sprawdzania, czy komandoszy założyli na siebie wszystko, jak należy. Na chodzenie od jednego do drugiego nie było po prostu miejsca. Zresztą po co? Tu każdy odpowiadał za siebie.

Wcisnął na głowę kask, który natychmiast uruchomił wewnętrzny interfejs. Wszystkie dane wyświetliły się na wizjerze, wysokość nad powierzchnią ziemi, ciśnienie, długość i szerokość geograficzna, odległość od celu, praca serca.

Wojna w tak komfortowych warunkach wydawała się czystą przyjemnością.

Dla majora Marka „Brzytwy” Nowickiego ta noc była pełna niespodzianek. Odkąd objął dyżur w powietrzu, jeden rozkaz gonił drugi. Wystartował, jak kazali, później zmienił operatora, o ile to był

operator, bo zachowywał się jak kompletny amator. Strzelanie do niewidzialnego drona sprawiło, że dostał gęziej skórki. Major wygarnął serię, a monstrum zważyło się w okolicach parku Łazienkowskiego. Dosłownie w parę sekund później prośba, tak właśnie, prośba... Facet go poprosił o zniszczenie ostatniego piętra Ochota Tower. Taki rozkaz wydała podobno osoba pełniąca obowiązki zwierzchnika sił zbrojnych.

Kompletnie powariowali. Czy im się wydaje, że jak odpali raketę, to ta precyzyjnie zmiecie nakazany cel bez uszkodzenia konstrukcji biurowca?

Jakoś się jednak udało, budynek nadal stoi, ale czy rankiem nie okaże się, że nadaje się już tylko do rozbiórki?

Odebrał gratulacje, szykując się powoli do powrotu, paliwo było na ukończeniu, a nocny lot wyczerpał go bardziej, niż Nowicki chciał przyznać.

Wykonywał właśnie zwrot nad Ursynowem, gdy radio zatrzeszczało ponownie. O co mogło chodzić tym razem?

– Brzytwa, mam dla ciebie kolejne zadanie.

– Paliwo się kończy.

– Ile masz czasu?

– Pięć minut.

– To nie zajmie aż tyle.

Gdy startował, wszystko wskazywało na to, że jest w siłach powietrznych, teraz już nie miał tej pewności.

– Pięćdziesiąt kilometrów od ciebie, na kursie 2–8–0 znajduje się transportowiec.

– Zrozumiałem.

– Masz go zestrzelić. To wróg. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej.

– Wykonuję.

Ruchem joysticka skierował szturmowiec na odpowiedni kurs. Transportowiec to nie myśliwiec, ale i tak należało zachować ostrożność, radar umieszczony przed kabiną pilota omiótł horyzont, echo było wyraźne. Już nie pięćdziesiąt, a czterdzieści pięć kilometrów dzieliło obie maszyny. Nowicki wybrał odpowiednią raketę z zestawu, na końcówkach skrzydeł i na pylonach pod nimi. AIM-120 AMRAAM był w sam raz. Wielka maszyna właśnie nabierała wysokości.

Już po tobie – pomyślał Nowicki.

AMRAAM zszedł z prowadnicy, ciągnąc za sobą białą smugę, i wkrótce znikł w porannej szarówce.

Instrumenty pokładowe od razu ostrzegły załogę Globemastera przed niebezpieczeństwem. Rakietą pędząca na nich z prędkością czterech machów miała osiągnąć cel w niecałe dwadzieścia sekund.

Pilot C-17 natychmiast włączył systemy utrudniające działanie radiolokatora pocisku. Starania przyniosły efekt. Rakietą poszła w bok i wybuchła z dala od transportowca.

– Wciąż jest na kursie.

To już nie był rozkaz, tylko ponaglenie. Jednosilnikowy szturmowiec przyspieszył, pożerając paliwo w zwiększonym tempie. Trzydzieści, dwadzieścia, piętnaście...

Nowicki uzbroił działko, ciężko oddychając pod maską tlenową.

– Wykończ go.

Pierwszą serią trafił w końcówkę prawego skrzydła. Olbrzymem zachwiało. Mała poprawka i druga poszła już bez pudła. Przeorany został kadłub i dwa silniki.

Pluton porucznika Paula Preace'a właśnie szykował się do skoku, gdy transportowiec zaczął wyczyniać dzikie harce. O ile do tej pory trzymali stałą wysokość, to teraz rzuciło nimi na prawo, a po

sekundzie zaczęli ostro się wznosić. Ładownię wypełniły wrzaski ludzi i jazgot syreny alarmowej. Na strach zabrakło czasu. Kadłub rozdarła potężna siła. Preace o mało nie upadł, kiedy tuż obok niego odleciał sporej wielkości fragment poszycia. W ślad za tym pofrunął jakiś człowiek, a zaraz po nim kolejny, i jeszcze jeden.

Ciągle jeszcze się wznosili, ale to już raczej nie potrwa długo. Silniki wyły na zwiększonych obrotach. Należało za wszelką ceną pchać przed siebie w stronę otwartych drzwi desantowych. Komandosi zaczęli przez nie wypadać jeden po drugim. Preace już się odbijał, gdy na jego plecy spadł olbrzymi ciężar, przygniatając porucznika do stalowej podłogi. Wizjerem wyróżnął w porzucony karabinek z taką siłą, że na chwilę wyłączyły się wszystkie wskaźniki. Najchętniej zerwałby z głowy ten cały szmelc, ale chęć ratowania życia przeważała nad doraźnymi potrzebami. Zaparł się na rękach, próbując podczołgać się bliżej zbawczej rampy. W dole Warszawa migotała białymi światełkami ulicznych latarni.

Panika ścisnęła porucznika za gardło, gdy Globemaster przestał się wznosić, przewalił się na prawe skrzydło i zaczął ostro nurkować. Bał się, że wpadnie do środka i już nigdy nie wydobędzie się na zewnątrz. Nadludzkiem wysiłkiem zrzucił z siebie bezwładne ciało i zaczął pełznąć do przodu. Samolot wpadał w korkociąg.

Przytomność stracił trzy sekundy później, gdy rzuciło nim o boczną wręgę. Na koniec zobaczył jeszcze sierżanta Sowell, pochłanianego przez płomienie z uszkodzonej instalacji paliwowej, i kaprala Olsona, któremu ostry kawałek blachy uciął stopę. Co najmniej połowa spośród tych, którzy wylatywali z nim, właśnie konała lub już pożegnała się z życiem.

I to miała być ta perfekcyjnie przygotowana akcja? Już nie miał czasu myśleć o tym, co czeka tych, którzy przylecą tu po nich. Gdzieś w założeniach tkwił błąd, tylko gdzie?

Pierwszy granat kalibru 155 mm spadł niecałe dwadzieścia metrów od czołgu porucznika Jakuba Słowikowskiego, budząc całą załogę z zasłużonej drzemki. Samemu Słowikowskiemu, który głowę oparł na gumowej osłonie termowizora, świadomość wróciła w ułamku sekundy. Wiedział, gdzie jest i co tu robi, nie potrafił jedynie zrozumieć, co się wkoło niego dzieje. Utknęli na tej cholernej szosie, nie mogąc wykonać żadnego manewru, nie dało się jechać ani do przodu, ani do tyłu, wszędzie, gdzie nie spojrzeć, tabuny osobówek, a na dodatek teraz zaczęto do nich strzelać.

Limuzyna, która jeszcze do niedawna była mercedesem klasy S, wyleciała w powietrze i opadła na szosę w kłębach dymu i ognia.

Dlaczego żandarmeria do tej pory nie oczyściła drogi, tak aby wozy batalionu pancernego mogły nią swobodnie przejechać, i gdzie właściwie te łajzy przebywają?

Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że znajdują się pod ostrzałem. Uświadomienie sobie tego faktu spadło na Słowikowskiego jak grom z jasnego nieba. W słuchawkach od razu dało się słyszeć podniecone głosy. Wszyscy wydawali się tak samo zdezorientowani jak i on.

Wróg dokładnie wiedział, gdzie się znajdują, bo bez wątplenia był to wróg. Słowikowski na wszelki wypadek przez otwarty właz próbował dojrzeć, czy przypadkiem nie są bombardowani, ale nie, to był na pewno ostrzał artyleryjski pociskami dużego kalibru. M109 Paladin lub Krab, ewentualnie któryś z systemów kołowych, i tutaj jedna myśl uderzyła Słowikowskiego – padli ofiarą pomyłki, tak zwanego przyjacielskiego ognia. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie z premedytacją strzelał do swoich!

Okolica zamieniała się w morze ognia. Cywilne samochody, niechronione przed fruwającymi w powietrzu odłamkami, były już płonącymi stertami złomu. Gęsty czarny dym spowił otoczenie. Ze znajdującego się w pobliżu nowego domu pozostały zgliszcza. Nikt z osób znajdujących się w środku nie miał szansy na ratunek. Wydawało się, że nastąpił koniec świata.

– Wszystkie wozy do przodu. – Ledwie słyszalny głos Kaufmana przebił się przez radiowe szumy i trzaski. – Granit 1, na co czekasz?

– Jachimek, słyszałeś? Zapiierdalaj!

– Dokąd, panie poruczniku?

– Przed siebie!

Wozem szarpnęło, i to mocno. Tuż obok detonował jeden z pocisków, obrzucając Abramsa ziemią, bryłami asfaltu i kawałkami metalu.

– Na co, kurwa, jeszcze czekasz? Zaraz nas tu usmażą!

– Nie mogę odpalić.

– Morales, szturchnij tego dupka, tylko porządnie!

Seria głośnych przekleństw po hiszpańsku brzmiała jak aria operowa. Generator w końcu zaskoczył i turbina zaczęła zasysać powietrze niczym gigantyczny odkurzacz.

– Jazda, cymbale!

Abrams ruszył jak spięty ostrogami rumak.

– Uważaj!

Jachimek wiedziony szóstym zmysłem nie przejechał po stojącym niedaleko nich kombi, tylko zahaczył o jego błotnik i odrzucił samochód dalej na pobocze.

– Granit 2.

– Aaa...

– Archer, zgłoś się.

– Ja...

– Co ty?

– Jadę tuż za tobą. – Polski Archera wciąż jeszcze pozostawiał wiele do życzenia.

– Wszystko w porządku?

– Yes.

– Tylko po polsku.

– Yes.

– Granit 3.

– Oni oberwali, panie poruczniku.

– Jaskuła, to ty?

– Tak jest. – Dowodzący wozem numer cztery starszy sierżant Antoni Jaskuła był jednym z filarów plutonu.

– Mocno?

– Seba próbuje gasić. Widzę też Aleksa.

Słowikowskiemu odrobinę ulżyło, może to tylko uszkodzenie, a nie całkowita kasacja wozu i załogi.

Skoro oni stracili jedną załogę, to jak to wyglądało w pozostałych plutonach, kompanii i całym batalionie? Abramsy mogły sporo wytrzymać, ale co z Bradleyami? Jeden celny strzał i będzie mielonka z całej drużyny piechoty.

Na wprost nich pojawiła się biegnąca kobieta, jej długie włosy falowały diabelskim ogniem.

– O Jezu... – szept Jachimka w interkomie zwrócił uwagę porucznika na niecodzienne zjawisko. Nim zdążył wykrztusić choć słowo, dziewczyna znikła w dymie.

– Granit 1, widzisz pole?

– Tak jest.

– Wał przez nie, dalej jest zagajnik.

Słowikowski przyklejony do peryskopu przyglądał się przedpolu. Do niedawna w obserwacji pomagała elektroniczna mapa, którą mógł wyświetlić na monitorze znajdującym się tuż obok swojego stanowiska, ale jak na złość dziś na ekranie pojawiała się tylko jedno słowo – error. Dupa błada. Szlag

trafił jedyne urządzenie, które pozwalało sięgnąć poza horyzont.

– Jachimek.

– Sie wie, panie poruczniku.

– No.

Wykonał zbliżenie skraju lasu. Przed czym próbował uchronić ich Kaufman? Może termowizor pomoże znaleźć odpowiedź.

Pomiędzy czarnymi i zielonymi plamami znajdowały się jaśniejsze obiekty i na pewno nie były to dziki. Jeden, drugi, doliczył się pięciu. Czego ci ludzie tam szukają? Od razu można było dostrzec, że to nie przypadkowe osoby złapane w potrzask artyleryjskiego ostrzału.

– Morales, widzisz to samo co ja?

– Ehe, panie poruczniku...

– Puść im ostrzeżenie.

Znajdujący się przy dziale karabin maszynowy kalibru 7,62 mm M240 wypluł długą serię, która wbiła się w ziemię tuż przed ścianą lasu.

– Ani drgną.

Jeżeli zaczęła się wojna, to dlaczego oni nic o tym nie wiedzą? Jeszcze wczoraj ani Bundeswehra, ani rusczy nie podejmowali przeciwko nim wrogich działań. Z tego, co można było usłyszeć w radiu, wysnuł wniosek, że obu sąsiadom raczej zależało na jak najszybszym zażegnaniu kryzysu. Może inwazji dokonali Turcy? Albo kosmici?

Sporo mówiło się o tym, że w Instytucie Wysokich Technologii doszło do jakiejś katastrofy, zginęła podobno cała masa ludzi, otworzyły się bramy piekieł i wypełzły przez nie stwory z innej galaktyki. Władze na informacji położyły łapę, nie pozwalając szerzyć się panice, niemniej tabloidy rozpisywały się o tym szeroko.

Pewne niejasności budziła broń, którą posługiwali się ci ewentualni kosmici, gdzie tu zaawansowana technologia? Konwencjonalne działa to raczej domena ludzi.

– Strzelają z ppk. – Głos Moralesa przeszedł w pisk.

– Wal.

Karabin maszynowy zaczął wypluwać pociski w kierunku stanowiska, z którego, jak się zdawało, została wystrzelona rakiet przeciwpancerna. Wkrótce na skraju zagajnika został skumulowany ogień całego plutonu. Strzelały M240 i półcalówki ze stanowisk zewnętrznych. Armata Granitu 4 stęknęła i lufę opuścił odłamkowy granat 120 mm.

Rakiet prowadzona przez operatora straciła namiar i wbiła się w ziemię niecałe trzydzieści metrów od ich czołgu.

Prowadzili ostrzał, aż ruch w zagajniku ustał całkowicie.

– Podjedź bliżej – polecił kierowcy Słowikowski.

Czołg niczym przedpotopowy stwór zaczął toczyć się przez kartoflisko. Słowikowski odrzucił właz i wypełznął na zewnątrz, odbezpieczając Browninga M2HB. Wiedział, że niepotrzebnie wystawia się na ryzyko, ale z tej pozycji miał o wiele lepszy widok ogólny.

Abramsy rozwinęły się w linię. Tuż za nimi szła reszta batalionu i był to batalion mocno niekompletny. Brakowało też wozów piechoty, czyli osłony, z jaką wchodzili do walki. Bez zaprawionego w bojach piechociarza same pancerne kolosy szybko stawały się łupem wroga. Raz się udało, po raz kolejny mogą nie mieć już tyle szczęścia.

– Granit 1.

– Zgłaszam się.

– Sprawdź, co to za jedni.

– Tak jest.

Słowikowski poczuł się bezbronny, gdy z Mini-Berylem w garści znalazł się poza chroniącym go

pancerzem. Od takich zadań to są zwiadowcy, a nie pancerniacy. Dlaczego Kaufman kazał sprawdzić pozycje właśnie jemu, a nie któremuś z podoficerów? Oficer nie jest chłopcem na posyłki. Może wiedza o tym, kogo załatwili, nie jest przeznaczona dla każdego?

Słowikowski splunął pod nogi, przeładował broń i sposobem, jaki podpatrzył u zwiadowców, ruszył truchtem w stronę nieodległej rozbitej pozycji przeciwnika.

W nozdrza uderzył go smród palonego tworzywa, od którego zbierało na wymioty. Oprócz plastiku dawało się wyczuć odór przysmażonego mięsa. Nawet nie chciał myśleć, co czują żołnierze z kompanii grabarzy penetrujący takie miejsca. Już lepiej wachać spaliny, niż ładować ciała poległych do plastikowych worków.

Wśród potrzaskanych pni i szerniałego poszycia dojrzał pierwsze zwłoki. Właściwie to nie były całe zwłoki, tylko fragment ręki z dłonią, aż do barku, reszty brakowało. Na nadgarstku zachował się zegarek Casio. Wydawał się cały, wskazywał aktualną godzinę 05.22.

Słowikowski rozejrzał się, splunął ponownie i ruszył przed siebie świadom tego, że kilkadziesiąt par oczu wbija mu się w plecy. Niech się gapią, byle tylko uważali na otoczenie, w czasie gdy on sprawdzał pobożowisko.

W końcu znalazł się w miejscu, skąd odpalono ppk. O ile wcześniej tylko odczuwał mdłości, to dopiero teraz żołądek podjechał porucznikowi do gardła. Obsługa została poszatkowana z półcalowych Browningów, ale nie to było najgorsze. Słowikowskim wstrząsnął widok uniformów, które wróg miał na sobie. To były polskie sorty mundurowe.

Przewyciężając słabość, zrobił parę kroków do przodu i pochylił się nad zabitymi. Buty, oporządzenie, hełm, wszystko dokładnie takie same jak w ich batalionie zmechanizowanym. Nawet ppk TOW to standardowe wyposażenie, podobnie jak Beryle, którymi posługiwali się napastnicy. Obaj zabici byli biali i równie dobrze mogli pochodzić spod Krakowa, jak i z Kansas.

Słaniając się na nogach, Słowikowski opuścił ten fragment zagajnika, kierując się kawałek dalej, gdzie znajdowało się ostatnie już stanowisko. I tutaj, podobnie jak wcześniej, zabici ubrani byli w polskie mundury.

O niczym to jeszcze nie świadczyło, choć dawało do myślenia.

Osmecki ocknął się z niespokojnego snu, szeroko otwierając oczy. Jeden z policjantów postawił przed nim kubek mocnej, parującej kawy i mrugnął.

– Dzięki.

Długa noc powoli dobiegała końca. Biurko, na którym opierał głowę, to zdecydowanie nie najwygodniejsze miejsce do spania. Pułkownika bolały kark i ramiona. Tak przekimac to dawało się za studenckich czasów, gdy do późna ślęczało się nad książkami, ale nie jak człowiek dobiegał czterdziestki.

Upił kawy, prawie parząc sobie wargi. Gliniarz do środka dodał cukier, a on wolał gorzką, ale co tam, raz się żyje. Apokalipsa za pasem. Odstawił naczynie i przeciągnął się. W paru miejscach zabolowały go otarcia i siniaki. Przynajmniej oddycha i popija kawę, chłopaki nie mieli tyle szczęścia.

Momentalnie poczuł obrzydzenie do samego siebie.

– W du...

– Coś pan mówił, panie pułkowniku? – zapytał posterunkowy, uczestnik wczorajszych eskapad Osmeckiego.

– Nic. Tak tylko. – Potarł dłonią szczecinę na szczęce. Był bez forsy i w pożyczonym ubraniu, nie pójdzie więc do sklepu i nie kupi sobie pianki i żyłek. Golenie musiało poczekać, inne sprawy nie. – Muszę do łazienki.

– Proszę uważać na schodach, czeka tam tłum ludzi.

– Kiedy przyszli? – Według zegarka była dopiero minuta po szóstej.

– Całą noc przyłazili na to wezwanie, cośmy je rozlepiali. – Posterunkowy przerwał wypełnianie obszernego druku. – Broni chcą.

– Czego?

– Wojnę podobno mamy. Do dziewiątej to my tu będziemy mieli ochotniczy batalion, ze trzystu chłopów jak nic. Zapisy trwają na bieżąco. Komendant już wyznaczył dowódców kompanii i plutonów. Pan się nie martwi, panie pułkowniku. – Posterunkowy nie wiedział, dlaczego Osmecki ma tak ponurą minę. – Paru ludzi z doświadczeniem mieszka w pobliżu. Głównie rezerwiści. Prochu może nie wachali, ale wiedzą, co i jak. Służyli dawniej, to i dziś sobie poradzą w razie czego.

– Nie bardzo rozumiem...

Gliniarz podszedł do okna i otworzył je szeroko. Dopiero teraz do uszu Osmeckiego dotarły dalekie, przytłumione odgłosy kanonady.

– Pod Ossowem działa grają, tak mówią.

Osmecki kompletnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie znał odpowiedzi na podstawowe pytania: kto się broni, a kto atakuje, które jednostki się zbuntowały, a które pozostają wierne, no i na koniec najważniejsze – jakie są szanse na wygraną. A może już należało szykować się do ucieczki?

– Pan oczywiście obejmie komendę nad całością.

– Ja? – Osmecki zdębiał.

– Nikogo innego nie mamy.

Wczoraj był oficerem w dyspozycji Banacha, a dziś los postawił go na czele batalionu przypadkowo zebranych ochotników.

– Odprawa odbędzie się za pół godziny. Im szybciej będziemy wiedzieć, na czym stoimy, tym lepiej.

– Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się.

– Przecież jest pan pułkownikiem?

– Ale wywiadu, nie liniowym.

Posterunkowy spojrział na Osmeckiego wzrokiem pełnym politowania.

– Proszę mi tylko nie mówić, że pan nie da sobie rady, bo w to akurat nie uwierzę.

– Zrobię oczywiście, co w mojej mocy.

– Trzeba było tak od początku, a nie zasłaniać się jakimiś tam... obiekcjami.

Osmecki spochmurniał. Zamiast robić to, do czego został stworzony, ech... Wszystko wskazywało na to, że na czele co najmniej kilkuset ochotników, z których większość nie miała pojęcia o strzelaniu, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanych manewrach, będzie uganiał się za o wiele lepiej przygotowanym do konfrontacji przeciwnikiem.

Skąd znaleźć dla tych ludzi broń? Trochę pistoletów i karabinków znajdowało się na komisariacie, ale dla wielu tego nie wystarczy. Myśliwi przyniosą swoje sztucery i dubeltówki, co i tak będzie kroplą w morzu potrzeb. Jak uzbroi co trzeciego, to już będzie sukces. Reszta wyruszy zaopatrzona w pałki, widły i siekiery. Tylko kos im brakowało.

Improwizacja w najczystszej postaci. Zupełnie jak przed jakimś powstaniem czy ludową rebelią.

Dobrze, że przynajmniej na razie nie brakowało zapachu. Będą zapewne przemowy i powiewanie biało-czerwonymi szturmówkami. Ksiądz wyciągnie z zakrystii kościelny sztandar, pobłogosławi i hajda na wroga. Konie zastąpią terenówkami w barwach narodowych, zupełnie jak na filmach, na których pokazują dżihadystów.

Autorzy odezwy chyba nie do końca zdawali sobie sprawę, jakie skutki ona wywoła, że uśpione geny odezwą się w rodakach. Larum grają, do broni, hej, kto Polak, na bagnety. Wszystko pięknie, ale co się stanie, jak ten tłum pełen zapachu stanie naprzeciwko dobrze uzbrojonych żołnierzy z karabinami maszynowymi, czołgami i śmigłowcami bojowymi? Masakra.

I to on ma ich do niej poprowadzić?

Łatwo nie będzie.

Na początek musi ogarnąć się sam. Wstał i skierował się do toalety. Nim do niej dotarł, już zebrał co najmniej kilkanaście gratulacji od przyszłych podwładnych.

Gdy przyjrzał się własnemu odbiciu w lustrze, nie mógł uwierzyć, że to on, a nie...

Telefon, który schował do kieszeni spodni, odezwał się miarowym buczeniem. Sięgnął po niego zupełnie odruchowo. Przyjrzał się wyświetlaczowi. Wszystko grało. Jak to możliwe? Cuda jakieś? Znak z nieba? Przecież wczoraj, jak wyczołgiwał się z Wisły, aparat był do niczego, mimo że, podobno wodoodporny, wyłączył się na amen. Zresztą i tak służył przeciwnikowi do namierzania osób i kontrolowania rozmów, więc nie był przydatny. Jak to się stało, że ponownie się uruchomił?

Wcisnął zieloną słuchawkę i przyłożył urządzenie do ucha.

– Osmecki – powiedział drżącym głosem.

Jeżeli to jankesi próbują się dowiedzieć, gdzie znajduje się jego skromna osoba, i za parę sekund szybująca bomba rozpieprzy komisariat, to trudno.

– Gdzieś ty się podziewał?!

– Pan gene...

– A kogo się spodziewałeś?

– Ale...

– Słuchaj uważnie. – Banach nie pozwolił dojść Osmeckiemu do słowa, kreśląc w paru zdaniach wydarzenia wczorajszego wieczora.

A więc Borzęcki miał rację, sugerując zlokalizowanie firmy, która kontrolowała cały system. Podobno teraz było już okej.

Osmeckiemu może nie kamień, ale kamyczek spadł z serca. Łączność jest kluczową sprawą, gdy prowadzi się wojnę.

– Gdzie znajdowała się ta centrala?

– W wieżowcu na Ochocie. Z najwyższego piętra niewiele pozostało. Walnęliśmy rakieta dla lepszego efektu.

– Same gruzy? – Osmeckiemu zachciało się śmiać.

– Może nie tak do końca. Ludzie Oskara obiecali, że wyciągną ze sprzętu, co go tam nazwozili, ile tylko się da. Oni nigdy się nie poddają. Na pewno ocalało parę twardych dysków, a wiesz, co to znaczy?

– Że teraz to my możemy dobrać się im do dupy.

– Prawie.

Kolejny problem. Osmecki czuł go wyraźnie.

– Za pół godziny zaczną desantować się nad Polską ich jednostki specjalne. Parę transportowców już zestrzeliliśmy, ale to wciąż za mało.

– Jak mogę pomóc?

– Twoje zadanie nie ulega zmianie. Masz wytropić tego sukinsyna, co to się urwał z Helu. Chłopaki z Agatu są już niedaleko.

– Naprawdę? – Po raz pierwszy od początku rozmowy Osmecki ucieszył się z całego serca.

– Myślałeś, że żartuję?

– Nie, ale...

– Muszę kończyć. Mamy tutaj istne piekło. Wyobraź sobie...

Sprzęt, który trzymał w dłoni, był zaiste pierwsza klasa. Słyszał było przez niego tak wyraźnie, jakby stał obok rozmówcy, gawędząc w cztery oczy. To, co usłyszał przed chwilą, to zdaje się był odgłos karabinu maszynowego.

– Co się tam dzieje?

– Przecież mówiłem... część z tych, którym udało się wylądować, przystąpiła do ataku. Podobno jest ich tylko paru ale... poczekaj.

Tym razem jazgot strzałów był o wiele wyraźniejszy.

– Te palanty są opancerzone jak czołgi. Nie dość, że ciężko trafić, to jeszcze gnida się rusza po wywaleniu w nią całego magazynku. Chłopaki właśnie dopadli jednego, ścierwo wygląda jak...

W dalszej wypowiedzi Banachowi przeszkodziła potężna detonacja.

– Halo?

Piski i trzaski nie pozwalały zorientować się, co zaszło w kwaterze.

– Halo?

Kanonada rozpętała się na nowo.

– Stasiu?

– Tak?

– Oni tu...

Dalsze słowa zostały zagłuszone przez kolejny pisk. Tym razem dźwięk wznosił się tak, że Osmecki nie mógł dłużej utrzymać aparatu przy uchu. Połączenie zostało przerwane, a on kompletnie nie wiedział, co ma o tym sądzić. Wyobraźnia podpowiadała mu, że doszło tam do niewyobrażalnego nieszczęścia.

Wróg był wyjątkowo zdeterminowany. Osmeckiego dodatkowo zaciekawiał fakt, jakiej to też technologii używali tym razem jankesi. Panczerze? Po raz kolejny Polacy zostali zaskoczeni. Cieszyli się jak dzieci, gdy dostali Abramsy i Patriots, a tymczasem tamci poszli o wiele dalej. Co będzie następne? Przywalą im pociskami hipersonicznymi zdolnymi rozwijać prędkość paru machów? Przed taką bronią nie ma ucieczki ani obrony, przełamywała stosowane obecnie systemy obronne bez najmniejszego problemu.

Ucieszył się, gdy telefon odezwał się ponownie.

– Halo... generale.

– Pułkownik Osmecki?

– Kto mówi?

– Major Ciepliński. Agat. Strasznie ciężko się z panem skontaktować. Próbuję od co najmniej kilkunastu godzin. Już straciłem nadzieję.

– Gdzie się właściwie znajdujecie?

– Właśnie minęliśmy Ożarów.

Czyli byli jakieś piętnaście kilometrów od niego. Nie tak daleko, nawet jeżeli kolumnie przyjdzie się przebijać przez zatłoczone tereny miejskie. Ale żeby tyle godzin z Gliwic?

– Co was zatrzymało?

– Jak przyjedziemy, to opowiem.

Głowę dałby, że Ciepliński zgrzytnął zębami.

Ależ się jej chciało pić. Oblizywanie spierzchniętych ust niewiele pomagało, a jedynie wzmagało udrękę. To jakiś koszmar, dlaczego nie może otworzyć oczu i sięgnąć po butelkę wody? A tak, zdaje się, że niczego takiego nie miała przy sobie.

Z trudem przychodziło jej przypomnienie sobie, kim jest i co robiła wcześniej. Mózg podsuwał jakieś obrazy, ale czy mogła im zaufać? Picie wińska z brudnym menelem to chyba nie ona? Bo normalnie to jedynie źródłana z butelki. Woda. Odda wszystko i każdemu za łyk chłodnego płynu.

Nabrała powietrza do płuc i aż stęknęła porażona bólem. Tułów był sparaliżowany. Koszmarne uczucie. Niczego podobnego się nie spodziewała. Przypomniała jej się przerażona i skrępowana dziewczyna na polanie, a potem druga na nadrzecznej plaży. Samochód. Jechała samochodem. Wypadek i szpital. Fakty zaczęły wypływać na powierzchnię jej pamięci. Nazywała się... a zresztą czy to ważne? Ten siwy dziadek to jej wróg czy przyjaciel?

Bielawa... o tak... nazywa się Bielawa? Dziwne, umysł nie potrafił dać odpowiedzi na tak proste pytanie. Zupełnie jakby pływała w kisielu. Poszczególne neurony w jej mózgu nie mogły powiązać wielu wydarzeń. W końcu dokonał się przełom. Chciała wstać, ale nie potrafiła. W nozdrza uderzył ją zapach środków dezynfekujących. Czuła i słyszała, ale nie mogła otworzyć oczu ani unieść ręki. Co jest? Nigdy wcześniej nie miała takich problemów.

W końcu zdobyła się na tytaniczny wysiłek. Lewa powieka drgnęła i przez powstałą szparkę mogła dostrzec wielką białą powierzchnię. Chyba umarła. Jeżeli tak, to gdzie się znajduje? Czy tak właśnie wygląda piekło? Bez wątplenia cierpiała, choć ból dawał się opanować. Może to raj? Ale i tu pojawiły się wątpliwości. To na pewno jakiś stan pośredni.

Niedługo wszystkiego się dowie, przecież nie będzie trwać w zawieszeniu bez końca.

– Przyczołgałam się, jak tylko się dowiedziałam, kogo przywieźli.

Kto to powiedział?

Powieki, których nie potrafiła sama otworzyć, zostały rozwarłe na siłę.

– Aaa...

– A jęcz sobie, jęcz.

Anioł czy demon? Postać wyglądała jak anioł, ale zachowywała się jak zły duch.

– Poznajesz mnie?

– Eee...

– Gwarantuję, że sobie przypomnisz.

– Pić.

– Z mojej ręki nigdy się nie doczekasz.

W polu widzenia pojawił się kolejny dręczyciel.

– Pani Oliwio, co pani wyprawia najlepszego? Przecież powinna pani leżeć. Jak ja mam panią upilnować?

– Musiałam sprawdzić, kto tu leży.

– Rodzina?

– Nie, ale też bliska osoba.

Trudno powiedzieć, co uratowało życie porucznikowi Paulowi Preace'owi: skafander, nowy rodzaj spadochronu, jakim się posługiwał podczas desantowania, czy też kaprys Boga, który pozwolił mu przeżyć upadek z wysokości kilkuset metrów. Od kiedy wypadł z transportowca, nic nie pamiętał, uderzył wówczas głową o element konstrukcyjny C-17 i odpłynął. Ocknął się właśnie tutaj, na płaskim dachu budynku gdzieś na Żoliborzu, a może to były Bielany albo Wola? Elektroniczną mapę, która powinna się wyświetlić, bądź to przed oczami na hełmowym wyświetlaczu, bądź też na lewym przedramieniu, szlag trafił. W ogóle cały system szwankował. Najprawdopodobniej uszkodzone zostało zasilanie.

Preace wstał, z trudem zrzucając z ramion uprząż spadochronu. Właściwie był to zestaw minisilników, pozwalających wytracić prędkość, przymocowany do krótkich skrzydełek. Dysze korygowały kierunek lotu, a nawet pozwalały dokonywać ślizgów na odległość paru kilometrów. Więcej się nie dało z powodu niewielkiej ilości paliwa wystarczającej na zaledwie półminutowy lot i bezpieczne przyziemienie. Był to znaczny postęp wobec płachty materiału, której używano do tej pory. Ubrany w cały ten zestaw przypominał monstrualnego owada.

Wyciągnął karabinek z uchwytu na piersi i podszedł do krawędzi dachu. Musiał uważać, bo wciąż niewiele widział. Oparł nogę o wystający element i spojrzał w dół. Pusta ulica, drzewa, szereg zaparkowanych samochodów. Normalnie wystarczyłby jeden ruch i wylądowałby na chodniku, a tak przyjdzie tarabanić się po schodach.

Ponieważ zasilanie wciąż szwankowało, zaczął sprawdzać wszystkie styki, zwłaszcza te przy akumulatorze. W końcu system się uruchomił, co niezmiernie ucieszyło porucznika. Gdy ponownie przestał działać, Preace mocno się zdenerwował. Przynajmniej wiedział, gdzie tkwi problem. Po zresetowaniu system zaczął pracować bez wyczuwalnych błędów.

Znajdował się z półtora kilometra od miejsca, gdzie miał wylądować pierwotnie. Reszta z tych, którzy przeżyli katastrofę, właśnie szturmowała dowódczy kompleks. Dołączenie do nich stawało się absolutnym priorytetem.

Zlokalizował znajdujący się niedaleko właz prowadzący na klatkę schodową. Gdy szarpnął za uchwyt, okazało się, że jest on zamknięty od środka. Szkoda czasu na zabawę. Odstrzelił zawiasy i odrzucił klapę. Stalowa drabinka wiodła w głąb mieszkalnego bloku. Zsunął się po niej, stając na najwyższym podeście. Teraz cztery piętra w dół. Już chciał zbiec, gdy otworzyły się drzwi jednego z mieszkań. Stanął w nich facet w gaciach, z bejsbolem w garści.

– Co to, kurwa, za hałasy?

Umysł jegomościa zaskoczył w tym właśnie momencie. Oczy o mało nie wypadły mu z orbit. Takiego dziwadła to on jeszcze nie widział.

Brak miejsca sprawił, że zamach był krótki. Końcówka kija ugodziła porucznika w kask. Cyborg zmarł.

Jeżeli ta cholerna aparatura ponownie ulegnie uszkodzeniu, mocno się wkurwi. Mógł strzelać, ale marnowanie pocisków na takie indywiduum miało się z celem. To zupełnie jak wygarnięcie do muchy z armaty. Zwykłe walnięcie pięścią w mordę w zupełności wystarczy.

Nim jednak zdążył delikwentowi przyłożyć, drzwi się zamknęły. Może to i lepiej.

Preace zaczął zbiegać po schodach, próbując nadrobić stracony czas. Wypadł z klatki schodowej wprost na psa obgryzającego kość. Zwierz warknął, łypiąc na porucznika przekrwionymi oczami. Właściciela nigdzie nie dawało się dostrzec. Zdecydował się na obejście, lecz bydlak rzucił się na niego z głośnym ujadaniem.

Dobrze wymierzony kopniak teoretycznie powinien zakończyć sprawę. Kły nie przebiją płynnej zbroi.

Noga porucznika wystrzeliła w górę, trafiając w masywną pierś czworonoga. Zwierzę zostało odrzucone, zaskomlało i odbiegło w bok.

Wystarczy tych pieszczot. Znajdował się w Warszawie zaledwie od paru minut, a już był atakowany dwa razy.

Uruchomił karabinek gotowy rozpruć każdego, kto zdecyduje się stanąć mu na drodze. Jak się nie pośpieszy, bitwa o zespół budynków dowództwa rozstrzygnie się bez jego udziału.

W ustaleniu kierunku pomógł mu wyświetlacz, oznaczając całą trasę do pokonania na zielono. Od razu narzucił sobie szybkie tempo. Może nie był jak Flash, najszybszy człowiek świata, ale i tak mógł równać się ze sprinterami najwyższej klasy. Najważniejsze to zachować siły na samą walkę. Nie sztuka dobiec do bramy kompleksu z wywalonym jęzorem. Wykonanie właściwego zadania rozpocznie właśnie wtedy.

Przynajmniej się nie pocił. To, czym wyłożono zbroję, absorbowало wszelkie ciecze, pozwalając zachować komfort termiczny.

Radiowóz na sygnale pojawił się po lewej. Preace obrócił się i nacisnął spust. Broń zabuczała, pociski zostały wyrzucone z lufy z nieziemską prędkością. Po uderzeniu w cel rozerwały na strzępy metal, szkło i ciała. Sygnał urwał się w jednej chwili.

Na ostatnim odcinku Preace jeszcze przyspieszył. Bitwa właśnie dogasała, a on wciąż nie dotarł na miejsce.

Przemknął nad nim Black Hawk, lecz nikt z załogi nie zwrócił uwagi na samotną postać. Do pokonania pozostało najwyżej trzysta metrów. W końcu dojrzał wartownię, nad którą unosiły się kłęby smolistego dymu, oraz rozbity wóz bojowy. Śmigłowiec zataczał kręgi nad budynkiem sztabowym.

W środku wciąż trwała walka.

Normalnie w powietrzu krążyłyby ich drony zwiadowcze, przekazując w czasie rzeczywistym informacje do systemów bojowych kombinezonu. Tym razem przyszło walczyć bez nich. Identyfikacją celu zajmowały się optyczne i elektroniczne sensory wbudowane w hełm.

Trzech żołnierzy – oficera i dwóch szeregowych – skosił, nim jeszcze przeskoczył mur oddzielający teren wojskowy od ulicy.

W pobliżu znajdował się tylko jeden z komandosów zespołu szturmowego, kapral James Alba, prowadzący pojedynek z paroma przeciwnikami równocześnie. Kładł ich równymi, krótkimi seriami, sam pozostając niewrażliwym na ostrzał. Płynna broń wytrzymała uderzenia pocisków kalibru 5,56 mm. Co za cudowny wynalazek pozwalający czuć się nieśmiertelnym.

Nic jednak nie może trwać wiecznie. Helikopter wykonał zwrot, ustawiając się bokiem. Nim kapral uporał się ze wszystkimi wartownikami na ziemi, strzelec przy karabinie maszynowym rozpoczął ostrzał. Obracające się lufy wypluły strugę ognia. Albie nic już nie mogło pomóc, ani wymyślne systemy obronne, ani broń. Żołnierz dosłownie został rozerwany.

Preace dłużej nie czekał. Wymierzył w Black Hawka, stając się prawdziwą maszyną zagłady. Helikopter zakołysał się. Pilot stracił nad nim panowanie, a może i oberwał.

Potężny huk walącego się na ziemię śmigłowca zagłuszył odgłosy trwającej bitwy. Fragmenty maszyny rozsypały się po okolicy, a do kilku szalejących pożarów dołączył kolejny.

Centrum dowodzenia znajdowało się zaraz za zakrętem. W wąskich korytarzach i salach Polacy nie będą mieli szansy na zwycięstwo. Nikt tam nie użyje ciężkiej broni, nie strzeli z granatnika ani nie zacznie naparzać z ciężkiego karabinu maszynowego. Generałowie i informatycy cenili sobie spokój, do obrony mając co najwyżej pistolety. Skoro jednak tak, to dlaczego ta nora nie została jeszcze zdobyta?

Starcie trwało tuż przed wejściem. Normalnie kompania, w której służył, poradziłaby sobie bez problemu, biorąc sztab i ochronę z zaskoczenia. I to bez strat własnych.

Plan, który świetnie wyglądał na papierze, rozsypał się jednak, gdy przystąpiono do jego realizacji. Globemaster został zniszczony, kompania unicestwiona. Obrońcy osaczali komandosów, wybijając jednego po drugim. Nie miało znaczenia, że sami też ginęli. Na jednego martwego Amerykanina przypadało pewnie dziesięciu Polaków. Tym razem teoria, że lepiej mieć nielicznych zawodowców przeciwko armii zwykłych obywateli, nie sprawdziła się. Porucznik pamiętał zgodny chór autorytetów ze szkoły oficerskiej, że profesjonaliści zawsze pokonają armię z poboru. Ci mędrcy zapomnieli, że profesjonaliści też się zużywają. To tak jak ze skorpionem zaatakowanym przez mrówki. Z całym mrowiskiem nie wygra.

Ikonki informujące o ocalałych żołnierzach z kompanii Preace'a nikły jedna po drugiej. Gdy tu wkroczył, było ich jeszcze siedem, teraz pozostało czterech, trzech...

Zaczął ostrzeliwać okna koszar, skąd wystawiono lufę erkaemu, lecz robił to bez przekonania.

Zemściło się to, że walczyli w znacznym rozproszeniu. Czyżby poza nim nie przetrwał żaden oficer koordynujący atak?

Kolejny symbol, tym razem sierżanta Samuela Coopera, zgasł. To już nie porażka, to klęska.

Pojawienie się trzech Humvee przelało czarę goryczy. Porucznikowi nie pozostało nic innego, jak rozpocząć odwrót.

Ostrzeliwując się, pobiegł w stronę spokojniejszej części obiektu. Broń przyjęła na siebie uderzenie pocisku, który trafił w plecy, i kolejnego, tym razem wymierzonego w udo. Noga niespodziewanie zeszytniała, zupełnie jak przy kopniaku. Miał ochotę zawyc.

Schował się za drzewem. Wyczekał, aż prześladowcy pojawią się w polu widzenia, i skosił ich jedną serią.

Unicestwienie wroga nie przyniosło ulgi. Był sam w stolicy państwa, z którym rozpoczęli wojnę, i to bez żadnego wyraźnego powodu.

Przedostatni uczestnik desantu właśnie padał. Preace nie chciał tego oglądać. Niedługo przyjdą i po niego. Musi pryskać, odpocząć i zastanowić się, co dalej. Inwazja nie kończyła się na jednej kompanii. Najlepiej, jak przeczeka do podciągnięcia sił głównych. W mieście to niemożliwe, ale poza nim już tak.

Wyświetlił mapę Warszawy i okolic. Pamiętał, że na północ i zachód rozciąga się sporych rozmiarów kompleks leśny Kampinos. Jeżeli okaże się sprytny i zmyli pościg, przetrwa do wieczora, później to już z górki.

Przyjrzał się okolicy. Czysto. Dłużej nie może zwlekać. Przesadził ogrodzenie i pobiegł ulicą, byle dalej od tego przekłętego miejsca.

– Są już nad Poznaniem.

– Proszę poczekać.

– Nie ma czasu.

– Sprowadzić lekarza! – Banach wiedział, że konflikt wchodził w decydującą fazę, ale nie potrafił zdobyć się na odstępianie od Jelskiego, z którego ust wydobywała się ślina i krwawe bąbelki. Cała kurtka mundurowa przesiąkła na czerwono.

Generał spazmatycznie łapał powietrze, a jego oczy wpatrywały się w otaczających go ludzi ze strachem.

– Adaś, nic ci nie będzie.

Jelski próbował się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego jedynie grymas.

– Niedługo odstawimy cię do szpitala. – Banach wiedział, że mija się z prawdą, kłamstwa w niczym tu jednak nie pomogą. Jelski umierał, i to na jego rękach. – Jeszcze wybierzemy się do Łazienek.

– Generale... to pilne...

– Nie rozdwoję się! – Wszystko przez jednego parszywego skurwysyna, który wpadł tu, siekąc seriami na prawo i lewo. Położył chyba ze dwudziestu znajdujących się w środku ludzi, zanim ciśnięty granat nie sprawił, że padł na podłogę ogłuszony po wybuchu, a i później trudno go było dobić. W końcu któryś z ochroniarzy Banacha zaszedł drania od tyłu i wbił siekiere w kark bydlaka. Jedno uderzenie nie wystarczyło, dopiero po piątym sytuacja została opanowana.

Należało to sobie powiedzieć otwarcie, bez obstawy szefa wywiadu na pewno by sobie nie poradzili.

Jelski wyprężył się, ostatni oddech, oczy uciekły do tyłu. Banach ostrożnie położył głowę przyjaciela na podłodze. Od zawsze udawał twardego typu, lecz tym razem był roztrzęsiony.

– Jakie rozkazy?

– Słucham?

– Jakie są rozkazy?

Do tej pory umysł Banacha zaprzętała wyłącznie bitwa w najbliższym otoczeniu, zapomniał, że front jest szerszy.

– Gdzie są? – zapytał.

– Grupa pierwsza mija Poznań, druga jest w Zatoce Gdańskiej.

Generał przyjrzał się swoim zakrwawionym dłoniom. Wzbierająca w nim wściekłość musiała znaleźć ujście.

– Co w tej chwili mamy w powietrzu? – zapytał cicho, choć w środku trząśił się ze złości.

– Pojedyncze maszyny z różnych baz.

– Niech atakują, to nasza jedyna szansa. – Może i odzyskali kontrolę nad Achillesem, ale to nic jeszcze nie znaczyło. – Jak wygląda obrona przeciwlotnicza?

– Gorzej, niżbyśmy chcieli, system identyfikuje wroga jako nasze własne samoloty. Konieczne staje się potwierdzenie wzrokowe, a tego, jak wiadomo, mogą dokonać jedynie piloci.

– Zrobimy tak, proszę przekazać rozkaz przyziemienia dla wszystkich maszyn, jakie znajdują się w powietrzu, oprócz myśliwców. Jeśli któryś się nie zastosuje, natychmiast ma zostać zestrzelony.

– Dojdzie do przypadkowych strąceń.

– Gównu mnie to obchodzi. Jeżeli ktoś nie wykona polecenia, sam sobie będzie winny – rzucił Banach.

– A co z jednostkami wojsk lądowych? Wiele brygad i batalionów zostało skierowanych do miejsc, w których, jak się wydaje, ich obecność jest przypadkowa – odezwał się kolejny oficer, tym razem z naszymi 6 Brygady Powietrznodesantowej na ramieniu.

– Absurdem jest myślenie, że w tym nie ma sensu. Ci z Ochota Tower musieli mieć w tym jakąś myśl.

– Z tego, co wiemy, 1 Brygada Pancerna znajduje się pod silnym ogniem. Przeciwnik został zidentyfikowany, jest nim 30 Brygada Pancerna. Wcześniej nie mieliśmy pojęcia, że opuściła rejon stacjonowania i udała się na południe. Podobnie sprawa ma się z 13 Półflotyllą. Teoretycznie jest pod Ustką, ale praktycznie to raczej pod Warszawą. Z iloma podobnymi przypadkami możemy mieć do czynienia?

– No, jak się panu wydaje? – zapytał Banach.

– Trudno jednoznacznie powiedzieć, choć schemat układa się w ten sposób, że wszystko, na co mogli liczyć Amerykanie, ściągnęli w pobliże stolicy. Proszę spojrzeć. – Oficer podszedł do mapy i wskaźnikiem zaznaczył dwa obszary. – Jeżeli informacje o grupie komandora Nyanzale potwierdzą się, to kutry bojowe znajdują się gdzieś tutaj.

O ile Banach dobrze dojrzał, to oficerowi chodziło o Łomianki.

– Z kolei bataliony 30 Pancerniej operują od Wołomina do Zielonki. Na południe od Rembertowa są nasi. Innych dużych jednostek w pobliżu stolicy jak do tej pory nie zaobserwowaliśmy. Nie mówię, że ich nie ma, bo jak pokazuje przykład 30 Pancerniej, wszystko może się zdarzyć. Sądzę jednak, że do tej pory już by ujawniły swoją obecność.

– A te desanty? – dopytywał generał.

– Moim zdaniem sprawa jest prosta. Amerykanie mają świadomość tego, że jest ich po prostu za mało. Te parę tysięcy... dobrze mówię, parę, bo naszych wrogów jest nie więcej niż cztery–pięć tysięcy zorganizowanych w dwa związki bojowe. Do tego należy doliczyć kilkuset dywersantów działających na terenie miasta stołecznego oraz na obszarze całego kraju. Do zastrzelenia niewygodnego oficera z naszych jednostek wystarczy w sumie dwuosobowa sekcja. W skrajnych przypadkach zadanie wykona jedna osoba. Trudno powiedzieć, ilu sympatyków mają w całych siłach zbrojnych. Przy całkowitym powodzeniu ci ujawniliby się od razu. Jak na razie nic podobnego nie miało miejsca, przynajmniej nie na masową skalę. Proponuję, aby rozkazy były przekazywane dwóm osobom, dowódcy i jego zastępcy. Ja wiem, to skomplikuje dowodzenie, ale unikniemy w ten sposób aktów celowego wprowadzania w błąd.

– Jeden będzie patrzył drugiemu na ręce?

– Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

– Dobrze, zgadzam się.

Myśli Banacha odpłynęły już ku bliskiej przyszłości. Każdy, komu udowodnią udział w spisku, wylądować za kratami. Żadnej litości. Dezerterzy i zdrajcy pod ścianę. Dotychczasowy układ ze Stanami Zjednoczonymi do kosza. Nad dalszymi reperkusjami jeszcze się zastanowi. Kolejne kroki wcale nie muszą różnić się od tego, co zrobili jankesi. Postąpią tak samo, działając cicho i perfidnie.

Mogą też wypalić z grubej rury i przedstawić dowody na rolę Korei Północnej w działaniach na Bliskim Wschodzie i podczas epidemii w USA. Stany nie będą miały wyjścia. Na Półwyspie Koreańskim rozpęta się wojna, do której wciągnięte zostaną Chiny, Japonia i Rosja. Pierwsza ze stron, która poczuje, że bierze w skórę, użyje broni jądrowej.

Chyba jednak lepiej zostawić ten argument w sejfie. Detonator zagłady ludzkości, tak o tym myślał. W czasach, w jakich przyszło im żyć, każdy układ wydawał się możliwy. Rosja z USA kontra Chiny, a może Chiny i USA przeciwko Rosji? Już nie miliony ludzi, jak obecnie z Azji i Afryki, lecz miliardy zaczną zastanawiać się, gdzie znaleźć nowy dom. A gdzie wyruszą w poszukiwaniu lepszej przyszłości?

Nigdzie. Nastąpi nowy okres walczących królestw... tfu... państw, państweczek, emiratów, kalifatów. Na powierzchnię wypłyną największe szumowiny, bestie, które normalnie wegetowały na obrzeżach ludzkich społeczeństw. Bezprawie stanie się normą. Spadkobiercy Stanów Zjednoczonych nigdy tego Polsce nie zapomną.

– Resztę tych, którzy wylądują, musimy wybić w bezpośredniej walce – podjął po chwili generał.

– Widział pan tych, którzy tu nabałaganili? Było ich tylko kilku. Na pokładzie każdego transportowca znajduje się ze stu pięćdziesięciu kolejnych. W sumie będzie ich z siedem, siedem i pół tysiąca, a mają siłę trzech dywizji.

– Wiem, zabraknie nam żołnierzy. Dlatego im więcej dorwiemy tych z C-17, tym lepiej.

– Oni pewnie spodziewają się, że nasza obrona powietrzna jest po ich stronie lub też pozostanie bierna.

– I mnie się tak zdaje. Kiedy sprzątniemy większość z nich z nieba, reszta wpadnie w panikę.

– Oby miał pan rację, generale.

– Robimy tak... pan, panie Skokowski, z pierwszą kompanią zajmie rejon mostu Północnego i oczywiście obsadzi sam most. – Osmecki wpatrywał się w zwykłą turystyczną mapę, próbując wyobrazić sobie, co też planuje zrobić ich przeciwnik.

To na pewno nie będzie nic wyrafinowanego. Koryto Wisły niosło ze sobą ograniczenia. Wpłyną do miasta i co? Przyjdzie im zacumować przy Centrum Nauki Kopernik, stworzą obronę okrężną i poczekają na kumpli, którzy przedrą się z Pałacu Prezydenckiego. Potem odwrót.

Z tą gromadą ochotników nie zabezpieczy wszystkich newralgicznych punktów. Większość z tych, którzy się zjawili, nadawała się co najwyżej do ochrony marszu w Dniu Niepodległości, a nie do operacji wojskowej, chociaż każdemu z nich wydawało się, że jest komandosem. Umundurowanie własne, stare i nowe. Ten i ów w hełmie, paru w czapkach, inni pod beretami. Uroczą dowolność.

Z bronią było różnie. Do każdej grupy dołączył policjantów z karabinkami. Reszta – co kto miał. Wiatrówkę i replik ASG też nie brakowało. Wyznaczył osoby odpowiedzialne za łączność w plutonach i komisariacie. Informacje miały przychodzić na bieżąco.

Przynajmniej transport przedstawiał się przyzwoicie. Terenówki małe i duże, ciężarówki i jeden BRDM bez uzbrojenia, lecz z bojową załogą.

Próbowali zatrzymać jeden z wojskowych konwojów: żołnierze tylko wytrzeszczyli oczy na zbieraninę Osmeckiego i zasłaniając się pilnymi rozkazami, pojechali dalej.

Wszystkie te problemy nikły przy jednym, na przedpolach Warszawy trwała właśnie bitwa. Mosty wkrótce zostaną zablokowane przez uchodźców. Już od jakiejś godziny dawało się zauważyć wzmożony ruch ze wschodu. Należało się spodziewać, że to dopiero początek exodusu. Jak ci z 1 Kompanii nie udroźnią ruchu, dojdzie do masakry.

– Panie Skokowski.

– Tak?

– Niech pan rusza jak najszybciej. W razie kłopotów przyślę kogoś do pomocy.

– Może pan na nas liczyć.

Kapitan rezerwy emanował pewnością siebie. Choć podchodził pod siedemdziesiątkę, wyglądał dziarsko i przynajmniej wiedział, jak wydawać rozkazy.

Samochody i ściągnięty autobus ruszyły w pięć minut. Imponujące osiągnięcie.

– Druga kompania, zbiórka.

Ludzie podzieleni na plutony zaczęli gromadzić się na chodniku. Tym z kolei przypadło w udziale rozeznanie terenu na południe od mostu Północnego. Trzecią kompanię pozostawił w odwodzie. Nikt nie

musiał wiedzieć, że była najmniej liczna i składała się z najstarszych „poborowych”. Wszyscy bez wyjątku dumnie paradowali z biało-czerwonymi opaskami, a braki w wyszkoleniu nadrabiali dziarskimi minami.

Osmecki zaczynał się niecierpliwić. Jego główne siły uderzeniowe, czyli grupa szturmowa z Agatu, wciąż nie przybywały. Nie chciał popędzać Ciepłińskiego, ale jeśli nie zjawią się w ciągu kwadransa, będzie zmuszony dowiedzieć się, co się z nimi stało.

Nisko na niebie pojawiły się cztery AH-64. Pułkownikowi od razu zrobiło się nieprzyjemnie. Możliwe, że jeden z nich rozwalił wczoraj motorówkę, na której pływał.

Squad nad miastem wzięły się bojowe helikoptery, nie wiedział. Najważniejsze, że nie atakowały tej pstrokatej zbieraniny przed komisariatem, tylko kierowały się dalej na wschód. Parę serii z działek bądź salwa niekierowanych rakiet 70 mm typu Hydra wystarczyłoby, żeby ocaleli rozeszli się do domów, słusznie oceniając, że wojna to nie jest zajęcie dla nich.

Osmecki osobiście nic nie miał do obrony terytorialnej czy też organizacji proobronnych. Tylko w tych formacjach chętni mogli dowiedzieć się, gdzie jest lufa, a gdzie kolba, jak wymienia się magazynek i jak się strzela, przy okazji nabierając przydatnych nawyków. To nie zmieni amatorów w żołnierzy, ale przynajmniej, kiedy kolejny raz dostaną broń do ręki, będą wiedzieli, co z nią zrobić.

Najważniejsza jest motywacja. Jej brak bywa tak samo groźny jak niewiedza. I jedno, i drugie zabija.

Zmodernizowany Oshkosh M-ATV to świetny pojazd. Można nim przejechać przez pole minowe i nie zadrapać lakieru. Właśnie po to został skonstruowany. Byle ładunek nie uśmierci załogi. Sprawdził się w Afganistanie, Iraku, Turcji i Kurdystanie. Poruszał się w konwojach, ogniem karabinów maszynowych osłaniając cysterny i zwykłe ciężarówki. Od czasów misji afgańskiej Polska miała kilkadziesiąt wozów tego typu, choć rzadko używanych, bo w Europie przy szosach jeszcze nie instalowano ładunków IED. Szkolili się na nich między innymi komandosi w Gliwicach i właśnie nimi wyruszyli do akcji.

System łączności wariował od samego początku. Ciepłiński nie miał zwyczaju dyskutować z przełożonymi, ale tym razem o mało nie dostał szału. Z Gliwic pojechali do Katowic. Tam zatrzymali się na postój. W Częstochowie byli przed północą, ale co i rusz wynikały jakieś problemy.

Zamiast gnać na północ międzynarodową E75, ich rzucono na Kłobuck i Wieluń krajową czterdziestką trójką.

Zatory na szosie objeżdżali polami i lasami, niemniej robienie takiego koła było czymś nienormalnym. W końcu Ciepłiński kazał wyłączyć GPS-y. Od tamtej pory nieco się uspokoiło, bo już nie tak łatwo dawali się namierzyć. Rozkazy kierujące kolumnę byle dalej od Warszawy zaczął ignorować. Gdy na dodatek wywołujący ich operator pomylił Zgierz i Zegrze, podejrzania Ciepłińskiego zmieniły się w pewność. Dla obcokrajowca to żadna różnica, brzmi prawie tak samo. Tyle że jedna miejscowość jest pod Łodzią, a druga na północ od Warszawy. Więc jak na dalsze rozkazy mają czekać oddaleni taki kawał od stolicy?

No i okazało się, że miał nosa. W jaki sposób udało się przywrócić normalną łączność? Nie jego sprawa. Teraz przynajmniej wszystko nabrało sensu.

Z Ożarowa powinni dojechać do Warszawy w przeciągu najwyżej kilkunastu minut. Osmecki wyraźnie się niecierpliwił.

Tu jednak ponownie pojawiły się kłopoty.

Strumyczek pojazdów napływający ze wschodu narastał z każdą chwilą. Na skrzyżowaniu Połczyńskiej z Powstańców Śląskich utknęli na dobre. Zapobiegliwi mieszkańcy stolicy wiali na zachód. Kto tylko miał samochód, ładował dobytek, rodzinę i przyłączał się do reszty. Nikt nie zważał na sygnalizację. Życie ważniejsze niż jakieś tam światełka.

Piętnaście MRAP-ów nie było w stanie ujechać kolejnego metra.

– Metys, jedź, ale ostrożnie – rozkazał Ciepłiński.

– Panie majorze... – Kierowca przyklejony do kierownicy patrzył na przelewające się tłumy.

– Jedź i nie marudź.

Oshkosh ruszył, trąbiąc. Przyhamowali przy rozkraczonym na środku lanosie, ale w końcu, nie zważając na protesty wściekłego właściciela, uderzyli w błotnik.

– Nie patrz na mnie co chwila, Metys, tylko rozgoń to towarzystwo.

Pozostałe MRAP-y włączyły klaksony. Już nikt nie mógł udawać, że ich nie widzi.

Zdaniem majora ktoś powinien kierować tu ruchem. Co się stanie, jak do Warszawy zaczną spływać uciekinierzy z Wielkopolski, Pomorza czy Śląska? W tym bałaganie utknie każdy.

W końcu powoli, z towarzyszeniem przekleństw, wozy 1 Grupy Szturmowej sforsowały przeszkodę. Na wszelki wypadek będą trzymać się głównej arterii, na bocznych uliczkach wszystko może się zdarzyć.

Patrząc na Tony'ego Butlera, odnosiło się wrażenie, że tego człowieka nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Parkerowi generał kojarzył się z soplem lodu: ilekroć się do niego zbliżał, ten emanował chłodem. Dla Cyrusa ów wystudiowany spokój był niezrozumiały. Z boku wyglądało to trochę tak, jakby Papa nie potrafił podjąć rozsądnej decyzji. Przecież nie będą tu siedzieć do usranej śmierci. Należało się stąd wynosić, i to jak najprędzej. Ten fakt był oczywisty dla wszystkich biorących udział w operacji. Polacy przystąpili do kontrataku i radzili sobie całkiem dobrze.

Od kiedy grupa Butlera utraciła połączenie z Ripleyem, stało się jasne, że koniec jest bliski. Nie tak to miało wyglądać, ale co zrobić. Jeżeli nie będą elastyczni, wróg wykorzysta każdą słabość i każdą okazję, dokładnie tak jak teraz.

Z tego, co wiedzieli, 30 Brygada wdała się w morderczy bój z polskimi jednostkami, których wcześniej nie dało się odizolować. Nawet jeżeli je pokona, to dotarcie do lewobrzeżnej części miasta zajmie jej całą wieczność. Warszawiacy tak łatwo nie odpuszczą. Na każdym skrzyżowaniu barykada utrudniająca przejazd albo też ludzie stojący murem przed pancernymi kolosami. Można oczywiście ich rozjechać, tylko co potem? Takiego ludobójstwa nikt nie zapomni. Każdy Amerykanin w tym kraju znajdzie się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Cyrus dosyć naoglądał się zdjęć z miejsc ogarniętych konfliktami, by wiedzieć, że forsowanie takiego tłumu na siłę jest grą wielce ryzykowną. Który kierowca zdecyduje się na wjechanie pełną prędkością w zwartą ludzką masę? Normalny człowiek tego nie robi. Można odwołać się do obowiązku, ale zbrodnia zawsze pozostanie zbrodnią i nie ma na nią wytłumaczenia.

O wiele bliżej znajdowała się 13 Półflotyła. Skoro nie plan A, pozostaje plan B, czyli załadunek do kutrów i ucieczka z miasta. Z zakładnikami to wykonalne. Nikt nie ośmielił się do nich strzelać, a siła ognia z łodzi komandora Nyanzale była znaczna. W przeciwieństwie do ucieczki zwykłym samochodem na rzece nikt i nic ich nie zatrzyma. Nie będzie korków i nieprzewidzianych utrudnień.

– Cyrus, gdzie jest generał?

– Widziałem, jak wchodzi na piętro.

– Idź po niego, szybko.

– Kłopoty?

– I to gigantyczne. – Pablo Ortiz Castillo nic więcej nie powiedział. Przejęta mina Portorykańczyka napełniła Parkera strachem. Ortiz Castillo podobnie jak Butler nie wpadał w panikę przestraszony byle głupstwem. Był jednym z tych, którzy trwają na posterunku do końca.

Parker wbiegł po schodach na górę.

– Jasper, dokąd poszedł stary?

Snajper kciukiem wskazał kierunek. Apartamenty prezydenta. Czego on tam szuka? Chyba natchnienia, jak ich wyciągnąć z tego gówna.

Otworzył jedne drzwi i drugie. Papa stał na środku salonu, przyglądając się otoczeniu.

– Generale.

– Czego chcesz, Parker?

– Castillo ma pilną sprawę.

– Już idę.

Sierżantowi trochę ulżyło.

– Ile mamy środków wybuchowych? – zapytał nagle Butler.

– Niewiele. Może z dziesięć kilogramów, parę min...

– Zastanów się, jak to połączyć, żeby nie pozostał tu kamień na kamieniu.

– Ważniejsze są szkody czy fajerwerki?

– Fajerwerki – odparł jednak po namyśle Butler. – Spektakularne widowisko odciągnie uwagę od naszego odwrotu.

Zeszli razem do pomieszczenia okupowanego przez informatyków. Niby każdy pochylony nad swoim stanowiskiem, ale w powietrzu dawało się wyczuć napięcie jak na sekundę przed uderzeniem pioruna.

– Tylko szybko i zwięźle – zaznaczył od progu generał, który nie bardzo miał ochotę na dłuższe pogawędki.

– Katastrofa.

– Mów jaśniej, Castillo.

– Plan przewidywał desantowanie ponad ośmiu tysięcy komandosów z sił ekspedycyjnych.

– Pamiętam.

– Tak się nieszczęśliwie złożyło, że gdy nasi przelatywali nad granicą, Polacy odzyskali kontrolę nad swoją przestrzenią powietrzną, a to pewnie przez to, że straciliśmy przekaźnik na Ochocie.

– Szybko im poszło.

– Też się dziwię. Właśnie teraz ich F-16 robią porządek z naszymi transportowcami.

– Jak to możliwe?

– Mści się na nas brak osłony powietrznej. To my mieliśmy zapewnić bezpieczeństwo C-17. Już nie wspomnę o tym, że ich przelot nad Polską miał pozostać niezauważony, a teraz są zestrzeliwane jeden po drugim. Załóg jak do tej pory nikt nie odwołał, lecą więc dalej. Kiedy widzą Falconsy, myślą, że to osłona, i już po nich.

– Dlaczego nikt nie nakazał odwrotu?

– To mógłby zrobić tylko Ripley.

Parker spróbował wyobrazić sobie, co też działo się w powietrzu. Ortiz Castillo miał rację, mówiąc o klęsce. Polacy zrobili im pogrom. Osiem tysięcy chłopaków pójdzie w piach, najlepsze w historii świata siły desantowe zostały unicestwione. Jeżeli któremuś z Globemasterów uda się uniknąć trafienia, to będzie cud.

– Zrób tak, żeby chociaż jeden z nich wylądował w Modlinie. Od tego zależy nasza przyszłość. – Butler nie bawił się w sentymenty.

– Jak mam to zrobić?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jeden musi wylądować, a nasi muszą zająć się obroną okrężną.

– Jest jeden sposób – odezwał się Cyrus, jednocześnie zastanawiając się, jak zminimalizować straty.

– Mianowicie?

– Lepiej, jak wyląduje na Okęciu, to znacznie bliżej.

– Bliżej stąd, ale dla nich to podróż w jedną stronę – skwitował Butler. – Próba szantażu też niewiele pomoże. Zanim nasze żądania dotrą do ich decydentów, a ci przekażą rozkazy pilotom, zakazując

strzelania do naszych maszyn, upłynie co najmniej pół godziny. Jak myślisz, co wydarzy się w ciągu tych trzydziestu minut?

Obojętnie, z której strony spojrzeć na problem, rzeczywistość i tak ich przerastała. Sami władowali się w potrzask. Chcieli być jak lis w kurniku, zadusić maksymalną liczbę kurcząt i zrobić to tak, by nikt się nie domyślił, kto jest temu winny? To teraz mają. Początek w sumie był dobry. Niestety, w końcu włączono światło i pojawił się właściciel z dubeltówką. Wiedział przy tym, jak jej używać.

Jeśli zasłonią się z jednej strony, oberwą z drugiej. Zduszenie rebelii zajmie Polakom najwyżej parę dni. 30 Brygada nie będzie broniła się w nieskończoność, tym bardziej że po rozbiciu desantów to na niej skoncentrują się lotnicze uderzenia. Dokąd wykrwawione oddziały miały się przebijać? Obojętnie, gdzie się nie spojrzy, dookoła czai się wróg. 30 Brygadzie przyjdzie w końcu skapitulować. Na pokład C-17 nikogo więcej nie wcisną. Dobrze będzie, jak im się uda dostać do maszyny i odlecieć... na Alaskę. O domu na razie można było zapomnieć.

– Pablo, bądź tak uprzejmy i skontaktuj się z negocjatorem. Na pewno czuwa pod telefonem. Zażądaj autobusu. Mają go podstawić za dziesięć minut.

– A jak tego nie zrobią?

– Zagroź, że zaczniemy zabijać zakładników. Ty, Parker, wiesz, co robić. I pośpiesz się, nikt nie będzie na ciebie czekał.

Komandor Lawrence Nyanzale przez szkła lornetki przyglądał się brzegom rzeki oraz konstrukcji, która pojawiła się kilkaset metrów przed nimi. Do tej pory bez problemu udawało się przemknąć Wisłą na południe. To, co wydarzy się dalej, nie do końca zależało od niego. Wiedział, że Polacy potrafią być upierdliwi jak mały kto, każdy problem będą roztrząsać bez końca, aż wreszcie się znudzą i zaczną kombinować po swojemu, a jak już się wkurzą, to na całego. Ciekawe, który to etap.

Pod płaszczykiem niezwyklej uprzejmości i wystudiowanego spokoju komandor skrywał zupełnie odmienne uczucia. Nawet mocno zdenerwowany nie wybuchał gniewem, tłumiąc emocje, ale pamiętał każdą zniewagę i uchybienie wobec swojej osoby. Raz dotknięty urazę chował na zawsze.

Jego siłą napędową była nadmierna ambicja, która sprawiała, że co i rusz rozglądał się za nowymi wyzwaniem. Dowodzenie 13 Półflotyllą spadło mu jak z nieba. Normalnie na objęcie takiego stanowiska czekałby latami, tyle że okoliczności nie były normalne. Wielu oficerów mogących stanąć komandorowi na drodze powędrowało do cywila, a polska marynarka wojenna stanowiła ten element sił zbrojnych, który wydawał się najsłabszy. Można by powiedzieć, że flota stała się najbardziej zamerykanizowaną formacją Ministerstwa Obrony Narodowej.

Jak, na przekór wszystkim, udało się powołać nowy zespół bojowy, komandor nie potrafił wyjaśnić. Na pewno czuwał nad tym ktoś ze sporym doświadczeniem, Clark lub któryś z jego zastępców, jednak po nominacji mało go to obchodziło. Stanowisko traktował jako trampolinę do sukcesu.

Oczywiście polska flota nawet nie umywała się do tej, w której rozpoczął służbę, dlatego też nie zastanawiał się długo, gdy otrzymał propozycję przystąpienia do spisku. Z mieszkańcami tego kraju nie czuł więzi, Polacy kompletnie komandora nie interesowali – mieli mu tak niewiele do zaproponowania. Kraj płaski i nijaki, podobnie jak klimat, ludzie marudni, przyszłość niepewna.

Jeśli dobrze się sprawi, dołączy do grona zaufanych. Otworzą się przed nim kolejne drzwi, wyjdzie na prostą i w końcu zostanie tym, kim chciał być od zawsze – gościem, którego wszyscy poważają.

Z mundurem ślubu nie brał, za parę lat zrezygnuje i przejdzie do polityki lub biznesu. Mając wyrobione kontakty, stanie się cennym nabytkiem. Zostanie dyrektorem wykonawczym bądź też senatorem. Był otwarty na wszelkie propozycje.

Udział w prawdziwej bitwie pomoże mu wykreować odpowiedni wizerunek niepokonanego

wojownika – osoby, która się kulom nie kłania, pozostając na mostku do samego końca zwycięskiej walki.

Zadanie wydawało się banalnie proste. Pierwszy etap był już za nim. Teraz pora na drugi, ten bardziej ryzykowny, a potem wielki finał. Nie wiedział tylko, skąd brał się w nim ten niepokój. Osiem kutrów, zastęp uzbrojonych po zęby marynarzy, nowoczesna broń, a niewielkie ludzkie figurki przemieszczające się po moście budziły w nim wręcz trwogę. Mógł ich zmieść jednym gestem dłoni, zmiażdżyć jak pluskwy. Żałosna broń, którą posługiwał się przeciwnik, nie sprosta uzbrojeniu jednej łodzi pod jego dowództwem. A mimo to...

Puls komandora wyraźnie przyśpieszył, lewa ręka zaczęła drżeć.

Jeszcze tego brakowało, by ktoś zauważył tę drobną przypadłość. Plotka o tym, że się boi, szybko rozejdzie się wśród podwładnych.

Przesunął dłoń do tyłu, a usta zacisnął w wąską kreskę.

– Szyk klina i trzy czwarte do przodu.

– Jest trzy czwarte – odpowiedział sternik, przekazując rozkaz dalej.

Łodzie ustawiły się w formację grotu i nabrały prędkości. Huk silników brzmiał jak najpiękniejsza muzyka. Komandor musiał przytrzymać się uchwytu, inaczej poleciałby do tyłu.

Przemkną pod tymi na moście, zanim tamci w ogóle wpadną na pomysł, jak ich zatrzymać. Na wszelki wypadek Nyanzale włożył na głowę kevlarowy hełm ze słuchawkami i mikrofonem na pałąku. Czynił tak tylko w razie wyższej konieczności. Uważał, że w hełmie wygląda głupio. Osobiście preferował miękką czapkę z daszkiem. Zasłaniał nią tworzące się na czole zakola. Nie miał trzydziestki, a już zaczynał łysieć. Ilu czarnoskórych to spotyka? Czy ktoś widział łysego, a nie wygolonego Murzyna? Porażka.

Od mostu dzieliło ich co najwyżej dwieście metrów. Przy prędkości, jaką rozwijali, wystarczy paręnaście sekund i problem będzie z głowy. Niech lepiej Butler się pośpieszy.

Fontanna wody, jaka wystrzeliła w powietrze sporo przed pierwszym kutrem, zaskoczyła komandora. Wywiad nie wspominał o działach, moździerzach czy też wyrzutniach ppk, z czym więc mieli do czynienia? Czyżby Polacy ciskali w nich kamieniami?

– Granatnik na jedenastej – poinformował go strzelec stojący przy półcalowym Browningu M2.

Nyanzale spojrział w lewo, gdzie kilku Polaków przyglądało się właśnie, jak żołnierz z RPG-7 ładuje do rury granatnika następny pocisk.

– Zdejmij go!

M2 rozszczękał się i całe towarzystwo znikło zniesione gradem ołowiu. Jakież było jednak zdziwienie komandora, gdy nagle karabin maszynowy zamilkł, a obsługujący go marynarz osunął się na pokład. To musiała być sprawka snajpera.

– Ognia!

Strzelcy na pokładach zaczęli zasypywać Polaków setkami kul. Na moście od razu się przeredziło. Kto mógł, szukał osłony. Tylko nieliczni trwali na posterunkach.

Pokażą tej hołocie, jak to jest, gdy zadziera się z silniejszym od siebie.

Nyanzale przyknął oczy. Most znajdował się tuż-tuż, a kanonada stopniowo zamierała. Byli tak blisko, że nie dawało się już wyżej podnieść luf działek i ciężkich karabinów maszynowych.

Półmrok panujący pod przęsłem sprawił, że Amerykanin zastygł podobny do słupa soli. Opór Polaków kompletnie go zaskoczył. Skąd się wzięli ci cholerni snajperzy? Droga aż do samego końca miała przebiegać bez komplikacji. Jak zdarzy się okazja, wygarnie Butlerowi i Lambertowi, co o nich myśli. Sztabowe wycieruchy, nawet ze zwykłym planowaniem sobie nie radzą. Im się pewnie wydaje, że te kutry są opancerzone jak czołgi. W rzeczywistości to zwykłe kompozyty, może trochę bardziej wytrzymałe od stali, ale też żadne tam kosmiczne technologie. By nadać łodziom odpowiednią prędkość na wzburzonym morzu, kadłuby musiały być wytrzymałe, a jednocześnie lekkie. Niewielka oszklona nadbudówka chroniła tylko przed bryzgami wody. Z przodu działko 20 mm, po bokach M2 lub

sześciolufowe obrotowe M134, do tego zestaw przeciwlotniczych FIM-92 Stinger, pozwalający na zwalczanie helikopterów i samolotów, które nieopatrznie pojawią się w zasięgu. Na podporządkowaniu parę granatników AT-4 wystrzeliwanych z ramienia. Innych cudów nie było. Owszem, łączność, nawigacja, bierne środki obrony, wszystko to zapewniało wysoką przeżywalność podczas działań bojowych, ale prawdziwa potęga kryła się pod pokładem, a składały się na nią silniki pozwalające rozwinąć prędkość czterdziestu pięciu węzłów. Huk był wówczas taki, że bez słuchawek nie dawało się tego spokojnie wytrzymać.

Szybkość i jeszcze raz szybkość, tylko w tym komandor upatrywał szansy na sukces.

Przemknęli pomiędzy filarami i wyłonili się po drugiej stronie mostu. Centrum miasta znajdowało się na prawo od nich. Za parę minut ten koszmar się skończy, a oni rozpoczną odwrót.

Gdyby tylko komandorowi zechciało się w tej chwili obrócić, nie byłby już taki radosny.

Widząc bowiem małą skuteczność tradycyjnych środków obronnych, ochotnicy zdecydowali się na bardziej radykalne sposoby powstrzymania 13 Półflotylli, która właśnie wymykała im się z rąk.

Z powodu braku zaawansowanych systemów użyto czegoś naprawdę prostego – parę długich na pięć, sześć metrów i grubych na ćwierć metra pni, które chciano wykorzystać do zrobienia zasieków, zostało zrzuconych z góry, w czasie gdy pod mostem przepływały łodzie 13 Półflotylli. Chybiły wszystkie oprócz jednego, który spadł na ostatni kuter niemal pionowo, uderzając w sterówkę. I ślepej kurze trafi się czasem ziarno.

Sternik i znajdujący się obok dowódca zostali poważnie ranni. Prędkość jednostki dramatycznie spadła, a na dodatek korweta wyłamała się z szyku i popłynęła w stronę pobliskiego brzegu. Ogień z całej dostępnej Polakom broni skoncentrował się na tym morderczym do niedawna środku walki. Wznowienie ostrzału przez pozostałe kutry niewiele pomogło. Jednostkę należało spisać na straty.

Nim informacja o tym zdarzeniu dotarła do komandora, cały zespół był już trzysta metrów dalej. Powrót wydawał się pozbawiony sensu. Co może zrobić? Zatoczyć parę kółek na wodzie i wystrzelić kilka kolejnych taśm z amunicją?

Nyanzale nie zawahał się nawet przez moment. Stracił kuter, to przykre, ale jeszcze nie katastrofalne. Policzyć się z polaczkami w drodze powrotnej. Przecież z tego miasta inaczej wydostać się nie dawało.

– Panie Skokowski, niech pan mówi powoli i wyraźnie. – Osmecki z radiotelefonem przyciśniętym do ucha przebijał się przez zatłoczony korytarz komisariatu, starając się wydostać na otwartą przestrzeń. Tłum go irytował. Od czasu, gdy przywrócono łączność, ci ludzie stali się zbędni i jak zwykle w takich przypadkach bywa, trudno się ich było pozbyć. Nie miał głowy do tych wszystkich pogawędek, porad i biadolenia. Batalion zorganizował najlepiej, jak potrafił, a informacja o stoczonych przez ochotników potyczce dotarła do niego dosłownie przed sekundą.

– Pojawili się dokładnie tak, jak pan przewidział. – Skokowskiego trudno było usłyszeć wśród innych podnieconych głosów.

– Ilu ich było?

– Osiem łodzi, a teraz to już siedem.

– Doskonale, trzymać tak dalej i czekać, aż pojawią się regularne oddziały.

Osmecki nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Ludzie Skokowskiego mieli tylko dać znać o zbliżającym się wrogu, walka z Amerykanami to zadanie dla kogoś innego, a tutaj okazało się, że ochotników poniosły emocje. Wyszło, jak wyszło, nic na to nie poradzi

– Jakież straty? – dopytał.

– No, muszę powiedzieć, że są... Mamy trzech zabitych, paru rannych. Inaczej nie dało rady, sam pan rozumie, przydusili nas ogniem. Te łodzie są naprawdę mocno uzbrojone.

– Kutry – odruchowo powiedział Osmecki.

– Tak, kutry, oczywiście. Jak pan o nich początkowo wspomniał, to ja myślałem, że chodzi o zwykłe motorówki, takie z kabiną.

Osmecki nie wiedział, co Skokowski chce przez to powiedzieć. Przecież jednostek 13 Półflotylli to on na oczy nie widział.

– Te są podobne do ścigaczy. Widziałem na takim jednym filmie. – Dowodzący ochotnikami oficer najwyraźniej się rozkręcał.

– Gdzie popłynęły teraz?

– A pognali na południe, fale się tu takie zrobiły. Najlepiej będzie je widać z Wybrzeża Gdańskiego.

– Proszę uważać.

– Uważamy cały czas.

Osmecki już dalej nie słuchał, bo oto przed komisariat zajechała kolumna MRAP-ów. Potężne wozy robiły wrażenie. Humvee to się przy nich chował. Strzelec w górnym stanowisku musiał mieć naprawdę niezły widok na okolicę.

Z pierwszego pojazdu wyskoczył major. Niewysoki, lecz szerokością barków dorównywał dwóm zwykłym knajpianym opierdalaczom.

– Ciepliński – przedstawił się.

– Osmecki.

Major rozejrzał się po okolicy.

– Widzę, że zaczął pan bez nas.

– Jakoś trzeba sobie radzić. – Pułkownik podszedł bliżej M-ATV. – Znajdzie się tam miejsce dla mnie?

– Coś wykombinujemy – bez przekonania powiedział Ciepliński.

– Musimy się streszczać, w drodze wszystko opowiem. Z łodziami pan kiedyś walczył?

– Z łodziami?

– Z takimi wielkimi uzbrojonymi ścigaczami.

– Z takimi to nie.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

– Szybciej! – Ponaglenie Butlera zdopingowało resztę do działania. – Gdzie to ciągniesz, człowieku? Na cholerę ci teraz komputer?

– Panie generale, jestem zmuszony prosić...

– Castillo, jeżeli natychmiast nie zapakujesz swojej latynoskiej dupy do autobusu, to obiecuję, że zostawię cię tutaj z tym całym burdelem.

– Jest wart majątek.

– A ile jest warte twoje życie? Ja mam wątpliwości.

Portorykańczyk w końcu przestał się upierać przy załadunku kilku skrzynek ze sprzętem, tylko złapał za M4 i ustawił się do wyjścia.

– Parker.

– Tak jest.

– Założyłeś ładunki tak, jak trzeba?

– Bez problemu.

– Szybko się uwinąłeś.

– Piła mi pomógł.

Ostatnie minuty upłynęły im na nerwowym oczekiwaniu na zażądany autobus. Polacy nie protestowali.

Wielkie turystyczne pudło w kolorze turkus, na trzech osiach, zjawiło się po kwadransie. Pewnie stało zaparkowane przed jakimś hotelem. Tylko wsiąść i jechać.

Teraz przed nimi najtrudniejsza część epopei, mają odjechać, a właściwie uciec. Nie tak to miało wyglądać. Każdy z nich wyobrażał sobie, że wyjdzie stąd z podniesioną głową, jako zwycięzca, przez nikogo nieścigany. Dla wielu spośród nich to była pierwsza tak wyraźna klęska. Zamiast wciągnąć na maszt flagę z gwiazdami i pasami, uchodzą jak zbite kundle.

Cyrus zakładał ładunki z niemałą satysfakcją. Niech się to całe dziadostwo zawali w cholere. Wróca tu jeszcze. Nie wiedział kiedy, ale na pewno tak się stanie. Nikt bezkarnie nie może upokorzyć Stanów Zjednoczonych.

– Parker, dobrze się czujesz? – zapytał Ortiz Castillo. – Zbladłeś.

– Nic mi nie jest.

– Świetnie.

Cyrus dopiero teraz uświadomił sobie, że upokorzyli się sami, podkładając się tak, że już bardziej się nie dało. Zostali wyprowadzeni z bezpiecznego domu do lasu, gdzie czekali na nich siepacze. Oczywiście nie dosłownie, tylko w przenośni. Przecież prędzej czy później cała ta konstrukcja i tak musiałaby się rozlecieć. Czy Butler jest aż tak koszmarnie głupi, żeby pomyśleć, że Polacy z pokorą przyjęliby nowego okupanta? To przecież absurd.

Starszy sierżant przebywał w Polsce zaledwie parę miesięcy, ale to wystarczyło, aby się zorientować, jacy byli mieszkańcy tego kraju.

Spróbuj z nimi zadrzeć, a odpowiedzą niepohamowaną agresją, zupełnie jak zaczepieni na ulicy członkowie Ku Klux Klanu, nigdy do końca nie było wiadomo, jak się taka osoba zachowa, ugryzie czy opluje, ale już na pewno zrobi dym.

W tym kraju istniało parę takich miejsc, jak chociażby Częstochowa, gdzie jeśli podniesiesz rękę na znajdujący się w klasztorze święty wizerunek, to Polacy nigdy ci tego nie wybaczą. Możesz się pokajać, posypać głowę popiołem, błagać o litość, a i tak przyjdą i przerobią cię na mielonkę, obojętnie, z jakimi kosztami miałoby się to wiązać. Oni nie myślą wtedy logicznie. A generałowi wydawało się, że cała ta akcja to nowy blitzkrieg, tu dupną prezydenta, tam wyłączą telewizję, a na koniec desantują parę tysięcy cyborgów i po sprawie, przejmą Polskę, jej mieszkańców, zasoby i aktywa. Największy skok w dziejach świata. Tylko idiota mógł tak pomyśleć.

– Muszę do kibla.

– Pośpiesz się, już się ładujemy.

– Daj mi minutę.

Parker szybkim krokiem skierował się do najbliższej toalety. Wrzucił automat do umywalki, a sam, opierając się o nią dłońmi, przyjrzał się własnemu odbiciu w lustrze.

Nie wyglądał dobrze. Zmęczenie powoli dawało się we znaki. Bruzdy na czole, przekrwione oczy, napięcie... oddychał szybko i płytko. *Fuck, fuck, fuck...*

Debil i jeszcze raz debil, kretyn i żalosny idiota.

Odkręcił wodę i wsadził głowę pod zimny strumień. Chyba się zaraz porzyga. Czuł się jak ofiara gwałtu, i to wcale nie była przesada. Został wykorzystany, przeżuty, a na koniec wypluty przez większych od siebie.

Ale od początku.

Dawnych żołnierzy JSOC zaangażowano kilkuset. To oni mieli doprowadzić do początkowego zamieszania. Ataki na Krakowskim Przedmieściu, na Woronicza, poszczególne sekcje w Warszawie reagujące na pojawiające się zagrożenia ze strony polskich służb, jak na przykład próba unieszkodliwienia Bielawy, oraz kilkadziesiąt innych sekcji w całej Polsce rozwalających ludzi, którzy na pewno nie zgodziliby się na zainstalowanie nowych władz. To raz.

Dwa, to ci nieszczęśni frajerzy z 30 Brygady i 13 Półflotylli oraz kilkunastu innych jednostek, którzy

również dali się wyrolować. Wmówiono im, że walczą za kraj. Ba... tylko za który? Poszli jak barany na rzeź. Polacy im tego nigdy nie wybaczą. Zdrada to zdrada.

A teraz najważniejsze. Wsparcie na ponad pięćdziesięciu C-17 Globemasterach III, wielkich strategicznych maszynach, na których pokładach znajdowały się tysiące najlepszych żołnierzy, jakich widział świat. Obecnie z całej tej masy nie pozostało nic oprócz wiórów. Butler, ten geniusz, wysłał ich wszystkich na śmierć, wszystkich bez wyjątku, co do jednego. Przecież to wariactwo.

Albo i nie.

O osobach stojących nad Butlerem nie wiedział nic. Kim byli, kto ich nadzorował i, najważniejsze, co planowali? Mógł się jedynie domyślać. Polska? Tu wcale nie o nią chodziło. Tu chodziło o samą Amerykę. O kontrolę nad tymi zasobami, jakie jej jeszcze pozostały. Odciągnięto najlepsze jednostki, wysłano je do Europy, gdzie miały wdać się w przewlekłą wojnę, w czasie gdy na Hawajach dojdzie do przewrotu. Jak mówiono, cyborgi można było do pewnego stopnia kontrolować. Sam nie wiedział, czy tak jest naprawdę, niemniej wysłanie ich do Europy stanowiło element planu. Kto teraz obroni prezydenta? Przecież nie Secret Service.

W tej stawce chodziło o kontrolę nad państwem, ale nie nad Polską, tylko nad USA.

To, co wymyślił, to tylko teoria, ale z solidnymi podstawami.

Nie miał pojęcia, czy Butler też został wyrolowany, czy też uczestniczy w spisku z własnej woli. Był winny, to pewne. Jeżeli nie wiedział, tym gorzej dla niego. W hierarchii służbowej znajdował się przecież o wiele wyżej od Parkera.

– Cyrus, co ty wyprawisz?

Kapral Appelton, operator karabinu maszynowego, wydawał się mocno zniecierpliwiony. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

– James, czy ja cię kiedyś zawiodłem?

– O czym ty mówisz?

– Ile się znamy, pięć lat?

– Będzie jakoś tak.

– A ile razy znajdowaliśmy się w akcji?

– Wiele razy.

– I co, zawiodłem cię?

– Nie.

– A Jaspera albo Pabla?

– Mów, o co ci chodzi, albo nie zwracaj mi dupy.

Appelton nie był tytanem intelektu, ale i nie skończonym półgłówkiem. Nie potrzebował zawiłych wyjaśnień. Wnioski, do jakich doszedł kumpel, w zupełności kapralowi wystarczyły. Nikt nie lubi, kiedy to, w co się wierzy, na koniec okazuje się zwykłą ściemą.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

Appelton zrobił dwa kroki do przodu, potem dwa w lewo, a na koniec trzy w prawo. Palce niespokojnie przebiegły po lufie i zamku M249, który miał przewieszony przez pierś. Od dawna nie był tak wkurzony.

– Powiedz mi, co by się stało, gdyby plan wypalił?

– Nic. Kraj podbity. Można się pochwalić przed opinią publiczną, powiedzieć: patrzcie, jacy jesteśmy operatywni, ledwie przejęliśmy władzę, a już mamy sukcesy.

– A Polacy?

– A kto by się nimi przejmował. – Parker wzruszył ramionami.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Co chcesz zrobić? – zapytał w końcu Appelton.

– Lubisz, jak cię ładują w...

– Oszczędź mi szczegółów.

– Pogadaj z Jasperem, ja to samo zrobię z Pablem. Podpytam jeszcze, co i jak. W czterech mamy minimalną szansę, ale jednak.

– Pytałem, co chcesz zrobić.

– Na pewno nie pozwolę się zastrzelić.

– O czym ty mówisz? – Zirytowanie kaprała osiągnęło nowy wymiar. Appelton był wkurzony i obrażony na cały świat.

– Butler uroił sobie, że popłyniemy do Modlina. Wiesz, gdzie to jest? Na północ stąd. Tam przesiądziemy się na samolot i polecimy do domu.

– I zostawimy chłopaków z 30 Brygady i całą resztę na pewną rzeź?

– Tak.

– Tak się nie robi.

– Słuchaj, James, albo jesteś ze mną, albo mi nie przeszkadzaj.

– Dobra.

– Co dobra?

– Jestem z tobą, ale obiecaj mi, że nikt z nas nie zginie.

– Zobaczymy. – Parker miał już gotowy plan. Lepiej, jeśli pewne sprawy nie wyjdą na światło dzienne. Tylko od niego zależało, czy tak się stanie.

– Można trochę szybciej?

Pojazdem ostro zarzuciło na zakręcie. Osmecki poleciał na lewo. Miał szczęście, że nie rozbił sobie nosa o uchwyt karabinu maszynowego.

Żeby on mógł zabrać się z jednostką szturmową, operator obsługujący broń został pod komisariatem. Facet był wściekły jak wszyscy diabli. Całe życie szkolił się do takiego zadania, a gdy już nadarzyła się szansa na spożytkowanie zdobytych umiejętności, został wysiudany przez koleśa wyższego stopniem.

Wbrew obawom nie utknęli ponownie w korkach. Zaraz wpadną w Andersa, potem w Słomińskiego i już Wybrzeże Gdańskie. Oby tylko nie było za późno. Najważniejsze, to rozwalić kutry, zanim przesiądą się do nich terroryści i zakładnicy.

– Radzę założyć hełm.

No tak, bez skorupy na głowie jego kariera w Agacie może być krótka. Dobrze, że policji udało się w nocy udrozić komunikację. Osobówek mało, tylko co jakiś czas wpadali na kolumnę gliniarskich bud i wojskowe ciężarówki podążające na wschód.

– Którędy mam jechać?

– Pierwsza w lewo.

Nie dziwił się podenerwowanemu kierowcy. W końcu stolyca to nie jakiś tam podrzędny poligon, a minoodporny MRAP to nie zwykły samochód.

Wpadli w kolejny zakręt, prując pełną mocą silnika. Jazda zaczęła stresować Osmeckiego bardziej niż wczorajsza eskapada motorówką. Obiecał sobie, że jak wyjdzie z tych wszystkich awantur obroną ręką, to przez następny rok przemieszczać będzie się wyłącznie tramwajem albo i na piechotę. Zawsze to bezpieczniej i z korzyścią dla zdrowia.

Generał Tony „Papa” Butler przyjrzał się własnym dłoniom, zupełnie jakby je widział po raz

pierwszy w życiu. Dłonie to nie oczy. Fakt, że operacja „Rozpruwacz” kończyła się pełnym fiaskiem, nie wynikał z niczyjego zaniedbania. Plan był dobry. Mało powiedziane – bardzo dobry. Większość wydarzeń została przez niego przewidziana, a później potwierdzona w komputerowej symulacji. Brak najwyższych władz państwowych powinien ten kraj sprowadzić do parteru.

Byli blisko, tak o włos, zabrakło niewiele. Popełnili nieznaczące błędy. We właściwym momencie nie dorwali Bielawy ani nie odstrzelili Banacha. Cała ta sytuacja z marszałkiem Senatu to jakiś koszmar, prosta akcja, jedna kula, a im zajęło to cały dzień. Te gonitwy, strzelaniny, karambole. Operatorzy z JSOC dali z siebie wszystko, a na koniec okazało się, że efekt jest mizerny.

Ripley sprawował się dobrze, a nawet bardzo dobrze, kręcąc Polakami na wszystkie strony. Wydawało się, że przejście do etapu przejmowania poszczególnych segmentów państwa, jak finanse czy energetyka, jest dziecinnie proste. Wyłożyli się... właściwie to do tej pory Butler nie wiedział na czym. W grę musiał wchodzić jakiś szczegół, o którym nie miał pojęcia. Kościelne dzwony dawały do myślenia, jak również szybka reakcja, z jaką Polacy pozbierali się po ciosie. Nie chciał wnikać w charakter narodowy tych, którzy tu mieszkali, bo takie rozważania do niczego nie prowadziły, pewnych cech do komputerowego programu wprowadzić się nie da, jak niechęć do podporządkowania się komuś obcemu albo powinność czy eee... patriotyzm. Tym głowy sobie zawracać nie chciał. Dali ciała. Zamiast kolonii będą mieli wroga na śmierć i życie. Czy w historii USA zaistniał podobny fakt? Czy państwo obroniło się przed inwazją, upokarzając swojego przeciwnika? Może Zatoka Świń? Operacja montowana przez CIA i kubańskich emigrantów. Lecz i tam udział Amerykanów sprowadził się jedynie do inspiracji. Wykonanie to już inna sprawa.

Zarówno fiasko operacji, jak i wielkie straty osobowe były szczególnie dotkliwe w obecnej sytuacji Stanów Zjednoczonych. Po epidemii szalejącej między Rio Grande a Zatoką Beringa ocalało około stu sześćdziesięciu milionów mieszkańców. Zasoby sprzętu i ludzi, które pozostały, należało chronić za wszelką cenę. W czasach prezydentury Baracka Obamy uważano, że trzysta pięćdziesiąt okrętów z trudem, bo z trudem, ale wystarczy do ochrony interesów Stanów Zjednoczonych na świecie. A co im obecnie pozostało? Jakies nędzne resztki. Zachowali wszystkie lotniskowce i grupy uderzeniowe, ale co z nimi obecnie zrobić? Najlepiej wycofać się na Pacyfik i zaszachować Chiny oraz Rosję. Nic innego nie przychodziło admirałom do głowy.

Nawet nie chciał myśleć o wrzasku, jaki Polacy narobią na cały świat. Zarówno sam pomysł operacji, jak i jej klęska mogą zrazić ostatnich sojuszników.

Równie mocno zakotwiczyli tylko w Izraelu. Ciekawe, jak długo twierdza żydowskiego państwa będzie ich bronić przed wrogami. Niedługo padnie wojskowa dyktatura generała Sisiego w Egipcie. Zachód do spółki z Rijadem kupił tam sobie parę lat spokoju, ale to już niedługo się skończy. Kto wie, czy Państwo Islamskie nie będzie miało stolicy w Kairze.

Zresztą, co go to mogło obchodzić. Oczy wszystkich i tak zwrócą się na obszar pacyficzny. Z tym nieudolnym prezydentem obecnego kalekiego państwa daleko nie zajadą. To już był najwyższy czas ograniczyć wpływy demokratów, a na fotelu posadzić kompetentnego człowieka. Nie musi być generałem, ważne, by nie zadowalał się półśrodkami.

Spisek dojrzewał przez miesiące i w końcu wydał owoce. Szkoda, że takie marne.

On swoje zrobił. Odciągnął od Alaski maksymalną liczbę żołnierzy, na wypadek gdyby paru wojskowych mogło opacznie zrozumieć intencje spiskowców i stanąć po stronie dotychczasowego prezydenta. Szczegółami na Hawajach mieli zająć się inni. Aresztowanie, sąd i ewentualna egzekucja miały dokonać się w ciągu dwunastu godzin. Jeżeli do aktu oskarżenia dorzuci się jeszcze krach operacji w Polsce, to kara śmierci murowana. Nie miał znaczenia fakt, że prezydent nic o tym nie wiedział. Był przecież zwierzchnikiem sił zbrojnych i odpowiadał za armię.

Butler nie miał ochoty wchodzić na grząski teren polityki i brać udziału w tych gierkach i układach. Wiedział tylko, że jeśli jego ojczyźnie nie uda się szybko stanąć na nogi, pozycję światowego hegemonu

może zająć inne państwo, a tego przecież nie chciał.

Generał zaczął przeliczać wychodzących ludzi. Z zakładników same najważniejsze osoby, drobiazg się tu nie liczył. Za każdym z nich ustawił własnego człowieka przykładającego broń do głowy polityka. Jeżeli ktoś wpadnie na głupi pomysł odbicia zakładników, to od razu może o tym zapomnieć. Przeprowadził ze sobą dwudziestu ośmiu ludzi i miał zamiar każdego z nich wydostać z tej matni. Yvonne odesłał wcześniej i już nic dla niej nie mógł zrobić, ale za resztę odpowiadał.

– Appelton – zawołał do kaprała. – Ty i Parker wychodzicie ostatni.

Na koniec zachował parę atutów. W odpowiednim momencie odpali bomby ukryte na terenie miasta, wzbudzając panikę wśród tych, którzy jeszcze nie rozeszli się do domów, a na koniec wielkie bum, może nie cały budynek, ale spora część Pałacu Prezydenckiego legnie w gruzach. To będzie jego zemsta za niepowodzenie, którego doznali.

Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, poczuł się jak ktoś paradujący przed tarczą strzelniczą. Na pewno wymierzono w jego osobę kilka łuf, a snajperzy tylko czekali na rozkaz do oddania strzału. I co mi możecie zrobić? W kominiarce na twarzy i bojowym kasku był nie do odróżnienia od pozostałych żołnierzy komanda.

Pojadą przy Bristolu i skręcą w Karową, którą dostaną się nad samą Wisłę. Nyanzale niedługo zabierze ich z tego piekła.

Zakładnicy zostali zgromadzeni z przodu autokaru, reszta porozłaziła się po wolnych miejscach. Obok generała znalazł się Ortiz Castillo z Fisherem. Jego osobisty strzelec wyborowy w tych warunkach niewiele miał do roboty.

Z bocznego wyjścia pałacu wybiegł Parker z Appeltonem. W samą porę, acz generał najchętniej zatrzasnąłby drzwi przed tym pyskатым sierżantem i jego kolesiem.

Obaj komandosi wskoczyli do pojazdu, gdy ten już ruszał. Butler pochylił się nad kierowcą, wskazując kierunek jazdy. Kominiarka była tak wilgotna od potu, że można ją było wykręcać w dłoniach. Ściągnął ją – ulga, jaką poczuł, warta była ryzyka.

Nabrali szybkości. Na zakręcie trochę przyhamowali, żeby nie zderzyć się z opancerzonym Humvee. Jeśli pojedzie za nimi, każe go odwołać. Nie lubił, kiedy za tyłkiem snuły mu się typy z UKM-em.

Przed autokarem jechał radiowóz z włączoną sygnalizacją świetlną i syreną. Choć hałas irytował Butlera, te parę minut się przemęczy.

Przygryzł wargi. Każdy przejechany metr kosztował go mnóstwo zdrowia. To już na pewno ostatnia akcja, w której osobiście uczestniczy. Nie widział powodów do dalszego narażania się. Zrobił, co było do zrobienia. Wystarczy. Coś mu jednak mówiło, że grupa, z którą nieopatrznie się związał, może mieć co do niego inne zamiary. Znał jedynie kilku z nich, wielu pozostałych się domyślał – sekretarz stanu, szef Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, wicedyrektor do spraw operacyjnych CIA, przemysłowiec, prezesi wielkich firm, senatorzy, krótko mówiąc, ci wszyscy, którym na sercu leżało dobro kraju. Cel oczywiście mógł być tylko jeden – władza.

– Panie generale, po co to wszystko? – Przemyslenia Butlera przerwało niespodziewane pytanie Cyrusa.

– Nie zrozumiesz, Parker.

– Proszę dać mi szansę...

– Jesteś tylko podoficerem – przerwał mu generał.

– Czy to oznacza, że jestem czymś gorszym? – drążył dalej starszy sierżant.

– Parker, są sprawy, które cię przerastają – uciął Papa i zaraz dodał: – Mnie zresztą też.

– To była podpucha?

– Co masz na myśli?

– Ta cała... – Cyrus wykonał nieokreślony ruch łufą automatu – ...rozpierducha.

– O co ci chodzi? Jesteś żołnierzem i masz wykonywać rozkazy.

– Tylko czyje?

– Nie podoba mi się ten ton. Wstąpiłeś do armii na ochotnika. Nikt cię nie zmuszał. W cywilu to mogłeś być, kim chciałeś, nawet liberałem, ale tu nie ma miejsca na wątpliwości.

Spojrzeni sobie w oczy, co sprawiło, że pod Butlerem ugięły się nogi. Z takimi pokładami niechęci nie spotkał się od dawna.

– Pan kłamał od samego początku.

– Przejdź do tyłu. – Generał był bliski sięgnięcia po broń i wyegzekwowania rozkazu siłą. – Później porozmawiamy.

Przyszła pora na nawiązanie kontaktu z komandorem Nyanzale. W końcu bowiem ich oczom ukazała się rzeka i krążące na niej ścigacze.

Autokar zatrzymał się na nabrzeżu, ostatnie metry należało przejść piechotą.

Polacy właśnie obsadzali most Śląsko-Dąbrowski.

Mogą sobie tam nawet ustawić ciężką artylerię, a i tak im nie podskoczą. Każdego z polityków zapakuje do innej łodzi. Staną się w ten sposób nietykalni.

Butler przepchnął się pomiędzy Parkerem a Appeltonem i wysiadł z autokaru.

– Zrobimy tak... – Odwrócił się i zobaczył tuż przed nosem wycelowany pistolet trzymany przez Cyrusa. – Oszalałeś?

– Nie. Ja tylko ratuję nam życie.

Butler otworzył usta, ale tylko po to, żeby połknąć kulkę.

– Co się tam dzieje? – Nyanzale przyglądał się egzekucji przez lornetkę.

Jeden z podwładnych Butlera najwyraźniej oszalał. Wycelował w dowódcę i wystrzelił. Butler padł na ziemię, a jego oprawca dokończył to, co zaczął, strzałem w pierś generała.

Oprócz tej dwójki z autokaru nie wysiadł nikt. Cała reszta nadal tkwiła w środku.

Kompletnie nie wiedział, co o tym myśleć. To wyglądało na wewnętrzne porachunki, ale to przecież niemożliwe. Ludzie generała służyli z całkowitej lojalności.

Najgorsze dla komandora było to, że na nabrzeżu nic innego się nie wydarzyło. Kat Butlera stał spokojnie, przyglądając się im, kiedy zataczali kolejną pętlę na rzece. Podpłynąć czy nie podpłynąć?

W końcu typ ruszył. Przeszedł kawałek i... jakby nigdy nic usiadł sobie na ławce i zaczął gadać przez telefon. Tylko z kim, do cholery? Bo nie z nim.

Gdzie podział się Lambert? Dlaczego nic nie robi? Absurd całej sytuacji po raz kolejny wytrącił komandora z równowagi.

– Odpływamy! – rozkazał w końcu.

Sternik nic nie powiedział. On też widział, co się stało kilkadziesiąt metrów od nich.

Nyanzale po raz ostatni obejrzał się na autokar i jego pasażerów. Jeżeli śmierć Papy miała nim wstrząsnąć, to udało się to znakomicie.

Co za absurd, zapędził się aż pod Warszawę tylko po to, żeby zrobić kółeczko i popłynąć z powrotem. Dlaczego w ogóle nikt nie próbował nawiązać z nim kontaktu? Coś poszło źle. Komandor postanowił więc zawrócić i całą naprzód pruć do macierzystego portu. Póki nie jest za późno.

Polacy na moście nie zrobili nic, gdy pod nimi przepływał, ale to go nie uspokoiło. Miał za to nadzieję, że uda mu się dotrzeć przynajmniej do 30 Brygady. Nie mogła być daleko – odgłos grzmiących dział był słyszalny aż tutaj.

Nagle po lewej pojawiła się kolumna MRAP-ów. A ci czego tu szukali? Pół minowych w Warszawie przecież nie było.

Pojazdy jak na komendę otworzyły ogień ze wszystkich luf. Rozpętało się prawdziwe pandemonium.

Agat kontra 13 Półflotylla. Już pierwsza seria przeszła przez nadbudówkę czołowego kutra. Sternik padł z odstrzeloną głową. Komandorowi jakimś cudem nic się nie stało. Ścigacz puszczonego samopas mknął w stronę brzegu wprost na ziejące pociskami samochody Polaków.

Nyanzale skulił się i przytrzymał koła sterowego, gdy pokład się pod nim zachwiał. Pociski kalibru 12,5 mm przebiły burtę, przechodząc przez kompozytowe płyty jak przez masło. Przygarbiony tak, że tylko głowa wystawała mu ponad konsolę, skierował kuter na nowy kurs. Tuż za rufą eksplodował pocisk z automatycznego granatnika, lecz rozbryzg wody nie był zbyt imponujący. Na szczęście liczyło się bezpośrednie trafienie, a nie efekty wizualne. Dowódcy wydawało się, że łodzie wyrwą się z pułapki bez większych trudności.

Pojazdy jednak sunęły wzdłuż Wisły, nie przestając strzelać. Nyanzale ich nie liczył, ale wyglądało to tak, że byli ostrzeliwani przez jeden pluton, podczas gdy dwa pozostałe ostro zasuwwały w dół rzeki i wynajdywały sobie dogodne pozycje do ataku. Ich kierowcy nie musieli tak ostro manewrować jak sternicy na wodzie.

Kolejna seria przeszła ponad głową komandora, szatkując zestaw anten oraz radar. W końcu stało się, silnik się zakrzusił, a moc zaczęła spadać. Ze wszystkich przykrych rzeczy, które mogły go spotkać, ta była najgorsza.

Czy to za sprawą nieuwagi, czy też polskiej kuli, która raniła sternika kutra podążającego tuż przy burcie łodzi komandora, doszło do kolizji i dwa ścigacze zderzyły się przy pełnej prędkości. W wodzie znalazły się fragmenty wyposażenia i ludzie.

Umysł dowódcy 13 Półflotylli nie potrafił uporać się z takim ciągiem wypadków. Dłonie zaciśnięte na kole sterowym nie chciały się od niego oderwać, w głowie Nyanzale miał kompletną pustkę, a wzrok tempo wbił w przestrzeń. W wyniku kraksy obie łodzie przewróciły się dnem ku górze, a on znalazł się pod wodą. Dopiero teraz, ogarnięty paniką, próbował wydostać się z pułapki. Młóćąc rozpaczliwie wkoło siebie rękami i nogami, wypłynął w końcu na powierzchnię, zaczerpnął duży haust powietrza i rozejrzał się dookoła. Reszta zespołu bojowego rozplynęła się na boki. W zwartą do tej pory formację wdarł się chaos.

Seria pocisków z granatnika uderzyła w dryfujące wraki, wybijając dziury w kadłubach i siekąc odłamkami.

Z głową minimalnie wystającą ponad powierzchnię komandor nie widział, jak kolejny z kutrów zaczyna dymić, odpadając od reszty. To już nie była katastrofa, to był pogrom.

Osmecki wiedział, że należy strzelać z lekkim wyprzedzeniem. Składał się do strzału i prawie za każdym razem chybiał. To seria przeszła górą, to dołem, to za bardzo z tyłu, wzbijając na powierzchni wody miniaturowe gejzery. Chcąc trafić, musiałyby trzymać palec na spuście aż do chwili, gdy skończy się amunicja. Tylko że tak zachować mógł się kompletny amator, a nie oficer.

Po którymś razie zadziałał przypadek. Kule poszybowały dokładnie w burtę przepływającej łodzi. Silnik zakopcił, a sam kuter wytracił prędkość.

Reszta straciła animusz. Już nie walczyli, tylko próbowali uciec. Jeśli dobrze pójdzie, chłopcy z kompanii ochotniczej dokończą robotę. Jeden dobrze wycelowany erkaem i kolejny kuter zostanie rozwalony na kawałki.

Sygnal telefonu w takiej chwili potrafił wkurzyć. Kierowca właśnie cofał i wykręcał, żeby rozpocząć pościg.

– Halo?

– Stasiu...

– Tak...

– Jesteś nad Wisłą. – Banach nie potrzebował szczegółów, jedynie ogólnego zarysu sytuacji. – Podobno niedaleko ciebie znajduje się autokar z zakładnikami. Zasuwasz tam prędko i daj mi znać. Ich szef chce na miejscu rozpocząć negocjacje, a nikogo innego oprócz ciebie tam nie mam.

– Wykonuję. – Osmecki wiedział, jakie są priorytety. – Kierowca, zmiana planów.

– Co znowu?

– Nie: co znowu, tylko jedziemy dalej prosto.

– Chryste Panie...

– A co z pościgiem? – Do rozmowy włączył się Ciepliński.

– Niech pan wyśle za nimi jedną grupę, już nie są groźni, reszta ma podążyć za nami.

Major zajął się wydawaniem rozkazów. Walka z kutrami długo nie potrwa. Na moście tych cholernych wozów też nie postawią. Operatorzy co najwyżej mogą wesprzeć obrońców, waląc z AT-4 i posyłając zdrajców prosto do piekła.

Dla pułkownika nadchodziła jedna z najważniejszych w życiu chwil. Ma negocjować uwolnienie prezydenta. Czy to nie za wiele, jeśli chodzi o taką skromną osobę jak on?

Autokar był widoczny z daleka. Podjechawszy do niego ostrożnie, zatrzymali się w stosownej odległości.

– Niech nikt nie wychodzi. Załatwię to sam – powiedział Osmecki, gramoląc się z siedziska na ziemię.

Przez moment walczył z pokusą zabrania ze sobą karabinka, lecz szybko zrezygnował. Lepiej, jak broń zostawi na miejscu. Nikogo nie chciał prowokować. Zresztą obecność dziesięciu wozów Agatu stanowiła dość wyraźny znak dla terrorystów, że lepiej dojść do porozumienia. Bardzo wątpliwe, by któryś z nich koniecznie chciał umrzeć. Do JSOC nie przyjmowali samobójców.

Osmecki ruszył w stronę samotnej postaci rozkoszującej się papierosowym dymem. Przez szyby autokaru przyglądało się pułkownikowi co najmniej kilkanaście osób. Na wszelki wypadek rolety zostały spuszczone tak, żeby snajperzy nie wiedzieli, gdzie znajdują się zakładnicy.

Tylko jeden szczegół budził niepokój Osmeckiego – ciało spoczywające tuż przy stopniach pojazdu. Specjalnie tak przemaszerował, aby móc przyjrzeć się zwłokom. Może i miał fotograficzną pamięć, ale tego faceta nie kojarzył.

– Ciekawi pana, kim on jest? – Polszczyzna gościa, z którym miał prowadzić negocjacje, była całkiem znośna.

– Nie bardzo – odpowiedział Osmecki, z napięciem czekając na tę informację.

– Generał Tony Butler we własnej, niestety martwej, osobie.

– Papa.

– Tak go nazywaliśmy.

– Miał zły dzień i poślizgnął się na wycieraczkę?

– Ależ z pana dowcipniś.

– Czasami palnę coś głupiego.

– Nie, w porządku, dobrze pan kombinuje. – Parker wziął ostatniego sztacha i wyrzucił niedopałek. – Mamy tu taki mały problem.

– Widzę. – Osmecki obrzucił spojrzeniem autokar. – W czym mogę pomóc?

– Taa... od czego tu zacząć.

– Może od złożenia broni.

– Mówiłem już, że dowcipny z pana gość? – Starszy sierżant prawie się roześmiał. – Zrobimy tak, wypuścimy na początek ministra obrony, jako gest dobrej woli.

– A co z resztą?

– Mam taką propozycję.

– Zamieniam się w słuch.

Porucznika Jakuba Słowikowskiego od ciągłego napięcia rozboleła głowa. Do tej pory wyobrażał sobie, że jest twardy jak skała i byle niepowodzenie spłynie po nim jak woda po kaczcce, jako dowódca znajdzie wyjście z każdej sytuacji, no i da przykład. Tymczasem wystarczył smród prochu, widok poszatkowanych ciał i stres, żeby ledwie się trzymał. Po każdym łyku wody z manierki robiło mu się niedobrze. Co on komu zrobił, że musi przechodzić przez takie męczarnie? Decyzja o zostaniu żołnierzem była najgłupszą, jaką w życiu podjął. Trzeba być kompletnym idiotą, żeby łądować się w takie szambo z własnej nieprzymuszonej woli.

Przez pierwsze minuty pod ostrzałem w ogóle nie potrafił zebrać myśli. Batalion stopniał do trzydziestu wozów. Wiele czołgów zostało rozbitych bądź uszkodzonych. Trochę się poprawiło, gdy do walki weszła bateria Krabów podporządkowana 1 Brygadzie. Nawała nie polegała na punktowym niszczeniu stanowisk przeciwnika, wolano raczej własnym ogniem pokryć jak największy teren i w ten sposób zmusić wroga do odwrotu. Zamiast działom 155 mm to zadanie powinno przypaść wyrzutniom WR-40 Langusta, ale tych akurat na wyposażeniu nie mieli. Dobrze, że w chaosie pierwszej godziny dołączyła do nich piechota na Bradleyach. Bez jej wsparcia oddziałom pancernym groziło unicestwienie.

Słowikowski nie potrafił zrozumieć jednego – z kim tak naprawdę walczą. Żołnierze w zagajniku ubrani byli w polskie mundury, więc to nasi czy dywersanci? Dopiero, gdy Jachimek znalazł komercyjną rozgłośnię radiową, sytuacja nieco się wyjaśniła. Większości informacji nikt nie potrafił bowiem potwierdzić. Podobno walki toczyły się w różnych częściach kraju, przeciwko władzom centralnym zbuntowało się co najmniej kilkanaście wielkich jednostek. Bundeswehrę widziano pod Poznaniem, a Białorusinów pod Białymstokiem. Pięć minut później wszystkie rewelacje jednak zdementowano, twierdząc, że w kraju panuje spokój.

Jaki spokój, skoro oni tu walczą?

Polskie jednostki obsadziły skraj gęstego zagajnika. Osiedla pozostały za nimi, tutaj trafiały się tylko gospodarstwa i działki rekreacyjne. Pomiędzy drzewami uwijała się piechota organizująca stanowiska dla ppk TOW. Czołgi zamaskowano siatkami oraz ściętymi gałęziami. Na północ od nich szła szosa. Teren płaski, poprzecinany szachownicą lasków i pól. Bez rozpoznania trudno się było zorientować, gdzie podziewa się nieprzyjaciel. Niewykluczone, że przyjmą atak w tym właśnie miejscu.

Jedyny dron, jaki mieli, został zestrzelony, a łączność była mocno zagłuszana. Jeżeli tak ma wyglądać sieciocentryczne pole bitwy, to on dziękuje i wraca do domu. Przewaga, z której byli tak dumni, została pogrzebana. W ten sposób wojnę prowadzono w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. To prawie pół wieku temu!

Słowikowski wystawił głowę z wjazdu i zlustrował przedpole. Trochę na lewo bił w powietrze słup dymu, obok drugi. Poza tym panował spokój. Złudny spokój, bowiem wystarczyło się obrócić i od razu na głowie jeżyły się włosy. Tam horyzont był czarny. Efekt ostrzału okazał się straszliwy. Musiały spłonąć całe podmiejskie osiedla bliżej Warszawy. Takiego barbarzyństwa nie był w stanie zrozumieć.

Pół godziny wcześniej kapitan piechoty wysłał na przedpole patrol. Słowikowski widział, jak czterech żołnierzy pod dowództwem starszego sierżanta przekrada się pomiędzy drzewami, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Podziwiał ich. Jego chronił gruby pancerz, a ich co najwyżej kamizelka balistyczna. Trochę mało, zwłaszcza gdy przyjdzie im stanąć oko w oko ze zwiadowcami przeciwnika w wozach bojowych.

Porucznik był ciekaw, jak Kaufman ma zamiar poprowadzić bitwę. Siła batalionu spadła niemal o połowę. Jeśli wyjdzie na nich coś więcej niż kompania, może być problem. Abrams to w końcu tylko czołg. Pojazd jest tak dobry jak załoga, która go obsługuje, a patrząc po twarzach pancerniaków, nie było dobrze. Wszystkim dawała się we znaki niepewność. Najgorsze było właśnie nieznane. Każdy chciał

wiedzieć, czy przeciwnik przyjdzie Leopardem, T-14 czy takim samym Abramsem, w jakim właśnie siedział. Pewnie nigdy wcześniej nikomu nawet nie zaświtało, że pierwsza bitwa, w której przyjdzie mu wziąć udział, zostanie stoczona w wojnie domowej.

Nagle okolicą zatrzęsała seria wybuchów. Salwa przeszła ponad nimi i trafiła w ocalałe zabudowania, równając je z ziemią. Ucierpiał zwłaszcza budynek, przed którym wywieszono białą flagę z czerwonym krzyżem. Rozumiał, że dla artylerzystów znajdujących się kilka czy nawet kilkanaście kilometrów dalej taka flaga nic nie znaczyła. Oni walili w określony punkt na mapie.

Ucierpiała jedna z sanitarek, którą pobliska detonacja uniosła w powietrze i grzmotnęła o ziemię. Kolejna została uszkodzona odłamkami. Paramedycy mający nieść pomoc poszkodowanym teraz sami jej potrzebowali.

Wśród tych, którzy to zauważyli, morale spadło o kilka kolejnych kresek. Kto będzie rwał się do walki, wiedząc, że w razie czego nikt mu nie pomoże?

Już wcześniej było nieciekawie, ale teraz zrobiło się zupełnie parszywie. Nim na dobre ucichły odgłosy pierwszych eksplozji, dołączył do nich dźwięk krótkich serii z broni maszynowej.

Słowikowski spodziewał się tego. Zwiad natknął się na przeciwnika albo odwrotnie. Potyczka z każdą chwilą przybierała na sile.

Trudno się było zorientować, jaka odległość dzieli ich pozycje od walczących, ale był to co najmniej kilometr. Jedno, drugie, trzecie głośniejsze stęknięcie i daleko przed nimi pojawił się kłębek szaroczarnego dymu.

– Kryć się! – Po linii piechoty przebiegł rozkaz podoficerów, pilnujących, by każdy znalazł się we własnoręcznie wykopanym dołku strzeleckim.

Grzebanie w ziemi musiało być istną udręką. Wszędzie splątane korzenie, których nie dało się przeciąć uderzeniem saperki. O wydrążeniu w pełni profilowanego okopu można było w ogóle zapomnieć. Przez czterdzieści minut to co najwyżej dawało się wyryć prowizoryczne stanowisko. Zresztą wgryzanie się w glebę to zadanie dla sprzętu inżynierskiego, który w parę minut robi to, co setce ludzi zajmie cały dzień. A chociaż koparki ratują życie tak samo skutecznie jak najwymyślniejsze rodzaje broni, na paradach jakoś nikt się nimi nie chwali.

Porucznik zanurkował do wnętrza wieży i od razu przywarł do peryskopu. Tylko bezpośrednie trafienie mogło im przynieść zagładę. Detonacja i grad odłamków nawet w bliskiej odległości jedynie odbije się od pancerza. Tu strachu nie było. Co innego, gdyby wróg strzelał inteligentnymi pociskami, takimi, co to potrafią zmieniać kierunek lotu, idąc za wskazaniem czujnika w głowicy naprowadzającej, wtedy... aż strach pomyśleć. Dwie salwy i po batalionie.

Piechocie te niuanse były obojętne. Ona miała najgorzej... chociaż nigdy nie zamieniłaby się z pancerniakami. Czołg to stalowa trumna, która sama przyciąga pociski.

Po ostrzale przeważnie przychodzi pora na właściwy atak. Czy i tym razem będzie tak, jak Kuba się spodziewał?

– Granit 1, uważaj, wychodzą prosto na ciebie! – Usłyszał nagle przez radiostację.

Czyżby Kaufman był prorokiem? Dla Słowikowskiego przedpole wciąż wyglądało tak samo jak przed chwilą – nuda i bezruch.

– Są na dziesiątej, panie poruczniku. – Celowniczy pierwszy dojrzał wroga.

Humvee pomalowane w ochronne barwy były prawie niewidoczne. Słowikowski nawet się ucieszył, to przecież ich... nie, do cholery, nie ich, to byli ci, którzy do nich strzelali z dział, i to dosłownie przed paroma sekundami.

Jeden wóz, drugi, trzeci, w sumie pięć, z tego trzy z opancerzonymi wieżyczkami chroniącymi strzelców WKM-ów.

– Widzi któryś, do jakiej należą jednostki? – zapytał.

Gdzieś tam na drzwiach, błotnikach czy tylnej burcie powinny znajdować się znaki określające,

z której brygady są pojazdy, lecz tym razem niczego takiego niepodobna było zauważyć. Tablice rejestracyjne zdjęto, to pierwsze, co się Słowikowskiemu rzuciło w oczy. Jakiś symbol znajdował się na drzwiach kierowcy i pasażera, ale został zamalowany albo pokryty błotem. A to dranie. Jaki wróg tak postępuje? Po co ci skurkowańcy tak się tajniaczą?

Humvee wyjechały na otwartą przestrzeń i ustawiły się w linię. Dla każdego siedzącego w okopie było jasne, że mają przed sobą zwiad, i to z jednostki, w której mogą służyć Polacy.

A więc stało się. To bunt, rebelia czy jak tam to nazwiemy. Wydaje się wam, sukinsyny, że wiecie lepiej, jak kierować tym krajem?

Po naszym trupie.

Walenie z czołgowych dział do takiego drobiazgu jak Humvee miało się z celem. Piechota sama powinna uporać się z problemem. W razie czego do walki włączą się Bradleye. Dwudziestomilimetrowe działka rozstrzelają terenówki bez większego problemu. Szkoda, że mieli tak mało czasu i wcześniej nie ustawili pola minowego, trochę mieszanych ładunków przeciwpancernych i przeciwpiechotnych na taką zgraję wystarczyłoby w zupełności.

Najważniejsze to nie panikować. Niech zwiad pojedzie bliżej. Dopiero wtedy dobiorą im się do skóry.

Właściwie to dlaczego buntownicy do rozpoznania nie użyli cięższych pojazdów, jak M3? Może oddział zwiadowczy rebeliantów wykonuje inne zadanie, obchodząc pozycje lojalistów tak, aby w decydującym momencie wyjść na tyły 1 Brygady? To całkiem prawdopodobne. Na szczęście, o ile tak w ogóle można powiedzieć, mieli przed sobą o wiele słabiej uzbrojone pojazdy.

Humvee ruszyły powoli, obawiając się chyba zasadzki. Potyczka ze zwiadowcami musiała dać im do myślenia. Taki mały oddział nie mógł daleko odsadzić się od swoich.

Strzelec w pojeździe z lewej strony musiał właśnie dojrzeć jakieś zagrożenie, bo na końcu lufy pojawił się rozbłysk. Dwie krótkie serie i do walki włączyły się kolejne wozy.

Piechota w końcu odpowiedziała ogniem. Kule z automatów nie mogły powstrzymać terenówek, dopiero odpalenie przeciwpancernego pocisku TOW sprawiło, że pojazd, który rozpoczął bitwę, zmienił się w kulę ognia.

Ogień z pozostałych Humvee skoncentrował się w miejscu, skąd wystrzelono ppk. Na razie wróg nie zdawał sobie sprawy, na jak wielki oddział się natknął, desperacko pchając się do przodu i nie bacząc na wzrastający opór. Dopiero zniszczenie drugiego pojazdu sprawiło, że pozostałe się zatrzymały, by po chwili wrzucić wsteczny i zacząć powoli pełznąć do tyłu.

Dwa do zera dla lojalistów. Oby tak dalej. Jakub zacisnął zęby z taką siłą, że zaczęła boleć go żuchwa.

– Jest i trzeci.

– Widzę, Jachimek, widzę.

Któryś z polskich UKM-ów poszatkował opony w środkowym pojeździe. Wóz zarył w głębszym wykrocie i nie był w stanie ruszyć dalej. Otworzyły się boczne drzwi. Natężenie ognia odczuwalnie spadło. Głupio było strzelać do kogoś w polskim mundurze.

Strzelec wyborowy nie bawił się subtelności. Żołnierz upadł w tej samej sekundzie, w której uniósł karabinek do ramienia. Słowikowskiego ogarnęły mieszane uczucia. Chciał splunąć, ale nie bardzo było gdzie.

Dwa ostatnie pojazdy wiały tą samą drogą, którą przyjechały. Niedługo znikną wśród drzew i tyle będzie ich widać. Wiedział, że celowniczego i ładowniczego świerzbiją palce. Taka okazja może się już więcej nie powtórzyć. Snujące się dymy trochę utrudniały obserwację. Teraz albo spadnie na nich kolejna artyleryjska nawała, albo od wschodu nadjadą czołgi buntowników.

Spodziewał się i jednego, i drugiego, ale nie zwiadowczego OH-58 Kiowa. Maszyna przeleciała tuż nad czubkami drzew tak szybko, że nie była jej w stanie doścignąć seria z karabinu maszynowego.

Macają ich z nieba i ziemi, szukając słabych punktów. Jeżeli ich namierzeli, to na pewno nie pozwolą tkwić im tu bezkarnie dłużej.

Przypuszczenie porucznika potwierdziło się dużo szybciej, niżby chciał. Bradleye, dokładnie takie same jak te znajdujące się na wyposażeniu batalionu zmechanizowanego w ich brygadzie, pojawiły się w polu widzenia. Do tego czołgi, oczywiście Abramsy, jako wsparcie.

Tym razem nie pójdzie im już tak łatwo. Mogą powalczyć, ale w końcu pewnie przyjdzie lojalistom cofnąć się na nową rubież.

– Granit 1, masz przed sobą kompanię na BWP-ach.

– Oraz czołgi. – Słowikowski nie potrafił odmówić sobie drobnej złośliwości wobec Kaufmana.

– Tak, oczywiście, czołgi.

– Co mam robić?

– Postarajcie się ich powstrzymać.

– Tak jest.

Jego dwa wozy przeciwko tamtym czterem. Dobrze sobie.

– Cel na dwunastej.

Najwyższa pora zarobić na żołd.

Studwudziestomilimetrowy pocisk zniknął w gardzieli działa. Krzyż celownika został naprowadzony na sunącego majestatycznie Abramsa. Tego jeszcze w kinie nie grali. Maszyny tego samego typu i służące w tej samej armii stawały naprzeciwko siebie w bratobójczym boju.

Odległość nie była duża. Według laserowego dalmierza osiemset pięćdziesiąt trzy metry. Komputer sam skorygował podniesienie lufy. Jedyne, co należało zrobić, to wystrzelić i zabrać się za kolejny pojazd.

– Ognia!

Dystans został pokonany w mgnieniu oka. Trafili, i to bez problemu. Abrams dostał prosto w wieżę. Nawet jeżeli nie doszło do przebicia pancerza, to i tak załoga na parę minut została wyłączona z działania.

Czołg stanął, lufa opadła ku ziemi. Uszkodzenia musiały być poważne.

Do walki włączyła się piechota, i to z obu stron. Polacy walili z przeciwpancernych ppk, starając się rozbić jak najwięcej pojazdów buntowników. Rebelianci nie pozostawali dłużni. Wywiązała się bitwa na wyniszczenie. Żadna ze stron nie chciała albo też i nie mogła ustąpić. Działonowy tylko przerzucał pociski z zasobnika w tyle wieży do zamka. Cała sekwencja od wystrzału do ponownego załadunku nie trwała dłużej niż osiem sekund. Gdyby Słowikowski dysponował pełnym składem plutonu, istniałaby szansa na powstrzymanie nacierających.

Płonących wraków przybywało, lecz gdy do boju włączyły się kolejne wozy przeciwnika, serce w poruczniku zamarło. Dla obrońców stało się jasne, że szybko zostaną rozjechani.

– Tu Granit 1...

– Słyszę cię. – Głos majora był spokojny i rzeczowy.

– Szarżuje na nas kolejna kompania. Co mam robić?

– Osłoń piechotę...

Dalszych słów nie zrozumiał, bo w czołowy pancerz uderzył pocisk. Zgrzyt omal nie rozsądził załodze bębneków w uszach. Na moment wyłączyły się wszystkie podzespoły. Jakuba od uderzenia rozboleło całe ciało, zupełnie jakby podłączył się do elektrycznego gniazdka. Otrząsnąć się z szoku nie było łatwo.

– Wszyscy cali?

– Sss...

– Jachimek, żyjesz?

– Jeszcze nie wiem.

– Dawaj do tyłu, bo nas tu zaraz usmażą.

Omiał nie zderzyli się z cofającym Bradleyem, który z działka 20 mm w wieży siał po przedpolu.

Słowikowski przywarł do termowizora pozwalającego na obserwację przy unoszącym się dookoła dymie. Maleńkie sylwetki rebeliantów posuwały się do przodu. Większość stanowisk obronnych została rozbita, tylko gdzieś pojedynczy strzelcy odgryzali się wrogowi. Zrobił się potworny chaos. Trudno było powiedzieć, ile pojazdów przeciwnika zdołali zniszczyć. Co najmniej osiem, ale w panującym zamieszaniu dokładna kalkulacja nie była możliwa. Oni starcie przypłacili stratą sześciu wozów. Reszta rwała teraz na zachód, ile mocy w silnikach.

Krzaczaste wybuchy wśród ugrupowania buntowników uświadomiły Słowikowskiemu, że oto do walki ponownie włączyła się ich artyleria. Ogień nie był może zbyt intensywny, ale lepszy taki niż żaden.

Wciąż walczyli. Morales wyciągał kolejne ładunki, chwila na celowanie, strzał i zamek ogromnego działa przesunął się do tyłu. Nawet przy pracującej wentylacji we wnętrzu Abramsa potwornie śmierdziało. Tak szybko zużywali pociski, że niedługo pozostaną goli.

Nagle wóz wpadł w głęboki dół. Słowikowski poleciał do tyłu, a sekundę później do przodu, gdy zaczęli wspinać się po pochyłości.

Operator wyrzutni TOW musiał wycelować w nich już wcześniej. A może to wcale nie był przeciwpancerne pocisk kierowany, który przepalał kompozytowy pancerz strumieniem rozgrzanego metalu, tylko zwykły podkalibrowy z rdzeniem ze zubożonego uranu? Dla siedzących w środku ludzi nie miało to większego znaczenia. O przeżyciu decydowały dosłownie sekundy.

Jakub poczuł, że w powietrzu zaczyna brakować tlenu. Nadludzkim wysiłkiem uniósł pokrywę wjazdu. W tym akurat momencie uruchomił się system przeciwpożarowy i wnętrze wozu wypełniła biała mieszanka gazów.

Jeżeli chciał przeżyć, musiał myśleć o sobie. Palce złapały krawędź wjazdu. Podciągnął się z siłą, jakiej wcześniej u siebie nawet nie podejrzewał. Ułożył się na płaskiej wieży, tuż za płytą ochronną karabinu maszynowego, i zajrzał do wnętrza.

Zajrzał i od razu chciał uciec, gdy dostrzegł poparzoną twarz Moralesa. Krew ściekała działonowemu z czoła i policzków.

– Trzymaj się! – Do końca nie był pewny, czy wykrzyczał to zdanie, czy tylko wypowiedział je we własnych myślach.

Chciał złapać za dłoń Latynosa, lecz ranny nie wyciągnął ku niemu ręki. W przyпіływie desperacji chwycił za mundur na piersi i zaczął ciągnąć. Szło łatwo, lecz czemu Morales nie przestawał wyć? Głowa była już prawie na zewnątrz, gdy Słowikowski zobaczył dlaczego. Działonowy nie miał nóg, obie zostały ucięte tuż nad kolanami. Prawej dłoni też nie miał, a z kikuta lewej ręki tryskała krew, i to wprost na twarz porucznika. Słonawa ciecz dostała mu się do ust. Chciał ją wypluć i otrzeć wargi. Zakrztusił się. Czołg zadrżał od wewnętrznego wybuchu, co sprawiło, że Morales wymusnął się z niezbyt pewnego uchwytu i wpadł do środka.

– Nie...

Opierając się na łokciu, dowódca zaczął zsuwać się do wnętrza. Nie potrafił zostawić podwładnego na pewną śmierć.

Dosięgnięcie tego strzępu ludzkiego ciała nie było jednak łatwe. Musiał sobie teraz odpowiedzieć na pytanie: czy chce zginąć razem z Moralesem, czy uratować własne życie.

Nie wahał się długo. Sam nie da rady. Jak ma wyciągnąć kogoś bez nóg? I po co, skoro ten wykrwawi się za parę sekund? Na dodatek jakaś siła zaczęła go wyszarpywać na zewnątrz.

– Jachimek?

– Tak jak... nic się...

W życiu tak się nie ucieszył na widok kierowcy.

– A oni? Czy...

Nie dokończył. Na oczach porucznika głowa Jachimka eksplodowała. Nie miało znaczenia, czy był to pocisk półcalowy, czy 20 mm. Oba zabijały tak samo skutecznie. Nie pozostawało nic innego, jak zsunąć się po panczerzu na ziemię i poszukać bezpiecznego ukrycia.

Nieliczne ocalałe pojazdy lojalistów zdążyły w kierunku nieodległych zabudowań. Rebelianci urządzili im prawdziwy pogrom. Jeśli szybko się nie przegrupują, linie obronne zostaną przerwane, a droga na Warszawę stanie otworem.

Zaledwie parę metrów od niego pojawiło się w ziemi co najmniej kilkanaście gejzerów niecelnej serii.

Jakub padł w bruzdę twardej jak skała gleby i zaczął czołgać się w stronę większej rozpadliny, którą dojrzał po prawej stronie.

Gardło ścisnął żal. Oprócz niego z całej załogi nie uratował się nikt, a on nie miał nawet broni, żeby ich pomścić. Co zawinił światu Morales albo taki Jachimek? Nic. Robili tylko to, co do nich należało. Młodzi byli, a już nie żyją. Dostali się w tryby wielkiej polityki, a ta ich przemielła i wypluła. Nie tylko zresztą ich. Widział co najmniej kilkadziesiąt zniszczonych pojazdów obu stron.

Najgorsze będą blizny, które pozostaną w pamięci. Zespół stresu pourazowego będzie zbierał swoje żniwo przez dziesięciolecia.

Po wojnie na Falklandach w 1982 roku więcej angielskich żołnierzy popełniło samobójstwo, niż zginęło w walkach, a przecież tamten konflikt nie był szczególnie intensywny w porównaniu z jatkami pierwszej czy drugiej wojny światowej bądź z tym, co działo się w Korei czy Wietnamie.

Parę metrów dalej rosła kępa olch dająca lepszą osłonę niż ten płaski kawałek terenu, gdzie teraz się znajdował. Podpełznął tam szybko, starając się zorientować, co teraz planowali rebelianci.

Ci o dziwo nie spieszili się z podjęciem działań pościgowych. Czyżby ofiara, jaką złożyła kompania piechoty, nie poszła na marne, a straty, jakie zadali wrogowi, były większe, niż przypuszczał?

Od strony zabudowań dobiegł Słowikowskiego szum gazowych turbin Abramsów. Pancerne bestie rozwalają ogrodzenia i miałyby gąsienicami przydomowe ogródki. Kaufman zdążył na czas. Może i ta reszta pancernego batalionu ulegnie zagładzie, ale przynajmniej ci w Warszawie zyskają cenne minuty na godne przywitanie nadciągających buntowników.

A oni wciąż zwlekali. Mogli przecież zdecydować się na podobne rozwiązanie jak za pierwszym razem: grzmotnąć całą potęgą artylerii, a potem ruszyć z kopyta. Kunktatorstwem nie wygrywa się wojen, więc coś się szykowało. Na razie jednak na pobojuwisku zapanowała względna cisza, pojazdy obu stron starały się nie pojawiać w polu widzenia.

Słowikowskiemu zrobiło się słabo. Nie jadł i nie pił od wczoraj, a do tego działał w potwornym stresie. Koniec z tym. Jeśli przeżyje, wystąpi z armii i poszuka sobie innego zajęcia, choćby w warzywniaku. Nie musi zarabiać kokosów, wystarczy, jak zostanie mu parę groszy na piwo i fajki. Mieszkać może w szałasie. Świeże powietrze lepsze od czterech ścian w bloku, a jeszcze lepiej robi, jak wyjedzie nad morze. Znajdzie wiochę tuż przy plaży i zacznie nowe życie. Weteranowi państwo wypłaci jakąś zapomogę. Najważniejsze to zrzucić mundur i pożegnać się z wojskiem raz na zawsze.

Na niebie dostrzegł szybującego ptaka. Nie interesował się ornitologią, ale przypuszczał, że to bocian albo jakaś inna czapla. Tylko dlaczego nie macha skrzydłami? Nie, to nie ptak, tylko dron. Cholerny powietrzny zwiadowca. Za nim kolejny i jeszcze jeden. Buntownicy wyraźnie lubili samolociki, bowiem naliczył ich już dziesięć. Nie... więcej – z piętnaście – i wciąż przybywało nowych. Armada leciała najwyżej dwieście metrów ponad ziemią.

A to sukinsyny, cwaniaczki parszywe. Sądząc po ich liczbie, to zapewne drony uderzeniowe, rodzaj powietrznego robota lokalizującego cel i spadającego na niego z góry. Taka inteligentna amunicja. Właściwie to nie było przed nimi ucieczki. Ilość ciepła emitowana przez silniczki była za mała, by czujniki rakiet przeciwlotniczych uchwyciły taki drobiazg. Pewien skutek odnosiło jedynie strzelanie do nich z karabinów maszynowych i działek Można było w ten sposób zestrzelić pojedyncze sztuki. Tych

było... więcej. No tak, po co tracić ludzi i ciężki sprzęt w kolejnym starciu, skoro można użyć latających zabójców i załatwić sprawę raz na zawsze.

Od strony polskich pozycji rozległy się coraz liczniejsze strzały, w miarę jak kolejne załogi włączały się do próby zniszczenia nadciągającego roju, który znalazł się dokładnie nad porucznikiem. Słowikowski chciał zawyc z wściekłości. Mając Mini-Beryla do dyspozycji, mógłby poprobować szczęścia, a tak, może tylko patrzeć...

Zmasowany ostrzał dał wreszcie pierwsze efekty. Jeden z dronów wpadł w korkociąg i runął na ziemię. Wyglądał jak popsuta dziecięca zabawka. Podobno Amerykanie do unicestwienia powietrznych szpiegów używali lasera małej mocy zainstalowanego na ciężarówce. Zapewne niedługo zautomatyzowane zestawy tego typu staną się powszechne w obliczu masowego stosowania równie zautomatyzowanych środków ataku.

Kolejny dron detonował w powietrzu, najwyraźniej trafiony w zapalnik, potem jeszcze jeden zaczął lot nurkowy bez ogona, ale reszta niezmiernie zmierzała ku przeznaczeniu.

Słowikowski wolałby nigdy nie ujrzeć tego, co stało się chwilę później, jednocześnie jednak nie potrafił oderwać wzroku. Drony spadały na czołgi i bojowe wozy piechoty jak drapieźniki na bezbronne ofiary. Sposób przeprowadzenia ataku był przerażający. Maszyny się rozproszyły – niektóre wznosiły się, inne zaczęły nurkować jak miniaturowi kamikaze. Wydawało się, że sekwencja ataku została wcześniej zaprogramowana, a każdemu z obiektów zostało wyznaczone odpowiednie miejsce. Nadlecieć mogły ze wszystkich stron, na różnej wysokości, wysłane w różnym czasie. To mikroprocesory decydowały o najskuteczniejszej formie nalotu. Zdesperowani obrońcy ślali w niebo setki pocisków, a z drugiej strony dobiegało tylko jednostajne buczenie silników i kolejne detonacje trafionych celów. Jeszcze jedna z bezlitosnych maszyn przekoziółkowała i spadła w pewnej odległości od linii obronnych, jeszcze tylko operator rakiety Grom spróbował szczęścia i... to był koniec.

W tej sytuacji tylko własne drony mogłyby zapewnić skuteczną obronę czołgom, ale to oznaczałoby już wojnę inteligentnych maszyn, a nie ludzi.

To, co jeszcze przed chwilą było grupą bojową, stało się dymiącym złomowiskiem. W Abramsach detonowała amunicja i paliwo. Ludzie ginęli paleni żywcem i rozrywani przez fale uderzeniowe. Do unicestwienia batalionu wystarczyła niespełna minuta. Jeżeli nawet wśród zabudowań pozostały jeszcze jakieś niedobitki, to i tak nikt nie myślał już o walce. Tym razem materia zwyciężyła nad duchem.

Słowikowski nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. Być może z masakry wyrwały się pojedyncze wozy, ale gdzie ich szukać? Jeżeli ocalały, to rwą teraz pewnie na tyły w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

Jakubowi także nie uśmiechało się pozostawać na środku pola. Niedługo nadjadą rebelianci i zrobią z niego mielonkę. Należało dobrze się ukryć, bo to chyba nie był jeszcze koniec wojny, choć jeżeli wróg dysponuje takimi zabawkami jak te, które obserwował przed chwilą, to ta wojna długo nie potrwa. Początkowy triumf lojalistów okazał się nic nieznaczącym epizodem wobec manta, jakie im przed momentem spuszczone.

Czołgista wystawił głowę, starając się rozeznac w panującym zamieszaniu. Za sobą miał scenierię całkowitego zniszczenia, a przed sobą buntowników właśnie szykujących się do natarcia. Tym razem szereg czołgów ustawiał się w klasyczną linię, by za chwilę na pełnym gazie pognać do przodu. Może nawet nie będą strzelać. Nie było takiej potrzeby, skoro wgnietli wroga w ziemię i przydeptali obcasem.

W końcu Abramsy ruszyły. Słowikowski najchętniej zwinąłby się w kłębek i przeczekał w jakiejś jamie do ranka dnia następnego. Za niespełna pół minuty pancerna nawała przetoczy się obok. Jeżeli zostanie wypatrzony, zginie. Nikt nie będzie się zastanawiał, co on tu robi, tylko wygarnie serię i po kłopotcie. Po ucieczce z płonącego czołgu pożył najwyżej piętnaście minut dłużej. Niewątpliwym sukces, nie ma co.

Gdy zatrzęsa się pod nim ziemia, nie wiedział, co ma o tym myśleć. Wrażenie było mało przyjemne,

zupełnie jakby stał na moście, po którym przetaczała się wielka ciężarówka.

Usta otworzył w samą porę, bo właśnie dotarła do niego fala uderzeniowa. Przywarł do ziemi, nakrywając głowę ramionami. Oto rozpoczął się koniec świata. Huk był tak potężny, że nie słyszał własnych myśli. Kanonada przywodziła na myśl niekończącą się serię grzmotów. Gdy na sekundę otworzył oczy, nie dostrzegł ani nieba, ani ziemi, tylko wirujący w powietrzu brunatny pył, w którym zacierały się wszelkie szczegóły. Gdzieś niedaleko musiały się otworzyć bramy piekieł i wyjechali z nich jeźdźcy Apokalipsy.

Ponownie zamknął oczy. Miał już dość. Niech to wszystko skończy się raz na zawsze, obojętnie jak, ale niech się skończy.

Sponiewieranemu Słowikowskiemu nalot wydawał się trwać bez końca, choć w rzeczywistości było to tylko kilkanaście sekund.

Natarcie załamało się, zanim rozpoczęło się na dobre.

Cisza przedłużała się, więc w końcu Jakub wstał i otrzepał spodnie. Kaszlnął parę razy, ocierając przy okazji łzy ciekące po policzkach. Mimowolnego drżenia lewej nogi nie potrafił opanować. Był bliski płaczu i w dupie miał, czy ktoś to widzi, czy nie. W życiu nie został tak sponiewierany jak przez ostatnie pół godziny. Pociągnął nosem i ruszył, kuśtykając przed siebie. Sam już nie wiedział, czego chce, osiągnął stan, w którym człowiekowi jest wszystko jedno, co z nim będzie.

Nie miał pojęcia, jak długo maszerował. Właściwie to włókł się noga za nogą, aż w końcu stanął przed dymiącym wrakiem Abramsa. Wysoka temperatura sprawiła, że farba odłaziła z wieży i kadłuba całymi płatami. Powietrze przesycone było smrodem chemikaliów i palonego ludzkiego mięsa, od którego robiło mu się niedobrze.

Ten akurat pojazd nie należał do batalionu pancernego 1 Brygady, lecz do rebeliantów. Jakub przyjrzał się maszynie ciekawie. Obszedł ją z lewej i z prawej. Na obłym przedmuchiowaczu lufy dostrzegł symbol kowbojskiego kapelusza. 30 Brygada. Nędzne gnidy do odstrzału.

Wezbrała w nim taka złość, że tylko żar bijący od wraku sprawił, iż nie podbiegł bliżej i nie kopnął w gąsienicę. Co się wam, skurwysyny, nie podobało? Mieliście wszystkiego pod dostatkiem. Uratowaliśmy wasze parszywe dupska, a wy tak nam odpłacacie? Pluton egzekucyjny to dla was za mało!

Uniósł leżący w pobliżu kamień i rzucił nim w wieżę. Macie szczęście, że już jesteście martwi, bo inaczej bym się z wami policzył!

Nawet nie usłyszał, kiedy kilkanaście metrów od niego zatrzymała się terenówka pełna żołnierzy, którzy obserwowali poczynania wściekłego Słowikowskiego. W końcu dowodzący nimi chorąży postanowił przemówić oficerowi do rozsądku.

– Wszystkie tak wyglądają, panie poruczniku.

– Co wszystkie? – Jakub dopiero teraz zorientował się, że ma towarzystwo.

– Nasze lotnictwo mocno im przywalało.

– Na...

– A tak. – Żołnierz w uśmiechu odsłonił krzywe zęby. – Stąd aż po Wołomin, same wraki.

– Jesteś pewny?

– Oczywiście. Szkoda tylko, że tylu naszych zginęło. – Mężczyzna rozejrzał się dookoła. – Pan to chyba z 1 Brygady?

– Taa...

– To proszę do środka. Odstawimy pana do punktu dowodzenia. Tam już powiedzą, co dalej. – Chorąży zrobił parę kroków, podchodząc bliżej Kuby. – Pan się napije. Lekarstwo. Dobrze robi.

Słowikowski ujął podaną manierkę i niepewnie spojrzał na mężczyznę.

– Śmiało.

Ognista struga spłynęła przez gardło do żołądka.

– Jeszcze raz. Lepiej? Twardy z pana zawodnik, poruczniku. Cieszę się, że mogę służyć z takimi

gośćmi.

Jakub nie wiedział, czy stwierdzenie dotyczyło wypitego alkoholu, czy ostatnich wyczynów.

– Wszystko gra?

Nie pozostało nic innego, jak potwierdzić.

– Jedziemy. Ej, tam! Zróbcie miejsce dla oficera!

Słowikowski dał się zaprowadzić do Humvee i usiadł tuż za plecami kierowcy.

Było jej tak błogo jak jeszcze nigdy w życiu. Obudziła się przed chwilą i wciąż pamiętała sen, który nie chciał jej opuścić. Spacerowała w nim po łące pełnej kwiatów. Co za cudowne doświadczenie. Trawa delikatnie muskała jej białe stopy, powietrze pachniało cyprysami, a ona sama uwolniła się od trosk i zmartwień.

– O, widzę, że już się pani obudziła.

Głos na pewno nie należał do anioła, był jakiś szorstki i... obcy.

– Proszę nie udawać, przecież widzę.

Yvonne westchnęła i uniosła powieki.

– Pani pewnie nie wie, kim jestem.

– Nie, raczej nie.

Nigdy wcześniej się nie spotkali. Pamiętałaby. Facet tak na oko po pięćdziesiątce, szpakowaty, przystojny, typ intelektualisty.

– Otóż, hmm, no nie wiem, jak to powiedzieć.

– Proszę mówić śmiało. Nie obawiam się niczego.

– Doszło do pewnych komplikacji.

– Do komplikacji? U kogo?

– U pani, naturalnie.

– Czuję się świetnie.

– Naprawdę?

– Byłam operowana? – zapytała, lecz nie miało to dla niej większego znaczenia.

– Można tak powiedzieć.

– A co mi było?

– Już nic. Lepiej, jak pobędzie pani sama. Na razie proszę odpoczywać. – Lekarz zrezygnował nagle z dalszych wyjaśnień. – Porozmawiamy później. Wzywają mnie – dodał na koniec wykrętnie, poklepał ją po ramieniu i wyszedł z izolatki.

Dziwny z niego typ. Niby chce coś powiedzieć, ale nie potrafi zacząć ani skończyć zwykłej rozmowy.

Dobra, wystarczy tych pieszczot. Lepiej, jeśli przejdzie się, rozprostuje kości, przewietrzy płuca. O jakiej operacji on właściwie mówił? Nic jej przecież nie dolegało.

Obrócenie na bok szło jej jakoś nieporadnie. Uniosła się na rękach i spojrzała na okrywającą ją kołdrę. Mhy... a gdzie podziały się nogi?!

Tak szybko, na ile pozwalały jej warunki, odrzuciła przykrycie. Dławiący strach ścisnął jej gardło. Były tam tylko jakieś kikuty kończące się w połowie ud, ale nigdzie nie dostrzegła reszty.

Ten kretyn mówił o jakichś komplikacjach? Czyżby chodziło o tę część ciała, z której była taka dumna? Faceci oglądali się za nią, gdy paradowała w miniówce. Tu już nie chodziło o cyci czy wąską talię, została pozbawiona obu nóg!

Najlepiej, jak spadnie na podłogę i rozwali sobie łeb. Dalszej egzystencji w tym stanie sobie nie wyobrażała...

Narastająca panika sprawiła, że zaczęła wyc, co oczywiście spowodowało do izolatki lekarza

i pielęgniarkę. Dopiero dawka silnego środka uspokajającego sprawiła, że Yvonne odpłynęła w niebyt.

Nikt jej szczególnie nie żałował, nie po tym, co zrobiła w szpitalu parę godzin wcześniej, a już najmniej żałowała jej Oliwia, dla której ten skowyt był najpiękniejszą muzyką.

Po dniach pełnych napięcia spokój panujący na ulicach Warszawy wydawał się nienaturalny. Zamiast tłumów zgromadzonych w centralnych punktach miasta – mrówczy pośpiech metropolii. Podobnie było z ruchem samochodowym – ulice korkowały się rano i po południu, w rytm pracy warszawiaków.

Bunt został stłumiony, ale to jeszcze nie oznaczało odzyskania pełnej kontroli nad państwem. Z informacji, które spływały na biurko szefa Agencji Wywiadu, wynikało jednoznacznie – wciąż nie wszystkich uczestników rebelii udało się ująć lub zlikwidować. W całym kraju ukrywało się co najmniej kilkuset dezertersów lub osób w jakiś sposób zamieszanych w spisek. Zresztą co tu daleko szukać, w Kampinosie widziano tajemnicze monstra. Świadkowie uparcie twierdzili, że to potwory, ale Banach był zdania, że to niedobitki desantu. Upłyną tygodnie, zanim ich wszystkich wyłapią, lecz nie miał zamiaru darować komukolwiek. Dopadnie każdego i... A to już się zobaczy, co dalej.

Co prawda zginął Tony Butler, odpowiedzialny za akt terroru na Krakowskim Przedmieściu, ale jego ludzie okazali się chętni do współpracy. Ten cały Parker wyglądał na rozsądnego faceta. Zakładnikom nie spadł włos z głowy. Banachowi nawet wydawało się, że w towarzystwie ludzi z JSOC zakładnicy byli o wiele bezpieczniejsi niż pod ochroną BOR-u. Najwyższa pora pomyśleć o polskim odpowiedniku takiej jednostki jak JSOC.

Na razie Amerykanów odstawiono na Mazury, do Ośrodka Specjalnego numer 1. Tam poczekają na ostateczne decyzje. Po co rozbijać coś, co jest dobre. Należy ich zwerbować i skierować do nowych zadań, a czym mają się zająć, to już on zadecyduje. Oczywiście pojawią się i tacy, którzy będą domagać się kary, jednak tej swołoczy szybko pozamyka gęby. Kara karą, lecz wspaniałomyślność przynosi niekiedy lepsze rezultaty. Zapakowanie zgranej ekipy do więzienia na długie lata nic nie da. Trzeba ich będzie karmić, leczyć, krótko mówiąc, wydawać pieniądze podatników, a tak, niech własną krwią zmyją winy.

Na ich czele postawi Halickiego. Ten facet wie, jak radzić sobie z trudnymi przypadkami. Dla takiej grupy nie będzie zadań niemożliwych do wykonania.

Nie ma co ukrywać, że podczas puczu Polacy mieli więcej szczęścia niż rozumu. W pewnym momencie los kraju zawisł na włosku. Operację dobrze przemyślano i zaplanowano. Trudno było powiedzieć, co nie wypaliło, zadziałał raczej cały szereg przypadków. I tym razem wojnę wygrał ten, komu szczęście sprzyjało.

Wkrótce pojawi się problem, co zrobić z żołnierzami, którzy wykonywali rozkazy wydawane przez Amerykanów. Nie sposób ich ukarać, rozkaz to rozkaz. Na tej zasadzie funkcjonowała armia. Na przykład tacy lotnicy wykonali zadanie na medal, ale przyjdzie im żyć ze świadomością, że zabili niewinnych ludzi, współtowarzyszy broni. Wielu może nawet się załamać.

Pewnie przyjdzie też rozwiązać niektóre jednostki, część żołnierzy i marynarzy przenieść do rezerwy, a iluś tam postawić przed sądem.

Przykry los spotkał też polskich agentów i informatorów, którzy zostali zdekonspirowani. Ich ciała znajdowano wszędzie, od ujścia Wisły po Przemyśl. Przynajmniej młody Galiński uniknął najgorszego. Był zamknięty w piwnicy. Wcześniej dostał ostry wycisk, lecz jego życiu nic nie groziło. Młody jest i twardy.

Tak jest, czystki to konieczność, ale i tu należało postępować rozsądnie. Generał ubolewał, że z Ochota Tower ocalała tylko jedna, i to mało znacząca osoba. Przepadła cała masa informacji o strategicznym znaczeniu.

Coś mówiło generałowi, że niedługo przez szeregi czołowych amerykańskich polityków i biznesmenów przetoczy się fala wypadków. Obecna administracja wykosi puczystów bez litości.

Trzeba jeszcze podziękować rządowi paru państw, które wystosowały ostrzeżenie przed zbliżającymi się transportowcami z desantem. Nie musieli tego robić, ale zrobili. To się liczy.

Banach właśnie przypomniał sobie, że w końcu odnaleziono też Bielawę. Ten to miał wyjątkowe szczęście i wyjątkowego pecha równocześnie. Jego wyprawa z domu na Saskiej Kępie do szpitala na Barskiej to istna odyseja. Szczepańska też tam była. Oboje zostali podziurawieni przez kule, ale żyją, chociaż stan marszałka lekarze wciąż określają jako ciężki.

Zamachowczynię, niejaką Yvonne Durosell, już odstawiono do zakładu penitencjarnego dla kobiet w Fordonie. Bez nóg daleko nie ucieknie. Osobiście najchętniej oddałby ją pod opiekę Borzęckiemu, jako królika doświadczalnego.

Prawdę powiedziawszy, to bez sugestii Borzęckiego byłiby jak dzieci we mgle. Niech w ramach podziękowania rząd wyasygnuje z rezerwy budżetowej środki na ten tankowiec, co to Oskar chciał przerobić na pływające laboratorium. To będzie krok we właściwym kierunku. Pieniądze, które wpakują w projekt, zwrócą się tysiąckrotnie. Istniała szansa, że zostaną liderami w dziedzinie nowoczesnych technologii, szczególnie że sporo zabawek rebeliantów wpadło im w ręce.

Kraj przetrwał, ale koszt tego był ogromny. Niektóre instytucje się sprawdziły, inne nie, a i dla niego była to swoista przestroga. Nigdy wcześniej żaden wróg nie obnażył słabych stron państwa w taki sposób, jak dokonali tego zamachowcy. Niech z tej tragedii wyniknie więc jakaś nauczka.

Banach westchnął i potarł oczy. Jak tylko zaczną wzmacniać bezpieczeństwo, prasa od razu podniesie krzyk o naruszaniu wolności osobistej, inwigilacji i państwie policyjnym. Nie zabraknie i takich, którzy w imię źle pojętej wolności zaczną protestować.

Dopiero teraz dotarło do niego, że zarówno on sam, jak i agencja, na której czele stał, przeszła długą drogę. Teoretycznie mieli zajmować się zbieraniem i analizowaniem informacji, a stali się... jakimś rodzajem tajnej policji, nadrzędną komórką bezpieczeństwa, specgrupą do misji na wpuł samobójczych. Zajmowali się polityką, i to w sposób czynny, ale kto miał to robić, skoro urzędy do tego powołane zupełnie nie stanęły na wysokości zadania. Gdzie była ABW? Przez parę dni nie widział ani jednego jej funkcjonariusza. Pospali się czy co? A BOR? Ci to dali ciała na całego.

A już tak podsumowując, to on tu szarpie się, wypruwa żyły, spala się – co dla zdrowia starszego pana będzie miało konsekwencje, bo w końcu zejdzie na atak serca czy inny wylew – a kiedy po wyborach zmieni się ekipa rządząca, on będzie jednym z pierwszych do odstawki. Dwadzieścia cztery godziny na spakowanie przedmiotów osobistych i do widzenia. Emerytura na konto, tu podpisać, oddać klucze, zmiana hasła w komputerze, kiedy tylko wyjdzie za próg własnego gabinetu. Zdziwi się, jeśli usłyszy chociaż krótkie: dziękuję.

Ci, którzy przyjdą po nim, mogą mieć zupełnie inną wizję silnego kraju niż on miał. Nawet nie może, a na pewno. Po to są zmiany. Nie chciał być jednym z tych cwaniaczków, którzy to trzymają kompromitujące papiery w domowym sejfie i szantażują oponentów. Gdyby tym się zajął na poważnie, to... zresztą mniejsza z tym. Przed nimi rysowała się nowa, i to raczej mglista przyszłość.

Po tym, jak USA poszły w odstawkę, przybyło chętnych do sprawowania roli światowego żandarma, lecz do rozwiązania najpoważniejszych problemów świat nie przybliżył się nawet na krok. Do Europy uciekali już nie Stryjczycy czy Irakijszczyki, ale głównie Turcy. Teraz Morze Czarne stało się głównym akwenem ludzkiego nieszczęścia. Jeżeli nie przez Bułgarię, to dalej, przez Rumunię, a może przez Gruzję czy Federację Rosyjską?

Afryka wciąż była tykającą bombą i olbrzymim generatorem cierpienia około miliarda ludzi. Państwa na południe od równika utrzymywały się głównie z subwencji zagranicznych krajów i organizacji dobroczynnych. Rabunkowa gospodarka bogactw naturalnych i neokolonialne praktyki Chińczyków pogłębiały tylko totalną zapaść. Panująca tam bieda przekraczała wszelkie wyobrażenia. Feudalne elity

niezmiennie miały obywateli w dupie i nawet się z tym nie kryły. Pewnego dnia dojrzeje bunt, pękną granice. Cała ta ludzka masa wyleje się i zacznie migrować. Jak poradzą sobie z nią państwa arabskie? Nie poradzą. Zdesperowany człowiek jest zdolny do strasznych czynów.

Im dłużej Banach się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że jest to błędne koło. Najprościej przecież pomyśleć, że ludzi jest za dużo, ale to nieprawda. To zwykła ludzka niesprawiedliwość napędza tę maszynkę. Brakuje osób, które mogą i chcą zmierzyć się z tym problemem. Polityków na Zachodzie wybiera się na kadencje – one wyznaczają horyzont ich zamierzeń.

Europa i świat mogą wiele wytrzymać, ale chyba nie nieskończenie wiele. Co zostawią następnym pokoleniom? Wydawało się, że same zgłiszczą.

Myślenie, że nasza chata z kraja lada moment doprowadzi do globalnej katastrofy. Problemom trzeba stawić czoła. Chowanie głowy w piasek nic nie da. Tylko kto miał się tym zająć? Gdzie jest lider, który wyznaczy kierunek?

A może czas przestać się oglądać na innych? Musi to przemyśleć... Zasłużył na parę dni odpoczynku. Pojedzie w góry. Tatry trochę dla niego za wysokie, ale Beskidy będą w sam raz.

Oczywiście nawet przez moment nie będzie tak naprawdę sam. Ochrona z przodu i z tyłu, mobilny punkt łączności na najbliższej szosie, a i śmigłowiec w razie potrzeby na podporządkowaniu. Ludzie będą marudzić, że muszą pilnować starego piernika, ale małe odstępstwo od rutyny dobrze im zrobi. Lepszy taki wypoczynek niż żaden.

Dla doktora Filipa Mrocza dzień zaczął się fatalnie. Zaspał, a przez to spóźnił się do roboty. Koledzy trochę się z niego podśmiewali, że mamusia na czas nie obudziła. On sam nie widział niczego złego w tym, że mieszka z rodzicami. Nie skończył jeszcze trzydziestki, ustatkuje się później, na razie koncentrował się na rzeczy dla niego najważniejszej, czyli na pracy.

Kierownik spóźnienia oczywiście nie podarował. Jak się zasuwa przy tajnych projektach, to należy być obowiązkowym i punktualnym, a on miał to szczęście, że zahaczył się w instytucie, dołączając do zespołu zajmującego się antymateria. Niedługo, i to za jego sprawą, wystartuje załogowy pojazd z nowym, innowacyjnym napędem. To będzie przełom, wynalazek zrewolucjonizuje transport, przełamie bariery...

Stuki i piski z hali, którą we własnym gronie nazywali Anomalią, sprawiły, że Mroczek przestał wgapić się w ekran i odwrócił głowę w kierunku, skąd dobiegał hałas. Od kiedy na terenie instytutu doszło do małego wypadku, zaczęły dziać się tam dziwne rzeczy. Personel, niby sami trzeźwo myślący naukowcy i inżynierowie, uznał to miejsce za nawiedzone. Jedni słyszeli głosy, inni popadli w depresję, a jeszcze innym wydawało się, że widzieli... nie, to przecież zupełnie brednie.

Mroczek miał tylko wprowadzić do systemu dodatkowe zmienne i przenieść się do tej części placówki, gdzie człowiekowi ciarki nie chodziły po grzbiecie, ale czuł coraz silniejszą pokusę, by natychmiast stąd uciec.

Kolejny stuk.

Tym razem skojarzył się adiunktowi z upadającym na podłogę młotkiem. Aż podskoczył na krześle. Wierzchem dłoni wytarł pot z czoła. Ktoś najwyraźniej robił sobie z niego jaja. Dorwie żartownisia i skopie mu dupsko. Energicznym ruchem wstał i skierował się do drzwi. Bał się, ale nie chciał się poddać temu lękowi. Obejrzał się ponownie – cisza. A niech tam, raz kozie śmierć. Szarpnął za klamkę i wszedł do środka. Od razu w nozdrza uderzyła go woń od dawna niewietrzonego pomieszczenia oraz coś jakby zwierzęce piżmo. A może bardziej zapach, jaki unosi się w powietrzu po cięciu metalu?

Poszukał kontaktu i zapalił światło.

– Jest tu kto? – rzucił w stronę pustej przestrzeni.

To była największa dostępna sala w instytucie. Miejsca tu tyle, że można zorganizować...

A to co? Na środku podłogi kurz i drobinki materii układały się w regularny wzór. Miał ponad metr średnicy, był trochę podobny do buddyjskiej mandali, lecz o spiralnych krzywiznach. Podszedł bliżej wiedziony ciekawością. Interesujące. Najlepiej zrobi, jak zawoła Borzęckiego albo któregoś z zastępców naczelnego.

Lekkie muśnięcie powietrza na twarzy sprawiło, że zaczął się cofać. Nad podłogą formowała się kula.

– O cholera...

– Panie Michalak, ile razy mam panu mówić, że nic z tego nie wyjdzie? No ile? Ten pomysł jest... nie powiem, że do niczego, ale na pewno mało realistyczny. – Borzęcki założył dłonie z tyłu, nie zwolnił jednak kroku. – Budżet nie jest z gumy. Pan chyba wie, o czym mówię.

– Z naszej ostatniej rozmowy wynikało...

– Panie Norbercie, proszę, nie wracajmy do tego więcej. Obiecuję, że jak tylko uruchomione zostaną nowe środki, to projekt ponownie zostanie przedyskutowany. Doskonale wiem, ile dla pana znaczą podróże międzyplanetarne.

– Właściwie to chodzi o takie zagięcie czasoprzestrzeni...

– Ja wiem, ja to wszystko wiem... – Borzęcki wkroczył do sali jak kapitan na mostek transatlantyku.

– A gdzie podziewa się Mroczek? Miał tu być. Poszedł gdzieś, a drzwi zostawił otwarte?

Dyrektor przemierzył pomieszczenie i przystanął przed kolejnymi drzwiami.

– Panie Filipie? Gdzie się pan u licha podziewa?

Przeklęta hala anomalii. Nikt nie lubił tu przebywać. On również.

W środku dostrzegł postać laboranta uwieszoną... Na czym on właściwie wisi? Mroczek unosił się w powietrzu głową w dół. Jedna noga w górze, druga wygięta pod dziwnym kątem, ręce zwisały bezwładnie.

– Panie Michalak, pan widzi to samo co ja?

– Obawiam się, że tak, panie dyrektorze.

– Emil by się zdziwił, gdyby to zobaczył.

– Pan myśli, że jego jest jeszcze w stanie coś zdziwić?

– Takiego przypadku lewitacji to na pewno nie widział.

– A to jeszcze nic...

FRAGMENTY

Ci, którzy polowali na Generała, nie tracili czasu. Pierwsze pociski uderzyły w bmw ułamek sekundy później. W przeciwieństwie do mercedesa limuzyna była opancerzona, niemniej i tak boczna szyba pokryła się siateczką pęknięć.

Tuż przed przejściem dla pieszych musieli zwolnić. Ludzie pierzchali na wszystkie strony. Jakiś mężczyzna wszedł pod koła innego ruszającego samochodu. Cud prawdziwy, że nikogo nie potrącili.

Zapierając się rękami o fotel przed nim, Banach obejrzał się wstecz. O w mordę... Toyota ich gonila. Jeden z bandziorów wychylił się z bocznego okienka, śląc w ich stronę serię za serią...

* * *

- Może się w końcu dowiem, co to za najście? Jak na razie żyjemy w demokratycznym państwie i takie incydenty nie powinny mieć miejsca. - Marszałek senatu RP był wściekły.

- Niech pan włączy telewizor. - Szczepańska nie zamierzała opowiadać wszystkiego.

- Słucham?

- Telewizor.

Bielawa posłusznie powędrował do salonu i uruchomił odbiornik. Na wszystkich kanałach zobaczyli to samo - dym nad Krakowskim Przedmieściem, formujący się kordon, rozbite samochody, wozy służb porządkowych uformowane w długie kolumny na centralnych ulicach Warszawy, para dyżurnych F-16 zataczająca kręgi nad miastem, Humvee stołecznego garnizonu.

- Jezus Maria... - jęknął wstrząśnięty marszałek.

- Zgadzam się całkowicie.

- Wybuchła wojna?

- Można tak powiedzieć...

**Polska przejęła struktury wojskowe
USA w Europie i niemal z dnia na dzień
stała się supermocarstwem.**

**Przybywa jej także wrogów,
a niespodziewana inwazja może
pogrzebać wielkie plany...**

- Może się w końcu dowiem, co to za najście? - Marszałek
Senatu RP był wściekły.

- Niech pan włączy telewizor. - Szczepańska nie zamierzała
opowiadać wszystkiego.

Bielawa posłusznie powędrował do salonu i uruchomił odbiornik.
Na wszystkich kanałach zobaczyli to samo: dym nad Krakowskim
Przedmieściem, formujący się kordon, rozbite samochody, wozy
służb porządkowych ustawione w długie kolumny na centralnych
ulicach Warszawy, para dyżurnych F-16 zataczająca kręgi nad
miastem, Humvee stołecznego garnizonu.

- Jezus Maria... - jęknął wstrząśnięty marszałek.

- Zgadzam się całkowicie.

- Wybuchła wojna?

- Można tak powiedzieć...

Śmiało i jakże często prorocze wizje Vladimira Wolffa przerażają
jak nigdy dotąd. Czy zasługujący na miano wieszcz autor tym
razem się myli? Z tą nadzieją oddajemy w Państwa ręce jego
najnowszą powieść. Wolff otworzył „Metalową burzę” nowy cykl
- Armagedon. „Hydra”, drugim tomem, otwiera puszkę Pandory!

Więcej pełnych akcji książek
militarnych znajdziesz na
www.warbook.pl

